

pynchon

WADA UKRYTA



Thomas Pynchon

WADA UKRYTA

Przełożył Andrzej Szulc

Pod płytami chodnika, plaża!

Graffiti, Paryż, Maj 1968

1

Przyszła alejką i wspięła się po schodkach z tyłu, tak jak to zwykle robiła. Doc nie widział jej od ponad roku. Nikt jej nie widział. Dawniej zawsze chodziła w sandałach, dole od bikini w kwiatki i spranym podkoszulku Country Joe & the Fish. Tego wieczoru była ubrana jak typowa panna z miasta, z włosami znacznie krótszymi, niż zapamiętał. Wyglądała dokładnie tak, jak przysięgała, że nigdy nie będzie.

- To ty, Shasto?
- Wydaje mu się, że ma omamy.
- To chyba kwestia nowego opakowania.

Stojąc w ulicznym świetle wpadającym przez kuchenne okno, tak bladym, że nigdy nie było sensu wieszac zasłon, słuchali dobiegającego z dołu przyboju. Wieczorami, kiedy zdrowo wiało, łoskot fal słychać było niekiedy w całym mieście.

- Chcę, żebyś mi pomógł, Doc.
- Wiesz, że mam teraz biuro? Tak jakbym normalnie chodził do pracy?
- Sprawdziłam w książce telefonicznej. Zastanawiałam się, czy tam pójść. Ale potem pomyślałam, że lepiej dla wszystkich, żeby to wyglądało na schadzkę.

Okay, nici z romantycznego wieczoru. Niech to szlag. Ale może trafi się chociaż jakaś fucha.

- Ktoś ma cię na oku?
- Przez godzinę jeździłam po okolicy, żeby nie wzbudzać podejrzeń.
- Może piwa? – Podeszedł do lodówki, wyjął dwie puszkę ze skrzynki, którą trzymał w środku, i podał jej jedną.
- Jest pewien facet... – zaczęła.

Jasna sprawa, ale czym tu się przejmować? Gdyby dostawał centa za każdym razem, gdy klient zaczynał w ten sposób, siedziałyby już teraz na Hawajach, urąbany w dzień i w noc, surfując po falach w Waimea, albo jeszcze lepiej, wynajmując kogoś, żeby surfował za niego...

- Dżentelmen wyznający proste wartości – powiedział z uśmiechem.
- No dobrze, Doc. Jest żonaty.
- Chodzi... chodzi o pieniądze?

Shasta odrzuciła do tyłu włosy, których nie miała, i uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „I co z tego?”.

- Doc nie miał nic przeciwko temu.
- A żona... wie o tobie?

Pokiwała głową.

– Ale też się z kimś spotyka. Tyle że to nie jest to co zwykle... Oni próbują wyciąć razem jakiś podły numer.

– Żeby zwać z majątkiem mężusia... No tak, słyszałem, coś takiego zdarzyło się już chyba kilka razy w Los Angeles. Co dokładnie miałbym dla ciebie zrobić?

Doc znalazł papierową torbę, w której przyniósł do domu kolację, i udał, że coś na niej notuje, ponieważ jej mundurek i makijaż wyglądający, jakby go w ogóle nie było, spowodowały starą, dobrze znaną erekcję, którą Shasta wcześniej czy później zawsze

wyczarowywała. Czy to się kiedyś skończy? Oczywiście, że się skończy. Już się skończyło.

Przeszli do frontowego pokoju. Doc położył się na sofie, ale Shasta nie mogła usiedzieć na miejscu.

– Rzecz w tym, że chcę mnie w to wciągnąć – wyjaśniła. – Uważają, że tylko ja mam do niego dostęp, kiedy jest odsłonięty lub kiedy odsłoni się na tyle, na ile to możliwe.

– Śpiąc z tyłkiem na wierzchu.

– Wiedziałaś, że zrozumiesz.

– Nadal starasz się odgadnąć, czy to źle, czy dobrze, Shasto?

– Gorzej – odparła, świdrując go wzrokiem, który tak dobrze pamiętał. Kiedy go pamiętał.

– Jak bardzo powinnam być wobec niego lojalna?

– Mam nadzieję, że mnie o to nie pytasz. Żeby nie powtarzać sloganów, ludzie powinni być lojalni wobec każdego, z kim się regularnie pieprzą...

– Dzięki. W poradniku w gazecie pisali mniej więcej to samo.

– Pięknie. Więc nie mówmy o uczuciach, porozmawiajmy o pieniądzach. Jaką część czynszu płaci?

– Cały. – Shasta zmrużyła oczy i przez sekundę dostrzegł na jej ustach dawny zadziorny uśmiech.

– Wysoki?

– W Hancock Park.

Ignorując jej minę, Doc zagwizdał tytułowe takty z *Can't Buy Me Love*.

– Na wszystko dajesz mu oczywiście weksle.

– Ty kutasie, gdybym wiedziała, ile w tobie goryczy...

– We mnie? Staram się po prostu podejść do sprawy profesjonalnie. Ile żonka i jej fagas proponują ci za wejście do spółki?

Shasta wymieniła sumę. Bywały czasy, gdy Doc pędził sto mil na godzinę Pasadena Freeway, wyprzedzając we mgle podrasowane rollsy z niekryjącymi oburzenia dealerami heroiny i próbując nie wypaść z tych wszystkich źle wyprofilowanych zakrętów, czasy, gdy przemierzał zaułki na wschód od LA River, nie mając do obrony nic poza tkwiącym w kieszeni spodni pożyczonym grzebieniem do afro, a także kiedy wchodził i wychodził z budynku sądów z wartą niewielką fortunę wietnamską trawką. Ostatnio skłaniał się ku przekonaniu, że ta brawurowa epoka odeszła chyba w przeszłość, teraz jednak poczuł, że znowu się denerwuje.

– Więc... – zaczął ostrożnie – więc nie chodzi tutaj o kilka pornograficznych polaroidów. Ani o prochy podrzucone do schowka na rękawiczki. Nic w tym rodzaju...

Dawniej Shasta mogła przeżyć długie tygodnie i co najwyżej raz czy drugi wyduć wargi. Teraz na jej twarzy ukazała się skomplikowana kombinacja mimiczna, której nie potrafił odczytać. Może nauczyła się tego w szkole aktorskiej?

– To nie jest to, co myślisz, Doc.

– Nie przejmuj się, myśleć będę później. Co jeszcze?

– Nie jestem pewna, ale wygląda na to, że chcę go umieścić w jakimś wariatkowie.

– Masz na myśli legalnie? Czy podstępem?

– Nikt mi tego nie mówi, Doc. Jestem tylko przynętą. – Jeśli o tym pomyśleć, nigdy wcześniej nie słyszał w jej głosie takiego smutku. – Słyszałam, że spotykasz się z kimś na mieście?

„Spotykasz”. No cóż...

– Och, masz na myśli Penny? Miła dziewczyna z miasta, w gruncie rzeczy szuka dreszczyku sekretnej hipisowskiej miłości...

– A poza tym jest chyba w drużynie prokuratora okręgowego Evelle'a Youngera?

Doc zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Myślisz, że ktoś stamtąd może temu zapobiec?

– Niewiele jest miejsc, do których mogę z tym pójść, Doc.
– W porządku, pogadam z Penny, zobaczymy, co da się zrobić. Twoja szczęśliwa parka... mają jakieś nazwiska, adresy? – Shasta podała mu nazwisko swojego starszego przyjaciela. – To ten sam Mickey Wolfmann, o którym ciągle piszą w gazetach? Ten potentat budowlany?
– Nie wolno ci o tym nikomu mówić, Doc.
– Ani pary z gęby, na tym polega moja praca. Dasz mi może jeszcze jakiś numer telefonu? Shasta wzruszyła ramionami, skrzywiła się i dała mu numer.
– Postaraj się nigdy z niego nie korzystać.
– Pięknie, a jak mam się z tobą kontaktować?
– Nie kontaktuj się. Wyprowadziłam się z dawnego mieszkania, mieszkam teraz, gdzie się da, nie pytaj.

O mało nie powiedział: „jest tu dość miejsca”, choć w rzeczywistości wcale go nie było, ale zauważył wcześniej, jak z wyrazem, można rzec, niesmaku, przygląda się tym wszystkim rzeczom, które się nie zmieniły: obrazowi na aksamicie, zamontowanej na kole od powozu, pochodzącej z angielskiego pubu autentycznej tarczy do gry w strzałki, burdelowej lampie z wibrującym żarnikiem w psychodelicznej purpurowej żarówce, kolekcji wyścigowych samochodów, zrobionych wyłącznie z puszek po piwie Coors, oraz piłce do siatkówki plażowej z autografem Wilita Chamberlaina złożonym flamastrem Day-Glo.

Odprowadził ją na dół tam, gdzie zaparkowała. W tej okolicy wieczory w dni powszednie nie różniły się zbyt od weekendów, w związku z czym pełno już było pokrzykujących imprezowiczów, pijaków i surferów, ćpunów, którzy wyprawili się po coś do żarcia, facetów z miasta, pragnących zaliczyć szybki numer z stewardesą, a także pracujących w aż nazbyt przyziemnych miejscach facetek z miasta, które miały nadzieję, że ktoś weźmie je za stewardesy. Wyżej, na dojazdach i zjazdach z autostrady, wydechy niewidocznych samochodów wydawały melodyjne dźwięki, które marynarze na przepływających tankowcach mogli uznać za głosy zwierząt polujących nocą na egzotycznym wybrzeżu.

Tuż przed rześcicie oświetlonym Beachfront Drive zatrzymali się na chwilę w mroku – odwieczny manewr, który zapowiadał w tych stronach, że ktoś kogoś pocałuje albo przynajmniej złapie za tyłek.

– Nie idź dalej, ktoś może nas zobaczyć – powiedziała jednak.
– Zadzwoń, odezwij się.
– Nigdy mnie nie zawiodłeś, Doc.
– Nie martw się. Ja...
– Nie, naprawdę nigdy.
– Och... z pewnością to zrobiłem.
– Nigdy niczego nie udawałeś.

Na dworze było od kilku godzin ciemno, Doc niewiele wypalił i nie były to światła samochodu, ale nim się odwróciła, przysięgłby, że zobaczył padający na jej twarz blask, pomarańczowe światło pojawiające się przed zmierzchem na twarzy osoby, która spogląda na zachód, czekając na kogoś, kto pod koniec dnia zmierza w stronę bezpiecznego portu.

Przynajmniej jej samochód był ten sam co zawsze, używany cadillac eldorado biarriz model '59, z brezentowym dachem, kupiony w jednym z tych komisów przy Western Avenue, gdzie wystawione na sprzedaż wozy stoją przy samej drodze, żeby wywiało z nich zapach tego, co palili pasażerowie. Kiedy odjechała, Doc usiadł na ławce na Esplanade, odwrócony plecami do rzędów jasnych okien na skarpie, i obserwował fosforyzujące fale przyboju i zygzaki samochodowych świateł na odległych pagórkach Palos Verdes. Myślał o rzeczach, o które jej nie zapytał, na przykład, jak bardzo uzależniła się od zapewnianego przez Wolfmanna łatwego życia i poczucia władzy, i czy gotowa jest bez żalu wrócić do bikini i T-shirtu. I o to, o co najtrudniej było zapytać: jak bardzo zaangażowała się emocjonalnie, co naprawdę czuła do starego Mickeya? Wiedział, co by mu odpowiedziała:

„Kocham go”. Cóż innego? Z niedopowiedzianym przypisem, że to słowo jest ostatnio grubo nadużywane. Każdy przyznający się do hipisowskiego stylu życia „kochał” wszystkich. Nie warto też wspominać o innych użytecznych zastosowaniach, na przykład nakłanianiu do seksu ludzi, którzy gdyby mieli jakiś wybór, mogliby go nie uprawiać.

Po powrocie do domu stał przez chwilę, gapiąc się na namalowany na aksamicie obraz kupiony od jednej z meksykańskich rodzin, rozkładających w weekendy towar między Gordita Beach i autostradą, wzdłuż alejek przecinających zielone błonia, po których ludzie nadal jeździli konno. Cichym wczesnym rankiem wyjmowali z furgonetek malowidła szerokości kanapy, przedstawiające Ukrzyżowania oraz Ostatnie Wieczere, wyjętych spod prawa motocyklistów na odmalowanych z najdrobniejszymi szczegółami harleyach, uzbrojonych w M16 bohaterów sukinsynów w mundurach sił specjalnych i tak dalej. Na obrazie należącym do Doca widać było południowokaliifornijską plażę, która w rzeczywistości nie istniała – palmy, cizie w bikini, deski surfingowe, pełen wypas. Myślał o nim jak o oknie, przez które wyjrzy, kiedy nie będzie mógł znieść tego, co widzi przez tradycyjne, szklane, w drugim pokoju. Czasami po zmroku, na ogół kiedy palił trawkę, obraz rozjaśniał się, jakby ktoś podkreślił gałkę kontrastu Stworzenia tak mocno, że wszystko zaczynało się jarzyć wewnętrznym blaskiem, zapowiadając, iż tej nocy wydarzy się coś epickiego.

Ta noc zapowiadała się jednak co najwyżej pracowicie. Doc podniósł słuchawkę i próbował dodzwonić się do Penny, ale nie było jej w domu. Postanowiła pewnie przetańczyć całą noc z jakimś krótkowłosym adwokatem, którego czekała obiecująca kariera. Docowi to nie przeszkadzało. Następnie zadzwonił do ciotki Reet, która mieszkała po drugiej stronie wydm, w bardziej podmiejskiej dzielnicy, z domami, ogródkami oraz drzewami, z których powodu nazywano ją Tree Section. Kilka lat wcześniej, po wzięciu rozwodu z niepraktykującym członkiem Kościoła Luterńskiego Synodu Missouri, mającym agencję ubezpieczeniową Thunderbirda i słabość do szukających przygód gospodyń domowych, które można spotkać w barach przy kręgielniach, Reet przeniosła się tu wraz dziećmi z doliny San Joaquin, zaczęła sprzedawać nieruchomości i wkrótce założyła własną agencję, której siedziba znajdowała się obecnie w bungalowie stojącym na tej samej dużej działce, co jej dom. Za każdym razem, kiedy Doc chciał dowiedzieć się czegoś dotyczącego świata nieruchomości, zwracał się niezmiennie do ciotki Reet, znającej, jak lubili powtarzać w wieczornych wiadomościach, od podszewki każdą działkę położoną między pustynią i oceanem. „Któregoś dnia – przepowiadała – wszystko to będą robić komputery, trzeba będzie tylko wpisać to, czego szukasz, albo jeszcze lepiej, powiedzieć – tak jak rozmawiało się z HALEM w *Odysei kosmicznej 2001* – i człowiek otrzyma więcej informacji, niż chciał uzyskać, na temat każdej działki w basenie Los Angeles, poczynając od hiszpańskich nadań ziemi: dane na temat praw poboru wody, obciążeń, księgi wieczystej, co tylko chcesz, wierz mi, tak będzie”. Na razie jednak, w realnym, nie fantastycznym świecie, można było polegać na niemal nadprzyrodzonej wiedzy ciotki Reet znającej historie, które rzadko pojawiały się w aktach i umowach notarialnych: na temat rozwodów, małych i dużych rodowych waśni, tego, któredy płynię i któredy płynęła kiedyś woda.

Ciotka odebrała po szóstym dzwonku. W tle słychać było głośno grający telewizor.

– Streszczaj się, Doc, bo mam dziś wieczorem program na żywo i muszę jeszcze nałożyć na siebie ćwierć tony makijażu.

– Co możesz mi powiedzieć o Mickeyu Wolfmannie?

Jeśli ciotce zajęło choć sekundę zaczerpnięcie oddechu, Doc w ogóle tego nie zauważył.

– Górnoniemiecka mafia z Westside, waga superciężka, działa w branży budowlanej oraz kasach oszczędnościowo-pożyczkowych, nieopodatkowane miliardy zakopane gdzieś pod Alpami, formalnie rzecz biorąc, Żyd, ale chce być nazistą, wścieka się i gotów jest użyć siły, kiedy ktoś zapomina, że jego nazwisko pisze się przez dwa „n”. Co do niego masz?

Doc opowiedział jej o wizycie Shasty i spisku mającym na celu zagarnięcie fortuny Wolfmanna.

– Bóg wie, że niewielu z nas, ludzi z branży nieruchomości, zachowało czyste sumienie, ale w porównaniu z tymi deweloperami, Godzilla mógłby uchodzić za obrońcę środowiska. Może nie powinieneś się w to mieszać, Larry. Kto ci płaci?

– No cóż...

– Nie wiadomo, tak? To ci niespodzianka. Słuchaj, skoro Shasta nie może ci zapłacić, może Mickey ją rzucił, a ona wini żonę i chce się zemścić?

– Niewykluczone. Ale powiedzmy, że chcę po prostu pogadać i zaprzyjaźnić się z tym całym Wolfmannem.

Czy to, co usłyszałaś, to było zniecierpliwione westchnienie?

– Nie powinieneś raczej stosować swojego standardowego podejścia. Porusza się w asyście kilkunastu motocyklistów, w większości członków Bractwa Aryjskiego. Wszyscy to stuprocentowi obwiesie po wyrokach. Spróbuj choć raz umówić się wcześniej na spotkanie.

– Chwileczkę, opuściłem sporo zajęć z socjologii, ale... czy Żydzi i Bractwo Aryjskie... Może zapomniałem, ale czy nie darzą się przypadkiem... nienawiścią?

– Z Mickeyem nigdy nic nie wiadomo. Jest nieprzewidywalny. Ostatnio to się pogłębia. Niektórzy twierdzą, że jest ekscentryczny. Moim zdaniem zaćpał się do nieprzytomności. Nie bierz tego do siebie.

– A ten szwadron oprychów jest wobec niego lojalny, mimo że składali przysięgę, w której jest kilka paragrafów o antysemickiej wymowie?

– Jeśli znajdziesz się w odległości dziesięciu przecznic od tego człowieka, położą się plackiem przed twoim samochodem. Jeśli będziesz jechał dalej, poczęstują cię granatem. Jeśli chcesz pogadać z Mickeyem, nie bądź spontaniczny, nie staraj się nawet być miły. Załatw to odpowiednimi kanałami.

– No tak, ale nie chcę też, żeby Shasta miała kłopoty. Gdzie, twoim zdaniem, mógłbym się na niego natknąć zupełnie przypadkowo?

– Obiecałam młodszej siostrze, że nigdy nie narażę jej dzieciaka na niebezpieczeństwo.

– Jestem w dobrych stosunkach z Bractwem, ciociu, znam ich uścisk dłoni i tak dalej...

– No dobrze, mały, to w końcu twoja broszka. Mam tu poważne problemy z tuszem do rzęs, ale słyszałam, że Mickey spędza sporo czasu na terenie swojego ostatniego ataku na środowisko: tekturowego horroru o nazwie Channel View Estates.

– Ach, tam. W ich reklamach występuje Wielka Stopa Bjornsen. Puszczają je w przerwach dziwnych filmów, o których nigdy nie słyszałaś.

– Cóż, może powinien się tym zająć twój stary kumpel gliniarz. Kontaktowałeś się z policją Los Angeles?

– Myślałem, czy nie pójść z tym do Wielkiej Stopy – przyznał Doc. – Już sięgałem po słuchawkę, ale znając Bjornseną i w ogóle, uświadomiłem sobie, że nie wiadomo, czy przypadkiem mnie za to nie przyskrzyni.

– Może lepiej ci pójdzie z nazistami. Nie zazdrozczę ci wyboru. Uważaj, Larry. Odzywaj się co jakiś czas, żebyśmy mogła zawiadomić Elminę, że jeszcze żyjesz.

Pierdolony Bjornsen. Cóż, wiadomo. Wiedziony jakimś pozazmysłowym impulsem, Doc włączył telewizor, nastawił kanał, na którym puszczano stare filmy telewizyjne oraz piloty nienakreconych seriali, i jak na zawołanie na ekranie pojawił się ten wściekły pies, stary wróg hipisów, dorabiający na boku po całym dniu naruszania praw obywatelskich jako akwizytor Channel View Estates. Pod nazwą osiedla widniał napis „Koncept Michaela Wolfmanna”.

Jak wielu innych gliniarzy z Los Angeles, Wielka Stopa, który zyskał tę ksywkę z racji preferowanej przez siebie metody wchodzenia do budynku, marzył o karierze w show-biznesie i faktycznie zagrał już wystarczająco dużo ról charakterystycznych, poczynając od komicznych Meksykanów w *The Flying Nun* po drugoplanowych psychopatów w *Voyage to*

the Bottom of the Sea, by płacić składki w gildii aktorów i co jakiś czas dostawać honoraria. Być może producenci spotów Channel View byli tak bardzo zdesperowani, że liczyli na jakiś odzew jego widowni – a może, jak podejrzewał Doc, Wielka Stopa dostał pod stołem dołę przy podpisywaniu transakcji. Tak czy inaczej, wszelka godność osobista szła tu w ką. Wielka Stopa pokazywał się na ekranie w ciuchach, które wprawiłyby w zakłopotanie najbardziej odpornych na ironię kalifornijskich hipisów: tego wieczoru była to długa do kostek aksamitna szata w tureckie wzory w tak ostrych kolorach, że telewizor Doca, tandetny odbiornik kupiony kilka lat wcześniej na parkingu przed Zody's na wyprzedaży Moonlight Madness, naprawdę nie był w stanie ich oddać. Wielka Stopa uzupełnił swój ubiór koralikami miłości, ciemnymi okularami z symbolami pokoju na szklach oraz gigantyczną prążkowaną afro w kolorach chińskiej czerwieni, jasnej zieleni i indygo. Często kojarzył się widzom z legendarnym sprzedawcą używanych samochodów, Calem Worthingtonem, tyle że Cal słyszał z tego, że w jego programach uczestniczyły żywe zwierzęta, a w spotach Wielkiej Stopy występowała bezlitosna banda małych bachorów, które włożyły na meble w modelowych domach, skakały do basenów, wrzeszczały, awanturowały się i udawały, że kładą Wielką Stopę trupem, krzycząc: „Władza dla czubków!” i „Zabić świnię!”. Widzowie wpadali w ekstazę. „Te małe szkraby, wołali, są naprawdę niesamowite!”. Żaden przekarmiony leopard nie zirytował nigdy Cala Worthingtona tak bardzo, jak te dzieciaki irytowały Bjornsena, ale był przecież, na Boga, profesjonalistą, i zaciskając zęby, studiował pilnie, kiedy tylko je puszczali, stare filmy z W. C. Fieldsem i Bette Davis, żeby podejrzeć, co jeszcze mógłby zrobić, by dopasować się do dzieciaków, których słodycz była dla niego w najlepszym razie problematyczna.

– Jeszcze się zakumplujemy – charczał pod nosem, udając, że zaciąga się spazmatycznie dymem z papierosa. – Jeszcze się zakumplujemy.

Nagle rozległo się walenie do drzwi frontowych i przez krótką chwilę Docowi wydawało się, że to Bjorsen we własnej osobie, gotów ponownie wywalić kopniakiem drzwi, tak jak to robił za dawnych czasów. Był to jednak tylko Denis z sąsiedztwa, którego imię wszyscy wymawiali tak, by rymowało się z „penis”. Sprawiał wrażenie bardziej zdezorientowanego niż zwykle.

– Więc, Doc, jestem na górze, na Dunecrest, wiesz, jest tam ten drugstore, i nagle widzę ich szyld. Drug? Store? Jarzysz? Przechodziłem tamtędy z tysiąc razy i nigdy tak naprawdę tego nie zauważyłem. Drug? Store! Człowieku, tak po prostu, więc wszedłem do środka, za ladą stał Uśmiechnięty Steve, i mówię: „Hej, cześć, czy mógłbym dostać trochę dragów?”. Masz, jeśli chcesz, możesz się sztachnąć.

– Dzięki, sparzyłbym sobie tylko usta.

Denis zdążył tymczasem zawędrować do kuchni i przeglądał zawartość lodówki.

– Jesteś głodny, Denis?

– Jak skurwysyn. Hej, pamiętasz, jak Godzilla mówi zawsze do Mothry: „Może poszlibyśmy coś przekąsić?”.

Podeszli na Dunecrest i skręcili w lewo, w stronę barów i knajp. Pipeline Pizza pękała w szwach, w unoszącym się w środku gęstym dymie nie widać było drugiego końca sali. Z szafy grającej, którą słyhać było aż w El Porto i dalej, płynęły dźwięki *Sugar, Sugar* zespołu Archies. Denis przecisnął się do kuchni, żeby zamówić pizzę, a Doc obserwował Szczupłego Ensenadę grającego na jednym ze stojących w kącie automatów Gottlieba. Ensenada prowadził mieszczący się przy tej samej ulicy sklep z akcesoriami dla palaczy o nazwie Ultrafioletowa Mózgownica i był tutaj kimś w rodzaju wodza wioski. Po wygraniu tuzina darmowych gier zrobił sobie przerwę, zobaczył Doca i skinął do niego głową.

– Fundnąć ci piwo, Ensenada?

– Czy ten wielki stary cadillac z brezentowym dachem, który widziałem przy Drive, to nie była bryka Shasty?

– Wpadła na parę minut – odparł Doc. – Dziwnie było znowu ją spotkać. Zawsze myślałem, że jeśli ją jeszcze zobaczę, to w telewizorze, nie na żywo.

– Naprawdę? Czasami mam wrażenie, że widzę ją gdzieś na skraju ekranu. Ale zawsze okazuje się, że to tylko ktoś podobny. I oczywiście nie tak miły dla oka.

Smutne, lecz prawdziwe, jak powiada Dion. W liceum Playa Vista Shasta zdobywała tytuł Miss Klasy przez cztery kolejne lata, zawsze grała pierwszą naiwną w szkolnych przedstawieniach, marzyła tak jak wszyscy o karierze gwiazdy filmowej i kiedy tylko stało się to możliwe, wyfrunęła z gniazda, szukając jakiegoś taniego lokum w Hollywood. Doc nigdy nie mógł zgadnąć, co w nim widziała poza tym, że był jedynym znanym jej ćpunem, który nigdy nie zażywał heroiny, dzięki czemu mieli dla siebie sporo czasu. Zresztą nie byli ze sobą zbyt długo. Wkrótce zaczęła chodzić na castingi i pracować w teatrze, na scenie i poza sceną. Doc stawiał tymczasem pierwsze kroki jako detektyw i każde z nich, odnalazłszy inne płynące nad megalopolis karmiczne prądy, patrzyło, jak to drugie odpływa ku swemu przeznaczeniu.

Denis wrócił ze swoją pizzą.

– Zapomniałem, o jakie prosiłem dodatki.

To zdarzało się w Pipeline w każdy wtorek albo w Noc Taniej Pizzy, kiedy dowolnej wielkości pizza, z dowolnymi dodatkami, kosztowała dokładnie dolara i trzydzieści pięć centów. Denis usiadł i zaczął jej się intensywnie przyglądać, jakby miała mu coś zrobić.

– To kawałek papai – domyślił się Ensenada. – A to... czy to skórki wieprzowe?

– Jogurt jeżynowy na pizzy, Denisie? Szczerze mówiąc, fuj – skomentowała Sortilege, która pracowała w biurze Doca, aż jej chłopak Spike wrócił z Wietnamu i uznała, że miłość jest ważniejsza od dorywczej pracy (tyle w każdym razie Doc zapamiętał z jej wyjaśnień). Tak czy inaczej, miała predylekcje do czegoś innego. Była w kontakcie z niewidzialnymi siłami i potrafiła zdiagnozować i rozwiązać każdy problem, emocjonalny i fizyczny, robiąc to przeważnie za darmo, choć czasem zamiast gotówki zgadzała się przyjąć trawkę lub LSD. Z tego co wiedział Doc, nigdy się nie myliła. W tym momencie przyglądała się jego włosom i jak zwykle ogarnęła go panika.

– Lepiej coś z tym zrób – stwierdziła, kiwając energicznie głową.

– Znowu?

– Nigdy nie przestanę powtarzać: zmień swoją fryzurę, zmień swoje życie.

– Co polecasz?

– To zależy od ciebie. Zrób to, co podpowiada ci intuicja. Nie pogniewasz się, Denis, jeśli wezmę ten kawałek tofu?

– To cukierek ślazowy – odparł Denis.

*

Wróciwszy do domu, Doc zrobił sobie skręta, włączył nocny film, znalazł stary podkoszulek i podarł go na krótkie paski o szerokości mniej więcej pół cala. Kiedy uzbierał ich koło setki, wziął prysznic i nie czekając, aż wyschnie mu głowa, zaczął nawijać wąskie pasemka włosów na paski T-shirtu, które następnie wiązał w kokardki. Przyozdobiwszy tak w stylu południowych plantacji całą głowę, spędził następne trzydzieści minut (w trakcie których być może nawet kilka razy przysnął) z suszarką w ręku, rozwiązując kokardki, rozczesując włosy i modelując je w coś, co wydawało mu się dość udaną, mierzącą półtorej stopy średnicy niemurzyńską fryzurą afro. Potem wsunął ostrożnie głowę do kartonu z monopolowego, żeby jej nie popsuć, położył się na sofie i tym razem naprawdę zasnął. Przed świtem przyśniła mu się Shasta. Dokładnie rzecz biorąc, nie bzykali się, ale było to coś podobnego. Każde z nich oderwało się od swoich spraw, tak jak to się zwykle dzieje w snach śnionych nad ranem, i spotkali się w dziwnym motelu, który był jednocześnie salonem fryzjerskim. Shasta powtarzała, że „kocha” jakiegoś faceta, którego nazwiska ani razu nie

wymieniła, ale obudziwszy się, Doc doszedł do wniosku, że musiała mówić o Mickeyu Wolfmannie.

Nie było sensu dalej spać. Doc wdrapał się na górę i zjadł w Wavos śniadanie z siedzącymi tam na okrągło zaprzysięgłymi surferami. Podszedł do niego Zły Flaco.

– Hej, człowieku, znowu szukał cię ten gliniarz. Co ty masz na głowie?

– Gliniarz? Kiedy to było?

– Wczoraj wieczorem. Zajechał pod twój dom, ale cię nie było. Detektyw ze śródmiejskiego wydziału zabójstw w mocno poobijanym el camino. Tym z silnikiem trzysta dziewięćdziesiąt sześć.

– To Bjornsen Wielka Stopa. Dlaczego nie wywalił po prostu drzwi kopniakiem, tak jak to zwykle robi?

– Mógł nosić się z takim zamiarem, ale powiedział coś w rodzaju: „Jutro też jest dzień”... Jutro to znaczy dzisiaj?

– Gdyby to ode mnie zależało, to nie.

*

Biuro Doca mieściło się niedaleko lotniska, przy East Imperial Avenue. Dzielił budynek z doktorem Buddym Tubeside'em, którego praktyka polegała głównie na wstrzykiwaniu ludziom „witaminy B12”, jak eufemistycznie określał sporządzoną przez siebie mieszanekę amfetamin. Mimo wczesnej pory Doc musiał się tego ranka przecisnąć przez kolejkę pacjentów z niedoborem „witaminy B12”, sięgającą parkingu i składającą się z mieszkających przy plaży gospodyń domowych o wysokim wskaźniku melancholii, aktorów wezwanych na casting, opalonych na brązowo staruchów, niemogących się doczekać kolejnego dnia, który spędzali aktywnie, gładząc ze sobą i wylegując się na słońcu, stewardes prosto ze stresującego nocnego lotu, a nawet kilku przypadków złośliwej anemii i wegetariańskiej ciąży. Wszyscy oni, paląc jak lokomotywy, gadając do siebie i szurając nogami, wchodzili jeden po drugim do poczekalni małego budynku z pustaków, gdzie stała, trzymając w ręku notes i sprawdzając ich nazwiska, Petunia Leeway, olśniewająca piękność w wykrochmalonym czepku i superkrótkim fartuszk (stanowiących nie tyle prawdziwy uniform pielęgniarki, co lubieżny komentarz na jego temat), których całą ciężarówkę w najróżniejszych modnych pastelowych kolorach doktor Tubeside nabył ponoć za śmiesznie niską cenę w sklepie Frederick's of Hollywood.

– Dzień dobry, Doc – pozdrowiła go Petunia z melodyjnym zaśpiewem knajpianej piosenkarki, co stanowiło wokalny ekwiwalent zatrzepotania długimi rzęsami. – Masz szalową afro.

– Siemasz, Petunia. Nie rozwiodłaś się jeszcze z tym... jak on się nazywa?

– Och, Doc...

Przy podpisywaniu umowy obaj podnajemcy, niczym koledzy dzielący piętrową pryczę na letnim obozie, rzucili monetą, by ustalić, komu przypadnie lokal na górze, i Doc przegrał, albo jak lubił myśleć, wygrał. Na tabliczce na jego drzwiach widniał napis: „Biuro Dochodzeniowe LSD”. LSD, jak wyjaśniał, gdy go o to pytano, co nie zdarzało się zbyt często, oznaczało „Lokalizacja, Sekurytyzacja, Detekcja”. Pod spodem widniał obrazek przedstawiający olbrzymią, przekrwioną gałkę oczną w typowych psychodelicznych barwach zieleni i fuksji, poprzecinaną dosłownie tysiącami naczyń włoskowatych. Ich odmalowanie zostało zlecone komunie konsumentów speedu, którzy już dawno temu wyemigrowali do Sonomy. Potencjalni klienci nieraz przez całe godziny gapili się na ten okulistyczny labirynt, zapominając często, po co przyszli.

Gość już tam faktycznie był i czekał na Doca. Co niezwykle, facet był czarny. Oczywiście czarnoskórych obywateli widywano czasami na zachód od Harbor Freeway, lecz rzadko zdarzało się, by któryś zapuścił się tak daleko poza swoje terytorium, praktycznie tuż nad

morze. Ostatnim razem, kiedy ktoś zobaczył na przykład w Gordita Beach czarnego motocyklistę, na wszystkich policyjnych częstotliwościach słychać było niespokojne wezwania o wsparcie, sformowano niewielki oddział radiowozów i ustawiono blokady wzdłuż całej Pacific Coast Highway. Stary miejscowy odruch pochodził z czasów tuż po drugiej wojnie, kiedy pewna czarna rodzina naprawdę chciała wprowadzić się do miasta i obywatele, za życzliwą radą Ku-Klux-Klanu, spalili dom do gołej ziemi, a potem, jakby zadziałała jakaś starożytna klątwa, nie pozwolili, by wybudowano w tym miejscu jakikolwiek inny budynek. Działka pozostawała pusta, aż skonfiskowała ją w końcu rada miejska i urządziła tam park, w którym młodzież Gordita Beach, prawem karmicznego dostosowania, zaczęła się wkrótce zbierać nocami, żeby chlać, ćpać i się bzykać, doprowadzając rodziców do depresji, niekoniecznie jednak powodując spadek cen nieruchomości.

– Powiedz, o co chodzi, bracie – przywitał gościa Doc.

– Daruj sobie tę gadkę – odparł czarny facet, przedstawiając się jako Tariq Khalil i mierząc uważnym spojrzeniem (które w innych okolicznościach można by uznać za obraźliwe) fryzurę Doca.

– No dobrze. Proszę wejść.

W biurze stały dwie kanapki z wysokimi oparciami obite miękkim skajem w kolorze fuksji i przedzielone stołem z formiki w przyjemnym odcieniu tropikalnej zieleni. Całość stanowiła kiedyś element wyposażenia kafejki w Hawthorne, który Doc zwinął z niej przed renowacją. Teraz dał Tariqowi znak, by usiadł na jednej z kanapek, a sam zajął miejsce naprzeciwko. Było tu całkiem przytulnie. Na blacie między nimi leżały książki telefoniczne, ołówki, karty katalogowe w rozmiarze trzy na pięć cali w pudełkach i luzem, a także mapy drogowe, popiół z petów, radio tranzystorowe, szczypczyki do przytrzymywania skręta, filiżanki do kawy oraz maszyna Olivetti Lettera 22, w którą Doc, mrużąc pod nosem: „Zrobimy notatkę”, wsunął kartkę wyglądającą tak, jakby kilka razy składano z niej wcześniej dziwne kompulsywne origami.

Tariq wodził za nim sceptycznym spojrzeniem.

– Sekretarka ma dziś wolne?

– Coś w tym rodzaju. Zanotuję, co trzeba, i później wszystko przepisze się na maszynie.

– Dobra. Więc chodzi o pewnego faceta, z którym siedziałem w pierdlu. Białego faceta.

Dokładnie rzecz biorąc, z Bractwa Aryjskiego. Załatwialiśmy razem pewne interesy, a potem wyszliśmy i wciąż ma wobec mnie dług. To są całkiem spore pieniądze. Nie mogę powiedzieć, o co konkretnie chodzi. Przysięgałem, że nikomu nie powiem.

– Może poda mi pan chociaż nazwisko?

– Glen Charlock.

Czasami ze sposobu, w jaki ktoś wymienia czyjeś imię, można sporo wywnioskować. Tariq mówił jak ktoś, komu złamano serce.

– Wie pan, gdzie teraz przebywa?

– Tylko dla kogo pracuje. Jest ochroniarzem u budowlanica nazwiskiem Wolfmarm.

Doc doznał chwilowego zawrotu głowy, któremu winne były bez wątpienia narkotyki i który szybko minął, pozostawiając go w stanie lekkiej paranoi. Miał nadzieję, że Tariq tego nie zauważył. Udał, że przegląda zrobione przez siebie notatki.

– Nie pogniewa się pan, panie Khalil, jeśli zapytam, skąd dowiedział się pan o tej agencji?

– Od Sledge’a Poteeta.

– Kurczę, dawne dzieje.

– Powiedział, że pomógł mu pan w trudnej sytuacji w sześćdziesiątym siódmym.

– Pierwszy raz mnie wtedy postrzelono. Poznaliście się w mamrze?

– Uczyli nas obu gotowania. Sledge’owi został jeszcze jeden rok odsiadki.

– Pamiętam go z czasów, kiedy nie umiał zagotować wody.

– Powinien go pan zobaczyć teraz. Potrafi zagotować kranówę, źródlaną wodę Arrowhead,

sodową, perriera, co pan chce. Spec od wrzątku.

– Nie pogniewa się pan, że zadam oczywiste pytanie? Skoro wie pan, gdzie obecnie pracuje Glen Charlock, dlaczego po prostu pan tam nie pójdzie i osobiście się z nim nie spotka? Po co wynajmować pośrednika?

– Ponieważ ten Wolfmann jest strzeżony w dzień i w nocy przez armię Bractwa Aryjskiego, a poza Glenem nigdy nie wiązały mnie serdeczne stosunki z tymi nazistowskimi skurwysynami.

– Ach, więc uważa pan, że trzeba wysłać białego faceta, żeby to jemu spuścili manto?

– Mniej więcej. Wolałbym kogoś o nieco bardziej przekonującej aparycji.

– Braki w aparycji nadrabiam zaangażowaniem – wyjaśnił Doc chyba po raz milionowy w swojej karierze.

– Dobra... to możliwe... widziałem takie rzeczy na spacerunku.

– Kiedy pan siedział... należał pan do jakiegoś gangu?

– Do Rodziny Czarnej Guerilli.

– Organizacja George'a Jacksona. I mówi pan, że robi teraz interesy z kim? Z Bractwem Aryjskim?

– Odkryliśmy, że mamy podobne opinie na temat rządu Stanów Zjednoczonych.

– Hmm, prawdziwa integracja rasowa. Rozumiem.

Tariq przyglądał się Docowi ze szczególną intensywnością.

Jego oczy zrobiły się żółte i agresywne.

– Jest coś jeszcze? – domyślił się Doc.

– Mój dawny uliczny gang. Czarnuchy z Artesii. Kiedy wyszedłem z Chino, chciałem ich odszukać i okazało się, że zniknęli nie tylko oni, ale cała dzielnica.

– Niesamowite. Co to znaczy „zniknęła”?

– Nie ma jej. Rozsypała się w pył. Resztki rozdziobują mewy. Myślałem, że mam zwidy, jeździłem jakiś czas po okolicy, wróciłem i nadal nic tam nie było.

– Aha – mruknął Doc. „To nie były zwidy”, napisał na maszynie.

– Nikogo i niczego. Wymarłe miasto. Z wyjątkiem wielkiej tablicy z napisem „Wkrótce w tym miejscu”. Domy w cenach dla białasów, centrum handlowe, kompletne gównno. Niech pan zgadnie, kto to buduje.

– Wolfmann.

– Otóż to.

Na ścianie wisiała mapa regionu.

– Niech pan mi pokaże. – Teren, który wskazał Tariq, leżał prosto na wschód od miejsca, w którym się obecnie znajdowali, i po półtorzej minuty wpatrywania się w mapę Doc zdał sobie sprawę, że to musi być miejsce budowy Channel View Estates. Udał, że próbuje zaszerzować etnicznie Tariqa. – Mówił pan, że pochodzi pan skąd? Z Japonii?

– Uch, dawno się pan tym zajmuje?

– Chodzi mi tylko o to, że bliżej stamtąd do Gardeny niż do Compton.

– Druga wojna światowa – wyjaśnił Tariq. – Przed wojną w dużej części South Central mieszkali Japońce. Potem wysłali ich do obozów i my zajęliśmy ich miejsce.

– A teraz nadeszła wasza kolej, żeby odejść.

– Następny przykład zemsty białego człowieka. Nie wystarczył im cały teren na północ od lotniska.

– Zemsta za co?

– Za to, co wydarzyło się w Watts.

– Chodzi panu o zamieszki?

– Niektórzy z nas nazywają je powstaniem. Władza tylko czeka na odpowiedni moment.

Długa, smutna historia gospodarki gruntami Los Angeles, o której wynaturzeniach nigdy nie przestała opowiadać ciotka Reet: meksykańskie rodziny wyrzucone z Chavez Ravine, by

zrobić miejsce na stadion Dodgersów, amerykańscy Indianie usunięci z Bunker Hill, by można było zbudować Musie Center, dzielnica Tariqa rozjechana buldożerami, żeby powstało osiedle Channel View Estates.

– Czy pański kumpel z więzienia uiści dług, jaki ma wobec pana, jeśli uda mi się z nim skontaktować?

– Nie mogę powiedzieć, co to jest.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Aha, i nie mogę poza tym dać żadnej zaliczki.

– Nie ma problemu.

– Sledge miał rację, kiedy mówił o panu „taki jeden stuknięty biały skurwysyn”.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Liczyłem.

2

Doc wyjechał autostradą z Gordita Beach. Obok niego sunęły na wschód pomalowane na rozedrgane kolory volkswageny busy, pokryte powłoką antykorozyjną chryslery z półkolistą komorą spalania, auta z autentyczną sosnową karoserią z Dearbom, porsche pilotowane przez gwiazdorów telewizyjnych, cadillaki z dentystami umówionymi na pozamałżeńskie schadzki, zakryte furgonetki z rozgrywającymi się w środku drastycznymi dramataми młodzieżowymi oraz pick-upy wypełnione kuzynami z San Joaquin, którzy siedzieli na położonych z tyłu materacach. Wszystko to toczyło się razem w stronę wielkich bezkresnych osiedli, słuchając tych samych kilku nadających na długich falach radiostacji, pod liniami wysokiego napięcia, niebem niczym rozwodnione mleko i białą kanonady słońca rozmazanego przez smog w co najwyżej plamę prawdopodobieństwa, w której świetle można się było zastanawiać, czy cokolwiek, co określa się mianem psychodelicznego, może się tu w ogóle zdarzyć, czy też – do cholery! – tak naprawdę przez cały czas dzieje się wyłącznie na północy.

Drogę do Channel View Estates, Konceptu Michaela Wolfmanna, tablice wskazywały już na wysokości Artesia Boulevard. Jak oczekiwano, miejscowe pary nie mogły się doczekać, by rzucić okiem na kolejne DROGIE GÓWNO, jak ciotka Reet nazywała większość znanych jej, budowanych pod sznurek osiedli. Co jakiś czas Doc spostrzegał gdzieś z boku czarnych przechodniów, zdezorientowanych podobnie jak Tariq, być może również szukających swojej starej dzielnicy, w której żyli niegdyś dzień po dniu, miejsc, wydawało się, solidnych jak osie przestrzeni, a teraz rozbitych w proch i pył.

Krańce osiedla spowijała mgiełka, miękki zapach smogu i wybetonowanej pustyni – bliżej drogi stały domy modelowe, dalej wykończone, a za nimi, na nieużytkach leżących poza granicami miejscowości, ledwie widoczne szkielety nowych budowli. Doc minął bramę i dojechał do utwardzonego gruntu, w który wbito już słupki z nazwami niewyafaltowanych ulic. Zaparkował na rogu przyszłej Kaufman i Broad Street i ruszył pieszo z powrotem.

Z nawiązujących do hiszpańskiego stylu kolonialnego domów z niedostosowanymi raczej do większego obciążenia balkonikami oraz czerwonymi dachówkami (które miały się kojarzyć ze znacznie droższymi miejscowościami, takimi jak San Clemente lub Santa Barbara, choć w zasięgu wzroku nie było na razie ani jednego rzucającego cień drzewka) widać było zaniedbaną odnogę Kanału Powodziowego Domingueza, zupełnie zapomnianą i poprzecinaną hałdami ziemi pozostałej po przedsięwzięciach gospodarczych, które prosperowały albo upadły.

Niedaleko przyszłej głównej bramy wjazdowej na osiedle Doc natknął się na prowizoryczny placzyk przeznaczony przede wszystkim dla robotników budowlanych, ze sklepem monopolowym, barem kanapkowym, piwiarnią, gdzie można było również zagrać w bilard, oraz salonem masażu o nazwie Chick Planet, przed którym zobaczył rząd zaparkowanych z wojskową precyzją, utrzymanych w idealnym stanie motorów. Chyba tu najprędzej mógł odnaleźć kadrę oprychów. A skoro już na nich trafił, istniały duże szanse, że trafi również na Mickeya. Zakładając, że właściciele motorów przybyli tutaj w celach rozrywkowych i nie czekają w środku w zwartym szyku, by skopać mu tyłek, Doc odetchnął głęboko, przyoblekł się w białe światło i wszedł do środka.

– Cześć, jestem Jade. – Fertyczna młoda Azjatka w turkusowej chińskiej sukience podała

mu laminowany cennik usług. – Proszę zwrócić uwagę na dzisiejszą specjalną ofertę lizania cipki, ważną przez cały dzień aż do zamknięcia lokalu.

– Hmm, nie mówię, że czternaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów nie jest atrakcyjną ceną, ale próbuję zlokalizować pewnego faceta, który pracuje dla pana Wolfmanna.

– Cudownie. Czy on liże cipki?

– Cóż, Jade, powinnaś o tym wiedzieć lepiej ode mnie. Facet ma na imię Glen.

– Jasne, przychodzi tutaj, oni wszyscy przychodzą. Masz dla mnie papieroska? – Doc poczęstował ją koolsem bez filtra. – Och, w więziennym stylu. Nie liżało się tam raczej cipek, co?

– Glen i ja garowaliśmy mniej więcej w tym samym czasie w Chino. Widziałas go dzisiaj?

– Przed minutką, zanim wszyscy nagle się zmyli. Czy dzieje się coś dziwnego? Jesteś gliniarzem?

– Sprawdźmy. – Doc zerknął na swoje stopy. – Nie... nieodpowiednie buty.

– Pytam, bo jeśli jesteś gliniarzem, masz prawo do darmowego pokazu naszej specjalnej oferty lizania cipki.

– To dotyczy również prywatnych detektywów? Czy to...

– Cześć, Bambi! – Zza zasłony z koralików, jakby w przerwie meczu siatkówki plażowej, wyłoniła się blondynka w turkusowo-pomarańczowym bikini Day-Glo.

– O kurczę – mruknął Doc. – Kiedy możemy...

– Nie ty, głupolu – odparła Bambi. Jade już zdejmowała z niej to bikini.

– Och – szepnął. – No wiecie, pomyślałem sobie... że kiedy mówi się o specjalnej ofercie lizania cipki... to znaczy, że...

Cóż... choć żadna z dziewczyn nie zwracała już na niego większej uwagi, Doc uważał, że z czystej grzeczności powinien je przez chwilę pooglądać. Kiedy w końcu zniknęły pod biurkiem, oddalił się, doszedłszy do wniosku, że powinien się rozejrzeć. Z jakiegoś miejsca w głębi budynku sączyło się na korytarz indygowo światło oraz jeszcze ciemniejsze wibracje, wraz z gitarową muzyką sprzed pół pokolenia, składanki dobranej tak, by można było przy jej dźwiękach dupczyć się w garsonierze.

Lokal był pusty, choć można było odnieść wrażenie, że opustoszał tuż przed pojawieniem się Doca. W środku okazał się też większy, niż to się wydawało z zewnątrz. W oświetlonych ultrafioletem pokojach zobaczył pulsujące rockandrollowe plakaty, zawieszane pod sufitem lustra i wibrujące łóżka wodne. Błyskały stroboskopowe lampy, z zapalonych kadzidełek unosił się piżmowy dym, klientów wabiła zaścielająca nie tylko podłogę sztuczna angora w szkarłatnych i zielonkawo-niebieskich odcieniach.

Zbliżając się do końca lokalu, Doc usłyszał dobiegające z zewnątrz głośne wrzaski i potężne dudnienie harleyów.

– Oho. Co to takiego?

Nie dowiedział się tego. Być może wszystkie te egzotyczne doznania sprawiły, że mniej więcej w tym samym momencie Doc stracił nagle przytomność i na bliżej nieokreślonej części dnia urwał mu się film. Być może padając, uderzył się o jakiś banalny przedmiot i to właśnie spowodowało powstanie bolesnego guza, który odkrył na głowie, kiedy się wreszcie ocknął.

Niemniej jednak szybciej, aniżeli pielęgniarka w serialu *Medical Center* wypowiada słowa „krwiak podtwardówkowy”, Doc zorientował się, że niemodna muzyczka ucichła, a poza tym znikła Jade, znikła Bambi, a on leży na betonowej podłodze w pomieszczeniu, którego nie zna. Tego samego nie można było jednak powiedzieć o plamie połyskującej nad nim złowrogo niczym pechowa planeta w horoskopie i w której rozpoznał facjatę porucznika Wielkiej Stopy Bjornsen z policji Los Angeles.

– Moje gratulacje, hipisowski ścierwojadzie – przywitał go Bjornsen swoim aż nadto znajomym wysokooktanowym głosem. – Witaj w świecie zgryzoty. Tym razem wygląda na to, że wdepnąłeś w zbyt głębokie gówno, żeby psim śwędem udało ci się z tego jakoś wykaraskać. – W rękę trzymał i co jakiś czas pogryzał mrożonego banana w czekoladzie, który stanowił coś w rodzaju jego znaku firmowego.

– Siemasz, Wielka Stopo. Mogę prosić o gryza?

– Jasne, ale będziesz musiał poczekać. Zostawiliśmy rotweilera na posterunku.

– Nie pali się. A... gdzie się w tej chwili znajdujemy?

– Na terenie Channel View Estates, w miejscu, gdzie członkowie jakiejś zdrowej rodziny będą się wkrótce gromadzili wieczorami, by pooglądać telewizję, pochrupać pożywne przekąski, a po położeniu dzieci spać zając się nawet prokreacyjną grą wstępną, nie zdając sobie sprawy, że w tym samym miejscu leżał kiedyś zaćpany do nieprzytomności niegodziwy sprawca, belkocząc coś niekoherentnie do detektywa z wydziału zabójstw, który aresztował go i zdążył tymczasem zyskać sławę.

Z miejsca, w którym się znajdowali, nadal widać było bramę wjazdową. Między belkami konstrukcji Doc dostrzegł w popołudniowym słońcu fundamenty czekające, aż ktoś postawi na nich domy, a także rowy na kanalizację i kable, szlabany z migającymi na nich, mimo jasnego dnia, światełkami, betonowe kanały burzowe, sterty ziemi, buldożery i koparki.

– Nie chciałbym cię popędzać – kontynuował porucznik – ale kiedy tylko poczujesz się na siłach, będziemy chcieli z tobą pogadać. – Kręcący się w pobliżu mundurowi zarechotali z uznaniem.

– Nie wiem, co się stało, Wielka Stopo. Ostatnie, co pamiętam, to ten salon masażu. Azjatycka laska o imieniu Jade. I jej biała koleżanka Bambi.

– Bez wątpienia żałosne wytwory mózgu uwędzonego w oparach marihuany.

– A jeśli na przykład tego nie zrobiłem? Cokolwiek to jest?

– Jasne.

Pogryzając mrożonego banana, Wielka Stopa patrzył rozbawiony, jak jego rozmówca przystępuje do niełatwej operacji powrotu do pozycji pionowej, po zakończeniu której musiał się jeszcze zająć takimi drobiazgami, jak pozostanie w tej pozycji, postawienie pierwszego kroku i tak dalej. Wtedy mniej więcej Doc dostrzegł ekipę medyków i zakrwawione ludzkie ciało leżące niczym nieupieczony święteczny indyk na wózku, z twarzą przykrytą tanim policyjnym kocem. Z kieszeni trupa nadal wypadły różne przedmioty, które gliniarze podnosili na czworakach z ziemi. Doc zorientował się, że robi mu się niedobrze, jeśli chodzi o żołądek i gdzie indziej.

Wielka Stopa uśmiechnął się drwiąco.

– Owszem, jestem niemal w stanie współczuć ci jako cywilowi, choć gdybyś był prawdziwym facetem, a nie pozbawionym jaj, migającym się przed poborem hipisem, napatrzyłbyś się dość takich rzeczy w Wietnamie, by spoglądać z podobnym do mojego profesjonalnym znudzeniem na kolejnego, jak ich nazywamy, sztywniaka, którym trzeba się zająć.

– Kto to jest? – zapytał Doc, wskazując zwłoki.

– Kto to był, Sportello. Tu, na ziemi, mówimy „był”. Poznaj Glena Charlocka, o którego przed kilkoma godzinami wypytywałeś, co potwierdzą pod przysięgą świadkowie. Zapominalscy narkomani powinni bardziej uważać, z kim urzeczywistniają swoje chore fantazje. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że postanowiłeś ukatrupić osobistego ochroniarza raczej wpływowej osoby, jaką jest Mickey Wolfmann. Dzwoni ci coś w mózgownicy? Czy może w twoim przypadku powinienem raczej zapytać, czy słyszysz dźwięk tamburynu? Oto nasz środek lokomocji.

– Ale... mój samochód...

– Podobnie jak jego właściciel zostanie zatrzymany.

- Ostro pogrywasz, Wielka Stopo, nawet jak na ciebie.
- Daj spokój, Sportello, wiesz, że z przyjemnością cię podwieziemy. Uważaj na głowę.
- Uważać na... Jak mam to zrobić, człowieku?

*

Nie pojechali do śródmieścia, lecz zgodnie z policyjnym protokołem, którego zasad Doc nigdy nie potrafił zgłębić, do komisariatu w Compton, gdzie zatrzymali się na parkingu obok poobijanego chevroleta el camino rocznik 68. Wielka Stopa wysiadł z radiowozu, obszedł go i otworzył bagażnik.

– Chodź, Sportello, pomóż mi to wyjąć.

– Co to jest, przepraszam, do kurwy nędzy? – zdumiał się Doc.

– Szpula drutu kolczastego – wyjaśnił Wielka Stopa. – Czteryście pięćdziesiąt jardów czterokrotnie galwanizowanego autentycznego drutu Gliddena. Możesz wziąć z tej strony?

Szpula ważyła około stu funtów. Gliniarz, który siedział za kierownicą radiowozu, patrzył, jak wyjmują ją z bagażnika i kładą na skrzyni chevroleta należącego, jak zapamiętał Doc, do Bjornseny.

– Tam, gdzie mieszkasz, masz problemy z żywym inwentarzem, Wielka Stopo?

– Och, nikt nie używa takiego drutu, żeby coś naprawdę ogrodzić, zwariowałeś? Ma siedemdziesiąt lat, jest w idealnym stanie...

– Poczekaj. Kolekcjonujesz... drut kolczasty?

Jak się okazało, również ostrogi, uprząż, kowbojskie sombrera, obrazki z saloonów, gwiazdy szeryfa, odlewy pocisków, wszelkiego rodzaju akcesoria z Dzikiego Zachodu.

– Oczywiście, pod warunkiem, że nie masz nic przeciwko, Sportello.

– Spokojnie, wesoły ranczerze, za nic w świecie nie chciałbym, żeby zmniejszyła się liczba kolekcjonerów drutu kolczastego. To, co człowiek pakuje do swojego pick-upu, to jego sprawa.

– Mam nadzieję parsknął Wielka Stopa. – Chodź, zobaczymy, czy jest jakiś wolny pokój przesłuchań.

Znajomość Doca z Wielką Stopą, która zaczęła się od drobnych incydentów z narkotykami, zatrzymań i rewizji przy Sepulveda Boulevard, a także od wielokrotnych napraw drzwi, nabrała rumieńców przed kilku laty w związku ze sprawą Lunchwatera, kolejnymi małżeńskimi brudami, którymi zajmował się wówczas Doc. Mąż, urzędnik skarbowy, któremu wydawało się, że zdobędzie tanio dowody niewierności żony, wynajął Doca, by ją śledził. Po kilku dniach wystawania pod domem kochanka Doc zdecydował, że wejdzie na dach i zajrzy przez świetlik do mieszczącej się niżej sypialni. Odbywające się tam czynności okazały się jednak tak rutynowe – może i figo, lecz w bardzo małym stopniu fago – że postanowił z nudów zapalić. Skręt, którego wyjął po ciemku z kieszeni, miał silniejsze działanie nasenne, niż się spodziewał, i Doc dość szybko usnął, po czym na pół sturlał się, na pół zsunął po nachylonych czerwonych dachówkach i utkwiał z głową w rynnie, gdzie udało mu się przespać następne wydarzenia, w tym przybycie rogacza, dzikie wrzaski oraz strzelaninę tak głośną, że sąsiedzi wezwali policję. Wielka Stopa, który patrolował przypadkiem pobliskie ulice, znalazł trupy męża i kochanka oraz ponętnie rozmamłaną i rozszlochaną żonę, spoglądającą na trzymaną w ręku dwudziestkędwójkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Doc nadal chrapał miło na dachu.

Wracamy do Compton, do terażniejszości.

– Interesuje nas to, co w wydziale zabójstw nazywamy „prawidłowością” – próbował wyjaśnić Wielka Stopa. – Z tego co wiemy, już po raz drugi odnaleziono cię śpiącego na miejscu poważnej zbrodni, której szczegółów nie możesz... a może raczej powinienem powiedzieć... nie chcesz nam przedstawić.

– We włosach miałem mnóstwo liści, gałązek i ptasiego gówna – przypomniał sobie nagle

Doc. Wielka Stopa pokiwał zachęcająco głową. – I była tam straż pożarna z drabiną. To chyba po niej musiałem zejść z dachu?

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Myślałem raczej o tym, co wydarzyło się dzisiaj – odrzekł lekko zniecierpliwiony Wielka Stopa. – Channel View Estates, salon masażu Chick Planet, te sprawy.

– Aha. No cóż, byłem nieprzytomny, człowieku.

– Tak. Tak, ale przedtem doszło do twojego niefortunnego spotkania z Glenem Charlockiem... kiedy twoim zdaniem to dokładnie było, w kolejności wydarzeń?

– Mówiłem ci, że kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, był już martwy.

– W takim razie pomówmy o jego kolegach. Z iloma zawarłeś już bliższą znajomość?

– To nie są faceci, z którymi normalnie się stykam. Zupełnie nie ten narkotykowy profil, za dużo prochu, za dużo speedu.

– Wy, trawiarze, tak się wywyższacie. Chcesz powiedzieć, że obraża cię skłonność Glena do barbituratów i amfetaminy?

– Jasne, zamierzałem złożyć na niego skargę w komisji etyki i standardów zażywania.

– Poza tym twoja była dziewczyna, Shasta Fay Hepworth, jest, jak wiemy, bliską przyjaciółką pracodawcy Glena, Mickeya Wolfmanna. Myślisz, że Glen i Shasta... no, wiesz... – Bjornsen rozluźnił pięść, wsunął w nią środkowy palec drugiej dłoni i kilka razy powtórzył tę czynność. Zdaniem Doca trwało to zdecydowanie zbyt długo. – Jak się czujesz, będąc z nią nadal emocjonalnie związany i widząc ją w towarzystwie tych wszystkich faszystowskich szumowin?

– Poćwicz to jeszcze trochę, Wielka Stopo, chyba mi staje.

– Pierdolony mały makaroniarz, jak zwykł mawiać mój ulubiony Fatso Judson.

– Gdybyś zapomniał, poruczniku, ty i ja działamy prawie w tej samej branży, tyle że ja nie mam prawa zabijać bez przerwy ludzi i tak dalej. Ale gdybym to ja siedział na twoim miejscu, pewnie zachowywałbym się podobnie, być może wygłosiłbym kilka uwag na temat mojej matki. To znaczy twojej matki, ponieważ ty byłbyś wtedy na moim miejscu. Dobrze kombinuję?

Dopiero w godzinach szczytu pozwolili Docowi zadzwonić do adwokata, Sauncha Smilaxa. Sauncho pracował w kancelarii prawa morskiego Hardy'ego, Gridleya i Chatfielda w Marinie i jego doświadczenie w sprawach karnych było niewielkie. On i Doc spotkali się przypadkiem w Food Giant przy Sepulveda. Sauncho, wtedy początkujący ćpun, dowiedział się, że trzeba usuwać z towaru nasiona i łodyżki, i miał właśnie zamiar zakupić sito do mąki, gdy uświadomił sobie, że ludzie przy kasie zgadną, do czego jest mu potrzebne sito do mąki, i zawiadomią policję. Przerażony zastygł w bezruchu i wtedy właśnie Doc, cierpiący na ostry nocny niedobór czekolady, wyjechał z alejki batonów i uderzył swoim wózkiem w jego wózek.

Pod wpływem uderzenia w Saunchu obudził się prawnik.

– Hej, czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli dla niepoznaki dorzucę do pańskich rzeczy to sito?

– Jasne – odparł Doc. – Ale skoro już wpadłeś w paranoję, co powiesz na całą tę czekoladę, człowieku?

– Ach... W takim razie może dołożymy jeszcze więcej, no, wie pan, niewinnie wyglądających artykułów?

Kiedy dotarli do kasy, w koszyku uzbierało się towaru za sto dolarów. Było tam pół tuzina obowiązkowych pudełek z ciasteczkami bankietowymi, galon guacamole, kilka gigantycznych torebek chipsów tortilla, skrzynka firmowej oranżady jeżynowej, większość rzeczy, które znajdowały się w lodówce z mrożonymi deserami Sara Lee, żarówki i proszek do prania, by zyskać wiarygodność w oczach zwykłych, oraz po spędzeniu chyba paru godzin w dziale międzynarodowym kilka rodzajów wyglądających zachęcająco, pakowanych

próżniowo japońskich pikli. W którymś momencie Sauncho wspomniał, że jest adwokatem.

– W dechę. Ludzie zawsze mi powtarzają, że potrzebuję „adwokata kryminalnego”, co, bez urazy, ale sam rozumiesz...

– Właściwie jestem adwokatem marynistą.

Doc zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Jesteś... marynarzem, który praktykuje prawo? Nie, poczekaj... jesteś prawnikiem, który broni tylko marynarzy?

W trakcie prostowania tych zawilosci Doc dowiedział się, że Sauncho ukończył właśnie wydział prawa na Uniwersytecie Południowej Kalifornii i jak wielu byłych studentów, którym trudno porzucić akademickie nawyki, mieszka tuż przy plaży... jak się okazało, niedaleko od niego.

– Może daj mi lepiej swoją wizytówkę – powiedział. – Nigdy nic nie wiadomo. Zderzenia łodzi, wycieki oleju, cokolwiek.

Sauncho nigdy oficjalnie nie otrzymał od niego honorarium, ale po kilku panicznych nocnych telefonach od Doca zaczął przejawiać nieoczekiwane talenty w negocjacjach z poręczycielami kaucji i urzędnikami komisariatów w okolicy Southland i któregoś dnia obaj zdali sobie sprawę, że stał się, jak to mówią, *de facto* adwokatem Doca.

Sauncho odebrał teraz telefon w stanie lekkiego wzburzenia.

– Doc! Masz włączony telewizor?

– Wszystko, co mam, to prawo do trzyminutowej rozmowy, Saunch. Trzymają mnie w Compton. To znowu Wielka Stopa.

– Tak, oczywiście, oglądam właśnie kreskówki, rozumiesz, i ten Kaczor Donald naprawdę mnie wkurza.

Sauncho nie miał zbyt wielu osób, z którymi mógłby pogadać, i Doc zawsze był dla niego łatwym celem.

– Masz długopis, Saunch? Podam ci teraz numer sprawy, postaraj się go zapisać.

Doc zaczął czytać numer, naprawdę wolno.

– Mamy tu Donalda i Goofy’ego, rozumiesz, siedzą na tratwie ratunkowej, która dryfuje po morzu chyba przez długie tygodnie i po jakimś czasie na zbliżeniach Donalda widać, że ma zarost. Że rosną mu małe włoski na dziobie! Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

– Może znajdę później chwilkę, żeby się nad tym zastanowić, Saunch, ale tymczasem mam tu Wielką Stopę, który wlepią we mnie te swoje gały, więc jeśli mógłbyś powtórzyć ten numer...

– Mamy zafiksowany w głowie obraz Kaczora Donalda, zakładamy, że tak właśnie wygląda w normalnym życiu, tymczasem w rzeczywistości musi codziennie iść i golić dziób. Myślę, że to robota Daisy. Rozumiesz, co to oznacza? Wyobrażasz sobie, ile innych wymagań dotyczących wyglądu stawia mu ta cizia?

Wielka Stopa stał, gwiżdżąc przez zęby jakąś melodię country. Doc, porzuciwszy w końcu wszelką nadzieję, odłożył słuchawkę.

– Na czym to stanęliśmy? – mruknął porucznik, udając, że zagląda do notatek. – Podczas gdy podejrzany... o tobie mowa... zażywał, jak twierdzi, popołudniowej drzemki, stanowiącej nieodłączny atrybut jego hipisowskiego stylu życia, w pobliżu Channel View Estates doszło do pewnego incydentu.

Padły strzały. Kiedy opadł bitewny pył, znaleźliśmy trupa niejakiego Glena Charlocka. Co ważniejsze dla policji Los Angeles, zaginął Michael Z. Wolfmann, człowiek, którego miał strzec ów Charlock, co daje miejscowym organom prawa i porządku niespełna dwadzieścia cztery godziny do chwili, kiedy federalni uznają, że mamy do czynienia z porwaniem, i wkroczą, żeby wszystko spieprzyć. Być może, Sportello, mógłbyś temu zapobiec, podając nazwiska innych członków twojej sekty? Pomogłoby to nam w wydziale zabójstw i dało ci szansę w toczącym się starym procesie.

– Sekty?

– „Los Angeles Times” nieraz określił mnie mianem renesansowego detektywa – oznajmił skromnie Wielka Stopa – co oznacza, że można o mnie powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jestem głupi. A ponieważ *noblesse oblige*, rozszerzam teraz to domniemanie na ciebie. W gruncie rzeczy nikt nie byłby tak głupi, by spróbować to zrobić w pojedynkę. Co oznacza, że mamy tu do czynienia z jakimś spiskiem w stylu Mansona. Chyba się zgodzisz?

Po niespełna godzinie podobnych dywagacji, ku zaskoczeniu Doca, w progu nagle pojawił się Sauncho i z miejsca naskoczył na Wielką Stopę:

– Wie pan, poruczniku, że nie ma pan żadnych dowodów, więc jeśli chce mu pan postawić zarzuty, niech pan to lepiej zrobi. W przeciwnym razie...

– Sauncho! – wrzasnął Doc. – Może byś tak się przymknął! Pamiętaj, kto to jest, jaki bywa wrażliwy... Wielka Stopo, nie zwracaj na niego uwagi, facet ogląda za dużo dramatów sądowych.

– Tak się składa – zaczął detektyw Bjornsen, tocząc dokoła posepnym spojrzeniem, które miało świadczyć o jego pogodnym usposobieniu – że moglibyśmy pewnie pójść z tym do sądu, lecz znając nasze parszywe szczęście, ława przysięgłych będzie się w dziewięćdziesięciu procentach składała z szurniętych hipisów plus jakiegoś długowłosego sympatyka zastępcy prokuratora okręgowego, którzy i tak wszystko spieprzą.

– Jasne, chyba że udałoby wam się zmienić miejsce rozprawy – zadumał się Sauncho. – Hrabstwo Orange byłoby na przykład całkiem...

– Przypomnij sobie, Sauncho, dla którego z nas dwóch pracujesz?

– Nie nazwałbym tego pracą, Doc. Klienci płacą mi za pracę.

– Zatrzymaliśmy go dla jego własnego dobra – wyjaśnił Wielka Stopa. – Jest zamieszany w głośne zabójstwo oraz możliwe porwanie i kto wie, czy sam nie będzie następnym? Być może sprawcą okaże się ktoś, kto ze szczególnym upodobaniem morduje hipisów, chociaż jeśli Sportello jest na jego liście, możemy mieć w moim przypadku konflikt interesów.

– Ooch, Wielka Stopo, nie chcesz chyba powiedzieć, że... jeśli mnie stukną, pomyśl, ile się natrudzisz, żeby znaleźć kogoś nowego, na kim mógłbyś się wyżywać.

– Co to za kłopot? Wychodzę stąd, wsiadam do radiowozu i po przejechaniu dowolnej przecznicy spotykam wielkie stado podobnych do ciebie jak dwie krople wody szurniętych hipisów, wszystkich świetnie nadających się do nękania.

– To żenujące – stwierdził Sauncho. – Może wy dwaj powinniście się spotkać gdzieś poza pokojem przesłuchań?

Zaczęły się lokalne wiadomości i wszyscy przeszli do sali odpraw, żeby je obejrzeć. Na ekranie widać było Channel View Estates – żałośnie wyglądający placyk zastawiony przez pancerną dywizję radiowozów z migającymi światłami, siedzących na błotnikach i popijających kawę gliniarzy i w końcu zbliżenie na Wielką Stopę Bjornsena z nazelowanymi, by nie potargał ich wiatr, włosami.

„Najwyraźniej jakaś grupa cywili – wyjaśniał na wizji – brała tu udział w ćwiczeniach, przygotowując się do walki z miejską partyzantką. Mogli dojść do wniosku, że niezasiedlone jeszcze budynki stanowią dość realistyczne tło, by rozegrać to, co musimy uznać za nieszkodliwy patriotyczny scenariusz”.

Trzymająca w ręku mikrofon japońsko-amerykańska ślicznotka odwróciła się twarzą do kamery.

„Tragicznym zrzędzeniem losu – dodała – użyto nieopatrznie ostrej amunicji i w trakcie tych gier wojennych poniósł śmierć były więzień. Doszło także do tajemniczego zaginięcia potentata budowlanego, Michaela Wolfmanna. Policja zatrzymała i przesłuchuje kilku podejrzanych”.

Przerwa na reklamy.

– Poczekaj chwilę – powiedział detektyw Bjornsen, jakby głośno myślał. – To mi nasunęło

pewien pomysł. Myślę, Sportello, że powinienem cię jednak wykopać.

Doc skrzywił się, lecz potem zdał sobie sprawę, że gliniarze określają tym słowem zwolnienie z aresztu. Wielka Stopa liczył pewnie, że taki krok nie ujdzie uwagi prawdziwych sprawców. A poza tym będzie miał pretekst, by go śledzić, jeżeli jest coś, o czym Doc mu nie powiedział.

– Chodź, Sportello, przejedziemy się.

– Ja pooglądam trochę telewizję – stwierdził Saunch. – Pamiętaj, Doc, że wystawię ci fakturę za piętnaście minut.

– Dzięki, Saunch. Zapisz to na mój rachunek.

Wielka Stopa wziął z parkingu śmierdzącego na milę policją plymoutha z literką E oznaczającą zwolnienie z opłaty rejestracyjnej. Godziny szczytu już się kończyły i z wyciem syreny pomknęli Hollywood Freeway aż do przełęczy Cahuenga, z której zjechali w Dolinę.

– Co się dzieje? – zapytał po jakimś czasie Doc.

– Z grzeczności zabieram cię na nasz parking, żebyś mógł odebrać swój pojazd.

Sprawdziliśmy go przy użyciu najnowocześniejszych narzędzi, jakie ma do dyspozycji kryminalistyka, i poza marihuaną w ilości, która wystarczyłaby przeciętnej czteroosobowej rodzinie pozostawać przez rok w narkotykowym transie, nie znaleźliśmy nic obciążającego. Jesteś czysty. Żadnych śladów krwi ani zderzenia, które moglibyśmy wykorzystać. Gratuluję.

Doc miał generalnie zwyczaj niczym się nie przejmować, ale kiedy ktoś czepiał się jego bryki, reagował jak typowy Kalifornijczyk.

– Ja też ci gratuluję, Wielka Stopo.

– Zdenerwowałem cię?

– Nikt nie będzie zarzucał mojemu samochodowi, że jest mordercą.

– Przepraszam, to znaczy, że twój pojazd jest jakimś... wegetariańskim pacyfistą? Kiedy robale rozbijają się o jego przednią szybę, dręczą go... wyrzuty sumienia? Słuchaj, znaleźliśmy go tuż nad trupem Charlocka, na chodzie, ale staraliśmy się nie wyciągać pochopnych wniosków. Może chciał zastosować sztuczne oddychanie.

– Sądziłem, że Glena zastrzelono.

– Tak czy inaczej, ciesz się, że twój samochód jest czysty. Benzydyna nie kłamie.

– Owszem... ale jestem po niej trochę pobudzony. Ty nie?

– Nie mówię o tej z „r” w środku. – Wielka Stopa za każdym razem dawał się podpuścić.

– Oho, niedługo będzie zjazd do Canoga Park, chciałem ci tam coś szybko pokazać.

Zjechawszy z autostrady, Wielka Stopa, nie sygnalizując swego zamiaru, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, przejechał pod estakadą i ruszył serpentynami pod górę. Miejsce, w którym się w końcu zatrzymali, wyglądało jak typowe odludzie, gdzie przestępca ginie podczas próby ucieczki. Doca trochę to zdenerwowało, lecz okazało się, że Wielka Stopa ma go chyba zamiar zwerbować.

– Nikt nie wie, co będzie za rok albo za dwa, ale w tym momencie Nixon ma klucze od sejfu i nie żałuje szmalu na wszystko, co ma związek z lokalnymi siłami ładu i porządku. Dotacje federalne przekraczają liczby, które potrafisz sobie wyobrazić i które dla większości hipisów nie sięgają tego, ile jest uncji w kilogramie.

– Trzydzieści pięć i... ileś tam dziesiątych, wszyscy to wiedzą. Chwileczkę, Wielka Stopo, masz na myśli historie, które pokazują w serialu *Mod Squad*? Miałbym zakablować wszystkich, których kiedykolwiek spotkałem? Od tak dawna się spotykamy, a ty nadal tak słabo mnie znasz?

– Zdziwiłbyś się, ilu członków twojej własnej hipisowskiej społeczności korzysta z naszego funduszu specjalnego. Zwłaszcza pod koniec miesiąca.

Doc przyjrzał się uważnie Bjornsenowi. Fikuśne bokobrody, głupawe wąsy, włosy, które przyszyty był w jakiejś założonej na zadupiu szkole fryzjerów i które w zdecydowany sposób odbiegały od wszystkiego, co współcześnie określano jako modne. Zupełnie jakby

występował w jednym z odcinków *Adam-12*, w którym rzeczywiście zagrał raz albo dwa. Doc wiedział teoretycznie, że gdyby z jakiegoś powodu, którego nie potrafił sobie w tym momencie wyobrazić, chciał zobaczyć innego Bjornsen, poza kamerą, poza służbą – z tego co wiedział, żonatego i z gromadką dzieci – powinien patrzeć w głąb i nie zwracać uwagi na wszystkie te przygnębiające szczegóły.

– Jesteś żonaty, Wielka Stopo? – zapytał.

– Przykro mi, nie jesteś w moim typie. – Bjornsen uniósł dłoń, żeby pokazać ślubną obrączkę. – Wiesz, co to jest, czy też coś takiego nie istnieje na Planecie Hipisów?

– I... masz może dzieci?

– Mam nadzieję, że to nie jest jakaś zawoalowana hipisowska groźba.

– Chodzi tylko o to, że... kurczę, Wielka Stopo, czy to nie dziwne? Obaj posiadamy tajemniczą moc, pozwalającą nam zepsuć sobie nawzajem dzień, a właściwie nic o sobie nie wiemy.

– To było naprawdę głębokie, Sportello. Bezmyślny bełkot ćpuna, nie mam co do tego wątpliwości, a mimo to zdefiniowałeś właśnie najgłębszą istotę sił ładu i porządku! Brawo! Zawsze wiedziałem, że tkwi w tobie potencjał. No więc jak?

– Bez obrazy, ale twój portfel jest ostatnim miejscem, z którego chciałbym kiedykolwiek dostać pieniądze.

– Hej, obudź się, wydaje ci się tylko, że żyjemy szczęśliwi i naćpani w Czarodziejskim Królestwie, tak naprawdę otacza nas coś, co nazywamy „rzeczywistością”.

Cóż, Doc nie był brodaty, ale miał na nogach sfatygowane sandały z za południowej granicy, które mogły od biedy uchodzić za biblijne. Zaczął się zastanawiać, ile jeszcze niewinnych siostr i braci szatański detektyw Bjornsen przywiódł na tę górę z malowniczym widokiem i wskazując oślepienie światłem miasto, oferował wszystko, co można kupić za pieniądze.

– Nie mów, że ci się nie przydadzą. Znam powiedzenie Freak Brothers, że lepiej mieć prochy i nie mieć pieniędzy niż vice versa, i dlatego możemy z pewnością zaoferować wynagrodzenie w bardziej, jak to ująć, wziewnej formie.

– Masz na myśli...

– Sportello, spróbuj zapomnieć o zamierzchłej przeszłości, którą zaludniali niepoprawni twardziele. Żyjemy w epoce szklanych sądów. Wszystkie te składy dowodów rzeczowych w centrum zapełniły się już dawno temu i teraz mniej więcej co miesiąc policyjny wydział nieruchomości musi wynajmować kolejne powierzchnie magazynowe na odległych peryferiach. Towar poukładany jest aż po dach, wysypuje się na parking. Acapulco Gold! Panama Red! Michoacan Icepack! Nieprzeliczone kilogramy porządnej trawki, wymień tylko swoją cenę za jakąkolwiek trywialną informację, którą i tak już posiadamy. A to, czego sam nie wypalisz... jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało... zawsze możesz opchnąć.

– Dobrze, że nie werbujesz ludzi do akademickiego stowarzyszenia sportowego, Wielka Stopo, bo wpadłbyś po same uszy w gówno.

*

Nazajutrz w biurze Doc słuchał stereo z głową między głośnikami i o mało nie przegapił nieśmiałego dzwonka telefonu Princess, który nabył na targu wymiany w Culver City. Dzwonił Tariq Khalil.

– Ja tego nie zrobiłem!

– W porządku.

– Ale ja tego...

– Nikt nie mówi, że to ty, właściwie przez chwilę myśleli, że to ja. Człowieku, naprawdę mi przykro z powodu Glena.

Tariq milczał tak długo, że Doc uznał w końcu, iż odłożył słuchawkę.

– Mnie też będzie przykro – usłyszał w końcu – kiedy będę miał czas się nad tym zastanowić. W tym momencie spierdalałam stąd w podskokach. Skoro załatwili Glena, ja też jestem na celowniku. Powiedziałbym, że to proste jak bambus, ale wy, kochani, tak łatwo się obrażacie.

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie mógłbym...

– Lepiej się nie kontaktować. To nie jest jakaś banda kretynów w rodzaju policji Los Angeles, to naprawdę wredne skurwysyny. I jeśli chcesz usłyszeć dobrą radę...

– Tak, miej oczy z tyłu głowy, jak pisze stale Sidney Omarr w gazecie. Ty też.

– *Hasta luego*, biały człowieku.

Doc zrobił skręta i już miał zamiar go zapalić, kiedy telefon znowu zadzwonił. Tym razem był to Bjornsen.

– Wysłaliśmy mądralę z Akademii Policyjnej pod ostatni znany adres Shasty Fay Hepworth. Zwykła rutynowa wizyta i zgadnij co się stało?

O kurwa nie. Tylko nie to.

– Och, przepraszam, zdenerwowałam cię. Spokojnie, w tym momencie wiemy tylko, że zniknęła, podobnie jak jej chłopak Mickey. Czy to nie dziwne? Nie sądzisz, że istnieje jakiś związek? Że na przykład uciekli razem?

– Wielka Stopo, czy nie możemy przynajmniej raz spróbować podejść do tego profesjonalnie? Żebym nie musiał cię wyzywać, mówiąc „nie wiem, ty mały cholerny podlec”, czy coś podobnego?

– Masz rację... tak naprawdę wkurzają mnie federalni i wyładowują się na tobie.

– Przepraszasz mnie, Wielka Stopo?

– Słyszałeś, żebym to kiedykolwiek robił?

– Hmm...

– Gdyby przyszło ci do głowy, dokąd mogli... och, przepraszam, dokąd ona mogła wyjechać, nie omieszkaż mi o tym powiedzieć, prawda?

W nadmorskiej społeczności istniał pewien stary przesąd, podobny do wiary surfera, że spalenie deski przyniesie niesamowite fale. Trzeba było wziąć bibułkę, napisać na niej najskrytsze pragnienie, a potem zrobić skręta z najlepszego zioła, jakie można znaleźć, wypalić go całego i pragnienie miało się spełnić. Ważna była również uwaga i koncentracja, ale większość znanych Docowi ćpunów ignorowało ten warunek.

Pragnienie było proste: żeby Shaście nic się nie stało. Trawką był pewien hawajski towar, który Doc odłożył na specjalną okazję – w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć jaką. Zajarał. Kiedy szykował się, żeby wziąć skręta w szczypczyki, telefon zadzwonił po raz kolejny i miał jedną z tych chwil roztargnienia, kiedy nie mógł sobie przypomnieć, jak się podnosi słuchawkę.

– Halo? – odezwał się po chwili kobiecy głos.

– Och, czyżbym nie powiedział tego pierwszy? Przepraszam. To nie jest... nie, oczywiście, to nie może być.

– Mam pański numer od Szczupłego Ensenady ze sklepu z akcesoriami dla palaczy w Gordita Beach. Chodzi o mojego męża. Przyjaźnił się kiedyś z pańską znajomą, Shastą Fay Hepworth.

No dobrze.

– A pani nazywa się...

– Hope Harlingen. Zastanawiałam się, jak wygląda w tym momencie pański terminarz.

– Mój... aha. – Profesjonalne określenie. – Jasne, gdzie pani mieszka?

Okazało się, że na obrzeżach Torrance, między Walterią i lotniskiem, w domku z drzewem pieprzowym przy podjeździe, eukaliptusem z tyłu i widokiem na tysiące przeznaczonych do sprzedaży na pustynnym południowym zachodzie małych japońskich aut, które ustawiano obsesyjnie na rozległych asfaltowych placach, bo nie mieściły się na głównym parkingu na

Terminal Island. W domach dookoła słychać było grające telewizory i zestawy stereo. Drzewa przesiewały powietrze na zielono. Nad głowami brzęczały małe samoloty. W kuchni wisiał w plastikowej doniczce pnący figowiec, na kuchence pyrkotał gulasz warzywny, kolibry na patio wibrowały w powietrzu z dziobami w kwiatach bugenwilli i kapryfolium.

Doc, który miał nieustanny problem z odróżnianiem jednej kalifornijskiej blondynki od drugiej, trafił na niemal w stu procentach klasyczny okaz: włosy, opalenizna, sportowa gracia, wszystko z wyjątkiem słynnego na całym świecie nieszczerego uśmiechu, a to z powodu sztucznej szczęki, technicznie „fałszywej”, lecz skłaniającej osoby, do których Hope od czasu do czasu się jednak uśmiechnęła, do snucia domysłów, z jakich realnych i niewesołych powodów owa proteza znalazła się w jej ustach.

– Heroina – udąa, że wyjaśnia, widząc spojrzenie Doca – wysysa z ciebie wapno niczym wampir. Po każdym dłuższym zażywaniu wypadają wszystkie zęby. Dziecko kwiat zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w ludzki wrak. Ale to nie jest jeszcze najgorsze. Po dłuższym czasie... cóż...

Wstała i zaczęła chodzić. Robiła to, żeby nie płakać, co Doc szybko docenił. Dzięki temu podawane przez nią informacje spływały w stałym rytmie. Kilka miesięcy wcześniej mąż Hope, Coy Harlingen, przedawkował według niej heroinę. Doc, choć cierpiał na syndrom amnezji ćpuna, przypomniał sobie nazwisko, a nawet jakąś relację w gazecie. Coy grał w istniejącym od początku lat sześćdziesiątych i uznawanym obecnie za pioniera elektrycznej muzyki surfowej zespole Boards, który specjalizował się ostatnio w podgatunku określanym mianem „surfodelicznego” i charakteryzującym się dysonansowym brzmieniem gitary, osobliwymi modalnościami w rodzaju wzorowanego na Dicku Dale *hijaz kar*, wyrzaskiwanymi niezrozumiale odniesieniami do sportu, radykalnymi efektami dźwiękowymi, z których zawsze słyneła muzyka surfowa, a także wokalnymi hałasami i sprzężenia mi zwrotnymi gitary i instrumentów dętych. „Nowy album Boardsów – skomentował »Rolling Stone« – mógłby skłonić Jimiego Hendricksa do ponownego wsłuchania się w muzykę surfową”.

Wkładem Coya w to, co producenci Boardsów określali skromnie mianem „Makahy Dźwięku”, było nucenie przez stroik saksofonu tenorowego lub czasami altowego melodii, którą akurat grał, tak jakby instrument był jakimś gigantycznym kazoo. Uwydatniały to następnie przetworniki i wzmacniacze firmy Barcus Berry. Do twórców, którzy wywarli wpływ na Coya, krytycy rockowi zaliczali Earla Bostica, Stana Getza i legendarnego saksofonistę tenorowego z Nowego Orleanu, Lee Allena.

– Coy był znaczącą postacią wśród saksofonistów surfowych – mówiła Hope, wzruszając ramionami – ponieważ od czasu do czasu improwizował, zamiast powtarzać wszystko nuta po nucie w drugim, a nawet trzecim refrenie.

Doc pokiwał z zakłopotaniem głową.

– Niech mnie pani źle nie zrozumie, kocham muzykę surfową, pochodzę z jej matecznika, nadal trzymam stare porysowane single Chantays, Trashmen i Halibuts, ale ma pani rację, ci surfowi saksofoniści mają na sumieniu najgorsze kiedykolwiek nagrane bluesowe kawałki.

– Nie zakochałam się w nim z powodu jego twórczości. – Powiedziała to tak rzeczowo, że Doc zerknął, czy nie zalśniły jej oczy, ale nie nadszedł jeszcze moment, w którym miały się otworzyć śluzy wdowich łez. Hope przeniosła się tymczasem myślami w przeszłość. – Coy i ja powinniśmy się poznać w słodkich okolicznościach. Słodycz wszędzie dobrze się wtedy sprzedawała, ale tak naprawę poznaliśmy się w kiblu u Oscara w San Ysidro...

– O kurczę...

Doc raz czy dwa zajrzał – i dzięki Bogu udało mu się stamtąd wyjść – do cieszącego się złą sławą Oscara, tuż przed granicą w drodze do Tijuany, gdzie w toaletach roiło się od nowych i starych ćpunów, którzy kupili towar w Meksyku, wsypali go do gumowych baloników i połknęli, a następnie wrócili do Stanów, żeby go wyrzygać.

– Wbiegłam z palcami w gardło do kabiny, nie sprawdzając nawet, czy jest zajęta, a tam siedział Coy z dolegliwościami gastrycznymi, i miał właśnie zamiar zrobić olbrzymią kupę. Oboje ulżyliśmy sobie jednocześnie, paw i gówno opryskały całąabinę, moja twarz znalazła się na jego kolanach i na domiar złego oczywiście mu stanął.

– No cóż...

– Jeszcze przed San Diego dawaliśmy sobie w żyłę na tylnym siedzeniu czyjegoś busa, a dwa tygodnie później, na podstawie interesującej teorii, że we dwójkę można ćpać za te same pieniądze co pojedynczo, wzięliśmy ślub. Potem, zanim się zorientowaliśmy, urodziła się Amethyst, i wkrótce tak właśnie przez nas wyglądała.

Hope wręczyła Docowi kilka polaroidów. Zaskoczył go wygląd dziecka, spuchniętego, czerwonego, z nieobecny wzrokiem. Nie mając pojęcia, w jakim obecnie jest stanie, poczuł, że przechodzą go ciarki.

– Wszyscy, których znaliśmy, mówili, że heroina przechodzi do mleka matki, ale kogo było stać na mleko w proszku? Moi rodzice uważali, że wpadliśmy w straszliwą niewolę, ale Coy i ja widzieliśmy tylko wolność od niekończącego się cyklu wyborów, na które skazana jest klasa średnia i które wcale nie są wyborami. Opresywny świat zredukowany został do jednego prostego problemu: jak zdobyć towar. Czym dawanie sobie w żyłę różni się od drinków, które starzy robią sobie po kolacji? – pytaliśmy.

– Właściwie kiedy sytuacja zrobiła się aż tak dramatyczna?

– Z heroiną w Kalifornii? Mój Boże. Trafiało się na nią tak często, że powinni napisać „witajcie” na każdej torebce. Ogłupiali, szczęśliwi i rozchichotani jak pierwszy lepszy pijak, krążyliśmy po okolicy, wybierając przypadkowe domy, pytając, czy możemy skorzystać z łazienki, wchodząc tam i dając sobie w żyłę. Teraz to oczywiście niemożliwe, Charlie Manson i jego banda spieprzyli to dla wszystkich. Skończył się pewien rodzaj niewinności, ta cecha zwykłych ludzi, która nie pozwalała im do końca nienawidzić, autentyczna potrzeba, żeby pomóc. Z tym już chyba koniec. Kolejna tradycja Zachodniego Wybrzeża spłynęła do kibla razem z trzyprocentowym towarem.

– Więc... to, co przydarzyło się pani mężowi...

– To nie mogła być kalifornijska hera. Coy nie popełniłby takiego błędu, nie zażyłby tej samej ilości bez sprawdzenia. Ktoś musiał celowo zamienić torebki, wiedząc, że to go zabije.

– Co to był za dealer?

– El Drano z Venice. Właściwie Leonard, ale wszyscy używali tego anagramu, bo miał taką kaustyczną osobowość. A także z powodu tego, jak oddziaływał na finanse i emocje tych, którzy go otaczali. Coy znał go od wielu lat. El Drano przysięgał potem na wszystkie świętości, że to był miejscowy towar, nic odbiegającego od normy. Ale co to może obchodzić dealera? Przedawkowanie jest dobre dla interesów, nagle zaczynają do ciebie przychodzić hordy ćpunów przekonanych, że jeśli ktoś wykitował, to musiało być naprawdę dobre kurewstwo i trzeba tylko uważać i nie wstrzyknąć sobie za dużo.

Doc zauważył kilkuletnie dziecko, które obudziło się cicho z drzemki i trzymając się klamki, obserwowało ich z szerokim wyczekującym uśmiechem. W ustach miało już kilka ząbków.

– Hej – rzucił. – Jesteś Amethyst, prawda?

– Tak – odparła Amethyst, jakby miała zamiar dodać: „A co to cię obchodzi?”.

Jasnooka i gotowa do zabawy nie przypominała raczej dziecka narkomanów ze zdjęć zrobionych polaroidem. Zły los, który mógł ją czekać, musiał chyba cierpieć na deficyt uwagi, bo odwrócił się i zajął kimś innym.

– Miło cię poznać – powiedział Doc. – Naprawdę miło.

– Naprawdę miło – powtórzyła. – Mamo? Chcę soku.

– Wiesz, gdzie jest, Soczku-Loczku.

Amethyst pokiwała energicznie głową i podreptała do lodówki.

- Mogę cię o coś zapytać, Doc?
- Jasne, pod warunkiem, że nie o stolicę Dakoty Południowej.
- Ta wspólna znajoma, którą macie ty i Coy... To znaczy mieliście. Czy ona jest twoją byłą, czy tylko chodziliście ze sobą, czy...?

Komu, kto nie był uwalony, zazdrosny albo nie pracował jako gliniarz, Doc musiał mówić o tych rzeczach? Amethyst znalazła czekający w lodówce kubek z sokiem i wdrapała się obok niego na sofę, gotowa do wysłuchania jakiejś historii. Hope dołała kawy. W pokoju zrobiło się nagle zbyt miło. Doc nie nauczył się w swojej branży zbyt wielu rzeczy, ale jedną z nich było to, że życzliwość bez karteczki z ceną zdarza się bardzo rzadko, a kiedy to się dzieje, jest na ogół zbyt drogocenna, by ją przyjąć, łatwo można bowiem jej nadużyć. Zbyt łatwo on w każdym razie mógł jej nadużyć. Ograniczył się więc do krótkiej odpowiedzi:

– Kimś w rodzaju byłej, lecz teraz jest również klientką. Obiecałem jej, że coś zrobię, ale trochę z tym zwlekałem i teraz osoba, z którą jest, jakiś szemrany deweloper, ma kłopoty. Gdybym się zajął tym od razu...

– Jako osoba, która zjadła na tym zęby, powiem, że tylko przez pewien czas można krążyć po zaułkach żalu. Potem trzeba wrócić na autostradę – poradziła mu Hope.

– Rzecz w tym, że teraz zaginęła także Shasta. A jeśli ona ma kłopoty...

Amethyst, uświadomiwszy sobie, że nie ma to nic wspólnego z jej wyobrażeniem rozrywki, zlała z sofy, rzuciła Docowi pełne pretensji spojrzenie znad soku i poszła do sąsiedniego pokoju pooglądać telewizję. Wkrótce usłyszeli dramatyczne piski Mighty Mouse.

– Skoro zajmuje się pan tą inną sprawą... albo jeszcze czym innym, zrozumieć. Ale chciałam z panem porozmawiać, ponieważ... – dodała Hope i Doc domyślił się, co chce powiedzieć, zanim dokończyła zdanie – ... nie sądzę, żeby Coy naprawdę zmarł.

Doc pokiwał głową, bardziej do siebie niż do Hope. Według Sortilege, astrologicznie rzecz biorąc, żyją w ciężkich czasach dla narkomanów, zwłaszcza tych w wieku licealnym, którzy urodzili się, kiedy Neptun, planeta ćpunów, znajdował się w kwadraturze, czyli najgorszej możliwej pozycji, do Urana, planety przykrych niespodzianek. Wiedział, że ludzie często nie przyjmują do wiadomości, że ci, których kochali albo z którymi chodzili tylko na jakieś kursy, naprawdę nie żyją. Przytaczają najróżniejsze alternatywne historie wyłącznie po to, by udowodnić, że to nieprawda. Pojawiła się jakaś jego dawna przyjaciółka i razem uciekli. W szpitalu pomylili go z kimś innym tak samo, jak na porodówce zamieniają dzieci, i nadal leży na oddziale intensywnej opieki. Był to szczególnie rodzaj chaotycznego zaprzeczenia i Doc widział takie przypadki wystarczająco często, by umieć rozpoznać objawy. U Hope ich nie rozpoznał.

– Zidentyfikowała pani ciało? – Uznał, że może o to zapytać.

– Nie. To było niezwykle. Osoba, która zadzwoniła, powiedziała, że zrobił to już ktoś z zespołu.

– Mam wrażenie, że powinien to być najbliższy krewny. Kto do pani zadzwonił?

Miała kalendarzyk z tamtego okresu i pamiętała, że sobie to zapisała.

– Porucznik Dubonnet.

– A tak, Pat Dubonnet. Raz czy dwa kontaktowaliśmy się na płaszczyźnie zawodowej.

– Odniosłam wrażenie, że pana zapuszkował.

– Nie ma o czym mówić. – Hope posłała mu wymowne spojrzenie. – Jasne, miałem w życiu tę hipisowską fazę. Jeśli naprawdę naruszyłem prawo, uchodziło mi to na sucho. Zgarniali mnie za to, co nie było moją sprawką, bo mieli tylko ogólny rysopis: biały mężczyzna, długie włosy, broda, kolorowe ubranie, bose stopy i tak dalej.

– Jak rysopis Coya, który przeczytali mi przez telefon. Mógł pasować do tysiąca ludzi.

– Porozmawiam z Patem. Może coś wie.

– Wydarzyło się coś jeszcze. Niech pan popatrzy.

Hope wyjęła stary wyciąg bankowy z jej konta w lokalnym oddziale Bank of America,

wysłany wkrótce po rzekomym przedawkowaniu Coya, i wskazała saldo.

– Interesująca suma...

– Zadzwoń tam, poszłam, rozmawiałam z wiceprezesami i wszyscy upierali się, że taka ma być. „Może zgubiła pani dowód wpłaty, coś źle obliczyła”. Zwykle nie zagłada się darowanemu koniowi w zęby, ale to było niesamowite. Używali stale tych samych zwrotów, mam na myśli to, jak zaprzeczali.

– Sądzi pani, że to ma coś wspólnego z Coyem?

– To się stało zaraz po jego... jego zniknięciu. Myślałam, że ktoś chce w ten sposób spłacić dług. Związek muzyków, jakaś polisa, o której nie wiedziałam. Ale takie rzeczy nie powinny być przecież anonimowe. A tu w miesięcznym wyciągu pojawiają się te nieme liczby, a bank stara się to wyjaśnić, wymyślając jakąś głupawą historyjkę.

Doc zapisał datę wpłaty na pudełku zapalek.

– Czy jest jakaś fotografia Coya, którą mógłbym od pani dostać?

Była. Hope wyciągnęła wypełnione polaroidami pudło z monopolowego – Coy śpiący, Coy z dzieckiem, Coy gotujący heroinę, Coy zawiązujący opaskę, Coy wkłuwający się w żyłę, Coy w cieniu drzewa, udający, że boi się zainstalowanego w chevrolecie wielkiego silnika 454 Big Block, Coy i Hope siedzący w pizzerii przy plaży i udający, że walczą o ostatni kawałek, Coy i Hope idący Hollywood Boulevard w momencie, kiedy zapalają się uliczne latarnie.

– Proszę bardzo. Powinam je pewnie dawno wyrzucić, odsunąć to od siebie, prawda? Pójść dalej. Do diabła, zawsze pouczam innych. Ale Ammie je lubi, lubi, gdy je przeglądamy, opowiadam jej trochę o każdym zdjęciu i powinna chyba coś mieć, kiedy dorośnie, żeby jej przypominało. Nie sądzi pan?

– Ja? – Doc uświadomił sobie, że polaroidy nie mają negatywów, a życie odbitek jest krótkie. Już teraz zaczynały zmieniać kolor i blaknąć. – Jasne, czasami chciałbym mieć jedno zdjęcie na każdą minutę. Wynająć sobie magazyn...

Posłała mu jedno z tych spojrzeń pracownika społecznego.

– Cóż, to mogłoby być trochę... Odwiedza pan terapeutkę?

– Osoba, którą odwiedzam, jest zastępczynią prokuratora okręgowego.

– Nie, miałam na myśli... – Hope wzięła do ręki garść fotografii i udała, że układa je w jakiś znaczący sposób, kwintesencję swojego krótkiego związku z Coyem. – Nawet jeśli nie wiesz, co masz – powiedziała powoli po chwili – zachowuj się czasami tak, jakbyś wiedział. Ona to doceni i dzięki temu tobie też będzie lepiej.

Doc pokiwał głową i wziął pierwszą z brzegu fotografię, tę, na której Coy trzymał saksofon, być może podczas koncertu. Oświetlenie było nienadzwyczajne, z boku sterczały czyjeś łokcie, rękawy koszuli i gryfy gitar.

– Mogę wziąć tę?

– Jasne – odparła Hope, nawet na nią nie patrząc.

Amethyst wpadła podniecona z drugiego pokoju.

– Przybywam, żeby was ocalić! – oznajmiła.

*

Po południu tego samego dnia Doc zawędrował do domu ciotki Reet w Tree Section, gdzie zastał w garażu kuzyna Scotta Oofa z jego kapelą. Scott grał w lokalnym zespole o nazwie Corvairs do momentu, kiedy połowa grupy postanowiła dołączyć do sporej w tamtym okresie migracji na północ, do Humboldt, Vineland i Del Norte. Scott, dla którego sekwoje były gatunkiem nie z tej ziemi, oraz perkusista Elfmont postanowili zostać i tak długo chodzili po różnych szkołach, rozlepiając ogłoszenia, aż udało im się zmontować nowy zespół, który nazwali Beer. Grając głównie nowe aranżacje starych przebojów w okolicznych barach, członkowie Beer mogli teraz w miarę regularnie płacić czynsz.

W tym momencie ćwiczili, a właściwie starali się zapamiętać temat przewodni telewizyjnego westernu *Big Valley*, który ostatnio powtarzano. Na półkach garażu stały słoiki z purpurowymi wieprzowymi skórkami, niezawodną przynętą na zdeprawowane słodkowodne okonie, po którą ciotka Reet często jeździła do Meksyku, wracając z pełnym bagażnikiem. Doc nie dałby głowy, ale w ciemności skórki zawsze jakby się jarzyły.

Huey, wokalista Beer, śpiewał, a gitary rytmiczna i basowa dotrzymywały mu kroku.

*Wielka...
Dolina!*

[wstawka gitarowa]

*Wielka...
DOLINA!* [ta sama wstawka gitarowa]

*Jaka
Jest Wielka, przyjeźdź kiedyś...*

*Jedź całą noc, aż do Świtu, to zobaczysz
Wielką Dolinę! Tak! Jeszcze większą...*

*Wielką Dolinę. Nie można zdobyć towaru w...
Wielkiej Dolinie! Jasne, przecież to...*

Wielka Dolina!

– To jakby moje korzenie – wyjaśnił Scott. – Mama nienawidzi San Joaquin, aleja nie wiem, człowieku, za każdym razem, kiedy tam jadę na koncerty w Chowchilla Kiwanis czy gdzie indziej, mam to dziwne uczucie, jakbym tam kiedyś mieszkał...

– Bo mieszkałeś tam – zauważył Doc.

– Nie, mam na myśli w innym życiu, człowieku.

Doc zabrał ze sobą przezornie kilka skręconych wcześniej jointów z panamskim towarem i wkrótce wszyscy zaczęli wałęsać się po garażu, popijając oranżadę z supermarketu i zajadając domowe ciasteczka orzechowe.

– Słyszeliście może coś w rockandrollowym światku o surfowym saksofoniście, niejakim Coyo Harlingenie, który grał kiedyś w Boardsach? – zapytał Doc.

– Zdaje się przedawkował? – odparł Lefty grający na gitarze basowej.

– Tak mówią – skomentował Scott. – Ale krążą również dziwne plotki, że w rzeczywistości przeżył. Odwieźli go do jakiejś kliniki w Beverly Hills i wszyscy trzymają to w tajemnicy. Niektórzy mówią, że dostaje forszę, żeby dalej udawał, że nie żyje, i czasami chodzi między nami w przebraniu, z przefarbowanymi włosami i tak dalej...

– Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu? – zdziwił się Doc.

– No właśnie – przytaknął Lefty. – Facet nie jest jakimś przystojnym wokalistą, którego chce przelecieć każda laska, ani zajebistym gitarzystą, który zmieni na zawsze tę branżę. To zwykły saksmen, łatwo go zastąpić.

To tyle, jeśli chodzi o Coya. Co do Boardsów, zarabiali ostatnio kupę szmalu, mieszkając w domu w Topanga Canyon razem z typową świtą: fankami, producentami, teściami oraz pielgrzymami, którzy odbyli długą i trudną wędrowkę, żeby przyjęto ich w poczet domowników. Krążyły plotki, że jest wśród nich zmartwychwstały Coy Harlingen, jednak nikt nigdy nie widział żadnej osoby, która mogłaby nim być. Niektórzy mieli takie wrażenie, ale wszystko to było nieostre, jakby w oparach narkotykowej mgły.

Kiedy Doc wsiadał później do samochodu, ciota Reet wyjrzała przez okno mieszczącego się w bungalowie biura.

– Musiałeś jednak pojechać do Mickeya Wolfmanna! – wrzasnęła. – I wybrałeś odpowiedni moment. Co ci mówiłam, mądralo? Nie miałam racji? – Zapomniałem – odparł Doc.

3

Pat Dubonnet, gliniarz, który zadzwonił do Hope Harlingen, aby poinformować ją, że Coy przedawkował, był teraz wielkim *kahuną* w komisariacie w Gordita Beach. Doc znalazł za uchem zgiętego koolsa, zapalił go i zaczął analizować sytuację. Pat i Wielka Stopa zaczęli karierę mniej więcej w tym samym czasie w South Bay, praktycznie na plaży Doca, w epoce wojen Surferów z Lowriderami. Pat został, ale Wielka Stopa zyskał swoimi pacyfikacjami połączonymi z palowaniem wystarczającą sławę, by szefowie uznali go za oczywistego kandydata do awansu. Doc funkcjonował w tej branży wystarczająco długo, by wiedzieć, jak niektórzy z tych ważniaków przychodzą i odchodzą, i zauważyć, że zawsze zostawiają po sobie jakieś brudy. Wiedział również, że w gruncie rzeczy Pat od wielu lat szczerze nienawidzi Wielkiej Stopy.

Pora złożyć wizytę w kwaterze głównej hipisofobii.

Objechał dwa razy komisariat w Gordita Beach, zanim go rozpoznał. Dzięki federalnym dotacjom na zwalczanie narkotyków placówka zmieniła się radykalnie, ze stojącego przy moło małego kiosku z kuchenką na dwie spirale i słoikiem z kawą w policyjny raj z ekspresem wielkości lokomotywy, własnym miniaresztem, zmotoryzowaną kolumną bojową, która mogłaby wziąć udział w wojnie w Wietnamie, i kuchnię z pracującą na okrągło drużyną cukierników.

Przecisnąwszy się przez tropikalne diffenbachie, Żydów Wiecznych Tułaczy oraz oddział podlewających miniaturowe palmy rozszczebiotanych stażystek, Doc odnalazł Pata Dubonneta w jego gabinecie. Sięgnął do torby z frędzlami i wyjął z niej opakowany w folię przedmiot o długości mniej więcej jednej stopy.

– Proszę bardzo, Pat, specjalnie dla ciebie.

Nie zdążył nawet mrugnąć, kiedy detektyw złapał, odpakował i w jakiś sposób połknął przynajmniej połowę bułki z długą parówką, która podana została ze Wszystkimi Dodatkami.

– Strzał w dziesiątkę. Dziwne, że w ogóle mam apetyt. Swoją drogą, kto cię tu wpuścił?

– Udawałem kapusia. Nabieram ich za każdym razem, wszyscy są tacy młodzi i chyba nadal bardzo naiwni.

– Nie dość naiwni, by zostać tu dłużej, niż muszą. – Chociaż Doc nie spuszczał z oczu hot doga, jego reszta również zniknęła w tajemniczy sposób. – Popatrz na ten syf. Ostatnie zadupie. Wszyscy idą wyżej, ale zgadnij, kto za wszystkie swoje grzechy sterczy bez końca w Gordita Beach, ścigając drobnych oszustów i dzieciaki, które szprycują się pod moło prochami swoich mamusiek. Powinienem już dawno być w Zachodnim LA albo przynajmniej w wydziale Hollywood.

– Dla gliniarzy to rzeczywiście pępek świata – zgodził się Doc, kiwając ze współczuciem głową. – Ale nie wszyscy możemy być Bjornsenami, prawda?... Ups, chciałem powiedzieć, że nikt nie chciałby nim być.

Miał nadzieję, że nie posunął się za daleko, biorąc pod uwagę nie najlepszy ostatnio stan psychiczny Pata.

– W tym momencie – odparł ponuro policjant, któremu zadrżała dolna warga – zamieniłbym się nawet z nim. Tak, chętnie oddałbym to, co mam, za to, co jest za tymi drzwiczkami w programie *Idź na całość*, nawet gdyby to był zonk. Zważywszy na pozycję

Wielkiej Stopy, nie byłby to chyba najgorszy interes?

– To dziwne, Pat, bo słyszałem, że ostatnio ma kłopoty. Ale ty oczywiście wiesz to lepiej ode mnie.

Pat się skrzywił.

– Jesteś dzisiaj strasznie wścibski, Sportello. Zauważyłbym to wcześniej, gdybym nie przejmował się tak własną karierą, co jest ci z pewnością zupełnie obce. Czyżby Wielka Stopa znowu ci się naprzykrzała? Zadzwoń na gorącą linię wydziału wewnętrznego, bezpłatny numer osiemset-ZŁYGLINA.

– Nie, żebym chciał się skarżyć, poruczniku, ale zrozumiem, w jakiej musi być desperacji. Nawet najbardziej nastukany naciągacz na Hollywood Boulevard ma dość oleju w głowie, żeby omijać mnie szerokim łukiem, ale nie Wielka Stopa, o nie.

W umyśle Pata toczyła się walka między dwiema podstawowymi emocjami gliniarza: zazdrością o karierę kolegi i nienawiścią do hipisów. Zwyciężyła zazdrość.

– Wymienił jakąś konkretną sumę?

– Wspomniał o pewnych wydatkach – zaczął improwizować Doc i spostrzegł, że Pat zastrzygł uszami. – Osobistych i służbowych. Zawsze sądziłem, że jest lepiej ustawiony, odparłem na to. „Ludzie zapominają – rzucił filozoficznie. – Żebyś nie wiem ile zrobił dla nich w przeszłości, nie możesz na nich liczyć, kiedy jesteś w potrzebie”.

Pat pokręcił głową.

– Zważywszy na to, jak dużo ryzykuje... to lekcja dla nas wszystkich. Mamy w branży paru naprawdę niewdzięcznych skurwysynów, nie? – Mówiąc to, zrobił minę w stylu prowadzącego teleturniej *Va Banque*, jakby Doc miał się zaraz domyślić, którą dokładnie branżę ma na myśli.

Doc odwzajemnił mu się obojętnym hipisowskim spojrzeniem, które mogło oznaczać wszystko i które, jeśli trwało odpowiednio długo, wyprowadzało z równowagi każdego młotka w mundurze. Pat spuścił w końcu oczy.

– No tak – mruknął. – Rozumiem cię. Oczywiście dostaje te wszystkie honoraria – dodał po krótkim namyśle.

Doc w tym momencie miał bardzo mgliste pojęcie, o czym rozmawiają.

– Staram się nie zasypiać podczas tych powtórek – zaryzykował – ale jakoś zawsze odpływam, zanim pokażą Wielką Stopę.

– Po tym, jak kropnęli ochroniarza Wolfmanna, Pan z Wiadomości o Dziesiątej dostał kolejną sprawę stulecia... Niech inni zajmują się Benedict Canyon, Sharon Tate i resztą, dla odpowiedniego śledczego ta historia może się okazać niewysychającym źródłem gotówki.

– Masz na myśli...

– Cokolwiek się zdarzy, muszą o tym nakręcić film dla telewizji. Wielka Stopa może współpracować przy pisaniu scenariusza i produkcji, ten dupek może nawet zagrać samego siebie, ale cicho sza, jedenaste przykazanie: zapomnij, że to powiedziałem.

– Nie mówiąc o tym, że jeżeli uda mu się uratować Mickeya, zostanie wielkim bohaterem.

– Otóż to: jeżeli. Ale może jest za blisko tej sprawy? W pewnym momencie to zaczyna być przeszkodą. Z tego samego powodu lekarze nie powinni operować członków rodziny.

– Mickey i on tak dobrze się znali?

– Wieść niesie, że byli najlepszymi kumplami. Słuchaj, myślisz, że Wielka Stopa też jest Żydem?

– Raczej Szwedem.

– Jedno nie wyklucza drugiego – próbował się bronić Pat. – Mogą przecież być szwedzcy Żydzi.

– Słyszałem o szwedzkich śledziach – odparł Doc, starając się tylko pomóc.

4

W pewne dni jazda do Santa Monica przypominała totalny odlot bez zadawania sobie trudu związanego z zakupem i zażyciem konkretnego narkotyku, czasami jednak każdy narkotyk był z pewnością lepszy od jazdy do Santa Monica.

Tego dnia, po zdradliwie spokojnym przemknięciu w pełnym słońcu przez tereny należące do Hughes Company – czegoś w rodzaju szwedzkiego stołu potencjalnych amerykańskich stref walki, poczynając od gór i pustyni aż po moczary, dżunglę i tak dalej, upchniętych wedle miejscowych paranoików w jednym miejscu w celu dostrojenia wojskowych systemów radarowych – i po minięciu Westchester, Mariny i Venice, Doc dotarł do granicy miasta Santa Monica, gdzie zaczęło się ostatnie ćwiczenie umysłowe. Nagle znalazł się na planecie, na której wiatr może wiać jednocześnie z dwóch kierunków, niosąc mgłę znad oceanu i piasek z pustyni, co zmusza nieuważnego kierowcę do gwałtownego hamowania natychmiast po wjechaniu w obcą atmosferę, gdzie światło dnia jest wyraźnie przyćmione, widoczność ograniczona do pół przecznicy, a wszystkie kolory, w tym także sygnalizacji ulicznej, radykalnie przesunięte w widmie.

Obmacując w motoryzacyjnym sensie drogę, Doc starał się nie wzdrygać, gdy z mroku wyskakiwały dziwne zjawy w postaci miejskich autobusów i przechodniów w odmiennych stanach świadomości. Twarze miały w sobie intensywność widywaną zwykle tylko na okolicznych torach wyścigowych, ich krawędzie wydłużały się, niekiedy w bardzo drastycznych odcieniach, i często dość długo trwało, nim zniknęły z przedniej szyby. Samochodowe radio nie okazało się zbyt pomocne, odbierając wyłącznie KQAS, gdzie grali starego singla Droolin' Floyda Womacka, co do którego Doc miał zawsze mieszane uczucia, z jednej strony starając się nie traktować tekstu piosenki zbyt osobiście, bo w swoim czasie ścigał jednego albo dwóch dłużników, z drugiej zaś nie potrafiąc powstrzymać wyrzutów sumienia.

*Komornik nadchodzi
Włamuje się przez okno!
Kładzie łapy na wszystkim, co się da...
Już nie mam dziewiętnastocalowego telewizora!
Przepadła moja bryka!
Żegnaj i do widzenia,
Moje stare wideo!
Och,
Ten komornik
Nigdy mi nie odpuści
Póki nie zabierze wszystkiego, czego potrzebuję,
Żeby przeżyć...
Bo to wszystko jest na kredyt.
Nigdy nie było naprawdę moje.
Uważaj!
Komornik cię ściga!*

Zaraz po ukończeniu komunalnego college'u w Ondas Nudosas Doc Sportello, występujący wówczas pod imieniem Larry, miał kłopoty ze spłatą rat za samochód. Agencja „Mamy cię! Poszukiwania i ugody”, która się tym zajęła, zatrudniła go na stażu w charakterze windykatorka i pozwoliła odpracować w ten sposób dług. Kiedy poczuł się wystarczająco pewnie, by zapytać, jakim prawem, siedział już w tym zbyt głęboko.

– To niezła zabawa – zauważył po mniej więcej tygodniu pracy, siedząc razem z Fritzem Drybeamem w samochodzie w Resedzie, gdzie przez całą noc obserwowali dom klienta.

Fritz, który pracował w branży od dwudziestu lat i widział już wszystko, pokiwał głową.

– Żebyś wiedział. Poczekaj, aż zaczniesz dostawać „premię za ryzyko”.

Było to określenie Milтона, ich księgowego. Fritz, tak obrazowo, jak potrafił, zaczął opisywać strategie motywacyjne, o których stosowanie prosili agencję pewni klienci, najczęściej ci, którzy pożyczali na wysoki procent.

– Mam skopać komuś tyłek? I ty chcesz, żebym w to uwierzył?

– Będziesz miał prawo nosić broń.

– Nigdy w życiu nie strzeliłem z pistoletu.

– No cóż... – Fritz sięgnął pod fotel.

– Co to... co to za broń?

– To strzykawka.

– Wiem, ale czym mam ją załadować?

– Serum prawdy. Takim samym jak to, którego używa CIA. Wystarczy, że wbijesz igłę w jakiegokolwiek łatwo dostępne miejsce, i zaraz zaczynają trajkotać, jakby wzięli speeda, nie zamykają im się usta, opowiadają o aktywach, o których nawet sami nie wiedzieli, że je mają.

Larry postanowił schować strzykawkę do groźnie wyglądającej czerwonej kosmetyczki ze sztucznej krokodylej skóry, którą znalazł na wyprzedaży podwórkowej w Studio City. Już wkrótce spostrzegł, że wielu delikwentów, których odwiedzał razem z Fritzem, po prostu nie mogło od niej oderwać oczu. Zrozumiał, że przy odrobinie szczęścia nie będzie jej musiał w ogóle otwierać. Strzykawka nigdy nie stała się jego narzędziem pracy, ale była użytecznym rekwizytem, dzięki któremu przyłgnęła do niego ksywka Doc.

Tego dnia zastał Fritza pod maską dodge'a super bee, szykującego wóz do objazdu dłużników.

– Siemasz, Doc, wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo o tobie, przystojniaku. Pikawka w porządku?

– Mam zdrowe myśli i nie palę niczego, co rośnie w strefie frontowej. To mój sekret. To samo mogłoby pomóc nawet tobie, gdybyś miał choć odrobinę silnej woli.

– Oho, na szczęście masz dziś umysł ostry jak brzytwa. To dobrze, bo muszę kogoś szybko odnaleźć: moją byłą dziewczynę, Shastę Fay.

– Masz chyba na myśli dziewczynę Mickeya Wolfmanna. Dzwonię z gabinetu Doktora Rzeczywistość. Jak dawno robił pan ostatnio badania?

– Fritz, Fritz, czym ja cię obraziłem?

– Wszyscy gliniarze z Los Angeles i z biura szeryfa szukają ich oboje. Jak myślisz, kto pierwszy ich znajdzie?

– Sądząc po sprawie Mansona, pierwszy lepszy idiota z ulicy.

– Chodź do środka, zobaczymy, co da się zrobić. – Fritz wskazał biuro.

Pachnący paczulą księgowy Milton, w kwiecistej marynarce a la Nehru, jaskrawożółtych okularach strzeleckich i z kilkoma naszyjnikami z muszelek na szyi, uśmiechnął się do nich i pomachał powoli, kiedy przechodzili do pokoju na tyłach.

– Wygląda na szczęśliwego.

– Interes się rozkręca, a wszystko dzięki temu... – Fritz pchnął drzwi. – Powiedz mi, ilu pierwszych lepszych idiotów ma do dyspozycji coś takiego.

– Kurczę, Fritz.

Doc miał wrażenie, jakby znalazł się w środku jakiejś fantastycznonaukowej choinki. Wszędzie mrugały czerwone i zielone lampki. Były tu szafki komputerowe, konsole z rozświetlonymi ekranami, klawiatury alfanumeryczne, kable biegnące po podłodze między niezamiecionymi stertami wybitych z kart IBM małych papierowych prostokątów, dwie kopiarki Gestetnera w kącie oraz górujące nad tym wszystkim, kręcące się w tę i z powrotem taśmy Ampexu.

– ARPAnet – oznajmił Fritz.

– Och nie, lepiej nie. Muszę prowadzić i w ogóle, może daj mi jedną działkę na później...

– To sieć komputerów, Doc, połączonych liniami telefonicznymi. UCLA, Isla Vista, Stanford. Kiedy mają tam jakieś informacje, których ty nie masz, przysyłają ci je z szybkością pięćdziesięciu tysięcy znaków na sekundę.

– Poczekaj. ARPA to ta sama firma, która ma swoją tablicę na autostradzie przy zjeździe do Rosecrans?

– Coś ich łączy z Thompson Ramo Wooldridge Inc., ale nikt tam nie jest zbyt rozmowny. Może Ramo nic nie powiedział Wooldridge'owi?

– Ale... chcesz powiedzieć, że ktoś, kto jest do tego podłączony, może wiedzieć, gdzie jest Shasta?

– Nie dowiemy się, póki nie sprawdzimy. W całym kraju, a właściwie na całym świecie, codziennie podłączają do tego nowe komputery. W tym momencie to wszystko jest na etapie eksperymentu, ale, do diabła, płaci za to rząd, a te sukinsyny nie dbają o to, ile wydadzą, i już teraz wyszło na jaw kilka pożytecznych rzeczy.

– Czy to powie mi, gdzie mogę kupić towar?

5

Shasta wspominała coś o planach umieszczenia Mickeya Wolfmanna w wariatkowie i Doc uznał, że warto sprawdzić, jak zareaguje na taką supozycję supergwiazda kroniki towarzyskiej, pani Sloane Wolfmann. Jeśli Mickey jest wbrew swej woli przetrzymywany w jakimś prywatnym domu bez klamek, w takim razie obowiązkiem Doca jest szybkie ustalenie, w którym. Zadzwoił pod numer, który dała mu Shasta, i mała kobietka osobiście odebrała telefon.

– Wiem, że niezręcznie jest teraz mówić o interesach, pani Wolfmann, ale niestety czas nas goni.

– Pan też dzwoni w imieniu dłużników? Zgłasza się ich zaskakująco dużo. Kieruję ich wszystkich do naszego prawnika. Ma pan jego numer? – Pani Wolfmann miała głos angielskiej palaczki, mieszczący się w dolnej części rejestru i w nieokreślony sposób dekadentki.

– Właściwie to nasza firma winna jest pani mężowi jakieś pieniądze. Ponieważ mówimy o sześciocyfrowej kwocie, uznaliśmy, że powinniśmy o tym panią poinformować. – Doc odśpiewał w duchu pół taktu *Great Pretender*. – Pani Wolfmann?

– Będę miała chyba kilka wolnych minut koło południa – odparła. – Kogo pan reprezentuje?

– Nowoczesny Instytut Restrukturyzacji i Reorientacji Kognitywnej. W skrócie NIRRK. Nasza prywatna klinika niedaleko Hacienda Heights specjalizuje się w leczeniu pogruhotanych osobowości.

– Zwykle kontroluję wszystkie większe wydatki Michaela i muszę przyznać, panie... nazywa się pan Sportello?... że nic nie wiem o żadnych interesach, które mógłby z panem robić.

Doca zaczął swędzieć nos – niechybny znak, że na coś trafił.

– Być może zważywszy na sumę, o którą chodzi, łatwiej będzie jednak załatwić sprawę za pośrednictwem adwokata...

Pani Wolfmann jedną dziesiątą sekundy zajęło obliczenie, ile może z tego wyciągnąć.

– Wprost przeciwnie, panie Sportello. Być może to brzmienie pańskiego głosu... ale może pan uznać, że jestem oficjalnie zaintrygowana.

W byłym schowku na szczołki w swoim biurze Doc zgromadził cały asortyment przebrań. Tego dnia zdecydował się na dwurzędowy welurowy garnitur firmy Zeidler & Zeidler i znalazł krótkowłosą perukę, która od biedy do niego pasowała. Zastanawiał się, czy przykleić sobie wąsy, uznał jednak, że wystarczą prostsze środki: zamienił sandały na standardowe mokasyny i założył krawat węższy i mniej kolorowy do aktualnie modnych, mając nadzieję, że pani Wolfmann dojdzie do przekonania, iż jest beznadziejnie staroświecki. Spoglądając w lustro, z trudem się rozpoznał. Ekstra. Zastanawiał się, czy nie zapalić skręta, lecz opanował pokusę.

W zakładzie poligraficznym przy tej samej ulicy jego kumpel Jake, przyzwyczajony do szybkich zleceń, zrobił mu od ręki kilka wizytówek o treści „NIRRK – REKONFIGURUJEMY MÓZGI SOUTHLAND OD 1966. LARRY SPORTELLLO, ZAREJESTROWANY PRAWNIE WSPÓLNIK”, co miało tyle wspólnego z prawdą, że jego

samochód był zarejestrowany w Kalifornii.

Na Coast Highway, mniej więcej w połowie drogi do rezydencji Wolfmanna, usłyszał w radiu *Bang Bang* w wykonaniu Bonzo Dog Bandu i włączył wzmacniacz Vibrasonic. W miarę jak wjeżdżał coraz wyżej, odbiór KRLA z Pasadeny pogarszał się, w związku z czym zwolnił, ale w końcu i tak całkiem stracił sygnał. Wkrótce zaparkował na słonecznej uliczce gdzieś w górach Santa Monica, przy domu z wysokimi otynkowanymi ścianami, po których spływały płomienne kaskady kwiatów jakiejś egzotycznej pnącej rośliny. Wydawało mu się, że widzi kogoś, kto przygląda mu się z obiegającej całe piętro loggii w stylu kolonialnym. Jakiś gliniarz, bez wątplenia snajper, ale kto wie, czy federalny, czy miejscowy?

Przystojna młoda Latynoska w dżinsach i starej bluzie z napisem „SC” otworzyła drzwi i łypnęła na niego dramatycznie umalowanymi oczami.

– Pani jest przy basenie z policją i całą resztą. Proszę na górę.

Rozkład pomieszczeń był odwrócony: na poziomie wejścia znajdowały się sypialnie, a na piętrze kuchnia, a być może nawet dwie kuchnie, oraz pomieszczenia służące rozrywce. W domu powinno się właściwie roić od stróżów prawa, lecz chłopcy spod znaku „Chronić i Służyć” urządzili sztab w altance przy basenie, gdzieś z tyłu, jakby chcieli się załapać na resztki darmowego cateringu, zanim pojawią się ich federalni panowie i władcy. Słychać było plusk wody, grające rock and rolla radio oraz brzęk sztućców. Nieliche porwanie.

Sloane Wolfmann nadeszła od strony basenu, ubrana tak, jakby szykowała się do roli wdowy: czarne sandaalki na wysokich obcasach, opaska na głowę z przezroczystym czarnym welonem i czarne bikini w niedostrzegalnym rozmiarze, uszyte z tego samego materiału co welon. Nie była właściwie angielską różą, prędzej angielskim żonkilem – bardzo blada, jasnowłosa, wiotka, prawdopodobnie łatwo zbierająca sińce, zbyt mocno, jak wszyscy tutaj, umalowana. Minispódniczki wynaleziono specjalnie dla podobnych do niej młodych kobiet.

W czasie, który zajęło im przejście przez pogrążone w półmroku wnętrza, wyłożone brązowoszarymi dywanami, zamszową tapicerką i tekowym drewnem i ciągnące się chyba do samej Pasadeny, Doc dowiedział się, że pani domu ma dyplom London School of Economics, zaczęła ostatnio studiować jogę tantryczną i spotkała po raz pierwszy Mickeya Wolfmanna w Las Vegas. Opowiadając o tym, wskazała wiszącą na ścianie fotografię, która wyglądała niczym powiększenie fotki z przedsonka nocnego klubu.

– Wielkie nieba – mruknął Doc. – To pani, nieprawdaż?

Sloane na pół zmarszczyła czoło, na pół się uśmiechnęła, który to mikś Doc zauważył u pomniejszych i byłych gwiazd show-biznesu w momentach, gdy starały się sprawiać wrażenie skromnych.

– Moja wyuzdana młodość. Należałam do tych słynnych dziewcząt z Vegas, pracowałam w jednym z kasyn. Na scenie, w świetle reflektorów, ze sztucznymi rzęsami i ostrym makijażem wyglądałyśmy wszystkie mniej więcej tak samo, ale Michael, który, jak miałam się później przekonać, był w tych sprawach kimś w rodzaju konesera, oświadczył, że dostrzegł mnie, kiedy tylko się pojawiłam, a potem nie odrywał ode mnie oczu. Romantyczne, prawda? I zupełnie nieoczekiwane. Nim się zorientowaliśmy, staliśmy w Little Church of the West, a ja miałam na palcu to – oznajmiła, błyskając gigantycznym markizowym brylantem, którego wielkość określała dwucyfrowa liczba karatów.

Opowiadała to już setki razy, ale szło jej całkiem dobrze.

– Ładny kamyk – zauważył Doc.

Niczym kończąca kwestię aktorka, Sloane zatrzymała się pod ogromnym portretem Mickeya Wolfmanna, który wpatrywał się w dal, jakby penetrował cały obszar Los Angeles, szukając działek pod zabudowę. Odwróciła się twarzą do Doca i uśmiechnęła przyjaźnie.

– No i tak to wygląda – powiedziała.

Doc zauważył nad portretem coś w rodzaju fałszywego fryzu z wrytym napisem: „Kiedy wbijesz pierwszy kołek, nic cię nie powstrzyma – Robert Moses”.

– Wielki Amerykanin, Michael brał z niego przykład – oznajmiła Sloane. – To była zawsze jego dewiza.

– Myślałem, że to powiedział doktor Van Helsing.

Sloane stanęła w wyjątkowo dobrze oświetlonym miejscu, w którym wyglądała jak kontraktowa gwiazda z ery wielkich wytwórni w chwili, gdy ma wygłosić płomienną mowę do gorzej opłacanego aktora. Doc starał się zbyt nachalnie nie rozglądać, by odkryć, skąd pada światło, ale Sloane i tak zauważyła, jak latają mu oczy.

– Podoba się panu oświetlenie? Zrobił je dla nas przed wielu laty Jimmy Wong Howe.

– Robił chyba zdjęcia do *Ostatniej rundy*? Nie mówiąc już o *They Made Me a Criminal*, *Dust Be My Destiny*, *Saturdays Children* i...

– To wszystko są filmy z Johnem Garfieldem – zauważyła zdziwiona.

– No tak...

– Jimmy filmował również innych aktorów.

– Jestem tego pewien... aha, i zrobił również *We mgle*, gdzie John Garfield gra tego wrednego gangstera...

– Jediną rzeczą, którą moim zdaniem warto zapamiętać z tego filmu, jest to, jak Jimmy fotografował Idę Łupino. Kiedy o tym pomyśleć, to właśnie w dużym stopniu sprawiło, że przekonałam się do tego domu. Jimmy faktycznie lubił odbłyśki światła, te kropelki potu na czole czempiona, te wszystkie chromy, biżuterię, cekiny i tak dalej... ale w jego pracy widać również wartości duchowe... niech pan spojrzy na Idę Łupino w zbliżeniach. Te oczy! Zamiast rysującego ostre kontury światła lampy jest ta poświata, ta czystość, która rozświetla ją jakby od środka. Przepraszam, czy to jest to, co mi się wydaje?

– Do diabła! To przez tę Idę Łupino, mam to za każdym razem, kiedy pada jej nazwisko. Proszę, niech pani nie bierze tego do siebie.

– Jakie to dziwne. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek reagowała tak na Johna Garfielda... O pierwszej mam co prawda spotkanie medytacyjne, ale moglibyśmy, jeśli się pośpieszymy, znaleźć czas na drinki. Może zdąży pan nawet wyjaśnić, co pan tutaj robi. Luz!

Z artystycznie rzeźbionego półmroku wyłoniła się młoda panienka, która wpuściła go do domu.

– Podaj, jeśli możesz, południowe *refrescos*, Luz. Mam nadzieję, panie Sportello, że usatysfakcjonują pana margarity... chociaż biorąc pod uwagę pańskie filmowe preferencje, być może bardziej odpowiedni byłby jakiś gatunek piwa albo whisky?

– Dziękuję, pani Wolfmann, tequila jak najbardziej mi odpowiada... i co za ulga nie być częstowanym żadną „trawką”! Nigdy nie zrozumieć, co ci hipisi widzą w tym świństwie! Swoją drogą, nie będzie pani chyba przeszkadzało, jeśli zapalę zwykłego papierosa?

Sloane skinęła wdzięcznie głową, a Doc wyjął z kieszeni paczkę mentolowych bensonów, które zabrał zamiast koolsów, pamiętając, jakie powinien sprawiać wrażenie. Poczęstował ją i oboje zapalili. Od strony basenu, którego rozmiarów mógł się jedynie domyślać, dobiegały głosy figlujących policjantów.

– Postaram się streszczać, żeby mogła pani szybko wrócić do swoich gości. Pani mąż miał zamiar sfinansować nowe skrzydło naszej kliniki i na krótko przed swoim zdumiewającym zniknięciem faktycznie wpłacił nam zaliczkowo pewną sumę. W sytuacji, gdy tak mało wiemy o miejscu, w którym aktualnie przebywa, zachowanie tych pieniędzy wydało nam się jednak niewłaściwe. W związku z tym chcielibyśmy odesłać tę kwotę, a jeśli, o co wszyscy się modlimy, pan Wolfmann da o sobie znać, wtedy być może wrócimy do całej sprawy.

Sloane zerknęła na niego, lekko kręcąc głową.

– No nie wiem... Sfinansowaliśmy ostatnio inny zakład leczniczy... chyba w Ojai. Czy nie jesteście w jakiś sposób związani?

– Być może to jedno z naszych siostrzanych sanatoriów... Od kilku lat funkcjonuje program...

Sloane podeszła do małego zabytkowego sekretarzyka w rogu, pochyliła się, prezentując Docowi swój niewątpliwie apetyczny tyłeczek, pogrzebała w różnych przegródkach i w końcu znalazła swoje kolejne zdjęcie. Przedstawiało ceremonię wbicia pierwszej łopaty i Sloane siedzącą za sterami koparko-ładowarki, w której łyżce widać było jeden z tych olbrzymich czeków wręczanych również zwycięzcom turniejów kręglarskich. Jakiś osobnik w fartuchu lekarskim udawał z uśmiechem, że patrzy na wysokość sumy, w rzeczywistości jednak zerkał pod krótką, zgodnie z najnowszą modą, spódniczkę Sloane, która miała poza tym ciemne okulary, prawie jakby nie życzyła sobie, by ją rozpoznano, i wyraz twarzy świadczący o tym, jak bardzo się nudzi. Na wiszącym za nią transparencie widniała data i nazwa instytucji, ale były tak zamazane, że Doc zrozumiał wyłącznie, iż ma do czynienia z długim zagranicznym słowem. Zastanawiał się właśnie, czy nie wzbudzi podejrzeń, pytając Sloane o nazwę, kiedy wróciła Luz z gigantycznym dzbankiem z margaritą oraz kilkoma zmrożonymi szklankami o egzotycznym kształcie, którego jedynym celem było uniemożliwienie służbie umycie ich bez jakiegoś kosztownego, robionego na zamówienie zmywaka.

– Dziękuję, Luz. Mogę panu nalać? – zapytała Sloane, biorąc do ręki dzbanek.

Doc, który już wcześniej zauważył, że na tacy stoi dodatkowa szklanka, zbytnio się nie zdziwił, widząc dużą, muskularną jasnowłosą postać odbijającą się w ekranie stojącego w rogu mamuciego telewizora. Blondyn zszedł cicho po schodach i stąpił w ich stronę po dywanie niczym zabójca w filmie kung-fu.

Doc wstał, by mu się przyjrzeć i przywitać, szybko jednak przekonał się, że jakikolwiek dłuższy kontakt wzrokowy będzie w tym wypadku oznaczał wizytę u kręgarza specjalizującego się w schorzeniach karku. Przybysz był od niego co najmniej o trzy stopy wyższy.

– To jest pan Riggs Warbling – oznajmiła Sloane. – Mój duchowy przewodnik.

Doc nie zauważył właściwie, by „wymienili spojrzenia”, jak mógłby to ująć Frank, ale jeśli branie kwasu do czegoś się czasem przydawało, to do wykrycia niewyczuwalnych kiedy indziej wibracji. Tych dwoje bez wątpienia siadywało od czasu do czasu na przylegających do siebie matach, udając, że oczyszczają umysły, przed każdym, kto pojawił się w pobliżu: Luz, gliniarzami czy Dokiem. On jednak założyłby się o uncję pozbawionego nasion hawajskiego towaru i dorzucił do tego jeszcze paczkę bibulek, że Sloane i stary Riggs regularnie się pieprzą i to właśnie jest fagas, o którym wspominała Shasta.

Sloane nalala Riggsowi drinka i przechyliła pytająco dzbanek w stronę Doca.

– Dziękuję, ale muszę wracać do biura. Mogłaby pani powiedzieć, gdzie mamy odesłać tę wpłatę i w jakiej chciałyby pani ją przyjąć formie?

– W używanych banknotach o niskich nominałach! – zahuczał uprzejmie Riggs.

– Riggs, Riggs – skarciła go Sloane, jednak nie tak ponuro, jak można by się spodziewać, biorąc pod uwagę nadal realną możliwość, że jej mąż został porwany. – Zawsze lubisz niesmaczne żarty. Może któryś z waszych księgowych mógłby odesłać po prostu wpłatę Michaela na jedno z jego kont bankowych?

– Oczywiście. Proszę podać nam jego numer.

– W takim razie zajrzę tylko na chwilę do biura, dobrze?

Riggs Warbling zarekwirował dzbanek z margaritą i popijał bezpośrednio z niego, nie zwracając sobie głowy szklanką.

– Zajmuję się zopułami – wypalił nagle bez ostrzeżenia.

– Słucham?

– Jestem przedsiębiorcą budowlanym. Projektuję i buduję zopuły. To skrót od „kopuł zonahedralnych”. Największy wynalazek w budownictwie od czasów Bucky’ego Fullera. Pokażę panu.

Wyciągnął skądś blok papieru milimetrowego i zaczął coś w nim szkicować, używając

liczb oraz liter, które mogły być greckie. Wkrótce rozprawiał ze swadą o „przestrzeniach wektorowych” i „grupach symetrii”. Doc zdał sobie sprawę z niepożądanym procesów zachodzących w jego mózgu, jednak diagramy wyglądały całkiem pociągająco.

– Zopuły tworzą wspaniałe przestrzenie medytacyjne – mówił Riggs. – Wie pan, że niektórzy ludzie weszli do nich i nie wyszli tacy sami? A czasami w ogóle nie wyszli. Tak jakby zopuły były portalami do czegoś innego. Szczególnie jeżeli są zlokalizowane na pustyni, gdzie przebywałem przez większą część zeszłego roku.

Oho!

– Pracował pan dla Mickeya Wolfmanna?

– Przy Arrepentimiento. To realizacja jego dawnego marzenia, niedaleko Las Vegas. Może czytał pan w „Architectural Digest” artykuł na ten temat?

– Jakoś przegapiłem.

Prawdę mówiąc, jedynym czasopismem czytany w miarę regularnie przez Doca były „Nagie Nastoletnie Nimfetki”, które prenumerował do czasu, gdy stwierdził, że nieliczne egzemplarze docierające do jego skrzynki są otwarte, a kartki pozlepiane. Wolał jednak o tym teraz nie mówić. Sloane wróciła, kołyszając biodrami i trzymając w ręku karteczkę.

– Jedyne numer, który udało mi się znaleźć w tym momencie, to numer naszego wspólnego konta w jednej z kas pożyczkowo-oszczędnościowych Michaela. Mam nadzieję, że nie sprawi to kłopotu pańskim ludziom. Oto formularz wpłaty, może się przyda.

Doc wstał, a Sloane pozostała tam, gdzie była, czyli dość blisko, by ją złapać i zgwałcić, o czym myśl w nieunikniony sposób przysłała mu do głowy, bawiąc tam przez chwilę i kilka razy porozumiewawczo mrugając. Kto wie, do jakich lubieżnych czynów mogłoby dojść, gdyby nie pojawiła się ponownie Luz i nie rzuciła mu (a może przywidziało mu się to tylko po tequili) ostrzegawczego spojrzenia.

– Luz, czy mogłabyś, proszę, odprowadzić pana Sportello?

Na dole, w labiryncie korytarzy prowadzących do nieznanej liczby sypialni, Doc udał, że chce mu się sikać.

– Czy mógłbym skorzystać z łazienki?

– Jasne, pod warunkiem, że niczego pan nie ukradnie.

– O rany, nie chce pani chyba powiedzieć, że ci policjanci przy basenie wracają do swoich niecznych nawyków?

Luz pokręciła palcem i rozejrzawszy się szybko, jakby dom był na podsłuchu, zgięła rękę w łokciu, naprężyła biceps i przewróciła oczami.

A zatem to Riggs. Doc się uśmiechnął.

– Dziękuję, och, *muchas gracias*, Luz. Zabawię tam tylko minutkę – powiedział na użytek ewentualnych słuchaczy.

Luz oparła się z wdziękiem o ścianę korytarza i wbiła w niego zaciekawione ciemne oczy. Doc odnalazł drzwi do pałacowej łazienki i zgadując, że należy do Mickeya, przeszedł przez nią do przylegającej sypialni.

Myszkując w niej, trafił na pewną liczbę dziwnych krawatów wiszących w garderobie na specjalnym wieszaku. Zapalił światło i przyjrzał im się bliżej. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie klasycznych jedwabnych krawatów z namalowanymi ręcznie różnymi nagimi kobietami. Ale nie były to normalne klasyczne akty. Oddano na nich z fotograficzną dokładnością każdy fragment gęsiej skórki, każdy włos łonowy, każdą łechtaczkę w stanie erekcji, każde rozchylone wargi sromowe, od których odbijało się sugerujące wilgoć światło, a także części ciała zapraszające do penetracji analnej. Delektujący się wrażeniami artystycznymi Doc zauważył również coś uderzającego w twarzach. To nie były zwykłe komiksowe buźki zachęcające do stosunku. Miał przed sobą twarze i, jak się domyślał, również i ciała, konkretnych kobiet. Może to jakiś rodzaj katalogu dziewczyn Mickeya Wolfmanna? Czy nie znajdzie wśród nich przypadkiem Shasty Fay? Zaczął przeglądać

krawaty jeden po drugim, starając się nie poplamzić ich potem. Kiedy znalazł akt Sloane – bezsprzecznie Sloane, a nie jakiejś tam blondynki – leżącej na spletanym prześcieradle z otwartymi ramionami i nogami, spuszczonej oczami i lśnącymi wargami – prawie szarmancki przejaw charakteru Mickeya, którego się nie spodziewał – czyjaś ręka objęła go nagle w pasie.

– Aachch!

– Szukaj dalej, gdzieś tu jestem – szepnęła Luz.

– Mam łaskotki, skarbie.

– No i jestem. Ładne, prawda? – I rzeczywiście zobaczył Luz w pełnej krasie, na kolanach, spoglądającą do góry i szczerzącą zęby w uśmiechu, który nie był jego zdaniem specjalnie zachęcający.

– Moje cycki nie są w rzeczywistości takie duże, ale liczą się intencje.

– Wszystkie panie pozowałyście do tych obrazków?

– Tak, jeden facet z północnego Hollywood zrobił je na zamówienie.

– A ta cizia, jak ona się nazywała? – Doc starał się opanować drżenie głosu. – Ta, która zaginęła?

– A, Shasta. Tak, jest tu gdzieś.

Okazało się jednak, co dziwne, że jej nie ma. Doc obejrzał kilka pozostałych krawatów, ale na żadnym nie było aktu Shasty.

Luz zaglądała ponad jego ramieniem do sypialni Mickeya.

– Zawsze pieprzył się ze mną pod prysznicem – powiedziała. – Nigdy nie miałam okazji zrobić czegoś na tym zajebistym łóżku.

– Można to łatwo nadrobić – stwierdził gładko Doc, ale w tej samej chwili z głośnika na korytarzu dobiegło straszliwie zniekształcone skrzeczenie:

– Luz! Donde estas, mi hijita?

– Cholera – mruknęła Luz.

– Może innym razem.

W drzwiach Doc dał jej jedną z fałszywych wizytówek NIRRK, na których był prawdziwy numer do jego biura. Wsunęła ją do tylnej kieszeni dżinsów.

– Tak naprawdę wcale nie jesteś psychiatrą?

– Ee... może nie. Ale mam kozetkę.

– *Psicodelico, ese!* – prychnęła, pokazując te słynne zęby.

Doc wsiadał właśnie do samochodu, kiedy zza rogu wypadł radiowóz z zapalonymi na dachu światłami i zatrzymał się tuż przy nim. Okno od strony pasażera otwarło się i wychylił się przez nie Bjornsen.

– Nie udało ci się zdobyć trawki w tej części miasta, Sportello?

– Co...? Chcesz powiedzieć, że mój umysł znowu błądzi?

Gliniarz za kierownicą zgasił silnik, po czym obaj wysiedli i podeszli do Doca. Drugi policjant z pewnością nie był partnerem Wielkiej Stopy (chyba że tego ostatniego zdegradowano w jakimś dziwnym przejawie charakterystycznej dla policji Los Angeles nonszalancji, której Doc nigdy nie potrafił zrozumieć), jednak mógł być jego bliskim krewnym – obaj mieli tak samo gładkie i złośliwe uśmiechy. Ów osobnik uniósł teraz brwi, przypatrując się Docowi.

– Pozwoli pan, że zajrzemy do tej atrakcyjnej saszetki, proszę pana?

– Nie mam tam nic poza lunchem – zapewnił go Doc.

– Och, dopilnujemy, żeby lunch panu nie przepadł.

– Spokojnie, spokojnie. Sportello wykonuje tylko swoją pracę – powiedział Wielka Stopa, udając, że stara się udobruchać drugiego gliniarza. – Tak jak my wszyscy stara się dociec, co przytrafiło się Mickeyowi Wolfmannowi. Czy masz jakieś informacje, którymi chciałbyś się z nami podzielić, Sportello? Kogo obraca... przepraszam... jak się miewa pani domu?

– To dzielna mała kobieta – odparł Doc, kiwając szczerze głową.

Zastanawiał się, czy nie pogadać o wielkiej przyjaźni, jaka według Pata Dubonneta łączyła Wielką Stopę i Mickeya, ale nie spodobał mu się sposób, w jaki przysłuchiwał im się drugi gliniarz... zdecydowanie zbyt uważnie, zupełnie jakby, jeśli popuścić wodze paranoi, był kapusiem i składał raporty na zupełnie innym szczeblu policyjnej hierarchii, jego prawdziwym zadaniem zaś było pilnowanie Wielkiej Stopy...

Za dużo to wszystko dawało do myślenia. Doc przywołał na usta najbardziej nieodpowiedzialny uśmiech ćpuna.

– W środku jest policja, panowie, ale nikt im mnie nie przedstawił. Z tego, co wiem, to mogą być nawet *federales*.

– Uwielbiam, kiedy diabli biorą całe dochodzenie – wyznał Wielka Stopa ze słonecznym uśmiechem. – Ty chyba też, Lester. Nie przypomina ci to, dlaczego tu wszyscy jesteśmy?

– Rozchmurz się, *compadre* – odparł Lester, wracając do radiowozu. – Nasz dzień jeszcze nadejdzie.

I odjechali, dla fasonu włączając syrenę. Doc wsiadł do samochodu i przez chwilę gapił się na rezydencję Wolfmanna.

Od jakiegoś czasu pewna rzecz nie dawała mu spokoju: dokładnie co takiego dzieje się z Wielką Stopą, że wszędzie rozbija się radiowozami? Z tego co wiedział Doc, detektywi w garniturach i krawatach jeżdżą nieoznakowanymi samochodami, na ogół parami. To samo dotyczy mundurowych. Nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek widział na służbie Wielką Stopę z innym detektywem.

Chociaż chwila moment... Z permanentnego alertu przeciwsmogowego, którym to mianem lubił określać swoją pamięć, zaczęło się coś wyłaniać... jakaś plotka, zasłyszana chyba od Pata Dubonneta, o partnerze Wielkiej Stopy, którego jakiś czas temu śmiertelnie postrzelono w czasie służby. Od tego czasu, jak opowiadano, Wielka Stopa pracował sam. Nie przydzielono mu ani on sam nie poprosił o nowego partnera. Jeżeli oznacza to, że nadal jest w swego rodzaju policyjnej żałobie, musiał być bardzo związany z zabitym.

Ta więź między partnerami była chyba jedyną rzeczą, którą Doc podziwiał w policji Los Angeles. W całej swojej długiej i smutnej historii obfitującej w nadużycia władzy i korupcję nie zaprzędali się przynajmniej w jednym – ta więź wykuwana dzień po dniu w ogniu niebezpieczeństwa była czymś autentycznym, co trzeba było szanować. Nie można jej było sfalszować, kupić względami, pieniędzmi, awansami – żadne kapitalistyczne bodźce nie mogły sprawić, żeby jeden osłaniał przez pięć sekund drugiego, kiedy to się naprawdę liczyło. Trzeba było sobie na to zasłużyć, wystawiając wielokrotnie na niebezpieczeństwo swój żaloszny tyłek. Nie znając dokładnie historii Bjornsena i jego nieżyjącego partnera, Doc mógł się założyć o cały zapas towaru na najbliższy rok, że gdyby poproszono nietaktownie Wielką Stopę o sporządzenie listy ludzi, których kochał, tamten facet znalazłby się niechybnie na jednym z czołowych miejsc.

Ale co to właściwie oznacza? Czy Doc ma w związku z tym zastosować wobec Wielkiej Stopy taryfę ulgową? Nie, to zły pomysł, powiedział sobie w duchu. Niech facet sam upora się ze swoim smutkiem, czy cokolwiek to jest. Bez twojej pomocy, dobrze?

Jasne, odpowiedział sam sobie Doc, mnie to pasuje.

6

Nie mogąc dodzwonić się do domu zastępczyni prokuratora Penny Kimball, Doc musiał w końcu zatelefonować do niej do pracy. Ktoś odwołał z nią spotkanie podczas lunchu i zgodziła się go warunkowo wpisać. Doc stawiał się w osobliwej jadłodajni przy Tempie Street, gdzie amatorzy taniego wina, którzy zwlekli się właśnie z karimat w ruinach tego, co zostało z dzielnicy Nickel, mieszało się z korzystającymi z przerwy w posiedzeniu sędziami sądu najwyższego, nie mówiąc o całej hałastrze adwokatów w garniturach, których głośny szwargot odbijał się echem od wyłożonych lustrami ścian, grożąc chwilami zawaleniem wszystkich ustawionych w piramidkach za podgrzewaczami małpek z muszkatelem i tokajem po osiemdziesiąt pięć centów.

Penny wmaszerowała, trzymając jedną rękę w kieszeni żakietu i wymieniając kulturalne uwagi ze sporą liczbą nieskazitelnie ubranych i uczesanych współpracowników. Miała ciemne okulary i jeden z tych szarych, poliestrowych, biznesowych kostiumów z bardzo krótką spódniczką.

– W sprawę Wolfmanna – Charlocka – przywitała Doca – zamieszana jest, zdaje się, jedna z twoich byłych przyjaciółek?

Nie żeby oczekiwał przyjaznego całusa czy czegoś podobnego – obserwowali ją koledzy i nie chciał, by tak rzec, spieszyć jej pozycji. Penny położyła teczkę na stole, usiadła i wbiła wzrok w Doca, stosując niewątpliwie jedną ze swoich technik sądowych.

– Właśnie się dowiedziałem, że zniknęła – powiedział.

– Ujmijmy to inaczej... Jak blisko byłeś związany z Shastą Fay Hepworth?

Zadawał sobie to pytanie od pewnego czasu, ale nadal nie znał odpowiedzi.

– To się skończyło przed kilkoma laty – mruknął. – A może przed kilkoma miesiącami? Miała ważniejsze rzeczy na widoku. Czy złamała mi serce? Jasne. Gdybyś się nie pojawiła, kotku, kto wie, jak by się to skończyło?

– To prawda, byłeś, kurwa, w rozsypce. Ale zostawiamy na boku stare dzieje. Czy kontaktowałeś się z panną Hepworth, powiedzmy, w ciągu ostatniego tygodnia?

– Zabawne, że o to pytasz. Odwiedziła mnie kilka dni przed zniknięciem Mickeya Wolfmanna i oznajmiła, że jego żona i jej chłopak spiskują, żeby zamknąć Mickeya w domu bez klamek i zagarnąć jego forszę. Mam więc nadzieję, że wy, gliniarze, albo ktoś podobny zajmujecie się tą sprawą.

– Czy będąc prywatnym detektywem z długoletnim doświadczeniem, uznałbyś ten trop za wiarygodny?

– Znałem mniej... och, poczekaj, rozumiem, macie wszyscy zamiar to zignorować. Prawda? Jakaś hipiska z kłopotami sercowymi i mózgiem otumanionym prochami, seksem i rock and roilem...

– Doc, nigdy nie widziałam, żebyś się tak emocjonował.

– Ponieważ na ogół gasimy światło.

– Najwyraźniej nie zdradziłeś nic z tego porucznikowi Bjornsenowi, kiedy zgarnął cię na miejscu zbrodni.

– Obiecałem Shaście, że najpierw porozmawiam z tobą i zobaczę, czy może jej pomóc ktoś z biura prokuratora. Dzwoniłem do ciebie w dzień i w nocy, bez odpowiedzi, i zanim się

zorientowałem, zaginał Wolfmann i zastrzelili Glena Charlocka.

– A Bjornsen uważa, że w tej sprawie jesteś tak samo podejrzany, jak każdy inny.

– Najwyraźniej... to ty rozmawiałaś z Wielką Stopą i to na mój temat. Cóż, nigdy nie ufaj dziewczynie z miasta, człowieku, to pierwsza zasada życia nad oceanem. Jeśli tak to musi wyglądać po tym wszystkim, co ze sobą przeżyliśmy, w porządku, jak mawia Roy Orbison...

– Doc podniósł ręce w dramatycznym geście – ... miejmy to już za sobą.

– Doc, ćśś... Proszę. – Była taka ładna, kiedy wpadała w zakłopotanie, marszcząc nosek i w ogóle, ale nie trwało to długo. – Poza tym może rzeczywiście to zrobiłeś. Nie przyszło ci to do głowy? Może po prostu o tym zapomniałeś, bo tak ci było wygodnie, tak samo jak zapominasz o innych rzeczach, i ta twoja dziwna reakcja jest po prostu typowym pokręconym przyznaniem się do winy?

– No dobrze... Ale jak mógłbym zapomnieć o czymś takim?

– Trawka i kto wie, co jeszcze, Doc.

– Hej, daj spokój, wcale tak dużo nie palę.

– Tak? A ile średnio skrętów wypalasz dziennie?

– Hmm... musiałbym zajrzeć do rejestru.

– Słuchaj, sprawę prowadzi Bjornsen, to wszystko. Będzie przesłuchiwał setki takich jak ty.

– Takich jak ja? Chcesz powiedzieć, że znowu rozwali mi pierdolone okno?

– Według policyjnych raportów przy poprzednich okazjach miałeś zwyczaj barykadować drzwi.

– Wyciągnęłaś moje akta i mnie sprawdziłaś. Penny, ja cię naprawdę obchodzę! – ucieszył się. Jego mina miała świadczyć o uznaniu, ale kiedy spojrzał na swoje odbicie we wszystkich lustrach, okazało się, że nie różni się od typowego gapowatego spojrzenia ćpuna.

– Idę po kanapkę. Przynieść ci coś? Szynkę, jagnięcinę, wołowinę?

– Może po prostu Warzywne Danie Dnia?

Doc patrzył, jak Penny staje w kolejce. Jakich prokuratorskich gierek z nim teraz próbuje? Żałował, że nie może jej bardziej ufać, lecz w tej branży nie mogło być o tym mowy. Życie w psychodelicznych latach sześćdziesiątych w LA obfitowało w tyle przestróg, by nie ufać ludziom, że nie można ich było zbyć machnięciem skręta, a lata siedemdziesiąte wcale nie wydawały się bardziej obiecujące.

Penny wiedziała o tej sprawie więcej, niż mu mówiła. Naoglądał się dość prawników, którzy ukrywali istotne informacje (adwokaci uczyli się tego nawzajem, wyjeżdżali na weekendowe kursy w motelach w La Puente, żeby podksztalić się w kręctwie) i musiał ze smutkiem stwierdzić, że Penny nie jest pod tym względem wyjątkiem.

Wróciła do stołu z Warzywnym Daniem Dnia, czyli talerzem parującej brukselki. Doc zaczął ją pałaszować.

– Mniam, mniam, człowieku. Mogę prosić o to tabasco... hej, rozmawiałaś już z kimś w biurze koronera? Może twój kumpel Lagonda widział raport z sekcji zwłok Glena?

Penny wzruszyła ramionami.

– Według Lagondy to „bardzo delikatna” sprawa. Ciało zostało już skremowane i nie chce na ten temat nic mówić. – Przez chwilę obserwowała jedzącego Doca. – No cóż! A co słyszać nad morzem? – zapytała z niezbyt szczerym uśmiechem, który znał wystarczająco dobrze, by mieć się na baczności. – Jest ekstra? Psychodelicznie? Surfowe króliczki jak zwykle o was dbają? I jak się miewają te dwie stewardesy, z którymi cię ostatnio przyłapałam?

– Mówiłem ci, to przez jacuzzi. Pompy były za wysoko i bikini w tajemniczy sposób samo się zsunęło. Nie zrobiliśmy tego specjalnie.

Penny, która ostatnio nigdy nie przepuściła okazji, żeby o tym wspomnieć, miała na myśli sporadyczne partnerki Doca w figlach, słynne stewardesy Lourdes i Motellę, które zajmowały pałacową rezydencję tuż przy Beachfront Drive z sauną, basenem, barem pośrodku basenu i

na ogół niewyczerpanymi zapasami wysokiej jakości trawki, jako że obie panie znane były ze szmuglu zakazanego towaru i zgromadziły teraz, jak powiadano, prawdziwą fortunę na zagranicznych kontaktach. Mimo to za każdym razem, kiedy nie musiały donikąd lecieć, krążyły wiedzione jakimś nieubłaganym fatum po mrocznych, ponurych zaułkach LA, szukając w nocy towarzystwa spotkanych przypadkowo szumowin.

– Może będziesz się z nimi widział w najbliższym czasie? – zapytała Penny, unikając kontaktu wzrokowego.

– Czy Lourdes i Motella znalazły się w kręgu zainteresowań twojego biura? – zapytał najdelikatniej, jak potrafił.

– Nie tyle one, ile pewni panowie, którzy im ostatnio towarzyszą. Gdybyś w trakcie związanych ze zdejmowaniem bikini czynności usłyszał, że wymieniają przypadkiem z nazwiska jednego albo obu dżentelmenów, znanych jako Cookie i Joaquin, czy mógłbyś zapisać to na czymś wodoodpornym i dać mi znać?

– Hej, jeśli zamierzasz chodzić z kimś spoza prawniczej profesji, mogę ci to łatwo zorganizować. A gdybyś wpadła w desperację, zawsze masz jeszcze mnie.

Penny zerknęła na zegarek.

– Czeka mnie okropny tydzień, Doc, więc jeśli nie dojdzie do jakichś dramatycznych wydarzeń, mam nadzieję, że zrozumiesz.

Doc zanucił cichym falsetem, najromantyczniej jak potrafił, kilka taktów *Wouldn't Be Nice*.

Penny opanowała sztukę zwracania twarzy w jedną i oczu w zupełnie inną stronę, w tym wypadku na Doca. Robiąc to, zmrużyła oczy z uśmiechem, o którym wiedziała, że odniesie pożądaną skutek.

– Odprowadzisz mnie do biura?

*

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli podrzucę tu coś obok, do sądu federalnego? – zapytała przy budynku sądów, jakby właśnie coś sobie przypomniała. – To zajmie tylko minutkę.

Po wejściu do środka zdążyli przejść dwa kroki, kiedy dołączyli do nich, a może raczej dopadli, dwaj ubrani w tanie garnitury federalni, którym nie zaszkodziłby dłuższy pobyt na słońcu.

– To moi koledzy z sąsiedniego biura, agent specjalny Flatweed i agent specjalny Borderline. A to jest Doc Sportello.

– Muszę powiedzieć, że zawsze was podziwiałem, panowie. Ósma wieczór, w każdą niedzielę, kurczę, nie przegapiłem ani jednego odcinka!

– Damska toaleta jest tam? – zapytała Penny. – Zaraz wracam.

Doc patrzył, jak znika z pola widzenia. Wiedział, jak chodzi, kiedy chce jej się sikać, i to nie było to. Zdał sobie sprawę, że w najbliższym czasie już jej nie zobaczy. Miał mniej więcej półtorej sekundy, żeby się duchowo przygotować.

– Chodź, Larry, napijemy się kawy – odezwał się agent Flatweed, po czym grzecznie, lecz stanowczo zaprowadzili go do windy. Przez minutę zastanawiał się, kiedy znowu zapali skrepta.

Na górze weszli z nim do pokoiku z oprawionymi w ramki portretami Nixona i J. Edgara Hoovera. Kawa, w wyszukanych czarnych filiżankach ze złotymi insygniami FBI, nie smakowała tak, jak powinna, sądząc po wysokości ich budżetu reprezentacyjnego.

Z tego, co zgadywał Doc, obaj federalni przyjechali do miasta dość niedawno, być może nawet prosto ze stolicy kraju. Miał już wcześniej okazję poznać tych emisariuszy ze Wschodu, którzy lądowali w Kalifornii, oczekując, że będą musieli uporać się z buntowniczymi egzotycznymi plemionami, i albo nie wyłączały do końca pobytu siłowego pola pogardy, albo bardzo szybko odkrywali, że są nawaleni i bosy, mocują maszt na desce i

płyną tam, gdzie niesie ich fala. Trzecie wyjście nie istniało. Trudno mu było nie wyobrazić sobie tych dwóch w rolach uprawiających surfing nazistów, skazanych na powtarzanie tej samej sceny, w której w gwałtowny, lecz zabawny sposób spadają z deski.

Agent Borderline wyjął tekturową teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

– Hej, co my tutaj mamy... – mruknął Doc, przechylając przyjaźnie głowę w stylu Reagana, żeby do niej zajrzeć. – Federalne akta na mój temat? Kurczę, człowieku! Niesamowite!

Agent Borderline zamknął zamasyście teczkę i wsunął ją pod stos innych na bocznym biurku, lecz Doc zdążył zobaczyć swoje trochę nieostre, zrobione przez teleobiektyw zdjęcie, na którym siedzi na masce auta na jakimś parkingu, prawdopodobnie przed barem Tommy’ego, trzymając w ręku gigantycznego cheeseburgera i zaglądając do niego z zaciekawieniem, właściwie grzebiąc w warstwach pikli, wielkich plasterów pomidora, sałaty, chili, cebuli, sera i tak dalej, nie mówiąc o głównej części, czyli mielonym wołowym mięsie, do którego zajrzał po namyśle – co stanowiło dość oczywisty sygnał dla tych, którzy wiedzieli, że kucharz Krishna zwykł za dodatkowe pół dolara wkładać tam zawiniętego w pergamin skręta. Ta tradycja zaczęła się właściwie przed wielu laty w Compton i dotarła do Tommy’ego nie później niż latem 1968, kiedy zaraz po demonstracji przeciwko planom zakończenia przez NBC serialu *Star Trek* zgłodniały Doc dołączył do konwoju ubranych w mundury Gwiezdnej Floty gniewnych fanów ze spiczastymi gumowymi uszami, żeby runąć (jak im się zdawało) w głąb Los Angeles i pokonawszy ostry wiraż, dotrzeć do części miasta wciśniętej między Hollywood i Harbor Freeways, gdzie po raz pierwszy w życiu, na rogu Beverly i Coronado, zobaczył hamburgerowy pępek świata...

– Co się stało? Byłem zatopiony w myślach.

– Zaślinił pan całe biurko. I nie powinien pan zaglądać do tej teczki.

– Zastanawiałem się tylko, czy macie więcej odbitek. Zawsze lubię mieć przy sobie kilka fotek na wypadek, gdyby ludzie chcieli autograf.

– W tych dniach, jak pan zapewne wie – zaczął agent Flatweed – większa część energii tego biura poświęcana jest inwigilacji Grup Nienawiści Czarnych Nacjonalistów. Zwróciło naszą uwagę, że nie tak dawno przyjął pan u siebie działającego w środowisku więziennym znanego czarnego bojownika, który przybrał nazwisko Tariq Khalil. To nas oczywiście zaciekawiło.

– Tak naprawdę chodzi o chronologię – udał, że wyjaśnia, agent Borderline. – Khalil odwiedza pańskie biuro i już nazajutrz ginie jego kumpel z więzienia, znika Michael Wolfmann, a pan zostaje zatrzymany w charakterze podejrzanego.

– I zaraz potem wypuszczony, starajcie się o tym nie zapominać. Rozmawialiście panowie z Wielką Stopą Bjornsenem? Ma całą teczkę na temat tej sprawy, o wiele więcej informacji, niż ja będę miał kiedykolwiek, i naprawdę miło się z nim gada. Jest inteligentny i w ogóle.

– Dobrze znana jest niecierpliwość, jaką okazuje porucznik Bjornsen w kontaktach z funkcjonariuszami szczebla federalnego – oznajmił agent Borderline, odrywając się od szybkiej lektury innej teczki. – I jeśli w ogóle możemy oczekiwać z jego strony współpracy, będzie ona prawdopodobnie ograniczona. Z drugiej strony pan może wiedzieć o rzeczach, o których on nie ma pojęcia. Na przykład coś na temat dwóch pań zatrudnionych przez Kahuna Airlines, panny Motelli Haywood i panny Lourdes Rodriguez.

O które dopiero co pytała Penny. Cóż za dziwny i niesłychany zbieg okoliczności.

– Co mają wspólnego te dwie panie z waszymi kontrwywiadowczymi działaniami wymierzonymi przeciwko Czarnym Nacjonalistom? Mam nadzieję, że nie chodzi wyłącznie o to, że zupełnie przypadkowo obie nie są anglosaskiego pochodzenia...

– Zwykle to my tutaj zadajemy pytania – przypomniał agent Flatweed.

– Jasna sprawa, panowie, tyle że pracujemy chyba w tej samej branży?

– I nie ma potrzeby nas obrażać.

– Dlaczego nie zrelacjonuje nam pan po prostu, co powiedział Khalil, kiedy odwiedził pana przed kilkoma dniami? – zapytał agent Borderline.

– Ponieważ jest klientem i nasza rozmowa była poufna. Oto dlatego. Przykro mi.

– Jeśli ta rozmowa wiązała się ze sprawą Wolfmanna, nie będziemy się mogli chyba z panem zgodzić.

– Świetnie, ale skoro wasza firma zajmuje się głównie Czarnymi Panterami i tym, żeby ewentualnie wzięli się za łby z ludźmi Rona Karengi, nie mogę zrozumieć, dlaczego zainteresowaliście się nagle Mickeyem Wolfmannem? Czy ktoś gra w monopol rządowymi pieniędzmi na budownictwo mieszkaniowe? Nie, to niemożliwe, jesteśmy przecież w Los Angeles, takie rzeczy są tutaj nie do pomyślenia. Więc zastanawiam się, o co w takim razie chodzi.

– Nie będziemy tego komentowali – oznajmił z zadowoloną miną agent Flatwood, którego czujność miały uśpić celowo mętne pytania Doca.

– Och, zaczekajcie, już wiem. Po dwudziestu czterech godzinach mamy oficjalnie do czynienia z porwaniem i przestają się liczyć granice stanu, więc pewnie doszliście do wniosku, że to sprawka Panter. Powiedzmy, że złapali Mickeya, żeby zrobić z tego sprawę polityczną, a przy okazji zainkasować pokaźny okup.

W tym momencie dwaj federalni, zupełnie jakby nie mogli się powstrzymać, wymienili między sobą szybkie nerwowe spojrzenia, co mogło sugerować, że myśleli o czymś takim przynajmniej jako o przykrywce.

– Kurczę blade, naprawdę chciałbym wam pomóc, ale ten cały Khalil nie zostawił mi nawet numeru telefonu. Wiecie, jacy oni są czasami nieodpowiedzialni. – Doc wstał i wrzucił papierosa do niedopitej policyjnej kawy. – Przekażcie Penny, jak miło z jej strony, że zorganizowała to małe spotkanie. Aha, i czy mogą być przez moment szczerzy?

– Oczywiście – odpowiedzieli agenci Flatweed i Borderline.

Strzelając palcami, Doc odśpiewał mniej lub bardziej wiernie cztery takty *Fly Me to the Moon*.

– Wiem, że dyrektor ma hopla na punkcie czarnych penisów – dodał w drzwiach – i mam nadzieję, że odnajdziecie Mickeya, nim dojdzie do tych rzeczy, które tak często zdarzają się w więziennej celi.

– Nie zamierza współpracować – mruknął agent Borderline.

– Bądź w kontakcie, Larry! – zawołał agent Flatwood. – Pamiętaj, że jako informator kontrwywiadu możesz zarobić nawet do trzystu dolarów miesięcznie.

– Jasne. Pozdrówcie ode mnie Lewisa Erskine'a i całą ekipę.

Jednak zjeżdżając na dół windą, Doc martwił się głównie o Penny. Skoro jej jedyną kartą przetargową było sprzedanie go federalnym, musiała tkwić po same uszy w gównie. Ale jak głęboko i z kim? Jedynym wytłumaczeniem, które się w tym momencie nasuwało, było, że zarówno federalni, jak i miejscowi gliniarze interesowali się stewardesami Lourdes i Motellą oraz ich przyjaciółmi, Cookiem i Joaquinem. Tak, powinien jak najszybciej pojechać to sprawdzić, zwłaszcza że dziewczęta wróciły właśnie z Hawajów i mają prawdopodobnie w domu sporo zajebistego towaru.

*

Tymczasem ludzie widzieli Mickeya, gdzie tylko się dało. W dziale mięsnym supermarketu Ralpa w Culver City, kradnącego filety z polędwicy w dużych opakowaniach. Niedaleko Santa Anita, pogrążonego w poważnej dyskusji z osobą o ksywce Shorty albo Speedy. W niektórych relacjach i tu, i tu.

W barze w Los Mochis, oglądającego stary odcinek *Invaders* z hiszpańskim dubbingiem i zapisującego coś pilnie na kartce. W lotniskowych poczekalniach dla VIP-ów od Heathrow do Honolulu, pijącego nierozważnie mieszanki alkoholi, których nie widziano od czasów

prohibicji. Na antywojennych pochodach w San Francisco i okolicy, błagającego różne uzbrojone władze, aby go zastrzeliły i położyły kres jego kłopotom. Pod drzewem Joshuy, zażywającego peyotl. Wstępującego w oślepiającym blasku do nieba w stronę statku kosmicznego pozaziemskiego pochodzenia. I tak dalej. Doc założył teczkę, by gromadzić wszystkie te relacje, i miał nadzieję, że nie zapomni, gdzie ją schował.

Wychodząc później tego samego dnia z biura, zauważył na parkingu wysoką chudą blondynkę i równie dobrze mu znaną orientálną piękność. Tak! To były dwie młode damy z salonu masażu Chick Planet.

– Hej! Jade! Bambi!

Dziewczęta, oglądając się paranoicznie za siebie, wskoczyły do zaprojektowanego przez Harleya Earla gatunku impali, po czym wyjechały z piskiem opon z parkingu i zostawiwszy za sobą obłoczek spalin, odjechały West Imperial Boulevard. Próbując nie brać sobie tego do serca, Doc wszedł z powrotem do środka i odszukał Petunię, która, kręcąc z przyganą głową, wręczyła mu ulotkę ze Specjalną Ofertą Lizania Cipki w Chick Planet.

– Och... mogę to wyjaśnić.

– Smutna i samotna praca, ale ktoś musi ją wykonać. Coś w ten deseń? – mruknęła Petunia. – Och, Doc.

Na odwrocie ulotki był liścik napisany czerwonym lakierem do paznokci:

Słyszałam, że Cię wypuścili. Muszę się z Tobą w pewnej sprawie zobaczyć. W dni powszednie pracuję wieczorem w Club Asiatique w San Pedro. Niech miłość i pokój będzie z Tobą, Jade. PS – Uważaj na Złotego Kłā!!!

Cóż, właściwie Doc też nie miał nic przeciwko temu, by zamienić kilka słów z ową Jade, która będąc ostatnią osobą, z jaką rozmawiał w Chick Planet, nim osunął się, jak ująłby to Jim Morrison, „w niebyt”, mogła odegrać pewną rolę we wrobieniu go w porwanie Mickeya Wolfmanna oraz zabójstwo Glena Charlocka.

Wiedząc zatem, że jego znajome stewardesy są od dawna stałymi klientkami Club Asiatique, udał się prosto do nadmorskiej rezydencji Lourdes i Motelli, które, jak się okazało, wybierały się właśnie do tego klubu, by spotkać się tam ze swoimi aktualnymi kochasiami, pozostającymi w kręgu zainteresowań FBI Cookiem i Joaquinem, co dało Docowi sposobność dowiedzenia się, dlaczego *federales* tak się nimi interesują, niwecząc zarazem wszelkie nadzieje na jakikolwiek wspomagany narkotykami potrójny układzik, w którym wzięłby udział wyłącznie on i dziewczyny. Wiedział, że w tej sytuacji, jak powtarzał zawsze Fats Domino, „nic z tego nie będzie”, co swoją drogą tak właśnie zwykle kończyło się z tymi dwiema.

– Mogę się z wami zabrać?

Motella zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem.

– Te sandały mogą od biedy być, rozszerzane spodnie ujdą, ale z górą trzeba coś zrobić – uznała, prowadząc go do pełnej ciuchów szafy, z której ciemnego wnętrza wyciągnął pierwszą lepszą hawajską koszulę z jaskrawożółtym księżycem w nowiu, cycastleymi tancerkami hula, fosforyzującymi zielonymi falami, a także widocznymi tylko w ultrafiolecie papugami w psychodelicznych kolorach, za którymi obejrzałyby się nawet ekstrawagancko upierzone ptaki, oraz kwiatami hibiskusa, których samo wachanie mogło spowodować taki sam odlot jak po zażyciu kwasu.

– To też możesz założyć, ale potem mi zwróć – dodała Motella, wręczając mu koraliki miłości z bezcłowego sklepu dla palaczy, który otwierano na pokładzie Kahuna Airlines, kiedy tylko samolot znalazł się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

– Aaach! – jęczała tymczasem w łazience Lourdes z nosem przyklejonym do lustra. – Kratery jak na księżycu!

– To wina oświetlenia – pocieszył ją szybko Doc. – Wyglądacie cudownie, naprawdę

cudownie.

Wyglądały cudownie i wkrótce, przydane w pasujące do siebie sukienki kupione w Dynasty Salon w hongkońskim Hiltonie, wsparte jedna na prawym, druga na lewym ramieniu Doca, ruszyły do garażu, w którym zamknięty za drzwiami z pojedynczą zakurzoną szybką jaśniał bajeczny, nieziemsko wiśniowy, klasyczny aubum ze wstawkami z drewna orzechowego i rejestracją LNM WOW.

Kiedy jechali San Diego i Harbor Freeways, rozpromienione stewardesy przedstawiły mu długą listę cnót Cookiego i Joaquina. Normalnie uznałyby je za niewarte wzmianki, ale ciekawość, jaką budziły w FBI obaj chłopcy, sprawiła, że sam się nimi zainteresował i słuchał pań dość uważnie. Dzięki temu mógł również nie przejmować się niepotrzebnie jego zdaniem samobójczym sposobem, w jaki Lourdes prowadziła aubuma.

W radiu leciał złoty przebój Boardsów, w którym krytycy dopatrywali się pewnych wpływów Beach Boysów.

*Myślałem, że mam chyba haluu-cynacje.
Gdy stałem na światłach, zawołała Let' s go!
Jak mam odmówić ślicznej osiemnastolatce
W słodkim pontiacu GTO?
Pognaliśmy na północ, spod świateł w Topanga,
Z opon poszedł gorący dym.
Pod maską mojego mustanga
Widlasta ósemka mruczała przez sen...
[łącznik] I szliśmy łeb w łeb, mijając
Park Leo Carillo [wstawka saksofonowa],
A chwilę później Point Mugu...
Tylko ford mustang i słodki pontiac GTO
Suną wybrzeżem, Jak to robią rasowe maszyny.
Powinienem zatankować przed wyjazdem z San Diego.
Już od dziesięciu mil na wskaźniku mam zero,
Nagle, sam nie wiem kiedy, ona mija mnie i hasta luego,
Błyskając zębami w kalifornijskim uśmiechu...*

(Doc wsłuchiwał się w warstwę instrumentalną, ale choć saksofonista wykonał kilka sympatycznych akordów w stylu mariachi, nie był to raczej Coy Harlingen, lecz zwykły spec od jedno- lub dwunutowych solówek).

*Zjechałem na pobocze, czując się jak głab.
I nagle słyszę znajomy pomruk pontiaca.
Na przednim fotelu, tuż obok niej
Co widzę? Czerwony kanister z paliwem...
I pognaliśmy z powrotem, mijając
Park Leo Carillo [ta sama wstawka saksofonowa]
Idąc łeb w łeb aż do Malibu.
Tylko ford mustang i słodki pontiac GTO
Suną wybrzeżem
Jak to robią rasowe maszyny.*

Siedzące przed nim stewardesy podskakiwały na przednich fotelach, piszcząc *A toda madre!*, „Ale jaja, dziewczyno!” i tak dalej.

- Cookie i Joaquin, oni są tacy bo-o-scy – zachwycała się Motella.
- *Seguro, ese!*

– To znaczy, miałam na myśli, że Cookie jest boski. Tak naprawdę nie mogę się chyba wypowiadać na temat Joaquina...

– Jak to, Motella?

– Och, zastanawiałam się, jak to jest, kiedy idzie się do łóżka z kimś, kto ma na całym ciele wytatuowane imię drugiej osoby?

– To żaden problem, chyba że ktoś zajmuje się w łóżku tylko czytaniem – mruknęła Lourdes.

– Panie! Panie! – Doc udał, że je rozdziela. – Zachowujcie się!

Wywnioskował, że Cookie i Joaquin są świeżo przybyłymi z Wietnamu ekszołnierzami, nareszcie w domu, choć, jak się wydawało, nadal realizowali ważną misję, dowiedziawszy się tuż przed odejściem ze służby o pewnym szalonym planie, w którym chodziło o skrzynie z amerykańską walutą transferowane bodaj do Hongkongu. Za wwiezienie dolarów do kraju można było normalnie trafić na długie lata do wojskowego kicia, ale skoro pieniądze znajdowały się teraz fizycznie na wodach międzynarodowych, sytuacja, według różnych ich znajomych oszustów, przedstawiała się zupełnie inaczej.

Objawili się na pokładzie samolotu lecącego do Hongkongu nawaleni jak szpaki darvonami, speedem, piwem PX, wietnamskim zielem oraz serwowaną na lotnisku kawą i przez to raczej niezdolni do normalnej pogawędki w samolocie, w związku z czym, jak opowiadały panie, natychmiast po wyłączeniu świateł nakazujących zapięcie pasów Lourdes i Joaquin oraz Motella i Cookie wylądowali w przylegających do siebie toaletach, pieprząc się do utraty tchu. Fagle trwały również podczas przerwy, jaką dziewczyny miały w locie, a tymczasem skrzynie z walutą stawały się coraz trudniejsze do zlokalizowania i coraz trudniej było w nie uwierzyć, choć Cookie i Joaquin starali się bez większego przekonania szukać ich, kiedy tylko udawało im się na chwilę przerwać zajęcia rekreacyjne.

Club Asiatique mieścił się w San Pedro, naprzeciwko Terminal Island, i widać z niego było most Vincenta Thomasa. W nocy wydawał się spowity, na swój sposób strzeżony, przez coś, co było głębsze niż mrok i stanowiło wizualną manifestację potrzeby (wspólnej dla wszystkich krajów leżących nad Pacyfikiem), by interesy załatwiać po cichu.

Stojące za barem szkło, które w innym lokalu mogło razić oczy, tu świeciło zasmużonym zimnym blaskiem, przypominającym poświętę bijącą od tanich czarno-białych telewizorów. Kelnerki w czarnych jedwabnych sukniach z namalowanymi na nich czerwonymi tropikalnymi kwiatami sunęły na wysokich obcasach, niosąc wysokie wąskie szklanki udekorowane prawdziwymi orchideami, plasterkami mango i słomkami z niebieskawozielonego plastiku odlanego tak, by wyglądał jak bambus. Siedzący przy stolikach klienci nachylali się ku sobie w powolnym rytmie podwodnych roślin. Stali goście łykali gorącą sake i popijali ją schłodzonym szampanem. W powietrzu unosił się dym z opium, cannabis, goździkowych papierosów, malezyjskich cygar i więziennych koolsów i wszędzie w mroku pulsowały małe żarzące się ogniki świadomości. Na dole, w różnych alkowach za zasłonami z koralików, dla tych, którzy z nostalgią wspominali Macao i rozkosze Felicidad Street, trwała na okrągło gra w fantana, madżonga oraz go ze stawką w wysokości jednego dolara za kamień.

– Pamiętaj, mój drogi – powiedziała Motella, kiedy wsunęli się do boksu obitego tkaniną w jasnoróżowe i rdzawe tygrysie cętki – że to ja i Lourdes płacimy rachunek, więc w grę wchodzi tylko najtańsze drinki, żadne tam fiu-bździum z parasolkami.

Doc nie miał nic przeciwko, biorąc pod uwagę różnicę w poziomie dochodów i w ogóle.

Cookie i Joaquin pojawili się, kiedy miejscowy zespół miał zamiar wykonać zakręconą wersję *People Are Strange (When You're a Stranger)* Doorsów. Wystrojeni w kupione gdzieś na wyprzedazy w Kaiser Estates w Kowloonie białe cywilne garnitury, panamy z szerokim rondem oraz podróbki designerskich ciemnych okularów, schodzili równym rytmicznym krokiem w wytłumione czeluście klubu, wymachując w powietrzu palcami.

– Joaquin! Cookie! – zawołały dziewczęta. – O rany! Ja pierdzielę! Wyglądacie tak

zajebiecie! – I tak dalej.

Chociaż niewielu mężczyzn jest tak bardzo zadowolonych ze swojego życia, że mogą sobie darować tego rodzaju publiczne pochwały, Doc widział, że Joaquin i Cookie zerkają jeden na drugiego, myśląc: kurza twarz, człowieku, ciekawe, jak on to robi.

– Może będziemy musieli szybko was pożegnać, *mes chéris* – zahuczał Cookie, wsuwając dłoń w afro Motelli i składając na jej ustach dość długi pocałunek.

– Bez obrazy. To coś w rodzaju delegacji służbowej, która wyskoczyła w ostatniej chwili – dodał Joaquin, biorąc Lourdes w być może jeszcze bardziej namiętne objęcia, które zakłóciła dobrze znana basowa linia kapeli ukrytej w małym gaiku doniczkowych palm.

– W porządku! – odparła Motella, łapiąc Cookiego za krawat z utrzymanym w psychodelicznych kolorach obrazkiem cudownej laguny na Pacyfiku. – Idziemy na całość!

W ciągu dwóch sekund Joaquin zniknął pod stołem.

– Co jest? – zapytała Lourdes, zachowując zimną krew.

– To jakiś psychologiczny szajs, którego nabawił się w Wietnamie. Robi to za każdym razem, kiedy ludzie mówią coś takiego – wyjaśnił Cookie, oddalając się tanecznym krokiem.

– W porządku, kochani! – krzyknął Joaquin, który spędził wojnę, próbując zarobić trochę szmalu, i nie wiedziałby, co to takiego strefa lądowania, nawet gdyby zaczęto ostrzeliwać z niej raketami jego tyłek. – Podoba mi się tu na dole... nie masz nic przeciwko, *mi amor?* – Nie pozostaje mi nic innego, jak uznać, że jestem z kimś naprawdę niskim – odparła Lourdes, krzyżując ramiona na piersiach i uśmiechając się z lekkim przekąsem.

Do Doca podeszła tymczasem nieskazitelna azjatycka piękność w klubowym stroju, w której po dłuższej chwili rozpoznał Jade.

– Jest tu dwóch dżentelmenów – mruknęła – którym zależy na spotkaniu z tymi chłopcami tak bardzo, że gotowi są rozdawać na lewo i prawo dwudziestodolarowe banknoty.

Joaquin wystawił głowę spod obrusa.

– Gdzie oni są? – zapytał. – Wskażemy im kogoś innego i będziemy dwadzieścia dolców do przodu.

– Czterdzieści dolców do przodu – poprawiła go Lourdes.

– To generalnie niezły plan – uznała Motella, wracając z Cookiem. – Tyle że wszyscy was tu doskonale znają i tak się składa, że ci dwaj dżentelmeni właśnie podchodzą.

– O cholera, to Blondie-san – mruknął Cookie. – Wygląda, jakby był na ciebie wkurzony. Chyba jest wkurzony.

– Nieprawda – odparł Joaquin. – On nie jest wkurzony, ale nie mam pewności co do jego współnika.

Blondie-san miał tupecik, którym nie oszukałby niczyjej *abuelity* w South Pas, oraz czarny biznesowy garnitur o kroju lekko kojarzącym się z mafią... Poirytowany, z zaczerwienionymi oczami i kurzący bez przerwy tanie japońskie papierosy, kroczył w towarzystwie krępego członka yakuzy o imieniu Iwao, któremu dawno już powinno się odebrać dan z powodu skłonności do niczym nieuzasadnionej agresji. Oczy Iwao latały po całym pomieszczeniu, a twarz wykrzywił umysłowy wysiłek, jakby próbował dociec, kto będzie jego głównym celem.

Doc nie mógł patrzeć na kogoś, kto był tak bardzo skonfundowany. Poza tym, im bardziej Cookie i Joaquin angażowali się w rozmowę z Blondie-sanem, tym mniej zajmowali się Lourdes i Motellą, przez co panie wpadały w coraz większą desperację i były bardziej skłonne do emocjonalnych szaleństw, które tak lubiły. Wszystko to nie wróżyło dobrze.

Mniej więcej wtedy pojawiła się ponownie Jade.

– Wydawało mi się, że to ty – stwierdził Doc – choć właściwie nie mieliśmy kontaktu wzrokowego. Dostałem twoją wiadomość, ale dlaczego tak szybko się zmyłaś? Mogliśmy usiąść, zapalić jakieś badziewie...

– Nie widziałeś tych kanalii w barrakudzie, którzy śledzili nas przez całą drogę z

Hollywood. Nie wiadomo, kto to był, i nie chcieliśmy wpędzić cię w dodatkowe kłopoty. Dlatego udaliśmy, że chodzi nam o te zastrzyki witaminy B dwanaście. Trochę nas to nakreśliło, więc widząc cię, złapałyśmy paranoję i uciekłyśmy.

– Nie zamawiaj przypadkiem Singapore Sling – ostrzegła go Motella. – Nic z tych rzeczy.

– To moja koleżanka z klasy. Rozmawiamy o szkolnych balach, lekcjach geometrii...

Rozchmurz się, Motello.

– Gdzie była ta szkoła, w Tehachapi?

– Uuuch – jęknęła Lourdes. Dziewczęta były podenerwowane i mocne drinki nie poprawiały im nastroju.

– Spotkajmy się na zewnątrz – szepnęła Jade i odeszła, stukając wysokimi obcasami.

*

Prawie całkowity brak latami przed klubem mógł być celowy i tworzyć typową dla Orientu romantyczną i tajemniczą atmosferę, lecz parking wyglądał przez to jak czekające na powtórkę z rozrywki miejsce przestępstwa. Doc zauważył wyposażony w brezentowy dach de soto fireflite rocznik 56. Miał wrażenie, że samochód głęboko oddycha, jakby pędził tu przez całą drogę. Kiedy zastanawiał się, jak dyskretnie otworzyć maskę i rzucić okiem na silnik z półkolistą komorą spalania, pojawiła się Jade.

– Mam mało czasu. Jesteśmy na terytorium Złotego Kła i dziewczyna taka jak ja nie chce mieć na karku tych ludzi.

– To ten sam Złoty Kieł, przed którym ostrzegałaś mnie w liście? Co to jest, jakaś kapela?

– Chciałbyś – odparła, pokazując, że ma zapieczętowane usta.

– Nic mi nie powiesz po tych wszystkich ostrzeżeniach?

– Nie. Tak naprawdę chciałam cię tylko bardzo przeprosić. Czuję się fatalnie po tym, co zrobiłam.

– Czyli... po czym?

– Nie jestem kapusiem! – krzyknęła. – Gliniarze powiedzieli nam, że wycofają zarzuty, jeśli przeniesiemy cię na miejsce przestępstwa, gdzie i tak wiedzieli, że byłeś, więc co to komu szkodziło, a ja chyba wpadłam w panikę, i naprawdę, Larry, strasznie mi przykro...

– Mów mi Doc, nie ma sprawy, Jade. Musieli mnie wypuścić, a teraz po prostu wszędzie za mną łążą. Proszę. – Znalazł paczkę papierosów i poczęstował ją. Jade wzięła jednego i zapalili.

– Ten gliniarz... – mruknęła.

– Masz pewnie na myśli Wielką Stopę.

– Spaczony kawałek plastiku.

– Zachodził może kiedyś do waszego salonu?

– Zaglądał od czasu do czasu, ale nie tak, jak to robi glina, oczekując darmowych usług...

Jeżeli ten facet dostawał swoją dolę, to raczej na mocy prywatnej umowy z panem Wolfmannem.

– Nie bierz tego do siebie, ale... czy Wielka Stopa osobiście ukołysał mnie do snu, czy też zlecił to komuś innemu?

Jade wzruszyła ramionami.

– Wszystko przegapiłam. Kiedy pojawiła się ta brygada oprychów, Bambi i ja byłyśmy tak przerażone, że szybko się zwinęłyśmy.

– A ci nazistowscy garownicy, którzy mieli pilnować Mickeya?

– Chwilę wcześniej wszędzie było ich pełno i nagle zniknęli. Szkoda. Byłyśmy przez jakiś czas ich cholerną kantyną, zaczęłyśmy już nawet odróżniać jednego od drugiego i w ogóle.

– Wszyscy zniknęli? Czy to się stało przedtem czy po tym, jak zaczęła się zabawa?

– Przedtem. Tak jak to się dzieje przed policyjnym rajdem, kiedy ludzie o nim wiedzą. Zmyli się wszyscy oprócz Glena. Był jedynym, który... – Jade przerwała na chwilę, jakby

próbowała przypomnieć sobie to słowo – ... został. – Rzuciła papierosa na asfalt i zgmiotła spiczastym czubkiem buta. – Słuchaj... jest ktoś, kto chciałby z tobą pogadać.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem się stąd szybko wynosić?

– Nie, on uważa, że możecie sobie nawzajem pomóc. To nowa twarz, nie znam nawet dobrze jego nazwiska, ale wiem, że ma jakieś kłopoty – powiedziała i weszła do środka.

Z morskiej mgły, która często spowijała ten odcinek wybrzeża, wyłoniła się kolejna postać. Doca niełatwo było wystraszyć, ale żałował, że się nie zmył. Rozpoznał osobnika ze zdjęcia, które dała mu Hope. To był Coy Harlingen, właśnie przybyły z zaświatów, gdzie śmierć wraz ze swymi efektami ubocznymi zabiła wszelkie wyczucie mody, jakie kołatało w tenorowym saksofonistcie, nim przedawkował, wskutek czego miał teraz na sobie malarski kombinezon, różową koszulę z przypinanym kołnierzykiem w stylu lat pięćdziesiątych, wąski czarny krawat z dzianiny oraz staroświeckie kowbojskie buty ze spiczastymi czubkami.

– Siemasz, Coy.

– Przyszedłbym do twojego biura, człowieku, ale bałem się, że zobaczy mnie tam ktoś, kto nie pała do mnie miłością.

Doc potrzebował trąbki do ucha lub czegoś w tym rodzaju, ponieważ z portu dobiegały odgłosy syren okrętowych, a Coy miał typową dla ćpunów skłonność do mówienia niemal niesłyszalnym szeptem.

– A tutaj jesteś bezpieczny? – zapytał go Doc.

– Zapalmy i udawajmy, że wyszliśmy się sztachnąć.

Mocno aromatyczna azjatycka indica. Doc spodziewał się, że zwali go z nóg, zamiast tego odnalazł jednak obszar jasności, w którym nie było trudno pozostać. Żarzący się koniec skrzyta rozmazywał się we mgle, jego kolor zmieniał się z pomarańczowego w intensywnie różowy.

– Oficjalnie nie żyję – powiedział Coy.

– Krążą plotki, że to nieprawda.

– To nie jest jakaś wielka sensacja. Bycie martwym to część mojego zawodowego wizerunku. Jakby coś, co robię.

– Pracujesz dla tych ludzi w klubie?

– Nie wiem. Możliwe. Tutaj przychodzę po zapłatę.

– A gdzie mieszkasz?

– W Topanga Canyon. W domu należącym do zespołu, w którym kiedyś grałem, Boardsów. Ale żaden z nich nie wie, że to ja.

– Jak to możliwe, że nie wiedzą, że to ty?

– Nawet kiedy żyłem, nie wiedzieli, że to ja. Generalnie byłem zwykłym saksofonistą... facetem z sesji nagraniowej. Poza tym w ciągu tych lat była wielka rotacja personelu. Boardsi, z którymi grałem, prawie wszyscy odeszli i założyli inne kapele. Zostały może tylko dwie osoby ze starej drużyny i niestety albo na szczęście mają ciężkie objawy amnezji ćpuna.

– Mówią, że odwaliłeś kite po jakiejś brudnej heroinie. Nadał bierzesz?

– Nie. Boże. Ostatnio jestem czysty. Byłem w takim miejscu niedaleko... – Coy umilkł i przez dłuższy czas się nie odzywał. Zastanawiał się pewnie, czy nie powiedział za dużo, i próbował zgadnąć, co jeszcze może wiedzieć Doc. – Właściwie byłbym wdzięczny, gdybyś...

– Nie ma sprawy – odparł Doc. – Nie słyszę cię zbyt dobrze, a jak mogę mówić o czymś, czego nie słyszałem?

– Jasne. Chciałem się z tobą spotkać w związku z pewną sprawą.

Docowi wydawało się, że usłyszał w głosie Coya szczególnie ton... niekoniecznie oskarżycielski, lecz mimo to obwiniający go o udział w jakiejś grubszej niesprawiedliwości. Przyjrzał się jego chwilami całkiem wyraźnej twarzy, kropelkom mgły lśniącym na jego brodzie w padającym z Club Asiatique świetle, milionom oddzielnych małych aureoli promieniujących wszystkimi kolorami widma, i zrozumiał, że bez względu na to, kto ma tu komu pomóc, Coy potrzebuje łagodnego podejścia.

- Przepraszam, człowieku. Co mogą dla ciebie zrobić?
- To nie będzie nic trudnego. Zastanawiałem się tylko, czy nie mógłbyś sprawdzić dwóch osób. Kobiety i małej dziewczynki. Zobaczyć, czy dobrze sobie radzą. To wszystko. Bez wymieniania mojego nazwiska.
- Gdzie mieszkają?
- W Torrance. – Coy dał mu karteluszek z adresem Hope i Amethyst.
- To blisko mnie, pewnie nie obciążę cię nawet za dojazd.
- Nie musisz tam wchodzić i z nikim rozmawiać, po prostu zobacz, czy nadal tam mieszkają, co stoi na podjeździe, kto wchodzi i wychodzi, czy kręcą się w pobliżu gliniarzy, wszystko, co uznasz za interesujące.
- Załatwione.
- Nie mogę ci w tym momencie zapłacić.
- Kiedy będziesz mógł. Kiedykolwiek. Chyba że należysz do tych, którzy uważają, że informacja to pieniądz... wtedy chciałbym cię zapytać...
- Pamiętaj, że albo nie będę wiedział, albo za żadne skarby ci nie powiem. O co chodzi, człowieku?
- Słyszałeś kiedyś o Złotym Kle?
- Jasne. – Czy to było wahanie? Jak długo powinno trwać, by uznać je za zbyt długie? – To statek.
- Co ty powiesz? – bardziej zaśpiewał, niż powiedział Doc w sposób, w jaki robią to Kalifornijczycy, by dać do zrozumienia, że ich coś w ogóle nie ciekawi. Od kiedy to trzeba wystrzegać się statku?
- Serio. To duży szkuner. Słyszałem od kogoś. Przywozi i wywozi z kraju jakieś rzeczy, ale nikt nie chce powiedzieć co dokładnie. Ten japoński blondyn z oprychem przy boku, ten, który rozmawiał z twoimi znajomymi, on będzie wiedział.
- Dlaczego?
- Zamiast odpowiedzieć, Coy wskazał z poważną miną coś, co znajdowało się za parkingiem, ulicą, głównym kanałem i leżącym dalej zewnętrznym portem. Doc odwrócił się i przez chwilę wydawało mu się, że widzi coś białego, co się tam poruszało. Gęstniejąca mgła sprawiała jednak, że oczy płały mu figle. Kiedy wybiegł na ulicę, niczego tam nie było.
- To był on – powiedział Coy.
- Skąd wiesz?
- Widziałem, jak zawija. Pojawił się tu mniej więcej o tej samej porze co ja.
- Nie wiem, co widziałem.
- Ja też nie. W gruncie rzeczy nie chcę nawet wiedzieć.
- Wróciwszy do środka, Doc odkrył, że pali się coraz więcej ultrafioletowych świateł, ponieważ papugi na jego koszuli zaczęły się poruszać, trzepotać skrzydłami, skrzeczeć i być może nawet mówić, choć z drugiej strony mogło to być spowodowane trawką. Tymczasem Lourdes i Motella przekroczyły wszelkie granice, atakując dwie dziewczyny lokalnych gangsterów, w reakcji na co kelnerzy i kelnerki przesunęli dyskretnie kilka stolików, żeby zrobić więcej miejsca, a klienci sformowali krąg, by dopingować walczące. Pękały szwy ubrań, mierzwiły się fryzury i widać było dużo golizny oraz liczne chwytły o seksualnym podtekście – czyli normalne atrakcje towarzyszące damskim zapasom. Cookie i Joaquin nadal byli zatopieni w rozmowie z Blondie-sanem. Iwao oglądał walczące dziewczęta. Doc przysunął się, żeby coś usłyszeć.
- Właśnie odbyłem satelitarną konferencję ze współnikami – mówił Blondie-san – i najwyższa oferta wynosi trzy za sztukę.
- Może zaciągnę się z powrotem do woja – mruknął Joaquin. – Zarobię tam więcej niż tutaj.
- Kolega dał się ponieść emocjom – wyjaśnił Cookie. – Bierzemy.

- Może ty bierzesz, *ese*, ja nie.
- Nie muszę wam przypominać – powiedział Blondie-san ze złowrogim rozbawieniem – że to Złoty Kieł.
- Lepiej nie zadzierać ze Złotym Kłem – zgodził się Cookie.
- *Caaa-a-rajo!* – wykrzyknął Joaquin, odchylając się gwałtownie do tyłu. – Co te cizie wyprawiają?

Nazajutrz rano Doc zadzwonił do Sauncho i zapytał go, czy słyszał kiedykolwiek o statku „Złoty Kieł”.

Sauncho zaczęła udzielać dziwnie wykrętnych odpowiedzi:

– Zanim zapomnę... czy w ostatnim odcinku *Gilligans Island* Ginger miała na palcu pierścionek z brylantem?

– Na pewno nic ci się nie obilo...

– Hej, byłem trzeźwy, po prostu nie mogłem się lepiej przyjrzeć. I dlaczego tak wodziła oczami za Skipperem? Nie wiedziałem nawet, że ze sobą chodzą.

– Jakoś to przegapiłem – przyznał Doc.

– Zawsze wydawało mi się, że spiknie się z Gilliganem.

– Nie, nie... z Thurstonem Howellem Trzecim.

– Daj spokój. On nigdy nie rozwiedzie się z Lovey.

Obaj zorientowali się nagle, że wszystko to można odebrać jako zaszyfrowany opis tego, co łączyło Shastę Fay, Mickeya Wolfmanna oraz, nie do wiary, samego Docca. Na chwilę zapadła krępująca cisza.

– Pytam o ten statek – odezwał się wreszcie Doc – ponieważ...

– No dobrze – przerwał mu nieco obcesowo Sauncho. – Znasz ten port jachtowy w San Pedro? Jest tam restauracja rybna, nazywa się Belaying Pin. Możemy się tam spotkać na lunchu. Powiem ci, co mogę.

Sądząc po zapachu, który uderzył go w nos przy wejściu, Belaying Pin nie należała raczej do knajp, gdzie przykłada się dużą wagę do zdrowej żywności. Trudniej było się zorientować, jaka jest tutejsza klientela.

– To nie nowobogaccy – wyjaśnił Sauncho – lecz raczej nowokredyccy. Wszystko, co posiadają, łącznie z żaglówkami, kupili na karty kredytowe, które wydają w miejscach takich jak Dakota Południowa, kiedy prześlesz im podanie na odwrocie pudełka zapalek. – Mówiąc to, przycisnął się między siedzącą przy stolikach z polakierowanych akrylem włazów żeglarską plastikokracją do boksu, z którego roztaczał się widok na morze. – Lubię zabierać do Belaying Pin ważnych klientów, a poza tym pomyślałem, że spodoba ci się widok.

Doc wyjrzał przez okno.

– Czy to jest to, co mi się wydaje?

Sauncho miał zawieszoną na szyi starą lornetkę z drugiej wojny światowej. Zdjął ją i podał Docowi.

– Poznaj szkuner „Złoty Kieł” z portu macierzystego Charlotte Amalie.

– Gdzie to jest?

– Wyspy Dziewicze.

– Trójkąt Bermudzki?

– Niedaleko.

– Spory statek.

Doc przyjrzał się eleganckim, a zarazem – jak to ująć – nieludzkim liniom „Złotego Kła”, w którym wszystko było na bardzo wysoki połysk: więcej anten i kopuł radarowych, niż może potrzebować jakikolwiek statek, żadnej widocznej flagi kraju pochodzenia, wyłożony

mahoniem, a może drewnem tekowym pokład, nieprzeznaczony raczej do tego, by relaksować się na nim z wędką albo puszką piwa.

Znany jest z tego, że pojawia się niezapowiedziany w środku nocy – wyjaśnił Sauncho – bez żadnych świateł i sygnałów radiowych. Miejscowi mądrze, zakładający, że nocna wizyta może mieć jakiś związek z narkotykami, czają się w pobliżu przez dzień albo dwa, ale szybko dają za wygraną, mrużąc coś o zastraszaniu. Nigdy nie wiadomo przez kogo. Kapitan portu chodzi podenerwowany, jakby zmuszono go do uchylecia wszystkich stosownych opłat, i za każdym razem, gdy odzywa się radio, podskakuje wysoko w górę.

– Więc kim jest ten *capo di tutti capi*, który go ma? – Doc nie widział powodu, żeby o to nie zapytać.

– Właściwie zastanawialiśmy się, czy nie wynająć cię, żebyś to ustalił.

– Mnie?

– Nie w pełnym wymiarze godzin.

– Myślałem, że jesteście w tym świetnie zorientowani.

Sauncho od lat uważnie obserwował żeglarską społeczność południowej Kalifornii, z początku odczuwając nieuniknioną klasową nienawiść, jaką takie jachty, mimo całego swojego piękna, budzą w ludziach o średnich dochodach, później jednak snując fantazje, że któregoś dnia wypuści się na morze z kimś, może nawet z Dokiem, małą bezkabinową żaglówką klasy snipe albo lido.

Jak się okazało, kancelaria Hardy'ego, Gridleya i Chatfielda była od jakiegoś czasu bardzo, prawie desperacko zainteresowana „Złotym Kłem”. Historia ubezpieczeniowa szkunera stanowiła majstersztyk mistyfikacji, których rozwikłanie zmuszało zdumionych urzędników, a nawet partnerów, do studiowania dziewiętnastowiecznych komentatorów w rodzaju Thomasa Amoulda i Theopilusa Parsonsa. Macki grzechu, pożądania i tej dziwnej ziemskiej karmy, która odgrywa niebagatelne znaczenie w prawie morskim, rozciągały się na wszystkie obszary żeglarskiej kultury Pacyfiku i normalnie potrzebowałyby zaledwie drobnej części tygodniowego funduszu reprezentacyjnego kancelarii, użytego w starannie wybranych miejscowych jachtklubach, by dowiedzieć się wszystkiego, co chcieli wiedzieć, z długich nocnych rozmów żeglarzy. W portach Tahiti, Moorei i Bora-Bora padały nazwiska wilków morskich i ich jednostek, opowiadano o tym, co zdarzyło się i co mogło się zdarzyć na pokładzie, kto nadal nawiedza kabiny, czyja dawna karma pozostała niepomszczona i czeka na okazję.

– Jestem Chlorinda, co podać?

Ubrana w marynarkę w stylu Nehru i hawajską kolorową koszulę, dość długą, by można ją było uznać za minispódniczkę, kelnerka wysyłała fluidy, które raczej nie zaostrzały apetytu.

– Normalnie zamówiłbym admirałskie luau – odparł Sauncho bardziej nieśmiało, niż spodziewał się Doc – ale dzisiaj poproszę chyba na początek firmowe klopsiki anchois i hmm... filet z diabła morskiego. Czy możecie go zapiec w piwnym cieście?

– To twój żołądek. A ty, mały?

– Hmm! Tyle tu wspaniałych dań! – mruknął Doc, przeglądając menu. Sauncho kopnął go pod stołem.

– Gdyby mój mąż ośmielił się zjeść którekolwiek z tych świństw, wywaliłabym go za drzwi i wyrzuciła przez okno całą jego kolekcję Iron Butterfly.

– Trudno coś wybrać – stwierdził szybko Doc. – Może krokiety teriyaki z meduzy? I węgorz trovatore?

– I coś do picia, panowie. Musicie być porządnie narąbani, kiedy wam to podadzą. Polecałabym Tequila Zombie, ma bardzo szybkie działanie.

Kelnerka odeszła nadąsana.

Sauncho przyglądał się szkunerowi.

– Problem z tym statkiem polega na tym, że trudno się o nim czegokolwiek dowiedzieć.

Ludzie wycofują się, zmieniają temat, nawet, no, nie wiem... robią się dziwni, idą do toalety i już się nie pojawiają. – W wyrazie twarzy Sauncho Doc znów zobaczył coś na kształt pożądania. – Tak naprawdę wcale nie nazywał się „Złoty Kieł”. Nie, jego oryginalna nazwa brzmiała „Ocalony”, po cudownym wyjściu cało z olbrzymiej eksplozji nitrogliceryny w porcie Halifax w 1917 roku, eksplozji, która pochłonęła prawie wszystkie inne statki razem z załogami. „Ocalony” był kanadyjskim szkunerem rybackim, który później, w latach dwudziestych i trzydziestych, zdobył reputację żaglowca regatowego, ścigając się regularnie z innymi statkami swojej klasy, w tym również co najmniej dwa razy z legendarnym „Bluenose”. Krótco po drugiej wojnie światowej, kiedy szkunery rybackie ustąpiły miejsca kutrom motorowym, został kupiony przez Burke’a Stodgera, gwiazdora filmowego, który niedługo potem trafił za swoje poglądy polityczne na czarną listę i został zmuszony do zabrania jachtu i opuszczenia kraju. W tym momencie pojawia się wątek Trójkąta Bermudzkiego – opowiadał Sauncho. – Gdzieś między San Pedro i Papeete statek znika. Z początku wszyscy sądzili, że został zatopiony przez Siódmą Flotę na bezpośredni rozkaz rządu Stanów Zjednoczonych. Rządzący wówczas republikanie naturalnie wszystkiemu zaprzeczali, paranoja rosła, aż pewnego dnia, dwa lata później, statek i jego właściciel pojawili się ponownie: „Ocalony” po drugiej stronie kontynentu, niedaleko Kuby, a Burke Stodger na pierwszej stronie tygodnika „Variety” w artykule opowiadającym o jego powrocie do świata filmu w realizowanym przez wielką wytwórnię wysokobudżetowym projekcie pod tytułem *Zwierzenia komucha*. Tymczasem szkuner, przeniesiony w okamgnieniu, jakby brały w tym udział siły nieczyste, na drugą stronę globu, został przerobiony od stępki po maszt (łącznie z usunięciem wszelkich śladów duszy) na to, co widzisz nieopodal. Jako właściciele wymienia się pewne konsorcjum na Bahamach, które zmieniło jego nazwę na „Złoty Kieł”. To wszystko, czego się na razie dowiedzieliśmy. Wiem, dlaczego ja jestem zainteresowany. Ale dlaczego ty?

– Ma to związek z pewną historią, którą niedawno usłyszałem. Czy w grę wchodzi szmugiel?

– Można tak powiedzieć. – Normalnie beztrocki adwokat wydawał się tego dnia bardzo przygnębiony. – Można też powiedzieć, że lepiej byłoby, gdyby szkuner wyleciał w powietrze w Halifaksie pięćdziesiąt lat temu, niż znalazł się w sytuacji, w jakiej jest obecnie.

– Sauncho, nie patrz się na mnie tak dziwnie, psujesz mi apetyt.

– Pytam cię jak adwokat swojego klienta: czy historia, którą usłyszałeś, nie wiąże się przypadkiem z Mickeyem Wolfmannem?

– Na razie nie, a dlaczego?

– Wieść niesie, że na krótko przed zaginięciem ukochanego przez wszystkich dewelopera widziano go na pokładzie „Złotego Kła”. Wybrał się w krótki rejs po oceanie i zaraz wrócił. Coś, co Skipper mógłby nazwać „trzygodzinną wycieczką”.

– Zaczekaj, założę się, że była z nim również jego urocza towarzyszka...

– Myślałem, że skończyłeś już z tymi bzdurami. Pozwól, że zamówię ci do tego Zombie podwójną whisky albo coś podobnego, znowu będziesz mógł się mazać.

– Tylko pytałem... Więc wszyscy wrócili zdrowi i cali, nikt nikogo nie wypchnął za burtę?

– Co dziwne, mój informator w sądzie federalnym twierdzi, że coś wypadło za burtę. Może nie człowiek, ale coś, co wyglądało na obciążony balastem pojemnik. Może był to tak zwany lagan, czyli ładunek, który zatopiono celowo, by wrócić po niego później.

– Czy zostawili boję, żeby oznaczyć jakoś to miejsce?

– Teraz to wszystko załatwia się elektronicznie, Doc. Ustalasz swoją pozycję geograficzną za pomocą radiowego systemu LORAN, a kiedy chcesz się zbliżyć do ładunku, włączasz sonar.

– Mówisz tak, jakbyś miał zamiar tam popłynąć i rzucić okiem.

– Myślę raczej, żeby wybrać się na zwyczajną przejażdżkę łodzią. Ludzie w sądzie, którzy

wiedzą, że jestem... – Sauncho próbował znaleźć odpowiednie słowo.

– Zainteresowany.

– Łagodnie mówiąc. Żeby nie powiedzieć, że mam obsesję.

Jakby to była jakaś cizia, pomyślał Doc, mając nadzieję, że nie porusza ustami.

*

Fritz siedział, jak zwykle ostatnio, w pokoju komputerowym, wpatrując się w dane. Na jego twarzy malowała się apatia, którą Doc widział wcześniej u ludzi wkraczających w świat uzależnień.

– Mówią, że twoja dziewczyna wyjechała z kraju. Przykro mi, że dowiadujesz się tego ode mnie.

Doca zdziwiła intensywność rektogenitalnego dreszczu, który go przeszedł.

– Dokąd wyjechała?

– Nie wiadomo. Była na pokładzie statku, o którym federalni mówią, że pozostaje w kręgu zainteresowania. Ich i być może także twojego.

– Oho... – Doc spojrział na wydruk i zobaczył nazwę „Złoty Kieł”. – Masz tę informację z komputera, który jest podłączony do tej twojej sieci?

– Ta konkretna informacja pochodzi z Biblioteki Hoovera w Stanford... z czyjejś kolekcji akt kontrwywiadu. Masz, wszystko ci wydrukowałem.

Doc przeszedł do drugiego pokoju i nalał sobie kawy z termosu, na co księgowy Milton, który ostatnio robił trudności, zaczął się kłócić z Fritzem, czy kawa ma zostać opłacona z funduszu reprezentacyjnego, czy z funduszu kosztów ogólnych. Sekretarka Gladys, chcąc zagłuszyć sprzeczkę bądź też zasugerować delikatnie, żeby się przymknęli, puściła głośniej biurowe stereo, w którym leciał akurat jakiś przebój Blue Cheer. Wtedy Fritz i Milton zaczęli krzyczeć na Gladys, która nie pozostała im dłużna. Doc zapalił skręta i zaczął czytać akta, które zostały zgromadzone przez Amerykańską Radę Bezpieczeństwa – prywatną instytucję wywiadowczą funkcjonującą, według Fritza, w Chicago mniej więcej od 1955 roku.

Była tam krótka historia szkunera „Ocalony”, który tak interesował kręgi kontrwywiadowcze z racji jego morskiej dzielności. W okresie gdy znów pojawił się na Karaibach, wykonywał na przykład jakąś misję szpiegowską przeciwko Fidelowi Castro, który działał w górzystych rejonach Kuby. Później, pod nazwą „Złoty Kieł”, okazał się przydamy podczas antykomunistycznych operacji w Gwatemali, Afryce Zachodniej, Indonezji oraz w innych miejscach, których nazwy były zaczerpnięte. Często zabierał w charakterze ładunku miejscowych „wichrzycieli”, których nikt już potem nie widział. Kilka razy pojawił się termin „pogłębione przesłuchanie”. Szkunier przemyślał ze Złotego Trójkąta należąca do CIA heroinę. Monitorował transmisje radiowe przy nieprzyjaznych wybrzeżach i przekazywał ich treść agencjom w Waszyngtonie. Dostarczał broń antykomunistycznym partyzantom, również tym, którzy brali udział w niefortunnej operacji w Zatoce Świń. Chronologia była doprowadzona aż do dnia dzisiejszego, stąd też w aktach znalazła się informacja o niespodziewanej wycieczce Mickeya Wolfmanna tuż przed jego zaginięciem, a także o zesłotygodniowym wypłynięciu szkunera z San Pedro ze znaną towarzyszką Wolfmanna, Shastą Fay Hepworth na pokładzie.

To, że Mickey, znany z tego, iż hojnie wspierał Reagana, mógł brać udział w jakiejś antykomunistycznej krucjacie, nie było wielką niespodzianką. Ale jak bardzo była w to zamieszana Shasta? Kto zorganizował jej wyjazd z kraju na pokładzie „Złotego Kłosa”? Czy był to Mickey, czy może ktoś inny, kto odwdzięczał się jej w ten sposób za pomoc w wykołowaniu Mickeya? Jak mroczne musiały być machinacje, w które się wplątała, skoro jedynym sposobem, żeby się z nich wywikłać, była pomoc we wrobieniu ukochanego? To straszne, człowieku. Stra-szne.

Zakładając, że w ogóle pragnęła się wywikłać. Może tak naprawdę nadal chciała brać w

tym udział, cokolwiek to było, a Mickey stanął jej na przeszkodzie. Ewentualnie spotykała się na boku z chłopakiem Sloane, Riggsem, a Sloane próbowała się zemścić, wrabiając ją w zabójstwo Mickeya. Albo Mickey był zazdrosny o Riggsa i kazał go ukatrupić, tyle że plan nie wypalił, i facet, któremu to zlecił, pojawił się i przypadkiem zabił Mickeya. A może to wcale nie był przypadek, ponieważ jeszcze niezidentyfikowany płatny zabójca tak naprawdę chciał uciec ze Sloane...

– Achchch!

– Dobry towar, nie ma co – stwierdził Fritz, podając mu w szczypczykach żarzącego się peta: wszystko, co zostało z tego, co palili.

– Zdefiniuj, co znaczy „dobry” – mruknął Doc. – Mnie na przykład normalnie mózg się lasuje.

Fritz długo chichotał.

– No tak, prywatni detektywi nie powinni zażywać narkotyków. Te wszystkie alternatywne światy za bardzo komplikują wam robotę.

– A co powiesz na Sherlocka Holmesa, człowieku? Brał kokę przez cały czas, to pomagało mu rozwiązywać zagadki.

– Zgadza się... ale on przecież nie był prawdziwy.

– Jak to? Sherlock Holmes nie był...

– To wymyślony bohater kilku opowiadań, Doc.

– No nie. Jest prawdziwy. Mieszka przecież przy tej autentycznej ulicy w Londynie. To znaczy może już nie mieszka, to było dawno temu, zdążył już umrzeć.

– Chodź, skoczmy do Zucky'ego. Nie wiem, jak ty, ale ja mam to, co Cheech i Chong mogliby nazwać „ochotą na knedle”.

Wchodząc do legendarnego baru w Santa Monica, poczuli na sobie badawcze spojrzenia świrów w różnym wieku, którzy najwyraźniej spodziewali się kogoś innego. Po chwili pojawiła się Magda z tymi samymi co zawsze zuckyburgerami i frytkami oraz wołowiną na żytnim chlebie, sałatką ziemniaczaną, selerową oranżadą Doktora Browna, piklami i kwaszoną kapustą. Wydawała się bardziej zgaszona niż zwykle.

– Lokal pęka w szwach – zauważył Doc.

Magda przewróciła oczami, omiatając wzrokiem wnętrze.

– To fani serialu *Marcus Welby, M. D.* Zauważyliście może, że sztyld Zucky'ego pojawia się na pół sekundy w trakcie czołówki? Można mrugnąć i tego nie zobaczyć, ale to wystarcza tym ludziom, którzy przychodzą i pytają na przykład, czy to motor doktora Steve'a Kileya stoi na ulicy i gdzie jest szpital, i którzy... – dodała, podnosząc głos i odchodząc od stolika – świrują, kiedy nie mogą znaleźć cheetos albo twinkies w cholernym menu!

– Dobrze przynajmniej, że to nie *Mod Squad* – pocieszył ją Doc.

– Dlaczego? – obruszył się Fritz. – To mój ulubiony serial.

– Policyjny ogłupiacz. Donoś na kolegów, to dostaniesz lizaka od kapitana.

– Słuchaj, dorastałem w Temeculi, gdzie króluje Krazy Kat, i zawsze kibicowaliśmy Ignatzowi, a nie policjantowi Puppowi.

Przez chwilę zajęli się spożywaniem posiłku, zapominając, czy zamówili coś więcej, wołając Magdę, a potem zapominając, czego od niej chcieli.

– Rzecz w tym, że prywatni detektywi mają teraz przechlapane, człowieku – podjął wcześniejszą myśl Doc. – Widać to od lat w kinie i w telewizji. Kiedyś byli ci wielcy detektywi: Philip Marlowe, Sam Spade i największy z nich wszystkich, Johnny Staccato, zawsze sprytniejsi i lepsi zawodowo od gliniarzy, zawsze rozwiązujący sprawę, podczas gdy policjanci podążali mylnymi tropami i tylko przeszkadzali.

– I na samym końcu przychodzili założyć kajdanki.

– Tak, ale dzisiaj oglądasz już tylko gliniarzy, w telewizji pełno jest pierdolonych seriali o policjantach, którzy są zwyczajnymi równymi gośćmi, próbującymi po prostu wykonywać

swoją pracę. Nie stanowią większego zagrożenia dla czyjejś wolności niż jakiś tatuś w sitcomie, prawda? I widownia tak polubiła gliniarzy, że chce ich oglądać na okrągło. Żegnaj, Johnny Staccato, witaj, i skoro już jesteś, proszę, wywal kopniakiem moje drzwi, Stevie McGarretcie. A tymczasem w realnym świecie większość prywatnych detektywów nie zarabia nawet na czynsz.

– Więc dlaczego siedzisz w tej branży? Dlaczego nie kupisz sobie łodzi w delcie Sacramento i nie zaczniesz palić, pić, wędkować, ciupciać, no, wiesz, robić tego wszystkiego, co robią starsi ludzie?

– Nie zapomnij o szczaniu i pierdzeniu.

*

Świtało, bary zamykano albo były zamknięte, przed Wavos wszyscy siedzieli przy stolikach na zewnątrz, śpiąc z głowami na gofrach i w talerzach z wegetariańskim chili, albo rzygali na ulicy, wskutek czego przejeżdżające z rzadka motocykle wpadały w poślizg na pawiach. W Gordita Beach była późna zima, ale nie można było tego powiedzieć o pogodzie. Ludzie gadali, że w poprzednim roku lato nie nadeszło aż do sierpnia i teraz prawdopodobnie nie będzie żadnej zimy aż do wiosny. Suchy wiatr Santa Ana wywiewał cały smog z centrum LA, kierując go na zachód między Hollywood i Puente Hills i dalej przez Gordita Beach na morze, i trwało to już chyba kilka tygodni. Wiatry od lądu wiały zbyt mocno, by mogły powstać porządne fale, lecz surferzy i tak wstawali wcześniej, by obserwować dziwny brzask, który był widzialnym odpowiednikiem tego, co wszyscy czuli na skórze – pustynnych wiatrów, upału i nieustępliwości. Spaliny z miliona pojazdów silnikowych mieszały się z drobnym piaskiem z pustyni Mojave, powodując przesunięcie światła ku czerwonemu skrajowi widma. Wszystko wydawało się przyćmione, krwawe, biblijne: niebo ostrzegało żeglarzy. Powietrze było tak suche, że od butelek tequili w sklepach monopolowych odklejały się banderole. Właściciele sklepów mogli do nich nalewać, co chcieli. Odrzutowce startowały w złą stronę, huk silników niósł się nad głowami nie tam, gdzie powinien, i sny wszystkich mieszały się, jeżeli ludzie w ogóle byli w stanie zasnąć. Na osiedlach mieszkaniowych wiatr gwizdał na podjazdach, pomostach i klatkach schodowych, a liście palm obijały się o siebie z chlupoczącym dźwiękiem, który słyszany w środku, w przyćmionym żaluzjami świetle, brzmiał niczym szum kropli deszczu. Szalejący w betonowej geometrii wicher i przedrzeźniające tropikalną ulewę palmy wystarczały, by człowiek otworzył okno, wyjrzał na zewnątrz i oczywiście zobaczył to samo bezchmurne gorące niebo, żadnego deszczu w zasięgu wzroku.

Święty Flip z Lawndale, dla którego Jezus Chrystus był nie tylko osobistym zbawcą, lecz także instruktorem surfingu, i który pływał na mierzającej niespełna dziesięć stóp staroświeckiej sekwojowej desce z inkrustowanym macicą perłową krzyżem na górze oraz dwoma wściekle różowymi plastikowymi statecznikami pod spodem, już od kilku tygodni wypuszczał się z przyjacielem małą motorówką z włókna szklanego daleko od brzegu, by surfować tam, gdzie, jak przysięgał, jest najbardziej zakręcony break na świecie, z falami większymi niż w Waimeia, niż na Mavericks w zatoce Half Moon na północy i w Todos Santos w Baji. Stewardesy w podchodzących do lądowania w Los Angeles transpacyficznych samolotach opowiadały, że widziały go na dole surfującego tam, gdzie nie powinno w ogóle być surfu, postać w białych workowatych spodenkach, bielszych, niż można to wytłumaczyć świecącym w tym momencie światłem... Wieczorami, mając za plecami zachód słońca, Flip zstępował z powrotem do świeckiej, roztańczonej Gordita Beach, brał piwo, uśmiechał się, kiedy musiał, do ludzi i czekał na pierwszy brzask.

W jego plażowej chacie wisiał obraz Jezusa surfującego na surowo ociosanej desce z pływakami, które miały upodabniać ją do krzyżownika. Choć na Morzu Galilejskim rzadko widywało się wysokie fale, nie osłabiało to wiary Flipa. Czym było w końcu „chodzenie po

wodzie”, jeśli nie biblijnym określeniem surfingu? Kiedyś, w Australii, miejscowy surfer, trzymający w ręku największą widzianą w życiu przez Flipa puszkę piwa, sprzedał mu nawet kawałek Prawdziwej Deski.

Wśród wczesnych klientów Wavos wyrażane były różne opinie w kwestii, gdzie dokładnie, jeśli w ogóle, surfuje Święty. Niektórzy opowiadali się za dziwnymi zjawiskami geograficznymi – nienaniesioną na mapy morską górą albo zewnętrzną rafą – inni za niezwykłym, zdarzającym się raz w życiu fenomenem pogodowym, być może nawet wybuchem wulkanu albo falą pływową, która powstała gdzieś daleko na północnym Pacyfiku i nim dotarła do Świętego, urosła do odpowiednio wielkich rozmiarów.

Doc, który także wcześniej wstawał, siedział, popijając kawę (do której, jak głosiła plotka, dodawano w Wavo zmielone tabletki z dwoma krzyżykami), słuchając coraz bardziej ożywionej rozmowy, a przede wszystkim obserwując Świętego, który czekał na łódź mającą go zabrać na wysokie fale. Przez wszystkie te lata poznał jednego lub dwóch surferów, którzy odnaleźli inne oddalone od brzegu breaki (na których nikt poza nimi nie miał dość dobrego sprzętu pod nogami i dość odwagi w sercu, by pływać) i często przez całe lata wypuszczali się o świcie, gdy na wodzie kładły się cienie, i niefotografowani i niefilmowani sunęli nieraz przez pięć minut i dłużej kipiącymi tunelami słonecznej błękitozieleni, prawdziwego i nieznośnego koloru dziennego światła. Doc zauważył, że po jakimś czasie ci ludzie przestawali się pojawiać tam, gdzie się ich spodziewano. Trzeba było darować stare długi w krytych palmowymi liśćmi piwnych barach, plażowe sympatie patrzyły tęsknie w dal, by po jakimś czasie rzucić się w ramiona ludzi z drugiej strony wydm, rzeczoznawców szkód, wicedyrektorów szkół, ochroniarzy i tak dalej. Mimo to czynsz za porzucone chaty wciąż był w jakiś sposób płacony, tajemnicze światła ukazywały się w ich oknach długo po tym, jak pozamykano na noc wszystkie tancbudy, a ludzie, którym wydawało się, że widzieli tych nieobecnych surferów, przyznawali później, że mogli mieć halucynacje.

Doc zaliczał Świętego do tych uduchowionych istot. Jego zdaniem Flip pływał na ogromnych, odkrytych przez siebie falach nie dlatego, że był obłąkany lub chciał zostać męczennikiem, lecz ponieważ trwał w stanie autentycznego kamiennego wyobcowania, głębokiej religijnej ekstazy, jak ktoś, kto został wyznaczony przez Boga, by fala zmyła go za grzechy nas wszystkich. I pewnego dnia Flip, podobnie jak inni, znajdzie się zupełnie gdzie indziej, zniknie nawet z GSABS, Globalnej Sieci Anegdotalnego Bajdurzenia Surferów, i ci sami ludzie będą siedzieli w Wavos, spierając się o to, gdzie się podział.

Po jakimś czasie pojawił się przyjaciel Flipa z łodzią i ścigani przez krytyczne uwagi na temat motorówek, ruszyli w dół po skarpie.

– Niezły z niego wariat – podsumował Zły Flaco.

– Moim zdaniem po prostu dokąś pojadą, nażłopią się piwska, pójdą spać i wrócą, kiedy się ściemni – powiedział Zigzag Twong, który ostatnio przerzucił się na krótszą deskę i mniej wymagające fale.

Szczupły Ensenada pokręcił ponuro głową.

– Za dużo jest opowieści o tym breaku. Raz jest, innym razem go nie ma. Zupełnie tak, jakby coś strzegło go tam na dole. Surferzy starej daty nazywali to PrzedSIONKIEM ŚMIERCI. Nie chodzi po prostu o to, że fala cię zmywa, ona cię łapie... najczęściej od tyłu, kiedy wydaje ci się, że zmierzasz na bezpieczne wody, albo kiedy popełniasz jakiś fatalny błąd w ocenie... i wciąga tak głęboko, że nigdy nie zdołasz się wynurzyć, żeby złapać oddech. I kiedy jesteś już na dobre ugotowany, słyszysz, jak mówi stara legenda, rozbrzmiewający w niebiosach kosmiczny, szalony śmiech Surfarris.

W tym momencie wszyscy w Wavos zarechotali w miarę zgodnym chórem: „Hoho hoho hoo-oo-oo-oo... Zmyty!”, a Zigzag i Flaco zaczęli się kłócić na temat dwóch różnych singli *Wipeout* i tego, na którym z nich, z wytwórni Dot czy Decca, nagrany jest ten śmiech, a na którym nie.

– Załamujące się fale w środku tego, co jest podobno głębokim oceanem? – odezwała się w końcu Sortilege, która do tej pory nie zabierała głosu, żując koniec warkocza i zwracając wielkie enigmatyczne gały na jednego, to na do drugiego teoretyka. – Dno, gdzie przedtem nie było żadnego dna? Nie, naprawdę, pomyślcie o tym. Wyspy na Pacyfiku od zarania dziejów wynurzały się i zanurzały, i może to, co zobaczył Flip, jest czymś, co zatoneło dawno temu i teraz wynurza się powoli z powrotem na powierzchnię?

– Jakaś wyspa?

– Co najmniej wyspa.

W tym momencie kalifornijskiej historii surferzy byli już tak nasyceni hipisowską metafizyką, że nawet stali klienci Wavos, a przynajmniej niektórzy z nich, wiedząc, co się święci, zaczęli się wiercić i szukać innych zajęć.

– Znowu Lemuria – mruknął Flaco.

– Coś ci się nie podoba w związku z Lemurią? – zapytała słodko Sortilege.

– Atlantyda Pacyfiku.

– Otóż to, Flaco.

– A teraz twierdzisz, że ten zaginiony kontynent... znów wynurza się na powierzchnię?

Oczy Sortilege lekko się zmrużyły, co u mniej opanowanej osoby można by wziąć za oznakę zdenerwowania.

– To wcale nie takie dziwne. Od dawna przepowiadano, że któregoś dnia Lemuria się wynurzy i czy jest na to lepszy moment aniżeli teraz, gdy Neptun opuszcza w końcu Skorpiona, który jest, swoją drogą, znakiem wodnym, i wstępuje w światło wyższego umysłu Strzelca?

– Więc może ktoś powinien zadzwonić do „National Geographic” czy coś w tym rodzaju?

– Może do magazynu „Surfer”?

– Dosyć, chłopcy, wyczerpałam limit kłótni na ten tydzień.

– Odprowadzę cię – zaproponował Doc.

Szli alejkami Gordita Beach na południe, w sączącym się powoli świetle brzasku i zimowych oparach ropy naftowej i słonej wody.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwał się po chwili Doc.

– Dowiedziałaś się, że Shasta wyjechała, i chcesz o tym z kimś pogadać.

– Znowu czytasz w moich myślach, kotku.

– Więc poczytaj w moich, to będziesz wiedział równie dobrze jak ja, do kogo się zwrócić.

W tej okolicy nie ma nikogo, kto bardziej niż Vehi Fairfield zasługiwałaby na miano prawdziwej wyroczni.

– Może nie jesteś obiektywna, bo był twoim nauczycielem. Może założyłabyś się o niewielką stawkę, że to tylko takie gładzenie po kwasie.

– Wyrzuciłbyś pieniądze w błoto. Nic dziwnego, że nie spłacasz swoich długów.

– Kiedy pracowałaś w moim biurze, nigdy nie miałem z tym problemów.

– I czy kiedykolwiek zamierzam do ciebie wrócić? Nie. Nie bez dodatkowych świadczeń, wliczając w to opiekę stomatologiczną i chiropraktyczną, a wiem, że to przekracza twój budżet.

– Mógłbym ci może zaoferować ubezpieczenie na wypadek utraty zmysłów.

– Już je mam, nazywa się *shikantaza*, powinieneś jej spróbować.

– To nagroda za to, że zakochałem się poza swoim wyznaniem.

– A cóż to za wyznanie? Kolumbijskie prawosławie?

Jej chłopak Spike siedział na werandzie z filiżanką kawy.

– Cześć, Doc. Wszyscy dziś wcześnie wstali.

– Próbuje mnie namówić, żebym spotkał się z jej guru.

– Nie patrz na mnie, człowieku. Wiesz, że ona zawsze ma rację.

Przez jakiś czas po powrocie z Wietnamu Spike panicznie bał się trafić do miejsca, gdzie

natknę się na hipisów, wierząc, że wszyscy długowłosi są rzucającymi bomby pacyfistami, którzy przejrzą go na wylot, natychmiast zgadną, gdzie był, znienawidzą i będą próbowali wykręcić mu jakiś paskudny numer. Podczas ich pierwszego spotkania Doc zorientował się, że Spike stara się rozpaczliwie wtopić w nową subkulturę, która w ogóle nie istniała, kiedy wyjeżdżał, co sprawiło, że powrót do Stanów był niczym lądowanie na obcej planecie zamieszkałej przez inne formy życia.

– Pełen odlot, człowieku! Słyszałeś o tym Abbiem Hoffmanie!? Skręćmy sobie parę jointów i posłuchajmy *Electric Prunes*? Doc widział, że Spike będzie całkiem do rzeczy, kiedy tylko trochę ochłonie.

– Sortilege mówi, że byłeś w Wietnamie.

– Zgadza się, jestem jednym z tych zabójców dzieci. – Spike opuścił głowę, ale patrzył mu prosto w oczy.

– Prawdę mówiąc, podziwiam, że ktoś miał jaja – oświadczył Doc.

– Człowieku, po prostu szedłem każdego dnia i pracowałem przy helikopterach. Ja i Charlie, bez obawy, spędzaliśmy razem dużo czasu w mieście, włączając się, paląc porządne miejscowe zioło i słuchając rock and rolla w radiu sił zbrojnych. Co jakiś czas machali do nas i pytali: słuchajcie, nocujecie dziś w bazie? Tak, a dlaczego? A oni na to, nie nocujecie dziś w bazie. Parę razy uratowałem w ten sposób tyłek. To ich kraj, skoro tego chcą, nie mam nic przeciwko. Tak długo, jak nikt nie dopierdala się do mnie, kiedy dłubię w swoim motorze.

Doc wzruszył ramionami.

– Brzmi słusznie. Ten moto guzzi przed domem to twój?

– Tak, dostałem go od jakiegoś drogowego maniaka z Barstow, który zajeździł biedaka na śmierć, więc doprowadzenie go do formy zajęło mi parę weekendów. Ten motor i Sortilege to całe moje szczęście.

– Naprawdę miło na was popatrzeć.

Spike zerknął w róg pokoju i zastanawiał się przez chwilę.

– Zналиśmy się już wcześniej – powiedział ostrożnie. – Byłem od niej o rok wyżej w college'u Mira Costa, parę razy umówiliśmy się na randki. Potem, kiedy tam wylądowałem, zaczęliśmy do siebie pisać. I zanim ktokolwiek się zorientował, uznałem, że nie zostaną chyba jednak na drugą turę.

To musiało być mniej więcej wtedy, kiedy miałem tę sprawę rozwodową w Inglewood. Fagas żony próbował obsikać mnie przez dziurkę od klucza, przez którą zaglądałem. Leej nigdy mi tego nie zapomni, wtedy nadal dla mnie pracowała. Pamiętam, że pomyślałem, że chyba coś dobrego dzieje się w jej życiu.

Z upływem czasu Spike nauczył się powoli relaksować w towarzyskich pozycjach jogi, które definiowały życie przy plaży. Moto guzzi przyciągał krąg wielbicieli, którzy palili zioło i popijali piwo, siedząc na cementowym murku przed garażem, gdzie pracował. Znalazł poza tym kilku weteranów z Wietnamu, pragnących prowadzić takie samo jak on beztroskie cywilne życie po życiu, zwłaszcza Farleya Brancha, który był w wojskach łączności i udało mu się zwędzić trochę niepotrzebnego nikomu sprzętu, w tym starą szesnastomilimetrową kamerę filmową Bella & Howella z drugiej wojny światowej, w zielonym wojskowym kolorze, nakręcaną na sprężynę, niezniszczalną i tylko trochę większą od rolki filmu, którą się do niej wkładało. Od czasu do czasu wypuszczali się gdzieś na swoich motorach, szukając ciekawych obiektów, i po pewnym czasie obaj odkryli, że interesuje ich środowisko naturalne, które wcześniej zbyt często widzieli spalone napalmem, zanieczyszczone i zdefoliowane aż do spieczonego przez słońce bezużytecznego laterytu. Farley zgromadził już kilkadziesiąt rolek dokumentujących wyrządzone w okolicy szkody, między innymi na terenie osiedla Channel View Estates, które przypominało mu w dziwny sposób to, co widział w dżungli. Według Spike'a Farley był tam tego samego dnia co Doc, nakręcił atak straży obywatelskiej i wkrótce miał odebrać z laboratorium wywołany film.

Spike miał z kolei obsesję na punkcie rafinerii El Segundo i zbiorników w północnej części wybrzeża. Nawet przy sprzyjających wiatrach w Gordicie żyło się jak na łodzi zakotwiczonej w asfaltowym bajorze. Wszystko śmierdziało ropą z tankowców, która omywała plażę, czarna, gęsta i kleista. Każdemu, kto spacerował boso brzegiem morza, przyklejała się do stóp. Były dwie szkoły myślenia – Denis pozwalał na przykład, by jej warstwa stawała się gruba jak podeszwa, dzięki czemu mógł zaoszczędzić na sandałach. Inni, bardziej schludni, włączali szorowanie stóp do rozkładu dnia, podobnie jak golenie i mycie zębów.

– Nie zrozum mnie źle – powiedział Spike, gdy Sortilege po raz pierwszy zastała go na ganku z nożem kuchennym, skrobącego podeszwy stóp. – Podoba mi się tu w Gordicie, głównie dlatego, że to twoje rodzinne miasto i je kochasz, ale czasami wkurwiają mnie... pewne... szczegóły.

– Niszczą tę planetę – zgodziła się. – Ale dobra wiadomość jest taka, że podobnie jak każda żywa istota, Ziemia ma swój system immunologiczny i wcześniej czy później zacznie odrzucać zarazki w rodzaju przemysłu naftowego. Miejmy nadzieję, że stanie się to, zanim skończymy jak Atlantyda i Lemuria.

Jej nauczyciel, Vehi Fairfield, wierzył, że oba imperia pochłonęła woda, ponieważ Ziemia nie mogła zaakceptować osiągniętego przez nie poziomu toksyczności.

– Vehi jest w porządku – powiedział teraz Spike do Doca – ale bierze cholernie dużo kwasu.

– To pomaga mu lepiej widzieć – wyjaśniła Sortilege.

Vehi nie „zażywał” LSD – kwas był żywiołem, w którym pływał i po którym niekiedy surfował. Kazał go sobie dostarczać, być może specjalnym rurociągiem, z Laguna Canyon, bezpośrednio z laboratoriów postowsleyowskiej psychodelicznej mafii, która, jak wówczas wierzono, operowała na tym terenie. Podczas systematycznych codziennych odjazdów odnalazł duchowego przewodnika o imieniu Kamukea, lemuro-hawajskiego bożka z zarania pacyficznych dziejów, który przed wiekami strzegł kontynentu leżącego teraz pod wodami Pacyfiku.

– Jeśli ktoś jest w stanie skontaktować cię z Shastą Fay – dodała Sortilege – to tą osobą jest Vehi.

– Daj spokój, Leej, wiesz, że miałem z nim dziwną historię...

– Uważa, że starasz się go unikać, i nie może zrozumieć dlaczego.

– To proste. Jaka jest pierwsza zasada Kodeksu Ćpuna? Nigdy, przenigdy nie dawaj nikomu czegoś, co...

– Przecież ci powiedział, że to kwas.

– Nie, powiedział, że to „Burgomeister, wydanie specjalne”.

– No więc to właśnie miał na myśli, „wydanie specjalne”, to określenie, którego używa.

– Wiesz o tym ty i wie o tym on... – W tym momencie byli już na promenadzie i zmierzali do domu Vehiego.

Dobrowolna czy nie, podróż, w którą wyprawił go Vehi za pomocą owej magicznej puszkii piwa, należała do tych, o których chciał kiedyś zapomnieć. Na razie mu się to nie udawało.

Wszystko zaczęło się najwyraźniej mniej więcej przed trzema miliardami lat na planecie w podwójnym układzie gwiazdnym w sporej odległości od Ziemi. Doc nazywał się wtedy Xqq i z powodu dwóch słońc i tego, jak wschodziły i zachodziły, pracował w skomplikowanym systemie zmianowym, sprzątając po kapłanach-naukowcach, dokonujących wynalazków w gigantycznym zakładzie, który był wcześniej górą z czystego osmu. Pewnego dnia usłyszał jakiś hałas w laboratorium, do którego wstęp był raczej zabroniony, i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Normalnie spokojni i zapracowani naukowcy biegali rozentuzjasmowani w kółko. „Udało nam się!” – krzyčeli. Jeden z nich złapał Doca, a właściwie Xqq. „Mamy go! To doskonały obiekt!”. Zanim się zorientował, podsunęto mu do podpisu odpowiednie papiery, ubrano w kostium, który, jak zdał sobie wkrótce sprawę, stanowił klasyczny ubiór hipisa na

planecie Ziemia, i zaprowadzono do dziwnie migającej komory, w której powtarzała się obsesyjnie w kilku naraz wymiarach i wyraźnie słyszalnych, choć nieokreślonych frekwencjach spektralnych, mozaika motywów ze *Zwariowanych melodii*... Naukowcy wyjaśniali mu, że wynaleźli właśnie intergalaktyczny wehikuł czasu i zostanie wysłany w inne miejsce we wszechświecie, być może trzy miliardy lat do przodu.

– Aha, i jeszcze jedno... – tuż przed przerwaniem głównej wajchy – wszechświat... jakby się rozszerza. Więc kiedy się tam dostaniesz, wszystko będzie miało ten sam ciężar, ale będzie jakby większe, ze wszystkimi molekułami bardziej oddalonymi od siebie. Wszystko z wyjątkiem ciebie, bo ty będziesz miał takie same rozmiary i gęstość. To znaczy będziesz o stopę niższy od wszystkich, ale znacznie bardziej zwarty. Nabity.

– Czy będę mógł przechodzić przez ściany? – chciał wiedzieć Xqq, ale w tym momencie przestrzeń, czas, nie mówiąc już o dźwiękach, świetle oraz falach mózgowych, zaczęły się w bezprecedensowy sposób zmieniać i zanim się zorientował, stał na rogu Dunecrest i Gordita Beach Boulevard i patrzył na niekończący się pochód młodych kobiet w bikini, uśmiechających się do niego i oferujących cienkie cylindryczne przedmioty, których produkty utleniania miały być najwyraźniej wdychane...

Jak się okazało, mógł przechodzić z pewnym trudem przez ścianki gipsowe, jednak nie mając w oczach rentgena, wpadał niekiedy na metalowe profile i z czasem zarzucił te praktyki. Jego nowa supergęstość pozwalała mu też odginać proste narzędzia wymierzone w niego we wrogich zamiarach, jednak z pociskami wyglądało tu zupełnie inaczej i nauczył się ich unikać, kiedy tylko było to możliwe. Gordita Beach z jego wizji upodobniła się powoli do swojej codziennej wersji i uznał, że wszystko wraca do normy, z wyjątkiem sytuacji, gdy zapomniawszy się i oparłszy czasem o ścianę, uświadamiał sobie nagle, że przez nią w połowie przeszedł, i próbował przeprosić kogoś po drugiej stronie.

– Wielu z nas jest skrępowanych, kiedy odkrywa jakiś ukryty aspekt naszej osobowości – skomentowała Sortilege. – Ale nie stałeś się nagle wysoki na trzy stopy, z ciężarem właściwym ołowiu.

– Łatwo ci mówić. Spróbuj tego czasem.

Podeszli do plażowej chaty o łososiowych ścianach, niebieskim dachem, rosnącą z przodu karłowatą palmą i frontonem udekorowanym pustymi puszkami po piwie, wśród których Doc nie mógł nie zauważyć kilku po burgomeisterze.

– Tak się składa – przypomniał sobie nagle – że mam ten kupon, kup całą skrzynkę, dostaniesz jedno piwo gratis, wygasa dziś o północy. Może lepiej...

– Człowieku, chodzi przecież o twoją byłą dziewczynę. Przyszłam tu z tobą, żeby dostać znaleźne.

Powitała ich osoba z ogoloną głową, w drucianych okularach słonecznych i zielono-karmazynowym kimonie z jakimś ptasim motywem. Vehi, zagorzały zwolennik staroświeckiego longboardu, wrócił niedawno z Oahu, przewidziawszy w jakiś sposób epicką falę, która nawiedziła w grudniu północne wybrzeże tej wyspy.

– Człowieku, ominęła cię niesamowita historia – przywitał Doca.

– Ciebie też, człowieku.

– Mówię o mierzących pięćdziesiąt stóp falach, które nie ustają.

– Pięćdziesiąt stóp? Kurczę. Ja mówię o tym, że przyskrzynili Charliego Mansona.

Przyglądali się sobie przez chwilę.

– Pozornie to dwa oddzielne światy – powiedział w końcu Vehi Fairfield – jeden niewiedzący o drugim. Ale zawsze gdzieś się łączą.

– Manson i Wielka Fala sześćdziesiątego dziewiątego roku? – zapytał Doc.

– Bardzo bym się dziwił, gdyby się nie łączyły.

– To dlatego, że według ciebie wszystko się ze sobą łączy – orzekła Sortilege.

– Według mnie? – Vehi odwrócił się rozpromieniony do Doca. – Przyszedłeś tu w sprawie

swojej byłej dziewczyny.

– Że co?

– Dostałeś moją wiadomość. Tyle że po prostu o tym nie wiedziałeś.

– Och, jasne. Przez magiczny telegraf i telefon, stale o tym zapominam.

– Nie jest zbyt uduchowiony – zauważył Vehi.

– Trzeba nad nim jeszcze trochę popracować – odparła Sortilege. – Ale jak na poziom, na którym się znajduje, jest całkiem w porządku.

– Masz, weź trochę tego. – Vehi podał mu listek kwasu, na którym był jakiś chiński napis. Albo japoński.

– O rany, i co teraz, znowu jakieś science fiction z przechodzeniem przez ściany? Nie mogę się doczekać.

– To nie to – odparł Vehi. – To jest przeznaczone specjalnie dla ciebie.

– Jasne. Jak T-shirt. – Doc włożył listek do ust. – Chwileczkę. Co to znaczy „specjalnie dla mnie”?

Ale po puszczeniu na cały regulator najnowszego przeboju Tiny Tima *The Ice Caps Are Melting*, zaprogramowanego tak, by bez końca się powtarzać, Vehi opuścił teren albo stał się niewidzialny.

Ta wycieczka nie była przynajmniej tak kosmiczna jak poprzednia, w którą wyprawił go ten entuzjasta kwasu. Trudno powiedzieć, kiedy się dokładnie zaczęła, ale nagle Doc znalazł się po prostu w jaskrawo oświetlonych ruinach antycznego miasta, które było, a zarazem nie było zwykłym Wielkim Los Angeles, ciągnącym się długie mile, dom po domu, pokój po pokoju, z których każdy był zamieszkały. Z początku wydawało mu się, że poznaje ludzi, na których wpadał, choć nie zawsze potrafił sobie przypomnieć ich nazwiska. Na przykład wszyscy, którzy mieszkali przy plaży, Doc i jego sąsiedzi, byli i nie byli uchodźcami z zatopionej przed tysiącami lat Lemurii. Szukając lądu, który ich zdaniem byłby bezpieczny, osiedlili się na wybrzeżu Kalifornii.

W jakiś nieunikniony sposób pojawił się temat wojny w Indochinach. Stany Zjednoczone leżące między dwoma oceanami, w których zatonięły Atlantyda i Lemuria, były od dawien dawna terenem ich antycznej rywalizacji. Trwało to po dziś dzień i Amerykanom tylko się wydawało, iż walczą w południowo-wschodniej Azji z własnej woli, w rzeczywistości zaś powtarzali pętlę karmiczną równie starą jak geografia tych dwóch oceanów, z Nixonem, potomkiem Atlantydy i Ho Chi Minhem, potomkiem Lemurii, ponieważ w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat wszystkie wojny w Indochinach były tak naprawdę wojnami toczonymi w cudzym imieniu, nawiązującymi do dawnego świata, przed powstaniem Stanów Zjednoczonych i francuskich Indochin, przed Kościołem katolickim, przed Buddą, przed pisaną historią, do czasów, gdy trzech lemuryjskich świętych mężów wylądowało na tym wybrzeżu, uciekając przed straszliwym potopem, który pochłonął ich ojczyznę, i przywożąc ze sobą kamienną kolumnę uratowaną ze świątyni w Lemurii i mającą stać się fundamentem nowego życia i sercem ich uchodźstwa. Kolumna stała się znana pod nazwą świętego kamienia z Mu i w ciągu następnych stuleci, kiedy przychodziły i odchodziły najeźdźcze armie, kamień zabierany był za każdym razem w bezpieczne, sekretne miejsce, a gdy kończyła się wojenna zawierucha, umieszczany gdzie indziej. Przez cały okres francuskiej kolonizacji Indochin i później w trakcie obecnej okupacji przez Stany Zjednoczone święty kamień pozostawał niewidzialny, ukyty w swojej własnej przestrzeni...

Tiny Tim nadal śpiewał tę samą piosenkę. Przemierzając się przez trójwymiarowy miejski labirynt, Doc zauważył po jakimś czasie, że niższe poziomy wydają się nieco wilgotne. Kiedy woda zaczęła sięgać do kostek, domyślił się, co się dzieje. Cała rozległa konstrukcja tonęła. Wspinał się po schodach na coraz wyższe poziomy, ale woda się podnosiła. Wpadając w panikę i przeklinając Vehiego, że po raz kolejny go wrobił, bardziej poczuł, niż zobaczył, lemuryjskiego duchowego przewodnika Kamukeę w postaci bardzo

jasnego cienia... Musimy się stąd wynosić, powiedział głos w jego głowie.

Lecieli razem, tuż nad szczytami fal Pacyfiku. Na horyzoncie kłębiły się ciemne chmury. Tuż przed nimi zaczęła rosnąć biała plama, która w końcu przybrała kształt płynącego w pełnym ożaglowaniu szkunera z podwyższonym masztem. Doc rozpoznał „Złotego Kłosa”. To „Ocalony”, poprawił go bezgłośnie Kamukea. To nie był statek ze snu – każdy żagiel i fragment olinowania spełniał swoje zadanie i Doc słyszał łopot płótna i skrzywienie belek. Nachylił się nad bakburtą i zobaczył Shastę Fay, przetrzymywaną tam, jak się zdawało, wbrew jej woli, samą na pokładzie, spoglądającą w kierunku, z którego płynęli, domu, który opuściła... Doc próbował zawołać ją po imieniu, ale oczywiście słowa były tylko słowami.

– Nic jej nie będzie – zapewnił go Kamukea. – Nie musisz się martwić. To kolejna rzecz, której musisz się nauczyć, bo to, co ci pokazuję, jest tym, czego musisz się nauczyć.

– Nie jestem pewien, co to znaczy, człowieku.

Mimo że wypełnione wiatrem żagle były w tym momencie czyste i jasne, Doc wyczuwał, w jak wielkim stopniu ten stary dzielny rybacki statek został opanowany – opętany – przez starożytne złe moce. Jak Shasta może być tu bezpieczna?

– Sprowadziłem cię aż tutaj, ale teraz musisz wrócić o własnych siłach.

Lemuryjczyk zniknął i Doc został sam. Unosząc się na nieznaczonej wysokości nad Pacyfikiem, musiał wydostać się z wiru skorodowanej historii, uciec w jakiś sposób przed przyszłością, która wydawała się mroczna, w którąkolwiek obrócił się stronę...

– Wszystko w porządku, Doc! – wołała go już od pewnego czasu po imieniu Sortilege.

Byli na plaży, zapadła noc, Vehi zniknął. Tuż obok szumiał ocean, ciemny i niewidoczny z wyjątkiem miejsca, gdzie dostojnie niczym linia basowa jakiegoś wielkiego rockandrollowego klasyka łamały się opalizujące fale. Gdzieś wysoko w uliczkach Gordita Beach rozbrzmiewał śmiech ćpunów.

– No cóż...

– Nic nie mów – ostrzegła go Sortilege. – Nie próbuj mi opowiadać, co widziałeś.

– To nie ma sensu. To znaczy byliśmy gdzieś tam...

– Mogę albo przycisnąć łagodnie palec do twoich ust, albo... – Sortilege zacisnęła dłoń w pięść i zbliżyła ją do jego twarzy.

– Jeżeli twój guru Vehi znowu mnie nie wrobił...

– To co? – zapytała po mniej więcej minucie.

– Tak? O czym to ja mówiłem?

8

Bankowy formularz wpłaty, który Doc dostał od Sloane Wolfmann, pochodził z kasy oszczędnościowo-pożyczkowej Arbolada w Ojai. Według ciotki Reet była to jedna z wielu kas, w której Mickey miał udziały kontrolne.

– A ich klienci? Jak byś ich opisała?

– W większości indywidualni właściciele domów, ludzie, których w naszej profesji określamy mianem „frajerów” – odpowiedziała ciotka Reet.

– A pożyczki? Coś, co odbiegałoby od normy?

– Ranczerzy, lokalni budowlancy, być może kilku różokrzyżowców i teozofów... no i oczywiście Chryskylodon, który wykonał ostatnio masę projektów budowlanych i krajobrazowych oraz tandetnych, ale drogich projektów wyposażenia wnętrz.

Zupełnie jakby jego głowa była trójwymiarowym gongiem, w który uderzył mały młoteczek, Doc przypomniał sobie zamazane zagraniczne słowo z fotografii widzianej w domu Sloane.

– Jak to się pisze i co to jest?

– Mam jedną z ich broszur gdzieś tu na biurku, pewnie w warstwie prekambryjskiej... O, jest! Słuchaj: Położony w malowniczej Dolinie Ojai Instytut Chryskolodon, którego nazwa pochodzi od starodawnego indiańskiego słowa oznaczającego „błogostan”, zapewnia ciszę, harmonię z Ziemią i pełne zrozumienie w stosunku do tych, którzy doznali zaburzeń emocjonalnych w wyniku bezprecedensowych napięć, w jakie obfituje życie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– Faktycznie wygląda to na luksusowy dom wariatów.

– Zdjęcia niewiele mówią, wszystko jest sfotografowane przez zabrudzony obiektyw, jak w czasopiśmie dla dziewcząt. Jest tu numer telefonu. – Doc zapisał go. – Tak a propos, zadzwoń do swojej matki – dodała ciotka.

– O cholera. Coś się stało?

– Nie dzwoniłeś do niej od półtora tygodnia. Oto, co się stało.

– Praca.

– Ostatnio doszli chyba do wniosku, że handlujesz prochami. Powinnam dodać, że ja też odniosłam takie wrażenie.

– No cóż, kiedy się patrzy na Gilroya, który ma uporządkowane życie, kierownicze stanowisko, dzieci i kilka akrów ziemi, trudno nie uznać, że jestem narkomanem, któremu trzeba patrzeć na rękę.

– Nie musisz mi tego mówić, Doc. Marzyłam, żeby się stamtąd wyrwać, zanim jeszcze nauczyłam się mówić. Złapali mnie na polu buraczanym, pedałużącą na małym różowym, trójkołowym rowerku z szybkością jednej mili na godzinę i zaciągnęli wrzeszczącą z powrotem. Nie dowiem się od ciebie o San Joaquin nic nowego, dzieciaku. Ale powtarzam, że Elmina chce usłyszeć twój głos.

– Zadzwoń do niej.

– Poza tym zgadza się ze mną, że powinieneś obejrzeć tę dwuakrową działkę w Pacoimie.

– Nie ze mną te numery, człowieku.

– Nadal jest na sprzedaż, Doc. Kup działkę, póki jesteś młody, jak mawiamy w naszej

branży.

Leo Sportello i Elmina Breeze spotkali się w 1934 roku na Największym Światowym Turnieju Remika urządzanym co rok w Ripon. Leo, sięgając po odłożone przez nią blotki, zapytał, czy na pewno chce się ich pozbyć, i – jak opowiadała później Elmina – kiedy spojrzała znad swoich kart w jego oczy, doskonale wiedziała, czego chce. Mieszkała jeszcze wtedy w domu, studiując i udzielając korepetycji, a Leo miał dobrą pracę w winiarni, znanej ze wzmocnionego produktu lansowanego przez nich na całym wybrzeżu pod nazwą Midnight Special. Za każdym razem, kiedy Leo zaglądał do środka, ojciec Elminy wykonywał numer w stylu W. C. Fieldsa: „Ach? Przyjaciel ochlapusa... ta-a-aak...”. Leo zaczął celowo przynosić kilka butelek za każdym razem, gdy przychodził, by zabrać Elminę na randkę, i jego przyszły teść kupował wkrótce to wino całymi skrzynkami, korzystając z jego firmowego rabatu. Midnight Special było pierwszym winem, jakie Doc pił w życiu, co miało pewien związek z tym, jak dziadek Breeze wyobrażał sobie niańczenie maluchów.

*

Siedząc w domu i oglądając półfinałowy mecz między Philadelphia 76ers i Milwaukee (głównie ze względu na Kareema Abdul-Jabbara, którego podziwiał jeszcze pod nazwiskiem Lew Alcindor), w połowie krótkiej przerwy Doc uświadomił sobie nagle, że ktoś woła go z ulicy po imieniu. Przez moment był przekonany, że to ciotka Reet, która postanowiła potajemnie sprzedać jego mieszkanie i pokazuje je o tej nieodpowiedniej godzinie jakiejś parze z miasta, wybranej ze względu na wyjątkową upierdliwość. Podchodząc do okna, żeby przez nie wyjrzeć, uświadomił sobie, że dał się zwieść podobieństwu głosów i w rzeczywistości na ulicy stoi jego matka Elmina, pogrążona w głębokiej dyskusji z Eddiem z Parteru. Podniósłszy wzrok, zobaczyła Doca i zaczęła do niego wesoło machać.

– Larry! Larry!

Tuż za nią stał zaparkowany w drugim rzędzie oldsmobile rocznik 69 i Doc dostrzegł niewyraźnie swojego ojca wychylającego się przez okno z tkwiącym w zębach niedrogim cygarem, którego czubek rytmicznie rozjaśniał się i ciemniał. Machając do swoich bliskich, wyobraził sobie przez chwilę, że stoi przy relingu dawnego oceanicznego liniowca wpływającego z San Pedro, najlepiej na Hawaje, ale mogła być też Santa Monica.

– Mamo! Tato! Chodźcie na górę!

Obiegł dokoła mieszkanie, otwierając okna i włączając elektryczny wiatraczek, chociaż zapach marihuany, którym przesiąkły już dawno dywan, kanapa i obraz na aksamicie, był zbyt stary, by się nim przejmować.

– Gdzie mogę zaparkować?! – wrzasnął Leo.

Dobre pytanie. Najdelikatniejszym słowem, jakiego ktokolwiek użył na określenie systemu parkowania w Gordita Beach, było „nielineamy”. Przepisy, zmieniające się niespodziewanie z przecznicy na przecnicę, często z jednego miejsca parkingowego na drugie, ustanawiane były potajemnie przez demonicznych anarchistów, aby doprowadzić do szału kierowców i sprawić, że pewnego dnia zaatakują hurmą urząd miasta.

– Schodzę na dół! – krzyknął Doc.

– Przejrzyj się w lustrze – przywitała go Elmina.

– Kiedy tylko jakies znajde, mamo – odparł. W tym momencie była już w jego objęciach, wcale nieskrępowana tym, że publicznie ściska się i całuje z długowłosym hipisem. – Cześć, tato. – Doc usiadł z przodu koło ojca. – Będzie pewnie wolne miejsce przy Beachfront Drive. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli zasuwać aż do Redondo, żeby je znaleźć.

– Kurczę, więc to są moi starzy, kto by się spodziewał – nawijał tymczasem Eddie z Parteru.

– Wy, chłopcy, jedźcie zaparkować – powiedziała Elmina – a ja posiedzę sobie z sąsiadem Larry’ego.

– Drzwi na górze są otwarte. – Doc szybko przypomniał sobie, co wie o wykroczeniach Eddiego, wliczając w to plotki. – Nic ci się nie stanie pod warunkiem, że nie będziesz wchodziła z tym facetem do kuchni.

– To było w sześćdziesiątym siódmym – zaprotestował Eddie. – Wszystkie zarzuty zostały wycofane.

– O kurczę – mruknęła Elmina.

Oczywiście niespełna pięć minut później, znalazłszy na dole miejsce, gdzie mogli zostawić oldsmobile'a przynajmniej do północy, Doc i Leo zastali Elminę w kuchni Eddiego, który szykował się właśnie do otwarcia ostatniego pudełka haszyszowych ciasteczek.

– Ehe... ehe. – Doc pokręcił palcem.

Mieli piwo, pół paczki cheetos i gdyby im czegokolwiek zabrakło, otwarte do północy delikatesy Surfside Slick's na górze.

Elmina od razu poruszyła temat Shasty Fay, którą kiedyś poznała i natychmiast polubiła.

– Miałam zawsze nadzieję... no, wiesz...

– Daj spokój dzieciakowi – mruknął Leo.

Doc zdał sobie sprawę, że Eddie z Parteru, który dawno temu musiał słuchać tego wszystkiego przez sufit, rzuca mu wymowne spojrzenie.

– Robi karierę – kontynuowała Elmina. – To trudne, ale czasami trzeba pozwolić dziewczynie odejść tam, dokąd wzywają ją marzenia. Kiedyś niedaleko Manteki mieszkali jacyś Hepworthowie i dwóch przeniosło się tutaj podczas wojny, żeby pracować w fabrykach zbrojeniowych. Mogła być z nimi spokrewniona.

– Zapytam ją, jeśli się spotkamy – powiedział Doc.

Na schodkach z tyłu rozległy się czyjeś kroki i do pokoju wszedł przez kuchnię Scott Oof.

– Cześć, wujku Leo, ciociu Elmino. Mama powiedziała, że przyjedziecie.

– Nie było cię na kolacji – zauważyła Elmina.

– Musiałem pójść w sprawie występu. Zostaniecie tu przez jakiś czas?

Leo i Elmina zatrzymali się przy Sepulveda Boulevard w motelu Skyhook Lodge, obsługującym w dużej części lotnisko i zapełnionym w dzień i w nocy przez tabuny cierpiących na bezsenność, splątanych i opuszczonych osobników, nie wspominając o zdarzających się od czasu do czasu dyplomowanych zombie.

– Włóczę się po korytarzach – opowiadała Elmina – mężczyźni w garniturach, kobiety w wieczorowych sukniach, ludzie w bieliźnie albo zupełnie goli, malcy szukający rodziców, pijacy, narkomani, policjanci, sanitariusze z ambulansów i tyle wózków z obsługi hotelowej, że robią się zatory. Nie trzeba wsiadać do samochodu i dokądkolwiek jeździć: całe Los Angeles jest tam, pięć minut od lotniska.

– A jak z telewizją? – chciał wiedzieć Eddie.

– Na niektórych kanałach mają całe filmoteki – odparła Elmina. – Przysięgam. Zeszłej nocy nie mogłam zasnąć i obejrzałam jeden film. Potem bałam się zasnąć. Widziałeś *Czarnego narcyza* z czterdziestego siódmego roku?

Eddie, który uczęszczał na podyplomowy kurs filmoznawstwa na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, wydał radosny okrzyk. Pisał doktorat pod tytułem *Od powagi do demonizmu – podtekstowe wykorzystanie tuszu do rzęs w sztuce filmowej*, i doszedł właśnie do momentu w *Czarnym narcyzie*, w którym obłąkana zakonnica, grana przez Kathleen Byron, pojawia się w cywilnym stroju i z umalowanymi oczami, które mogły śnić się przez cały rok w koszmarach.

– Mam nadzieję, że wspomni pan również o mężczyznach występujących we wszystkich tych niemych niemieckich filmach – powiedziała Elmina. – Conrad Veidt w *Gabinecie doktora Caligari*, Klein-Rogge w *Metropolis*...

– ... kwestię komplikują tu oczywiście wymogi ortochromatycznej taśmy filmowej...

O rany. Doc wyszedł, żeby przeszukać kuchnię, pamiętając słabo, że musi tam być

skrzynka piwa. Wkrótce zajął do niego Leo.

– Wiem, że gdzieś tu musi być – zastanawiał się na głos Doc.

– Może będziesz mi mógł wyjaśnić, czy to normalne – zagadnął go Leo. – Wczoraj wieczorem mieliśmy w motelu dziwny telefon. Ktoś z drugiej strony zaczął wrzeszczeć, z początku myślałem, że po chińsku, bo nie mogłem zrozumieć ani słowa. W końcu udało mi się coś zrozumieć. „Wiemy, gdzie jesteście. Pilnujcie się, sukinsyny”. I się rozłączył.

Doc znowu poczuł jeden z tych rektogenitalnych skurczów.

– Pod jakim nazwiskiem się zameldowaliście? – zapytał.

Leo się zaczerwienił.

– Pod tym co zwykle.

– Tato, to może być ważne.

– Dobrze, ale spróbuj zrozumieć, to nawyk, w który wpadliśmy z twoją matką: żeby w weekendy zatrzymywać się pod fałszywymi nazwiskami w różnych motelach przy starej autostradzie numer dziewięćdziesiąt dziewięć. Udajemy, że oboje zdradzamy swoich ślubnych i potajemnie się spotykamy. I nie będę cię oszukiwał, to bardzo zabawne. Jak mówią hipisi, dobre jest wszystko, co cię rajcuje, zgadza się?

– Więc w recepcji nie wiedzieli, że nazywacie się Sportello?

Leo posłał mu jeden z tych uśmiechów, którymi ojcowie starają się bronić przed dezaprobatą synów.

– Lubię używać nazwiska Frank Chambers. Wiesz, z filmu *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*. Twoja matka, jeśli ktoś ją zapyta, przedstawia się jako Cora Smith, ale, na litość boską, nie wygadaj się, że ci to powiedziałem.

– Więc to była pomyłka. – Doc zobaczył nagle skrzynkę piwa, która przez cały czas stała przed jego oczami. Wsadził parę puszek do zamrażalnika, mając nadzieję, że zapamięta, że to zrobił, i piwo nie wybuchnie, jak to się na ogół działo. – No cóż, tato, naprawdę jestem zaszokowany.

Uścisnął ojca i trzymał go w objęciach tak długo, że zaczęło to być krepujące.

– O co chodzi? – zapytał Leo. – Stroisz sobie z nas żarty?

– Nie. Nie... Śmieję się, bo lubię używać tego samego nazwiska.

– Aha. Pewnie masz to po mnie.

Jednak później, o zakazanej porze koło trzeciej, czwartej nad ranem, Doc zapomniał, jak wielkiej doznał ulgi, i pamiętał tylko, jak bardzo się przestraszył. Dlaczego z miejsca doszedł do wniosku, że ktoś tak łatwo może odnaleźć jego rodziców i im zagrozić? W takich przypadkach odpowiedź brzmi zwykle „Wpadasz w paranoję”. Ale w tej branży paranoja była narzędziem pracy, kierowała twój wzrok ku rzeczom, których inaczej mógłbyś nie dojrzeć. To były sygnały z innego świata, zrodzone jeśli nie z szaleństwa, to w każdym razie z cholernie niemiłych motywacji. I na jakie zagrożenia ten chiński głos w środku nocy – którakolwiek godzina mogła być wtedy w Skyhook Lodge – kazał mu zwrócić uwagę?

*

Nazajutrz rano, czekając, aż zaparzy się kawa, Doc wyrzął przypadkiem przez okno i zobaczył Sauncha Smilaksa, który siedząc w swojej klasycznej plażowej bryce, rdzawoczerwonym mustangu 289 z tapicerką z czarnego winylu i dudniącym powoli tłumikiem, próbował nie blokować alejki.

– Saunch! Chodź na górę, napij się kawy.

Sauncho wbiegł po dwa schodki naraz i stanął zdyszany w progu, trzymając w ręku teczkę.

– Nie wiedziałem, czy już wstałeś.

– Ja też. Co się dzieje?

Jak się okazało, Sauncho spędził cały dzień i noc z drużyną *federales* na pokładzie należącego do Departamentu Sprawiedliwości, obłędnie wyposażonego statku, wizytując

miejsce, w którym, jak wcześniej ustalono, „Złoty Kieł” wyrzucił za burtę jakiś ładunek. Nurkowie zeszli pod powierzchnię, żeby się rozejrzeć, i wkrótce zaczęli wydobywać skrzynie z zapakowaną próżniowo amerykańską walutą, być może te same, których nadal poszukiwali w imieniu Blondie-sana Cookie i Joaquin. Tyle że po otwarciu pojemników – wyobraźcie sobie, jak zdumieni byli wszyscy – okazało się, że zamiast tych samych co zwykle dygnitarzy, Washingtona, Lincolna, Franklina i kogo tam jeszcze, na wszystkich banknotach, niezależnie od nominału, widnieje twarz Nixona. Federalna grupa robocza zastygła na chwilę w bezruchu, targana obawami, czy nie ulegli wszyscy zbiorowej halucynacji. Nixon łypał wściekle okiem na coś, co znajdowało się tuż za skrajem kartusza, wzdrygając się niemal z obrzydzenia, z dziwnie zmętniałymi oczami, jakby zażył jakiś nowy azjatycki psychodelik.

Według informatorów Sauncha z wywiadu w ramach planu zdestabilizowania waluty nieprzyjaciela CIA umieszczała przez jakiś czas portret Nixona na fałszywych północnowietnamskich banknotach, które zrzucała podczas rutynowych bombardowań na północy. Jednak nixonizacja amerykańskiej waluty nie dawała się już tak łatwo wyjaśnić i w ogóle zaakceptować.

- Co to ma być? CIA znowu spieprzyło sprawę. Ten chłam nie jest nic wart.
- Nie chcesz ich? Ja je wezmę.
- Co z nimi zrobisz?
- Wydam trochę, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Niektórzy doszli do wniosku, że to spisek, który uknuli chińscy komuniści, aby podkopać pozycję dolara. Grawerunek był zbyt misterny, by nie przypisywać mu Demonicznego Orientalnego Pochodzenia. Zdaniem innych banknoty mogły być od pewnego czasu w obiegu jako świadectwa udziałowe w południowo-wschodniej Azji i nawet mieć jakąś wartość w Stanach.

- Nie zapominajmy również o ich wartości na rynku kolekcjonerskim.
- Dla mnie to trochę zbyt dziwaczne.
- Pomyśl także – powiedział później Sauncho Docowi – że prawo zabrania umieszczania czyichkolwiek portretów na banknotach, jeśli ta osoba jeszcze żyje. Więc w każdym wszechświecie, gdzie to dziadostwo jest legalnym środkiem płatniczym, Nixon musi być martwy, zgadza się? Dlatego myślę, że to magia sympatyczna uprawiana przez kogoś, kto chce, żeby Nixon kopnął w kalendarz.
- To na pewno zawęży krąg podejrzanych, Sauncho. Mogę dostać kilka tych banknotów?
- Hej, bierz, ile chcesz. Idź na zakupy. Widzisz buty, które mam na nogach? Pamiętasz te białe mokasyny, które doktor No nosił w filmie *Doktor No* z sześćdziesiątego drugiego roku? No pomyśl! Są absolutnie identyczne! Kupiłem je przy Hollywood Boulevard za jedną z tych dwudziestek z Nixonem... nikt się jej nie przyjrzał, żadnej reakcji, zdumiewające. Hej, leci mój serial, nie będziesz miał... ehe... nic przeciwko? – zapytał Sauncho i pospieszył do telewizora.

Był zagorzałym wielbicielem porannego serialu *The Wdy to His Heart*. W tym tygodniu – o czym poinformował Doca, gdy na ekranie nie działo się nic ważnego – Heather podzieliła się właśnie z Iris swoimi podejrzeniami co do klopsików oraz roli, jaką mógł odegrać Julian w podmianie zawartości buteleczki z tabasco. Iris oczywiście specjalnie to nie zaskoczyło, ponieważ w trakcie własnego małżeństwa z Julianem często pełniła dyżur w kuchni i zostało jeszcze między nimi sporo kulinarnych porachunków do załatwienia. Tymczasem Vicki i Stephen nadal starali się ustalić, kto komu jest winien pięć dolarów za ostatnio dostarczoną pizzę, w której to kwestii kluczową rolę odgrywał w jakiś sposób pies Eugene.

Podczas przerwy na reklamy Doc poszedł się wysikać i usłyszał nagle Sauncha wrzeszczącego na telewizor. Po powrocie z toalety zastał swojego adwokata odsuwającego nos od ekranu.

- Wszystko w porządku?

– Achchch... – jęknął Sauncho, padając na kanapę. – Ten pierdolony Tuńczyk Charlie, człowieku.

– Co takiego?

– To wszystko wydaje się takie niewinne: awansujący w społecznej hierarchii snob w designerskich ciemnych okularach i berecie, desperacko starający się pokazać, że ma dobry gust, tyle że jest niestety dyslektykiem i „dobry gust” myli mu się z „dobrym gestem”, ale to jeszcze nic! Jest o wiele gorzej! Tak naprawdę Charlie ma to, co nazywa się „obsesyjnym pragnieniem śmierci”! Tak! On chce zostać złowiony, przetworzony, wsadzony do puszki, i to nie do pierwszej lepszej puszki, rozumiesz? To musi być puszka StarKist! Samobójcza lojalność wobec marki, człowieku, oto głęboka metafora konsumenckiego kapitalizmu. Będą zadowoleni, dopiero kiedy złapią nas wszystkich w sieć, pokroją na kawałki i postawią na półkach Supermarketu Ameryka, a najpotworniejsze jest to, że podświadomie chcemy, żeby to zrobili...

– Sauncho, rany, to naprawdę...

– Nie dawało mi to spokoju. I jeszcze jedno. Dlaczego mamy Morskie Kurczaki, a nie mówi się o Wsiowych Tuńczykach?

– Hmm... – Doc zaczął się nad tym zastanawiać.

– I nie zapominaj, że zarówno Charles Manson, jak i Wietkong mają ksywkę Charlie – przypomniał mu złowróźnie Sauncho. – Swoją drogą, co u ciebie słychać? – zapytał, kiedy skończył się serial. – Myślisz, że znowu cię aresztują czy coś w tym rodzaju?

– Zważywszy na to, że mam na karku Wielką Stopę, możesz się w każdej chwili spodziewać telefonu.

– Aha. O mało nie zapomniałem. Co się tyczy „Złotego Kła”... Wygląda na to, że tuż przed tym, jak załoga odczepiła cumy, wystawiono na statek polisę ubezpieczeniową, obejmującą tylko ten jeden rejs, ten, w który wybrała się podobno twoja była pani. Jako beneficjenta wskazano Złoty Kieł SA z Beverly Hills.

– Jeśli statek zatonie, zgarną pewnie masę pieniędzy?

– Otóż to.

Uch. A jeśli to celowy przekręt ubezpieczeniowy? Może Shasta zdążyła jednak zejść na brzeg, na jakąś wyspę, może łowi nawet w tej chwili małe idealne rybki w lagunie i piecze je z mango, papryczkami i poszatkowanym kokosem? Może śpi na plaży i spogląda na gwiazdy, o których tutaj, pod zasnutym smogiem niebem Los Angeles, nikt nie wie nawet, że istnieją. Może uczy się, jak żeglować z wyspy na wyspę trimaranem, jak wykorzystywać prądy i wiatr i jak na podobieństwo ptaków wyczuwać pole magnetyczne. Może „Złoty Kieł” popłynął ku swojemu przeznaczeniu, zabierając tych, co nie zeszli na brzeg, w otchłań zła, obojętności, nadużyć i rozpaczy, których potrzebowali, by stać się w większym stopniu sobą. Kimkolwiek byli. Może Shasta uniknęła tego wszystkiego. Może jest bezpieczna.

*

Tamtego wieczoru Doc zasnął u Penny na jej kanapie, oglądając wiadomości sportowe, i kiedy obudził się grubo po zmierzchu, na ekranie telewizora zobaczył twarz, która, jak się okazało, należała do Nixona.

– Zawsze znajdują się mazgaje i malkontenci, którzy powiedzą, że to faszyzm. A jeśli, moi rodacy, to jest faszyzm dla wolności? To rozumiem!

W wielkiej sali wypełnionej zwolennikami i transparentami z wypisaną na nich fachowo tą samą frazą, rozległy się żywiołowe oklaski. Doc usiadł, mrugając, poszukał w bijącej z ekranu poświacie swojej torby, znalazł pół skręta i zapalił.

Uderzyło go, że Nixon ma w tym momencie na twarzy taką samą przerażoną minę jak na fałszywych dwudziestodolarówkach, które dostał od Sauncha. Wyjął jedną z nich z portfela i przyjrzał się uważnie, żeby mieć pewność. Dwaj Nixonowie wyglądali tak, jakby jeden był

fotografią drugiego!

– Pomyślmy. – Doc zaciągnął się i zastanowił. Twarz Nixona, którą w tej chwili transmitowano na żywo, została w jakiś sposób przed wieloma miesiącami puszczona w obieg na milionach, a może na miliardach dolarów fałszywej waluty... Jak to możliwe? Chyba że... oczywiście, podróż w czasie... no jasne, rytownik CIA, w jakiejś supertajnej pracowni daleko stąd, kopiował w tym momencie twarz z ekranu własnego telewizora, by wrzucić później rysunek do specjalnej skrzynki pocztowej zlokalizowanej w pobliżu stacji transformatorowej, dzięki czemu można było, podnosząc opłaty innym użytkownikom, nielegalnie ściągnąć potrzebną energię i wysłać informację w przeszłość... właściwie mogły nawet istnieć specjalne „ubezpieczenia od zawirowań czasoprzestrzennych” na wypadek, gdyby wiadomości zagubiły się w przyływach nieznannej energii w otchłani czasu.

– Wiedziałam, że coś tu śmierdzi. Na szczęście dla ciebie nie idę jutro do pracy – oznajmiła Penny, zerkając na boki. Była boso i miała na sobie jeden z należących do Doca T-shirtów zespołu Pearls Before Swine.

– Obudził cię dym? Przepraszam, Pen, masz. – Zaoferował jej coś, co było raczej przyjaznym gestem aniżeli godnym tej nazwy skretem.

– Nie, obudziły mnie te krzyki. Co ty oglądasz? Brzmi to jak kolejny film dokumentalny o Hitlerze.

– To Nixon. Chyba bezpośrednia transmisja, skądś z Los Angeles.

– Może z Century Plaża?

Co faktycznie potwierdzili dziennikarze obsługujący całe wydarzenie: wiedziony jakimś kaprysem Nixon rzeczywiście wpadł do tego ekskluzywnego hotelu w zachodniej części miasta, żeby spotkać się z aktywistami Partii Republikańskiej, którzy określali się mianem Strażników Kalifornii. Na zbliżeniach widowni niektórzy z nich tracili nad sobą panowanie, jak to się na ogół dzieje na tego rodzaju zgromadzeniach, lecz inni nie byli tacy wyluzowani i ci właśnie budzili w Docu największe obawy. Zajmujący strategiczne pozycje, ubrani w identyczne garnitury i krawaty, które trudno byłoby uznać za zgodne z najnowszą modą, nie zwracali raczej uwagi na samego Nixona.

– Nie sądzę, żeby byli z Secret Service – powiedziała Penny, wyciągając się obok Doca na sofie. – Przede wszystkim nie są wystarczająco eleganccy. Wygląda mi to raczej na sektor prywatny.

– Czekają na coś... ha! Popatrz, o to chodziło.

Zupełnie jakby wszyscy odbierali te same pozazmysłowe sygnały, podobni do robotów aktywiści odwrócili się nagle jak jeden mąż i ruszyli w stronę jednego z członków widowni: długowłosego osobnika o dzikim spojrzeniu, ubranego w stosowną kurtkę w stylu Nehru i spodnie dzwony, który wrzeszczał głośno na Nixona:

„Hej, Nixon! Hej, Kłamlivy Kutasio! Pierdolę cię! I wiesz co, pierdolę także Spiro! Pierdolę całą pierdoloną Pierwszą Rodzinę. I psa! Czy ktoś wie, jak ma na imię pies? Nieważne! Pierdolę i psa. Wszystkich was pierdolę!” – Facet wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

Chwilę później złapano go i powleczono przez tłum, w którym wiele osób piorunowało go wzrokiem, toczyło pianę z ust i krzywiło się z niesmakiem.

„Zabierzcie go lepiej do kliniki odwykowej dla hipisów” – zaproponował drwiąco Nixon.

– Tacy jak on psują opinię rewolucyjnej młodzieży – uznał Doc, skręcając kolejnego jointa.

– Nie mówiąc o tym, że stawiają na ostrzu noża pewne kwestie związane z Pierwszą Poprawką – dodała Penny, nachylając się do telewizora. – Ale to dziwne...

– Co takiego? Wyglądają mi na typowych republikanów.

– Nie, chodzi o to... zobacz na tym zbliżeniu. To nie hipis, popatrz na niego. To Chucky!

Ujmując to inaczej, co Doc uświadomił sobie z wyraźnym dreszczem, był to również Coy

Harlingen. Zaciągnął się głęboko i zdecydował, że nie podzieli się tą wiedzą z Penny.

– Jakiś twój znajomy? – zapytał dla niepoznaki.

– Wszyscy go znają... Kręci się w budynku sądów albo w siedzibie policji w Glass House.

– Kapuś?

– Proszę cię... informator. Pracuje głównie dla Czerwonego Szwadronu i SWZPP.

– Dla kogo? – chciał wiedzieć Doc.

– Dla sekcji wywiadu do spraw zakłóceń porządku publicznego. Nigdy o nich nie słyszałeś?

– Ale... ale dlaczego tak się wydzierał na Nixona?

– Jezus, Doc, w tym tempie szybko nabawisz się paranoi. Nawet prywatny detektyw nie może być taki naiwny.

– No cóż, jego ubiór wydawał się trochę przesadzony, ale to wcale nie znaczy, że rzecz była ustawiona.

Penny westchnęła dydaktycznie.

– Teraz, kiedy widziano go w telewizji, jego wiarygodność dramatycznie wzrosła. Policja może go umieścić w dowolnej grupie.

– Oglądacie za dużo odcinków *Mod Squad*. To chyba podsuwa wam wszystkim te podłe pomysły. Hej! Mówiłem ci, że Wielka Stopa zaproponował mi przed kilkoma dniami robotę?

– Przenikliwy jak zwykle. Musiał chyba odkryć w twoim charakterze jakąś predyspozycję do... zdrady.

– Daj spokój, Penny. Ona miała szesnaście lat, sprzedawała towar, próbowałem tylko sprowadzić ją ze złej drogi. Jak długo będziesz...

– Mój Boże, nie wiem, dlaczego zawsze tak się tłumaczysz, Doc. Nie ma powodu, żebyś czuł się winny. A może jest jakiś powód?

– Wspaniale, tego właśnie chcę: dyskutować o poczuciu winy z zastępczynią prokuratora okręgowego.

„... został rozpoznany – ogłosił telewizor, kiedy Penny podkreśliła głośność – jako Rick Doppel, bezrobotny student, którego relegowano z Uniwersytetu Południowej Kalifornii”.

– Nie sądzę – mruknęła Penny. – To był Chucky.

I niech mnie kule biją, dodał w duchu Doc, jeśli to nie był także zmartwychwstały saksofonista.

Chcąc wyglądać jak zawodowiec, Doc ściągnął włosy w ciasny kucyk i spiął je skórzaną spinką (którą, jak przypomniał sobie później, dała mu Shasta), po czym nałożył na to wszystko klasyczną czarną fedorę i zarzucił sobie na ramię magnetofon. W lustrze wyglądał dość przekonująco. Tego popołudnia wybierał się do Topangi, żeby odwiedzić Boardsów, udając reportera muzycznego z podziemnego fanzinu o nazwie „Stone Turntable”. Towarzyszący mu w charakterze fotografa Denis miał na sobie T-shirt z dobrze znanym motywem z fresku *Stworzenie Adama* Michała Anioła, na którym Bóg wyciąga rękę do Adama – z tą różnicą, że tutaj Bóg podawał Adamowi zapalonego skręta.

Przez całą drogę do Topangi radio nadawało *Super Surfin' Marathon*, bez jednej przerwy na reklamę, co wydawało się Docowi dziwne, póki nie zdał sobie sprawy, że ludzi, którzy wytrzymaliby ten zły sen nauczyciela muzyki z podwójnymi liniami bluesa, idiotycznymi, granymi na jednym akordzie „melodiami” oraz rozpaczliwymi efektami wokalnymi, nie można zaliczyć do jakiegokolwiek znanej reklamodawcom grupy demograficznej. Z repertuaru pijackich zawodzeń ekscentrycznych białasów tylko co jakiś czas można było na szczęście uciec w inne klimaty: w *Pipeline i Surfin' Bird* grupy Trashmen, *Bamboo* Johnny'ego i Hurricanes, single Eddiego i Showmen, a także zespołów Bel Airs, Hollywood Saxons i Olympics, pamiątki z dzieciństwa, z którego Doc nigdy tak naprawdę nie miał ochoty wyrosnąć.

– Kiedy zagrają *Tequilę?* – dopytywał się Denis i nagle, wjeżdżając na podjazd wynajętej rezydencji Boardsów, usłyszeli hiszpańskie modalności i flamenkoidalny rytm perkusji zaprzysięgłego wroga surferów, zespołu Lowrider. – *Tequila!* – wrzasnął Denis, gdy zajmowali ostatnie wolne miejsce na parkingu.

Dom należał niegdyś do jednego z dwóch uwielbianych w latach czterdziestych komików. Obecnie Boardsi wynajmowali go od gitarzysty basowego, który został dyrektorem wytwórni płytowej, co obserwatorzy najnowszych trendów uznali za kolejny dowód końca Hollywoodu, jeśli nie w ogóle świata, jaki znali.

Niczym na hawajskim lotnisku podeszły do nich dwie fanki zespołu o imionach Bodhi i Zinnia. Zawiesiły Docowi i Denisowi na szyjach girlandy aloha, a właściwie naszyjniki z koralików miłości, i oprowadziły ich po całej posiadłości, na której widok mniej tolerancyjna osoba mogłaby zastanawiać się, do czego dochodzi, kiedy ludzie zarabiają zbyt dużo pieniędzy w zbyt krótkim czasie. Doc uznał jednak, że wszystko zależy od tego, co kto uważa za przesadę. W związku z wykonywaną pracą odwiedził w ostatnich latach kilka ekskluzywnych rezydencji w Los Angeles i szybko zauważył, że dobrze sytuowani nie prezentują zbyt wyrafinowanego poczucia smaku i że kwestia ta pogarsza się w miarę wzrostu nagromadzonego bogactwa. Boardsom udało się na razie uniknąć w tej dziedzinie większych wpadek. Doc miał pewne wątpliwości co do stolików do kawy zrobionych ze starych hawajskich desek surfingowych, ale pozbył się ich, widząc, że wystarczy odkręcić nogi, by znowu mieć zdatną do użytku deskę. Dzięki pomysłowym portykom wiele tutejszych szaf było nie tylko wbudowanych, lecz także przejezdnych, i wypełniały je kostiumy z dawnych i przyszłych światów, kupione między innymi w Culver City na zorganizowanej przed paroma miesiącami wyprzedaży historycznych aktywów wytwórni MGM. Furgonetka z knajpy

Jurgensena w Beverly Hills codziennie dowoziła gotowe posiłki dla dwudziestu albo trzydziestu osób. W palami marihuany znajdowała się wykonana z włókna szklanego ogromna, trójwymiarowa reprodukcja słynnej *Wielkiej fali w Kanagawie* Katsushiki Hokusai, opadająca łukiem spod sufitu aż ku przeciwległej ścianie i tworząca rodzaj kryjówki pod zastygłą w wiecznym bezruchu pianą, która czasami wywierała taki wpływ na gości, że odmawiali sztachnięcia się, kiedy przychodziła ich kolej, co specjalnie nie wadziło Boardsom, nadal znajdującym się w fazie wstrzymania po swoim okresie punk-surfingu, gdy liczył się każdy okruczeństwo. W tej akurat dziedzinie byli tak samo skąpi jak zawsze.

Na zewnątrz, na tarasie z widokiem na kanion, długowłose ślicznotki w minispódniczkach krzątały się w promieniach słońca, doglądając konopi bądź też popychając przed sobą wózki z jedzeniem, pić i marychą. Pojawiały się i znikwały psy, niektóre względnie spokojne, inne z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, przynoszące domownikom zwyczajne kamienie, które ci mogli rzucać im coraz dalej i dalej przez całe pół godziny („To ich jazda, człowieku”), a od czasu do czasu padające ofiarą tego gatunku ludzi, których bawi karmienie psów LSD i obserwowanie, co się wydarzy.

Doc nie wiadomo który raz z rzędu uświadomił sobie, że na każdy zespół w rodzaju Boardsów przypadają setki i tysiące innych, takich jak kapela jego kuzyna, Beer, skazanych na zapomnienie, pobudzanych wiarą w niezniszczalność rock and rolla, napędzanych prochami, nerwami, pogodą ducha oraz braterstwem i siostrzeństwem. Boardsi, chociaż zachowali swoje brzmienie – tradycyjne dwie gitary, bas, perkusja i sekcja dęta – zmieniali skład tak często, że wyłącznie skrupułami historycy muzyki wiedzieli, kto jest i kto był kim. Co nie miało zresztą większego znaczenia, ponieważ kapela stała się właściwie czymś w rodzaju znaku firmowego, odległego o lata świetlne od grupki twardych małych surferów, wszystkich bez wyjątku spokrewnionych lub spowinowaconych ze sobą, którzy wchodzili na bosaka do delikatesów Cantora przy Fairfax Avenue i przez całą noc zajadali bajgle, starając się nie sprowokować do jakiejś chryi ochroniarzy gwiazd rocka. Kiedy przyjazna wcześniej hipisom knajpa, z obawy przed możliwymi pozwami i kosztami ubezpieczenia, zaczęła umieszczać tabliczki: „Zabrania się wchodzenia bez obuwia”, Boardsi udali się wszyscy do salonu tatuażu w Long Beach i kazali wytatuować sobie na stopach i kostkach paski sandałów, na co przez jakiś czas dawało się nabrać kierownictwo zakładu. Później przenieśli się do modniejszych miejsc dalej na zachód, jednak przez kilka lat zawsze można było poznać oryginalnych członków zespołu po tych atramentowych sandałach.

Od mniej więcej tygodnia wśród gości Boardsów był brytyjski zespół Spotted Dick, pojawiający się co jakiś czas na antenie miejscowych stacji, które nie preferowały szybkich rytmów, chłopcy grali bowiem tak apatycznie, że zdarzyło się raz czy dwa, że widownia wzywała karetkę, biorąc błędnie to, co wedle wyobrażenia zespołu było Wielką Pauzą, za zbiorowy atak katatonii. Tego dnia mieli grubo prążkowane sztruksowe garnitury w dziwnie fluoryzującym złotawobrązowym kolorze oraz precyzyjne geometryczne fiżury z salonów Cohen's Beauty i Barber Shop we wschodnim Londynie, gdzie terminował kiedyś Vidal Sassoon, i dokąd raz w tygodniu chłopcy wyjeżdżali małym autobusem, zaopatrzeni w tygodniowy zapas cannabis, żeby siedząc w rzędzie i chichocząc nad starymi egzemplarzami „Tatlera” i „Queen”, dać się asymetrycznie ostrzyć nożyczkami. Główny wokalista zespołu postanowił nawet w zeszłym tygodniu zmienić oficjalnie swoje nazwisko na Asymmetric Bob, stwierdziwszy przed lustrem po trzygodzinnym eksperymencie z grzybkami, iż jego twarz ma dwie różne strony, wyrażające dwie radykalnie się różniące osobowości.

– Mają telewizor w każdym pokoju! – oznajmił podniecony Denis. – I te... te wichajstry, którymi możesz zmieniać kanały, w ogóle nie wstając z kanapy!

Doc rzucił na nie okiem. Wynalezione niedawno i spotykane tylko w ekskluzywnych domach, przyrządy były duże i toporne, jakby zaprojektowali je producenci sowieckiego sprzętu dźwiękowego. Posługiwanie się nimi wymagało sporej siły i czasami obu dłoni,

którymi wyczuwało się wibracje, używały bowiem fal o wysokiej częstotliwości. Doprowadzało to do obłądu większość mieszkających w domu psów z wyjątkiem Mymy, ostrowłosej terierki, która, będąc starsza i nieco przygłucha, leżała spokojnie podczas wszelkiego rodzaju programów, czekając na reklamę psiej karmy, której pojawienie się na ekranie, dzięki jakiemuś psiemu szóstemu zmysłowi, przewidywała już minutę wcześniej. Kiedy reklama się kończyła, Myma odwracała się ku będącym w pobliżu ludziom i kiwała znacząco głową. Z początku uważano, że daje przez to do zrozumienia, iż chciałyby dostać obiad albo przynajmniej coś na ząb, ale była to chyba bardziej próba nawiązania towarzyskiego kontaktu, coś w rodzaju „Widzieliście?”.

W tym momencie Myma leżała w pachnącym marihuaną i olejkiem paczuli, nieoświetlonym pokoju o bliżej nieokreślonych rozmiarach, oglądając serial *Dark Shadows* razem z wybranymi członkami Boardsów i Spotted Dick oraz tymi osobami ze świty, które nie biegały aktualnie po domu, starając się spełnić zachcianki muzyków, chcących na przykład dostać smażone w głębokim oleju Hostess Twinkies, wyprasować sobie wzajemnie włosy na desce do prasowania, by zachować poetycki wizerunek, oraz przejrzeć fanzyny i powycinać z nich nożykami X-acto wszelkie wzmianki o konkurencyjnych zespołach surfowych.

W sadze rodziny Collinsów nastąpił właśnie moment, kiedy cała historia zaczęła się toczyć w czymś, co nazywano „czasem równoległym”, co wprawiało w konsternację widzów w całym kraju, nawet tych, którzy połapali się, o co chodzi, choć z drugiej strony wielu ópunów nie miało żadnego problemu, by nadal śledzić wątek. Chodziło w zasadzie o to, że ci sami aktorzy grali dwie różne role, i tylko ci, którzy za bardzo się w to wciągnęli, zapominali, że ci ludzie są aktorami.

Po jakimś czasie poziom koncentracji widzów wprawił Doca w lekki niepokój. Zdał sobie sprawę, ile szkód wśród tych obsesjonatów może spowodować jedno wciśnięcie guzika na telewizyjnym wichajstrze. Na szczęście stał niedaleko drzwi i udało mu się niepostrzeżenie wyslizgnąć. Na razie nie trafił nigdzie na Coya Harlingena i doszedł do wniosku, że to tak samo dobry moment jak każdy inny, żeby go poszukać.

Zaczął włóczyć się po wielkim starym domu. Słońce już zaszło, fanki zbiły się w stado, przechodząc na tryb nocny. Denis biegał dokoła niczym pies ścigający gołębie w parku, robiąc zdjęcia, a dziewczęta uprzejmie rozbiegały się, gruchając. Co jakiś czas na terenie posiadłości pojawiał się jakiś ochroniarz, obchodząc jej granice. W oknie na górze słychać było Smedleya, klawiszowca ze Spotted Dick, wykonującego ćwiczenia Hanona na organach elektrycznych marki Farfisa, model Combo Compact, które nabył za radą Ricka Wrighta z Pink Floyd i od których nigdy na dłużej się nie oddalał. Nazywał je Fiona i świadkowie twierdzili, że odbywa z nimi długie rozmowy. Doc, udając, że przeprowadza wywiad dla „Stone Tumtable”, zapytał go wcześniej, o czym rozmawiają.

– Och, a czego się spodziewałeś? O piłce nożnej, wojnie w południowo-wschodniej Azji, o tym, gdzie można zdobyć towar. O tego rodzaju rzeczach.

– A jak Fionie podoba się tutaj, w południowej Kalifornii?

Smedley posmutniał.

– Podoba jej się wszystko oprócz paranoi, człowieku.

– Oprócz paranoi?

Głos Smedleya zniżył się do szeptu.

– Ten dom... – zaczął.

W tym momencie jakiś chmurny młody dżentelmen, być może któryś z techników Boardsów, a może nie, wszedł do pokoju, oparł się o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi rękami i po prostu tam został. Smedley, tocząc dokoła dzikim wzrokiem, natychmiast się zwinął.

Prywatny detektyw, od lat zażywający kwas w tym mieście, nie mógł nie wyczuć jakichś

pozazmysłowych sygnałów i prawdę mówiąc, zaraz po przekroczeniu progu tego domu, Doc zauważył to, co można by nazwać szczególną atmosferą. Zamiast rytualnego uścisku dłoni lub choćby uśmiechu każdy, komu się przedstawił, pozdrawiał go tą samą formułą: „Skąd jesteś, człowieku?”, wyrażając w ten sposób wysoki poziom dyskomfortu, a nawet lęku, wywoływanego w nim przez osobę, która nie mogła być natychmiast dokładnie określona i zaszufiadkowana.

W wielkim Los Angeles zdarzało się to ostatnio coraz częściej. Na zgromadzeniach beztrudnej młodzieży i szczęśliwych ćpunów Doc zaczął dostrzegać tu i tam starszych mężczyzn, sztywnych, nieuśmiechniętych, których, jak mu się wydawało, rozpoznawał, może niekoniecznie po twarzy, ale po wyzywającej pozie, niechęci, by wyjść z oficjalnej skorupy i roztopić się tak jak wszyscy inni w psychodelicznym tłumie. Przypominali aktywistów, którzy wyciągnęli kilka dni wcześniej Coxa Harlingena z wiecu w Century Plaza. Doc znał tych ludzi, naoglądał się ich dosyć, pracując w swojej branży. Chodzili odbierać długi w gotówce, łamali ludziom żebra, wyrzucali ich z roboty, śledzili pilnie wszystko, co mogło stanowić zagrożenie. Jeżeli cały ten sen o prerewolucji był faktycznie skazany na porażkę i rządzony pieniądzem, wiarolomny świat miał odzyskać kontrolę nad życiem wszystkich, których czuł się władny dotykać, obmacywać i molestować, to właśnie tacy jak ci posłuszni i milczący agenci mieli odwalić całą mokrą robotę, mieli to umożliwić.

Czy to możliwe, że w trakcie każdego zgromadzenia – koncertu, pokojowego wiecu, każdej okazji, żeby się poadorować, pobyć ze sobą, powyglupiać tutaj, na północy, na wschodzie, gdziekolwiek – krzątały się te mroczne ekipy, odbierając ludziom muzykę, opór wobec władzy, epickie i codzienne pożądanie, wszystko, co mogły zagarnąć dla starożytnych mocy zachłanności i lęku?

– Jezu – mruknął pod nosem. – No nie wiem...

W tym samym momencie wpadł na Jade, która wychodziła z jednej z łazienek.

– Co, to znowu ty?

– Przyjechałam z Bambi... Słyszała, że są tutaj chłopcy ze Spotted Dick, więc musiałam się z nią zabrać, żeby uchronić ją przed kłopotami.

– Bambi ma słabość do tych gości?

– Psychodeliczne plakaty Spotted Dick na ścianach, poduszki i prześcieradła ze Spotted Dick na łóżku, pamiątkowe szczypczyki do skrętów, T-shirty i filiżanki ze Spotted Dick na półce. I przez dwadzieścia cztery godziny na dobę Spotted Dick na stereo. Człowieku! Znasz tego Anglika, który gra na ukulele i nazywa się George Formby?

– Jasne, Herman's Hermits wykonują jeden z jego przebojów.

– No więc ci faceci grają wszystkie inne. To znaczy, staram się ich polubić. Spotted Dick są również znani z dziwnych form rekreacji i myślę, że to przede wszystkim pociąga Bambi.

– Nie widziałem jej tu dziś wieczorem.

– Och, wyjechała już z gitarzystą prowadzącym. Wybrali się do Leo Carillo, żeby obejrzyć mecz krykieta.

– W nocy?

– Tak, Somerset powiedział jej, że wszystko jest jak podczas meczu baseballowego. Światła i w ogóle. Chyba że... o nie, myślisz, że wystawili mnie do wiatru?

– Jeżeli będziesz chciała wrócić z kimś do miasta, daj mi znać. I gdyby ktoś cię pytał, jestem reporterem z pisma rockandrollowego, dobrze?

– Ty? Jasne. Opowiem im o twoim wywiadzie z Patem Boonem, który poszedł na okładkę.

– Aha... czy nie widziałaś gdzieś tego faceta, z którym rozmawiałem przed kilkoma dniami przed Club Asiatique?

– Gdzieś tu jest. Sprawdź pokoje na górze.

I rzeczywiście, włączając się korytarzami, Doc usłyszał, jak ktoś gra na saksofonie tenorowym *Donna Lee*. Począł, aż skończy, i zajął do pokoju.

– Cześć! To znowu ja! Pamiętasz to zlecenie, które mi dałeś?

– Zaczekaj. – Coy wskazał kciukiem stojący w kącie sprzęt dźwiękowy, który mógł mieć więcej niż trzeba podłączonych i wychodzących kabli, i pokręcił głową. – O jakiej mówiliśmy, ehe, marce i modelu?

– Byłeś zainteresowany starszego typu volkswagenem wymalowanym w kwiatki, ptaszki, serduszka i podobne badziewie – odparł Doc, wchodząc w rolę.

– Zgadza się, dokładnie o to mi chodziło. Żadnych, hmm... – Coy zastanawiał się przez chwilę. – Żadnych nowych części, nic w tym rodzaju? – dodał, improwizując.

– Z tego co widziałem, nie.

– Można nim jeździć, ma ważny dowód?

– Na to wygląda.

– Cóż, dzięki, że sprawdziłeś. Rozumiesz, byłem po prostu... ciekaw jak każdy.

– Jasne. Nie ma sprawy. Gdybyś chciał, żebym sprawdził jakieś inne bryki, daj mi znać.

Coy milczał przez chwilę. Doc zastanawiał się, czy go nie szturchnąć. Na twarzy saksofonisty malowała się desperacja i tęsknota, a jednocześnie olbrzymie zdenerwowanie, jakby w tym domu nie wolno mu było się odzywać. Doc miał ochotę przynajmniej na chwilę objąć tego faceta, dodać mu otuchy, ale wścibskie oczy mogły w tym dostrzec więcej emocji, niż ktokolwiek chciałby zainwestować w kupno używanego samochodu.

– Masz mój numer, prawda?

– Będę w kontakcie.

W tym samym momencie do pokoju wpadło kilku ćpunów, z których każdemu mogli zlecić szpiegowanie Coya. Doc odwrócił od niego wzrok i wykrzywił twarz w obojętnym uśmiechu. Kiedy znów spojrział w tamtą stronę, Coy zniknął, chociaż mógł nadal znajdować się w pokoju.

Na dole, w jednym z miejsc, gdzie gromadził się tłum, ktoś rozdawał z wesołą miną skręty.

– Hej! Zgadnij, co jest w tej trawce? – pytał, kiedy ktoś zapalał i się zaciągał.

– Nie mam pojęcia.

– No dalej, zgadnij!

– LSD?

– Nie! To zwykła trawka! Ha, ha, ha! Hej! Jak myślisz, co jest w tej maryśce, którą palimy? – pytał, zbliżając się do kogoś innego.

– No, nie wiem... eee... meskalina?

– Nie, nic! To czysta trawa! Ha, ha, ha, ha!

I tak dalej. Siekane grzybki halucynogenne? Anielski pył? Speed? Nie, to zwykła marihuana! Ha, ha, ha, ha! Doc, zanim się zorientował, uwalił się tym tajemniczym ziołem tak gruntownie, że zaświtało mu, iż nie tylko oznaki życia Coya wydają się problematyczne – ktoś zdecydowanie zstąpił do piekieł po członków zespołu Boards, ponieważ Doc nie miał w tym momencie żadnych wątpliwości, że każdy z nich to zombie, nieumarły i nieczysty.

– Umarli i czyści są w porządku? – zastanawiał się Denis, który skądś się zmaterializował.

– I ci faceci ze Spotted Dick... to też zombie, tyle że gorsi.

– Gorszi?

– Angielscy zombie! Spójrz na nich, człowieku, amerykańscy zombie się przynajmniej z tym nie kryją, zataczają się, kiedy chcą dokądś pójść, na ogół w trzeciej pozycji baletowej, i ryczą „Uunnchch... uunnchch” w charakterystyczny zawodzący sposób, podczas gdy angielscy zombie są generalnie bardzo elokwentni, używają długich słów i suną wszędzie, jakby... czasami nie widzisz nawet, żeby stawiali kroki... wygląda to, jakby jeździli na łyżwach...

W tym samym momencie basista Spotted Dick, Trevor „Shiny Mac” McNutley, pojawił się dokładnie w wyżej wymieniony sposób i przemieścił gładko z lewej na prawą, uśmiechając się lubieżnie i ścigając zdezorientowaną młodą dziewczynę.

– Widziałeś? Widziałeś?

– Aaaa! Spieprzam stąd, człowieku! – krzyknął Denis i wybiegł w panice.

Straciwszy w ten sposób ostatnią ostoję, która pozwoliłaby mu trzymać się rzeczywistości, Doc przeraził się jeszcze bardziej. W jakimś stopniu mogła się do tego przyczynić trawka z dodatkowym nieistniejącym składnikiem. Tak czy owak, Doc zorientował się nagle, że ucieka korytarzami starego nawiedzonego domu, ścigany przez nieokreśloną liczbę wrzeszczących pożeraczy ciał...

W obszernej kuchni na dole znów wpadł na Denisa, który plądrował lodówkę i szafki, napełniając torbę z Safewaya ciasteczkami, mrożonymi batonikami, chrupkami Cheetos oraz innymi dostępnymi przekąskami.

– Zostaw to, Denis, musimy się zmywać.

– Nie musisz mi o tym mówić. Kilka minut temu pstryknąłem zdjęcia i wszyscy rzucili się na mnie jak szaleni, próbując odebrać aparat. Gonią mnie teraz, więc pomyślałem, że lepiej złapię, co mogę...

– Właściwie, człowieku, chyba ich słyszę – odparł Doc, ciągnąc go za zawieszony na szyi koralik miłości i wyprowadzając bocznym wyjściem na dwór. – Chodź!

Puścili się pędem tam, gdzie zaparkowali samochód.

– Jezus, Doc, mówiłeś, że będzie darmowa trawka, może jakieś cizie, nie mówiłeś nic o jakichś zombie, człowieku.

– Po prostu biegnij, Denis – poradził mu zdyszany Doc. Kiedy mijali sykomorę, zeskoczyła na niego niespodziewanie jakaś osoba, która trzymała się gałęzi. To była spanikowana Jade.

– Co ja jestem, Skipper? – mruknął Doc, gramoląc się na nogi. – Czy jakiś dupek?

– Naprawdę ktoś musi mnie stąd zabrać – oznajmiła Jade. – Proszę.

Jakimś szczęśliwym trafem odnaleźli samochód Doca dokładnie tam, gdzie go zaparkował, wsiedli i z piskiem opon wyjechali na ulicę. W lusterku Doc widział ciemne postacie z upiornie białymi siekaczami, które wskoczyły do drewnianego mercury'ego rocznik 1949, z maską i dzieloną przednią szybą, wyglądającymi jak pysk i bezlitosne oczy drapieżcy, i ruszyli za nimi z rykiem widlastego silnika i chrzęstem sypiącego się spod kół żwiru. Doc skręcił gwałtownie w lewo, o mało nie dachując i zarzucając raz czy dwa tyłem, następnie wyrównał i pomknął w dół do Malibu biegnącą kanionem szosą, która w tamtych czasach nie była wygodną wielopasmówką, jaką stała się później, lecz zabójczym koszmarem, obfitującym w ostre serpentyny oraz odcinki zupełnie pozbawione widoczności, na których mógł wykorzystać z dobrym skutkiem umiejętności nabyte na kursie doskonalenia jazdy w słynnej Tex Wiener Ecole de Pilotage, wykonując poślizgi kontrolowane i posługując się techniką podwójnego wysprzęglania części, niż przewidzieli to projektanci Chrysler Motors. Radio grało *Here Comethe Hodads* zespołu Marketts.

Denis, mimo trójwymiarowej trzęsawki, której był poddawany, siedział z pogodną miną, skręcając jointa i prawie niczego przy tym nie rozsypując. Kiedy zjechali na dół i ruszyli w stronę Santa Monica, zapalił go i podał Jade.

– Ładnie zwinięty, Denis – zauważył Doc, kiedy w końcu nadeszła jego kolej. – Nie wiem, czy w tym stanie ducha byłbym w stanie to zrobić.

– W gruncie rzeczy starałem się po prostu nie ześwirować.

– Posłuchaj, Doc – odezwała się Jade. – O co chodzi z tym facetem z Club Asiatique?

– Z Coyem Harlingenem? Rozmawiałaś z nim?

– Tak i kiedy nas razem znaleźli, naprawdę miałam wrażenie, że ktoś chce mi zrobić krzywdę. Nie, żebym próbowała go uwieść. Normalnie, jeśli jest ze mną Bambi, nie przejmuję się, gdy rzucają się na mnie w ten sposób, ale pojechała na ten „nocny mecz krykieta”, więc to szczęście, że się pojawiliście.

– Cała przyjemność po naszej stronie – zapewnił ją Denis.

W którymś momencie, kiedy jechali Coast Highway i zmierzali w stronę autostrady, Doc zerknął we wsteczne lusterko i nie zauważył już za sobą reflektorów złowrogiego drewnianego auta. Znikły niczym kłopotliwe pryszczki na twarzy nocy. Spoglądając w lusterko, nie mógł również nie zauważyć, że Denis i Jade zawarli bliższą znajomość.

– Jak masz... tego... na imię? – pytał Denis.

– Ashley – odparła Jade.

– Myślałem, że Jade – wtrącił Doc.

– Jade to moje imię robocze. W albumie liceum Fairfax jestem po prostu jedną z tysiąca Ashley.

– A twoja praca w salonie Chick Planet...

– Nigdy nie planowałam robić tam kariery. Wszystko za bardzo ugrzecznione. Bez przerwy się uśmiechać, udawać, że chodzi o „wibracje” i „samoświadomość”, o cokolwiek tylko nie o... – w tym momencie Jade zaskrzeczała niczym dama ze starego filmu – ... o to okr-rr-ropne jebanie!

– Cała południowa Kalifornia, człowieku – włączył się Denis. – Nie ma akceptacji dla odmieńców i zboków, żadnego rodzaju mrocznej działalności.

– Rzeczywiście, jeśli się temu przyjrzeć – zgodziła się Jade lub Ashley.

– A ludzie zastanawiają się, dlaczego Charlie Manson jest, jaki jest.

– Swoją drogą, czy liziesz cipkę?

Wjechali do tunelu łączącego się ze wschodnią nitką Santa Monica Freeway i radio, które grało *Eight Miles High* Byrdsów, straciło sygnał. Doc nadal śpiewał pod nosem i kiedy wyjechali z tunelu i wróciła fonia, okazało się, że spóźnia się tylko o pół taktu.

– Denis, nie zapomnij zostawić mi aparatu, dobrze? – Wymowna cisza. – Denis?

– Jest zajęty – mruknęła Jade. I był zajęty przez całą drogę do Harbor Freeway, do Hollywood Freeway i do zjazdu Jade przy Cahuenga Pass, podczas gdy Jade, bardzo zrelaksowanym, chwilami sennym głosem, przerywając co jakiś czas, by zachęcić trudzącego się na dole Denisa, opowiedziała Docowi o swoich wczesnych eksperymentach w dziedzinie kradzieży sklepowych oraz kradzieży samochodów. Poznała Bambi w Dormitory 8000 w Sybil Brand Institute, gdzie Bambi, obserwując kogoś wieczoru wściekle masturbującą się Jade, zaproponowała, że wyliże jej cipkę za paczkę papierosów. Najlepiej mentolowych.

– Jasne – uznał za stosowne wtrącić w tym momencie zdesperowany Denis.

Następnym razem, po zgaszeniu świateł, które nastąpiło dokładnie o wyznaczonej porze, Bambi obniżyła cenę do połowy paczki, a potem, na klęczkach, teraz już o wiele bardziej czuła, zaproponowała, że sama zapłaci Jade.

– Myślę – odparła Jade – że mogłybyśmy to nazwać symbolicznym papierosem, choć to dla mnie trochę krępu... ooch, Bambi?

Kiedy wyszły na wolność z Sybil Brand, paliły papierosy z tej samej paczki i wzajemne rozliczenia nie obejmowały nikotyny. Wynajęły razem mieszkanie w North Hollywood, gdzie przez cały dzień, a także noc, mogły robić, co chciały, i tak to na ogół wyglądało. W tamtym okresie można było żyć tanio i nie był też bez znaczenia fakt, że właścicielka podzielała ich upodobania i honorowała siostrzane zobowiązania, których ktoś bardziej prawomyślny mógłby w ogóle nie zauważać. Wkrótce miały stałego dealera składającego im domowe wizyty, oraz kotkę o imieniu Anais, i w Tujungu Wash zyskały sobie sławę dwóch porządných lasek, którym można zaufać niemal w każdej sytuacji. Bambi uważała, że jej głównym zadaniem jest opiekowanie się przyjaciółką, która nie zdawała sobie sprawy, po jak cienkim stąpa lodzie.

W trakcie jednej z tak częstych w tamtym okresie podróży ku samopoznaniu, w intensywnie rozświetlonych zawilosciach prawie już zapomnianego odium po kwasie Ashley/Jade odkryła w sobie coś, o czym nikt do tej pory nie wiedział. Istotą tego czegoś, jak zdążył się już domyślić Doc, był cunnilingus. Nie mogła nie zauważyć, że żyje w epoce, w

której pełno jest nie tylko chętnych dziewcząt, lecz również słodkich pasywnych, długowłosych chłopców, gotowych poświęcić jej cipce oralną uwagę, na jaką zawsze zasługiwała.

– Skoro o tym mowa, jak sobie radzisz tam na dole, Denisie?

– Co? Och, przede wszystkim...

– Nieważne. Wiedźcie po prostu, chłopcy – powiedziała – że nie wolno wam zmylić kroku, bo to, czym jestem, jest czymś w rodzaju małej perły Orientu, która toczy się po parkiecie późnego kapitalizmu. Szumowiny o różnych poziomach dochodu mogą na mnie czasami nastąpić, ale jeśli to zrobią, to oni poślizgną się i rozbiją sobie tyłek. A perła będzie toczyła się dalej.

*

Znajomy Spike'a, Farley, miał ciemnię i kiedy stykówki były gotowe, Doc wpadł, żeby je obejrzeć. Większość klitek było zupełnie ciemnych, bo Denis często zapominał zdjąć pokrywkę z obiektywu, albo przedstawiały sfotografowane pod najdłuższymi kątami fragmenty pomieszczeń, kiedy przypadkowo naciskał migawkę. Było także sporo zrobionych od dołu krępujących zdjęć fanek w mikrospódniczkach i rozmaite związane z narkotykami sceny, na których ktoś zapadał w drzemkę albo dostawał głupawki. Jedynym zdjęciem, na którym pojawił się Coy, była przypominająca *Ostatnią Wieczernę* grupowa fotografia przy długim stole w kuchni, na której wszyscy dyskutowali zażarcie przy kilku pizzach. Coy był otoczony dziwną wibrującą mgiełką, która nie występowała w żadnym innym miejscu zdjęcia, i wpatrywał się w obiektyw trochę zbyt intensywnie, z twarzą, która zastygła w połowicznym uśmiechu.

– Ten tutaj – powiedział Doc. – Możesz mi zrobić powiększenie?

– Jasne – odparł Farley. – Osiem na dziesięć cali, na błyszczącym papierze?

Z niechęcią, być może nawet lekką desperacją, Doc uświadomił sobie, że musi teraz odwiedzić Wielką Stopę. Z zasady starał się spędzać jak najmniej czasu w siedzibie policji w Glass House. Przerazał go ten budynek, wyglądający tak plastikowo i nieszkodliwie pośród pocziwej śródmiejskiej architektury, na pozór nie bardziej złowrogi niż pierwszy lepszy motel przy autostradzie, lecz mimo to, za neutralnymi zasłonami i w głębi fluorescencyjnych korytarzy, rojący się od całej tej dziwnej alternatywnej policyjnej historii i policyjnej polityki – policyjnych dynastii, policyjnych herosów i złoczyńców, policyjnych świętych i psycholi, gliniarzy zbyt głupich, by żyć, i gliniarzy zbyt sprytnych, by wyszło im to na dobre – odizolowany nakazami lojalności i znową milczenia od świata, który powierzono ich kontroli, albo, jak lubili mówić, ich ochronie i służbie. Naturalny żywioł Wielkiej Stopy, powietrze, którym oddychał. Pępek świata, do którego tak się wyrывał, pracując nad morzem.

W recepcji przy Parker Center, niewątpliwie w związku z tym, co palił od wjazdu na autostradę, Doc wygłosił długą i nawet dla niego samego nie do końca zrozumiałą tyradę o tym, jak na ogół stara się nie przebywać zbyt długo w towarzystwie stróżów prawa i porządku, większość informacji czerpie z „LA Timesa”, ale co to za historia z tą Leslie van Houten, taka ładna, a mimo to taka niebezpieczna, i o co tak naprawdę chodzi w procesie Mansona, bo czy w dziwny sposób nie przypomina to tego, co dzieje się po sezonie z Lakersami, I czy sierżant nie widział przypadkiem tego meczu z Phoenix...

Sierżant pokiwał głową.

– Sala trzysta osiemnaście.

Na górze, dziwnie podminowany Wielka Stopa wstydził się najwyraźniej, że nie ma własnego gabinetu lub choćby boks, choć właściwie nie miał go nikt w wydziale zabójstw – wszyscy krążyli po wielkiej sali z dwoma długimi stołami, odpalając jednego papierosa od drugiego, pijąc kawę z papierowych kubków, wrzeszcząc do telefonów, zamawiając tacos, hamburgery, pieczone kurczaki i tak dalej, i wyrzucając do koszy od śmieci różne rzeczy, z

których połowa w ogóle do nich nie trafiała, przez co podłoga (zdaniem Doca, wyłożona kiedyś winylowymi płytkami) nabrała całkiem interesującej faktury.

– Zważywszy na półpubliczny charakter naszego spotkania, mam nadzieję, że nie będzie to kolejny z tych niepoahamowanych paranoicznych hipisowskich monologów, których ostatnio coraz częściej zmuszony jestem wysłuchiwać.

Doc najszybciej, jak mógł, przedstawił to, co wiedział o Coyu Harlingenie – poczynając od rzekomo fatalnego przedawkowania, poprzez tajemniczą wpłatę na konto Hope, aż po pojawienie się Coya w roli agitatora na wiecu Nixona. Nie wspomniał, że rozmawiał z Coyem osobiście.

– To mi wygląda na kolejny przypadek pozornego zmartwychwstania – orzekł Wielka Stopa. – Na pierwszy rzut oka nie jest to sprawa dla wydziału zabójstw.

– Więc... kto tutaj zajmuje się wskrzeszeniami, człowieku?

– Na ogół wydział do spraw oszustw.

– Czy to znaczy, że policja Los Angeles oficjalnie uważa, że każdy powrót z zaświatów jest czymś w rodzaju przekrętu?

– Nie zawsze. Może to być również przypadek błędnej albo fałszywej identyfikacji.

– Ale nie...

– Kiedy jesteś martwy, jesteś martwy. Masz ochotę pofilozofować?

Doc zapalił koolsa, sięgnął do swojej frędzlastej torby i wyjął zrobione przez Denisa zdjęcie Coya Harlingena.

– Co to jest? Kolejna rockandrollowa kapela? Moje dzieciaki nie zawiesiłyby tego na ścianie.

– Ten tutaj to sztywniak, o którym mowa.

– Aha... możesz mi przypomnieć, dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

– Coy pracował jako kapuś dla policji, nie mówiąc o pewnych patriotycznych popaprańcach znanych pod nazwą Strażnicy Kalifornii, którzy mogli brać udział w rajdzie na Channel View Estate... Pamiętasz to miejsce, wszystkie te małe słodkie dzieciaczki skaczące do basenów i tak dalej?

– W porządku. – Wielka Stopa jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. – Wiesz co? Osobiście to sprawdzę.

– Ależ, Wielka Stopo, to nie jest w twoim stylu – dokuczał mu Doc. – To stara sprawa, co ci przyjdzie z jej wyjaśnienia?

– Czasami chodzi po prostu o to, żeby nie sprzeniewierzyć się własnym zasadom – odparł Wielka Stopa, trzepocząc nieszczerze rękami, po czym zaprowadził Doca tylnym korytarzem do pomieszczenia gospodarczego. – Poczekaj, zajrzę tylko do zamrażarki.

Był to dostosowany do rozmiarów ludzkich zwłok profesjonalny model sprzed kilku lat, przekazany z biura koronera. Doc, który spodziewał się ujrzeć mające związek z zabójstwami części ciała, z zaskoczeniem zobaczył w środku kilkaset mrożonych bananów w czekoladzie.

– Nie myśl choć przez chwilę, że tęsknię za plażą – zastrzegł się szybko Wielka Stopa. – To nałóg, do którego się nie przyznawałem, ale mój terapeuta twierdzi, że robię zadziwiające postępy. Proszę, weź, nie krępuj się. Mówią mi, że muszę się dzielić. Mamy tu w całym budynku system pneumatycznej poczty i korzystam z niego, żeby spełniać dobre uczynki.

– Dzięki – odparł Doc, sięgając po mrożonego banana. – Jezu, Wielka Stopo, masz ich tutaj całe mnóstwo. Nie powiesz chyba, że to na rachunek policji.

– Właściwie – mruknął Wielka Stopa, przez chwilę nie mogąc spojrzeć mu prosto w oczy – dostajemy je za darmo.

– Kiedy gliny mówią, że coś jest za darmo... Dlaczego mam wrażenie, że będę musiał rozstrzygnąć jakiś moralny dylemat?

– Może będziesz mógł przedstawić mi swój hipisowski punkt widzenia, Sportello. To nie daje mi spać po nocach.

Raz w tygodniu Wielka Stopa jeździł do Kozmik Banana, sklepu z mrożonymi bananami niedaleko moło w Gordita Beach, i zakradał się tam tylnym wejściem. Było to klasyczne wymuszenie. Właściciel, Kevin, zamiast wyrzucać skórki od bananów, zarabiał na chwilowej wierze hipisów, przerabiając je na produkt przeznaczony do palenia, który nazwał Żółtą Mgiełką. Specjalnie szkolone ekipy uzależnionych od speedu wyrobników pracowały na trzy zmiany w pobliskim opuszczonym, przeznaczonym do rozbiórki hotelu, zdrapując starannie wewnętrzną stronę skórek i uzyskując po wypaleniu w piecu i pulweryzacji czarną sproszkowaną substancję, którą wsypywano do plastikowych torebek i sprzedawano otumanionym i zdesperowanym. Niektórzy z palących ten proszek opowiadali o psychodelicznych podróżach w inne miejsca i epoki. Inni mieli straszliwe dolegliwości nosa, gardła i płuc, które trwały całymi tygodniami. Wiara w psychodeliczne banany trwała jednak nadal, wspierana radośnie przez podziemne gazetki publikujące uczone artykuły, w których porównywano na wykresach molekuły bananów i LSD, cytowano fragmenty indonezyjskich pism naukowych na temat tubylczego kultu banana i tak dalej. Kevin zarabiał krocie i Wielka Stopa nie widział powodu, by siły ładu i porządku nie miały skorzystać na tym procederze.

– Jak nazywacie ten rodzaj wymuszenia? – chciał wiedzieć Doc. – Przecież to nie jest prawdziwy narkotyk, nie można się nim uwalić, a poza tym jest legalny, Wielka Stopo.

– I o to właśnie chodzi. Skoro jest legalny, legalna jest również moja działka. Zwłaszcza, rozumiesz, jeśli jest wypłacana w formie mrożonych bananów, a nie pieniędzy.

– Ale... – wahał się Doc. – Nie, zaczekaj, to nielogiczne, kapitanie... to coś, czego nie do końca...

Dotarłszy do domu, nadal próbował to rozwikłać. Spike czekał na niego, siedząc na schodkach.

– Jest coś, co będziesz chyba chciał obejrzeć, Doc. Farley dostał to właśnie z laboratorium.

Poszli razem do domu Farleya. Film był już na szesnastomilimetrowym projektorze, gotowy do wyświetlenia.

Zarejestrowana na taśmie Ektachrome Commercial słoneczna równina, na której widać utwardzony grunt i szkielety ranchburgerów, wypełnia się nagle facetami w kupionych hurtowo identycznych polowych mundurach i dzianych maszynowo kominiarkach w renifery i gałązki z szyszkami. Dźwigają jakiś dziwny i ciężki sprzęt, między innymi, co wskazuje Spike, M16 i AK-47, oryginalne i podrabiane w różnych krajach, karabiny maszynowe Heckler & Koch zasilane z taśmy i z bębenka, uzi, a także powtarzalne śrutówki.

Grupa uderzeniowa przebiega przez kanał przeciwpowodziowy, zabezpiecza mosty i kładki i otacza prowizoryczny placyk, przy którym flagowym najemcą jest salon masażu Chick Planet. Doc dostrzega przed nim swój samochód, ale motocykle, które stały, kiedy tam przyjechał, już zniknęły.

Kamera unosi się i pokazuje brygadę oprychów Mickeya na harleyach, kawasaki Mach III i, co wskazuje Spike, jednym triumphie bonnevillie T120, którzy rejterują albo tylko jeżdżą w kółko, nie wiedząc dobrze, na czym w tym momencie polega ich misja. Docowi, który to obserwował, wydało się dziwaczne, niemal trudne do wyobrażenia, że leży nieprzytomny i niewidoczny gdzieś w środku tej sceny, że dysponując jakimiś specjalnym rentgenowskimi okularami, mógłby zobaczyć samego siebie, nieruchomego, prawie martwego. Oglądanie tego filmu o mającej się właśnie zacząć napaści, miało coś wspólnego z tym, co Sortilege lubiła nazywać doświadczeniem pozacielesnym.

Na ekranie nagle rozpętuje się piekło. Doc prawie to słyszał, chociaż film nie miał ścieżki dźwiękowej. Obraz podskakuje, jakby Farley próbował się gdzieś schować. Na starej kamerze Bell & Howell, której używał, można za jednym razem nakręcić sto stóp filmu, potem trzeba zmienić rolkę, w związku z czym relacja nie jest płynna. Kamera ma poza tym trzy wbudowane obiektywy, długi, normalny i szerokokątny, które można w razie potrzeby zmieniać, często w trakcie ujęcia.

Film niemal zbyt wyraźnie pokazuje, jak Glen Charlock ginie z ręki zamaskowanego napastnika. To kulminacyjny moment – nieuzbrojony Glen idzie na uginających się lekko kolanach, czego nauczył się na spacemiaku. Stara się groźnie wyglądać, ale tak naprawdę widać tylko, jak bardzo się boi, jak bardzo nie chce umierać. Światło nie chroni go w sposób, w jaki czasem chroni aktorów, w sposób, do którego przywykli widzowie w kinie. To nie jest światło filmowe, tylko obojętne kalifornijskie słońce, lecz w jakiś sposób wyróżnia Glena, wskazuje, że to on właśnie będzie ofiarą. Strzelec obchodzi się z krótką bronią w sumienny sposób, tak jak to robi komandos na strzelnicy – żadnej brawury, okrzyków i wyzwisk, żadnego strzelania z biodra – nie spieszy mu się, widać, że zwraca uwagę na oddech, kiedy celuje w Glena, prowadzi go i kosi cichymi potrójnymi seriami, których oddaje jednak więcej niż potrzeba.

– Ci technicy w twoim laboratorium oglądają czasem to, co wywołują? – zapytał Doc, żeby coś powiedzieć.

– Mało prawdopodobne – odparł Farley. – Już do mnie przywykli, uważają, że jestem szurnięty.

– Mogą zrobić dodatkowe kopie? Powiększyć jedną albo drugą klatkę? Zastanawiam się, co jest za tymi maskami.

– Rozdzielczość pójdzie w diabły – stwierdził Farley, wzruszając ramionami – ale chyba można spróbować.

*

Nazajutrz mniej więcej w porze lunchu zaczął dzwonić telefon marki Princess. – Ja chromolę, *ese*, ty naprawdę istniejesz.

– Przynajmniej przez jeden dzień w tygodniu. Musiałaś mieć szczęście. Kto mówi?

– Już o mnie zapomniał. *Sinverguenza*, jak powiedziałyby moja babcia.

– To było podchwytliwe pytanie, Luz. Co u ciebie, *mi amor?* – Masz dziwny sposób flirtowania.

– Mam nadzieję, że jesteś dziś wolna.

Niedaleko biura, w zasięgu kilku minut spacerem, było małe osiedle skazane na zagładę w związku z planami rozbudowy lotniska, które mogły być tylko biurokratyczną fantazją. Z domów wykwaterowano mieszkańców, ale nie były puste. W środku kręcono kontrowersyjne filmy. Przechowywano broń i narkotyki. Latynoscycy motocykliści spotykali się tu ukradkiem w południe z młodymi anglosaskimi dyrektorami w odliczanych od podatku tupecikach, których dynelowe włókna pachniały śródziemskimi barami w porze lunchu. Narkomani brandzlowali się w samolotach kilka cali nad ich głowami, a szczególnie nieszczęśliwi mieszkańcy rejonu od Palos Verdes do Point Dume penetrowali teren w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na samobójstwo.

Luz pojawiła się w czerwonym chevrolecie super sport 396, który – chociaż kilkakrotnie powtórzyła, że pożyczyła go od brata – zdaniem Doca musiał chyba należeć do jej chłopaka. Miała na sobie obcięte džinsy, kowbojskie buty i krótki T-shirt pasujący kolorem do samochodu.

Znaleźli pusty dom i weszli do środka. Luz wzięła ze sobą butelkę *cuervo*. Wewnątrz był podwójny materac z dziurami od petów, telewizor marki French Provincial z rozbitym ekranem i pięciogalonowe pojemniki po masie szpachlowej, których ludzie używali jako mebli piknikowych.

– Czytałem w gazetach, że nadal nie odnaleziono Mickeya.

– Nawet FBI przestało już nas odwiedzać. Riggs znowu wyjechał na pustynię, a Sloane i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

– To znaczy... ee... jak bardzo?

– Pamiętasz to łóżko, na którym Mickey nigdy się ze mną nie pieprzył? Teraz należy do

nas...

– Hmm...

– Co ja tu widzę?

– Och, daj spokój, ta myśl wydała mi się interesująca, wy obie...

– Wy faceci macie hopla na punkcie lesbijek. Nie możesz po prostu się tu wygodnie położyć... nie, miałam na myśli tam... a ja ci o wszystkim szczegółowo opowiem.

Co parę minut przelatowały z hukiem pasażerskie odrzutowce. I wtedy trzęsły się ściany domu. Czasami Luz rozchyłała na krótko nogi. Docowi wydawało się, że słyszy toczące się po dachu koła podwozia. Im było głośniejsze, tym bardziej go to podniecało.

– Co się stanie, jeśli jeden z nich zejdzie trochę za nisko? Możemy zginąć, prawda? – Luz złapała go oburącz za włosy i odsunęła jego twarz od swojej cipki. – Co jest z tobą, sukinsynu, nie słyszysz mnie?

Cokolwiek by powiedział, zagłuszyłby to ryk kolejnego podejścia, a Luz tak czy inaczej chciała się w tym momencie pieprzyć i to właśnie zrobili. A potem zapalili skręty i zaczęła mu opowiadać o Sloane.

– Te angielskie cizie przyjeżdżają do Califas i nie wiedzą, jak się zachować. Widzą tych wszystkich ludzi, człowieka, całe te pieniądze i nieruchomości, i żadna z nich nie ma pojęcia, co z tym zrobić. Pierwszą rzeczą, którą słyszymy, kiedy przekraczamy granicę, jest: *Esta gente no sabe nada*. Więc Sloane ma w sobie cały ten żal. Za każdym razem, kiedy dowiaduje się o pieniądzach, które można zgarnąć, uważa, że należą się właśnie jej. Z Riggssem jest inaczej. Jemu nie chodzi tak bardzo o to, żeby je samemu dostać, ile o to, żeby nie zabrał ich ktoś inny.

– Gliniarze lubią to nazywać „kradzieżą”.

– Mogą to tak nazywać. Sloane woli określenie „relokacja”.

– Więc jak to wyglądało? Ona i Riggs kantowali Mickeya, naciągali jego klientów, oszukiwali kontrahentów czy jak?

Luz wzruszyła ramionami.

– To nie była moja sprawa.

– Robili tylko razem różne przekręty czy przynajmniej pieprzyli się od czasu do czasu?

– Riggs mówił, że nie chodzi mu tak bardzo o to, żeby się z nią pieprzyć, ile o to, żeby Mickey tego nie robił.

– No tak. Co Riggs miał przeciwko jej mężowi?

– Nic. To byli starzy *compinches*. Riggs nigdy nie zbliżyłby się do cipki Sloane, gdyby Mickey go nie zachęcił.

– Mickey był gejem?

– Mickey pieprzył inne kobiety. Chciał po prostu, żeby Sloane też miała coś z życia. On i Riggs pracowali razem nad różnymi projektami. Kiedy Mickey wyjeżdżał do miasta, Riggs zostawał w domu i walił konia za każdym razem, gdy Sloane była w pobliżu. Dla Mickeya wydawał się oczywistym kandydatem, żeby go z nią spiknąć... Poza tym miał inne zalety: młody, z wielkim kutasem, wystarczająco biedny, żeby móc trzymać go na smyczy. Oczywiście Sloane nie była z początku zachwycona całym tym pomysłem, bo nie chciała zawdzięczać czegokolwiek Mickeyowi.

– Ale...

– Dlaczego tak cię to interesuje?

– Grzeszki możnych tego świata. To lepsze niż czytanie „Enquirera”.

– Poza tym nie popieprzysz się z gazetą, mój ty mały anglosaski *hijo de puta*...

– Bara bara – zasugerował czule Doc. – *Otra vez, si?*

W związku z czym spóźnił się nieco do biura i przez kilka dni musiał tłumaczyć się z widocznych malinek, zadrapań i tak dalej.

– Jeszcze jedno – powiedział, kiedy Luz szykowała się do odjazdu swoim supersportem. –

Co, twoim zdaniem, naprawdę przytrafiło się Mickeyowi?

Luz najwyraźniej straciła ochotę na flirt i zrobiła smutną minę. Jej uroda jakby się pogłębiła.

– Mam nadzieję, że jeszcze żyje, człowieku. Nie był z niego taki zły facet.

*

Doc zapalał właśnie skręta, spodziewając się spokojnego poranka w biurze, kiedy zaczął dzwonić jego antyczny interkom. Przekręciwszy kilka bakelitowych przełączników, usłyszał, jak ktoś, niewykłuczone, że Petunia, wykrzykuje z dołu jego imię. Ponieważ Petunia bardzo interesowała się jego życiem osobistym, oznaczało to na ogół, że ma gościa, najprawdopodobniej jakąś cizję.

– Dzięki, Tune! – wrzasnął serdecznie Doc. – Wyślij ją na górę. Czy nie wspominałem przypadkiem, że twoja dzisiejsza kreacja jest wyjątkowo urocza? Ten żonkilowy odcień pasuje do twoich oczu – dodał, wiedząc, że zakłócenia spowodują, iż niewiele z tego, jeśli w ogóle cokolwiek, dotrze do adresatki.

W razie gdyby – co było bardzo mało prawdopodobne – jego gość nie pochwałał zażywania marihuany, Doc obiegił biuro z puszką kupionego w supermarkecie odświeżacza powietrza, wypełniając je straszliwie gęstym tumanem syntetycznego kwiatowego zapachu. Drzwi otworzyły się i do środka weszła, litości, wprost niesamowita seksbomba, nawet przy zredukowanej widoczności i w ogóle. Rude włosy, skórzana kurtka, wąska minispódniczka, papieros przyklepiony do dolnej wargi. Im była bliżej, tym bardziej wydawała się ponętna.

– Kurde fudr! – wrzasnął mimowolnie Doc, któremu powiedziano kiedyś, że po francusku znaczy to „miłość od pierwszego wejrzenia!”.

– To się jeszcze zobaczy – stwierdziła. – Ale co to za kurewski zapach? Można się od niego porzygać.

Doc spojrział na nalepkę na puszcze.

– Kwiatowy kaprys?

– Toaleta na stacji benzynowej w Death Valley wstydziłyby się śmierdzieć w ten sposób. Swoją drogą, jestem Clancy Charlock.

Kobieta wyciągnęła rękę na całą długość i uścisnęli sobie dłonie.

– Glen Charlock był pani... – zaczął Doc.

– ... bratem – dokończyła za niego.

– No cóż. Przykro mi z powodu pani brata.

– Glen był gnojkiem i kiedyś musieli zdjąć z anteny ten jego serial. Ale to nie znaczy, że nie chcę się dowiedzieć, kto go zamordował.

– Rozmawiała pani z policją?

– Bardziej oni rozmawiali ze mną. Jakiś mądrała o nazwisku Bjornsen. Raczej nie podniósł mnie na duchu. Mógłbyś się tak nie gapić na moje cycki?

– Kto...? Och... starałem się chyba przeczytać... co jest napisane na pani T-shircie...

– To przecież portret. Franka Zappy.

– Więc to... Mówi pani... że przysłał ją do mnie porucznik Bjornsen?

– Wydawał się o wiele bardziej przejęty zniknięciem Mickeya Wolfmanna niż zabiciem Glena, co nie wydaje się wcale takie dziwne, zważywszy na priorytety policji Los Angeles.

Ale jest chyba twoim fanem. – Clancy rozejrzała się po gabinecie i w jej głosie zabrzmiało powątpiewanie. – Przepraszam, czy w twojej popielniczce nie leży przypadkiem niedopalony skręt?

– Och, to gruby nietakt z mojej strony. Proszę, mam tu nowy, wystarczy zapalić.

Jeżeli spodziewał się romantycznej sceny zapalania papierosa na wzór tej z *Trzech kameli* z 1942 roku, czekał go zawód. Zanim zdążył podnieść znacząco brew, Clancy złapała skręta i go zapaliła. Kiedy dostał go z powrotem, był o połowę krótszy niż na początku.

– Interesujące badziewie – zauważyła, wypuszczając w końcu dymek. Następnie nawiązali dłuższy, dla Doca nader erekcyjogenny kontakt wzrokowy.

Bądź profesjonalistą, upominał sam siebie.

– Na policji uważają, że twój brat próbował powstrzymać tych, którzy chcieli porwać Wolfmanna, i zastrzelono go, kiedy wykonywał swoje zadanie.

– Zdecydowanie zbyt sentymentalna wersja. – Clancy wślizgnęła się do zielonofuksjowego boksu i oparła łokcie o stół. – Jeśli ktoś planował porwanie, możemy uznać, że Glen maczał w tym palce. Lubił, gdy płacili mu za groźną minę, ale w razie prawdziwych kłopotów najczęściej brał nogi za pas.

– Więc może zobaczył coś, czego nie powinien widzieć?

Clancy przez chwilę kiwała głową.

– Może i tak... – stwierdziła w końcu. – Boris też tak uważa.

– Kto?

– Kolejny członek patrolu Mickeya. Wszyscy zniknęli z pola widzenia, ale Boris zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Coś nas kiedyś łączyło. Wygląda na faceta, z którym lepiej nie zadzierać, ale prawdę mówiąc, w tym momencie sra ze strachu.

– Czego się boi?

– Nie chce powiedzieć.

– Myślisz, że będzie chciał ze mną gadać?

– Można spróbować.

– Tu jest telefon.

– Hej, telefon marki Princess, człowieku, też kiedyś taki miałam. To znaczy mój był różowy, ale jadowicie zielony też jest fajny. Masz zamiar wziąć ślub z tym skrzętem czy tylko tak go trzymasz?

Telefon miał długi kabel i Clancy zabrała go jak najdalej od Doca, który udał się do toalety i zaczął czytać książkę Louisa L'Amoura, o której zapomniał, że tam leży. Zanim się zorientował, Clancy waliła w drzwi.

– Boris mówi, że to musi być osobiście.

*

Doc spotkał się z Clancy, kiedy skończyła wieczorem pracę w barze w Inglewood, i pojechali do zajazdu motocyklistów Knucklehead Jack's gdzieś przy Harbor Freeway. Kiedy weszli do środka, z szafy grającej płynęły dźwięki klasycznego *Runaway* Dela Shannona, co Doc uznał za dobry znak. Niski poziom tlenu rekompensowany był z nawiązką oparami pochodzącej z różnych krajów marihuany.

Boris Spivey miał rozmiary ligowego rozgrywającego, ale nie odznaczał się jego powściągliwością. Kij bilardowy w jego rękę wyglądał jak pałeczka dyrygenta w dłoni Zubina Mehty.

– Clancy mówi, że zwinęli cię z powodu Glena.

– Musieli mnie wypuścić. Trafiłem po prostu w niewłaściwe miejsce w niewłaściwym czasie. Znaleźli mnie nieprzytomnego na miejscu przestępstwa. Nadal nie wiem, co się wydarzyło.

– Ja też. Byłem w Pico Rivera z wizytą u mojej narzeczonej Dawnette. Grasz w bilard? Jak się zapatrujesz na uderzenia z góry?

– Klasyczne połączenie miłości i nienawiści.

– Ja rozbijam.

Na stole bilardowym zaczęły się wkrótce krzyżować trajektorie bil, a suknu kilka razy zagroziły zadawane z góry uderzenia. Trwało to do momentu, gdy właścicielka, pani Pixley, podeszła w końcu do Doca i Borisa z ponurym uśmiechem na twarzy i obrzynem w rękę, i w lokalu zapadła cisza.

– Widzicie ten napis nad barem, chłopcy? Jeśli nie potraficie go przeczytać, chętnie to za was zrobię.

– Niech pani da spokój, nie robimy nic złego.

– Nic mnie to nie obchodzi. Ty i twój mały kolega macie natychmiast opuścić ten lokal. Nie chodzi mi o koszt wymiany filcu, po prostu cholernie nienawidzę uderzeń z góry.

Doc poszukał wzrokiem Clancy i zobaczył ją w boksie, pogrążoną w rozmowie z dwoma motocyklistami z gatunku tych, z którymi znajomości nie pochwała żadna mama.

– Poradzi sobie – powiedział Boris. – Zawsze lubi mieć do czynienia z dwoma facetami i to chyba jej szczęśliwa noc. Chodź, zostawiłem ciężarówkę na parkingu.

Doc, w którego głowie w nieunikniony sposób zaroilo się od sprośnych obrazków, podszedł razem z Borisem do pokrytego cętkami antykorozyjnej zielonej i szarej farby dodge'a power wagon rocznik 46. Wsiadli i Boris przez chwilę omiatał wzrokiem parking.

– Myślisz, że tam w środku dali się nabrać? Moim zdaniem jeszcze nikomu nie zaszkodziło trochę paranoi.

– Jak poważna jest sprawa, o której mówimy? – zapytał Doc, zapalając dwa koolsy, dla siebie i dla niego.

– Powiedz mi, *compadre*, tak między nami, zabiłeś już kiedyś kogoś?

– W obronie własnej bez przerwy. Z premedytacją, hej, kto to spamięta? A ty?

– Masz przy sobie broń?

– Będziemy mieli towarzystwo?

– Kiedy człowiek posiedzi jakiś czas w bloku o zaostrzonym rygorze – ma wrażenie, że zawsze ktoś go chce rozwalić – wyjaśnił Boris.

Doc pokiwał głową.

– Te hipisowskie ciuchy mają to do siebie – powiedział, unosząc jedną z nogawek rozszerzanych spodni, żeby pokazać małego smitha 27 z krótką lufą – że jak się chce, można pod nie schować nawet hecklera & kocha.

– Niebezpieczny z ciebie *hombre*. Widzę, że jak na mnie zbyt niebezpieczny, więc chyba lepiej wywalę kawę na ławę. – Doc gotów był wyskoczyć i uciec, ale Boris mówił dalej: – Tak naprawdę Glena załatwili z zimną krwią. Kiedy przyszli po Mickeya, Glena tam miało nie być. Wszystko było przygotowane, tamtego dnia miał dyżur Puck Beaverton. Miał ich wpuścić do środka i zniknąć, ale w ostatniej chwili dostał cykora i zamienił się dyżurami z Glenem, tyle że nie powiedział mu, co ma się wydarzyć, po prostu dał dyla.

– Ten cały Puck... wiesz, dokąd uciekł?

– Chyba do Vegas. Puck uważa, że są tam ludzie, którzy się nim zaopiekują.

– Na pewno będę chciał z nim pogadać. Ta cała historia jest zagadkowa. Powiedzmy na początek, że Mickey miał kłopoty.

– Kłopoty to nie jest odpowiednie słowo. Tkwił po uszy w gównie. Wszystko z powodu tego pomysłu, który przyszedł mu do głowy. Wszystkie pieniądze, jakie kiedykolwiek zarobił... kombinował, w jaki sposób je zwrócić.

Doc bardziej wypuścił powietrze z płuc, niż zagwizdał przez zęby.

– Mogę dopisać swoje nazwisko do listy?

– Myślisz, że bredzę? Nie szkodzi, wszyscy myśleliśmy, że Mickey bredzi.

– Jasne, ale po co w ogóle miałyby to robić?

– Nie pytaj. To nie pierwszy bogacz złapany ostatnio w pułapkę poczucia winy. Brał dużo kwasu, poza tym peyotl, może to go doprowadziło do takiego stanu. Na pewno widywałeś już takie rzeczy.

– Raz albo dwa, ale kończy się to na ogół kilkudniowym zwolnieniem lekarskim lub rozwodem z żoną, a nie czymś na taką skalę.

„Chciałbym cofnąć to, co zrobiłem, powtarzał Mickey. Wiem, że mi się to nie uda, ale na pewno mogę sprawić, że pieniądze zaczną płynąć w drugą stronę”.

– Tak ci powiedział?

– Słyszałem, jak to mówił. On i ta jego dziewczyna, Shasta, odbyli ze sobą kilka szczerych rozmów. Nie chciałem podsłuchiwać, ale po prostu tam byłem. To cena za to, że człowiek jest niewidzialny. Shasta uważała, że Mickey chyba oszalał, skoro chce oddać wszystkie pieniądze. Z jakiegoś powodu to ją przerażało. Zaczęła wiercić mu dziurę w brzuchu, jakby martwiło ją głównie to, że nie będzie już jej utrzymywał. Co naprawdę było szalone, bo ona go kochała, człowieku. Jeśli się o kogoś bała, to właśnie o niego. Nie wiem, czy Mickey kiedykolwiek w to uwierzył, ale każdy, kto siedział w kiciu nawet jedną noc, potrafi odróżnić gierki, które uprawiasz w stosunku do kogoś, kogo chcesz przelecieć, od tej drugiej rzeczy. Tego pragnienia. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz.

Siedzieli, paląc.

– Shasta i ja mieszkaliśmy ze sobą przez jakiś czas – uznał, że powinien wspomnieć, Doc – i nie mogę powiedzieć, żebyśmy wiedzieli, co do mnie czuła. Jak daleko to sięgało.

– Człowieku. – Boris zerknął szybko w stronę kabury na kostce Doca. – Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie szok.

– Boris, ja tylko wyglądam jak kawał skurwysyna, tak naprawdę jestem tak samo sentymentalny jak każdy były. Proszę, zapomnij o mojej spluwie, po prostu powiedz. Kto jeszcze twoim zdaniem przejmował się planami Mickeya? Biznesowi partnerzy? Żona?

– Sloane? Nie mówił jej ani słowa. Ani mru-mru do momentu, kiedy wszystko będzie zakończone, zaklepane i potwierdzone przez adwokata, powtarzał. Mówił także, że gdyby odkryła coś wcześniej, kalifornijska palestra ogłosiłaby święto dziękczynienia z okazji dodatkowej roboty.

– Ale w którymś momencie i tak musiałby zaangażować prawników, nikt nie oddaje lekką ręką milionów dolarów, musiałby potrzebować pomocy technicznej.

– Wiem tylko, że wokół domu Mickeya zaroilo się nagle od facetów w garniturach... potrafię rozpoznać mormonów i agentów FBI, jeżeli cokolwiek ich różni, ale nadal nie wiem, kim byli tamci.

– Nie wydaje ci się, że to mogli być ludzie Sloane? Która mimo wszystko odkryła, co się święci? Albo zaczęła odbierać dziwne wibracje? Ona lub jej chłopak, ten cały Riggs?

– Tak, Shasta uważała, że Sloane coś z nim kombinuje. Już przedtem była spięta, ale później zaczęła naprawdę świrować. Mickey wynajmował jej dom w Hancock Park i czasami wpadałem tam po dyżurze... nic romantycznego, rozumiesz... widać było po prostu, że czuje się bezpieczniej, kiedy ktoś z nią jest. Codziennie coś się działo, samochody jeździły wokół domu, telefon dzwonił i nikt nie odpowiadał po drugiej stronie, jacyś ludzie śledzili ją, kiedy wyjeżdżała swoim eldorado.

– Zapisała może numery?

– Wiedziałem, że o to zapytasz. – Boris wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął z niego złożoną kartkę i dał ją Docowi.

– Mam nadzieję, że możesz to sprawdzić tak, żeby gliniarze o tym nie wiedzieli.

– Facet, z którym kiedyś pracowałem, ma taki komputer. Dlaczego nie chcesz tego zgłosić na policję? Oni też są chyba zainteresowani ustaleniem, kto to jest.

– Chyba się naćpałeś? Z jakiej planety żeś się urwał?

– Z tego, co mówisz, wynika, że maczała w tym być może palce policja Los Angeles?

– W tej kwestii nie ma żadnego „być może”. Mickeya ostrzegano wystarczająco często. Ten jego kumpel z policji stale przyjeżdżał do domu.

– Niech zgadnę... blondyn, w szwedzkim typie, czasami dziwnie mówi, reaguje na przezwisko Wielka Stopa?

– To on. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, myślę, że przychodził głównie z powodu Sloane.

– Ale ostrzegł Mickeya, żeby co? Trzymał się z daleka od Chick Planet? Nie ufał ochroniarzom?

– Nieważne... Mickey ignorował wszystkie rady, lubił Channel View, szczególnie ten salon masażu. Ostatnie miejsce, w którym spodziewalibyśmy się napaści. Jeszcze przed chwilą dziewczyna robi ci loda, a zaraz potem masz wrażenie, że znalazłeś się w pierdolonym Wietnamie, wszędzie nacierają grupy uderzeniowe, nurkowie wyłazą z jacuzzi, laski biegają z krzykiem...

– Kurczę, można by pomyśleć, że byłeś tam na miejscu, a nie w Pico Rivera.

– No dobrze, dobrze, wpadłem na chwilę, żeby zabrać trochę tego różowego świństwa, które lubi Dawnette, tego, które wlewa się do wanny, żeby zrobiły się bąbelki...

– Płyn do kąpieli?

– Zgadza się. I wszedłem w sam środek tego wszystkiego, ale poczekaj... powiedziałaś, że ty też tam byłeś, nieprzytomny czy coś takiego, więc jak to się stało, że cię nie widziałem?

– Może to ja byłem w Pico Rivera?

– Pod warunkiem, że nie kombinowałeś z moją narzeczoną.

Przez chwilę uważnie się sobie przyglądali.

– Dawnette – powiedział Doc.

Usłyszeli charakterystyczny powolny warkot harleya. To był jeden z motocyklistów, z którymi Clancy spędzała ten wieczór. Siedziała za nim na siodełku.

– Wszystko w porządku! – zawołała, ale słyhać było, że nie jest zbytnio zainteresowana.

Boris opuścił szybę i wystawił głowę na zewnątrz.

– Ten facet napędził mi niezłego stracha, Clancy! Gdzie ty znajdujesz takich twardzieli?!

– Zadzwoń do ciebie, Doc – wycedziła Clancy.

Doc, pamiętając starą piosenkę Roya Rogersa, zanucił cztery takty *Happy Trails to You*, a Clancy ze swoim nowym przyjacielem Aubreyem wyjechali z łoskotem z parkingu. Aubrey machał nad głową dłonią w rękawicy, a tuż za nim sunął jego koadiutor Thomdyke na harleyu electra glide z silnikiem Shovelhead.

Po powrocie do domu Doc padł na kanapę i zaczął zapadać w sen. Niestety, nie zdążył się nawet odprężyć i wejść w fazę REM, kiedy rozległ się straszliwy klangor telefonu. Rok wcześniej znany mu nastoletni ćpun ukradł dzwonek przeciwpożarowy ze swojego liceum i nazajutrz, nękany wyrzutami sumienia, i nie mając pojęcia, co z nim zrobić, przyszedł do Doca i zaproponował mu kupno. Eddie z Parteru, który pracował kiedyś w firmie telefonicznej i umiał posługiwać się lutownicą, podłączył dzwonek do telefonu Doca. Wtedy wydawało się to fantastycznym pomysłem, później już raczej nie.

Okazało się, że dzwoni Jade i ma pewien problem. Sądząc po dźwiękach w tle, telefonowała z budki na ulicy, lecz hałas nie zagłuszył niepokoju, jaki rozbrzmiewał w jej głosie.

- Znasz FFO przy Sunset?
- Problem polega na tym, że oni też mnie znają. Co się stało?
- Chodzi o Bambi. Nie ma jej od dwóch dni i dwóch nocy i zaczynam się niepokoić.
- I dlatego bawisz się na Sunset Strip?
- Gra tu dzisiaj Spotted Dick, więc jeśli Bambi gdzieś się pojawi, to właśnie tutaj.
- W porządku, nie ruszaj się stamtąd, przyjadę tak szybko, jak się da.

Na wschód od Sepulveda świecił księżyc i Docowi udało się osiągnąć całkiem niezły czas. Zjechał z autostrady w La Cienega, skręcił w Stocker Street i ruszył skrótem do La Brea Boulevard. W radiu, stosownie do pory, nadawali jeden z nielicznych znanych hitów czarnego surfowego rocka, *Soul Gidget* zespołu Meatball Flag.

*Kto tak zasuwa ulicą?
W sandałkach na wysokich obcasach,
Wszędzie witana uśmiechem.
Nigdy nie zgarnęła jej obyczajówka...
Kto to jest? [gitara gra septymę małą]
Soul Gidget!
Kto nigdy nie przejmuje się swoją karmą?
Kto opietruszył równo twoją mamusię?
Jest taka duża i niegrzeczna
Jak Sandra Dee w peruce afro...
Kto to jest?
Soul Gidget!
Jest duża fala, Soul Gidget
Wszędzie we włosach ma paczulę.
Tu w Hermosa daje z siebie wszystko
W South Central jest znowu dzieckiem...
Uch! Kto to jest?
Soul Gidget!*

I tak dalej. Po czym nastąpił maraton Larry'ego „Wild Mana” Fischera, od którego Doca

wybawił widok świateł Pink's. Zatrzymał się na chwilę, żeby kupić kilka chili-dogów, i ruszył dalej pod górę, jedząc w czasie jazdy. Znalazł miejsce do zaparkowania i pokonał resztę drogi na piechotę. Przed FFO kłębił się niewielki tłumek miłośników muzyki, podających sobie nawzajem skręty, kłócących się z wykidajką przy drzwiach i tańczących w rytmie dochodzących ze środka potężnie wzmocnionych basów. Grał występujący przed Spotted Dick zespół Furies, znany z tego, że ma trzy gitary basowe i żadnej prowadzącej. Co jakiś czas ktoś podbiegał do drzwi, wrzeszczał „Zagrajcie »White Rabbit«!”, po czym był z powrotem wyrzucany na ulicę.

Niebawem Doc natknął się na Jade i rzekomo zaginioną Bambi, które stały przed pobliską lodziarnią, nawijając jak szalone i wymachując gigantycznymi różkami, na których chwiały się kolorowe kulki ekologicznych lodów.

– Kurczę, Doc! – wykrzyknęła Jade, podnosząc ostrzegawczo brew. – Co ty tu robisz?

– No właśnie – wycedziła Bambi. – Wyglądasz na kogoś, kto preferuje raczej Herba Alperta i Tijuana Brass.

Doc nastawił ucho w stronę klubu.

– Wydawało mi się, że ktoś gra *This Guys in Love with You*, więc przybiegłem, nie? Co ja tu w ogóle robię? Co u was słycać, dziewczyny, wszystko gra?

– Bambi załatwiła nam wejściówki na Spotted Dick – powiedziała Jade.

– Mamy podwójną randkę – wyjaśniła Bambi. – Tu obecny Kwiat Lotosu jest umówiony z wybitnym wykonawcą, którym jest dzisiaj „Shiny Mac” McNutley, kotku.

Przy krawężniku zatrzymał się nagle śnieżnobiały rolls.

– W porządku, dziewczęta, nie ruszajcie się z miejsca – odezwał się głos ze środka.

– O w dupę – jęknęła Bambi. – To znów ten twój alfons, Jade.

– Mój alfons? Od kiedy?

– Nie zapomniałaś chyba, że podpisałaś list intencyjny?

– Masz na myśli ten papier w toalecie? Nie, podtarłam nim sobie tyłek i już go nie ma. Dlaczego pytasz. Czy to ważne?

– Przymknijcie się obie, przestańcie robić sobie jaja i wsiadajcie do samochodu, musimy porozmawiać o interesach.

– Nie wsiądę do tego samochodu, Jasonie, śmierdzi jak fabryka paczuli – oznajmiła Bambi.

– Tak, wysiadaj. Staw nam czoło jak mężczyzna – dodała drwiącym tonem Jade.

– Chyba będę już leciał – oznajmił z uśmiechem Doc.

– Zostań, Bamey – poprosiła Bambi. – Oglądaj przedstawienie, jesteś w końcu w stolicy światowej rozrywki.

Jak powiedziała mu później Jade, ów alfons, Jason Velveeta, kiedy był młodszy, trafił chyba na niewłaściwego doradcę zawodowego. Każda kobieta, którą próbował kiedykolwiek źle traktować, dawała mu to, na co zasłużył. Niektóre, najczęściej nie z jego stajni, odpalały mu czasem jakieś pieniądze, bo było im go po prostu żal, ale nigdy tyle, ile były mu jego zdaniem winne.

Otoczony obłoczkiem paczuli Jason wysiadł niechętnie z samochodu. Jego garnitur był tak biały, że rolls wydawał się przy nim przykurzony.

– Wskakujcie do samochodu, dziewczęta. Natychmiast.

– Żeby ktoś zobaczył, że jedziemy z tobą? – obruszyła się Jade. – Zapomnij o tym.

– Nie możemy narażać się na taką utratę wiarygodności – dodała Bambi.

– To nie wszystko, co możecie stracić.

– Kochamy cię, kotku – rzuciła Bambi – ale jesteś pośmiewiskiem. Żarty o Jasonie można znaleźć w każdej toalecie przy Sunset Strip i Hollywood Boulevard... Nawet napisane szminką w pierdolonej West Covina, człowieku.

– Gdzie? Gdzie? Znam w West Covina faceta z buldożerem, wystarczy jedno moje słowo,

a rozpieprzy w drobny mak te wszystkie sracze. Co to za żart?

– No, nie wiem, skarbie – mruknęła Bambi, udając, że się do niego tuli, i uśmiechając się szeroko do przechodniów. – Wiesz, że to cię tylko zdenerwuje.

– Och, daj spokój. – Jason cieszył się wbrew sobie z zainteresowania, jakie wzbudzali na ulicy.

– Mamy mu powiedzieć, Jade?

– Twoja decyzja, Bambi.

– Piszą tam – oznajmiła Bambi swoim najbardziej uwodzicielskim głosem – że jeśli płacisz jakkolwiek prowizję Jasonowi Velveecie, nie masz prawa tam srać. Twój dupol jest w Hollywood.

– Suka! – wrzasnął Jason, lecz w tym momencie dziewczęta uciekały już ulicą. Jason puścił się za nimi w pogoń, ale po kilku krokach poślizgnął się na ciśniętych specjalnie przez Jade na chodnik ekologicznych lodach Rocky Road i wylądował na tyłku.

Doc poczuł, jak wzbiera w nim fala współczucia. A może coś innego.

– Proszę, człowieku.

– Co to jest?

– Moja ręka.

– Człowieku – mruknął Jason, gramoląc się na nogi – wiesz, ile mnie będzie kosztowało pranie tego garnituru?

– Straszne, naprawdę. A wydawało się, że to takie zajebiste laski.

– Szukasz dziś wieczorem towarzystwa? Wierz mi, znajdziemy coś lepszego od tych dwóch. Chodź.

Ruszyli piechotą, a rolls toczył się za nimi z tą samą szybkością. Jason wyjął z kieszeni nieco sfatygowanego skręta i zapalił. Doc rozpoznał zapach taniego meksykańskiego towaru i zorientował się, że ktoś zapomniał usunąć z niego nasiona i łądyżki. Kiedy Jason go poczęstował, udał, że się zaciąga, i po chwili oddał skręta.

– Zaczna trawa, człowieku.

– Właśnie spotkałem się z moim dealerem, ma wysokie ceny, ale towar jest tego wart.

Minęli Chateau Marmont i skręcili w Hollywood Boulevard. Od czasu do czasu Jason zaczepiał jakąś młodą kobietę o pociągającej urodzie (w rozumieniu pism sytuujących się poniżej „Playboya”), która obrażała go, obrzucała wyzwiskami, szturchała, uciekała, a niekiedy brała za potencjalnego klienta.

– Ciężką masz robotę – zauważył Doc.

– Ach, ostatnio mam ochotę rzucić to wszystko w diabły, wiesz? Tak naprawdę chciałem zostać agentem filmowym.

– Jasne. Dziesięć procent od tego, co zarabiają niektóre z tych gwiazd... Kurczę blade.

– Dziesięć? Tylko tyle? Jesteś pewien? – Jason zdjął kapelusz, homburga, również olśniewająco białego, i przyjrzał mu się krytycznie. – Nie masz może przy sobie darvonu? Albo bufferinu? Cholernie boli mnie głowa.

– Nie mam, ale proszę, spróbuj tego.

Doc zapalił i podał mu skręta z kolumbijskim towarem, znanym z tego, że rozwiązuje języki, i nim Jason się zorientował, nawijał jak szalony na temat Jade, do której, jeśli Doc się nie mylił, czuł coś w rodzaju mięty.

– Ona potrzebuje kogoś, kto by jej pilnował. Za bardzo ryzykuje, i nie chodzi mi tylko o ten uliczny proceder w Hollywood. Ci ludzie ze Złotego Kła... za bardzo się z nimi związała, człowieku.

– Tak... jasne... chyba słyszałem już gdzieś tę nazwę.

– To indochiński kartel heroinowy. Struktura pionowa. Zajmują się wszystkim: finansowaniem, uprawą, przetwarzaniem, dostarczaniem, rozprowadzaniem oraz kontrolowaniem detalicznej siatki dealerów w całych Stanach. Biorą osobną prowizję od

każdej operacji. Genialne.

– Ta słodka młoda istota sprzedaje heroinę?

– Może i nie, ale pracuje w salonie masażu, w którym piorą brudne pieniądze.

Jeśli to prawda, uświadomił sobie Doc, w takim razie Mickey Wolfmann i Złoty Kieł mogą być jednak ze sobą związani.

Cholera, człowieku...

– Czymkolwiek się zajmujesz – mówił Jason, właściwie przede wszystkim do siebie – trzymaj się z daleka od Kła. Jeśli zaczną podejrzewać, że możesz im zepsuć jakiś interes, poszukaj sobie raczej innego zajęcia. Jeśli to możliwe, w innym stanie.

Doc zostawił Jasona Velveetę przy Sunset Boulevard przed sklepem Sun-Fax i ruszył z powrotem na dół, pogrążony w zadumie. Po pierwsze, to szkuner, który szmugluje towar. Po drugie, to szemrany holding. Teraz to kartel heroinowy z południowo-wschodniej Azji. Może Mickey jest w nim ważną figurą? Kurczę, ten Złoty Kieł, człowieku... oznacza najwyraźniej wiele rzeczy dla wielu ludzi...

Mijały go przejeżdżające z otwartymi szybami samochody i słychać było tamburyny podkreślające rytm tego, co leciało w radiu. W narożnych kafejkach grały szafy grające, na podwórkach gitary akustyczne i harmonijki. Po tej stronie wzgórza wszędzie słychać było muzykę. Z przodu docierało do Doca brzmienie saksofonów oraz mocnej sekcji rytmicznej. Jakaś melodia Antonia Carlosa Jobima, którą, jak się okazało, grano w brazylijskim barze O Cangaceiro.

Ktoś wykonywał solówkę na saksofonie tenorowym i tknięty przecuciem Doc postanowił zajrzeć do lokalu, gdzie sporo ludzi tańczyło, paliło, piło i łąziło z kąta w kąt, słuchając jednocześnie z szacunkiem zespołu, w którego składzie, niezbyt tym zaskoczony, rozpoznał Coya Harlingena. Zmiana, jaka nastąpiła w Coyu w stosunku do tego, co widział w Topandze, była uderzająca. Grał *Desafinado*, trzymając instrument w rozczapierzonych palcach, nachylony nad nim, spocony, totalnie skupiony.

Kiedy występ dobiegł końca, do fortepianu podeszła dziwna hipiska z trwałą ondulacją zrobioną na krótko ostrzyżonych włosach, w stroju, w którego skład wchodziła „mała czarna” z lat pięćdziesiątych oraz interesujące wysokie szpilki. W gruncie rzeczy po bliższych oględzinach Doc uznał, że może to jednak nie hipiska. Usiadła przy klawiaturze tak, jak pokerzysta mógłby usiąść przy obiecujących kartach, zagrała w górę i w dół kilka gam a-moll, następnie zaś bez żadnych ceregieli zaczęła śpiewać klasyczną klubową piosenkę Rodgersa i Harta *It Never Entered My Mind*. Doc nigdy nie lubił łzawych piosenek o miłości, właściwie znany był z tego, że dyskretnie udawał się do najbliższej toalety, kiedy zachodziło nawet najmniejsze podejrzenie, że ktoś może ją wykonać, teraz jednak siedział zmieszany, czując, że zupełnie się rozkleja. Może spowodował to głos młodej kobiety, to, jak dyskretnie panowała nad tekstem – tak czy inaczej, po kolejnych ośmiu taktach zorientował się, że nie uniknie osobistego zaangażowania. Znalazł w kieszeni ciemne okulary i je założył. Po dłuższej wstawce fortepianu i powtórzonym refrenie, tknięty impulsem odwrócił się i zobaczył przy swoim ramieniu Coya Harlingena, który pojawił się niczym papuga w kreskówce, również mając na nosie ciemne okulary i kiwając głową – Ten tekst może być równie dobrze o mnie, człowieku. Podejmujesz pewną decyzję, wierzysz, że to się dla wszystkich dobrze skończy, i nagle wszystko przewraca się do góry nogami i widzisz, że nie mogłeś popełnić większego błędu.

Piosenkarka zaczęła śpiewać *Alone Together* Dietza i Schwartza, a Doc kupił sobie i Coyowi cachaę i piwo.

– Nie proszę, żebyś zdradzał jakieś sekrety, ale wydawało mi się, że widziałem cię raz w telewizji na wiecu Nixona.

– I twoje pytanie brzmi, czy naprawdę jestem jednym z tych wrzeszczących prawicowych oszołomów?

– Coś w tym rodzaju.

– Chciałem przestać ćpać i wydawało mi się, że chcę zrobić coś dla mojego kraju. Brzmi to głupio, ale ci ludzie byli jedynymi, którzy mi to zaproponowali. Decyzja wydawała się łatwa. Tak naprawdę chcieli jednak przez cały czas kontrolować członkostwo, ugruntowując w nas poczucie, że nigdy nie jesteśmy dość patriotyczni. „Zły czy dobry, to mój kraj” w sytuacji, gdy toczy się wojna w Wietnamie? To jakiś obłąd. Przypuśćmy, że twoja mama bierze heroinę.

– Moja... hmm...

– Chyba byś coś przynajmniej powiedział?

– Zaczekaj, więc twierdzisz, że Stany Zjednoczone są jak czyjaś mama... i na czym dokładnie polega jej nałóg?

– Na tym, że wysłała bez powodu dzieciaki, żeby ginęły w dżungli. Zły i samobójczy nałóg, z którym nie potrafi sobie poradzić.

– A strażnicy tego nie kupowali?

– Nigdy nie miałem okazji o tym pogadać. Ale i tak było już za późno. Zorientowałem się, co jest grane. Zorientowałem się, co narobiłem.

Doc skoczył po dolewki. Siedząc w milczeniu, wysłuchali do końca występu dziewczyny, która nie była hipiską.

– Niezłą solówkę odstawiłeś wcześniej – stwierdził.

Coy wzruszył ramionami.

– Niezłą jak na pożyczony saksofon – powiedział.

– Nadal mieszkasz w Topandze?

– Nie mam wyboru – odparł Coy i przez chwilę czekał na reakcję rozmówcy.

– Syf – skomentował w końcu Doc.

– Nie musisz mi mówić. Jestem kimś poniżej fanki, która przynosi trawkę, otwiera piwo, sprawdza, czy w gigantycznym dzbanku z ponczem w salonie są tylko niebieskie galaretki. Ale znowu zacznę marudzić.

– Mam takie wrażenie – zaczął ostrożnie Doc – że wolałbyś być gdzie indziej...

– Miło byłoby znaleźć się tam, gdzie... byłem wcześniej – odparł Coy.

Przy ostatnich słowach głos mu się zawiesił i Doc miał nadzieję, że zdołali je usłyszeć wyłącznie skłonni do sentymentalizmu prywatni detektywi. Muzycy wrócili na podium i zanim się zorientował, Coy wykonywał skomplikowaną improwizowaną aranżację *Samba do Aviao*, jakby to było wszystko, co musiał zrobić, by zapomnieć, jak spieprzył swoje życie.

Doc został w lokalu aż do zamknięcia i patrzył, jak Coy wsiada do złowrogiego drewnianego mercury’ego, który ścigał ich przed kilkoma dniami w kanionie. Potem zszedł do Arizona Palms, zjadł Nocny Przysmak i przesiedział świt nad gazetą przy oknie, obserwując zasnute smogiem miasto i światła samochodów, zredukowane do odbłaskowych pasków, które mrugały upiornie na najbliższych bulwarach i wkrótce zniknęły w jaśniejącej brązowej dali. Myślami wracał nie do Coya, lecz do Hope, która nie mając na to żadnych dowodów, wierzyła, że jej mąż nie umarł, i do Amethyst, która powinna mieć coś więcej niż tylko blaknące polaroidy, kiedy ogarnie ją dziecinna chandra.

Na progu biura czekała na niego pocztówka z położonej na Pacyfiku wyspy z wieloma samogłoskami w nazwie. Stempel był w języku francuskim, sygnowany przez miejscowego kierownika poczty wraz z uwagą *courier par lance-coco*, co, na ile Doc mógł się zorientować, korzystając z *Petit Larousse 'a*, musiało oznaczać dostarczanie poczty za pomocą ciskających orzechy kokosowe katapult, być może z powodu kłopotów, jakie sprawiała niedostępna rafa. Kartka nie była podpisana, ale wiedział, że jest od Shasty.

Żałuję, że nie możesz zobaczyć tych fal. To jedno z tych miejsc, które jakiś głos każe Ci odwiedzić. Pamiętasz planszę ouijsa? Tęsknię za tamtymi dniami i tęsknię za Tobą. Chciałabym, żeby tyle rzeczy ułożyło się inaczej... Nic nie miało się wydarzyć tak, jak się wydarzyło. Tak mi przykro, Doc.

Może było jej przykro, a może nie. Ale o co chodzi z tą planszą ouijsa, o którą Doc potykał się na miejskim wysypisku swojej pamięci? Och... och, rzeczywiście, coś zaczęło mu świtać... to było podczas jednego z długich okresów, kiedy nie mieli żadnych prochów, nikt niczego nie miał, wszyscy byli w desperacji i mieszało im się w głowach. Ludzie otwierali tysiące tabletek na przeziębienie i pracownicy sprawdzali ich zawartość, wierząc, że każdy kolor oznacza inny alkaloid belladony, który zażyty w wystarczająco dużych dawkach, zapewni im odlot. Odurzali się gałką muszkatołową, pili koktajle z visine i taniego wina, pożerali całe paczki nasion wilca, nie przejmując się doniesieniami, że producenci pokrywają je środkiem chemicznym powodującym wymioty. Próbowali wszystkiego.

Pewnego dnia, kiedy Doc i Shasta byli w domu Sortilege, ta wspomniała o posiadanej przez nią planszy ouijsa. Doc doznał olśnienia.

– Hej! Może ona nam powie, gdzie załatwić trawkę?

Sortilege uniosła brwi i wzruszyła ramionami, ale wskazała głową planszę. Wówczas opadły ich typowe wątpliwości, na przykład, skąd wiadomo, czy druga osoba nie przesuwając specjalnie wskazówki, żeby wyglądało to na jakąś wiadomość z zaświatów, i tak dalej.

– To małe piwo – odparła Sortilege. – Po prostu zróbcie wszystko sami. – Zgodnie z jej instrukcjami Doc odetchnął głęboko, wprawiając się w stan receptywny, i oparł najlżej, jak to możliwe, opuszki palców na planszy. – A teraz przedstawcie swoją prośbę i patrzcie, co się stanie.

– W porządku – mruknął Doc. – Hej, gdzie mogę znaleźć jakieś prochy, człowieku? I rozumiesz... żeby to był porządny towar...

Wskazówka zaczęła podskakiwać jak królik, literując szybciej, niż Shasta zdążyła zapisywać, adres przy Sunset Boulevard gdzieś na wschód za Vermont, i dorzucając nawet numer telefonu, który Doc szybko wykreślił.

– Cześć, ćpuny – zagruchał kobiecy głos – mamy wszystko, czego potrzebujecie, i pamiętajcie: im szybciej tu dotrzecie, tym więcej dla was zostanie.

– Ale z kim w ogóle mówię? Halo? Hej! – Doc spojrział zaskoczony na słuchawkę. – Rozłączyła się.

– To mogło być nagrane – orzekła Sortilege. – Nie słyszałeś, jak cię ostrzegęła? „Trzymaj

się z daleka! To policyjna pułapka!”.

– Chcesz z nami jechać, przypilnować, żebyśmy nie napytali sobie biedy?

Sortilege miała chyba wątpliwości.

– Muszę was uprzedzić, że to może być jakaś hucpa. Problem z planszami ouija polega...

Ale Doc i Shasta byli już za drzwiami i wkrótce pędzili wyboistym torem przeszkód znanym pod nazwą Rosecrans Boulevard, w promieniach słońca, jakie widuje się zawsze w policyjnych serialach. Na niebie nie było ani jednej chmurki, drogi nie ocieniały nawet eukaliptusy, które wszystkie nie tak dawno wycięto. Radio KHJ nadawało maraton Tommy’ego Jamesa i Shondells. Właściwie bez reklam. Czy mogło być coś bardziej obiecującego?

Zanim dojechali do lotniska, ze światłem zaczęło się jednak dziać coś dziwnego. Słońce zniknęło za chmurami, które robiły się z każdą chwilą coraz gęstsze. Wysoko na wzgórzach, między szybami naftowymi, zaczęły padać pierwsze krople deszczu i kiedy Doc i Shasta dotarli do La Brea, znaleźli się w środku nawałnicy. To było niezwykle. Przed nimi, gdzieś nad Pasadena, zebrały się czarne chmury, nie ciemnoszare, ale czarne jak o północy, czarne jak asfaltowe jeziora, czarne jak w piekielnym kręgu, do którego nikt nigdy nie dotarł. Na kotlinę Los Angeles spadały pojedynczo i grupami błyskawice, po których rozlegał się apokaliptyczny łoskot gromów. Chociaż był środek dnia, wszyscy zapalili światła. Woda spływała po zboczach Hollywood, niosąc błoto, drzewa, krzaki i wiele lżejszych pojazdów. Po kilku godzinach objeżdżania lawin błotnych, korków i wypadków Doc i Shasta znaleźli wreszcie mistycznie ujawniony adres dealera, pod którym znajdowała się pusta działka z gigantycznym dołem, leżąca między samoobsługową pralnią z jednej i kioskiem z sokiem Orange Julius oraz myjnią samochodową z drugiej strony. Wszystkie trzy placówki były nieczynne. W gęstej mgłę i strugach deszczu nie było nawet widać drugiego końca dołu.

– Hej, podobno miało tu być mnóstwo trawki.

To, co Sortilege próbowała im wytłumaczyć w kwestii ouija (o czym Doc dowiedział się dopiero później w Gordicie, wyżymając skarpetki i szukając suszarki do włosów), polegało na tym, że tuż za granicą percepcji kręcą się wokół nas złośliwe duszki zamieszkujące oba światy i ci figlarze najbardziej lubią mieszać w głowach tym, którzy dźwigają pod pachami grube i żałosne katalogi ludzkich żądz. „W porządku! – wołają. – Chcecie narkotyków? Macie swoje narkotyki, zasrani dumie”.

Doc i Shasta siedzieli na skraju zalanego wodą prostokąta, wpatrując się w osuwające się boki i w końcu, po jakimś czasie, wszystko obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni i zaczęło przypominać, przynajmniej Docowi, bramę, wielkie, mokre świątynne wejście do czegoś innego. Deszcz walił w dach ich samochodu, nad głowami migotały błyskawice, a on myślał o rzece nazywanej się tak samo jak to miasto i niegdyś przez nie przepływającej, którą dawno temu skanalizowano, wypompowano i okaleczono, zmuszając do publicznego i anonimowego przyznania się do śmiertelnego grzechu chciwości... Wyobrażał sobie, jak znów napełnia się aż po betonowy brzeg, a potem wyżej, całą wodą, której nie pozwolono tędy płynąć przez długie lata, i wkrótce zajmuje wyschłe koryta strumieni i wszystkie baseny za domami, przelewa się i płynie przez ulice i parkingi, cały ten karmiczny wodny krajobraz łączy się ze sobą, podczas gdy deszcz nadal pada i w końcu ląd znika, zmieniając się w okazałej wielkości śródlądowe morze, które z czasem staje się częścią Pacyfiku.

Zabawne, że ze wszystkich rzeczy, o których można napisać na mieszczącej się w orzechu kokosowym niewielkiej pocztówce, Shasta wybrała właśnie ten dzień w deszczu. Dzień, który również jemu utkwił w pamięci, choć zdarzył się pod sam koniec ich bycia razem, kiedy ona stała już niemal w drzwiach, a on widział to i nie robił nic, by ją zatrzymać... A mimo to, siedząc wtedy w samochodzie, zaczęli się gorączkowo pieścić, zupełnie jak dzieciaki w kinie dla zmotoryzowanych, moczając pokrowce siedzeń i sprawiając, że zaparowały szyby. Zapominając na kilka minut, jak to się wszystko skończy.

Deszcz nie przestawał padać i na wzgórzach codziennie osuwała się jakaś nieruchomość. Agentom ubezpieczeniowym ściekał za kołnierz żel do włosów, stewardesy nie potrafiły uratować stylowych fryzur, nawet kiedy spryskiwały je półgalonowymi puszkami z pianką kupionymi w bezcłowych sklepach daleko stąd. Podobne do termitier domy w Gordita Beach nasiąkły wodą niczym gąbki i wzywani do awaryjnych napraw hydraulicy wyciskali belki i dźwigary, myśląc o własnych zimowych domach w Palm Springs. Ludzie świrowali nawet na trzeźwo. Jakiś entuzjasta, podający się za George'a Harrisona z Beatlesów, próbował porwać zakotwiczony na zimę przy skrzyżowaniu autostrad Harbor i San Diego balon Goodyeara i polecieć nim w deszczu do Aspen w Kolorado.

Ulewa miała szczególny wpływ na Sortilege, która wtedy właśnie zaczęła mieć obsesję na punkcie Lemurii i jej tragicznego finału.

– Byłaś tam w swoim poprzednim życiu – teoretyzował Doc.

– Śnię o niej, Doc. Czasami budzę się z taką pewnością. Spike czuje to samo. Może to przez ten deszcz, ale zaczynamy mieć takie same sny. Nie możemy znaleźć sposobu, żeby wrócić do Lemurii, więc ona wraca do nas. Wynurzając się z oceanu... cześć, Leej, cześć, Spike, kopę lat się nie widzieliśmy...

– Mówi do was?

– Nie wiem. Nie chodzi tylko o miejsce.

*

Doc obrócił w palcach pocztówkę od Shasty i przyjrzał się zdjęciu z przodu.

Przedstawiało ruiny starożytnego miasta pod wodą – widać było połamane kolumny i łuki oraz zwalone mury oporowe. Woda była nienaturalnie czysta i wydawało się, że emituje jasne niebieskozielone światło. Wszędzie pływały ryby, które, jak zgadywał Doc, można by określić mianem tropikalnych. Wszystko wyglądało znajomo. Poszukał opisu fotografii, praw autorskich, miejsca pochodzenia. Nic z tych rzeczy. Zwinął skręta i przez chwilę się zastanawiał. To musiała być wiadomość z jakiejś wyspy na Pacyfiku, której nazwy nie potrafił wymówić.

Postanowił, że odwiedzi wskazany przez ouija adres, który jako miejsce klasycznego ćpunowskiego pecha na zawsze wrył mu się w pamięć. Denis pojechał z nim jako obstawa.

Dziura w ziemi zniknęła i w jej miejscu wznosił się dziwny futurystyczny budynek. Od frontu można by go uznać za budowlę o charakterze religijnym, bo wąskim i stożkowatym kształtem przypominał, choć nie do końca, dzwonnice. Ktokolwiek go stawiał, musiał dysponować sporym budżetem, ponieważ na zewnątrz był cały połączony. Doc zauważył także, że wysoki spiczasty gmach jakby odchyła się od ulicy. Cofnął się o kilkanaście kroków, żeby mieć widok z boku, i dostrzegłszy stamtąd, jak dramatyczna jest krzywizna i jak ostry wierzchołek, wreszcie zrozumiał. No tak! W nienowej już w Los Angeles tradycji architektonicznych dziwactw budynek miał być sześciopiętrowym złotym kłębem!

– Zamierzam się trochę rozejrzeć, Denis. Chcesz zostać w samochodzie czy wejść do środka i osłaniać mnie, czy coś w tym rodzaju?

– Chciałem kupić sobie jakąś pizzę – odparł Denis.

Doc dał mu kluczyki do samochodu.

– W liceum Leuzinger mieliście szkołę jazdy? – zapytał.

– Jasne.

– I pamiętasz, że tu jest manualna skrzynia biegów i tak dalej?

– Spoko, Doc – zapewnił go Denis i odjechał.

*

Prawie niewidoczne drzwi frontowe przypominały bardziej właz dopasowany idealnie do

zakrzywionej fasady. W holu, za biurkiem z tabliczką „Cześć, jestem Xandra!” i pod gustowną tablicą z bezseryfowym napisem ZŁOTY KIEŁ SA – DYREKCJA NACZELNA siedziała azjatycka recepcjonistka w czarnym winylowym dresie, która zapytała go z wyniosłą miną i lekkim brytyjskim akcentem, czy na pewno dobrze trafił.

– Taki adres dali mi w Club Asiatique w San Pedro. Żeby odebrać tu paczkę dla kierownictwa.

Xandra sięgnęła po telefon, wcisnęła przycisk, zamruczała coś do słuchawki, przez chwilę słuchała, po czym spojrzawszy na Doca z powątpiewaniem, wstała i zaprowadziła go do drzwi ze szczotkowanego metalu. Już po kilku krokach zdał sobie sprawę, że zaliczyła w poprzednim roku więcej godzin judo i karate, niż on spędził przez całe życie przed telewizorem – nie należała do młodych dam, na których gniew chciałby się narazić.

– Drugi gabinet po lewej stronie. Doktor Blatnoyd zaraz pana przyjmie.

Doc odnalazł gabinet i rozejrzał się za lustrem, w którym mógłby sprawdzić fryzurę, dostrzegł jednak tylko wiszące przy drzwiach małe lustro feng shui w żółtej ramce. Twarz, którą w nim zobaczył, wydała mu się obca.

– To nie wróży zbyt dobrze – mruknął.

Z okna za biurkiem z tytanu widać było dolny odcinek Sunset: meksykańskie restauracje, tanie hotele, lombardy. Bliżej były pufofotele i cała gama czasopism – „Foreign Affairs”, „Sinsemilla Tips”, „Modem Psychopath”, „Bulletin of the Atomic Scientists” – ale ich tytuły nie pozwoliły Docowi zorientować się, jaka jest tutejsza klientela. Zaczął przerzucać „2000 Fryzur” i zainteresował się właśnie artykułem pod tytułem *Pięciopunktowe strzyżenie nożyczkami – Czego nie mówi ci twój stylistka?*, kiedy do gabinetu wszedł doktor Blatnoyd w malinowym krawacie i aksamitnym garniturze w głębokim, niemal ultrafioletowym odcieniu, z bardzo szerokimi kłapami, rozszerzanymi spodniami i chusteczką w butonierce. Usiadłszy za biurkiem, sięgnął po ciężki skoroszytowy poradnik i zaczął go przerzucać, od czasu do czasu zerkając na Doca.

– A więc... rozumiem, że ma pan jakiś dowód tożsamości? – zapytał w końcu.

Doc poszperał w portfelu i wyjął wizytówkę chińskiego sklepu z akcesoriami dla pałacy przy North Spring Street, na którą, jak sądził, jego rozmówca powinien dać się nabrać.

– Nie potrafię tego przeczytać, to w jakimś... orientalnym... co to jest, po chińsku?

– No cóż, myślałem, że skoro jest pan Chińczykiem...

– Co takiego? O czym pan mówi?

– O... o Złotym Kle?

– To syndykat. Tak się składa, że większość z nas jest dentystami. Założyliśmy go przed laty ze względów podatkowych, wszystko jest oczywiście zgodne z prawem... niech pan zaczeka – rzucił nagle doktor Blatnoyd, zerkając, można rzec, diagnostycznie na Doca – powiedział pan Xandrze, że skąd przychodzi?

– Ehe...

– No tak, jest pan jednym z tych wiecznie odurzonych hipisów, prawda? Mój Boże. Proszę, ma pan tu trochę na rozgrzewkę. Założę się... – W okamgnieniu w rękę doktora pojawił się szklany brązowy cylinder wypełniony globulkami z jaskrawego czerwonego plastiku. – Niech pan skosztuje! Prosto z Darmstadt, laboratoryjnej jakości, może nawet poczęstuję się z panem. – I nim Doc się zorientował, nerwowy doktor stomatologii poszatkował i ułożył na pobliskim egzemplarzu „Guns & Ammo” gotowe do wciągnięcia do nosa kreski białych kryształków kokainy.

Doc wzruszył przeprasząco ramionami.

– Rzecz w tym, że staram się nie brać narkotyków, za które nie mogę zapłacić.

– Rany! – Doktor Blatnoyd miał już w rękę plastikową słomkę i wciągał kreskę. – Bez obaw, to na koszt firmy. Hmm... trochę rozsypałem – mruknął, po czym wziął kryształki na palec i wmasował je z entuzjazmem w dłoń.

Doc wciągnął z grzeczności po pół kreski do każdej dziurki, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko nie jest tak niewinne, na jakie wygląda. Był w życiu w kilku gabinetach dentystycznych i zapamiętał unoszący się tam wyraźny zapach i charakterystyczne wibracje. Tu ich brakowało, podobnie jak pogłosu, nad czym również się zastanawiał. Tak jakby działa się tu coś innego... coś... niefajnego.

Rozległo się ciche, lecz stanowcze pukanie do drzwi i do środka zajrzała recepcjonistka Xandra. Rozpięła tymczasem górę od dresu i Doc dostrzegł, że nie ma biustonosza. Brodawki kształtnych cycków wyraźnie jej stwardniały.

– Och, doktorze – wy dyszała śpiewnie.

– Tak, Xandro? – odparł rozpromieniony doktor Blatnoyd, któremu trochę ciekło z nosa.

Xandra skinęła głową i wycofała się na korytarz, uśmiechając się przez ramię.

– I niech pan nie zapomni zabrać tej butelki.

– Zaraz wracam – zapewnił Blatnoyd Doca, po czym wybiegł za Xandrą, wlepiając gorączkowo wzrok tam, gdzie jeszcze przed chwilą był jej tyłek. Jego pozbawione pogłosu kroki oddaliły się i ucichły w nieznanym rejonach budynku Złotego Kła.

Doc podszedł do biurka i przyjrzał się leżącemu na nim poradnikowi. Miał tytuł *Procedury Złotego Kła* i otwarty był na rozdziale omawiającym „Sytuacje interpersonalne”. *Sekcja ósma – hipisi. Postępowanie z hipisem jest na ogół proste. Jego dziecinna natura reaguje zwykle pozytywnie na narkotyki, seks oraz/lub rock and roli, jednak kolejność, w której należy stosować te bodźce, zależy od konkretnej sytuacji.*

W proggu rozległ się głośny świergot. Doc podniósł wzrok i zobaczył uśmiechniętą młodą kobietę, kalifornijską atrakcyjną blondynkę, która miała na sobie pasiastą minispódniczkę w wielu „psychodelicznych” kolorach i energicznie do niego machała, wskutek czego tkwiące w jej uszach olbrzymie kolczyki w kształcie pagody kołysały się w przód i w tył i naprawdę dzwoniły.

– Mam wizytę w Pracowni Konserwacji Uśmiechu doktora Rudy’ego!

Ten głos wracał do niego z przeszłości.

– Hej! To przecież Japonica, prawda? Japonica Fenway! Kto by się tu ciebie spodziewał!

To nie był moment, na który by czekał albo którego by się obawiał, choć od czasu do czasu słyszał o przesądzie amerykańskich Indian, wierzących, że jeśli ocalisz komuś życie, już zawsze jesteś za niego odpowiedzialny, i mógł się zastanawiać, czy może się to odnosić do historii z Japonicą. To było pierwsze płatne zlecenie, które otrzymał jako licencjonowany prywatny detektyw, i rzeczywiście mu się opłaciło. Fenwayowie należeli do plutokracji z South Bay i mieszkali na półwyspie Palos Verdes w ogrodzonej enklawie, należącej do ogrodzonego już wcześniej luksusowego osiedla Rolling Hills.

– Jak mam się do pana dostać? – zastanawiał się Doc, kiedy ojciec Japoniki, Crocker Fenway, zadzwonił do niego do biura.

– Musimy się spotkać za bramą, gdzieś na dole – odparł Crocker. – Może w Lomicie?

Chodziło o zwyczajną ucieczkę córki z domu i sprawa z pewnością nie zasługiwała na tak wysoką dzienną stawkę, nie mówiąc o ekstrawaganckiej premii, którą Crocker uparł się wypłacić, kiedy Doc sprowadził w końcu Japonicę do domu w pozbawionych jednego szkła druczianych okularach i z wymiocinami we włosach, przekazując ją w ręce ojca w tym samym miejscu, w którym on i Crocker spotkali się po raz pierwszy. Nie wiadomo było, czy w ogóle zapamiętała Doca i czy teraz go poznała.

– No tak! Czym się ostatnio zajmujesz, Japonico?

– Głównie uciekaniem. Z tego miejsca, do którego ciągle wysyłają mnie rodzice.

Okazało się, że chodzi o Chryskyłodon, ten sam dom wariatów w Ojai, o którym wspominała jego ciotka Reet i w którym Sloane i Mickey ufundowali nowe skrzydło. Chociaż Doc mógł niegdyś ocalić Japonicę przed bliżej nieokreślonymi hipisowskimi okropnościami, powrót na łono rodziny spowodował, jak widać, że zupełnie jej odbiło. Na neutralnej

powierzchni przeciwległej ściany Doc zobaczył zbliżającego się doń z groźnym wyrazem twarzy Indianina w pełnym rynsztunku, być może jednego z owych wielkich wojowników, którzy starli w proch pułk Henry'ego Fondy w *Fort Apache* z 1948 roku.

– Doc odpowiedzialny za stukniętą białą cizię. Co Doc planować z tym zrobić? Jeśli w ogóle coś planować?

– Przepraszam, panie niski z dziwnymi włosami, dobrze się pan czuje? – zapytała Japonica, po czym nie czekając na odpowiedź i skrząc się niczym ubierająca choinkę banda uzależnionych od speedu, podjęła opowieść o swoich uciezkach. Doca zaczynała od tego boleć głowa.

Po zamknięciu przez gubernatora Reagana większości państwowych zakładów psychiatrycznych powstała przez to lukę próbował na swój sposób wypełnić sektor prywatny, który stał się niebawem w Kalifornii standardowym miejscem wychowywania dzieci. Fenwayowie ekspediowali Japonicę do Chryskolodonu na zasadzie stałej umowy serwisowej, w zależności od tego, jak sami czuli się danego dnia, życie emocjonalne obojga było bowiem wyjątkowo intensywne i często niekoherentne.

– Czasami wystarczyło, że puściłam niewłaściwy rodzaj muzyki i moje walizki stały spakowane w holu, czekając na kierowcę.

Instytutem Chryskolodon zaczął się wkrótce interesować pewien rodzaj dyskretnych ofiarodawców – w średnim wieku, płci męskiej, choć niekiedy i żeńskiej, bardziej niż zwykle zainteresowanych upośledzonymi umysłowo młodymi. Stuknięte cizie i uwielbiający zabawę ćpuni! Dlaczego nazywają ich Pokoleniem Miłości? Przyjeżdż do Chryskolodonu na odjazdowy weekend i sam się przekonaj! Dyskrecja gwarantowana! Około roku 1970 słowo „dorosły” nie było już tak jasno zdefiniowane jak w poprzednich epokach. Ci, których było na to stać, usilnie i masowo zaprzeczali wpływowi czasu. Jasnowidząca Japonica widziała ich w całym zaprzędanym od dawna iluzji mieście: tych niewidocznych dla innych wędrowców, patrzących czujnie z owianych smogiem szczytów nad bulwarami, rozpoznających się wzajemnie z odległości wielu mil i lat, o zmierzchu, w niezrozumiale narzuconym sobie milczeniu. Nad ich nagimi plecami trzepotały pierzaste skrzydła. Wiedzieli, że potrafią latać. Jeszcze moment, chwilka w obliczu wieczności, i wstąpią...

Dlatego na pierwszej randce w ciemno z Japonicą (która odbyła się w Sound Mind Cafe, ustronnym lokaliku z patio i menu układanym przez zatrudnionego na stałe trzygwiazdkowego ekologicznego kucharza) doktor Rudy Blatnoyd był nie tylko oczarowany, ale zastanawiał się, czy ktoś nie wrzucił mu jakiegoś nowego psychodeliku do martini z sokiem z granatu. Ta dziewczyna była cudowna! Jako osoba niewyczulona na pozazmysłowe postrzeganie, Rudy nie mógł oczywiście wiedzieć, że mierząca go jasnym spojrzeniem Japonica nie tylko rozmyśla o innych światach, ale naprawdę je odwiedza. Japonica siedząca ze starszym panem w śmiesznym welurowym garniturze była w rzeczywistości Organizmem Cybernetycznym, czyli cyborgiem, zaprogramowanym, by jeść i pić, konwersować i udzielać się towarzysko, podczas gdy Prawdziwa Japonica miała do załatwienia inne ważne sprawy, ponieważ była Kosmicznym Wędrowcem: Tam na Zewnątrz czekały istotne problemy, wirowały galaktyki, upadały imperia, nie można było uciec przed karmą i Prawdziwa Japonica musiała być zawsze obecna w jakimś określonym punkcie pięciowymiarowej przestrzeni, w przeciwnym razie mógł znowu zapanować chaos.

Wracając do Sound Mind Cafe, zorientowała się, że Cyborg Japonica uległ jakiejś awarii, zakradł się do kuchni i zrobił coś wstrętnego z Zupą Dnia, którą musieli teraz wylać do zlewu. Właściwie była to Zupa Nocy, złowroga ciecz w kolorze indygo, która nie zasługiwała prawdopodobnie na wielki szacunek, lecz mimo to Cyborg Japonica mógłby się bardziej kontrolować. Niegrzeczny, impulsywny Cyborg Japonica. Być może Prawdziwa Japonica nie powinna mu dawać tych specjalnych wysokonapięciowych baterii, o które ją prosił. To go czegoś nauczy.

Eskortujący ją przez salę i ścigany pełnymi dezaprobaty spojrzeniami gości doktor Blatnoyd był w siódmym niebie. A więc to jedna z tych beztroskich, nieliczących się z niczym hipisek! Widywał te dziewczyny na ulicach Hollywood i na ekranie telewizora, ale to było pierwsze spotkanie twarzą w twarz. Nic dziwnego, że rodzice Japoniki nie wiedzieli, co z nią zrobić – on sam, choć nie przeanalizował tego zbyt dokładnie, zakładał, że wie.

– I właściwie nie bardzo wiedziałam, kim on jest, dopóki nie przyszedł na moją pierwszą Ocenę Uśmiechu...

W tym miejscu wspominki Japoniki przerwało pojawienie się we własnej osobie zapinającego rozporek lubieżnego wyrwizęba.

– Japonica? Uzgodnił się chyba, że nigdy... – Blatnoyd zauważył Doca. – O, pan jeszcze tutaj?

– Znowu uciekłam, Rudy – zamigotała Japonica.

Nagle pojawił się przy nich również Denis.

– Hej, człowieku, twoja bryka jest w warsztacie blacharskim.

– Sama tam pojechała, Denisie?

– Rozbiłem jakby przód. Przyglądałem się tym ciziom na Little Santa Monica i...

– Pojechałeś do Beverly Hills po pizzę i na kogoś najechałeś.

– Potrzebuje nowej... jak to się nazywa... z tymi rurkami, z których idzie para.

– Nowej chłodnicy... Denisie, powiedziałaś, że zrobiłeś prawo jazdy w liceum.

– Nie, nie, Doc, zapytałeś, czy mieliśmy szkołę jazdy, a ja odparłem, że tak, bo mieliśmy wyższą szkołę jazdy z tym kierowcą, Eddiem Ochoą. Nie mógł go dorwać żaden z gliniarzy na południe od Salinas, dlatego wszyscy nazywali go...

– Więc... tak naprawdę... nigdy nie uczyłeś się jeździć?

– Wiesz, ile rzeczy trzeba by zapamiętać, człowieku?

Za Denisem przybiegła wyraźnie potargana Xandra.

– Mówiłam, że nie wolno tu wchodzić! – krzyknęła, po czym zauważyła Japonicę i ostro przyhamowała. – Och, panienska do Konserwacji Uśmiechu. Jak miło – powiedziała, rzucając w stronę doktora Blatnoyda spojrzenia przypominające gwiazdziste ostrza z filmów kung-fu.

– Panna Fenway – zaczął tłumaczyć doktor – sprawia dzisiaj wrażenie trochę psychotycznej.

– Super! – wykrzyknął Denis.

– Co takiego? – Blatnoyd zamrugał szybko.

– Bycie stukniętym jest super, co z tobą, człowieku?

– Denis... – mruknął Doc.

– Bycie chorym psychicznie nie jest „super”. Japonica została z tego powodu zamknięta w zakładzie.

– Zgadza się – rozpromieniła się Japonica.

– To znaczy w tym miejscu? Psychodelicznie! Puszczali ci przez głowę te woltę?

– Cholernie dużo woltów – zamigotała Japonica.

– Kurczę, Niedobre dla *la cabeza*, człowieku.

– Chodź, Denisie – powiedział Doc. – Będziemy musieli się zastanowić, jak złapać autobus na plażę.

– Mogę was podwieźć, jadę w tamtą stronę – zaproponowała Japonica.

Pobieżna, przeprowadzona przez Doca diagnoza nie wykazała niczego niepokojącego – w tym momencie Japonica była tak samo zdrowa jak oni wszyscy.

– Wszystko w porządku z hamulcami, światłami, oświetleniem tablicy rejestracyjnej i w ogóle? – zapytał, ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic sensowniejszego.

– Czy działają? Właśnie odebrałam Wolfganga z okresowego przeglądu.

– Wolfgang to...?

– To mój samochód.

Był to kolejny ostrzegawczy dzwonek, ale Doc koncentrował się teraz na tym, ile patroli mogą spotkać w drodze nad ocean.

– Przepraszam – odezwała się Xandra, która wciąż przyglądała się Denisowi – czy nie ma pan przypadkiem na kapeluszu kawałka pizzy?

– Och, rzeczywiście, człowieku. Wszędzie jej szukałem...

– Mogę się z wami zabrać? – zapytał doktor Blatnoyd. – Trudne warunki drogowe i w ogóle...

Wolfgang okazał się dziesięcioletnim mercedesem z odsuwającym dachem, który pozwalał pasażerom, jeśli mieli ochotę, wystawiać głowy na wiatr tak, jak to robią psy w pick-upach. Doc usiadł z przodu z prawej strony, nasuwając na oczy szerokie rondo kapelusza i starając się ignorować złe przeczucia. Doktor Blatnoyd usadowił się z tyłu razem z Denisem, a potem przez dłuższą chwilę starał się wsunąć pod przednie siedzenie wypełnioną czymś torbę z supermarketu #66.

– Hej! – krzyknął Denis. – Co jest w tej torbie, którą wpychasz pod fotel Doca?

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradził mu doktor. – Doprowadzi to tylko wszystkich do paranoi.

I doprowadziło. Wszystkich oprócz Japoniki, która lawirowała między samochodami, pędząc Sunset Boulevard w końcówce godziny szczytu.

Denis wystawił głowę na zewnątrz.

– Jedź wolniej! – zawołał po chwili. – Chcę to zobaczyć.

Prześli Vine Street i zbliżali się do Wallach's Music City, gdzie w każdym z wychodzących na ulicę stanowisk do słuchania płyt paliło się światło. W każdym mijanym przez Japonicę oknie widać było hipisa albo małą grupkę hipisów i każdy z nich słuchał przez słuchawki innego rockandrollowego albumu i poruszał się w innym rytmie. Podobnie jak Denis Doc był przyzwyczajony do koncertów na świeżym powietrzu, gdzie tysiące ludzi gromadziły się, by słuchać muzyki za darmo, i gdzie wszystko łączyło się w jedną publiczną jaźń, ponieważ wszyscy doświadczali tego samego. Tutaj jednak każda osoba słuchała rock and rolla w samotności, zamknięciu i milczeniu, a niektóre płaciły w kasie za jego słuchanie. Doc uznał to za dziwny rodzaj daniny albo spłaty. Ostatnio coraz częściej zastanawiał się nad tym wielkim zbiorowym snem, do trwania w którym wszystkich zachęcano. Tylko z rzadka można było niespodziewanie zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Denis machał, krzyczał i pokazywał znak pokoju, ale nikt ze słuchających go nie zauważył. W końcu usiadł.

– Super. Może wszyscy są uwaleni? Hej! Dlatego właśnie nazywają te rzeczy „słuchawkami na głowę”! – stwierdził, przysuwając twarz do twarzy doktora Blatnoyda o wiele bliżej, niż ten skłonny był zaakceptować. – Pomyśl o tym, człowieku! „Na głowę”, rozumiesz?

Japonica prowadziła tak perfekcyjnie, że dopiero kiedy opuścili skąpany w blasku Hollywood i przecinali Doheny, Doc zauważył, że: a) zrobiło się ciemno i b) jadą bez zapalonych reflektorów.

– Japonica, ten tego... światła. – Dziewczyna nuciła pod nosem melodię, w której rozpoznał z rosnącym niepokojem motyw przewodni z serialu *Dark Shadows*. Po czterech kolejnych taktach spróbował jeszcze raz. – Naprawdę byłoby fajnie, Japonica, gdybyś zapaliła po prostu reflektory. Wiesz, ilu gliniarzy z Beverly Hills czai się w tych bocznych uliczkach, czekając na najmniejsze wykroczenie, na przykład brak zapalonych świateł, żeby kogoś przyskrzyknąć?

Jej nucenie stało się zdecydowanie zbyt intensywne. Doc popełnił błąd, zerkając na nią, i zorientował się, że Japonica nie patrzy na drogę, lecz na niego. Jej oczy lśniły dziko pod grzywką jasnych kalifornijskich włosów. Nie, to nie było krzepiące. Choć trudno go było uznać za konesera bzików, potrafił rozpoznać stuprocentowe halucynacje i natychmiast

zrozumiał, że choć Japonica prawdopodobnie w ogóle go nie widzi, to, na co patrzy, rzeczywiście znajduje się Tam na Zewnątrz, w gęstniejącej mgle, i zaraz...

– Wszystko w porządku, kotku? – włączył się Rudy Blatnoyd.

– Oo-ooooo – zamruczała Japonica lekko wibrującym głosem, wciskając gaz do dechy. – Ooo-ooo łooo-oo, łooo-oo...

Jadące w poprzek z zawrotną szybkością samochody, miejscowe excalibury i ferrari, mijały ich zaledwie o kilka cali. Doktor Blatnoyd piorunował wzrokiem Denisa, jakby miał ochotę zacząć dyskusję o metodach terapii.

– Proszę. To jest właśnie to, o czym mówiłem.

– Nie mówieś, że to może się zdarzyć, kiedy będzie prowadziła samochód, człowieku.

Japonica uparła się tymczasem, że przejedzie na każdych czerwonych światłach, które zobaczy, i zaczęła nawet przyspieszać, żeby zdążyć, nim zmienią się na zielone.

– Uhm, Japonico, kochanie? Czy nie przejechaliśmy na czerwonych światłach? – zwrócił jej uprzejmie uwagę Blatnoyd.

– Och, nie sądzę – odparła beztrzesko. – To było jedno z Jego oczu...

– No tak, oczywiście – łagodził sytuację Doc. – Możemy to przeanalizować, Japonico, ale jednak...

– Nie, nie, nie było żadnych oczu, które cię obserwują! – zawołał nieco zdenerwowany Blatnoyd. – To nie są żadne oczy, to jest ostrzeżenie, żebyś się zatrzymała i poczekała, aż światła zmienią się na zielone. Nie pamiętasz, czego uczyli cię w szkole?

– Po to są chyba kolory, człowieku? – dodał Denis.

Nagle, niczym wyłaniające się nad zboczem UFO, pojawiły się światła zjeżdżającego w dół radiowozu, który, nie wyłączając syreny, omiótł ich reflektorami.

– Ja pierdole – jęknął Denis, wystawiając głowę nad dach. – Zwijam się stąd, człowieku – dodał, nie zwracając przez chwilę uwagi na mijany przez nich pejzaż.

Nie czując, by mercedes zwalniał, i starając się nie myśleć o papierowej torbie pod siedzeniem, Doc próbował dosięgnąć stopą hamulca i skierować jednocześnie samochód na pobocze. Gdyby był w swoim własnym aucie, sam być może zaryzykowałby i otworzył chociaż na kilka cali drzwi, by pozbyć się torby, ale zanim zmobilizował się i spróbował to zrobić, dopadła ich władza.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny, panienko.

Wydawało się, że jasnowłosa gliniarz jest całkowicie pochłonięty cyckami Japoniki, która uśmiechała się do niego w pełnym napięcia milczeniu, zerkając co chwila na smitha & wessona na jego biodrze. Drugi policjant, złotodziób o jeszcze jaśniejszych włosach, oparł się o błotnik od strony pasażera i chwilowo kontentował obserwowaniem Denisa, który porzucił próby wydostania się przez dach i gapił się na migające na dachu radiowozu kolorowe światła.

– Kurczę, człowieku – rzucał od czasu do czasu.

– Czy jesteś Wielką Bestią? – zapytała Japonica przymilnym głosem lolitki.

– Nie, nie, nie – zahuczał desperacko Blatnoyd – to jest policjant, Japonico, chce się tylko upewnić, czy wszystko w porządku.

– Proszę o dowód rejestracyjny i prawo jazdy, jeśli łaska – powiedział gliniarz. – Wiesz, że jechałaś bez świateł, panienko?

– Ale ja widzę w ciemności. – Japonica pokiwała energicznie głową. – Widzę naprawdę dobrze!

– Jej siostra zaczęła rodzić przed godziną – oznajmił Blatnoyd, sądząc, że uda im się w ten sposób wymigać od mandatu – i panna Fenway obiecała, że dotrze tam na czas, żeby obejrzeć dzidziusia. Dlatego pewnie trochę nie uważała...

– W takim wypadku – stwierdził gliniarz – samochód powinien prowadzić ktoś inny.

Japonica przeskoczyła posłusznie do tyłu, siadając obok Blatnoyda. Doc wślizgnął się za

kierownicę, a Denis przeniósł się na fotel obok niego. Gliniarze obserwowali ich z zadowoleniem niczym instruktorzy na kursie etykiety.

– Aha, i chcemy również sprawdzić wasze dowody tożsamości – oświadczył żółtodziób.

– Oczywiście – odparł Doc, wyjmując swoją licencję prywatnego detektywa. – O co chodzi, panie władzo?

– Nowy program. – Drugi gliniarz wzruszył ramionami. – Wie pan, jak to jest, każdy pretekst jest dobry, żeby dowalić nam papierkowej roboty. Nazywają to inwigilacją sekt. Każde zgromadzenie powyżej trzech osób jest teraz definiowane jako potencjalna sekta. – Żółtodziób odhaczał pozycje na liście przypiętej do podkładki. – Do kryteriów zalicza się – kontynuował gliniarz – odwołania do Księgi Objawienia, długie do ramion włosy u mężczyzn i spowodowanie zagrożenia w ruchu drogowym wskutek nieuwagi. Spełniacie wszystkie co do jednego.

– No tak, człowieku – wtrącił Denis – ale jedziemy mercedesem pomalowanym tylko na jeden kolor, beżowy. Czy nie dostaniemy za to punktów dodatkich?

Doc po raz pierwszy zauważył, że obaj gliniarze są... no, może nie roztrzęsieni, policja nie może być roztrzęsiona, lecz z całą pewnością ogarnięci postmansoniczną obsesją, która zapanowała ostatnio na tym obszarze.

– Przekażemy to wszystko, panie Sportello, do głównej bazy danych tu i w Sacramento i jeśli nie będzie żadnych listów gończych ani nakazów, o których nie wiemy, więcej pan o nas nie usłyszysz.

*

Zgodnie z instrukcjami doktora Blatnoyda Doc zjechał z Sunset i prawie natychmiast musiał zahamować przed budką strażniczą, w której dyżurował prywatny ochroniarz.

– Dobry wieczór, Heinrichu! – zahuczał Rudy Blatnoyd.

– Miło pana widzieć, doktorze B. – odparł strażnik, wpuszczając ich do środka.

Ruszyli krętą drogą przez kaniony i zbocza Bel Air i po kilku chwilach zatrzymali się przed kolejną bramą, niską i prawie całkiem schowaną za sztucznym nasypem, do tego stopnia utkaną z nocy, że o brzasku mogłaby cała zniknąć. Za bramą połyskiwała w ciemności blada kreska, w której Doc rozpoznał w końcu fosę z przerzuconym przez nią zwodzonym mostem.

– To nie zajmie nawet minutki – zapewnił doktor Blatnoyd, po czym wyciągnął spod przedniego fotela swoją torbę, podszedł do interkomu i odbył tajemniczą dyskusję z, jak wydawało się Docowi, kobiecym głosem.

Brama otworzyła się i zwodzony most zjechał w dół, dudniąc i skrzypiąc. A potem noc zrobiła się znowu bardzo cicha – nie słychać było nawet samochodów na autostradzie, stapania kojotów i pełzania węży...

– O wiele tu za cicho – zauważył Denis. – Ciarki mnie przechodzą, człowieku.

– Zaczekamy chyba po tej stronie fosy – powiedział Doc. – Dobrze?

Denis skręcił, zapalił olbrzymiego jointa i wkrótce w mercedesie było pełno dymu. Po jakimś czasie z interkomu przy bramie dobiegły czyjeś krzyki.

– Hej, człowieku – mruknął Denis – nie musisz się tak wydzierać.

– Doktor Blatnoyd pragnie państwa poinformować – oznajmiła kobieta po drugiej stronie – że zatrzyma się u nas dłużej i z tego względu nie ma potrzeby, żebyście czekali.

– Jasne, a ty gadasz jak robot, człowieku.

Trochę trwało, zanim odnaleźli drogę powrotną do Sunset Boulevard.

– Zatrzymam się chyba u znajomych w Pacific Palisades – oświadczyła Japonica.

– Możesz nas wysadzić przy przystanku greyhounda w Santa Monica? Złapiemy miejscowy autobus o północy.

– Tak a propos, czy to nie ty odnalazłeś mnie wtedy i odwiozłeś do taty?

– Wykonywałem po prostu swoją pracę. – Doc na wszelki wypadek przybrał postawę defensywną.

– Naprawdę chciał mnie odzyskać?

– Od tego czasu miałem kilka podobnych zleceń – odpowiedział ostrożnie, w razie gdyby musiała tej nocy jechać gdzieś dalej – i zrobił na mnie wrażenie typowego zatroskanego rodzica.

– To dupek – zapewniła go Japonica.

– Proszę, tu jest numer do mojego biura. Nie mam regularnych godzin pracy, więc nie zawsze można mnie zastać.

Japonica wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Co ma być, to będzie.

*

Przez kilka dni z jego pozostawionym w Beverly Hills samochodem działy się dziwne rzeczy, choć Doc podejrzewał, że spędza miło czas w towarzystwie tych wszystkich jaguarów, porsche i tak dalej. Wybrawszy się w końcu po dodge'a darta do warsztatu powypadkowego „Rezurekcja karoserii”, na południe od Olympic, wpadł na swojego znajomego Tita Stavrou, który kłócił się ostro z właścicielem Manuelem. Tito prowadził wypożyczalnię limuzyn, miał jednak do dyspozycji tylko jeden pojazd, który nie był niestety jedną z tych limuzyn Płynnie Ruszających z Miejsca, nie mówiąc o Bezproblemowym Włączaniu się do Ruchu – nie, ta akurat ruszała z trudem i włączała się do ruchu *perkuszynie*, będąc przynajmniej przez połowę dowolnego okresu ubezpieczeniowego w warsztacie (co odkrył właśnie jej ostatni ubezpieczyciel, ku swojej i, można sobie wyobrazić, jak wielkiej konsternacji Tita) albo pod pieczę różnych ekip szpachlarzy i piaskarzy na obszarze wielkiego Los Angeles. W jednym roku kalendarzowym malowano ją sześć razy.

– Jesteś pewien, że to limuzyna, a nie *limón*? – pytał Manuel w ramach rekreacyjnego dręczenia Tita, które lubił uprawiać za każdym razem, kiedy pojazd pojawiał się z nowym zestawem dziur i zadrapań. Stali w głównej hali warsztatu, przerobionej z baraku z blachy falistej, który najpierw przecięto wzdłuż na pół, a następnie ustawiono dwie części tak, by spotykały się wysoko nad głowami, tworząc coś w rodzaju kościelnego sklepienia. – Byłoby taniej, gdybyś zapłacił mi po prostu z góry niewielką sumę i za każdym razem, kiedy chcesz ją pomalować, po prostu ją dostarczał o każdej porze dnia albo nocy. Machniemy dowolny kolor, jaki mam na składzie, łącznie z metalikami. Od wjazdu do wyjazdu kilka godzin.

– Tym, co mnie niepokoi – odparł Tito – jest właśnie „od wjazdu do wyjazdu”. Myślę o wszystkich tych szemranych handlarzach częściami samochodowymi, z którymi się zadajesz.

– To jest rezurekcja, ese! Działamy w branży cudów! Gdyby Jezus zamienił na twoich oczach wodę w wino, nie zacząłbyś chyba marudzić „co mi tu dajesz, chciałem Dom Perignon” czy coś w tym rodzaju. Gdybym zaczął się za bardzo interesować, co dają mi do polakierowania, pytać o prawo jazdy i rejestrację, wtedy naprawdę bym ich wkurzył. Poszliby gdzie indziej, a w dodatku wpisali mnie na jakąś gównianą listę, na której nie chcę wcale figurować. – Dopiero w tym momencie Manuel zauważył Doca. – Pan po bentleya?

– Nie, po dodge'a darta z sześćdziesiątego czwartego.

Manuel zerkał przez chwilę to na Tita, to na Doca.

– Panowie się znają? – zapytał. To naprawdę zależy, miał zamiar odpowiedzieć Doc, jednak Manuel nie dopuścił go do głosu. – Miałem zamiar wziąć od pana więcej, ale faceci tacy jak Tito subsydiują facetów takich jak pan.

Mimo to suma na fakturze nie odbiegała od tego, ile biorą w Beverly Hills, i Doc zmarnował pół dnia, by ustalić harmonogram spłat.

– Chodź – powiedział Tito. – Postawię ci lunch. Chciałem zasięgnąć twojej rady w pewnej sprawie.

Zjechali na dół do Pico Avenue i ruszyli w stronę Rancho Park. Ta ulica była rajem smakoszy. W czasach gdy Doc był jeszcze w mieście nowy, pewnego razu koło zachodu słońca – mowa o końcu dnia, nie o bulwarze – znalazł się w Santa Monica, blisko zachodniego krańca Pico. Światło nad całym LA robiło się purpurowe z lekką domieszką złota i z tego miejsca, o tej porze dnia wydawało mu się, że widzi całą Pico Avenue, biegnącą przez wiele mil aż do serca wielkiego Megalopolis. Musiał dopiero odkryć, że jeśli zechce, może również przejeść całą Pico, wieczór po wieczorze, i minie sporo czasu, nim trafi na tę samą kategorię etniczną. Nie musiało to być zawsze powodem do radości dla niezdecydowanego ćpuna, który czuł, że jest głodny, ale niekoniecznie wiedział, na co ma konkretnie ochotę. Wiele razy Docowi kończyła się benzyna, a jego złaknionym stawy towarzyszyom cierpliwość, zanim zdecydował się, gdzie zjeść.

Tego dnia wylądowali w greckiej restauracji o nazwie Teke, która według Tita oznaczała po grecku starożytną palarnię haszyszu.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz – powiedział Tito – ale na mieście gadają, że pracujesz nad sprawą Mickeya Wolfmanna?

– Nie ująłbym tego w ten sposób. Nikt mi nie płaci. Czasami wydaje mi się, że robię to z poczucia winy. Dziewczyna Wolfmanna jest moją byłą, powiedziała, że potrzebuje pomocy, więc próbuję pomóc.

Tito, który celowo usiadł tak, by mieć na oku wejście, zniżył głos tak bardzo, że Doc prawie przestał go słyszeć.

– Zakładam, że nie jesteś przekupny, Doc. Nie jesteś przekupny, prawda?

– Na razie nie, ale zawsze przydałaby mi się koperta wypchana pieniędzmi.

– Ci faceci nie dadzą ci koperty – oświadczył ze smutną miną Tito. – Układ polega na tym, że jeśli zrobisz to, czego chcą, być może nie potraktują cię zbyt surowo.

– Twierdzisz, że to ma związek z mafią...

– Chciałbym. To znaczy znam paru oprychów z Rodziny, których boi się wielu ludzi, ja na pewno, ale nie poszedłbym z tym nawet do nich. Zobaczyliby, o kogo chodzi, i powiedzieli: „spadaj na drzewo, koleś”.

– Nie mówiąc o tym, że wisisz im pieniądze.

– Już nie, zerwałem z tym wszystkim.

– Co ty mówisz? Koniec z wyścigami, koniec z małym T-Rexem, Salvatore „Paper Cut” Gazzonim i z Adrianem Prussia?

– Absolutnie. Nawet Adrian nie siedzi mi na karku. Wszystko spłacone, razem z odsetkami.

– To dobrze, bo wcześniej czy później ten skurwysyn sięgnąłby po kij baseballowy i dobrał ci się do skóry. Facet psuje opinię windykatorom długów.

– Wszystko to już przeszłość. Udało mi się dzięki programowi dwunastu kroków, Doc. Chodziłem na spotkania, wszystko.

– No cóż, Inez musi być szczęśliwa. Od jak dawna to trwa?

– W przyszły weekend będzie pół roku. Uczymy to w wielkim stylu, jedziemy limuzyną do Vegas i zatrzymujemy się w Ceasar’s Pałace...

– Przepraszam, Tito, ale czyja nie myślę Las Vegas z jakimś innym miejscem, gdzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie robią nic innego, tylko uprawiają, kurwa, hazard? Jak możesz oczekiwać...

– Że mnie nie skusi? No właśnie, jak mam się inaczej dowiedzieć? Trzeba skoczyć prosto na główkę, zobaczyć, co się stanie.

– Rany. Inez się na to godzi?

– To jej pomysł.

Właściciel lokalu Mike i kucharz pojawili się z wielkim półmiskiem dolmadów, oliwek kalamata oraz placuszków ze szpinakiem i serem, których spałaszowanie mogło im zająć

nawet tydzień.

– Na pewno chcesz tu coś zjeść? – przywitał Tita Mike.

– To Doc, ocalił mi kiedyś życie.

– I tak mu dziękujesz? – Mike pokręcił karcąco głową. – Dobrze się zastanówcie, przyjaciele – mruknął, wycofując się do kuchni.

– Ocaliłem ci życie?

Tito wzruszył ramionami.

– Wtedy w Mulholland.

– To ty mnie ocaliłeś życie, człowieku, bo wiedziałeś, gdzie jest ta bryka.

Tą bryką była skradziona hispano-suiza J12 z 1934 roku, której zwrot Doc negocjował z chorym na tarczycę Litwinem, uzbrojonym w zmodyfikowany AK-47 z tak wielkim magazynkiem łukowym, że wciąż się o niego potykał, co, patrząc wstecz, ocaliło pewnie życie im wszystkim.

– Robiłem to wszystko dla siebie, człowieku, a ty przypadkowo tam się pojawiłeś, kiedy sprowadziliśmy samochód z powrotem i w powietrzu zaczęły fruwać te wszystkie pieniądze.

– Nieważne, Doc... jest pewna nowa sprawa, o której mogę powiedzieć tylko tobie. – Tito rozejrzał się dokoła. – Byłem jedną z ostatnich osób, Doc, które rozmawiały z Mickeyem Wolfmannem, zanim zniknął z ekranu radaru.

– Cholera – dodał mu otuchy Doc.

– I nie, nie poszedłem z tym do glin. Ci faceci dowiedzieliby się o tym, zanim wyszedłbym z komisariatu, i skończyłbym jako zakąska dla rekinów.

– Lochy i smoki, Tito.

– Rzecz w tym, że Mike przestał ufać swoim kierowcom.

To byli w większości ludzie po wyrokach i mieli do spłacenia własne długi, o których czasami nie wiedział. Więc od czasu do czasu dzwonił do mnie na zastrzeżony numer i odbierałem go w miejscu, które ustalaliśmy w ostatniej chwili.

– Woziłeś go tą limuzyną? Nie jest najlepsza dla kogoś, kto nie chce rzucić się w oczy.

– Nie, korzystaliśmy z fordów falconów i chevroletów nova. Zawsze mogę je w ostatniej chwili załatwić. Może być nawet volkswagen, jeśli nie jest zbyt fikuśnie pomalowany.

– Więc w dniu, kiedy Mickey zniknął... zadzwonił do ciebie? I gdzieś się umówiliście?

– Chciał, żeby go odebrać. Zadzwonił w środku nocy, chyba z jakiejś budki. Mówił naprawdę cicho, bał się, jakby ktoś go ścigał. Podał mi adres za miastem. Pojechałem tam i czekałem, ale się nie pojawił. Po kilku godzinach zacząłem zwracać na siebie uwagę i się zmyłem.

– Gdzie to było?

– W Ojai, niedaleko miejsca, które nazywa się Chryskylodon.

– Słyszałem o nim – stwierdził Doc. – To dom bez klamek dla klientów z górnej półki. Chryskylodon to stare indiańskie słowo oznaczające „błogostan”.

– Ha, ha! – Tito pokręcił głową. – Kto ci to powiedział?

– Napisał to chyba w swojej ulotce.

– To nie po indiańsku, ale po grecku, wierz mi. Kiedy dorastałem, w domu zawsze mówili po grecku.

– Co to znaczy po grecku?

– Słowo jest trochę skrócone, ale oznacza jakby złoty ząb, ten tutaj... – Tito postukał się po kle.

– Cholera. Kiel? Czy to możliwe?

– Tak, dokładnie. Złoty kiel.

12

Doc wykonał kilka telefonów i jadąc okrężną trasą przez Burbank i Santa Paula, dotarł do zjazdu na Ojai tuż przed lunchem. Drogę do Instytutu Chryskylodon wskazywało wiele tablic. Wariatkowo dla dobrze sytuowanych położone było wystarczająco blisko Krotona Hill, by grzać się w sławie lepiej znanych duchowych ośrodków, takich jak Inner School i AMORC. Główny budynek – kryty czerwoną dachówką, otynkowany na biało pałacyk w stylu neokolonialnym – otaczało sto akrów sadów, pastwisk i gajów sykomorowych. Przy frontowej bramie Doc powitali długowłosi asystenci w powiewnych szatach, pod którymi mieli kabury ze smith & wessonami.

– Larry Sportello, mam tu umówione spotkanie.

– Jeśli pozwolisz, bracie.

– Jasne, macajcie, nie jestem uzbrojony, do diabła, nie mam nawet przy sobie prochów.

Trzeba było zostawić samochód na parkingu przy bramie i poczekać na autobus instytutu, który zawoził gości do głównego budynku. Nad bramą wisiał napis „NORMALNE JEST PIĘKNE”.

Doc zdecydował się tego dnia na edwardiański żakiet i rozszerzane spodnie w niezbyt do siebie pasujących odcieniach brązu, plus wąsko przystrzyżone wąsiki, wypomadowane włosy ułożone w kaczy kuper i długie baczki – co miało sugerować, że jest obleśnym i lekko spiętym pośrednikiem, którego osobiście nie stać na opłaty, jakich wymagano w tym miejscu. Spojrzenia, którymi go omiatano, wskazywały, że kamuflaż spełnił swoje zadanie.

– Mieliśmy akurat jeść lunch – oznajmił zastępca dyrektora doktor Threeply, marszcząc czoło z fałszywą serdecznością. – Może pan do nas dołączy? Później będziemy mogli pokazać panu ośrodek.

Doktor Threeply był dwulicowym osobnikiem, którą to cechę da się czasami zauważyć u sprzedawców aluminiowych sidingów i drzwi, mających za sobą tak traumatyczne przeżycia (może to być małżeństwo lub sprawa sądowa), że zostali permanentnie wytrąceni z równowagi i muszą teraz błagać klientów, by ignorowali tę bliżej nieokreśloną wadę charakteru.

W stołówce dla personelu obsługiwali ich przy stolikach podopieczni, którzy, jak się zdaje, odpracowywali w ten sposób część opłaty za leczenie.

– Dziękuję, Kimberley. Widzę, że ręce w ogóle ci się dziś nie trzęsą.

– Tak się cieszę, że pan to zauważył, doktorze Threeply. Więcej zupy?

Doc, z zawieszonym w połowie drogi do ust widelcem, na którym tkwiło jakieś nieznanne warzywo, zdał sobie sprawę, że skoro ci kelnerzy cierpią na choroby psychiczne, w takim razie co można powiedzieć o ukrytej przed postronnymi osobami kuchni. Kto na przykład przyrządza potrawy?

– Proszę spróbować trochę tego chenin blanc, panie Sportello. Prosto z naszej własnej winnicy.

Doc nauczył się od swojego ojca Lea, a następnie krążąc między półkami supermarketów, że słowo *blanc* oznacza „białe” i że kalifornijskie białe wina są przynajmniej trochę bielsze od przyprawiającego o mdłości żółtego koloru, na który teraz patrzył. Zezując na etykietę, zauważył długą na kilka linijek listę składników, zakończoną umieszczoną w nawiasie uwagą

„ciąg dalszy na odwrocie”, jednak za każdym razem, gdy próbował najniebaczniej, jak mógł, spojrzeć na nalepkę z tyłu, współbiednicy piorunowali go wzrokiem, a czasami nawet przestawiali butelkę, żeby nie mógł jej obejrzeć.

– Był pan u nas wcześniej? – zapytał jeden z miejscowych psychiatrów. – Jestem pewien, że widziałem już gdzieś pańską twarz.

– Jestem tu pierwszy raz w życiu. Normalnie nie zapuszczam się na południe dalej niż do South City.

– A nienormalnie? – zachichotał doktor Threeply.

– To znaczy?

– Chciałem tylko powiedzieć, że mając do dyspozycji tyle znakomitych ośrodków w rejonie San Francisco, po co fatygował się pan aż do nas.

Inni siedzący przy stole pochylił się do przodu, jakby niezwykle zainteresowało ich to, co odpowie Doc. Nadeszła pora, by nawiązać do spraw, które przećwiczył z Sortilege.

– Uważam – zaczął z powagą – że Ziemia, podobnie jak ludzkie ciało, na którym identyfikujemy czakry, również ma specjalne miejsca, gdzie dochodzi do koncentracji energii duchowej albo, jeśli wolicie, łaski, i że Ojai, już choćby z racji obecności pana J.

Krishnamurtiego, z pewnością może być uważane za jedną z bardziej błogosławionych planetarnych czakr, czego niestety nie da się powiedzieć o San Francisco i jego okolicach.

– Sugeruje pan, że... Walnut Creek nie jest czakrą? – zapytał ktoś po krótkim milczeniu, na co pozostali zachichotali i pokiwali głowami.

– To są sprawy religijne – uznał doktor Threeply, być może starając się przywrócić przy stole atmosferę profesjonalizmu, choć nie do końca wiadomo, z jaką profesją związanego.

Po lunchu zabrano Doca na wycieczkę, podczas której zobaczył sypialnię, świetlicę dla personelu z tuzinem telewizorów i dobrze zaopatrzonej barem oraz zbiorniki izolacyjne, olimpijski basen i ściankę wspinaczkową.

– Co tam jest? – zapytał, starając się nie okazywać zbyt dużej ciekawości.

– Zupełnie nowe skrzydło dla naszego Oddziału Trudnych Przypadków – wyjaśnił doktor Threeply. – Nie jest jeszcze oddany do użytku, ale wkrótce stanie się chlubą Instytutu. Może pan oczywiście zajrzeć do środka, jeśli ma pan ochotę, nie ma tam jednak wiele do zobaczenia.

Threeply otworzył drzwi i już w holu Doc zobaczył fotografię, którą oglądał w domu Wolfmanna, tę ze Sloane w koparce z wielkim czekiem. Przyjrzał się jeszcze raz zdjęciu z bliska i stwierdził, że wśród widniejących na nim osób z całą pewnością nie ma Mickeya. Nie było go nigdzie widać, lecz Doc nie mógł oprzeć się przekonaniu, że gdzieś w pobliżu, w jakimś dziwacznym, nieokreślonym miejscu, którego lokatorzy nie bardzo wiedzieli, gdzie są, w środku albo na zewnątrz tego budynku, może rzeczywiście znajdować się jakaś wersja Mickeya – niezupełnie w takim rozumieniu, w jakim dama z wielkim czekiem była jakąś wersją Sloane, lecz odmieniona i (tu zadrżał) być może mentalnie lub nawet fizycznie uszkodzona. Od holu odchodził długi korytarz z identycznymi pozbawionymi klamek drzwiami, które znikwały w metalicznym mroku. Zanim zamknęły się główne drzwi, Doc zdążył zauważyć blok marmuru z brązową tablicą, na której widniał napis: „OBIEKT TEN POWSTAŁ DZIĘKI BEZINTERESOWNEJ HOJNOŚCI ODDANEGO PRZYJACIELA CHRYSKYLODON”.

Skoro Sloane zasilala domy wariatów pieniędzmi Mickeya, dlaczego nie chciała przypisać sobie tej zasługi? Dlaczego wolała pozostać anonimowa?

– Ładne – stwierdził Doc.

– Chodźmy, musimy jeszcze zobaczyć ogrody.

Kiedy wyjechali na otwarty teren, Doc zobaczył wyłaniające się z mgiełki eukaliptusy, kolumnady, neoklasyczne świątynie z fasadami z białego marmuru oraz zasilane gorącymi źródłami fontanny. Wszystko przypominało malowane na szkle dekoracje w starych filmach

w technikolorze. W oddali co jakiś czas pojawiali się zadbani pacjenci w towarzystwie pielęgniarzy. Zgodnie z tym, co mówiła ciotka Reet, wszędzie widać było inwestycje kapitałowe, podwyższające wartość ośrodka. Drużyny ogrodników podrzucały w powietrze i zręcznie łapały długie zakrzywione uchwyty na gliniane donice. Stolarze puszczały hardcorowy acid rock'n'roll z samochodowych odbiorników i stukali do rytmu młotkami. Brukarze wylewali asfalt, który wygładzały walce drogowe.

Były tam korty tenisowe, baseny i boiska do siatkówki. Ogród Zen został, według doktora Threeplya, przetransportowany z Kioto i odtworzony co do jednego ziarenka białego piasku, co do jednego szorstkiego kamyka. W pobliżu stał dzwon ceremonialny, a obok Doc zauważył dziwny ciemny pawilon – jakby żywcem przeniesiony ze stalorytu w jakiejś starej i najprawdopodobniej zakazanej księdze – z którego dobiegały chóralne śpiewy.

– Grupa zaawansowanej terapii – wyjaśnił Threeply.

Podszedł do ukrytych spiralnych schodów i zeszli po nich do czegoś w rodzaju grotu, wilgotnej i słabo oświetlonej.

Temperatura spadła o piętnaście stopni. W wilgotnych korytarzach śpiew niósł się głośnym echem. Threeply zaprowadził Doca do dźwiękoszczelnego pomieszczenia z weneckimi lustrami i pośród podziemnych cieni, zielonych niczym szlam w akwarium, w jednej z kłęzących w długich szatach postaci Doc natychmiast rozpoznał Coya Harlingena.

Co jest, do kurwy nędzy?

Jak się okazało, nie była to jedyna znajoma twarz, którą tu zobaczył. Przy weneckim lustrze siedział pielęgniarz, który przyprowadził tu zapewne pensjonariuszy i czekał, by odprowadzić ich z powrotem. Zabijał czas, uprawiając starą jak świat rozrywkę polegającą na tym, że zwijał swój krawat, przytrzymywał go przez minutę podbródkiem, po czym unosił głowę i pozwalał, by krawat się rozwinął. Setna zabawa. Doc spostrzegł sam krawat dopiero po dłuższej chwili i albo pomyślał, albo nawet zawołał głośno „Cholera jasna!”, ponieważ ten goryl miał zawiązany pod szyją jeden ze specjalnych, robionych na zamówienie krawatów Mickeya Wolfmanna – dokładniej rzecz biorąc, ten, którego Docowi nie udało się znaleźć w jego szafie, ten, na którym namalowana była Shasta, w wystarczająco uległej pozie, by złamać serce jej dawnego chłopaka, oczywiście, gdyby był w odpowiednim nastroju. Wracając do teraźniejszości, Doc usłyszał, że doktor Threeply wygłasza jakiś komentarz.

– Ma pan jakieś pytania?

Tak się składało, że miał kilka.

Korciło go też, żeby powiedzieć gorylowi przy oknie: „Hej, obmacujesz moją byłą dziewczynę!”, ale czy byłoby to rozsądne? Świat walił się w gruzy, wszyscy tutaj mogli obmyślać niesamowite fortele i już dawno nadeszła pora, gdy powinien, jak powiedziała by Shaggy z serialu o Scooby-Doo, „zmiatać, gdzie pieprz rośnie”.

Obładowany formularzami i literaturą na temat instytutu Doc wskoczył do autobusu jadącego w stronę głównej bramy. Jedyнным pasażerem, który wsiadł przy wywołującym ciarki pawilonie, okazał się Coy Harlingen w szacie z kapturem, pokazujący mu na migi dużo rzeczy, w tym także „wsiądź razem ze mną”.

Wysiedli przy boisku do gry w dwa ognie, na którym rozgrywano właśnie jakieś regionalne szpitalne play-offy. Ludzie biegali w identycznych T-shirtach, wznosząc nie zawsze związane z meczem okrzyki, i nikt nie zwracał większej uwagi na Coya i Doca.

– Masz, włóż to – powiedział Coy, podając mu jedną z noszonych tutaj tog z kapturem, które zdaniem Doca nie pochodziły ze składu szat liturgicznych, ale z totalnej wyprzedaży niemodnych już szlafroków kąpielowych.

– Kurczę... – mruknął, wkładając ją – człowiek czuje się w tym jak... jakiś Lawrence z Arabii!

– Dopóki będziemy szli powoli, udając nawalonych, nikt nas nie zaczepi.

– Proszę, to powinno pomóc. – Doc wyciągnął i zapalił cienkiego skręta z Gold

Colombian. Przez chwilę popalali go na zmianę.

– Więc widziałeś się z Hope – powiedział w końcu Coy.

– Przez chwilę. Czuje się dobrze. I wygląda na to, że jest czysta.

Nie było łatwo spostrzec, co dokładnie dzieje się z Coyem, którego oczy zasłaniały ciemne okulary, ale jego głos zniżył się do szeptu.

– Rozmawiałeś z nią?

– Zajrzałem do środka, udając, że prowadzę akwizycję czasopism. Zobaczyłem również małą Amethyst i z tego co widziałem, obie dobrze sobie radzą. O mało nie namówiłem Hope na prenumeratę „Psychology Today”.

– No cóż... – Coy pokręcił powoli głową, jakby słuchał jakiejś solówki. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się niepokoiłem. – Może bardziej, niż był gotów przyznać. – Jesteś pewien, że nie bierze? Uczestniczy w jakimś programie czy jak?

– Powiedziała tylko, że wróciła do nauczania. Zdrowie publiczne, świadomość szkodliwości narkotyków, tego rodzaju rzeczy.

– Nie powiesz mi gdzie?

– Nawet gdybym wiedział.

– Naprawdę myślisz, że kiedykolwiek zacząłbym dawać którejś z nich ten syf?

– Nie zajmuję się sprawami matrymonialnymi, człowieku. Kiedy się w nie wtrącałem, zawsze paskudnie się to kończyło.

Coy siedł z twarzą ukrytą w cieniu kaptura.

– To chyba i tak nie ma znaczenia – mruknął.

– To znaczy?

– Nigdy nie zdołałem do nich wrócić.

Doc znał ten ton głosu i nie znosił go. Przypominał mu zbyt często zarzygane toalety, estakady nad autostradami i klify na Hawajach, kuszące młodszych od niego mężczyzn, których doprowadzało do rozpaczycy to, co uważali za miłość. Dlatego właśnie przestał zajmować się sprawami matrymonialnymi.

– Bo jeśli to zrobisz, to co? – zapytał mimo to prowokacyjnie.

Coy pokręcił głową.

– Będzie po mnie. Rozumiesz? I po mojej rodzinie. To coś w rodzaju mafii. Kiedy do niej wszedłeś, jesteś w niej do końca, *por vida*.

– Wiedziałeś o tym, kiedy wchodziłeś?

– Wiedziałem tylko, że będąc ze sobą, nie potrafimy sobie pomóc. Dziecko wyglądało fatalnie, codziennie coraz gorzej.

Upierdalaliśmy się, siedzieliśmy tam i powtarzaliśmy: „Idziemy razem na dno, co robić?”, a potem oczywiście nic nie robiliśmy albo mówiliśmy: „Poczekajmy, aż zdobędziemy towar, i będziemy to mieli z głowy, wtedy coś wymyślimy”, ale też nigdy nic z tego nie wychodziło. Więc kiedy pojawiła się ta możliwość... Ci ludzie mieli pieniądze, to nie byli jacyś biblijni fanatycy łąjący po plaży i wrzeszczący na ciebie bez powodu. Oni naprawdę chcieli pomóc.

Doc przypomniał sobie, co mówił Jason Velveeta o pionowej strukturze, i przyszło mu teraz do głowy, że jeśli Złoty Kieł potrafił wpędzić swoich klientów w nałóg, dlaczego nie miałby tego odwrócić i sprzedawać im programu umożliwiającego zerwanie z narkotykami? Niech przychodzą i odchodzą: dochód będzie dwa razy większy i nie trzeba się martwić o nowych klientów. Dopóki amerykański styl życia będzie czymś, co skłania ludzi do ucieczki, kartel zawsze mógł liczyć na rzesze nowych entuzjastów.

– Właśnie pokazali mi cały ośrodek – powiedział.

– Chcesz się zapisać?

– Nie chodzi o mnie. Nie byłoby mnie stać.

Istniejąca między nimi w tym momencie nic porozumienia była tak silna, że Coy, gdyby chciał, mógł powiedzieć, na czym polegała zawarta przez niego umowa. Ale on siedł po

prostu dalej w milczeniu.

– Nie licząc doradztwa małżeńskiego... – zaczął ostrożnie Doc. – Co powiesz, gdybym po prostu sprawdził, jak się rzeczy mają, i trafił na jakąś możliwość, o której nie pomyślałeś...

– Bez obrazy... – czyżby głos Coya zdrzął lekko z gniewu? – ... ale jest mnóstwo rzeczy, o których ty nie pomyślałeś. Chcesz się angażować, twoja sprawa, ale możesz jeszcze tego pożałować.

Podeszli prawie do bramy i cienie wokół nich zaczęły się wydłużać. Na plaży o tej porze zmieniał się kierunek wiatru.

– Rozumiem, że chcesz mnie do tego zniechęcić – powiedział Doc – i nie byłoby chyba dobrym pomysłem próbować się do ciebie dodzwonić. Ale pamiętaj, czymkolwiek jest to, co trzyma cię w środku, ja jestem na zewnątrz, poza tym czymś. Mogę działać w sposób, w jaki ty nie potrafisz...

– Nie mogę już dalej iść – oświadczył Coy. Byli w mordowym sadzie niedaleko bramy. – Oddaj mi toę.

Doc musiał na chwilę spuścić go z oczu. W którymś momencie, gdy ściągał albo składał toę, została mu zabrana, zatrzepotała niczym peleryna magika, i kiedy spojrział w tamtą stronę, Coya już nie było.

Wracał drogą numer 101 i kiedy zaczęło się wzniesienie przed Thousand Oaks, musiał gwałtownie przyhamować przed pomalowanym na jaskrawe kolory volkswagenem busem pełnym rozchichotanych ćpunów. Lewy pas zajmowały już próbujące wyminąć volkswagena ciężarówki, więc nie mógł tam zjechać. Dawniej mógł się niecierpliwić, ale z wiekiem zrozumiał, że wskutek decyzji podjętych dawno temu w Wolfsburgu te pojazdy nie miały nigdy pierdolonej kompresji. Zmienił bieg na niższy, włączył radio, które grało *Something Happened to Me Yesterday* Stonesów i powiedział sobie, że wjedzie na górkę, kiedy tam wjedzie. Co było całkiem niegłupie, tyle że miał teraz więcej czasu, by rozmyślać o krawacie Mickeya. Zaczął kombinować, jak dokładnie małpiszon, który miał go na szyi, wszedł w jego posiadanie, a potem przypomniał sobie namalowaną na nim Shastę Fay, leżącą na plecach z rozchylonymi nogami, mokrą, i jeśli się nie mylił, choć widział to tylko przez chwilę, bliską osiągnięcia orgazmu.

Mickey musiał mieć na szyi ten konkretny krawat, kiedy go zgarnęli. Może wyciągnął go po prostu przypadkiem z szafy tego ranka, a może chodziło o coś więcej. A potem, przebierając go w mundurek pensjonariusza Chryskyłodonu, skonfiskowali krawat i wtedy właśnie małpiszon postanowił, że go zgarnie. Chyba że Mickey dał go później komuś za jakąś przysługę, o którą trzeba prosić w wariatkowie: telefon, papieros, leki zapisane komuś innemu? Jeszcze w junior college profesorowie nauczyli Doca użytecznej zasady głoszącej, że słowo nie jest rzeczą, a mapa terenem. Przypuszczał, że można to również odnieść do krawatu z gołą dziewczyną, który nie jest gołą dziewczyną. W tym momencie nie rozumował jednak na tyle racjonalnie, by nie czuć się ograbiony, nie tyle z powodu Mickeya – teraz była to dla niego co najwyżej stara historia – co Shasty. Zapomnijmy o fantazjach, do jakich obrazek mógł pobudzić małpiszona – jak mało musiała znaczyć dla Mickeya, skoro pozwolił, by do tego doszło?

*

Po powrocie wczesnym wieczorem na plażę Doc wdrapał się na wydmy i ujrzał przed sobą zasnutą mgłą zatokę i cyple, czysty zachód słońca w kolorach przybieranych przez rozgrzaną do czerwoności stal, migające albo palące się bez przerwy światła samolotów, które zataczały krótki łuk z lotniska, a potem przecinały niebo, wchodząc czasami w koniunkcję z wczesną gwiazdą i sunąc dalej... Postanowił zajrzeć do biura i kiedy otworzył drzwi, zaczął dzwonić telefon, cicho, jakby sam do siebie.

– Gdzie byłeś? – zapytał Fritz.

– W miejscu, którego bym ci nie polecił.
– Co się stało? Masz straszny głos.
– Ta historia robi się paskudna, Fritz. Wydaje mi się, że wiem, dokąd zabrali Mickeya. Może go tam już nie ma, może nawet nie żyje, ale tak czy owak, jest chyba załatwiony na cacy.

– Lepiej, żebym nie wiedział za dużo, ale co myślisz o policji? Jesteś pewien, że nie mogą pomóc?

Doc znalazł papierosa i zapalił.

– Nigdy nie sądziłem, że to od ciebie usłyszę.

– Tak mi się wymknęło.

– Chciałbym... – rany boskie, ale był zmęczony – ... chciałbym choć raz im zaufać. Ale to jak grawitacja, zawsze ciągnie ich tylko w jedną stronę.

– Zawsze podziwiałem twoje zasady, Doc, zwłaszcza teraz, bo sprawdziłem te numery rejestracyjne, które mi dałeś, i okazało się, że niektóre należą do członków „policyjnych rezerw” Los Angeles. Sporo tych facetów zapisało się tam chyba po zamieszkach w Watts, by móc legalnie zabawić się w grę pod tytułem „Pogonić czarnucha”. Od tego czasu stanowią coś w rodzaju prywatnej milicji, z której usług gliniarze korzystają za każdym razem, kiedy nie chcą źle wyglądać w gazetach. Masz ołówek? Zapisz to sobie, tylko nie mów mi, co jest grane.

– Jestem ci zobowiązany, Fritz.

– Nie ma za co, każdy pretekst jest dobry, żeby poczuć się, jakbym surfował po fali przyszłości. Właśnie zatrudniłem nowego pracownika, nazywa się Sparky, musi dzwonić do mamy, jeśli ma się spóźnić na kolację, ale zgadnij! To my możemy się od niego uczyć! Zabiera nas w podróż po tym ARPA-necie i przysięgam, to jest jak kwas, zupełnie inny nowy, dziwny świat... czas, przestrzeń, co tylko chcesz.

– Więc kiedy to zdelegalizują, Fritz?

– Że co? Dlaczego mieliby to zrobić?

– Pamiętasz, jak zdelegalizowali kwas zaraz po tym, jak odkryli, że to kanał do czegoś, czego nie chcieli, żebyśmy zobaczyli? Dlaczego z informacją miałyby być inaczej?

– W takim razie powiem Sparky’emu, żeby się pospieszył. Powiedział mi dziś, że chyba wie, jak się dostać do kartoteki biura kryminalnego w Sacramento tak, żeby nic o tym nie wiedzieli. Więc wkrótce będziemy tu mieli wszystko, co mają w biurze stanowym. Możesz nas uważać za filię kartoteki biura kryminalnego.

W tym samym momencie usłyszeli, jak siada napięcie. Ktoś się podłączył.

– Cholernie dobry z niego retriever – stwierdził wcale niezrażony Fritz. – Jeśli coś gdzieś jest, Sparky to znajdzie, uwielbia bawić się w te klocki.

– Przypomnij mi, żebym przywiózł mu trochę suchej karmy – powiedział Doc.

Po powrocie do domu zastał Denisa, który siedział roztrzęsiony w alejce ze zwisającym z ust niezapalonym skrętem.

– Denis?

– Pierdoleni Boardsi, człowieku.

– Co się stało?

– Zdemolowali mi dom.

Doc miał ochotę zapytać „Po czym to poznałeś?”, ale zobaczył, że Denis jest naprawdę zdenerwowany.

– Ważne, czy tobie nic się nie stało? – zapytał.

– Nie było mnie tam, ale gdybym był, mnie też by zdemolowali.

– Boardsi? Cały zespół, gitara rytmiczna, gitara basowa, włamali się wszyscy i co zrobili?

– Szukali tych zdjęć, które zrobiłem, człowieku, wiem o tym. Rozsypali mi maryškę po podłodze, wyczyścili lodówkę, wrzucili wszystko do miksera, zrobili sobie koktajle i nie

zostawili nic dla innych.

– Ci inni to ty, Denisie. Dlaczego mieliby ci coś zostawiać? – Denis zaczął się nad tym zastanawiać i Doc zauważył, że się uspokaja. – Wejdz do mnie i zapal to, co trzymasz w ustach – zaproponował.

– Ponieważ to świry – odpowiedział po jakimś czasie Denis na jego pytanie – psychodeliczna kapela świrów, taki jest ich publiczny wizerunek, a świry nie okradają innych świrów, przede wszystkim nie zabierają im jedzenia, świry się nim dzielą. Nie widziałeś tego filmu? Mieli tam swój „kodeks świrów”...

– Tak się działo w trzydziestym drugim roku – zauważył Doc. – Film opowiadał o jakiejś cyrkowej trupie, to były zupełnie inne świry.

– Nieważne... ci Boardsi nie zachowują się lepiej od pierdolonych zwykłasów.

– Jesteś pewien, że to Boardsi, Denisie? To znaczy, byli tam może jacyś świadkowie?

– Świadkowie! – roześmiał się tragicznie Denis. – Gdyby tam byli, biegaliby pewnie w kółko, prosząc o autografy.

– Posłuchaj, ja mam negatywy i stykówki, a Wielka Stopa odbitkę z Coyem, więc ktokolwiek to był, i tak niczego u ciebie nie znalazł. Chyba raczej już nie wróca.

– Całe moje chińskie żarcie – żalił się Denis, kręcąc głową.

Raz w miesiącu zamawiał trzydzieści posiłków w South Bay Cantonese przy Sepulveda i trzymał je w zamrażalniku, rozmrażając jeden po drugim.

– Po co mieliby je zabierać...?

– Nawet brokuły generała Tso, których nie dojadłem wczoraj. Zostawiłem je sobie, człowieku...

*

Nazajutrz rano Doc przecisnął się jak zwykle przez tłum entuzjastów witaminy B12, zauważył interesujący siniak na nodze Petunii i wbiegł na górę, by sprawdzić otrzymaną od Fritza listę członków oddziałów pomocniczych, które to zadanie nie budziło w nim szczególnego entuzjazmu. Od czasu do czasu spotykał tych niedoszłych hoplitów, paradujących w paramilitarnych beretach, polowych mundurach i innych rzeczach ze sklepów z demobilem przy Hawthorne Boulevard i przyozdobionych niekiedy autentycznymi, choć nie zawsze zasłużonymi odznakami i wstążkami. Nie pamiętał, by którykolwiek spojrział nań z sympatią lub choćby obojętnie. To byli miejscowi piniacze z pozwoleniem na broń i biada każdemu mężczyźnie, którego włosy przekraczały długość dozwoloną przez regulamin piechoty morskiej.

Wszyscy ci ludzie w dzień oczywiście gdzieś pracowali. Doc dzwonił, udając różnych sprzedawców, zadającego niewinne pytanie urzędnika wydziału komunikacji z Sacramento albo po prostu chcącego odnowić starą znajomość kumpla, i odkrywał, że żony – wszyscy ci faceci mieli rodziny – bardzo chciały sobie pogadać. I gadały. Uboczny efekt małżeństwa, co Fritz zdradził mu, kiedy Doc stawiał pierwsze kroki w branży.

– Te baby nie mogą się doczekać, żeby z kimś pogadać, ponieważ nikt w ich domu nie chce słyszeć niczego, co mają do powiedzenia. Usiądź spokojnie przez dwie sekundy, to zagadają cię na śmierć.

– Nie mają siostr albo innych żon, żeby z nimi porozmawiać? – zdziwił się Doc.

– Jasne, ale z takich rozmów nie mamy na ogół żadnego pożytku.

Doc zaczekał do wieczora, aż wszyscy zjedzą kolację. Sam posilił się szybkim burrito w Taco Bell, zawierającym dzienne zapotrzebowanie na składniki odżywcze i mimo to kosztującym zaledwie sześćdziesiąt dziewięć centów, po czym włożył perukę z krótko ostrzyżonymi, kasztanowatymi włosami z przedziałkiem, kupioną na wyprzedaży przy Hollywood Boulevard, oraz trzyczęściowy garnitur z second handu, wyglądający jak odrzut z wodewilu *Three Stooges*. Kiedy ruch na ulicach się zmniejszył, wyruszył pod adres w rejonie

Rossmoor-Cypress, tuż za granicą hrabstwa.

Po wjeździe na autostradę usłyszał w radiu zapowiedź didżeja:

„Od Bambi dla wszystkich fanów Spotted Dick w radiowej krainie KQAS Kick-Ass: oto chłopaki ze swoim najnowszym singlem *Długa podróż stamtąd*”.

I po wykonanym na farfisie przez Smedleya wstępie, w którym pełno było transatlantyckich fraz w stylu Floyd Cramera, zaczął śpiewać Asymmetric Bob.

*Wojował dla faszystowskiego
Państwa, więc nie oczekuj zbyt
Wiele po pierwszej randce.
Będzie Żałował tego, czego nie przeżył,
Żałował tego, czego nie zjadł, będzie
Chodził w tym dziwnym nastroju, kombinując,
Jak znów zadomowić się w Świecie,
Zaludnionym przez zwariowanych hipisów
I palących trawkę dziewczyn. Długo trwa
Podróż stamtąd, z doliny la Drang
[Smedley śpiewa do wtóru, wstawka gitarowa Somerseta techniką slide]
Smutna zła podróż, kiedy byłeś daleko
Od chłopaków, których zostawiłeś w kraju.
Tam, gdzie zależało ci tylko,
Żeby przeżyć kolejny dzień...
Dla ciebie to brzmi jak podrasowany wydech,
Lecz on słyszy co innego
I przenosi się w przeszłość, w środek nocy,
Gdzie do niego strzelają, i nie wie nawet,
Z kim tu siedzi.
Ten skręt, który palisz i który miał pomóc,
Pogarsza tylko sprawę, szukujesz się, bo długo trwa
Podróż stamtąd, z delty Mekongu.
Ostatnia stracona szansa, jeśli szukasz przyjaciela,
I wylatujesz o północy znad zatoki Cam Ranh,
Nie wiedząc,
Jak wrócić do domu.*

Na podwórkach stały plastikowe trójkołowe rowerki, ludzie podlewali kwiaty i majstrowali przy samochodach, dzieci bawiły się w hula-hoop na podjazdach. Zza drzwi z siatki pod szukanym przez siebie adresem Doc usłyszał pisk przetwornicy wysokiego napięcia, a następnie, kiedy wchodził po schodkach, bardziej ziemskie dźwięki kreskówki *Królik Bugs*. Według Fritza częstotliwość telewizyjnej przetwornicy wynosiła 15, 750 megaherców i kiedy Doc skończy trzydziestkę, co czekało go lada chwila, nie będzie już mógł jej usłyszeć. Więc te typowe odgłosy amerykańskiego domu napełniały go ostatnio szczególnie melancholią.

Arthur Tweedle był cywilnym mechanikiem pracującym na dzienną zmianę w bazie morskiej. W weekendy i czasami także wieczorem w dni powszednie wkładał połowy mundur ze sklepu D' Jack Frost, ulubionego demobilu rodziny Mansonów w Santa Monica, i udawał się na spotkania Strażników Kalifornii wraz ze swoim sąsiadem Prescottem, kolejnym antywywrotowym hobbystą figurującym na liście, którą Fritz sporządził dla Doca. Art miał wysokie, nieskażone troską czoło i okulary w jasnych rogowych oprawkach. W wyrazie twarzy, jaki przybierał w towarzystwie, nie było nic podejrzanego z wyjątkiem być może lekkiego wytrzeszczu, jakby było to przełożenie, które nie bardzo potrafił zmienić.

Doc udawał akwizytora Agencji Ochrony Kosmata Liana z Tarzany, nieistniejącej, miał nadzieję, w rzeczywistości. Dawno temu ciotka Reet opowiedziała mu kiedyś o wierze kalifornijskich właścicieli domów, że jeśli opasze się kosmatym sznurem całą posiadłość, nie przekroczy jej żaden wąż.

– Nasz system opiera się na podobnej zasadzie – tłumaczył teraz Artowi i Cindy Tweedle’om. – Wzdłuż całej granicy posiadłości instalujemy sieć elektrycznych oczu podłączonych do głośników. Każda osoba przerywająca wiązkę światła uruchamia określoną poddźwiękową pulsację. Jedna będzie wywoływała wymioty, inna biegunkę. Efekt wystarczy, by odesłać intruza tam, skąd przyszedł, gdzie czeka go słony rachunek za pranie. Oczywiście wy i wasza rodzina możecie zdalnie dezaktywować system za każdym razem, kiedy musicie wyjść albo wejść, skosić trawnik czy cokolwiek.

– Wydaje się to trochę skomplikowane – powiedział Art – a poza tym mamy już system o sprawdzonej skuteczności. Właśnie pan na niego patrzy.

– Ale powiedzmy, że będzie pan musiał wyjechać z miasta...

– Cindy strzela lepiej ode mnie – oświadczył Art, szczypiąc w tyłek żonę, która wróciła właśnie z tacą pełną butelek piwa – i zanim ktokolwiek się spostrzeże, nauczymy dzieciaki obchodzić się z dwudziestkądwójką.

– Czas tak szybko mija – westchnęła Cindy.

– Wygląda na to, że jesteście państwo dobrze zabezpieczeni, ale chyba nie szkodzi, że do was wpadłem. Jest pan na liście miejscowych właścicieli domów zainteresowanych ochroną własności... służy pan na przykład w ochotniczej rezerwie policji...

– Nie mieszkamy, formalnie rzecz biorąc, w LA, ale jestem, jak to mówią, w pogotowiu. Samochód jest gotowy do jazdy... mogę się stawić wszędzie, gdzie mnie potrzebują, w niecałą godzinę – oznajmił Art.

– Za każdym razem, kiedy rozmawiamy z policją Los Angeles, ktoś mówi, jaka to szkoda, że nie ma was więcej. Radiowozów i mężczyzn w mundurach jest tyle, ile jest, a sytuacja robi się coraz paskudniejsza. Przydaje im się każda pomoc, jakiej możemy udzielić.

Te słowa nie spowodowały natychmiastowego przełomu, jednak stopniowo, w miarę jak Tweedle’owie zachęcali się wzajemnie, a na stole pojawiały się kolejne butelki z długimi szyjkami (w telewizji po *The Beverly Hillbillies* leciało *Green Acres*), Art zaczął pokazywać swoją kolekcję sprzętu do obrony domu, która obejmowała między innymi filigranową damską dwudziestkądwójkę z perłową rękojeścią, magnum kalibru .357 oraz granatnik z nadwyżek przeznaczonych do Wietnamu.

– To tylko wersja jednostrzałowa. Automatyczną mam w warsztacie – wyjaśnił, po czym w godzinie największej wieczornej oglądalności wyprowadził Doca tylnym wyjściem na podwórko (idąc przez nie, słyszeli dobiegające od sąsiadów odgłosy telewizji, sprzątnięcia po kolacji i dziecinnych kłótni), do budynku w kształcie miniaturowej stodoły, w której znajdował się cały asortyment karabinów szturmowych, lekkich karabinów maszynowych oraz chluba i radość Arta, stuprocentowo nielegalna bazooka Gleichschaltung Model 33 Automatic, wymagająca udziału dwóch osób, jednej do wycelowania mierzącej 75 milimetrów średnicy wyrzutni, a drugiej do prowadzenia zmodyfikowanego elektrycznego wózka z magazynkiem mieszczącym do stu pocisków.

– Żaden czarnuch nie zakradnie się w najbliższym czasie na to poletko obsadzone melonami – oznajmił Art.

– Niezła maszynka – mruknął Doc. – Gdzie można dostać coś takiego?

– Och, są dealerzy – odparł skromnie Art. – Wymieniamy się sprzętem na specjalnych giełdach i na sesjach szkolenia asertywności.

– A w czasie akcji? Policja pozwala wam z tego korzystać?

– Może wkrótce się o tym przekonamy. Na pewno mogliśmy zmienić bieg wydarzeń podczas zamieszek w Watts.

– Ostatnio nie było wielu tego rodzaju działań. Jak starają się wypełnić wam czas?
– Organizują weekendowe manewry, szkolenia z miejskich działań antypartyzanckich. Czasami chcą, żeby kogoś utemperować, a nie mogą wysłać tam własnych ludzi. To niezbyt rajcujące: obserwacja, niekiedy kamień z listem wrzucony przez okno. Ale wypłata jest od ręki, starcza na jedną czy dwie pizze.

Kiedy wychodzili z warsztatu, Doc zauważył przypadkiem wiszącą na haku na drzwiach kominiarkę z nordyckimi motywami. Wydawała się dziwnie podobna do tych, które widać było na nakręconym przez Farleya Brancha filmie przedstawiającym napaść na salon masażu Chick Planet.

Zaczął go wściekle swędzieć nos.

– Hej, dostałem kiedyś podobną kominiarkę na gwiazdkę – zarzucił przynętę w nadziei, że coś na nią złowi – tyle że moja ma na górze wypchane rogi i takie duże czerwone coś na nosie... no, wie pan... w stylu renifera Rudolfa, na baterię i tak dalej...

– Ta tutaj jest standardowym elementem munduru, kiedy jesteśmy na manewrach.

Art nie mógł się powstrzymać, żeby nie wypiąć z dumą piersi.

– Czy to nie wy braliście przed kilku tygodniami udział w tej rozróbie, w trakcie której zniknął Mickey Wolfmann?

– Jasna sprawa, w rezultacie ścigaliśmy po całym Channel View Estate gang motocyklistów. Na pierwszy rzut oka wydawali się najgorszymi skurwysynami pod słońcem, ale jak przyszło co do czego, nie było z nimi więcej problemów niż z czarnuchami, naprawdę.

– Zgadza się, ciągle widzę reklamy tego osiedla... z tym detektywem, jak on się nazywa?

– Bjornsen... jasne, stary Bjornsen Wielka Stopa.

– Miałem z nim chyba okazję kilka razy współpracować, kiedy doszło do wtargnięcia na cudzy teren.

– Stuprocentowy amerykański skurwiel – stwierdził Art Tweedle.

– Serio? Zrobił na mnie bardziej wrażenie profesora college[^] niż gliniarza z pierwszej linii frontu.

– No właśnie. To jego maska, zupełnie jak u Clarka Kenta: dobre maniery. Ale powinien go pan zobaczyć w akcji. Kurczę! Pete Malloy i Steve McGarrett mogą się przy nim schować.

– Taki groźny? Wygląda na to, że kiedy się następnym razem spotkamy, muszę na niego uważać.

*

Jak się okazało, czekało go to prawie natychmiast. Doc, w stanie wskazującym na spożycie, zdołał wrócić jakoś bocznymi uliczkami do domu i sięgał właśnie w kuchni po puszkę z kawą, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Idioci z nieograniczoną odpowiedzialnością, Pierwsi Do Boju, Ostatni Poinformowani, jak w nasz żałośnie pojebany sposób możemy ci dziś wieczorem pomóc? – rzucił do słuchawki.

– Sam jestem w podłym nastroju – powiadomił go Wielka Stopa – więc mam nadzieję, że nie oczekujesz ode mnie życzliwości, empatii i tak dalej?

Istny Clark Kent. Starając się przez całą drogę powrotną trzymać właściwego pasa i nie zasnąć za kierownicą, Doc nie zdążył się jeszcze zastanowić, jaki jest, wedle Arta Tweedle'a, ten nowy, o wiele groźniejszy, niż sobie wyobrażał, Bjornsen Wielka Stopa. Rozumiał także nieco mętnie, że nie jest to być może najlepszy moment, by poruszać tę kwestię. Zachowaj spokój, powtarzał sobie, zachowaj...

– Siemasz, Wielka Stopo.

– Przepraszam, jeśli przeszkodziłem ci w jakiejś wyjątkowo tmdnej hipisowskiej czynności, polegającej na przykład na przypominaniu sobie, gdzie jest klej na bibułce do skrętów, ale wygląda na to, że wyłonił się kolejny problem, nie bez związku z twoją fatalną

przypadłością polegającą na ściągnięciu nieszczęścia na wszystkich, z którymi choć przełomie się spotkałeś.

– Uhum... – Doc zapalił koola i zaczął się rozglądać za swoim woreczkiem.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z dziur w pamięci, z którymi ludzie twojego pokroju muszą się stale zmagać, ale czy nie przypominasz sobie niejakiego Rudy’ego Blatnoyda, doktora stomatologii?

– Niejakiego owszem... A jest ich więcej?

– Wyszczekany jak zawsze. Może wolałbyś o tym pomówić osobiście? Możemy zaraz wysłać po ciebie szofera.

– Przepraszam... mówisz, że doktor Blatnoyd...

– Obawiam się, że wykonał swoje ostatnie leczenie kanałowe. Niespełna godzinę temu znaleźliśmy go przy trampolinie w Bel Air ze śmiertelnym urazem szyi, odniesionym, jak się zdaje, podczas skoku, który oddał w kompletnej ciemności z tego klasycznego rozrywkowego urządzenia. Kto wie? Pewne szczegóły nie potwierdzają jednak tej wersji. Miał na sobie garnitur, krawat i mokasyny, który to strój nie bardzo się kojarzy ze skokami z trampoliny. Nie wykluczamy, że doszło do popełnienia przestępstwa, chociaż na razie nie mamy żadnych świadków, żadnych motywów i żadnych podejrzanych. Z wyjątkiem, oczywiście, ciebie.

– Nie jestem podejrzany.

– To dziwne, ponieważ nie dalej jak wczoraj doktora Blatnoyda widziano z bandą naćpanych hipisów, wśród których byłeś i ty, w pojeździe zatrzymanym przez funkcjonariuszy w Beverly Hills w związku z podejrzeniem o PSDS, czyli o potencjalne skłonności do działalności sekciarskiej.

– W porządku... ale kto jest właścicielem tego auta? Szanowany obywatel Palos Verdes. I to jego córka zaproponowała, że mnie podwiezie. A czy gliniarze w ogóle ukarali ją mandatem? I czym znajomym był doktor Blatnoyd? Jej czy moim?

– Nie chcę być wścibski, Sportello, ale gdzie się podziewałeś dziś wieczorem? Próbowaliśmy się do ciebie kilka razy dodzwonić.

– Byłem w kinie.

– Tak, oczywiście, a jak brzmi jego nazwa?

– Hermosa.

– A tytuł filmu...?

– *Dobry, zły i brzydki*. – Doc rzeczywiście oglądał ten film, kiedy samochód był w warsztacie. – To był podwójny seans i dziewczyna, z którą się wybrałem, chciała zobaczyć także drugi film. Jakaś angielska ramota o lolitce, zaraz przypomnę sobie tytuł.

– Aha, chodzi ci na pewno o *Pełnię życia panny Brodie*. *Wspaniały* film, Maggie Smith z pewnością zasługuje na Oscara za najlepszą rolę kobiecą.

– Przypomnij mi, to ta blondynka z wielkimi cyckami, tak?

– Rozumiem, że nie jesteś fanem brytyjskiego kina.

– Szczerze mówiąc, wolę Lee Yan Cleefa. To znaczy cały ten Clint Eastwood jest w porządku, ale zawsze widzę w nim Rowdy’ego Yatesa...

– Okay, pojawił się funkcjonariusz z zabezpieczonymi dowodami i muszę się zająć naprawdę ciekawymi sprawami. Czy mógłbyś wpaść jutro do Parker Center, chciałbym pogadać z tobą o tym ślepy tropie, który byłeś łaskaw mi podsunąć. Mam na myśli sprawę Coya Harlingena.

– Swoją drogą, jacyś znajomi Coya zdemolowali wczoraj mieszkanie mojego współnika. Więc może to nie jest jednak ślepa uliczka.

– Są ślepe uliczki i ślepe uliczki – odrzekł enigmatycznie Wielka Stopa i się rozłączył.

*

Tej nocy Docowi śniło się, że znowu jest małym dzieckiem. On i inny dzieciak, który

przypomina jego brata Gilroya, siedzą po południu w Arizona Palms z kobietą, która niekoniecznie wygląda jak Elmina, ale jest matką któregoś z nich. Podchodzi do nich kelnerka z kartami dań.

- Gdzie jest Shannon? – pyta kobieta, która niekoniecznie jest Elminą.
- Zamordowana. Jestem jej zmienniczką.
- To była tylko kwestia czasu. Kto to zrobił?
- Mąż, a któż inny?

Podając im jedzenie i podchodząc kilka razy do stolika, kelnerka ma za każdym razem coś nowego do powiedzenia o swojej zabitej koleżance. Na temat broni, domniemyanych motywów, przedprocesowych manewrów.

– To się stale zdarza, ktoś zabija kogoś, kogo posuwa, kogo nawet kocha – przerywa im dyskusję na temat ciasta bananowego z lodami. – Psychiatrzy, doradcy i adwokaci niewiele mogą, człowiek schodzi z głównej ulicy i ląduje w dżungli, gdzie ludzie, którzy zawsze mówią ci, jak masz się zachowywać, nie mają żadnej władzy, i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę rządy w Southland sprawują ci źli.

– Mamo, czy kiedy ona wróci, jej męża wypuszczą z więzienia? – chce wiedzieć mały Larry.

- Kiedy kto wróci?
- Shannon.
- Nie słyszałeś, co powiedziała ta dziewczyna? Shannon nie żyje.
- To się zdarza tylko w bajkach. Prawdziwa Shannon wróci.
- Tu mi kaktus wyrośnie.
- Ona wróci, mamo.
- Naprawdę wierzysz w te bzdury?
- A co, twoim zdaniem, się dzieje, kiedy się umiera?
- Jest się martwym.
- Nie wierzysz, że można wrócić do życia?
- Nie chcę o tym mówić.
- No to co się dzieje?
- Nie chcę o tym mówić.

Gilroy patrzy na nich wielkimi oczami i bawi się jedzeniem, co denerwuje kobietę podobną do Elminy, dla której jedzenie to poważna sprawa.

– Och, teraz ty się wygłupiasz. Nie wygłupiaj się, jedz. A ty – mówi do Doca – któregoś dnia będziesz musiał się dostosować.

– Co masz na myśli?

– Być jak wszyscy inni. – Oczywiście, że to właśnie ma na myśli. I dorosły Doc czuje teraz, że otaczają go w życiu nieboszczycy, którzy wracają lub nie wracają, albo którzy nigdy nie odeszli, i wszyscy inni rozumieją, kto jest kim, ale to coś tak jasnego i prostego, że on nie może tego pojąć, nigdy tego nie załapie.

Obudził się o tej szczególnej porze roku, kiedy wybrzeże spowija mgła i przez całą długą noc słyhać nienaturalny huk schodzących do lądowania i startujących odrzutowców, zupełnie jakby czyjaś ręka podkręciła na konsolcie basy do niespodziewanego poziomu. Odkrył, że indiańska narzuta na sofie, na którą padł wieczorem, zafarbowała na czerwono i pomarańczowo coś, co mogło być tylko jego łzami. Przez cały ranek chodził z wyblakłym kolorowym wzorkiem na połowie twarzy.

Były czasy, kiedy Doc naprawdę bał się, że zmieni się w Bjornsen Wielką Stopę, zostanie kolejnym gorliwym gliniarzem podążającym wyłącznie tam, gdzie kierują go tropy, pochłaniającym światło, które odnajdywało innych uczestników tego regionalnego snu o iluminacji, niedoznanym szerokoekranowych objawień, które Wielka Stopa nazywał „hipifaniami”, i skazanym zamiast tego na nagabywanie przez świrów cedzących „opowiem ci o swoim odlocie, człowieku”, nigdy niewstającym na tyle wcześnie, by zobaczyć to, co mogło się pewnego dnia okazać fałszywym świtem. To mogło tłumaczyć, dlaczego aż do zeszłego wieczoru zawsze był skłonny trochę odpuszczać Wielkiej Stopie, chociaż niekoniecznie chciał, żeby się o tym dowiedziano. Jednak teraz (jeśli wierzyć Artowi Tweedle’owi), nie można było wykluczyć, że Bjornsen miał powiązania ze wspieraną przez policję Los Angeles prywatną armią ochotników, a być może nawet maczał palce w napadzie na Channel View Estates. Zbliżając się do Parker Center, Doc czuł się niczym stojący w parku alegoryczny posąg, opatrzony podpisem „SPOŁECZNA DEZAPROBATA”.

– Cześć, Wielka Stopo! Udało ci się ostatnio wykurzyć paru czarnuchów? Nie... nie, pytanie, które zadał mu w rzeczywistości, brzmiało zupełnie inaczej:

– Coś nowego w sprawie Bel Air?

– Nie pytaj. Choć właściwie pytaj, muszę się chyba wyładować.

Atmosfera panująca tego ranka w wydziale kradzieży i zabójstw nie była bardziej kordialna niż zwykle. Może sprawił to Doc, a może taki był charakter wykonywanej tu pracy, ale przysięgłby, że tego dnia koledzy Wielkiej Stopy starają się, jak mogą, unikać ich obu.

– Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli pójdziemy wrzucić coś na ruszt?

Wielka Stopa sięgnął pod stół, wyciągnął torbę z supermarketu Ralpa z czymś, co wyglądało na kilka kilogramów makulatury, po czym wstał i ruszył ku drzwiom, dając znak Docowi, by podążał za nim. Po zejściu na dół udali się do japońskiej garkuchni za rogiem z najlepszymi pod słońcem szwedzkimi naleśnikami z borówkami, które podano niespełna półtorej minuty po tym, jak Bjornsen zajrzał do środka.

– Preferujesz jak zwykle smaki etniczne, Wielka Stopo.

– Podzieliłbym się z tobą, ale na pewno byś się uzależnił i miałbym kolejny grzech na sumieniu – stwierdził Wielka Stopa, zaczynając się opychać.

Naleśniki wyglądały naprawdę smakowicie. Doc miał nadzieję, że uda mu się chociaż zepsuć apetyt Bjornsenowi.

– Nie czujesz się rozgoryczony – zaczął mrużyć złośliwie – że zabrakło cię tam, na Cielo Drive? Że wraz z innymi rozpasanymi gliniarzami nie zdeptywałeś miejsca słynnego przestępstwa, nie zacierałeś odcisków palców, by zostawić własne, i tak dalej?

Wielka Stopa zabrał mu widelec i jadł teraz obiema rękami.

– To są drobne troski, Sportello, wynikające z przerostu ego. Wszyscy to mają... to znaczy wszyscy, którzy pracują, żeby zarobić na życie. Ale chcesz znać prawdę?

– Hmm... raczej nie...

– I tak się jej dowiesz. Prawda jest taka, że w tym momencie wszyscy kurewsko się boją.

– Kto? Wy? Wszyscy ci miłośnicy burrito w wydziale zabójstw? Boją się czego?

Charliego Mansona?

– Zgoda, to dziwne, tu w stolicy wiecznej młodości, niekończącego się lata i tak dalej.

Ten lęk dręczy miasto zupełnie jak dawniej, w czasach hollywoodzkiej czarnej listy, których nie pamiętasz, i zamieszek w Watts, które pamiętasz... rozprzestrzenia się, niczym krew w basenie, aż wypełnia człowiekowi cały dzień. A potem jakiś dowcipniś pojawia się z wiadrem piranii, wrzuca je do basenu, a one od razu wyczuwają krew. Pływają w kółko, szukając tego, co tak krwawi, ale nie mogą niczego znaleźć, ogarnia je coraz większy szal i w końcu zaczynają pożerać same siebie.

Doc przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Co jest w tych borówkach, Wielka Stopo?

– Zupełnie jakby południową Kalifornią rządził jakiś zły bożek – ciągnął Bjornsen – i od czasu do czasu budził się z letargu, pozwalając, by na światło dzienne wyszły ciemne moce, które zawsze czają się tutaj w mroku.

– Kurczę... a ty, co, widziałeś go? Tego złego bożka? Może z tobą... rozmawia?

– Tak, i wygląda jak popalający trawkę szurnięty hipis! I co ty na to?

– To, co zauważyłem od czasu przyskrzynienia Charliego Mansona – powiedział Doc, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi, i starając się pomóc – to o wiele rzadszy kontakt wzrokowy ze strony stróżów ładu i porządku. Kiedyś byliście podobni do tłumu w zoo... „popatrz, ten facet niesie dziecko, a ta facetka płaci za zakupy”, tego rodzaju podejście, ale teraz jest zupełnie inaczej... „udawajmy, że ich tu w ogóle nie ma, bo może to seryjni mordercy, którzy dadzą nam popalić”.

– Wszystko to zmieniło się w chorą fascynację – stwierdził Wielka Stopa – a tymczasem cała strategia wydziału zabójstw została postawiona na głowie... żegnaj, Czarna Dalio, spoczywaj w pokoju, Tomie Ince. Obawiam się, że nie zobaczymy już więcej zagadkowych morderstw w stylu dawnego Los Angeles. Odnaleźliśmy bramę do piekieł i trudno wymagać od twoich cywili, by nie chcieli jej tłumnie przekroczyć, jak zwykle rozchichotani i jurni, szukający tego ostatniego dreszczyku emocji. To oznacza chyba dużo nadgodzin dla mnie i chłopaków, ale znacznie przybliży koniec świata.

Wielka Stopa omiół badawczym wzrokiem cały lokal, od toalet na zapleczu po pustynne światło na ulicy, i położył na stole torbę od Ralpa.

– Sprawa Coya Harlingena. Nie chciałem o niej mówić w komendzie – oznajmił, zaczynając niezgrabnie wyciągać z torby pliki papierów różnych rozmiarów, kolorów i w różnych stadiach rozkładu. – Zajrzałem do akt, spodziewając się w nich znaleźć to, co nazywamy zaskorupiałym gównem. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy przekonałem się, ilu moich kolegów z odległych placówek sił ładu i porządku, a także szczebli władzy, miało okazję do nich zajrzeć. Coy Harlingen nie tylko używał różnych aliasów, ale prowadzony był przez kilka różnych agencji, na ogół jednocześnie. Wśród nich... mam nadzieję, że cię to nie zszokuje ani nie urazi... były niestety i takie, które nie obraziłyby się, gdyby Coy naprawdę spoczął pod granitową płytą z wyrytym na niej jego ostatnim nazwiskiem.

– Na temat jego przedawkowania, czy cokolwiek to było, musi już istnieć mnóstwo wewnętrznych raportów. Jest jakaś szansa, żeby je obejrzeć?

– Niestety, w biurze Brata Noguchiego nigdy nie uznano, że zgon nastąpił w wyniku zabójstwa, w związku z czym nikt nigdy nie wymagał żadnych wewnętrznych, zewnętrznych czy interdyscyplinarnych raportów na temat postępów w sprawie. Z pozoru to kolejne zwykłe przedawkowanie, jednego ćpuna mniej, sprawa zamknięta.

„No dobra, mogę już chyba iść?” – powiedziałyby kiedyś Doc. Ale z tym nowym faszystowskim modelem Wielkiej Stopy, któremu, jak ostatnio odkrył, nie powinien chyba ufać, tradycyjne słowne utarczki nie dawały już tyle radości.

– Chcesz powiedzieć, że sprawa byłaby rutynowa, gdyby nie te wszystkie papiery? – zaczął ostrożnie. – Już na pierwszy rzut oka widać, że jest ich nieproporcjonalnie dużo. Tak jakby nie wystarczył jeden mały różowy akt zgonu.

– Ach, zauważyłeś. Masz rację, nieboszczykom nieczęsto poświęca się tyle uwagi. Można by pomyśleć, że Coy Harlingen naprawdę gdzieś żyje i wierzga. Prawda? Że zmartwychwstał.

– Więc co takiego odkryłeś?

– Oficjalnie, Sportello, nie wiem nawet o istnieniu tej sprawy. Odpowiada ci to? Pasuje? Dlaczego, twoim zdaniem, siedzimy tutaj, a nie na górze?

– Pewnie z powodu jakiejś afery odkrytej przez wydział wewnętrzny, którą desperacko starasz się przede mną ukryć. Co takiego mogli wyniuchać?

– W porządku. Liczba rzeczy, które chcę przed tobą ukryć, jest olbrzymia, Sportello, naprawdę olbrzymia. Z drugiej strony, jeśli od czasu do czasu ujawniam ci jakąś błahostkę, nie musisz od razu dostawać paranoi. – Bjornsen pogrzebał w torbie i wyciągnął z niej długie nakrapiane pudełko z kartami katalogowymi w rozmiarze trzy na pięć cali. – Co my tutaj mamy? Pewnie wiesz, co to takiego.

– Raporty z zatrzymań. Pamiątki po wszystkich, których zgarnęliście i którym się naprzykrzaliście. Całkiem sporo, jak na jednego zaćpanego saksofonistę.

– Może byś je szybko przerzucił i sprawdził, czy znajdziesz coś znajomego.

– Nie zawieź mnie, Evelynie Wood. – Doc zaczął przeglądać karty, starając się przygotować na jedną z przykrych niespodzianek Wielkiej Stopy. Poznał kilku iluzjonistów i wiedział, że potrafią „wmuszać” określoną kartę widzowi. Nie widział powodu, by Wielka Stopa miał się cofnąć przed tego rodzaju sztuczkami.

I co powiecie? Doc przez niemal pół sekundy zastanawiał się, czy ukryć przed Wielką Stopą kartę, którą właśnie zobaczył, ale w końcu uświadomił sobie, że Bjornsen i tak już o wszystkim wie.

– Proszę – powiedział, wskazując palcem. – Wiem, że widziałem już gdzieś to nazwisko.

– Puck Beaverton. – Wielka Stopa pokiwał głową i wyjął kartę z pudełka. – Doskonały wybór. Jeden ze zwerbowanych w kryminale pretorianów Mickeya Wolfmanna. Sprawdźmy. – Udał, że czyta kartę. – Ludzie szeryfa wpadli na niego w Venice, w domu dealera, który sprzedał Coyowi Harlingenowi heroinę. Tę samą, która go zabiła. Albo, co niewykluczone, wcale nie zabiła.

Bjornsen przesunął kartę po blacie z formiki i Doc przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

– Indagowany, bezrobotny, twierdzi, że jest znajomym Leonarda Jermaina Loosemeata, znanego jako El Drano. „Przyszedłem, żeby rozegrać kilka partyjek bilardu”. Loosemeat zdradzał duże podenerwowanie w obecności Beaverton. To wszystko? Co robił Puck w domu dealera, który zaopatrywał Coya? Myślisz, że...

Wielka Stopa wzruszył ramionami.

– Może przyszedł kupić towar?

– Macie dowody, że zażywał?

– Ktoś powinien to sprawdzić. – Musiało to zabrzmieć głupawo nawet dla samego Bjornsen. – Akta Pucka mogą być teraz przechowywane daleko stąd – dodał. – W Fontanie albo jeszcze dalej. Chyba że... – Wystudowana pauza, jakby przyszła mu nagle do głowy jakaś myśl.

– No, wykrztuś to z siebie, Wielka Stopo.

– Przypominam sobie chyba, że kilka lat temu, zanim jeszcze trafił do Folsom, Beaverton pracował dla windykatora długów o nazwisku Adrian Prussia. A ten dealer, El Drano, był jednym z klientów Adriana. Może Puck odwiedził go w imieniu swego dawnego chlebodawcy?

Doc poczuł się nieswojo. Zaczęło mu kapać z nosa.

– Pamiętam Adriana Prussia z czasów, kiedy zajmowałem się ustalaniem miejsca pobytu różnych osób. To pierdolony wąż, człowieku.

Wielka Stopa dał znak facetowi za barem.

– Chotto, Kenichiro! Dozo, motto panukeiku.

- Już się robi, panie poruczniku!
- Nie są tak dobre jak naleśniki mojej matki, ale i tak „odlotowe” – przyznał Wielka Stopa.
- Choć tak naprawdę przychodzę tu, żeby poczuć, że ktoś darzy mnie szacunkiem.
- Nie zaznałeś go zbyt wiele ze strony mamy?

Czy Doc naprawdę to powiedział, czy tylko pomyślał? Patrzył, czy detektyw przypadkiem się nie obraził, lecz on ciągnął:

– Myślisz pewnie, że jestem ważną osobą w wydziale kradzieży i zabójstw. Trudno ci się dziwić, człowiek paraduje tam niczym księżę Karol, jakby mieli go lada chwila koronować... Jednak w rzeczywistości... – Bjornsen pokręcił powoli głową, patrząc na Doca w dziwnie błagalny sposób. – Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece. Dentyści na trampolinach.

Ale nie, nie chodziło o to. Niezupełnie.

– No dobrze, Wielka Stopo – mruknął Doc, mając świadomość, że to najprawdopodobniej kolejna policyjna sztuczka – powiem ci jedno: tamtej nocy, kiedy zawieźliśmy Rudy’ego Blatnoyda do Bel Air, było ciemno, on mówił, jak jechać, mnóstwo skrętów, nie sądzę, żebym potrafił odnaleźć tę drogę nawet w jasny dzień, i nie wiem, czy to się jakoś wiąże z miejscem, gdzie znaleźliście ciało, ale to było koło jedenastej i... – pisząc na serwetce – ... tu masz adres.

Wielka Stopa pokiwał głową.

– Tam właśnie znaleźliśmy ciało. Przebywał tam jako gość i pomogło to trochę w ustaleniu chronologii. Dziękuję, Doc. Niezależnie od tego, że zapuściłeś długie włosy i nadużywasz narkotyków, zawsze uważałem cię za profesjonalistę.

– Nie rozczulaj się nade mną, człowieku, to psuje twój wizerunek.

– Mogę w sposób jeszcze bardziej nieodpowiedzialny ulegać emocjom – ostrzegł Wielka Stopa. – Posłuchaj. Gdybym zdradził ci pewne szczegóły tej sprawy, byłyby znane tylko ludziom z wydziału zabójstw, zabójcy i tobie.

– W takim razie dobrze, że mi ich jednak nie zdradzisz.

– A może jednak to zrobię?

– Dlaczego miałbyś to uczynić?

– Po prostu żebyśmy, jak to mówicie, wiedzieli, na czym stoimy.

– Innymi słowy, chcesz mieć kolejny powód, żeby mnie wsadzić. Dzięki, Wielka Stopo. Co powiesz, jeśli zatkam sobie uszy palcami i zacznę krzyczeć?

– Nie zrobisz tego.

– Naprawdę? – szczerze zdziwił się Doc. – A to dlaczego?

– Bo jesteś jednym z nielicznych ćpunów w tym mieście, którzy wiedzą, jaka jest różnica między tym, co dziecinne, i tym, co dziecięce. Poza tym to powinno cię zainteresować. Posłuchaj... oficjalnie mówimy o śmiertelnym urazie kręgosłupa... nie! nie rób tego!... lecz w rzeczywistości doktor Blatnoyd miał na szyi rany klute, które mogły zostać zadane przez kły średniej wielkości dzikiego zwierzęcia.

– To już szczyt wszystkiego, Wielka Stopo – powiedział powoli Doc – ponieważ Rudy Blatnoyd był jednym z partnerów w firmie o nazwie Złoty Kiel SA, założonej, żeby nie płacić podatków. I co? Nie sądzę, żebyście zbadali te rany na szyi na obecność złota czy czegoś w tym rodzaju?

– Nie wydaje mi się, żeby zostały jakieś ślady. Złoto jest chemicznie nieaktywne, czego dowiedziałabyś się na lekcjach chemii, gdybyś nagminnie się z nich nie urywał, żeby strzelić sobie w żyłę.

– Poczekaj, zapomniałeś o zasadzie wymiany śladów Locarda. Każdy kontakt pozostawia jakiś ślad. To byłaby prawdziwa ironia losu, człowieku, gdyby okazało się, że Blatnoyd został śmiertelnie ukąszony złotym kłem. A może nawet dwoma złotymi kłami.

– Nie rozumiem... – Bjornsen przechylił głowę na bok i stuknął się w nią niczym pływak usiłujący pozbyć się wody z ucha. – Dlaczego cokolwiek z tego miałyby być szczególnie

ważne?

– Fakt, że te kły są złote? A nie należą na przykład do zwykłego wilkołaka?

– No... właśnie...

– Bo to jest Złoty Kieł, człowieku.

– Tak, tak, ta firma założona, żeby nie płacić podatków. I co z tego?

– Nie chodzi tylko o unikanie podatków, Wielka Stopo, o nie. To coś o wiele większego, jak to mówicie, wagi ciężkiej.

– Aha. A nie są to przypadkiem – dociekał cierpliwie Bjornsen – kolejne paranoiczne hipisowskie wymysły, bo szczerze mówiąc, ani mój wydział, ani co ważniejsze ja, nie chcemy marnować czasu na wytwory pobudzonej narkotykami wyobraźni.

– W takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jeśli sam się tym zajmę? To znaczy mam nadzieję, że nie węszy tu wydział wewnętrzny, nie ma celowej obstrukcji ze strony policji. Nic z tych rzeczy?

– Każdy na swój sposób ceni własny czas – zauważył filozoficznie policjant, sięgając po portfel.

Doc zaparkował w Little Tokyo, więc odprowadził Bjornsena do rogu Trzeciej Alei i San Pedro, i pożegnał się z nim znakiem pokoju.

– Aha, Wielka Stopo...

– Tak?

– Każ technikom poszukać śladów miedzi.

– Czego?

– Mówię o metalu. Złote zęby rzadko są z czystego złota, dentyści lubią dodawać do niego miedź. Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie urywał się z lekcji kryminalistyki, żeby kraść dekle i podrzucać je niewinnym hipisom.

*

Doc zadzwonił do baru w Inglewood, w którym pracowała Clancy Charlock.

– Hej, jak ci poszło z tymi dwoma motocyklistami?

– Wypalili masę nędznej trawki i się pospali, dziękuję. Słuchaj, widziałeś ostatnio Borisa Spiveya? – Jej głos może nie zdrzął, ale lekko się załamał. Może coś paliła.

– O to samo chciałem cię zapytać. Normalnie telepatia, człowieku!

– Ponieważ wygląda na to, że Boris zapadł się pod ziemię. Mieszkanie jest puste, nie ma jego rzeczy, nikt nie widział go w Knucklehead Jack's.

Doc znalazł papierosa, ale nie zapalił go, tylko przez dłuższą chwilę mu się przyglądał. A może Wielka Stopa miał rację? Może składał pocałunek śmierci, ściągał złą karmę na każdego, z kim się zetknął?

– Nie spłoszyłeś go czy coś w tym rodzaju? – W jej głosie zabrzmiał gniew.

– Jak mógłbym to zrobić, skoro sięgam mu najwyżej do kolan? Może jest coś komuś winien albo ma problemy z byłą... a propos, może ją znasz? Dawnette z Pico Rivera?

– Właściwie próbowałam się do niej dodzwonić, ale ona też chyba zaginęła.

– Myślisz, że uciekli razem?

– Nie jestem kącikiem porad. Czego chciałeś od Borisa?

– Tak naprawdę szukam faceta, który nazywa się Puck Beaveron. Myślałam, że Boris może wiedzieć, jak się z nim skontaktować.

– Chodzi ci o tego dupka?

– Mówisz... jakbyś zawarła bliższą znajomość ze starym Puckiem.

– Z nim i z jego sublokatorom Einarem. Nie będę wchodziła w szczegóły. Ci chłopcy mają trochę inne wyobrażenie, na czym polega trójkącik. W rezultacie poczułam się nieco... jak by tu powiedzieć... pominięta i popełniłam błąd, mówiąc im o tym. Puck i Einar poszeptali ze sobą, po czym wyrzucili mnie na ulicę. O czwartej rano w West Hollywood.

- Nie chciałem...
- ... budzić przykrych wspomnień... oczywiście, że nie, nie ma sprawy, chodzi tylko o to, że można w różny sposób dać się wykorzystać, a ten akurat nie był zabawny.
- Boris wspomniał, że Puck mógł wyjechać do Vegas, i chciałem zawęzić trochę krąg poszukiwań.
- Jeśli jest z nim Einar, będą szukali dziewczyn, które mogą potraktować jak suki, szczególnie takich, którym za bardzo to nie przeszkadza. Udanych łowów.
- Może spędzilibyśmy razem tropikalny wieczór, zagrali w kanastę?
- Jasne, przyprowadź jakiegoś kumpla.

*

Kiedy Doc wrócił z lunchu w Wavos, w biurze czekała na niego rozchełstana dziewczyna w krótkiej spódniczce, z oczami umalowanymi zgodnie z aktualną modą nie tylko maskarą, ale również konturówką w odcieniu zbliżonym kolorem do dymu wydobywającego się z pękniętej uszczelki pod głowicą, co jak zawsze skojarzyło się Docowi z głęboką, niedostępną niewinnością i zbudziło w nim uśpioną lubieżność.

- Trillium Fortnight – przedstawiła się. – Powiedzieli, że może mi pan pomóc.
 - Naprawdę? – odparł, częstując ją przejemnie papierosem, którego odmówiła. – A ilu ich było?
 - Och, przepraszam. Dawnette i Boris. Powiedzieli...
 - Kurczę... – Dawnette i Boris. – Jak dawno to było?
 - Jakiś tydzień temu...
 - Nie wie pani przypadkiem... gdzie teraz są?
- Dziewczyna pokręciła głową, jak mu się zdawało, ze smutkiem.
- Nikt tego nie wie.
 - Ale rozmawiała pani z nimi?
 - Przez telefon. Bali się, że ktoś ich podsłuchuje, i szybko się rozłączyli.
 - Czy to był telefon miejscowy? Wie pani, czasami...
 - Odniosłam wrażenie, że są w drodze i dzwonią z budki przy zjeździe z jakiejś międzystanowej autostrady.
 - Usłyszała to pani?
- Wzruszyła ramionami.
- Poznałam po tym, jak łączyły się głosy. – Doc musiał jej rzucić dziwne spojrzenie. – To znaczy nie głosy „głosy”. Bardziej jak poszczególne instrumenty w partyturze...
 - Serenada na ciągnik siodłowy Peterbilta i volkswagena busa.
 - Dokładniej rzecz biorąc, na ciągnik siodłowy Kenwortha i furgonetkę Econoline oraz chryslera z półkolistą komorą spalania, harleya i trzy stare rzęchy.
- Ów wyczulony słuch, wyjaśniła następnie, przydawał się jej zarówno na pierwszym, jak i na drugim etapie – uczyła teorii muzyki na UCLA i była specjalistką od średniowiecznych i renesansowych drewnianych instrumentów dętych.
- Jeśli interesuje pana wszystko od bombardy do szalamai, jestem do dyspozycji.
- Doc miał wzwód i ciekło mu z nosa. Znowu poraziła go ta stara kurde fudr. Natomiast Trillium zapadła w dziwne milczenie, w którym, gdyby był przy zdrowych zmysłach, rozpoznałby tęsknotę za jakimś innym facetem. Znalazł żółtą kartkę ze sporządzoną na niej ołówkiem długą listą zakupów i wkręcił ją do maszyny, po prostu, żeby zająć czymś ręce.
- Więc... jak zdaniem Borisa i Dawnette mógłbym pani pomóc?
 - Zaginał ktoś, kogo znam, i muszę... chciałabym odkryć, co się z nim stało.
- Szczęściarz*, napisał Doc na maszynie.
- Moglibyśmy zacząć od nazwiska i ostatniego znanego adresu.
 - Nazywa się Puck...

Puck. Oho.

– Puck Beaverton... ostatnio mieszkał w West Hollywood, ale nie wiem dokładnie, przy jakiej ulicy.

W tym momencie Docowi przyszły jednocześnie do głowy dwie albo trzy rzeczy, wyświetlając się w hiperwymiarowy sposób na pustej ścianie gabinetu, z której często korzystał w tym celu. Mogło się okazać, że Trillium jest jakiegoś rodzaju prywatną detektyw, ścigającą Pucka w imieniu osoby, która napędziła mu takiego stracha, że wyniósł się z miasta. Oczywiście Puck mógł być również miłośnikiem muzyki dawnej i zajmować się nielegalną sprzedażą bombard rozchodzących się jak świeże bułeczki. Albo, co znacznie bardziej denerwujące, Trillium mogła być w jakiś sposób związana z Puckiem i nie potrafiła się od niego uwolnić. Doc nauczył się nie kwestionować tego, w jaki sposób ludzie wybierają obiekt swoich romantycznych uczuć, ale kto ma się, do diabła, zaopiekować tą dziewczyną? Co w ogóle wie o chłopaku swoich marzeń?

I o Einarze? A może w przeciwieństwie do Clancy uznała doświadczenia z Puckiem i Einarem za pociągające? I czy w tym momencie może lepiej nic na ten temat nie mówić? Bardziej krzepiące byłoby chyba uznanie jej za płatną zabójczynię.

– Boris dał mi adres w Las Vegas – powiedziała.

– Chce pani, żebym co? Sprawdził go?

– Chcę, żeby wybrał się pan ze mną do Vegas i pomógł go odszukać.

Frajer. Naiwniak. Oraz inne określenia ze starych filmów, które niewątpliwie mogły przyjść mu do głowy w ciągu minuty.

Widział, że wpada w sidła, ale jak zwykle myślał kutasem. Nie mówiąc o tym, że dawał się ponieść sentymentom. Jeśli jest jakaś różnica.

– Jasne – odparł. – Ma pani przypadkiem zdjęcie tego dżentelmena?

Miała. Z zawieszanej na ramieniu torby wyłowiła jedną z tych plastikowych harmonijek, w której było – Doc stracił rachubę – może ze sto zdjęć Pucka i Trillium spacerujących o zachodzie słońca po plaży, tańczących na różnych masowych zgromadzeniach na świeżym powietrzu, grających w siatkówkę, wbiegających i wybiegających z morza – wyglądało to jak ogłoszenie w rubryce towarzyskiej w „LA Free Press”, tyle że dłuższe i z obrazkami. Doc zauważył, że Puck ma ogoloną głowę z wytatuowaną swastyką, co w razie czego mogło pomóc w identyfikacji. Poza tym przynajmniej na połowie tych zdjęć była osoba trzecia, mężczyzna z blisko osadzonymi oczami i uniesionym w wyrazie niezadowolenia kącikiem górnej wargi, któremu udawało się na ogół wcisnąć między Trillium i Pucka.

– A to jest...

– Einar. Wspólnik Pucka, poznali się w zakładzie karnym.

– Będę mógł wziąć kilka tych fotek, żeby pokazać tu i tam? – Jak najbardziej. Kiedy możemy jechać?

– W każdej chwili. Jeśli pani pasuje, z West Imperial jest regularne połączenie. – Pasuje idealnie – odparła. – Podczas jazdy samochodem dostaję świra.

*

Tak się złożyło, że Doc dostawał świra, latając samolotem, ale wciąż zapominał dlaczego i przypomniał to sobie dopiero, kiedy wylądowali na lotnisku McCarran. Zastanawiał się przez chwilę, czy i tak nie zacząć świrować, po prostu, żeby nie wyjść z wprawy, ale Trillium mogłaby się dziwić, a jemu byłoby cholernie trudno to wytłumaczyć. Poza tym minął już odpowiedni moment.

Po wynajęciu jasnoczerwonego camaro rocznik 69 zaczęli szukać miejsca, w którym mogliby się zatrzymać, najlepiej w pobliżu lotniska, ponieważ Doc miał nadzieję, że cała sprawa nie zajmie dużo czasu. Jadąc Sunset Road na wschód w stronę Boulder Highway, minęli kilka tanich moteli oraz kasyn i barów dla miejscowych, gdzie grano na żywo rock and

rolla, i zdecydowali się w końcu na Ghostflower Court składający się z szeregu bungalów z lat pięćdziesiątych. Wynajęli kryty gontem dwupokojowy domek na tyłach – być może trochę zapuszczony, ale przestronny i wygodny, z lodówką, kuchenką elektryczną, klimatyzacją, kablówką oraz dwoma podwójnymi łózkami wodnymi z pościelą w tygrysie cętki.

– Super – stwierdził Doc. – Ciekawe, czy te łóżka wibrują. – Nie wibrowały. – Cholera.

Adres, który Boris dał Trillium, znajdował się w zaniedbanym trapezoidzie uliczek na wschód od Strip, między Sahara i Downtown. Na parterze mieścił się sklep z antykami, którego sprzedawca przedstawił się jako Delwyn Quight.

– Większość towaru mam z lombardów, ale rozejrzyjcie się, o połowie rzeczy, które tu leżą, nie mam większego pojęcia.

Quight wyjął zdobioną motywem wierzb i żurawi japońską szkatułkę z czarnej laki i macicy perłowej, w której leżały skręcone wcześniej jointy, zapalił jednego i puścił go w obieg.

– Widzę tu mnóstwo rzeczy z Dzikiego Zachodu – zauważył Doc, który przypomniał sobie nagle Wielką Stopę Bjornsena i jego wążący sto funtów zwój drutu. – Ma pan coś, co mógłbym sprezentować kolekcjonerowi drutu kolczastego? To znaczy coś niezbyt dużego, może jakiś mały kawałek...

– Właśnie sprzedałem końcówkę ostatniej szpuli, teraz mam wyłącznie japońskie podróbki. Ale proszę, może to pana zainteresuje... Przyszło nie dalej jak wczoraj, prosto z wykopalisk w Tombstone.

Był to zwyczajnie wyglądający kubek do kawy z zakrywającą go w jednej trzeciej pokrywką, w której znajdował się mały otwór na usta, co miało uchronić wąsy pijącego przed zamoknięciem. Z jednej strony kubka namalowany był jaskrawozielony kaktus saguaro, z drugiej para skrzyżowanych coltów Buntline Special, nad którymi widniało nazwisko WYATT napisane znaną z dawnych listów gończych czcionką.

– Sprytne – stwierdził Doc. – Ile kosztuje?

– Mógłbym go puścić za tysiąc.

– Tysiąc czego?

– Proszę. Należał do samego szeryfa Earpa.

– Myślałem bardziej o kwocie dwóch dolców?

Zaczęli o tym dyskutować i oddalać się od tematu. W końcu Doc zauważył w kącie coś, co, jak by to powiedzieć, się jarzyło.

– Hej, co to jest?

Był to krawat gustownie okolony na brzegach kryształami górskimi i wysadzany tysiącami lub setkami różowych i zielonych cekinów, które tworzyły wzór przypominający klawiaturę fortepianu.

– To cudo – oznajmił Quight – należało do Liberace. Podczas jednego z występów w hotelu Riviera, grając jedną ręką *Grande Valse Brilliance*, Lee zdjął drugą ręką krawat i rzucił go na widownię. Z tyłu jest autograf, widzicie?

Doc założył krawat i przez chwilę przeglądał się w lustrze, żeby sprawdzić, jak odbija się w nim światło i w ogóle. Quight, nadal próbujący sprzedać mu kubek dla wąsaczy, zaproponował, że dorzuci krawat, i w końcu zgodzili się na cenę dziesięciu dolarów za obie rzeczy.

– To się tak zawsze kończy – biadał antykwariusz, waląc lekko, lecz wymownie, głową o biurko wiejskiego agronoma z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. – Pójdę z torbami.

– Prawie zapomnieliśmy o tej drugiej sprawie – zauważył Doc. – Ma pan na górze lokatorów, prawda?

– W tym momencie nie, wyprowadzili się w zeszłym tygodniu. – Quight westchnął. – Puck i Einar. W tej okolicy pojawiają się najróżniejsi ludzie, ale oni byli, można rzec, szczególnie.

– Czy powiedział... czy powiedzieli, dokąd się przenoszą? – Głos Trillium przesunął się w mroczniejszy rejestr, który Doc nauczył się rozpoznawać.

– Niezupełnie. Nikt tego nigdy nie robi.

– Czy ktoś już wcześniej o nich wypytywał?

– Faktycznie, pytali o niego dwaj dżentelmeni z FBI. – Quight przejrzał zawartość ozdobnej popielniczki od Sandsa (do której zwymiotował kiedyś ponoć sam Joey Bishop) i odnalazł w niej wizytówkę o treści „Agent specjalny Hugo Borderline” z dopisanym długopisem lokalnym numerem telefonu.

– Cholera! – zaklął Doc. Ciekawe, czy agent specjalny zabrał ze sobą swojego kolegę Flatwooda, z którym tworzyli coś w rodzaju wścibskiego rządowego duetu? A jeżeli tak, dlaczego nie wrócili do Los Angeles, żeby napuszczać na siebie murzyńskich rewolucjonistów? W Las Vegas mieli w tej dziedzinie niewielkie pole do popisu, chyba że cała historyjka o Czarnych Nacjonalistach miała zamaskować jakąś inną akcję, wymierzoną, powiedzmy, w zorganizowaną przestępczość, która posiadała podobno kasyna w Vegas i w zasadzie rządziła całym miastem. Ale chwila... ci federalni szukali przecież Pucka, a co wiązało Pucka z tym wszystkim? Doc poczuł, jak rodzi się w nim podejrzenie, paranoiczne niczym szybkie bicie serca, kiedy człowiek budzi się nagle o północy, że los Pucka zależy od losu Mickeya i powinien zapytać raczej o to, jakiego rodzaju interesy załatwiał Mickey z mafią – albo, co gorsza, z FBI.

– Czy w trakcie waszej pogawędki było coś, co zachował pan dla siebie?

– Zastanawiałem się, czy nie zarekomendować im baru o nazwie Curly’s przy Rampart Boulevard, ale im dłużej rozmawialiśmy, w tym mniejszym stopniu wydawało się to odpowiednie dla nich miejsce.

– Rozumiem, że Puck i Einar lubią tam przesiadywać?

– Odniosłem wrażenie, że to zależy od rodzaju muzyki, którą puszczają w danym tygodniu.

– Niech zgadnę. Country and western?

– Broadwayowskie musicale – szepnęła cicho Trillium.

– A jakże – pokiwał głową Quight.

– Puck lubił wykonywać piosenki Ethel Merman – dodała.

– Obaj to robili. Wtaczali się o czwartej rano, śpiewając *There’s No Business Like Show Business*. Słysząc ich było z odległości dwóch przecznic, coraz głośniejsze i głośniejsze. Nikt nigdy się nie skarżył.

– Chodź, fundnę ci enchiladę – powiedział Doc, kiedy wrócili do samochodu.

Przez chwilę jechali w stronę spektakularnego pustynnego zachodu słońca, a potem skręcili w South Main. W El Sombrero trzeba było trochę poczekać – kolejka głodomorów wylewała się na zewnątrz słynnej na cały świat taquerii i ciągnęła wzdłuż ulicy. Doc minął ją, skręcił kilka razy w lewo i prawo i dotarł do ogromniastych neonów knajpy Tex-Mecca, do której, choć nie figurowała w przewodnikach, waliły tabuny zgłodniałych ćpunów i drobnych przestępców znad całej amerykańsko-meksykańskiej granicy.

I kogóż, jak nie agentów specjalnych Borderline’a i Flatweeda zobaczył po wejściu do środka i zrobieniu zaledwie dwóch kroków? Obaj napychali swoje anglosaskie gęby osławionymi Giant Burrito Special. Cóż, agenci FBI też chyba muszą gdzieś jeść. Doc przetrząsnął swoją filmową pamięć, by uprzytomnić sobie, czy inspektor Lewis Erskine kiedykolwiek coś jadł, ale nie przyszedł mu do głowy żaden taki przypadek. Zanim odziani w brązowe garnitury Stróże sprawiedliwości zdążyli go zauważyć, zaprowadził szybko Trillium do narożnego stolika i schował się za kartą dań. Nie chciał, by nawet tak smutna okoliczność, jak obecność federalnych, zepsuła mu apetyt.

U kelnerki zamówili zestaw enchiladas, tacos, burritos i tamales dla dwóch osób. Pozycja opatrzona była nazwą El Atómico i przypisem o zrzeczeniu się przez restaurację

odpowiedzialności prawnej.

– Znasz tych dwóch mężczyzn? – zapytała Trillium. – Oni chyba cię znają.

Doc nachylił się, by móc coś zobaczyć. Dwaj zmierzający teraz w stronę drzwi agencji łypali groźnie w jego stronę.

– To ci federalni, o których mówił Quight.

– Czy to ma coś wspólnego z Puckiem? Myślisz, że ma jakieś problemy z FBI?

– No dobrze, wiesz chyba, że był osobistym ochroniarzem Mickeya Wolfmanna? I że podejrzewa się, że Mickey padł ofiarą porwania. Więc może chcą po prostu zadać Puckowi kilka rutynowych pytań.

– On nie może znowu trafić do więzienia, Doc. To by go zabiło.

Po jej twarzy widać było, że usycha z tęsknoty. Doc wiedział już, że choćby był Mickiem Jaggerem, brał sześciocyfrowe honoraria za przełomy uśmiech i zgodził się nawet nie oglądać Lakersów, dla tej laski istnieje tylko Puck Beaverton. Nie po raz pierwszy zetknął się z problemem niedostępności dziewczyny ze swoich snów. Chodziło o to, by zachować się profesjonalnie, a może nawet z klasą i spróbować odzyskać spokój ducha.

– Powiedz mi, Trillium... jak się poznaliście, wy dwoje?

Słodka istota uznała, że Doc naprawdę chce to wiedzieć.

– Na UCLA, w Pawilonie Pauleya.

– Naprawdę? No sama powiedz, czy ci faceci nie byli niesamowici w zeszłym sezonie? Na pewno będzie ci brakowało Kareema i Luciusa...

Jak się okazało, nie miało to jednak nic wspólnego z koszykówką. W Pawilonie Pauleya grała również od czasu do czasu, w ramach międzykulturowych spotkań muzycznych, orkiestra Filharmonii Los Angeles z gościnnym udziałem takich artystów jak Frank Zappa i niekiedy prezentowano na początku jakiegoś zaproszonego w ostatniej chwili miejscowego wirtuoza instrumentów dętych. Któregoś popołudnia Trillium pojawiła się na próbie z angielskim rozkiem i sceptycznym podejściem do wykonywanego utworu, skomponowanego przez kogoś *Poematu symfonicznego na kapelę surfową i orkiestrę*, z udziałem Boardsów. Puck pracował jako ochroniarz zespołu. On i Trillium spotkali się za kulisami, w jednej z garderób, do której ludzie wpadali podczas przerw, żeby zapalić albo wciągnąć kokę. Pochylając się nad umywalką i patrząc w kieszonkowe lustro, poczuła, że ktoś za nią staje. Na tle kresek kokainy pojawiła się lekko zniekształcona twarz Pucka. Wpatrywał się w jej tyłek z czymś w rodzaju posępnego fatalizmu. Zanim Trillium zorientowała się, co jest grane, leżała na tylnym siedzeniu zaparkowanego w ślepej uliczce, ukradzionego bonnevillie'a rocznik 62, zapoznając się ze stylem preferowanym przez pensjonariuszy kalifornijskiego departamentu więziennictwa.

– Dziewczyny mówią, że nie lubią robić tego w ten sposób – wyjaśnił jej Puck, kiedy miała chwilę, żeby zaczerpnąć tchu – a potem zanim się obejrzysz, wracają i błagają. Ja osobiście już do tego przywykłem.

– To miały być przeprosiny?

– Nie sądzę.

Miał jednak rację co do błagania. Trillium miała ze sobą całe rulony drobnych na telefon, bo nigdy nie wiedziała, o jakiej dziwnej porze dnia najdzie ją tęsknota. Między zjazdami z autostrady, wiele mil od jego domu w West Hollywood, w dziale spożywczym Safewaya czy podczas wykonywania fugi na drewniane instrumenty dęte, doznawała nagle owej upokarzającej chcicy i myślała tylko o tym, żeby do niego zadzwonić. Nie zawsze odbierał. Raz czy dwa ogarnięta szaleństwem zaparkowała przed jego domem i czekała całymi godzinami, właściwie przez całą noc, aż wyjdzie, a wtedy, bojąc się jego gniewu, którym mógł w każdej chwili niebezpiecznie wybuchnąć, jechała za nim tam, gdzie akurat pracował. I czekała. I zasypiała. I była budzona przez policjantów, którzy mówili jej, żeby się wynosiła.

– Więc powiedziałam: „W porządku, Puck, nie będę robiła awantury, chcę tylko wiedzieć,

kim ona jest”, a on zaczął się śmiać i nie chciał mi powiedzieć. Ale w tym samym mniej więcej czasie dowiedziałam się o Einarze i któregoś dnia, kiedy wychodziłam z próby w Shrine Auditorium, nie mogąc przestać myśleć o pewnej szczególnej tonacji b-moll, Einar stał tam z tymi wszystkimi hawajskimi orchideami i najsłodszy uśmiechem, i dopiero po miesiącu przyznał, że zakradł się na bal debutantek w hotelu Ambassador i niczym kieszonkowiec zwijał bukietki prosto z sukni kobiet...

Wszystko to było kontynuacją długiej historii, której początku Doc nie pamiętał albo nie dane mu było usłyszeć.

– Nie wiem, dlaczego ci to opowiadam.

Doc też tego nie wiedział, żałował jednak, że nie otrzymuje skromnego odszkodowania za każdym razem, gdy ktoś otworzy się przed nim bardziej, niż powinien, a potem przyzna, że nie wie, dlaczego to robi. Sortilege, która lubiła wynajdywać nowe zastosowania dla zwrotu „po drugiej stronie”, uważała, że to forma łaski i że powinien ją po prostu zaakceptować, gdyż stracić ją można tak samo łatwo, jak zyskać.

Według Trillium Puck i Einar poznali się w więzieniu Folsom, w warsztacie produkującym tablice rejestracyjne. Seks natychmiast stał się problemem i chłopcy dali się wkrótce poznać z nieustannych i zaciekłych kłótni na stary jak świat temat: *quien es mas macho?* W całym bloku zakładano się (i przegrywano niezliczone kartony szlucgów) o to, jak długo przetrwa ten układ, który ku zaskoczeniu wszystkich okazał się dłuższy od obu ich wyroków. Pewnego pięknego dnia, jak śpiewają Chiffons, Puck i Einar zamieszkali w West Hollywood, na południe od Santa Monica Boulevard, na osiedlu, gdzie rosło tyle gatunków podzwrotnikowej roślinności, że nikt nie zdołał zapamiętać połowy ich nazw, a w rzucanym przez nie cieniu można było przez cały dzień leżeć przy basenie i nie stracić więziennej bladości...

– Kurczę, Trillium, co się dzieje z naszym żarciem, strasznie długo czekamy, żeby je przynieśli.

– Przecież już je zjedliśmy.

– Co takiego? Dostaliśmy już rachunek? Kto zapłacił?

– Nie pamiętam.

Udali się do baru Curly's. Kiedy tam dotarli, Doc postanowił nie poruszać się po Las Vegas samochodem częściej, niż to bezwzględnie konieczne. Wszyscy jeździli tutaj jak straceńcy, w każdej chwili spodziewając się wypadku. Doc potrafił to zrozumieć – podobnie było na wybrzeżu, gdzie żyło się w atmosferze niekwestionowanej hipisowskiej wiary, udając, że ufa się każdemu, i jednocześnie stale spodziewając się, że ktoś cię wystawi do wiatru – ale ani jedno, ani drugie nie musiało mu się specjalnie podobać.

Curly's było kiedyś przydrożnym saloonem i przypominało Docowi knajpę Knucklehead Jack's w Los Angeles, tyle że każdą wolną powierzchnię zajmowały tu automaty do gry. Zespół grał nowe wersje starych przebojów Ernesta Tubba, Jima Reevesa i Webba Pierce'a i Doc domyślił się, że tego wieczoru raczej nie spotka tu Pucka i Einara.

Trillium była cała rozgorączkowana. Zaczynał skłaniać się do przekonania, że otacza ją jakaś dziwna aura, że ma na czole *tatuaz* „Bierz Mnie, Kochanie”, który widzą tylko roślejsi i bardziej brutalni osobnicy. Chyba o tym wiedziała, choć jednocześnie nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Tak czy inaczej, zbliżał się już do nich potężny facet w czarnym kowbojskim kapeluszu, który skinąwszy tylko lekko głową Docowi, złapał Trillium za włosy oraz nagie udo, uniósł dość zgrabnie z barowego stołka i zaczął z nią wycinać hołubce w teksaskim two-stepie. Można by pomyśleć, że Trillium spróbuje przynajmniej wrzasnąć, lecz ona w ogóle nie protestowała.

– Zobaczę, może uda mi się czegoś dowiedzieć – zdążyła tylko szepnąć do Doca, odchodząc. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że widzi na jej ustach ślad uśmiechu.

– No jasne – mruknął, kiwając powoli głową do stojącej przed nim butelki z długą szyjką i zastanawiając się, jak poradziłby sobie w tej sytuacji John Garfield.

– Nie wolno ci zbyt surowo oceniać Osgooda – doradził mu głos, któremu czas, nawet jeśli nie był zbyt łaskawy, przydał w każdym razie nieco chropowatości. – Ten facet to urodzony łowca cipek. Stąd aż do Lake Mead nie ma babki, która by o tym nie wiedziała.

– Dzięki, miło to słyszeć. – Doc obejrzał się i zobaczył wymachującego pustą butelką po piwie filuternego starca w kapeluszu jeszcze większym niż ten Osgooda. – Jasna sprawa – mruknął, dając znak barmanowi, który obdarzony szóstym zmysłem, postawił już na kontuarze dwie kolejne butelki. – Tak naprawdę przyszedłem tu tylko po to – wyjaśnił – żeby spotkać się z facetem, który jest mi winien forszę. Ta babka myślała, że skoczę z nią na miasto. Ale trzeba przecież zapłacić czynsz i tak dalej.

– Cholera – mruknął dziadek, przedstawiając się jako Ev. – Pamiętam czasy, kiedy człowiek prędzej wysechłby na wiór, niż zwlekał ze spłatą długów. Przychodzi tu wielu niesolidnych dłużników, może nawet znam tego, o którego ci chodzi.

– Ktoś mówił, że często tu bywa. Puck Beaverton.

Niewesoły rehot trwał zdaniem Doca dłużej, niż powinien.

– Życzę ci powodzenia w pertraktacjach z gospodarzem, młody człowieku! Ten szurnięty Puck ma długi u wszystkich i nie słyszałem, żeby spłacił komukolwiek choć jednego centa.

– Gdzie pracuje? Może powinienem złożyć mu wizytę?

– Puck obrabia głównie automaty, on i jego partner, takie odniosłem wrażenie, choć to wcale nie znaczy, że nie jesteśmy najlepszymi kumplami. Ten mniejszy, Einar, ma superczułe dłonie, które zdarzają się naprawdę rzadko. Potrafi wyczuć przez wajchę, w którym momencie zaczyna się kręcić każdy z bębnow, potrafi sprawić, że wykonają odpowiednią liczbę obrotów i w linii wyplat pojawią się dokładnie te, co chce, symbole. Widziałem, jak to robi. Facet ma klasę.

– A Puck?

– Wcześniej czy później wewnętrzna ochrona przyczepia się do Einara, więc nie ma sensu, żeby sam próbował odebrać wygraną. Puck czeka w pobliżu, grając na jakimś automacie na miedziaki do momentu, aż Einar wygra na swoim. Wtedy Einar znika, a Puck przejmuje pałeczkę i zbiera kasę.

– Ale w takim razie muszą się szybko dostać i do Pucka.

– Racja. Dlatego obaj mają od dawna zakaz wstępu do kasyn w śródmieściu i przy Stripie. Więc jeśli szukasz Pucka, będziesz musiał sprawdzić kilka miejscowych lokali, na przykład te przy Boulder Highway. Przychodzi mi na myśl Nine of Diamonds.

Trillium wróciła z mętym spojrzeniem, kilkoma rozpiętymi guzikami i niewiadomego pochodzenia plamą na skąpej spódniczce. Osgood płaśał już na parkiecie z blondynką w lewisach i kowbojskim kapeluszu, a zespół grał *Wabash Cannonball* z psychodelicznymi wstawkami gitarowymi.

– Dobrze się bawisz, skarbie? – zapytał Doc najweselej, jak potrafił.

– Tak i nie – odparła zgaszonym głosem, który mimo wszystko uznał za erotyczny. – Fundniesz mi piwo?

Przez chwilę pili w milczeniu.

– No tak! I co ten cały Osgood miał ciekawego do powiedzenia? – zapytał w końcu Doc.

– Czuję się trochę głupio, Doc. Nie powinnam była w ogóle wspominać o Pucku.

– Założę się, że jest winien forszę także Osgoodowi.

– Tak, i teraz Osgood bardzo się zdenerwował. Nie jest taki niewrażliwy, na jakiego wygląda.

– Nie zwierzył się przypadkiem, gdzie można znaleźć Pucka?

– W North Las Vegas. Nie powiedział nic więcej. Nie sądzę, żeby znał adres, bo sam by się tam wybrał.

– I przeczytalibyśmy o tym w gazetach.

Kiedy zbliżali się do wyjścia, podszedł do nich Ev.

– Wychodzicie tak wcześnie? Koło północy zachodzi tu zwykle Merle i wykonuje parę kawałków, kiedy jest w mieście.

– Merle Haggard jest w mieście?

– Nie, ale nie ma powodu wychodzić.

Doc zamrugał kilka razy, kupił dziadkowi ramos gin fizz i jednak wyszedł.

Na parkingu zauważył dość długiego cadillaca, którego wgniecenia wydawały się znajome.

– Cześć, Doc. Wydawało mi się, że to ty.

– Czy to kolejny z dziwnych zbiegów okoliczności, Tito, czy naprawdę wpadam w totalną paranoję?

– Mówiłem ci, że wybieramy się do Vegas. Inez jest na przedstawieniu, a ja dorabiam trochę na boku. Powinieneś zobaczyć, jakie napiwki zostawiają niektórzy z tych facetów. Już teraz zarobiłem tu na wakacjach więcej niż przez cały rok w LA.

– I nie jesteś wcale... – Doc wykonał gest naśladujący rzucanie kośćmi. – ... pod urokiem Vegas czy coś w tym rodzaju?

– Jakim urokiem? Rozejrzyj się. Czy cokolwiek z tego jest realne? Jak można to brać serio?

– Jesteś, kurwa, nałogowym hazardzistą – odezwał się tubalny głos ze środka limuzyny. – Nie możesz traktować tego w żaden inny sposób.

– Mój szwagier Adolfo – oznajmił Tito, zastygając w bezruchu. – Nie mogę się go pozbyć. Zgarnia całą forszę, zanim zdąży jej dotknąć.

– Biorę do depozytu – wyjaśnił Adolfo, któremu, jak się okazało, Inez kazała jeździć limuzyną i pilnować, żeby Tito nie napytał sobie biedy.

– Mendowate Usługi Depozytowe – mruknął Tito.

Trillium, która sprawiała wrażenie nieco rozkojarzonej, postanowiła wrócić do motelu i się zdrzemnąć. Zabrała więc camaro, a Doc dołączył do Tita i Adolfa w limuzynie.

– Znacie lokal, który nazywa się Nine of Diamonds? Gdzieś przy Boulder Highway? – zapytał.

– Jasne – odparł Tito. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli tam z tobą wejdę, trochę się powłóczę, zajrzę do bufetu, obejrzę występ?

– Wygląda, jakbyś był trochę napalony, Tito.

– Tak, a podobno z tym zerwałeś – wtrącił Adolfo.

– Homeopatyczne dawki, panowie – zaprotestował Tito.

Według Bjornsena Wielkiej Stopy, który dzięki tego rodzaju ciekawostkom z Dzikiego Zachodu wygrał niejedną barowy zakład, dziewiątka karo była piątą kartą, którą dostał na rękę w swojej ostatniej partii pokera Dzikiego Billa Hickoka, mający poza tym czarne asy i ósemki. Na parkingu stało mnóstwo pick-upów z wysokimi stelażami, fordów rancho z resztkami siana na skrzyni, starych thunderbirdów i chevroletów nomadów z dawno poodrywanymi chromami, po których zostały tylko smugi rdzy i dziury po spawach. Nad wejściem, na podświetlonym afiszu w stylu Jetsonów, zapowiadano występ zespołu o nazwie Carmine i Cal-Zones.

Klienci w środku sprawiali wrażenie mniej lub bardziej miejscowych i gra nie była w związku z tym tak skażona przez charakterystyczne dla kasyn przy Stripie bezmyślne pragnienie „zabawy”. Gracze skłonni byli grać o pieniądze, przystępując do tego z nadzieją lub desperacją, nawaleni albo trzeźwi, kierując się zdobyczami nauki albo przesądami tak egzotycznymi, że trudno by je było w skrócie wyjaśnić, a właściciel, finansisci i windykatrzy długów siedzieli niewidoczni i milczący gdzieś w mroku, przytupując stopami w drogim obuwiu i zastanawiając się, komu wymierzyć karę, komu okazać pobłażliwość, a nad kim – bardzo rzadko – nawet się zlitować.

Carmine był długowłosym solistą z gitarą elektryczną Gibson Les Paul, na której pobrał może nawet kilka lekcji gry, ale której używał w zasadzie jako rekwizytu, udając co pewien

czas, że strzela długimi seriami z gryfa, podczas gdy pozostali członkowie Cal-Zones udawali normalnych rockmanów. Dwie panienki w czerwonych winylowych sukienkach, czarnych siatkowych rajstopach oraz lakierowanych perukach robiły za chórek, stawiając typowe dla białych kociaków krocзки. Kiedy Doc przecisnął się na parkiet, grupa wykonywała właśnie swój najnowszy przebój.

ZWYKŁA LAZANIA (semi-bossa nova)

*Czy to jakieś UFO?
(Nie, nie-nie!)
Może i tak... nie, już wiem! To
Zwykła Lazania [wstawka gitary rytmicznej]
Zwykła Lazania...
(Zwykła Lazania)
Ni stąd ni zowąd się pojawiła,
(Ni zowąd się pojawiła)
Nikt nie zna jej imienia, po prostu
„Lazania”...
Zwykła – „Lazania”, (Zwykła „La... ”)
Ou, uou, Lo...
Zon-yaaaah!
Kto zdoła cię kiedykolwiek pokonać.
Po prostu tam siedzisz
Powtarzając: „No, no!”
Uau! Wstydz się, Lazania!
Niech cię diabli!
Jak to się stało, że pro-sisz mnie,
(Pro-sisz mnie)
– Hej, To żadna zagadka, to po
Prostu La-zania... (ou,
Uo uou ouou)
Rzuciłaś na mnie urok,
LA-Z-A, N-I-A!*

Doc gawędził przez chwilę z dziewczynami rozmieniającymi gotówkę, barmanami, krupierami, kierownikami sal oraz prostytutkami z tej i późniejszych zmian.

– Wszyscy wiedzą, że Puck pracował dla Mickeya – poinformowała go w końcu młoda kobieta w aksamitnej minisukience koloru burgunda. – Bez obrazy, ale nikt go tu nie zakabluje, zwłaszcza komuś obcemu.

Zbliżył się do nich zatrudniony przez kasyno komik, w którego oczach błyskały złośliwe ogniki.

– Dobry wieczór, Zirconio, widzę, że znowu wyszłaś za kaucją. Kto to jest? Dobrze się pan bawi? „Co to za planeta?” – pyta pan. „Gdzie zostawiłem swoje UFO?”. Nie, żartuję, chłopie, jesteś w porządku. Te włosy... są niesamowite, zapiera mi dech. Spotkamy się później w garażu, możesz mi wypolerować samochód...

Żartowniś oddalił się razem z Zirconią, o mało nie zderzając się z Titem, który pojawił się w stanie lekkiego podekscytowania.

– Doc! Doc! Musisz popatrzeć, jak ten facet pracuje. To prawdziwy geniusz. Chodź, zobacz. – Tito powiodł go krętą trasą w zakamarki kasyna, których większość graczy unikała w przekonaniu, że automaty bliżej ulicy wypłacają większe wygrane. – Tutaj – powiedział w końcu, kiedy skręcili w odległy korytarz.

Po tym, w jakim stanie mentalnym był Tito, Doc spodziewał się co najmniej, że automat będzie skąpany w psychodelicznym blasku, lecz zobaczył wyłącznie kolejną staroświecką maszynę z pochodzącym z lat pięćdziesiątych wyblakłym porysowanym obrazkiem uśmiechniętej kowbojki o urodzie zgodnej z ówczesnymi kanonami – za duże cycki, krótko obcięte ondulowane włosy, jaskrawa szminka na ustach. We wrzutni z pożółkłego plastiku zniknął długi rząddek półdolarówek, których ząbkowany rant działał niczym koło zębate, wskutek czego każdy z dziesiątków lśniących wizerunków Johna F. Kennedyego obracał się powoli, tocząc po pochyłości i wpadając do bezdusznej gardzieli Las Vegas. Gracz odwrócony był tyłem do Doca, który w pierwszej chwili dostrzegł jedynie wyczuloną uwagę, z jaką tamten pociąga za wajchę, kolejny klient, któremu nie tyle zależało na zabawie, ile na spłaceniu długu w spożywczym za rogiem. Dopiero przyglądając się sąsiednim maszynom, dostrzegł swastykę na głowie Pucka Beavertona, który udawał, że gra na automacie na miedziaki. W takim razie obsługującym pierwszą maszynę „geniuszem” był jego aktualny partner Einar.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Doc, przestawiwszy się na tryb „czy mogę zamienić z tobą słówko, dobry człowieku”, miał właśnie zamiar zrobić krok do przodu, kiedy rozpętało się kilka różnych rodzajów piekieł. Przy dźwiękach odegranej na tubach wojskowej fanfary, której towarzyszyły gwizd lokomotywy, syreny straży pożarnej i nagrane na stadionie sportowym wiwaty kibiców, maszyna zaczęła wypluwać z siebie parabolicznym wartkim strumieniem sporą ilość półdolarówek z JFK, tworzących coraz większą stertę na dywanie. Einar skinął głową, cofnął się i – czy Doc zamrugnął, czy coś w tym rodzaju? – po prostu zniknął. Puck szarpnął po raz ostami wajchę swojego automatu na miedziaki, wstał i kiedy ruszył, żeby przyznać się do wygranej, prawo przypadku, z czystej złośliwości, poinstruowało nagle jego automat, by również trafił w dziesiątkę, z jeszcze większym hałasem niż pierwszy. Puck zastygł w bezruchu między dwoma wygrywającymi automatami, a tymczasem w jego stronę podążała już delegacja personelu kasyna, by ustalić i potwierdzić tożsamość szczęśliwych zwycięzców, z których jeden zdążył zniknąć. W tym momencie Puck, który najwyraźniej alergicznie reagował na wszelkie dylematy, rzucił się z krzykiem w kierunku najbliższego wyjścia.

Z wyjątkiem Doca i Tita w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby w przekonujący sposób przyznać się do wygranych, w związku z czym w niespełna jedną dziesiątą sekundy uzgodnili, że Tito powinien zgarnąć forszę z automatu na półdolarówki, a Doc, który nie był chciwy, wystąpić o stos, w którym było już teraz kilkadziesiąt litrów miedziaków.

Adolfo zaopiekował się wygraną Tita, a właściwie Einara, i wrócili wszyscy do Ghostflower Court, gdzie Doc zastał Trillium śpiącą na jednym z wodnych łóżek. Położył się na drugim, które musiał najpierw pościelić.

Kiedy otworzył oczy, było chyba wczesne popołudnie i Trillium nie było w pokoju. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że zniknął również camaro. W podmuchach pustynnego wiatru przespacerował się do przydrożnego sklepiku i kupił szlugi oraz kilka kubków kawy i ciastka czekoladowe na śniadanie. Po powrocie włączył telewizor i aż do lokalnych wiadomości oglądał powtórki *Monkees*. Tego dnia gościem był odwiedzający Amerykę marksistowski ekonomista z jednego z krajów Układu Warszawskiego, który znajdował się w stanie załamania nerwowego.

„Las Vegas – próbował wyjaśnić – leży pośrodku pustyni, nie produkuje żadnych konkretnych dóbr, pieniądze napływają, pieniądze wypływają, niczego się nie wytwarza. Zgodnie z teorią to miejsce nie powinno w ogóle istnieć, a tym bardziej prosperować tak, jak prosperuje. Widzę, że całe moje życie oparte jest na iluzorycznych przesłankach. Straciłem poczucie rzeczywistości. Proszę, czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest rzeczywistość?”

Prowadzący rozmowę zrobił niepewną minę i próbował zmienić temat na Elvisa Presleya.

Trillium wróciła, kiedy zaczęło się ściemniać.

– Nie złość się, proszę.

– Nie złościłem się, odkąd ten, jak mu tam, nie obronił tego wrednego gola. – Doc przeskakał pamięć. – Nazwisko wypadło mi w tej chwili z głowy... Nieważne. Gdzie byłeś?

Wyraz jej twarzy i sposób, w jaki weszła – nieśmiałym krokiem punka idącego po spacerniaku – sprawiły, że zaczął się domyślać.

– Wiem, że powinnam ci powiedzieć, ale chciałam się z nim najpierw zobaczyć. Przez cały czas miałam jego numer telefonu... przepraszam... dzwoniłam tak długo, aż w końcu odebrał.

Tuż przed świtem pojawiła się pod adresem, który dał jej Puck, w mieszkanku nad garażem w North Las Vegas, obok pustej działki zarośniętej suchymi krzewami. Chłopcy popijali piwo i jak zwykle dyskutowali, kto jest lepszy w rankingu męskości i kto zaśpiewa pierwszy, a kto drugi głos w *Wunderbar* z musicalu *Kiss Me, Kate*.

Trillium albo zacierały się w pamięci szczegóły, albo nie miała ochoty ich wspominać, ale Doc domyślił się, że ich związek został odnowiony, kiedy w którymś momencie Einar wyszedł specjalnie z mieszkania, żeby odwiedzić kilka piwnych barów.

– Nie wspomniałaś przypadkiem Puckowi, że chcę z nim zamienić dwa słowa?

– Właściwie spędziłam sporo czasu, żeby przekonać go, że nie jesteś płatnym zabójcą.

– Możemy się spotkać w dowolnym miejscu, które uzna za bezpieczne.

– Zaproponował kasyno w North Las Vegas. Nazywa się Klub Kismet. On i Einar nie lubią się pokazywać przed północą.

– Będziesz tam czy...

– Właściwie byłoby łatwiej, gdybym mogła zabrać samochód. Chciałabym załatwić parę spraw.

Doc znalazł skręta, zapalił go i zadzwonił do Tita, który właśnie wybierał się do pracy.

– Masz czas, żeby zawieźć mnie dziś w nocy do North Vegas?

– *No prob-limo*, jak mówimy w naszym małym światku... Inez i tak lubi zostać do ostatniego występu. Mogłaby bez końca oglądać tego Jonathana Frida.

– Co takiego? – Doc zamrugał. – Mówisz o facecie, który grał Bamabasa? Tego wampira z *Dark Shadows*? – Występuje tu, przy Stripie. Uwielbiają go wszyscy z branży: Frank, Dean, Sammy... Co dzień na widowni jest przynajmniej jeden z nich.

– Nie tylko Inez – wtrącił z drugiego aparatu Adolfo. – Twoje dzieciaki noszą drugie śniadania w pudełkach z buźką tego faceta.

– Jezu. Jakiego rodzaju rzeczy śpiewa? – zainteresował się Doc.

– Ma słabość do Dietza i Schwartza. Na koniec zawsze wykonuje *Haunted Heart*.

– Śpiewa również kawałki Elvisa – dodał Adolfo. – Na przykład *Viva Las Vegas*.

– Podwiozłem go kiedyś. Daje dobre napiwki.

Trillium zaprosiła Doca na kolację do jednego z kasyn przy Stripie – tak sobie wyobrażała dyplomację – najwyraźniej jednak nie miała ochoty dyskutować z nim o czymkolwiek, a już na pewno nie o Pucku.

– Wyglądasz niesamowicie – powiedział jej mimo to. Uśmiechnęła się lekko i przez półtorej minuty wymachiwała w milczeniu wielką krawatką, udając, że dyryguje orkiestrą kameralną.

Doc przystawił dłoń do ucha.

– Czy to, co słyszę... to weselne dzwony? – zapytał.

– Zaraz wracam – odparła, wstając i udając się w stronę damskiej toalety, w której, jak pamiętał Doc, było przynajmniej tyle samo automatów telefonicznych, co kabin. Wróciła po godzinie. Doc w zasadzie jadł. – Zauważyłeś – powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności – że w automatach telefonicznych jest coś erotycznego?

– Podrzuc mnie do hotelu, może spotkamy się później w North Vegas. – A może nie.

Według Tita ludzie, którzy zbudowali tuż po drugiej wojnie kasyno Kismet, zakładali, że północne Las Vegas ma przed sobą przyszłość. Zamiast tego wszystko przeniosło się na południe, Las Vegas Boulevard South przeszedł do legendy jako Strip, a lokale takie jak Kismet zeszyły na psy.

Jadąc North Las Vegas Boulevard, coraz dalej od bezustannej burzy światła, można było w końcu trafić na enklawy mroku podobne do podmuchów nocnego wiatru na pustyni. Po drodze widać było zaparkowane przyczepy, składy drewna i sklepy z klimatyzacją. Płonąca na niebie nad Las Vegas luna należała tu, jak powiedzieliby Flinstonowie, do innej „karty dziejów”. Po jakimś czasie zobaczyli przy drodze światła budynku, były one jednak znacznie bardziej przyćmione niż cokolwiek na południu.

– To jakaś rudera, człowieku – stwierdził Tito, zajeżdżając pod sfatygowany portyk przy wejściu.

W półmroku nie było nikogo, kto by ich powitał lub choćby zauważył. Kiedyś w całym budynku musiały się palić tysiące świateł, jarzeniówek, żarówek i neonów, teraz jednak włączone były tylko nieliczne, obecnych właścicieli nie stać było bowiem na płacenie rachunków za prąd. Kilku oświetleniowców amatorów zostało już, wstyd powiedzieć, porażonych przy próbach nielegalnego podłączenia się do miejskich linii.

– Wracamy za dwie godziny – powiedział Tito. – Postaraj się za dużo nie przerznąć, dobrze? Zabrałeś ze sobą dość, żeby zagrać? Adolfo, daj mu czarny żeton.

– To sto dolarów. Nie mogę...

– Proszę – upierał się Tito. – Zaznam dreszczyku emocji z drugiej ręki.

Adolfo dał Docowi żeton.

– Dają to tutaj jako napiwek. – Wzruszył ramionami. – Nie wiemy nawet, kurwa, ile ich mamy. Istne szaleństwo.

Doc wysiadł i przeszedł pod bizantyjskim łukiem do zapuszczonej przestronnej sali, nad którą górował zdezelowany żyrandol, rozpościerający się nad stołami, kasami i przejściami, rozpadający się, upiorny, olbrzymi i, jeśli miał jakieś uczucia, najprawdopodobniej rozżalony – jego żarówki już dawno się przepaliły i nie zostały wymienione, kryształowe łożki spadały niespodziewanie na ronda kowbojskich kapeluszy, do popijanych przez ludzi drinków i na wirujące koła ruletek, gdzie podskakiwały z twardym brzękiem, przeżywając własne dramaty przegranej i wygranej. Wszystko było tutaj w taki czy inny sposób przekrzywione. Osadzone na starych łożyskach ruletki kręciły się nieodpowiedzialnie raz szybciej, raz wolniej. Klasyczne trzybębnowe automaty, nastawione dawno temu na wypłatę procentu nieznanego na południe od Bonanza Road, a być może na całym świecie, niczym małomiasteczkowi prywaciarze poszły własną drogą, zmieniając się w szcudrobliwych poczciwców bądź podłych skąpców. Wykładzinę dywanową w kolorze głębokiej królewskiej czerwieni odmienił milion rzuconych na podłogę petów, z których każdy stopił syntetyczne włókno w małą plamkę plastiku. Ogólny efekt przypominał to, co robi wiatr z powierzchnią jeziora. Podłoga głównej sali znajdowała się dziesięć stóp poniżej poziomu pustyni, dzięki czemu panujący w rozległych nieokreślonych wnętrzach chłód nie był wyłącznie efektem klimatyzacji, którą tak czy owak ustawiano na minimalnym poziomie, żeby oszczędzać

energię.

W miękkim przyćmionym świetle po sali snuli się, jakby starali się nie zasnąć, sprzedawcy opon, grillowi kucharze, stolarze budowlani, lekarze okuliści i starzy kowboje, którzy trafili w szybsze i bardziej tłoczne czasy i opiekowali się teraz swoimi fordami F-100 i chevroletami Apache, a także krupierzy, dziewczyny wymieniające pieniądze i inni pracownicy bardziej wykwintnych kasyn, gdzie nie wolno im było grać. Drinki nie były bezpłatne, ale w ramach autentycznej sąsiedzkiej uprzejmości dość tanie.

Doc wypił grejpfrutową margaritę, po czym włączywszy mentalny wyższy bieg, zaczął wałęsać się po olbrzymim kasynie, wypatrując Pucka i Einara. W którymś momencie podeszła do niego atrakcyjna panna w białych plastikowych botkach i kolorowej sukience ze sztucznego jedwabiu i przedstawiła się jako Lark.

– Nie chcę być wścibska i wtrącać się w nie swoje sprawy, ale widzę, że pan nie gra, kręci się tylko po kasynie, co oznacza, że jest pan jakimś głębokim facetem, tajemniczym mistrzem intrygi albo kolejnym szukającym okazji cynicznym mądrałą.

– Hej, może jestem z mafii?

– Nieodpowiednie buty. Na litość boską, nie bierze mnie pan chyba za idiotkę.

Obstawiałabym Los Angeles. Jak każdy przybysz z LA marzy pan pewnie, żeby postawić coś na Mickeya.

– Postawić na eee...?

Lark wyjaśniła, że Kismet oferuje rodzaj sportowych zakładów dotyczących najważniejszych wydarzeń dnia, w rodzaju niedawnego tajemniczego zaginięcia budowlanego magnata Mickeya Wolfmanna.

– Mickey cieszy się pewną popularnością w tym mieście, więc przez pewien czas można było obstawiać, czy jest żywy, czy martwy albo, jak lubimy to określać, czy spasował, czy gra dalej. Stawki były wyrównane.

Doc wzruszył ramionami.

– Czytasz we mnie jak w „Herald-Examinerze”, Lark. W życiu prawdziwego gracza nadchodzi po prostu pora, kiedy przestaje mu wystarczać sport akademicki.

– Chodź. – Dała mu znak głową. – Kiedy przyjdiesz tam ze mną, dostanę prowizję.

Dział zakładów sportowych i bukmacherskich Kismetu miał własny koktajlbar z meblami z połyskującej metalicznie purpurowej formiki, która sprawiła, że Doc poczuł się jak w domu. Znaleźli stolik i zamówili mrożone mai tai.

Doc znał tonację i tessiturę każdej smutnej piosenki w tej profesji, lecz mimo to lubił rzucić okiem na partyturę. Lark dorastała podobno w La Vergne w Tennessee, niedaleko Nashville. Poza tym że miało takie same inicjały, La Vergne leżało na tej samej szerokości geograficznej co Las Vegas.

– To znaczy właściwie na tej samej szerokości co Henderson, ale tam właśnie mieszkam teraz z moim chłopakiem. Jest profesorem na Uniwersytecie Nevady w Las Vegas. Mówi, że zmieniając miejsce zamieszkania, Amerykanie trzymają się tej samej szerokości geograficznej. Więc chyba było mi pisane przemieszczanie się na zachód. Widząc tamę Hoovera, po raz pierwszy poczułam się naprawdę w domu.

– Próbowalaś kiedyś na czymś brzdąkać albo śpiewać, Lark?

– Chcesz zapytać, dlaczego mieszkając tak blisko Nashville, nie spróbowałam sił w muzyce? Sam tego spróbuj, skarbie. Odpadłyby ci nogi ze zmęczenia, gdybyś stał w tej kolejce – odparła, jednak Doc spostrzegł, że ucieka wzrokiem w bok.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o tripleę na trzy zabójstwa – odezwał się dżentelmen podobny do bankiera ze starego filmu, ubrany w szyty na miarę garnitur z rozpiętym przy każdym rękawie guzikiem, żeby można to było poznać. Lark przedstawiła go jako Fabiana Fazza.

– Pani mówi, że mogę się założyć, czy Mickey nadal żyje.

– Owszem, i jeżeli pańskie zainteresowania idą w bardziej egzotycznym kierunku – odparł Fabian – mogę zasugerować zakład a la Aimee Semple McPherson, w którym obstawiamy możliwość, że to Mickey zaaranżował własne porwanie.

– Jak ktokolwiek mógłby udowodnić coś takiego?

Fabian wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że nie będzie listu z żądaniem okupu i Mickey odnajdzie się żywy, twierdząc, że doznał amnezji? I że szef policji Ed Davis nie zorganizuje konferencji prasowej? Jeśli Mickey sam kazał się porwać, zwrot stawki. Jeżeli nie, wypłata w wysokości stu do jednego. Albo więcej, w zależności od tego, ile zer było w żądaniu okupu, jeżeli takowe zostanie ujawnione. Możemy to wszystko sporządzić na piśmie i jeśli o czymś zapomnimy, wypłacamy pieniądze z powrotem i rozstajemy się w zgodzie.

No, no, powiedział sobie w duchu Doc, no, no. Sprytne pieniądze – w tym momencie wyobraził sobie studolarowy banknot w rogowych okularach, czytający jakąś książkę o statystyce – z sobie tylko znanych powodów, którym powinien się przyjrzeć, przewidywały, że Mickey zaaranżuje spektakularny powrót z wygnania, na które sam siebie skazał. Dla tych mądrali było to więcej niż pewne. Ale niech spadają na drzewo. Doc wyłowił z kieszeni czarny żeton Tita.

– Proszę bardzo, panie Fazzo. Podoba mi się taka zwariowana hipoteza.

W swojej branży Doc nauczył się lekceważyć pogardliwe spojrzenia, lecz to, którym zmierzył go Fabian, było niemal bolesne.

– Pójdę to spisać, zaraz wracam – oznajmił pan Fazzo i oddalił się, kręcąc głową.

– Widocznie wiesz lepiej – mruknęła Lark, bawiąc się parasolką przy swoim drinku.

– Och, jestem po prostu jednym z tych naiwnych hipisów, Lark, niczego nie traktuję cynicznie, nawet motywów dewelopera z Los Angeles...

Fabian wkrótce wrócił z zupełnie nowym nastawieniem.

– Czy mógłby pan wstąpić na chwilę do mojego biura? Chodzi o kilka szczegółów.

Doc poruszył dyskretnie stopami. Mały smith & wesson nadal tkwił w kaburze na kostce.

– Do zobaczenia, Lark.

– Uważaj na siebie, kochanie.

Wbrew obawom Doca gabinet Fabiana Fazza nie okazał się wcale taki posępny. Były tam wiszące na ścianach rysunki przedszkolaków, drzewko avocado, które Fabian zasadził w 1959 roku w wielkiej puszcze po fasoli i od tego czasu pilnie pielęgnował, a także długa fototapeta przedstawiająca Fabiana w towarzystwie całej Rat Pack oraz innych osobników, których Doc przypominał sobie mgliście z oglądanych w telewizji nocnych filmów. Frank Sinatra próbował żartem wcisnąć wielkie kubańskie cygaro w usta Fabiana, który zbytnio się nie opierał. Sammy Davis Jr zaśmiewał się z czegoś, co powiedziała osoba niemieszcząca się w kadrze. Doc mógłby przysiąc, że tym, co zwiślało z ust Deana Martina, który trzymał poza tym w ręku butelkę Dom Perignon, był żarzący się, pośpiesznie zwinięty skręt.

Fabian położył na biurku studolarowy żeton Doca.

– Bez obrazy, ale wygląda mi pan na łapsa. Z zawodowej uprzejmości proponuję, żeby pan przemyślał swój zakład dotyczący Mickeya Wolfmanna. Uznałem poza tym, że będzie pan tu miał więcej prywatności, ponieważ w tym momencie do budynku weszło FBI.

– A co to ma ze mną wspólnego? Wpadłem do miasta w związku z pewną szybką sprawą rozwodową, nie interesują mnie nieprawidłowości w udzielaniu licencji i w aktach własności kasyn, żadna z tych rzeczy, które Marty Robbins nazwałaby „nikczemnymi złymi uczynkami”

Fabian wzruszył z przesadą ramionami.

– O to właśnie chodzi chyba federalnym w Las Vegas, o odebranie wielkich kasyn mafii.

To trwa, odkąd Howard Hughes kupił Desert Inn. Ale ja jestem tu tylko menedżerem średniego szczebla, nikt mi nic nie mówi.

– Mickey Wolfmann... on też niegdyś sporo wydawał w tym miejscu, prawda? – zmienił

celowo temat Doc. – Słyszałem gdzieś, że tu poznał swoją przyszłą żonę, kiedy pracowała jako tancerka rewiiowa.

– Mickey romansował w młodości z wieloma tancerkami, kochał to miasto, stare zapuszczone Vegas z dawnych lat, zbudował dom przy Red Rock. No i miał marzenie, żeby któregoś dnia zbudować z niczego miasto na pustyni. – Fabian zdjął okulary do czytania i zmierzył Doca uważnym spojrzeniem. – Mówi to coś panu?

– Mickey też chciał kupić kasyno?

– Ludzie z Departamentu Sprawiedliwości byliby tym zachwyceni.

– A Kismet było na liście?

– Widział pan, jak wygląda. Marzą o tym, żeby wszedł tu ktoś spoza mafii i sfinansował renowację. Stale przynoszą nowe projekty, wszystko na najwyższym poziomie. Może pan zapomnieć o wszystkich starych trzybębnowych automatach. Wuj Sam chce mieć teraz wyłącznie ekrany wideo. Za każdym razem, kiedy pan gra, widzi pan mały animowany obrazek obracających się bębnow i coś pojawia się w linii wypłaty. Ale to tylko elektronika. Kontrolowana w dodatku przez kogoś innego. Kombinatorzy z poprzedniej epoki nie mają tu czego szukać.

– Wydaje się pan nieco rozgoryczony, panie Fazzo, jeśli pozwoli pan zauważyć.

– Nie pozwolę, ale ostatnio wkurza mnie praktycznie wszystko. Kiedy chcę się dowiedzieć, co się dzieje, wszyscy nabierają wody w usta. Niech pan sam powie. Wiem tylko, że wszystko skończyło się mniej więcej koło sześćdziesiątego piątego roku i nigdy nie będzie jak dawniej. Pamięta pan półdolarówkę? Kiedyś miała dziewięćdziesiąt procent srebra. W sześćdziesiątym piątym zmniejszyli to do czterdziestu procent, a teraz nie ma go w ogóle. Jest miedź, nikiel, wkrótce pewnie folia aluminiowa. Rozumie pan, co chcę powiedzieć? Wygląda jak półdolarówka, ale tak naprawdę tylko ją udaje. Tak samo jak te automaty wideo. Coś takiego planują dla całego miasta: żeby zaczęło imitować samo siebie, jak w Disneylandzie. Zdrowa rodzinna rozrywka, dzieciaki w kasynach. Gry karciane z limitem stawki wynoszącym dziesięć centów, Pat Boone na afiszu, nienależący do związku aktorzy grający śmiesznych mafiosów, jeżdżący śmiesznymi starymi samochodami, udający, że się wzajemnie wykańczają. Blam, błam, ha, ha, ha. Pierdolony Las Vegasland.

– Więc być może doceni pan walor staroświeckiego zakładu o Mickeya?

Fabian uśmiechnął się cierpko.

– Pobędzie pan tu dłużej, to pan zrozumie. Niech pan się zastanowi: a może Mickey wcale nie zaginał, tak jak myślimy?

– W takim razie to będzie wpłata na wasz fundusz renowacyjny. Może pan nazwać moim imieniem but krupiera, umieścić z boku plakietkę.

Fabian czekał chyba, że Doc powie coś jeszcze, ale w końcu uniósł dłonie i poprowadził go korytarzem, skręcając po drodze kilka razy.

– Stąd powinien pan trafić tam, dokąd się pan wybiera.

Przez mgnienie oka Doc przypomniał sobie zawdzięczaną Vehiemu i Sortilege wizję, w której próbował odnaleźć drogę w labiryncie tonącym w oceanie. Tutaj wszędzie otaczała go sucha pustynia i porysowana dykta, lecz miał to samo wrażenie, że woda wzbiera i musi za wszelką cenę opanować panikę. Usłyszał dobiegającą gdzieś z przodu muzykę, nie gładko zaaranżowaną w wykonaniu dyżurnego big-bandu, lecz przypominającą raczej luźne wprawki muzyków grających dla własnej przyjemności. W końcu trafił do wypełnionej dymem z papierosów i marihuany salki, w której mógł się kiedyś mieścić intymny mały klub. W niewielkim kręgu bursztynowego światła, którego kilka wyzebranych watów padało na pedałową stalową gitarę (reszta zespołu grała na instrumentach akustycznych), zobaczył Lark, żywą jak iskra, choć dopiero co zesza ze spędzonej na stojąco zmiany, śpiewającą piosenkę country, która brzmiała mniej więcej tak:

*Pełnia księżycyca w Pisces,
Przed tobą niebezpieczne sny,
Czy jeździsz po mieście,
Czy leżysz w domu w łóżku,
Miej w zapasie zimny sześciopak,
Popraw na głowie kapelusz,
Pełnia księżycyca w Pisces,
Zaczyna się sobotni wieczór...
Mój były najlepszy kumpel
Włożył buty Frankensteina,
Jest moja dziewczyna Ella,
Ma wilczą chandrę,
Kiedy wchodzi na wysokie C,
Jest gotowa ugryźć, (Uważaj!)
Pełnia księżycyca w Pisces
Kolejny sobotni wieczór.
Wampiry z rodzinnego
Miasteczka błyskają kłami, to może
Rzucić ci się na mózg – i co z tego,
Jeśli nawet ci trochę odbiło,
Nieważne, tak naprawdę nie jesteś stuknięty...
To tylko odjazd z miejscowymi chłopakami,
Nigdy nie trwa zbyt długo,
Minuty szczęścia mijają,
Zanim się spostrzeżesz, będzie świtać...
Zapomnij o kanałiach i kryzysach,
Zapal to neonowe światło...
Pełnia księżycyca w Pisces,
Do diabła,
Jest sobotni wieczór.*

Nie mogła go zobaczyć tam, gdzie stał, ale Doc i tak wiwatował, klaskał i gwizdał razem z innymi, a potem znowu zaczął szukać wyjścia z pogrążonego w półmroku kasyna. Przyszło mu do głowy, że Fabian Fazzo mógł go specjalnie skierować gdzieś indziej, i w tym samym momencie skręcił trochę za szybko w boczny korytarz i natknął się na wielki kłopot w brązowych butach.

– Niech to szlag.

Tak, to znowu byli agenci specjalni Borderline i Flatweed, z plutonem innych facetów w garniturach, eskortujący osobę, którą Doc rozpoznał zbyt późno – pewnie dlatego, że nie chciał uwierzyć własnym oczom. I dlatego, że nikt nie powinien w ogóle tego widzieć. Przed oczami przemknął mu Mickey w białym garniturze, w pozie podobnej do tej, którą przybrał na portrecie w swoim domu na wzgórzach LA – z miną wizjonera, sunący niepowstrzymanie z prawej do lewej, dostojny i wyciszony, jakby podróżował między światami albo zmierzał do kuloodpornego samochodu, przez którego szyby nikt niczego nie zobaczy. Trudno powiedzieć, czy go tu przetrzymywali, czy tylko prowadzili tym, co agenci nieruchomości lubią nazywać dyskretnym przejściem.

Doc cofnął się w cień, ale nie zdążył tego zrobić odpowiednio szybko. Agent Flatweed dostrzegł go i przystanął.

– Mam tu do załatwienia drobną sprawę, idźcie dalej. Zaraz do was dołączę.

Reszta oddziału oddaliła się korytarzem, a federalny podszedł do Doca.

– Po pierwsze, w tej meksykańskiej knajpie przy West Bonneville to mógł być przypadek – zauważył uprzejmie, udając, że liczy na palcach. – Do Las Vegas przyjeżdżają w końcu najróżniejsi ludzie. Po drugie, pojawiaasz się w tym konkretnym kasynie i człowiek zaczyna się zastanawiać. A po trzecie, w tej akurat części Kismetu, o której nie wie nawet większość miejscowych. To się nie mieści w rozkładzie Gaussa i z pewnością zasługuje na bliższe spojrzenie.

– Jak bliskie? Już teraz włazi mi pan na odcisk.

– Moim zdaniem to pan znalazł się zbyt blisko. – Agent wskazał głową Mickeya, który zdążył już niemal zniknąć.

– To był Elvis, prawda?

– Utrudnia nam pan sytuację, panie Sportello. Ta ciekawość dotycząca Michaela Wolfmanna jest zdecydowanie niestosowna.

– Mickeya? Nie zajmuję się już tą sprawą, człowieku. Prawdę mówiąc, nigdy z tego nic nie miałem, nikt mi nie płaci.

– A mimo to jeździ pan za nim aż do Las Vegas.

– Jestem tu w związku z czymś zupełnie innym. Przypadkiem wpadłem do Kismetu, to wszystko.

Agent zmierzył go długim spojrzeniem.

– W takim razie nie pogńiewa się pan, jeśli coś mu powiem. To wszystko przez was, hipisów. Doprowadzacie ludzi do obłądu. Zakładaliśmy zawsze, że sumienie Michaela nigdy nie przysporzy nam problemów. W końcu przez wszystkie te lata ani razu nie zdradził się, że je ma. I nagle facet postanawia „zmienić swoje życie” i oddać miliony różnym degeneratom: Murzynom, długowłosym, włóczęgom. Wie pan, co powiedział? Mamy to na taśmie. „Czuję, jakbym się obudził i śniła mi się zbrodnia, za którą nigdy nie odpokutuję, uczynki, których nigdy już nie cofnę. Nie mogę uwierzyć, że przez całe życie kazałem ludziom płacić za dach nad głową, skoro należą im się za darmo. To takie oczywiste”.

– Nauczył się pan tego na pamięć?

– Kolejna korzyść z trybu życia, w którym nie ma miejsca na marihuanę. Powinien pan tego spróbować.

– Czego mianowicie?

Podszedł do nich agent Borderline z dociekliwością malującą się na szerokiej czerwonej twarzy.

– Ach, Sportello, znowu się spotykamy i jak zwykle jest mi bardzo miło.

– Widzę, że jesteście bardzo zajęci, więc żeby was nie zatrzymywać – powiedział Doc, naśladowując głos Shaggy’ego z porannej sobotniej audycji Caseya Kasema – chyba się, kurwa, zwinę. – I natychmiast wprowadził swą zapowiedź w czyn, chociaż nie wiedział dobrze, dokąd zmierza. Co mogli mu zrobić? Zacząć strzelać? Okazuje się, że tak...

W końcu, prawie bez tchu, zobaczył dwie toalety z tabliczkami „GEORGE” i „GEORGETTE” i zakładając, że FBI nie naruszy pewnych tabu, wskoczył do damskiej, gdzie przed jednym z luster zobaczył poprawiającą makijaż Lark.

– Cholera! Kolejny z tych porąbanych seksualnie hipisów!

– Zaczekam tylko, aż federalni dobiorą się do skóry komuś innemu, kochanie. Swoją drogą, widziałem twój numer. Dolly Parton ma poważny powód do niepokoju.

– W zeszłym tygodniu byli tu ludzie Roya Acuffa i wysłuchali całego występu, więc trzymaj za mnie kciuki.

– Normalnie zaproponowałbym, żebyśmy skoczyli na piwo, ale...

Gdzieś blisko rozległy się przekleństwa federalnych.

Lark się skrzywiła.

– Moim zdaniem są źle wychowani. Pokażę ci tylne wyjście i lepiej stąd zmiataj.

Czując zapach świeżo ciętych desek, farby i gipsu, Doc dotarł do drzwi

przeciwpożarowych i otworzył je na oścież. Puszczony na cały regulator głos z taśmy radził mu, żeby się nie ruszał i poczekał na przybycie upoważnionych fachowców, którzy rozłożą mu tyłek na czynniki pierwsze. Kiedy wyszedł na słabo oświetloną rampę załadunkową z popękanego ze starości betonu, w jego stronę biegły już ciemne postacie.

Nagle rozległ się warkot silnika. Doc obejrzał się przez ramię i zobaczył, że zza rogu wyjeżdża, tracąc przy tym sporą warstwę bieżnika, limuzyna Tita z wystającą przez otwarty szyberdach górną połową Adolfa wymachującego pistoletem maszynowym. Ścigający Doca mężczyźni stanęli i zaczęli się naradzać.

Limuzyna zahamowała tuż przy nim.

– Wskakuj! – wrzasnął Tito. Adolfo dał nura w głąb, żeby Doc mógł wdrapać się na dach i wślizgnąć do środka, następnie zaś znów zajął swoją pozycję. Tito natychmiast ruszył do przodu, zostawiając za sobą długie na całą przecznicę wonne ślady opon, których pisk słychać było w połowie drogi do tamy Hoovera. – Dokąd, brachu? – zapytał.

– Nie uwierzycie, kogo widziałem – powiedział Doc.

– Adolfo uważa, że widział Deana Martina.

Adolfo usiadł w samochodzie.

– Niezupełnie – sprostował.

– No więc to był Dean Martin czy nie był Dean Martin? – chciał wiedzieć Tito.

– Widzicie, o to właśnie chodzi: to był Dean Martin i to nie był Dean Martin.

– Był i nie był? Nie miałeś na myśli „ale”?

Doc chyba zasnął. Kiedy wysadzili go przy motelu, Trillium nie było w pokoju, ale zostały jej rzeczy. Nie znalazł żadnego listu od niej.

Zwinął skręta, zapalił i zasiadł przed telewizorem, gdzie w ramach cyklu *All-Nite Freaky Features* miał się zaraz zacząć *Godzilla's Island*, film telewizyjny, w którym japoński potwór spotyka rozbitków z sitcomu. W trakcie czołówki Godzilla, szukający miejsca, w którym mógłby odpocząć i nabrać sił po zdemolowaniu kolejnego miasta, potyka się – dosłownie – o wyspę, niepokojąc ocalonych z historycznego rejsu SS Minnow.

„Musimy po prostu postarać się przeżyć do czasu, aż sprawę załatwią siły japońskiej samoobrony, co trwa na ogół szybciej, niż zdążysz powiedzieć »kamikadze«” – wyjaśniła Mary Ann, zwracając się do Ginger.

„Ka-mi... ” – zaczyna Ginger, ale jej głos tonie w ryku odrzutowców ostrzeliwujących rakietami Godzillę, który jest tym jak zwykle zaledwie lekko zniecierpliwiony.

„Widzisz?” – mówi, kiwając głową, Mary Ann i jej głos również tonie w głośnym wybuchu śmiechu zza kadru. Niezauważony w całym zamieszaniu pojawia się Profesor z dziwnie wyglądającą bronią do zwalczania Godzilli, nad którą pracował już od pewnego czasu, a która składa się z różnych analogowych paneli kontrolnych, anten parabolicznych oraz gigantycznych szklanych spirali pulsujących nieziemskim purpurowym blaskiem. Zanim jednak ma szansę ją zademonstrować, Gilligan, który wziął urządzenie za Skippera, skacze na nie z drzewa, cudem unikając nadziania się na anteny oraz napromieniowania.

„Właśnie je wykalibrowałem!” – krzyczy zrozpaczony Profesor.

„Może nadal jest na gwarancji?” – zastanawia się Gilligan.

Teraz następuje ujęcie z podnośnika, które ma przedstawiać punkt widzenia Godzilli. Jak zwykle uroczo skonsternowany potwór przygląda się krzątaniu na wyspie, drapiąc się po głowie w sposób, który ma nam przypominać Stana Laurela. Przerwa na reklamy.

W którymś momencie Doc musiał przestać śledzić akcję filmu. Budząc się nazajutrz rano, usłyszał występującego w programie *Today Henry*'ego Kissingera.

„Cusz, ftakim razie powinniśmy ich po prostu zbombardować, nieprawdasz?”

Głos doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zagłuszyło dobiegające z parkingu trąbienie. Byli to Puck i Trillium w camaro udekorowanym puszkami po piwie, psychodelicznym papierem toaletowym w różnych modnych odcieniach oraz tabliczką z

nabazgranym byle jak napisem „Nowożeńcy”. Okazało się, że po całonocnym imprezowaniu para udała się do sądu okręgowego i uzyskawszy niezbędne zezwolenia, popędziła prosto do kaplicy ślubnej Wee Kirk O’the Heather, gdzie zostali od ręki obsłużeni. Występujący jako drużba Einar postanowił dać nogę z innym panem młodym czekającym na swą bogdanę, której w ostatniej chwili się odmieniło, i uświadamiającym sobie z pewną ulgą, że ma podobne nastawienie jak ona. Puck i Einar namówili organistę, by podczas wyjścia z kaplicy akompaniował im, kiedy wykonają ulubiony duet Ethel Merman *You’re Not Sick, You’re Just in Love* z musicalu *Call Me Madam*, choć jak zwykle trudno im było uzgodnić, kto zaśpiewa partię Ethel Merman.

Puck i Doc znaleźli minutkę, żeby porozmawiać.

– Wszystkiego najlepszego, człowieku, to wspaniała dziewczyna.

Małżeństwo, nawet w tym mieście, robi z mężczyzną dziwne rzeczy.

– Ona może mnie ocalić – stwierdził Puck, łypiąc na wszystkie strony niczym zbieg na dworcu autobusowym.

– Kto cię ściga, Puck?

– Nikt – odparł tamten z błagalnym spojrzeniem, które niekoniecznie było skierowane do Doca.

– Ocalenie, rozumiem, sam mam z tym problemy. Czuję, że mogłem chyba ocalić Mickeya przed tym, co się stało, cokolwiek to było. A może nawet Glena?

Swastyka na głowie Pucka zaczęła pulsować.

– Mnie akurat nie spędza to snu z oczu – powiedział. – Glen był zasańcem, ale łączyło nas braterstwo krwi i to powinno coś znaczyć. Z drugiej strony, gdybym został na tej zmianie, przytrafiłoby się to mnie, a nie jemu. – Mówiąc to, nie dawał raczej do zrozumienia, że poświęciłby się dla Glena. W jego oczach pojawiło się coś, co wprawiło Doca w zakłopotanie. – A ty nie zdołałbyś ocalić nikogo.

– Myślisz, że wszystko było z góry ustawione?

– Lepiej się w to nie mieszaj, panie Sportello. – Swastyka na głowie Pucka pulsowała coraz szybciej. – To nie jest mafia. To nie jest nawet udawana mafia, którą wy, ludzie, bierzecie za mafię.

Doc zaczął gorączkowo szukać skręta.

– Nie nadążam.

Puck wyjął z kieszeni jego koszuli koolisy, zapalił jednego i zatrzymał paczkę.

– Te mormońskie dupki w FBI. Wciąż powtarzają, że mafia to makaroniarze. Jakby to kończyło całą sprawę, *finito*, wszystko to wina makaroniarzy, pozbadźmy się makaroniarzy i życie będzie usłane różami, jak mówi Ethel. No więc zapomnijmy o tych rasowych bzdurach, to tylko mydlenie oczu. Howard Hughes, kim on jest? Aryjczykiem do szpiku kości, tak? Ale dla kogo pracuje? Co powiesz na mafię za plecami mafii?

No tak. Gdyby Puck był jakimś pierwszym lepszym plażowym ćpunem, Doc mógłby to złożyć na karb zwyczajnej paranoi, życzyć mu szczęśliwego miesiąca miodowego i wrócić do swoich zajęć. Jednak Puck nadal próbował zaprzeczać, że cokolwiek wie, a to, co mu zagrażało i go osaczało, było zbyt przerażające, by mogło go uratować nawet milczenie.

– Zapytam o coś prostszego – powiedział Doc, wylewając oliwę na wzburzone fale. – Czy Mickey mówił kiedykolwiek o mieście, które chce zbudować gdzieś na pustyni?

– Ostatnio nie robił nic innego. *Arrepentimiento*. Po hiszpańsku znaczy „przepraszam za to”. Wymyślił sobie, że każdy będzie mógł tam zamieszkać za darmo, nieważne, kim jest, jeśli się pojawi i jest wolne mieszkanie, należy do niego, z dnia na dzień, na zawsze, et cetera, et cetera i tak dalej, jak powtarza król Syjamu. Masz mapę drogową? Pokażę ci.

Trillium podeszła do nich i wsunęła dłonie pod wytatuowane ramię Pucka, to z czaszką i sztyletem wbitym w oczodół.

– Ruszajmy już lepiej w drogę, kochanie.

– Możecie wziąć samochód – powiedział Doc. – Jest opłacony na cały następny tydzień. A także wszystko, co zostało w pokoju. Traktujcie to jako mój prezent ślubny. Czy mogę dostać z powrotem papierosy?

Trillium odprowadziła Doca do miejsca, w którym czekał na niego Tito w limuzynie.

– On naprawdę jest miłością mojego życia, Doc. Potrzebuje mnie.

– Masz mój numer do biura i do domu?

– Zadzwońmy, obiecuję.

– Wszystkiego najlepszego, pani Beaverton.

*

Nadszedł wieczór, co wszystkich jakby zaskoczyło. Tito odwiózł Adolfa i Inez na lotnisko i kiedy skręcał z powrotem na autostradę, on i Doc zauważyli wjeżdżający przez bramę szary samochód, którego kolor, a także sposób prowadzenia, stanowczy i nieubłagany, powiedział im, kto i po co nim jedzie. Tito ruszył w stronę pustyni.

– Miłe miasto, ale spadajmy stąd.

Uruchomił jakiś tajny napęd i wcisnęło ich gwałtownie w fotele niczym astronautów w rakiecie. Miejskie neony za oknami wydłużyły się w spektralne smugi, wpadające z przodu w błękit. Z tyłu, we wstecznym lusterku, każdy rozświetlający czerni punkcik czerwienił się, oddalał i zlewał z innymi. Tito puścił taśmę z Rozą Eskenazi.

– Posłuchaj jej, uwielbiam tę dziewczynę, to Bessie Smith swojej epoki, biedaczka – stwierdził i zaśpiewał kilka taktów razem z Rozą. – *Tiatimo meraki*, kto tego nie miał, człowieku? Potrzeby tak beznadziejnej, tak bezwstydnej, że wszystko, co ci tłumaczą, gównem znaczy.

Doc uznał to za typową gadkę uzależnionego, ale kiedy przywykł do tonacji i stylu wokalnego, pomyślał o Trillium. Zastanawiał się, co powiedziałyby o greckich pieśniarkach Tita i o tym konkretnym pragnieniu, o którym śpiewały.

Jechali przez całą noc. O pierwszym brzasku dotarli do skrzyżowania, który Puck pokazał Docowi na mapie, i dojechali drogą stanową do drogi okręgowej, a potem zjechali z asfaltu na polny trakt i mijali poobijane, wiszące luźno na zawiasach bramy, pranie suszące się na brzęczących drutach ogrodzeń, grube małe kaktusy i juki, rosnące na poboczu pustynne kwiaty, skalne ostańce w oddali, a także poruszające się w alkalicznym blasku płamy, które mogły być osłami, kojotami, mulakami albo przybyłymi dawno temu kosmitami, ponieważ Doc wszędzie widział ślady starożytnych odwiedzin.

Dojechali do krawędzi płaskowyżu i tam, na stoku opadającym ku dolinie, w której rzeka wyschła pewnie przed wieloma śmieciami, zobaczyli marzenie Mickeya Wolfmanna, jego pokutę za to, że brał kiedyś pieniądze za dach nad głową – *Arrepentimiento*. Zapalili skrzyżowanie na dzień dobry i podawali go sobie nawzajem. Za osiedlem rozciągała się w minimalnym tylko stopniu zagospodarowana pustynia, tu i tam widać było betonowe szkielety, w oddali pośród zarośli stało kilka kominów. Nie mogli się później zgodzić, co dokładnie widzieli. Było tam kilka połączonych tunelami budowli, które Riggs Warbling nazywał zopułami. Spiczaste u góry, nie tworzyły idealnych półkul. Doc naliczył ich sześć, Tito siedem albo osiem. Teren między miejscem, gdzie stali, i placem budowy także usiany był gigantycznymi, prawie sferycznymi różowymi skałami, które mogły być dziełem ludzkich rąk.

– Możemy tam skoczyć i się rozejrzeć? – zapytał Doc.

– Co, tym samochodem? Złamiemy oś i rozwalimy miskę olejową. Tu potrzebny jest wóz z napędem na cztery koła. Chyba że chcesz tam iść na piechotę? Masz kapelusz?

– Potrzebuję kapelusza, żeby iść?

– Promienie, człowieku, niebezpieczne promienie.

W bagażniku Tito znalazł dwa olbrzymie sombrera, które kupił w Glitter Gulch jako pamiątki. Założyli je i ruszyli w podmuchach pustynnego wiatru w kierunku *Arrepentimiento*.

Dojście tam zajęło im więcej czasu, niż myśleli. Zopuły niczym dekoracje w starych filmach science fiction w ogóle się do nich nie przybliżały. Przypominało to przedzieranie się po ciemku przez niebezpieczny teren, choć Doc przez cały czas czuł świecące nad głową słońce, gwiazdę obcej planety, mniejszą i bardziej skoncentrowaną, niż być powinna, bombardującą ich nieubłaganie twardym promieniowaniem. Jaszczurki wychodziły zza widzialnego świata i stały odwieczne i nieruchome niczym skały, obserwując ich.

Po pewnym czasie wszystko zaczęło bardziej przypominać porzucony plac budowy. Bielejące na słońcu deski, szpule zardzewiałych kabli, kawałki plastikowych rur, splątane przewody, zepsuta sprężarka. Jej plastikowa obudowa odpadła w kilku miejscach, odsłaniając znajdujący się pod spodem szkielet, rozporki i złączki, podobne miejscami do rozprutej piłki futbolowej, a gdzie indziej do wzorów na kaktusie albo muszlach, które ludzie przywożą z Hawajów.

– Nie widzę żadnych kłódek – zauważył Doc.

– To nie znaczy, że możemy tam po prostu wejść.

Doc odnalazł drzwi, bez trudu je otworzył i wszedł do pograżonych w mroku podziemi.

– W porządku, możesz tam stanąć.

– Yhym – mruknął Doc.

– Albo możesz iść dalej, prosto w zaświaty. Mnie osobiście jest wszystko jedno.

To był Riggs Warbling z kilkutygodniową bródką. Trzymał w ręku odbezpieczony rewolwer Ruger Blackhawk kalibru .44 Magnum i celował z niego prosto w jego czoło. Lufa broni prawie w ogóle nie drżała, czego nie można było w tym momencie powiedzieć o głosie Doca, który zdjął z szacunkiem sombrero.

– Siemasz, Riggs! Byłem przypadkiem w okolicy i pomyślałem, że skorzystam z zaproszenia! Pamiętasz mnie? Larry Sportello. Doc. A... a to jest mój przyjaciel Tito.

– Mickey cię przysłał?

– Yhym, nie, właściwie próbuję odkryć, co się przytrafiło Mickeyowi.

– Jezus. Zapytaj raczej, co mu się nie przytrafiło. – Riggs opuścił kurek rewolweru, ale nadal sprawiał wrażenie wzburzonego. – Wejdz.

W środku stała gigantyczna lodówka wypełniona piwem i innymi artykułami spożywczymi, kilka automatów, stół bilardowy, fotele i właściwie, kiedy Doc się nad tym zastanowił, więcej przestrzeni, niż można by sądzić na podstawie tego, co widział na zewnątrz. Riggs zauważył, że się rozgląda, i odgadł, o co mu chodzi.

– Niesamowite, prawda? To jakby nawiązanie do Bucky'ego Fullera: zamiast mniej dolarów za metr sześcienny kubatury, ma się więcej metrów sześciennych za dolara.

„Czy to nie to samo?” – zapytałby normalnie Doc, ale pewne niuanse zachowania Riggsa, być może obłąkany wzrok, palce, które nadal mocno zaciskał na lśniącej czarnej rewolwerze, a także stale załamujący się i przechodzący w wyższe rejestry głos przekonały go, że rozsądniej będzie się przymknąć.

Głowa Riggsa zmieniła nagle kąt nachylenia i okazało się, że wpatruje się poprzez ścianę zopuły w jakiś odległy punkt na nieboskłonie. Po kilku sekundach dał się słyszeć wyraźny odgłos zbliżających się silników odrzutowych. Riggs podniósł o kilka cali lufę broni i wydawało się, że zacznie strzelać. Ryk nad głową był przez chwilę niemal nie do zniesienia, a potem ucichł.

– Wysyłają je z Nellis regularnie co pół godziny – wyjaśnił. – Z początku myślałem, że to jakiś stały korytarz powietrzny, ale okazuje się, że robią to specjalnie, to celowy hałas. Któregoś dnia zmuszą Mickeya do zaaprobowania uderzenia raketowego i Arrepentimiento przejdzie do historii, a właściwie nawet nie przejdzie, ponieważ zniszczą również wszystkie zapisy.

– Dlaczego Mickey miałby zbombardować to miejsce? To jego marzenie.

– Było jego marzeniem. Widzicie, jak teraz wygląda. Mickey wycofał wszystkie pieniądze,

zwolnił wykonawców, odeszli wszyscy oprócz mnie.

– Kiedy to się stało?

– Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zniknął. Nie było już naćpanego kwasem filantropa. Coś mu zrobili.

– Kto?

– Ktoś. A teraz wrócił do Sloane, tak, znowu są szczęśliwą parą, apartament dla nowożeńców w Ceasar's, wielkie wodne łóżko w kształcie serca, bez przerwy trzyma rękę na jej tyłku, jakby chciał powiedzieć: „To moje, nawet o tym nie myślcie”, a Sloane gra razem z nim to przedstawienie, nie spojrzy nawet na innych mężczyzn, zwłaszcza na tych, z którymi, jak to się mówi, miała styczność.

„Myślałem, że Mickey przemykał na to oczy” – chciał powiedzieć Doc, ale był pewien, że to nieprawda.

– Znowu jest wzorowym ojcem rodziny, przeprogramowali mu również kutasa i teraz oczywiście nie ma dla mnie czasu. Siedzę tutaj ze strzelbą na kolanach niczym duch jakiegoś szalonego poszukiwacza srebra w starej kopalni, czekając, aż prawowity małżonek będzie miał wolną chwilę. Już martwy, chociaż jeszcze o tym nie wiem. Słyszałeś, że zawarł umowę z Departamentem Sprawiedliwości?

– Doszły mnie jakieś plotki.

– Posłuchaj, co zrobił. Czy taki przykład mamy dawać młodym? Mickey kupuje niewielką działkę przy Stripie, zbyt małą, by urządzić na niej parking, ale tuż obok wielkiego kasyna, i ogłasza, że zbuduje tam minikasyno podobne do tych sklepików, które widuje się na stacjach benzynowych: w sam raz, żeby zajrzeć na chwilę, jeden automat, jedno koło ruletki, jeden stolik do black jacka. Urzędujący obok włoscy biznesmeni widzą już ten motłoch, który będzie defilował przed nosami ich wyrafinowanej klienteli i dostają szału, grożą, krzyczą, sprowadzają pierwszą klasę swoje matki, żeby stały i patrzyły na Mickeya z niemym wyrzutem. Czasami zresztą nie do końca niemym. W końcu kasyno się poddaje, Mickey dostaje kwotę, jakiej żąda, jakąś niewyobrażalną wielokrotność tego, co sam zapłacił, i finansuje z niej renowację Kismetu, w którym zostaje aktywnym współnikiem.

– Więc teraz jest grubą rybą w Vegas. Howard Hughes ma konkurencję. No cóż, Riggs, dzięki za informacje.

Nad ich głowami przeleciała kolejna eskadra myśliwców.

– W zopułach ciekawe jest to, że mogą służyć jako portale do innych wymiarów – dodał z desperackim uśmiechem Riggs. – Mam gdzieś F-sto pięć, kojoty, skorpiony i węże. Mogę stąd odejść, kiedy tylko chcę. Muszę tylko przejść przez te drzwi – wyjaśnił, kiwając głową – i będę bezpieczny.

– Mogę zerknąć? – zapytał Doc.

– Lepiej nie. Nie każdy może z nich skorzystać. A jeśli ktoś nie może, są niebezpieczne.

Zostawili go oglądającego *Idź na całość* na czarno-białym przenośnym telewizorku, którego obraz, za każdym razem, gdy przelatowały myśliwce, rozpadał się na okruchy, niemające na pozór szansy się złożyć, lecz potem, w przerwie między lotami powracał, być może dzięki jakiejś szczególnej właściwości zopuła.

*

Jadąc dalej, Tito i Doc zobaczyli motel z tablicą „WITAJCIE, TELEMANIACY! NAJLEPSZA KABŁÓWKA W MIEŚCIE!” i postanowili wynająć tam pokój. Pewne zbyt skomplikowane, by zdołali je zrozumieć, problemy ze strefami czasowymi spowodowały, że liczba dostępnych w tym miejscu programów, zarówno należących do wielkich sieci, jak i niezależnych, sięgnęła niewyobrażalnych rozmiarów i kreatywnie nastawieni menedżerowie kablówek nie omieszkali wykorzystać tej dziwnej czkawki czasoprzestrzeni... Wszyscy przybywali tutaj, żeby coś zobaczyć. Entuzjaści opery mydlanej, fani starych filmów i

miłośnicy nostalgii przemierzali setki, a nawet tysiące mil, by płać się w promieniach katodowych, podobnie jak koneserzy wód w czasach naszych prababek odwiedzali niegdyś pewne kurorty. Całymi godzinami wylegiwali się i paśli oczy, podczas gdy słońce wędrowało po zamglonym niebie, z krytego basenu dochodził plusk wody, a korytarzami sunęły ze skrzypieniem wózki sprzątaczek.

Urządzenia do zdalnego sterowania przyśrubowane były do wezglowia łóżek i sprawdzenie wszystkich kanałów trwało chyba dłużej niż cokolwiek, co chciałoby się w całości obejrzeć, ale jakimś cudem, kiedy Doc dostawał już skurczu mięśni kciuka, trafił na *Maraton Johna Garfielda*, trwający, jak zgadywał, od kilku tygodni. W jego ramach miał się właśnie zacząć kolejny film z Garfieldem, którego autorem zdjęć był James Wong Howe, *He Ran All the Way* 1951 roku, prawdę mówiąc, mniej ceniony przez Doca – był to ostami film z Garfieldem, nim wykończyli go wreszcie antywywrotowcy, i wyczuwało się w nim zapach czarnej listy – scenariusz napisał Dalton Trumbo, ale w czołówce figurowało inne nazwisko. John Garfield gra tam uciekającego przestępcę, który podrywa Shelley Winters na publicznej pływalni i staje się prawdziwą zmorą dla jej rodziny, każąc im na przykład pod groźbą użycia broni zjeść paskudnie wyglądającego sztucznego indyka („Zeżrecie mi tego indora!”), po czym kończy swój żalorny żywot dosłownie w rynsztoku, który, co oczywiste, jest jednak przepięknie oświetlony. Doc miał nadzieję, że zaśnie w połowie filmu, ale ostatnią scenę oglądał szeroko otwartymi oczami, wyprostowany i zlany potem, który stygł szybko w klimatyzowanym pomieszczeniu. Miał wrażenie, że John Garfield naprawdę tam umiera, a cała szacowna klasa średnia stoi na ulicy, z wyższością się temu przyglądając.

Na sąsiednim łóżku chrapał Tito. Za ścianami, wszędzie wokół nich, telemaniacy buszowali w obrazkowym świecie, oglądając tropikalną wyspę, bar Long Branch, statek kosmiczny „Enterprise”, hawajskie kryminały, pięknych młodych ludzi w bajkowych salonach z niewidzialną widownią śmiejącą się ze wszystkiego, co robili, skrót rozgrywek baseballowych, relacje z Wietnamu, śmigłowce szturmowe i miotacze ognia, nocne żarty i gadające głowy, niewolnicę w butelce i świnkę Arnolda, a trzeźwy jak Świnia Doc nie mógł odsunąć od siebie straszliwej myśli, że psychodeliczne lata sześćdziesiąte, ten krótki błysk światła, może się jednak skończyć, i wszystko będzie stracone, znów zapadnie się w ciemność... że jakaś straszliwa ręka wyłoni się nagle z mroku i cofnie czas z taką samą łatwością, z jaką zabiera się i rozgniata skręta ćpunowi.

Nie zasnął prawie do świtu i tak naprawdę ocknął się dopiero, kiedy przejeżdżali przez przełęcz Cajon. Miał wrażenie, że budzi się ze snu, w którym pokonywał coś więcej aniżeli zwykłe górskie pasmo, przybywając z jakiegoś wyjąłowego, wykarczowanego terytorium i schodząc na nowe tereny po zboczu, kto wie, czy nie zbyt długim i stromym, by mógł się na nie z powrotem wdrapać.

O zmierzchu Tito wysadził Doca na Dunecrest i przypominało to lądowanie na innej planecie. W Pipeline zastał kilkaset osób, których nie znał, ale które zachowywały się jak stali goście. Co gorsza, nie było tam nikogo, kogo znał. Nie było Szczupłego Ensenady, Złego Flaca, Świętego Flipa ani Eddiego z Parteru. Doc zajrzał do Wavos, Epic Lunch, Ultrafioletowej Mózgownicy i do Man of La Muncha, gdzie wystarczyło, że człowiek spojrzał na flaczki menudo, żeby zaczęło mu cieknąć z nosa, ale za każdym razem było to samo: nikogo nie rozpoznawał. Zastanawiał się, czy nie wrócić do swojego mieszkania, ale bał się, że też go nie pozna, albo co gorsza, ono nie pozna jego – zniknie, klucz nie będzie pasował albo coś w tym rodzaju. Potem przyszło mu do głowy, że być może Tito wysadził go przy jakiejś innej plaży, Manhattan, Hermosa albo Redondo, i że bary i jadłodajnie, do których zaglądał w tym innym mieście, są po prostu podobnie rozmieszczone – rozciąga się z nich na przykład ten sam widok na ocean i na róg ulicy – złapał więc głowę w dłonie i postanowiwszy się skupić i zwracać na wszystko uwagę, czekał, aż zbliży się do niego następny niegroźny przechodzień.

– Przepraszam pana, chyba się trochę zagubiłem... Mógłby mi pan powiedzieć, czy to nie jest przypadkiem Gordita Beach? – zapytał najspokojniej, jak potrafił.

Osobnik, do którego się zwrócił, nie uciekł na szczęście w panice, szukając najbliższego policjanta.

– Kurczę, Doc, to ja, dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby ci odbiło – powiedział i po chwili Doc zorientował się, że to Denis albo ktoś, kto udaje Denisa, co w danej sytuacji mu wystarczyło.

– Gdzie są wszyscy, człowieku?

– Jakieś ferie czy coś w tym rodzaju. W mieście jest cała masa szukających guza studentów. Dopóki się to nie skończy, nie odchodzę od telewizora.

Denis miał jakiś udoskonalony meksykański towar i poszli na plażę go zapalić. Przez chwilę obserwowali migające światła pozycyjne jednosilnikowego samolotu, który kruchy i zagubiony odlatywał w stronę ciemniejącej nad oceanem zorzy.

– Jak było w Vegas, człowieku?

– Wygrałem całe wiadro miedziaków w automacie.

– Niesamowite. Słuchaj. Zgadnij, kto wrócił.

Denis patrzył na niego w taki sposób, że nie mogło być mowy o nikim innym. Doc zapalił koola, ale zrobił to z niewłaściwej strony i przez chwilę nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Co ona zamierza? – zapytał.

– Mógłbyś to zgasić? To świństwo potwornie cuchnie.

– Albo ujmując to inaczej, z kim teraz jest?

– Z tego, co wiem, z nikim. Zamieszkała w mieszkanku Flipa nad tym sklepem dla surferów w El Porto. Święty wyjechał na Maui.

– W jakim jest stanie ducha?

– Dlaczego mnie pytasz?

– Chodzi mi o to, czy nie wpadła w paranoję. Czy władze wiedzą, że wróciła? Z tego, co ostatnio słyszałem, była na liście najbardziej poszukiwanych. Czy to się zmieniło?

- Nie wygląda na to, żeby się zbytnio przejmowała.
- Cóż, to dziwne. – Może ona też zawarła jakąś umowę?
- Jeśli chcesz, możemy tam podejść – zaproponował Denis.

Doc wolał tego nie robić z dowolnej liczby powodów. Denis odszedł, żeby obejrzyć program Lawrence'a Welka.

– Co takiego? – nie mógł nie skomentować Doc.

– Coś w związku z Normą Zimmer! – odkrzyknął przez ramię Denis. – Sam nie wiem dokładnie, o co chodzi.

Klucz pasował, mieszkanie nip zostało okradzione ani splądrowane, rośliny nie zwiędły. Doc podlał wszystko, nastawił ekspres do kawy i zadzwonił do Fritza.

– Wróciła twoja dziewczyna. Mignęła mi z tyłu – oznajmił tamten i umilkł.

– Z przodu też dobrze wygląda. I co z tego? – zapytał po chwili z irytacją Doc.

– Według ARPA-netu Shasta Fay Hepworth pojawiła się przedwczoraj na lotnisku Los Angeles. Poza tym zachodzi do mnie od czasu do czasu FBI, które od kiedy, kiedy jestem podłączony, w jakiś sposób mnie monitoruje. Pytają, dlaczego się nią interesuję. Mógłbyś mi powiedzieć, co, do diabła, jest grane?

Doc zrelacjonował mu swoją podróż do Vegas, a w każdym razie to, co z niej zapamiętał.

– Oczywiście, jeżeli monitorują twoje linie komputerowe – zorientował się po dziesięciu minutach – podsłuch tego telefonu to dla nich betka.

– Ups – zgodził się Fritz. – Ale mów dalej.

– Więc Mickey jest chyba zdrow i cały, federalni wycofali go na chwilę z obiegu. Glen Charlock nadal nie żyje, lecz kto by się przejmował elementem przestępczym? – Doc narzekał jeszcze przez półtorej minuty, dopóki Fritz mu nie przerwał.

– Cóż, to już twój problem – stwierdził. – Ten cały ARPA-net zajmuje mi zbyt dużo czasu, który spędziłbym lepiej, ścigając wszystkich zatwardziałych dłużników, więc chyba zrobię sobie przerwę. Jeśli masz coś jeszcze, zapytaj od razu, ponieważ dla starego F. D. nadeszła pora powrotu do świata z krwi i kości.

– Niech pomyślę. Jest jeszcze niejaki Puck Beaverton...

– Pamiętam, że załatwiałem kiedyś jakąś drobną sprawę z osobnikiem o tym nazwisku. Co z nim?

– Nie wiem – odparł Doc. – Coś.

– Jakieś dziwne wibracje?

– Trafiłeś.

– Niezwykłe i trudne do opisanego zawirowania w prawach karmy?

– Wiedziałem, że zrozumiesz.

– Doc...

– Nic nie mów. Ten dzieciak Sparky nadal dla ciebie pracuje?

– Zajrzyj, to cię przedstawię. Mam również trochę nowego towaru, nazywają go thai stick. Trochę gumowaty, ale kiedy go zapalisz...

Doc rozłączył się i telefon prawie natychmiast zadzwonił znowu.

– No! – zaczął prosto z mostu Wielka Stopa – wygląda na to, że nieuchwytna panna Hepworth wróciła na łono waszej małej społeczności zaćpanych nieudaczników.

– Kurczę, co ty powiesz? To dla mnie nowość.

– Racja, przez jakiś czas nie było cię na naszej planecie. Telefony, osobiste wizyty... bez skutku. Możesz sobie wyobrazić, jak się niepokoiiliśmy.

– Krótki odpoczynek dla nabrania sił. Chciałbym mieć twój etos pracy.

– Nieprawda, nie chciałbyś. Posunąłeś się do przodu w sprawie Coya Harlingena?

– Same fałszywe tropy.

– Czy któryś z nich nie prowadzi przypadkiem do... jak się on nazywa, chyba Beaverton?

– Odepierdol się, Wielka Stopo.

– Udało mi się namierzyć Pucka w West Hollywood, ale nikt go nie widział, odkąd Mickey rozwiązał swoją drużynę.

– Co do doktora Blatnoyda i jego niefortunnego urazu sportowego – mówił Wielka Stopa – zapoznaliśmy ludzi doktora Noguchi z twoją interesującą teorią dotyczącą ran klutych. Poprosiliśmy o sprawdzenie, czy są w nich ślady stopów dentystryczne zawierających miedź i złoto. Jeden z nich uśmiechnął się dziwnie i zapytał, czy mogą w tej sprawie wezwać kogoś z labradorium. „Oczywiście – odparłem. Wspaniale. Do nogi, Dwayne!”, zawołał tamten i do środka wpadł rozjuszony labrador retriever z tak negatywnym nastawieniem, że, muszę powiedzieć, wszystkich nas to raczej zniechęciło.

– Kurczę, a podobno dzieciaki uwielbiają tę rasę...

– Tak się składa, że mamy jednego w domu.

– Chciałem po prostu dać użyteczną wskazówkę koledze po fachu... oszczędzić ci trochę kłopotów w przyszłości...

– To znaczy?

– Kiedy ciebie samego wezwą na przesłuchanie.

– Rany... Sportello, czyżbyś sugerował...

Doc pozwalał sobie na jeden złośliwy uśmiech w tygodniu i teraz właśnie nadeszła ta pora.

– Chcę tylko powiedzieć, że skoro przytrafiło się to Thomasowi Noguchi emu, najlepszemu lekarzowi sądowemu w Stanach Zjednoczonych, tak naprawdę nie jest bezpieczny żaden ze stróżów ładu i porządku. Wystarczy jeden upierdliwy urzędnik hrabstwa.

Po drugiej stronie linii zapadła totalna cisza.

– Wielka Stopo?

– Spędzałem cichy miły wieczór z panią Bjornsen, dziećmi i psem, oglądając program Lawrence’a Welka, i widzisz, coś narobił?

Doc usłyszał, że ktoś podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

– Wszystko w porządku, kotku? – odezwał się kobiecy głos o wysokim brzmieniu i bardzo krótkim czasie rozpadu.

– Co jest? – zdziwił się Doc.

– To jest pani Chastity Bjornsen, i jeżeli to kolejny socjopatyczny „specjalny współpracownik” mojego męża, byłabym wdzięczna, gdyby przestał pan go nękać w czasie wolnym od pracy, bo dość się narobił, próbując przez cały tydzień oczyszczać ulice z podobnych do pana szumowin i ćpunów.

– Nie unoś się, pupeczku. Sportello daje tylko próbkę swojego poczucia humoru.

– Doc Sportello! Słynny Doc Sportello! No, nareszcie! Pan Moralna Degrengolada we własnej osobie! Ma pan pojęcie, jak wysokie są rachunki od terapeuty, za które jest pan bezpośrednio odpowiedzialny?

– Pupeczku, przecież za większość płaci komenda...

– Ale po odtrąceniach, które nas zarzną. Swoją drogą, Christianie, w ogóle nie rozumiem twojej mimozowatej reakcji na niekończące się prowokacje tego żalosnego świra...

Doc odkrył, że skończyły mu się papierosy. Odłożywszy słuchawkę na kuchenny stół, zaczął się rozglądać za kartonem koolsów i po długich poszukiwaniach znalazł go w lodówce obok resztek pizzy, o której zapomniał i której nie wszystkie składniki, mimo że zachowały kolory, był w stanie zidentyfikować. Czując się trochę głodny, zrobił sobie kanapkę z masłem orzechowym i majonezem i zlokalizował puszkę zimnego piwa. Ruszając do drugiego pokoju, żeby włączyć telewizor, usłyszał dziwne dźwięki dochodzące z telefonu, którego słuchawka była najwyraźniej zdjęta z widełek.

– Aha.

Podszedł i przystawił ją do ucha, co nie było w zasadzie potrzebne, ponieważ wrzeszczących teraz na siebie Bjornsenów słychać było w całej kuchni. Małżonkowie omawiali historię wspólnego pożycia ze szczegółami, które choć nieznanne Docowi, były

jednakowoż krępujące. Po kilku minutach obliczania, jakie ma szanse przenieść się do jeszcze innego świata, odłożył słuchawkę na widełki tak delikatnie, jakby miał zamiar zaśpiewać jej kołysankę, i poszedł obejrzeć końcówkę *Adama-12*.

W ramach cyklu sobotnich horrorów prowadzonego przez supergwiazdora tej subkultury Larry'ego Vincenta vel „Symoura”, wyświetlano *I Walked with a Zombie* Vala Lewtona z 1943 roku. Vincent zwracał się do swoich wiernych widzów per „cudaki” i prowadził również coroczny halloweenowy show w Wiltem Theatre, którego Doc starał się nigdy nie przegapić. Oglądał ten film kilkaset razy i nadal nie rozumiał zakończenia, dlatego podczas wiadomości zwinął sobie kilka skrętów, które miały mu pomóc dotrzeć do końca i zachować jasność umysłu, zwłaszcza w trakcie pieśni calypso. Mimo najlepszych chęci zasnął jednak w połowie, jak tyle razy wcześniej.

*

Nazajutrz rano – zapach oceanu, świeża kawa, chłodna bryza – Doc siedział w Wavos, przerzucając niedzielnego „Timesa”, żeby sprawdzić, czy jest coś nowego na temat sprawy Wolfmanna (nie było nic, choć oczywiście przy dwudziestu czy trzydziestu różnych sekcjach nigdy nie wiadomo, czy nie schowali czegoś między ogłoszeniami w dziale nieruchomości), i miał właśnie zamiar skonsumować specjalność zakładu o nazwie „Przepełń pod molo”, składającą się z avocado, kiełków, jalapeno, marynowanych karczochów, sera Monterey Jack oraz dressingu Green Goddess na razowym chlebie, który przecina się wzdłuż, smaruje masłem czosnkowym i zapieka – wszystko to za siedemdziesiąt dziewięć centów, okazja za pół ceny – kiedy do środka wszedł nie kto inny, jak Shasta Way we własnej osobie. Z tego, co mógł powiedzieć, była ubrana w ten sam – chyba że miała ich teraz całą szufladę – stary podkoszulek z napisem Country Joe & the Fish, te same sandały oraz ten sam dół od bikini co w dawnych czasach. Dziwne, ale jego apetyt nie zakrzyknął wielkim głosem, żeby mu nie przeszkadzano, jednak z drugiej strony, co to miało znaczyć? Czy to były jakieś omamy po kwasie i miał zaraz wpaść na Jamesa „Moondoggiego” Darrena w *Time Tunnel* czy czymś podobnym? Jeszcze przed kilkoma dniami jego była dziewczyna znajdowała się, delikatnie mówiąc, w kręgu zainteresowania niezliczonych tajnych i jawnych agencji, lecz mimo to widzi ją tu w dawnym stroju, z dawnym beztroskim nastawieniem, jakby nie spotkała jeszcze Mickeya Wolfmanna, jakby ktoś podniósł igłę gramofonu z kompilacyjnego longplaya historii i opuścił ją na jakiś inny sentymentalny stary przebój.

– Cześć, Doc.

Więcej nie było mu trzeba, to jasne, wystarczyło spojrzeć. Kładąc szybko na kolanach dział recenzji książkowych, uśmiechnął się najszczerzej, jak potrafił.

– Słyszałem, że wróciłaś. Dostałem twoją pocztówkę, dzięki.

Na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiej konsternacji, który doskonaliła od przedszkola.

– Pocztówkę?

Cóż, to chyba też coś znaczy, pomyślał, i lepiej to zapiszę, zanim zapomnę. Bez wątpienia znów maczali w tym palce figlarze od planszy ouiija.

– Myślałem, że to twój charakter pisma, ale musiał być czyjś inny... No więc! Gdzie byłaś?

– Musiałam pojechać na północ. W sprawach rodzinnych. – Wzruszenie ramion. – Działo się tu coś?

Wspomnieć o Mickeyu? Nie wspominać o Mickeyu?

– Twój... przyjaciel z branży budowlanej.

– Och, to już skończone. – Nie sprawiała wrażenia specjalnie tym zmartwionej. Ani zadowolonej.

– Może przegapiłem coś w wiadomościach... Czy przypadkiem nie pojawił się z powrotem?

Shasta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie było mnie tu. – Na rzemyku na szyi miała przywiezioną pewnie z odległej wyspy na Pacyfiku morską muszlę, której kształt i zabarwienie przypominały Docowi zopulę z niewybudowanego przez Mickeya osiedla na pustyni.

Do lokalu wszedł Szczupły Ensenada.

– Siemasz, Shasta. Cześć, Doc. Szukał cię Wielka Stopa.

– O rany. Dawno temu?

– Właśnie go widziałem w Ultrafioletowej Mózgownicy. Wydawał się czymś bardzo przejęty.

– Czy któreś z was chce to skończyć?

Doc wymknął się tylnym wyjściem i natychmiast wpadł na Wielką Stopę, który czekał w alejce z dziwnym uśmiechem.

– Nie denerwuj się. Choć mam wielką ochotę, nie zamierzam zrobić ci fizycznej krzywdy. To w jakiejś części wina tej cholernej hipisowskiej epoki i spowodowanej przez nią erozji męskich wartości. W tym momencie Wyatt Earp już waliłby cię kowalskim młotem po głowie.

– Hej, to mi przypomina... torba... sięgam teraz do swojej torby, zgoda? Dwoma palcami, powoli? – Doc wydobył zabytkowy kubek, który znalazł w Vegas.

– Praca w policji hartuje człowieka – powiedział Wielka Stopa – ale czasami jego wrażliwość jest wystawiana na ciężką próbę. Co to... co to ma być?

– To osobisty kubek Wyatta Earpa z miejscem na wąsy, człowieku. Widzisz, jest tu jego nazwisko i cała reszta...

– Nie obrażaj się, proszę, ale czy mógłbym spytać o pochodzenie tego... – Wielka Stopa przerwał, jakby szukał właściwego słowa.

– Mam to od antykwariusza z Vegas, niejakiego Delwyna Quighta. Sprawiał wrażenie uczciwego.

Wielka Stopa pokiwał z goryczą głową.

– Nie prenumerujesz oczywiście „Tombstone Memorabilia Collector’s Alert”. Brat Quight przynajmniej raz na dwa miesiące pojawia się tam na rozkładówce. Facet jest dobrze znany z fałszowania earpianów.

– Kurczę. – Czy to oznacza, że co gorsza, podrabiany jest również krawat Liberace?

– Liczą się dobre intencje – stwierdził Wielka Stopa. – Słuchaj, przepraszam za wczorajszy wieczór – dodał i w tym samym momencie, z taką samą intonacją Doc powiedział to samo. – Oczekali obaj tyle samo sekund i znów odezwali się chórem. – Ty? Za co miałbyś przeproszać? – To mogło trwać cały dzień, ale w końcu Doc powiedział „Dziwne”, a Wielka Stopa „Niesamowite” i zakłęcie przysło. Przez chwilę szli na dół w milczeniu.

– Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć – mruknął Wielka Stopa.

– Cholera. Kogo kropnęli tym razem?

– Leonarda Jermaine’a Loosemeata, który, jak może pamiętasz, był drobnym dealerem heroiny w Venice. Wypłynął. Znaleźliśmy go w jednym z kanałów.

– El Drano. Zaopatrywał Coya Harlingena.

– Tak.

– Zabawny zbieg okoliczności.

– Zdefiniuj, co uważasz za „zabawny”. – Doc usłyszał coś w jego głosie i zastanawiał się przez chwilę, czy Wielka Stopa nie doznał w końcu grubo spóźnionego załamania nerwowego na tle zawodowym. Drżały mu wargi i miał łzy w oczach. Spozstrzegł, że Doc mu się przygląda i spojrzał mu prosto w twarz. – Lepiej się w to nie mieszaj – powiedział.

Puck Beaverton dał mu tę samą radę za darmo.

Nie powstrzymało to jednak Doca, który pojechał wieczorem do Venice, żeby zobaczyć, co da się zobaczyć. El Drano mieszkał przy kanale, w bungalowie z małym pomostem i przycumowaną do niego łódką. Co jakiś czas kanałem przepływała pogłębiarka i w poprzedzający to wieczór można było zaobserwować biegających w kółko rozgorączkowanych ćpunów, którzy zamelinowali w wodzie swoje zapasy i próbowali sobie przypomnieć, kto co gdzie dokładnie wsadził. Doc zjawił się akurat w trakcie tych manewrów. Wieczór był ciepły i zachęcający do kąpieli, przez otwarte okna i przesuwane drzwi płynęła muzyka z pół tuzina grających jednocześnie zestawów stereo. Na podwórkach i przy podjazdach paliły się, prześwitując przez zarośla, niskonapięciowe lampy ogrodowe. Ludzie z sąsiedztwa łązili z butelkami piwa i skrętami w rękach albo przystawali na mostkach, śledząc całe zamieszanie.

– Co? Znowu zapomniałeś to włożyć w coś wodoszczelnego?

– Ups.

Doc miał adres Leonarda ze sporządzonej przez Wielką Stopę karty przesłuchania. Nim skończył pukać, drzwi otworzył tęgi facet z małym wąsikiem i w grubych okularach, nacierający kredą wysadzany macicą perłową elegancki kij bilardowy.

– Co to, nie ma kamerzystów?

– Reprezentuję KWUH, Kolektyw Wyzwolenia Użytkowników Heroiny. Mamy swoją siedzibę w Sacramento i prawdę mówiąc, walczymy w parlamencie stanowym o prawa obywatelskie dla ćpunów. Chciałbym panu złożyć najszczerze kondolencje z powodu straty.

– Cześć, jestem Pepe, i heroiniści, a właściwie wszyscy narkomani, to najgorsze ludzkie barachło. Nie wiedzieliby, co zrobić z prawami obywatelskimi, nawet gdyby dostali od nich kopa w tyłek. Nie mówię oczywiście, że to byłoby możliwe, rozumie pan. Swoją drogą nie gra pan przypadkiem w ósemkę?

Piłśniowe ścianki w środku pomalowane były na więzienny różowy kolor, który, jak uważano w tamtym okresie, miał zbawienny wpływ na osadzonych. W każdym pomieszczeniu stał stół bilardowy, w tym także niewielkie, barowych rozmiarów w łazienkach i kuchni. Telewizorów było prawie tyle samo. Pepe, który od zgonu Leonarda najwyraźniej nie miał z kim pogadać, kontynuował swój monolog, a Doc starał się od czasu do czasu wtrącić jakieś pytanie.

– ... nie żebym miał do niego pretensje o pieniądze, które pożyczał albo nawet był mi winien, ponieważ zawsze byłem lepszy, jeśli chodzi o bilard, ale prawdę mówiąc, denerwowali mnie egzekutorzy długów i zbiry, których posyłali, jakby chodziło wyłącznie o pożyczanie forsy na wysoki procent, to znaczy przypuszczam, że musi obowiązywać jakaś rzetelność, ale ich interesuje również ból i przebaczenie... ich przebaczenie!... i kontaktują się z instytucjami zarządzającymi i kontrolującymi, które prędzej czy później złamią wszystkie zawarte porozumienia, ponieważ między niewidzialnymi mocami nie ma szacunku i nie ma zaufania.

Pepe przerwał na krótko przed jednym z telewizorów, żeby przerzucić kanały, i Doc wykorzystał okazję, żeby zadać mu pytanie:

– Czy pana zdaniem Leonarda mógł zabić jeden z tych egzekutorów?

– Tyle że nie było żadnych długów. Po raz pierwszy, odkąd go znałem, Lenny nie był nic nikomu winien. Mam wrażenie, że ktoś wyżej postawiony postanowił darować mu wszystkie długi. A potem, na dodatek co miesiąc, zaczęły przychodzić do niego pocztą czeki. Raz czy drugi zerknąłem na sumę. To były poważne pieniądze, przyjacielu... jak powiedziałeś, że się nazywasz?

– Larry. Cześć. Te pieniądze... myślisz, że były od klienta?

– Pytałem go oczywiście i czasami odpowiadał, że to na koszty operacyjne, innym razem, że to honorarium, lecz pewnej nocy... nie powinien brać, ale było Boże Narodzenie... wpadł w świetny nastrój, był dla wszystkich miły, dosypywał trochę więcej do każdej torebki... i

nagle koło trzeciej w nocy zaczął świrować i wspomniał coś o „krwawych pieniądzach”. Kiedy zapytałem go o to później, udał, że nie pamięta, ale ja znałem już dobrze jego twarz, każdy jej por, i wiedziałem, że pamięta. Coś zżerało go od środka. Patrząc na niego, nigdy byś się tego nie domyślił, lecz facet miał sumienie. W zeszłym tygodniu przyszedł kolejny czek i normalnie Lenny pobiegłby od razu do banku, żeby go spieniężyć, ale tym razem zostawił go na szafce, był czymś bardzo zaniepokojony... Proszę, to ten czek, mnie się nie przyda, nie miałem nigdy żadnych pełnomocnictw.

Czek był wystawiony przez kasę oszczędnościowo-pożyczkową Arbolada w Ojai (która, jak przypominał sobie Doc, należała do Mickeya Wolfmanna i z której korzystał również Instytut Chryskylodon) i podpisany przez jakiegoś głównego księgowego, którego nazwiska żaden z nich nie potrafił odczytać.

– Gorzej niż na podrobionej recepcie – stwierdził Pepe.

– Całkiem okrągła sumka. Musi być jakiś sposób, żebyś mógł ją odebrać.

– Może powinienem ją po prostu ofiarować twojej organizacji, oczywiście w imieniu Leonarda.

– Nie zamierzam cię do niczego namawiać, ale pomogłoby to w rozwinięciu naszego nowego programu „Uratuj rockandrollowca”. Wiesz, ilu muzyków przedawkowało w ostatnich latach? To istna epidemia. Widzę to zwłaszcza w mojej dziedzinie, surfowego rocka. Byłem wielkim fanem Boardsów... dlatego właśnie zaangażowałem się osobiście w zapobieganie przedawkowaniom po tym, jak zmarł jeden z ich saksofonistów... Pamiętasz Coya Harlingena?

Mógł to być niespodziewany efekt uboczny całej wypalanej przez niego trawki, ale Doc miał wrażenie, że przez pokój przepłynął lodowato zimny prąd – Pepe zeszywniał, jego twarz, mimo różowych ścian, przybrała niepokojąco biały odcień i Doc zobaczył, jak dotkliwie przez cały czas cierpiał, ile musiał dla niego znaczyć Leonard, jak bardzo liczył, że cała ta desperacka gadanina pomoże mu się pozbiierać... choć było coś, o czym nie wolno mu było mówić, podejrzania, których nie wolno mu było snuć, a kluczem do tego był najwyraźniej Coy Harlingen. Pepe w dalszym ciągu milczał. Dźwięk grających we wszystkich pokojach telewizorów łączył się w kaleczącą uszy kakofonię.

– Nie, to nazwisko nic mi nie mówi – powiedział w końcu zdecydowanie zbyt późno. – Ale rozumiem. Tyle niepotrzebnych tragedii. Wierzę, że możecie zrobić coś wspaniałego.

Jeżeli El Drano zamienił na czyjeś polecenie sprzedawany Coyowi trzyprocentowy chłam na coś, co miało go na pewno zabić, w takim razie nie ulegało wątpliwości, że nikt nie zatroszczył się później, by powiedzieć mu, że to był kant i Coy nadal żyje. Przez cały ten czas pozwolili mu żyć w przekonaniu, że jest mordercą. Czy okazało się to w końcu zbyt wielkim ciężarem dla sumienia, które zdaniem Pepe jednak posiadał? Czy miał zamiar komuś się przyznać? Komu było to nie na rękę?

Na jednym ze stołów bile leżały w niemożliwym do rozegrania ustawieniu, czekając na jakiegoś sportowego supermena.

– Jeden z bezpiecznych strzałów Lenny’ego – powiedział Pepe. – Leżą tam, odkąd wyszedł i nie wrócił. Ciągle chcę zakończyć tę partię, wiem, że dałbym radę, ale jakoś...

Kiedy Doc wracał do samochodu, zrobiło się trochę spokojniej. Ćpuni wrócili do domu i układali się do snu, umilkły krzyki i nawoływania, księżyc zaszedł, to, co wyłowiono, było uratowane, a to, czego nie udało się wyłowić, przepadło na dobre, chyba że trafi nazajutrz w ręce jakiegoś szczęściarza z załogi pogłębiarki. Znalezione, niezalezione, a także to, co Sancho nazywał laganem, co specjalnie zgubiono, a później znaleziono... Coś na kształt psotnego kurczaka skrobało teraz ścianę zapuszczonej stodoły, którą był mózg Doca, ale nie mógł tego nie tylko umiejscowić, ale i zidentyfikować.

Uznał, że powinien chyba pogadać o Adrianie Prussii z Fritzem, który miał częściej do czynienia z tym windykatorem długów. Sparky, który pracował na nocną zmianę, jeszcze nie przyszedł.

– W ogóle nie zbliżałbym się do Adriana – poradził Fritz. – Nie jest już zdrowym psychicznie szyczą z Izby Handlowej, którego znaleźliśmy w dawnych czasach. Zrobił się z niego kawał skurwysyna.

– Czy może być jeszcze gorszy, niż był? To z jego powodu przestałem być pacyfistą i zacząłem nosić broń.

– Coś się z nim porobiło, skumał się z kimś, kto był ważniejszy od niego, ważniejszy od wszystkich, z którymi miał wcześniej do czynienia.

– Słyszałem o nim coś podobnego dziś wieczorem w Venice. Ktoś użył zwrotu „instytucje zarządzające i kontrolujące”. Wtedy dziwnie mi to zabrzmiało. Z kim rozmawiałeś?

– Z biurem prokuratora stanowego, od lat na niego polują. Ale nikt nie może go ruszyć, częściowo z powodu interesującego portfolio długów, którymi się zajmuje. Same kwoty nie są takie wysokie, ale wystarczy ujawnić jeden z długów, żeby zapewnić posłuszeństwo.

– Posłuszeństwo wobec...

– Zarządzających. Kontrolujących. Prussia dostaje pieniądze i niewielką dołę, a tamci gwarancję, że to, co powinno być zrobione, będzie zrobione.

– Ale są przecież inni windykatorzy długów. Oni też biorą w tym udział?

– Chyba nie. Prussia ma alergię na konkurencję. Każdy, kto chciałby mu odebrać prowizję, wpada w nieoczekiwane kłopoty.

– To znaczy ginie?

– Możesz to ująć w ten sposób.

– Ale im więcej robi takich rzeczy...

– Tym większa jest szansa, że go przy skrzynią. Tak ci się wydaje. Ale nie dojdzie do tego, jeśli kontroluje tych, którzy najczęściej zajmują się przyskrzynianiem.

– Mówisz o policji Los Angeles?

– Broń Boże.

– Więc immunitetem, który ma u nich Prussia, objęci są również ludzie, których wysyła po odbiór gotówki?

– Tak to zwykle funkcjonuje.

– Zatem coś tu nie gra. – Doc przedstawił w skrócie dzieje Pucka Beavertona. – Wiesz, za co go ostatnim razem zgarnęli? Sprawdziłem to. Znaleźli jedno małe ziarenko w worku odkurzacza. Wybroniłby go z tego mój siostrzeniec, który ma pięć lat. Ale nikt się tym nie zajął, aresztowali go i ze swoją kartoteką mógł trafić do pierdła na całe sześć lat.

– Może obraził jakiegoś gliniarza?

– To nie może dotyczyć żadnego z gliniarzy, którzy pożyczali u Prussii. Wszyscy byli z nim w przyjaznych stosunkach. Ale Puck był chyba jedynym z ludzi Prussii, który poszedł siedzieć.

– Więc tak naprawdę to była sprawa osobista.

– Cholera. To znaczy, że będę musiał znów porozmawiać z Wielką Stopą.

– Powinieneś już wiedzieć, jak to się robi.

– Nie. Mam na myśli: jak człowiek z człowiekiem.

– Jezu. Nie mów mi, jak to może wyglądać.

*

Doc uznał, że najprędzej natknie się na Wielką Stopę na strzelnicy „Kropnij sprawcę” przy South La Brea. Z jakiegoś powodu Bjornsen lubił korzystać z cywilnych strzelnic. Czy jego zwierzchnicy zakazali mu wchodzenia na teren policyjnych? Czy zbyt wielu kolegów liczyło, iż go tam ustrzeli i uda, że to był wypadek? Doc nie zamierzał o to pytać.

Pojechał na strzelnicę po kolacji, kiedy tylko się ściemniło. Wiedział, że Wielka Stopa preferuje dział zagrożeń miejskich, mafijnych i hipisowskich (MMH), gdzie naturalnej wielkości plastikowe sylwetki czarnych, latynoskich i długowłosych wrogów publicznych wyskakują znieacka na ćwiczącego, który rozwała sukinsynów na kawałki. Sam Doc lubił spędzać najwięcej czasu w gorzej oświetlonej części strzelnicy. Ostatnio te wizyty miały związek nie tyle z ćwiczeniami w nocnym widzeniu ile z Johnem Garfieldem zabitym w ryszotku, zabitym przez prawdziwą hollywoodzką zdradę, prześladowania oraz system kontroli, w którym wydarzenia takie jak to były nieuniknione, ponieważ zależały wyłącznie od zimnej determinacji, prędkości wylotowej i pocisków wystrzelonych w ciemności.

Tak jak się spodziewał, zobaczył Wielką Stopę, który płacił właśnie przy kasie.

– Muszę pogadać – powiedział Doc.

– Wybierałem się do Raincheck Room.

Ceniony, mieszczący się w West Hollywood bar znany był w tamtym okresie z oszczędności na prądzie. Doc i Wielka Stopa znaleźli boks w głębi.

– Swoją drogą, pani Bjornsen przesyła wyrazy szacunku.

– Co ty mówisz? Ona mnie nienawidzi.

– Nie, właściwie ją zaintrygowałeś. Gdybym tak bardzo jej nie ufał, wzbudziłoby to moją zazdrość.

Doc starał się nie pokazać po sobie współczucia. Ty biedny szwedzki śledziu, pomyślał, mam nadzieję, że trzymasz swoją służbową trzydziestkęósemkę pod kluczem. Z tego, co się zorientował, ta kobieta była w niebezpiecznym stopniu niezrównoważona, i oceniał, że najpóźniej za półtora tygodnia Bjornsenów czeka apokalipsa.

– Jasne, pozdrów ją ode mnie.

– Mogę ci dziś wieczorem jeszcze czymś służyć?

– Popraw mnie, jeśli się mylę, Wielka Stopo, ale od pewnego czasu stało się dla mnie jasne, że chciałbyś zamienić kilka słów z Puckiem Beavertonem. Nie mogłeś się jednak z tym zdradzić, ponieważ wówczas naraziłbyś się nieokreślonym mocom, więc zamiast tego bez przerwy wystawiałeś mnie na strzał... Czy mniej więcej trafnie to przedstawiam?

– Stąpamy po kruchym lodzie, Sportello.

– Wiem o tym, człowieku, ale przez minutę ktoś musi być mniej wrażliwy i walnąć prosto z mostu, o co chodzi, bo mam serdecznie dosyć tej zabawy w ciuciubabkę, i jeśli jest coś, co powinieneś ujawnić, to dlaczego to dla ciebie takie cholernie trudne?

W wypadku Doca mogło to uchodzić za wybuch. Wielka Stopa spojrział na niego z czymś, co w jego wypadku mogło uchodzić za zdumienie.

– Mógłbym się poczęstować? – zapytał, wskazując podbródkiem kieszeń na piersi Doca.

– Nie będziesz teraz zaczynał jarać, Wielka Stopo, jaramie szkodzi ci na dupę.

– Nie mam zamiaru wsadzać w nią szluga!

– A skąd mam to wiedzieć?

Wielka Stopa zapalił i nie zaciągając się, dmuchnął dymem, co tylko zirytowało Doca.

– Wśród niektórych moich kolegów Puck Beaverton cieszył się zawsze zaskakująco dużą sympatią jak na kryminalistę z widocznymi problemami emocjonalnymi i swastyką na głowie – zaczął i na chwilę zamilkł. – Uważali go za całkiem miłego faceta. Z wielu powodów – dodał.

– A teraz mam powiedzieć...

– Dałem ci wskazówkę. Przepraszam. To nałóg.

– Taki sam jak palenie.

– W porządku. – Wielka Stopa zgasił z rozdrażnieniem papierosa i spiorunował wzrokiem Doca, który z przyzwyczajenia spojrział tęsknie na przydługiego peta. – Firma, która zatrudniała kiedyś Pucka, AP Finance, prowadziła regularne interesy z wieloma funkcjonariuszami. Wszystko to odbywało się w przyjaznej atmosferze i z tego co wiem,

zgodnie z prawem. Może z jednym niefortunnym wyjątkiem.

Tego nazwiska nie wolno było wymówić na głos. Doc wzruszył ramionami.

– To stąd wzięły się te kłopoty z wydziałem wewnętrznym, o których ciągle wspominasz – rzucił, miał nadzieję, lekkim tonem.

– Proszę, zrozum, jeśli naprawdę nie musisz wiedzieć...

– Mnie to pasuje, Wielka Stopo. A ten gliniarz, którego nazwiska nie wymieniałeś... jak Puck się do niego odnosił?

– Nienawidził go i gliniarz odwzajemniał mu się tym samym. Nie bez... – Wielka Stopa się zawahał.

– Nie bez racji. Ale macie jedenaste przykazanie, które zakazuje krytykowania kolegów. Rozumiem to. – Docowi przyszła do głowy pewna myśl. – Nie będzie chyba niestosowne, jeśli zapytam, czy ta osoba nadal pracuje w policji?

– Jest... – Milczenie było równie wymowne jak słowo, które nie padło. – Jej status jest nieaktywny.

– Akta osobowe są z pewnością niedostępne.

– Wydział wewnętrzny utajnił wszystko do roku dwutysięcznego.

– Nie wygląda mi to na przyczyny naturalne. Jak śpiewa Elvis, komu dziękować za tyle szczęścia?

– Poza tym, co rozumie się samo przez się?

– Puck, jasne, to mógł być on. Ale powiedz mi, ten gliniarz... jak go nazwiemy?

Funkcjonariusz X?

– Detektyw X.

– No dobrze, powiedzmy, że to właśnie ten tajemniczy gliniarz aresztował Pucka pod śmiesznym zarzutem posiadania jednego ziarna trawki, mając nadzieję, że ze swoją kartoteką trafi na jakiś czas do Folsom. Jeżeli to nie Puck go kropnął, to zastanówmy się, kto jeszcze... Co powiesz na Adriana Prussia, który nie może pozwolić, by zszargano mu opinię, a mogłoby do tego dojść, gdyby choć jeden z jego byłych pracowników został aresztowany lub nawet skazany. To byłby strzał skierowany nie tylko w Pucka, ale i w Adriana. Prawie tak samo fatalny w skutkach, jak odmowa spłaty długu przez jednego z dłużników. Co się dzieje w takich sytuacjach? Zapomniałem.

– Zaczynasz rozumieć? – Wielka Stopa pokiwał ponuro głową. – Wydaje ci się, że policja Los Angeles to jeden wielki monolit, prawda? Że przez cały dzień kombinujemy tylko, jak dobrać się do skóry twoim koleżkom hipisom. Tymczasem bardziej przypomina to spacerniak w San Quentin: gangi, narkomani, bandziory, dziwki, kapusie, a wszyscy uzbrojeni.

– Czy mogę powiedzieć coś na głos? Czy ktoś mnie słucha?

– Wszyscy. Nikt. Jakie to ma znaczenie?

– Powiedzmy, że Adrian Prussia kropnął tego detektywa X albo kazał to zrobić. I co się dzieje? Nic. Być może wszyscy w policji Los Angeles wiedzą, że to jego robota, ale nie ma żadnych przecieków do gazet, żadnych prób zemsty ze strony oburzonych kolegów... Nie, zamiast tego wydział wewnętrzny zamyka wszystko na klucz na następne trzydzieści lat i wszyscy udają, że to kolejny bohaterski gliniarz, który zginął, wypełniając swoje obowiązki. Nie mówię już o przyzwoitości i szacunku w stosunku do wszystkich naprawdę bohatersko poległych policjantów... Jak możecie być tak kurewsko nieprofesjonalni?

– Jest jeszcze gorzej – stwierdził powoli i nieco sztywno Wielka Stopa, jakby próbował na próżno zwrócić Docowi uwagę, że mówi o sprawach, do których cywile od wielu lat nie mają dostępu. – Prussia był głównym podejrzanym w sprawie... powiedzmy, szeregu zabójstw... i za każdym razem, po interwencji z góry, wychodził na wolność.

– I co ty na to? Czy to nie straszne?

– Twierdzą, że wszystko ma swój powód, Doc, i zanim zapłoniesz świętym oburzeniem, zechcesz być może zastanowić się, dlaczego wydział spraw wewnętrznych nie tylko ukreślił

sprawie łeb, ale w ogóle się w to angażował.

– Poddaję się. Dlaczego?

– Zastanów się. Zrób użytek z resztek swojej mózgowicy. Kłopot z wami polega na tym, że nigdy nie zdajecie sobie sprawy, że ktoś wyświadcza wam przysługę. Uważacie, że cokolwiek to jest, macie do tego prawo, bo jesteście tacy uroczy czy coś w tym rodzaju. – Wielka Stopa wstał, rzucił na stół garść monet, zasalutował ze złością barmanowi i zaczął szykować się do wyjścia. – Spójrz czasami w lustro. Pomyśl nad sobą, „człowieku”, i kiedy zrozumiesz, że nikt nie jest ci nic winien, wróć do mnie. – Doc widywał od czasu do czasu Wielką Stopę w złym humorze, ale tym razem policjant w ogóle nie panował nad emocjami. Przystanęli na rogu Santa Monica i Sweetzer. – Gdzie zaparkowałeś? – zapytał Wielka Stopa.

– Przy Fairfax.

– To w moją stronę. Chodź ze mną, Sportello. Coś ci pokażę. – Ruszyli Santa Monica Boulevard. Po obu stronach hipisi podnosili kciuki, czekając na okazję. Z samochodowych radioodbiorników płynął rock and roli. Muzycy, którzy właśnie się obudzili, wychodzili z Tropicany, szukając miejsc, w którym mogliby zjeść wieczorne śniadanie. W powietrzu unosiły się opary marihuanowego dymu, gotowe zaatakować nieostrożnego przechodnia. Mężczyźni mamrotali do siebie w bramach. Po przejściu kilku przecznic Wielka Stopa skręcił w prawo i ruszył w stronę Melrose. – Okolice wydaje ci się znajoma?

Doc doznał olśnienia.

– Mieszkał tu kiedyś Puck. – Zaczął szukać wzrokiem tonącego w roślinności osiedla, o którym mówiła mu Trillium. Ciekło mu z nosa, dygotały obojczyki i zastanawiał się, czy jakimś dziwnym trafem zza rogu nie wyłoni się lub, jak lubiła to określać Sortilege, nie objawi, cała szczęśliwa trójka albo któreś z nich. Kątem oka dostrzegł, że Wielka Stopa uważnie go obserwuje. I kto powie, że ludzie nie podróżują w czasie, że miejsca z adresami w realnym świecie nie mogą być nawiedzane nie tylko przez martwych, lecz również przez żywych? Palenie dużej ilości trawki i sporadyczne zażywanie kwasu może tu pomóc, ale czasami udaje się to nawet ograniczonym umysłowo abstynentom takim jak Wielka Stopa.

Podeszli do osiedla, którego kształt zacierał się w mroku.

– Idź się rozejrzeć, Sportello. Usiądź przy tym basenie pod nowozelandzkimi srebrnymi paprociami. Delektuj się nocą. – Wielka Stopa udał, że zerka na zegarek. – Ja niestety będę musiał uciekać. Czeka na mnie moja pani.

– Naprawdę wyjątkowa z niej dama. Pozdrów ją ode mnie.

W oknach mieszkań nie paliły się światła i nie widać było poświaty bijącej od kineskopów. Cały budynek mógł być opuszczony. Ledwo słyhać było samochody jadące Santa Monica Boulevard. Wszedł księżyc. W zaroślach hałasowały małe stworzenia. Po jakimś czasie z gąszczu wyłoniły się jednak nie duchy, lecz logiczne wnioski.

Jeśli wydział spraw wewnętrznych zatuzszował morderstwo policyjnego detektywa, w takim razie komuś w komendzie musiało zależeć na jego śmierci. Jeśli nie chciał zrobić tego sam, w takim razie wynajął kontraktowych zabójców, na których liście mógł się śmiało znajdować Adrian Prussia. Dobrze byłoby przyjrzeć się innym morderstwom, które zdaniem Wielkiej Stopy uszły Adrianowi na sucho. Jednak nawet gdyby Wielka Stopa miał dostęp do tych informacji, nie mógł ich przekazać bezpośrednio Docowi. Dlatego tak bardzo zależało mu, by Doc zapoznał się szybko w jakiś inny sposób z historią windykatorka długów.

Doc zastanawiał się, jak można by to zrobić. Po ARPA-necie nie można się było zbyt dużo spodziewać – według Fritza nigdy nie było wiadomo, co uda się w nim znaleźć, a czego nie. Pozostawała zatem Penny, która już raz sprzedała go federalnym i nie miałyby większych obiekcji, by sprzedać go jeszcze raz, tym razem policji Los Angeles. Penny, która być może nie ma już ochoty go oglądać. Ta Penny.

Doc nie prowadził dokładnych rachunków, ale w gmachu sądów spędził prawdopodobnie znacznie więcej czasu na górnych piętrach, w areszcie dla mężczyzn, aniżeli na dole, po przeciwnej stronie barykady. Windy obsługiwała drużyna umundurowanych kobiet dowodzona i terroryzowana przez wielką funkcjonariuszkę straży więziennej z fryzurą afro, która stała w holu z parą kastanietów, ekspedując kolejne kabiny różnymi sygnałami. „Tkkttrrrrrkk-tk-tk” mogło na przykład znaczyć: „Następna winda numer dwa, czterdzieści pięć sekund na załadunek i wyładunek, proszę szybko” i tak dalej. Przed wpuszczeniem na pokład zmierzyła Doca uważnym spojrzeniem.

Penny dzieliła swoją klitkę z inną zastępczynią prokuratora okręgowego o nazwisku Rhus Frothingam. Kiedy Doc wsadził głowę do pokoju, nie otworzyła szeroko ust, lecz dostała niekontrolowanej czkawki.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Rhus.

Zacząła wyjaśniać, o co jej chodzi, ale między kolejnymi czknięciami Doc usłyszał tylko „... ten, o którym ci mówiłam...”

– Czy mam wezwać ochronę?

Penny posłała mu pytające spojrzenie, jakby chciała to rozstrzygnąć. Równie dobrze mogłyby być mieszkającymi przy plaży stewardesami. Rhus siedziała sztywno przy swoim biurku, udając, że studiuje akta. Penny przeprosiła i udała się do toalety, zostawiając Doca, który pławiał się w spojrzeniu Rhus niczym stara chłodnica w kąpieli kwasowej. Po jakimś czasie wstał, wymaszerował na korytarz i natknął się na Penny wychodzącą z łazienki.

– Zastanawiałem się tylko, kiedy będziesz miała wolny wieczór, żebyśmy mogli się gdzieś wybrać. Nie chciałem cię wystraszyć. Mogę ci nawet postawić kolację.

Charakterystyczne spojrzenie w bok.

– Myślałam, że już nigdy nie będziesz chciał się do mnie odezwać.

– Właściwie FBI podziałało na mnie niezwykle stymulująco, więc uznałem, że jestem ci winien zeberka czy coś w tym rodzaju.

Czymś w tym rodzaju okazała się wizyta w otwartej niedawno przy Melrose knajpie ze zdrowym jedzeniem o nazwie Worek Mądrości. Doc usłyszał o niej od Denisa, który nie mógł się nachwalić. Mieściła się na piętrze, nad zapuszczonym barem, w którym przesiadywał podczas jednej ze swoich gorszych faz, zapomniał już której. Penny spojrzała na migający czerwony neon i zmarszczyła czoło.

– Ruby’s Lounge, no tak, teraz sobie przypominam, policja aresztuje tutaj co najmniej jednego przestępcę tygodniowo.

– Z tego co pamiętam, mają fantastyczne cheeseburgery.

– Miejscowi krytycy kulinarni uznali je jednogłośnie za najbardziej toksyczne w aglomeracji Los Angeles.

– Jasne, ale dzięki temu rzadziej narusza się przepisy sanitarne. Pomyśl o wszystkich tych zatrutych na śmierć myszkach i karaluchach leżących codziennie rano z nóżkami w powietrzu obok hamburgerów, które były tego przyczyną...

– Robię się coraz głodniejsza.

Kierując się odręcznie sporządzonym napisem „WIĘCEJ JEST WART WOREK

MĄDROŚCI NIŻ RUBY'S, KSIĘGA HIOBA, 28, 18", Doc i Penny weszli do sali, w której było mnóstwo paproci, gołe cegły, witraże, obrusy na stołach oraz Vivaldi płynący z głośników. Żadna z tych rzeczy nie wydała się Docowi zbyt obiecująca. Czekał na stolik, przyjrzał się innym gościom, z których wielu miało chyba problemy z utrzymaniem kondycji i zerknął na siebie znad sałatek w kształcie miniaturowych gór w ogrodach zen, próbując za pomocą kieszonkowych latarek i szkieł powiększających zidentyfikować różne przyrządzone z soi obiekty lub zaciskając w pięściach sztucce i wpatrując się w bakłażana a la Wellington oraz romboidalne kromki jaskrawozielonego chlebka z jarmużu na za dużych o jeden rząd wielkości talerzach.

Doc zaczął się zbyt późno zastanawiać, jak bardzo uwalony był Denis, kiedy tutaj przyszedł. Sytuacja nie poprawiła się, kiedy podano im w końcu menu.

– Możesz z tego cokolwiek zrozumieć? – zapytał po chwili. – Nie potrafię nic odczytać. Czy to ze mną jest coś nie tak, czy to jakiś obcy język?

Penny posłała mu uśmiech, któremu nauczył się zbytnio nie ufać.

– Może mi coś wyjaśnisz, Doc, bo zaproszenie mnie do takiego miejsca można uznać za akt wrogości. Jesteś na mnie wkurzony? Czy nie jesteś?

– Taki mam wybór? Poczekaj chwileczkę...

– Ci agenci federalni pomogli mi przy innej sprawie. Wydawało mi się, że mogę się w ten sposób łatwo zrewanżować.

– Cały ja – mruknął Doc. – Zawsze łatwy.

– Więc jednak jesteś wkurzony.

– Mam to już za sobą. Ale wcześniej mnie nie zapytałaś.

– Nie zgodziłbyś się. Wy wszyscy nienawidzicie FBI.

– Co to znaczy „wy wszyscy”? W szkole należałem do klubu juniorów Dicka Tracy'ego! Uczyłem się, jak podglądać sąsiadów, w pierwszej klasie zdjąłem wszystkim odciski palców, zalałem wszystko atramentem i wysłali mnie do gabinetu dyrektora... „Jestem przecież juniorem Dicka Tracy'ego! Słyszeli o mnie w Waszyngtonie!”. Musiałem przez miesiąc zostawać po lekcjach, ale pilnowała mnie pani Keeley i co jakiś czas mogłem jej zajrzeć pod spódnicę, więc nie było tak źle.

– Co za paskudny bachor.

– Zrozum, to było, zanim wynaleźli minispódniczki.

– Posłuchaj, Doc, federalni naprawdę chcą wiedzieć, co robiłeś w Vegas.

– Włóczyłem się z Frankiem i jego paczką i grałem trochę w bakarata. Powiedz lepiej, co robili tam ci twoi dwaj durni kumple w tanich garniturach, którzy deptali mi po odciskach?

– Proszę. Mogą cię pozwać. Mają obradujące permanentnie ławy przysięgłych, o których wiadomo, że skazały fasolowe burrito. Mogą ci przysporzyć solidnego bólu głowy.

– Tylko po to, żeby dowiedzieć się, dlaczego pojechałem do Vegas? Ci ludzie nie liczą się z kosztami.

– Możesz to powiedzieć mnie, a ja im przekażę.

– Powiedz mi, Penny, tak między nami juniorami Dicka Tracy'ego, co będziesz z tego miała?

Penny spoważniała.

– Nie wiem, czy chcesz to wiedzieć.

– Niech zgadnę. Tu nie chodzi o coś miłego, co dla ciebie zrobią, ale o coś wrednego, czego ci nie zrobią.

Dotknęła jego ręki, jakby robiła to tak rzadko, że nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać.

– Gdybym mogła przez sekundę uwierzyć...

– Że potrafię cię obronić.

– W tym momencie wystarczyłby nawet jakiś praktyczny pomysł.

Północ, ciemno choć oko wykol, nie wiadomo, czy spuścili wodę z basenu, czy jej nie spuścili, ale jakie to, kurwa, ma znaczenie? Odbił się raz i drugi od deski i runął na oślep w dół.

– Wiesz chyba, że twoi kumple mają Mickeya Wolfmanna?

– FBI. – Być może na końcu był znak zapytania, ale Doc go nie usłyszał. Penny zmrużyła oczy i żyła na jej skroni zaczęła pulsować tak intensywnie, że można by pomyśleć, iż jeden z jej kolczyków wysyła sygnały ostrzegawcze. – Podejrzewaliśmy to, ale nie możemy niczego udowodnić. A ty?

– Widziałem, jak go eskortowali.

– Widziałeś go. – Przez kilka sekund się zastanawiała, wystukując na obrusie rytm szkolnego marsza. – Chciałbyś złożyć zeznanie pod przysięgą?

– Jasne, kotku, czemu nie?... Eee, poczekaj, a co to znaczy?

– Ty, ja, magnetofon, być może jeszcze jeden zastępca prokuratora, żeby poświadczyć zeznanie.

– Kurczę, mógłbym dorzucić jeszcze kilka taktów *Thats Amore*. Rzecz w tym, że...

– No dobrze, powiedz, czego chcesz.

– Zajrzeć do czyjejś teczki. Stara historia, ale została utajniona. Do roku dwutysięcznego.

– To wszystko? To przecież nic takiego, robimy to bez przerwy.

– Sięgacie do oficjalnie niedostępnych akt? A ja pokładałem taką wiarę w system.

– W tym tempie będziesz mógł już wkrótce zdawać egzamin adwokacki. Słuchaj, nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali do mnie? – zapytała i Doc natychmiast, choć założyłby się, że to niemożliwe, dostał erekcji.

– Po drodze możemy kupić pizzę – powiedziała, jakby to zauważyła.

Dawniej, w czasach, gdy cierpiał na zaburzenia kontroli impulsów, odpowiedziałby natychmiast: „Wyjdź za mnie”.

– Zmieniłaś fryzurę – stwierdził zamiast tego.

– Ktoś mnie namówił, żebym odwiedziła tego mądrąłę przy Rodeo Drive. Zrobił mi te pasemka, widzisz?

– Ekstra. Wyglądasz, jakbyś od dawna mieszkała przy plaży.

– Mieli w promocji fryzurę „Dziewczyna surfera”.

– Specjalnie dla mnie?

– Dla kogóżby innego, Doc?

W jej mieszkaniu uporali się z pizzą mniej więcej w półtorej minuty. Oboje sięgnęli jednocześnie po ostatni kawałek.

– To chyba moje – powiedział Doc.

Penny puściła pizzę, złapała go za penisa i ścisnęła.

– A to chyba jest... – mruknęła, po czym sięgnęła po pudełko z jakąś azjatycką trawką, której zapach wdychał, odkąd wszedł do pokoju. – Skręć nam jednego, a ja pójdę poszukać odpowiedniego stroju.

Kończył właśnie zwijać jointa, kiedy wróciła, nie mając na sobie zupełnie nic.

– Proszę, proszę...

– Na pewno nie jesteś wkurzony?

– Ja? Wkurzony? A co to takiego?

– No wiesz, gdyby ktoś, na kim mi zależy, nawet jeśli chodzi tylko o przypadkowy seks, sprzedał mnie FBI, na pewno długo bym się zastanawiała... – Doc zapalił i podał jej skręta. – Chcę powiedzieć – dodała z naciskiem, wydmuchując po raz drugi dym – że gdyby to był mój kutas...? I jakaś zadowolona z siebie prokuratorka myślała, że ujdzie jej to na sucho?

– Aha – domyślił się Doc. – Chyba masz rację. Pozwól, że...

– Tylko spróbuj! – wykrzyknęła – ty nafaszerowany prochami, szurnięty hipisie, zabieraj stąd rękę, kto powiedział, że możesz to zrobić, puść moją, za kogo ty się uważasz... – Ale w

tym momencie już się pieprzyli, można powiedzieć, dość energicznie. To było szybkie, lecz nie za szybkie, podłe i dość wyuzdane, było wspaniałą zabawą na hajdu, i właściwie przez niewiarygodnie krótki moment Doc wierzył, że nigdy się nie skończy. Udało mu się jednak nie wpaść z tego powodu w panikę.

Normalnie Penny zerwałaby się od razu z kanapy i znów zajęła sprawami tego świata, a Doc doczołgałby do telewizora z nadzieją, że choć ten wieczór zarezerwowany jest dla Dywizji Wschodniej, obejrzy jakieś play offy. Lecz tym razem, tak jakby dla obojga ważna była chwila milczenia i czułości, położyli się po prostu razem i spokojnie wypalili jeszcze jednego skręta, który dzięki wysokiej zawartości żywicy taktownie zgasł, kiedy tylko wyładował w popielniczkę. Zbyt szybko jednak (zupełnie jakby do pokoju wpadła rzeczywistość, zapaliła światła, rozejrzała się i głośno chrząknęła) nadeszła pora na wieczorne wiadomości, które jak zwykle i ku coraz większej irytacji Penny zdominowały najnowsze doniesienia na temat sprawy Mansona.

– Daj sobie siana, Bugliosi – warknęła w stronę telewizora, kiedy prokurator prowadzący zaczął swój kilkuminutowy nocny występ przed kamerami.

– Myślałem, że cała ta przedprocesowa sieczka jest ci dobrze znana – powiedział Doc.

– Była, przez jakiś czas. Pozwolili mi przyjąć kilka zeznań, ale potem chłopcy uznali, że będą się sami w to bawili. Jedyne, co mnie w tym wszystkim rajcuje, to to, jak te hipiski robiły wszystko, co im kazał Manson. Ten układ pana i niewolnicy, rozumiesz, jest całkiem fajny...

– Naprawdę? Nigdy nie mówiłaś, że to cię pociąga. Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas mogliśmy...

– Z tobą? Daruj sobie, Doc.

– Co?

– No cóż... – Czy w jej oczach zapaliło się to, co nazywają „figlarnym błyskiem”? – Jesteś wystarczająco niski. Chyba. Ale zrozum, to nie polega tylko na hipnotycznym spojrzeniu. Wielkim atutem Charliego jest to, że nie jest wcale wyższy od pań, którym rozkazuje. Może i chodzi o to, że pieprzysz się z tatką, lecz naprawdę perwersyjne jest to, że tatko ma tylko pięć stóp i dwa cale wzrostu.

– Kurczę, człowieku... mogę nad tym popracować?

– Tak czy owak, informuj mnie.

Na ekranie pojawiła się reklama nocnego filmu, którym tego wieczoru miał być Ghidorah, trój głowy potwór z 1964 roku.

– Hej, Penny, idziesz jutro do pracy?

– Może koło południa. Jeśli nie masz lepszych pomysłów, chyba pójdę spać.

– Nie, poczekaj, to coś, co może ci się naprawdę spodobać.

Doc próbował jej wyjaśnić, że ten japoński film o potworach jest w rzeczywistości remakiem klasycznej romantycznej komedii *Rzymskie wakacje* z 1953 roku. W obu filmach odwiedzająca inny kraj dystygowana księżniczka spotyka bohatera z klasy robotniczej, który traci dla niej głowę, niemniej mimo przeżytych wspólnie przygód, para musi się pod koniec rozstać. Gdzieś w połowie tego opisu Penny, osunąwszy się z gracją na kolana, zaczęła ssać mu ptaka, i zanim się zorientowali, znów się pieprzyli. Kiedy siedzieli potem na kanapie, zaczął się film. Doc musiał w pewnym momencie przysnąć, ale pod koniec ocknął się i zobaczył Penny, która łkała w kleenex, urzeczona ludzkim bądź też romantycznym aspektem fabuły.

*

Nazajutrz był, jak to mówią, kolejny dzień, i Doc, siedząc ponownie w gmachu sądów na krześle z jakiejś urządzonej dawno temu podwórkowej wyprzedaży, przed podłączonym do magnetofonu mikrofonem w zapuszczonej klitce między szczotkami, mopami, detergentami

oraz starodawną froterką zmontowaną chyba z części czołgu z drugiej wojny światowej, zaczął się zastanawiać, czy wczorajsza czuła Penny nie była jakimś omamem. Nazywała go bez przerwy Larry i unikała kontaktu wzrokowego. Sprowadzonym świadkiem okazała się naturalnie jej koleżanka Rhus, której spojrzenie zmieniło się w ciągu nocy z podejrzliwego w nienawistne.

Doc, który wpadł wcześniej do biura po swój dziennik pokładowy, świadectwo nie tyle jego profesjonalizmu, ile dziurawej pamięci ćpuna, opowiedział im, co widział w Vegas. Niezwykle zainteresowanie wzbudził z jakiegoś powodu biały garnitur Mickeya. Umieszczenie butonierki i tak dalej. To, czy był kupiony w sklepie, czy szyty na miarę. Chciały również wiedzieć, w jakim Mickey był nastroju. Kto był obecny oprócz FBI? Kto dowodził?

– Trudno powiedzieć. Byli ludzie z ochrony kasyna i najprzeróżniejsi cywile w garniturach, ale jeśli chodzi wam o mafię, to znaczy, czy ktoś miał na głowie czarną fedorę i odzywał się w stylu Eddiego Robinsona, to nie, niczego takiego nie zauważyłem.

Te manewry prokuratury okręgowej naprawdę robiły na Docu wrażenie zmagania mrówek ze słoniami. FBI może zgwałcić w południe w Mauzoleum Lincolna samego prezydenta, a lokalnym stróżom porządku wolno co najwyżej stać i patrzeć, walcząc z mniejszymi lub większymi mdłościami w zależności od tego, kto pełni akurat najwyższy urząd.

Z drugiej strony nikt nie pytał o Pucka Beavertona, a on nie zamierzał o nim mówić niepytany. Raz czy dwa spostrzegł, że zastępczyni prokuratora zerkają na siebie znacząco. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

– To chyba wszystko – stwierdziła wreszcie Penny, kiedy skończyła się taśma. – W imieniu biura prokuratora okręgowego dziękuję panu za współpracę, panie Sportello.

– A ja dziękuję, panno Kimball, że nie podziękowała mi pani, kiedy jeszcze to nagrywaliśmy. Niech mi wolno będzie także dodać, panno Frothingam, że pani spódniczka jest dzisiaj wyjątkowo atrakcyjnej długości.

Rhus wrzasnęła i złapała galwanizowaną śmietniczkę, mając zamiar cisnąć nią w głowę Doca, ale Penny przeszkodziła jej i wyprowadziła na korytarz. Tuż przed wyjściem spojrzała na Doca, wskazała telefon i udała, że trzyma w ręku słuchawkę. Kto do kogo miał zatelefonować, pozostało w sferze domysłów.

Zegar ścienny, przypominający Docowi podstawówkę w San Joaquin, pokazywał zupełnie niemożliwą godzinę. Czekał kilka chwil, aż przesuną się wskazówki, a kiedy do tego nie doszło, wydedukował, że zegar się zepsuł, być może nawet przed wielu laty. Co specjalnie mu nie przeszkadzało, ponieważ dawno temu Sortilege nauczyła go ezoterycznej sztuki odczytywania czasu z zepsutego zegara. Trzeba było przede wszystkim zapalić skręta, co w gmachu sądów mogło wydać się dziwne, choć pewnie nie w tym miejscu, które – kto wie? – być może nie podlegało nawet jurysdykcji miejscowej agencji do zwalczania narkotyków. Doc na wszelki wypadek zapalił również klasyczne mafijne cygaro De Nobili i wypełnił pokój kłębamii profilaktycznego dymu. Sztachnąwszy się kilka razy trawką, spojrzał na zegar, który rzeczywiście wskazywał teraz inną godzinę, choć mogło to również wynikać z tego, że Doc zapomniał, gdzie są wskazówki.

Zadzwoił telefon.

– Zejdź do mojego boksu – usłyszał głos Penny, kiedy podniósł słuchawkę. – Będzie tam na ciebie czekała paczka. – Bez żadnego „cześć” i w ogóle.

– Będziesz tam?

– Nie.

– A ta, jak ona się nazywa?

– Nie będzie tam nikogo oprócz ciebie. Nie musisz się spieszyć.

– Dziękuję, kotku. Aha, swoją drogą zastanawiałem się, czy gdybym znalazł ci perukę w stylu panienek Mansona, nie byłoby problemem... – Zmiana tła dźwiękowego mogła

sugerować, że Penny odłożyła słuchawkę. – Myślałem o czymś w stylu Lynette „Squeaky” Fromme, no wiesz, jednocześnie długie i kręcone, i... hmm... Penny?

*

Na dole, w klitce Penny, na poobijanym, starym, drewnianym stole czekała na Doca udekorowana wszelkiego rodzaju nalepkami z napisem „ściśle tajne” dokumentacja dziwnej przygody Adriana Prussii z kalifornijskim kodeksem karnym, obejmująca jego liczne ucieczki przed karą za morderstwa pierwszego stopnia. Doc zapalił koola, otworzył teczkę, zaczął czytać i od razu stało się dla niego jasne, dlaczego policja nie chciała nic o tym wiedzieć. W pierwszym odruchu pomyślał, jak bardzo, być może nawet nieświadomie, naraża się Penny, odgrzebuując to wszystko. Dla niej była to tylko jedna z wielu starych spraw.

Nazwisko detektywa X brzmiało Vincent Indelicato. Adwokaci Prussii utrzymywali, że doszło do usprawiedliwionego zabójstwa. Ich klient, powszechnie szanowany biznesmen, podejrzewając, że ktoś włamał się do jego plażowego apartamentu przy Gummo Mant Way, wziął omyłkowo denata za rozgniewanego męża swojej znajomej i widząc – jak później przysięgał – pistolet, strzelił z własnego. Kiedy pan Prussia odkrył, że kropnął detektywa z policji Los Angeles, z którym spotkał się nawet raz czy dwa w trakcie swojej normalnej działalności biznesowej, nie było nikogo, kto byłby od niego bardziej zasmucony.

Ciało zostało zidentyfikowane przez funkcjonariusza, który dokonał aresztowania, długoletniego partnera detektywa Indelicato, porucznika Christiana F. Bjornsen.

– Co tu jest, do kurwy nędzy, grane? – zapytał na głos Doc.

Partner Wielkiej Stopy. Ten, z którym obecnie już nie jeździł i którego nawet nie wymieniał z nazwiska. Można było nareszcie zrozumieć powody permanentnej melancholii Wielkiej Stopy. Rzeczywiście nosił żalobę, i to głęboką.

I gdzieżby indziej, jak nie na Gummo Marx Way, miały miejsce te wydarzenia – na GMW, jak mówili o tej ulicy miejscowi, pechowym bulwarze, przy którym wcześniej czy później lądowali wszyscy mieszkający na tym samym co Doc odcinku wybrzeża, choć nikt, kogo Doc znał, nigdy tam wcześniej nie mieszkał i nie miał żadnego znajomego. Mimo to GMW od zawsze łączyło nadmorskie miasteczka nad South Bay i inne miejscowości, w których w pewnym momencie swojego życia uznali, że powinni się znaleźć. Mieszkała tam dziewczyna, której psychopatyczni rodzice wyznaczyli godzinę policyjną. Wiercący się niczym szczur na palmie dealer, którego mniej ostrożni klienci zorientowali się, iż używają oregano i proszku do pieczenia do celów, do jakich te produkty nigdy nie były przeznaczone. Będący w niebezpieczeństwie i bez środków do życia znajomy znajomego, który zadzwonił do ciebie późną nocą z baru i słyszałeś, jak w jego głosie gaśnie nadzieja.

– No dobrze – mruknął Doc, być może na głos. – Czyżby wynikało z tego, że... – Partnera Wielkiej Stopy zabija Adrian Prussia przy oczywistym wsparciu kogoś z policji? Jak reaguje na to Wielka Stopa? Czy bierze odpowiedniej wielkości gnata oraz zapasowe magazynki i idzie szukać Adriana? Czy podkłada bombę w samochodzie windykatora długów? Czy uznaje, że wszystko to powinno pozostać w policyjnej rodzinie i sam jeden wyrusza na bezkrwawą krucjatę, szukając sprawiedliwości? Nie, nic z tych rzeczy. Zamiast tego Wielka Stopa znajduje głupiego frajera w osobie prywatnego detektywa, który będzie węszył wokół tej sprawy i być może zwróci na siebie czyjąś uwagę.

A potem co? Czego spodziewał się Wielka Stopa? Że ktoś postanowi ruszyć śladem detektywa? Fantastycznie. I gdzie ten nienazwany, niewymieniony partner będzie śledził za niego Doca?

Doc przekartkował szybko dokumentację innych aresztowań, zupełnie jakby szukał czegoś, czego nie chce odnaleźć. Było klarowne jak wódka, którą trzyma się w lodówce, że bez względu na to, co jeszcze łączyło Adriana Prussia i policję Los Angeles, mógł on dla nich pracować jako kontraktowy zabójca. Kilkakrotnie był zatrzymywany, przesłuchiwany,

oskarżany i sprawa upadała – jakimś cudem nigdy nie dochodziło do procesu, zawsze zawierano ugodę w interesie wymiaru sprawiedliwości, nie mówiąc o interesie Adriana, który nieodmiennie wychodził na wolność. Przez umysł Doca przemknęło na lekkich motyli skrzydłach podejrzenie, że o tym wszystkim musiało również wiedzieć (o ile nie maczało w tym palców) biuro prokuratora okręgowego. Czasami okazywało się, że jest za mało dowodów, a te, które udało się zebrać, są zbyt poszlakowe albo niedopuszczalne: że nie znaleziono ciała albo że ktoś inny zgłosił się i przyznał do jakiegoś wydumanego przestępstwa w rodzaju nieumyślnego zabójstwa. Doca zainteresował szczególnie jeden z tych kozłów ofiarnych, którym okazał się nie kto inny, jak jego dawny interlokutor z parkingu, Boris Spivey, ukrywający się obecnie gdzieś na terenie Stanów Zjednoczonych razem ze swoją narzeczoną Dawnette. Z Pico Rivery. Co ciekawe, po odsiedzeniu skróconego wyroku w San Quentin Boris poszedł od razu pracować u Mickeya Wolfmanna. Co czyniło go drugim obok Pucka beneficjentem AP Finance, o którym wiedział Doc i którego zatrudnił Mickey. Czy Adrian Prussia prowadził również agencję rekrutacyjną?

Doc już miał zamiar zamknąć teczkę i pójść poszukać automatu z papierosami, gdy jego uwagę zwróciło coś nowego. Była to jasna fotografia, niedołączona do żadnych innych dokumentów, tak jakby nie miała z nimi bezpośredniego związku. Przedstawiała grupę mężczyzn stojących na molo przy otwartej skrzyni wielkości trumny, w której była amerykańska waluta. Był wśród nich Adrian Prussia ubrany w coś, co miało stanowić żeglarski kostium, trzymający w ręku jeden z banknotów i szczerzący zęby w uśmiechu, który zjednywał mu tak wiele osób. Dwudziestodolarowy banknot wydawał się dziwnie znajomy. Doc wydobyl ze swojej torby z frędzlami szkło powiększające i przyjrzał się fotografii.

– Aha. – Dokładnie tak, jak się spodziewał. To były znowu te podrobione przez CIA pieniądze z Nixonem, te same, które Sancho i jego kumple wyłowili z morza. W tle, na redzie jakiegoś nienazwanego portu kołysał się spokojnie szkuner „Złoty Kiel”, trochę zamazany, jakby wyłaniał się z innego świata. Na odwrocie fotografii widniała data. Zrobiono ją przed niespełna rokiem.

*

W drodze powrotnej nad ocean Doc zajrzał do kancelarii Hardy’ego, Gridleya i Chatfielda. Sauncho, którego tam zastał, był w tym momencie mentalnie nieosiągalny, ponieważ poprzedniego wieczoru obejrzał przypadkiem *Czarnoksiężnika z krainy Oz* z 1939 roku, po raz pierwszy na kolorowym telewizorze.

– Wiedziałaś, że to się zaczyna w czerni i bieli? – poinformował nieco podekscytowany Doca – ale potem przechodzi w kolor! Wiesz, co to znaczy?

– Saunch... – bąknął Doc, ale na nic się to nie zdało.

– ... świat, w którym widzimy na początku Dorotkę, jest czarny, właściwie brązowy i biały, ale jej wydaje się, że widzi wszystko w kolorach... w tych samych normalnych, codziennych kolorach co my. A potem porywa ją cyklon, Dorotka ląduje w krainie Manczkinów, wychodzi przez drzwi i nagle widzimy, że brąz i biel zmieniają się w Technicolor. Ale jeżeli to jest coś, co my widzimy, w takim razie co dzieje się z Dorotką? W co zmienia się jej „normalny” kansaski kolor? Tak? W jakiś bardzo dziwny hiperkolor? Tak bardzo różniący się od naszego normalnego koloru, jak Technicolor różni się od czerni i bieli...? – I tak dalej.

– Wiem, że powinno mnie to martwić, Saunch, ale...

– Telewizja powinna przynajmniej uprzedzić, że nie bierze za to odpowiedzialności. – Sauncho był już na serio oburzony. – Kraina Manczkinów jest wystarczająco dziwna, żeby nie trzeba było dodatkowo mieszać widzom w głowach, i właściwie uważam, że można by złożyć pierwszej klasy pozew przeciwko MGM. Mam zamiar poruszyć tę kwestię na następnej cotygodniowej odprawie w kancelarii.

- Czy mogę cię zapytać o coś, co poniekąd jest z tym związane?
- Masz na myśli Dorotkę i...
- Tak jakby... Pamiętasz te banknoty z Nixonem, które twoi ludzie wyciągnęli z morza? Trafiłem właśnie na fotografię windykatorka długów, niejakiego Adriana Prussii, stojącego obok skrzyni pełnej tego chłamu. Może z tego samego ładunku, który znaleźliście, a może nie. Czy ktoś wie, co się stało z tymi banknotami, po tym, jak je wyłowiliście?
- Chciałbym wierzyć, że w większości leżą bezpiecznie pod kluczem w jakimś federalnym magazynie dowodów rzeczowych.
- Chciałbyś wierzyć, ale...
- No cóż, tam na pokładzie panowała przez chwilę dość luźna atmosfera... Federalni nie różnią się od innych ludzi, nie możesz oczekiwać, że będą się utrzymywali wyłącznie ze swoich pensji.
- Problem z tym zdjęciem polega na tym, że wszyscy na nim wyglądają, jakby właśnie zesłi albo chcieli wejść na pokład „Złotego Kłosa”.
- Świetnie. A jak to się wiąże z Dorotką Gale i jej widzeniem kolorów?
- Co?
- Powiedziałeś, że to jest „poniekąd związane”.
- Och. No tak, chodzi o to, że kolory na tym zdjęciu są jakoś dziwnie wywołane. Wyglądają, jakby robili to na haju.
- Pięknie to wymyśliłeś, Doc.

*

Doszedłszy do wniosku, że powinien zajrzeć do swojego biura, Doc wyjechał z Mariny, przeskoczył Lincoln Boulevard nad kanałem i skręciwszy w Culver, dotarł do Vista del Mar. Już na parkingu wyczuł coś dziwnego, nie tylko w spowijającej budynek popołudniowej ciszy, ale w zachowaniu Petunii.

– Och, Doc, naprawdę musisz od razu iść na górę? Już od wieków nie gawędziliśmy. – Petunia siedziała w atrakcyjnej pozycji na czymś w rodzaju barowego stołku i Doc nie mógł nie zauważyć, że w skład jej utrzymanego w liliowych odcieniach ubioru nie wchodzi odpowiednio dobrana, a właściwie żadna bielizna. Dobrze, że miał na nosie ciemne okulary, dzięki którym mógł gapić się dłużej niż zwykle.

- Hmm, Petunio, czyżbyś chciała mi powiedzieć, że mam gości, którzy na mnie czekają?
- Petunia spuściła wzrok.
- Niezupełnie – odparła półgłosem.
 - Niezupełnie gości?
 - Niezupełnie czekają.

Drzwi na górze były lekko uchylone. Doc wyjął z kabury na kostce magnum z krótką lufą, ale nie trzeba było wyczulonego ucha, by zorientować się, co tam się dzieje. Wszedł do środka i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, byli Clancy Charlock i Tariq Khalil bzykający się na podłodze.

Po jakimś czasie Tariq podniósł wzrok.

- Cześć. Doktor Sportello, mój człowiek. Wszystko w porządku?
- Doc uniósł okulary i udał, że przygląda się scenie.
- Chyba w porządku, ale ty będziesz wiedział lepiej ode mnie...
 - Chodzi mu o to – wyjaśniła gdzieś spod spodu Clancy – czy nie gniewa się pan, że korzystamy z pańskiego gabinetu.

Okazało się, że kiedy Doc był w Vegas, przyszli oddzielnie któregoś dnia, szukając go, a Petunia, która uznała, że tworzą fajną parę, dała im zapasowy klucz. Doc przeprosił i zszedł z powrotem na dół, żeby zamienić słowo z Petunią, głównie na temat tego, jak rozumie słowo „fajna”.

– Wiem, że w głębi duszy jesteś swatką, Petunio, i zwykle lubię wszelkiego rodzaju formy intymności, ale nie między osobami, które występują w prowadzonej przeze mnie sprawie.

W ten sposób przejdzie mi koło nosa zbyt wiele informacji... – I tak dalej. Niewiele to dało, sądząc po niezdrowym błysku w jej oczach.

– Przecież jest już za późno, nie widzisz tego? Oni się kochają. Jestem tylko karmicznym ułatwaczem. Naprawdę potrafię poznać, kto będzie z kimś razem, a kto nie, i nigdy się nie mylę. Studiuję nawet po nocach, żeby otrzymać dyplom doradztwa w relacjach i choć w skromnym stopniu przyczynić się do zwiększenia sumy miłości na świecie.

– Sumy czego?

– Och, Doc, miłość to jedyna rzecz, która zawsze nas ocali.

– Kogo?

– Wszystkich.

– Petun-ya?! – wrzasnął doktor Tubeside z głębin swojego gabinetu.

– No, może jego nie.

– Pójdę chyba teraz z powrotem na górę i zobaczę, czy tam naprawdę są...

Zapukawszy najpierw grzecznie do drzwi, Doc wsadził ostrożnie głowę do środka i tym razem ujrzał Tariqą i Clancy w ubraniach, grających spokojnie w remika i słuchających albumu Bonzo Dog Bandu, którego Doc, z tego co pamiętał, raczej nie posiadał. Nie można było zatem wykluczyć halucynacji, choć z drugiej strony, jeśli to działa się naprawdę, przeciętny ćpun musiał tylko na nich spojrzeć, by zorientować się, że to, co ich łączy, czyli Glen Charlock, nabiera energii i staje się coraz bardziej obecne niczym powoli materializujący się duch.

Clancy zauważyła Docę, szepnęła coś Tariqowi i odłożyli karty.

– Pomyślałem, że w którymś momencie się pojawisz, człowieku – powiedział Tariq.

Doc podszedł do elektrycznego ekspresu i zaczął parzyć kawę.

– Musiałem pojechać do Las Vegas – oznajmił. – Wydawało mi się, że szukam Pucka Beavertona.

– Clancy coś o tym mówiła. I jak? Miałaś szczęście?

– Jak najbardziej. – Doc wzruszył ramionami. – To w końcu Las Vegas.

– Jest wkurzony – oceniła Clancy.

– Nie, nie jestem.

– Chciałem pogadać z tobą o Glenie – wyjaśnił Tariq.

– Ja też – dodała Clancy.

Doc pokiwał głową i poszukał w kieszeni koszuli papierosa, ale go nie znalazł.

– Proszę – poczęstowała go Clancy.

– Virginia Slims? Co to takiego? – Ale Clancy trzymała już swoją zapalniczkę niczym Statuę Wolności czy coś podobnego. – No dobrze – westchnął Doc. – Są przynajmniej mentolowe.

– Powinienem być ci o wszystkim powiedzieć – stwierdził Tariq. – Teraz już na to za późno, ale mimo to mogłem ci bardziej zaufać.

– Nie zaufałeś białemu detektywowi, którego widzisz po raz pierwszy w życiu? No, teraz dopiero jestem naprawdę wkurzony.

– Musisz mu powiedzieć – szepnęła Clancy do Tariqą.

– Poczekaj chwilę, człowieku – mruknął Doc, sprawdzając ekspres. – Nie mówiłeś przypadkiem, że kazali ci przysiąc, że nikomu nie piśniesz ani słowa?

– To nic nie znaczy. Myślałem kiedyś inaczej, ale Puck i ci naziści też złożyli przysięgę, że będą bronili jeden drugiego, żeby nie wiem co, i zobacz, co to dało Glenowi. Mam przestrzegać takich gównianych reguł? Jestem teraz zwolniony. Jak im się nie podoba, zobaczą, co im z tego przyjdzie.

– No dobrze. Więc co dokładnie był ci winien Glen?

- Najpierw musisz złożyć przysięgę.
- Co? Powiedziałeś przed chwilą, że to gównno warte.
- Tak, ale jesteś białasem. Musisz podpisać krwią, że nikomu nie powiesz.
- Krwią?
- Clancy podpisała.
- Mam właśnie okres, kochanie – wyjaśniła.
- Może mogłabyś pożyczyć mi swojej? – zaproponował Doc.
- Mam to w dupie – oświadczył Tariq i ruszył do drzwi.
- Daje się ponieść emocjom, prawda? – Doc podszedł do szafki i wyjął awaryjny zapas trawki. Jeśli to nie była awaryjna sytuacja...

Przy drugim, a może trzecim skręcie wszyscy zaczęli się odprężać. Tariq przedstawił interesy, które on i Glen załatwiali za kratkami.

Było to skomplikowane. Zaczęło się od sporu między dwiema latynoskimi frakcjami, Nuestra Familia z północnej Kalifornii i Surenos, którzy byli z południa. W tamtym czasie był wśród więźniów kapuś znany pod przezwiskiem El Huenvoncito, który przysparzał zmartwień wielu osadzonym, zarówno czarnym, jak białym i Latynosom. Wszyscy nienawidzili tego małego szczura i wszyscy zdawali sobie sprawę, że trzeba coś z nim zrobić, ale z powodów historycznych, które trudno było rozwikłać, zwłaszcza kiedy paliło się trawkę, żaden z Latynosów z północy i z południa nie mógł się tego podjąć. Zwrócono się więc w końcu do Aryjskich Braci, którzy mieli w tym czasie wakat i próbowali zwerbować Glena Charlocka. W ramach inicjacji trzeba było kogoś zabić. Czasami wystarczyło ciachnąć gościa po twarzy, ale poszkodowany mógł wtedy próbować się zemścić, w związku z czym było lepiej, jak wyjaśnił Tariq, po prostu kogoś ukatrupić i mieć to z głowy.

Glen chciał wstąpić do bractwa, ale nie zamierzał nikogo zabijać. Wiedział, że to spaprze i da się złapać, tak jak działo się zawsze, i nawet jeśli nie zabiją go od razu kumple El Huenvoncita, czeka go wycieczka na północ do komory gazowej w San Quentin albo będzie do końca życia gnić w mamrze. Tymczasem tak naprawdę najbardziej zależało mu na tym, żeby wyjść na wolność. Z drugiej strony Bracia wiercili mu dziurę w brzuchu. Glen postanowił więc poszukać podwykonawcy, który zrealizowałby za niego zlecenie. Dzięki temu mógłby zyskać uznanie w oczach Braci i jednocześnie uniknąć konsekwencji.

Tariq cieszył się opinią genialnego nożownika, który nigdy nie dał się złapać, lecz zbliżenie się do niego wymagało większej ostrożności, niż Glen był w stanie zachować. Czarni i biali niekoniecznie ze sobą przestawali i nie byli do tego zachęceni.

– Dla mnie czad – przyznał Tariq – ale to będzie dużo kosztowało. Więcej, niż masz i możesz mieć w przyszłości, chyba że jestem w błędzie.

W zasadzie była to prawda, tyle że Glen miał na zewnątrz pewne niezwykle koneksje. Wolał się z nimi nie afiszować, jeśli nie musiał, wyglądało jednak na to, że musi.

– W czym będziesz chciał przyjąć zapłatę? W gotówce? Prochach? Cipkach? – Tariq tylko na niego popatrzył. – No powiedz. W arbuzach?

Tariq zastanawiał się, czy nie potraktować tego jako obrazy, ale w końcu wzruszył ramionami i poruszył lekko palcem wskazującym, jakby naciskał spust, sugerując, że chodzi mu o broń palną.

– Co ty powiesz? Tak się składa, że moi znajomi specjalizują się w tej dziedzinie. O jak dużej dostawie mówimy?

– Och, wystarczająco dużej, żeby uzbroić pluton, a może nawet kompanię czarnuchów.

Glen rozejrzał się, sprawdzając, czy ich nikt nie podsłuchuje.

– Nie chcesz chyba, żeby dostarczyli to tutaj, człowieku?

– Nie, do cholery, jestem zły, lecz nie głupi. Ale wszyscy mamy przyjaciół na zewnątrz, a moi akurat tego teraz potrzebują.

– Jak szybko?

– Jak szybko chcesz, żeby te białasy obciągnęły ci fiuta z wdzięczności?

Koło nich przemknął nagle jakiś cień. Ani Tariq, ani Glen nie byli pewni, co zobaczyli, ale wiedzieli, kto to był.

– Szczur pobiegł do swojej nory – powiedział Glen.

– To znaczy, że chodziliśmy i gadaliśmy zbyt długo. Od teraz lepiej będzie się streszczać.

El Huenvoncito, niech spoczywa w pokoju, został wkrótce znaleziony martwy po porannej nawalance na bloku Tariqa, co dało temu ostatniemu doskonałe alibi i sprawiło, że nie padł na niego nawet cień podejrzenia. Nie padł również na Glena, który znajdował się w tym czasie w innym miejscu, lecz umyślnie zwrócił się o braterską pomoc w pozbyciu się noża z jadalni, który zabrudził uprzednio własną krwią. Został przyjęty do Bractwa Aryjskiego i wkrótce po zwolnieniu Tariqa także wyszedł na wolność i otrzymał ofertę pracy u Mickeya Wolfmanna.

Jak się okazało, organizacja Tariqa, Wojownicy Zbrojnej Czarnej Milicji Przeciwko Władzy (WZCMPW), musiała z przyczyn logistycznych poczekać jakiś czas na dotrzymanie przez Glena warunków umowy i powoli traciła cierpliwość.

– Mniej więcej wtedy do ciebie przyszedłem – powiedział Tariq.

– Rozumiem, dlaczego nie chciałeś wchodzić w szczegóły – odparł Doc. – Może powinienem jednak złożyć tę przysięgę.

– Domyślam się, że naprzykrzał ci się miejscowy oddział FBI, najlepsi kumple brata Karengi.

– Tak, ale nie mogłem im dużo powiedzieć, bo o niczym nie wiedziałem. Teraz będę musiał się również obawiać Czerwonego Szwadronu i SWZPR – A to dlaczego?

– Bo formalnie rzecz biorąc, to zbrojna rebelia czarnych, czyli coś, co ma związek z ciężkimi fantazjami Charlesa Mansona, a w policji Los Angeles jest dość idiotów, którzy biorą na serio Charliego, kiedy zaczyna o tym wszystkim wrzeszczeć.

– Zgadza się, w biurze WZCMPW też widziałem te podkoszulki i w ogóle. Ze zdjęciami Mansona, na których domalowano sprayem afro. Są naprawdę popularne.

– A Lynette „Squeaky” Fromme?

– To dopiero jebana dziwka.

– Nie, chodziło mi o to, czy są T-shirty ze „Squeaky”, na których ma afro?

– Oo... nic mi o tym nie wiadomo. Chcesz, żebym ci taki załatwił?

– Właściwie także z Leslie van Houten, jak myślisz?

– Faceci – mruknęła Clancy.

– Racja... – zgodził się Doc. – Tak naprawdę chciałem się od ciebie dowiedzieć, kim byli owi „przyjaciele” Glena, którzy mieli dostarczyć broń.

– Jakaś banda napalonych dentystów z Sunset Boulevard. Mieli swoje biuro w dziwnym budynku, który wygląda jak wielki ząb.

– Aha. – Doc starał się nie zdradzić poczucia pustki, które go ogarnęło. – Mógłbym chyba sprawdzić pod tym kątem kilka miejsc.

Rodziły się pytania. Na przykład, co tu się, kurwa, w zasadzie dzieje? Skoro Glen miał przez cały czas „przyjaciół” w Żółtym Kle, co w ogóle robił w mamrze? Czy wziął na siebie winę za kogoś innego, jakiejś wysoko postawionej postaci w organizacji Kła? Czy posłali go tam specjalnie w roli kapusia, swojego człowieka za kratami, jakby planowali umieścić agentów we wszystkich obszarach życia publicznego? I jak bardzo w związku z tym byli zamieszani w morderstwo Glena? Czy Glena spotkał ten sam los co Rudy’ego Blatnoyda, bo dotknął jakiegoś nieoznaczonego nigdzie punktu akupresury na tajemniczym ciele Żółtego Kła i zrobił to tak niefortunnie, że trzeba się było nim zająć?

I czy to miały być pytania testowe?

Tymczasem zrobiło się ciemno, wszyscy zgłodnieli i jakimś trafem wylądowali w Plastic Nickel przy Sepulveda. Na ścianach w środku wisiały srebrzyste plastikowe reprodukcje awersu amerykańskiej pięciocentówki, każda wielkości gigantycznej pizzy. Dwa rzędy

boksów oddzielał mierzący dwie stopy, bardzo zielony żywopłot również zrobiony z plastiku. Aby stworzyć ten dziwnie zabawny gąszcz, nieznanymi specjalistami od montażu sztucznych żywopłotów starannie dopasowali tysiące małych imitacji liściastych gałązek, łącząc je na wkręt i na wcisk i tworząc niemal nieskończoną liczbę kombinacji. W ciągu minionych lat wpadały w nie wszelkiego rodzaju małe przedmioty: szczypczyki do skrętów, szczypawki, fifki, drobne monety, kluczyki samochodowe, kolczyki, szkła kontaktowe, małe foliowe paczuski kokainy i heroiny i tym podobne. Formy życia poniżej jednego grama. Klienci nieraz całymi godzinami starannie, cal po calu, sprawdzali żywopłot, nie bacząc, że stygnie im kawa, zwłaszcza kiedy byli na speedzie.

Późną nocą przerywał im czasami jeden z wiszących na ścianie plastikowych portretów. Zwrócony zwykle do widzów profilem Thomas Jefferson odwracał się en face, rozwiązywał wstążkę, którą miał ściągnięte z tyłu włosy, potrząsał nimi tak, że tworzyły rudą szaloną aureolę, i przemawiał do wybranych ópunów, cytując na ogół *Deklarację niepodległości* albo *Kartę praw*, co właściwie bardzo się przydawało, zwłaszcza gdy trzeba było podjąć się obrony prawnej w kwestiach dotyczących zatrzymania oraz przeszukania. Dzisiaj zaczekał, aż Clancy i Tariq udadzą się oboje do toalet, i zwrócił się szybko do Doca.

– A więc tak! Złoty Kieł handluje nie tylko żywym towarem, ale również narzędziami wyzwolenia.

– Hej... ale czy jako Ojciec Założyciel nie obawiasz się trochę tej gadki o czarnej apokalipsie?

– Drzewo Wolności musi być od czasu do czasu podlane krwią patriotów i tyranów. To jego naturalny nawóz.

– A jeśli patrioci i tyrani okazują się tymi samymi ludźmi? – chciał wiedzieć Doc. – Mamy na przykład teraz prezydenta...

– Najważniejsze, żeby krwawili – wyjaśnił Jefferson. – A swoją drogą, co zamierzasz zrobić z informacją, którą właśnie otrzymałeś od pana Khalila?

– Pomyślmy, jakie mam możliwości. Mógłbym pójść do FBI i zakablować Tariqa i WZCMPW. Napuścić federalnych na Złotego Kła, uprzedziwszy odpowiednio wcześniej Tariqa, żeby nie zdołali dobrać mu się do tyłka. Opowiedzieć o wszystkim Wielkiej Stopie Bjornsenowi, niech podrzuci to policyjnemu wywiadowi czy komu tam, i niech oni się tym zajmą. Co mi jeszcze zostało?

– Czy widzisz już wspólną cechę tych wszystkich rozwiązań, Lawrence?

– Nie mogę ufać nikomu z tych ludzi.

– Pamiętaj także, że umowa Glena na dostawę broni nigdy nie została sfinalizowana. Więc tak naprawdę nie musisz nic nikomu mówić. Musisz jednakowoż... – W tym momencie Jefferson nagle zamilkł i odwrócił się do niego profilem, prezentując swój kucyk.

– Znowu gadasz do siebie – powiedziała Clancy. – Musisz znaleźć prawdziwą miłość, Doc.

Właściwie wystarczy mi, pomyślał, że jakoś przez to przebrnę. Jego palce, jakby obdarzone własnym rozumem, zaczęły sunąć ku plastikowemu żywopłotowi. Może gdyby przeszukiwał go wystarczająco długo, do późnej nocy, znalazłby coś, co by mu pomogło – jakiś mały zapomniany strzęp własnego życia, o którym nie wiedział nawet, że go zgubił, coś, co wszystko by teraz zmieniło.

– Cieszę się razem z tobą, Clancy – zapewnił – ale co się stało z twoją zasadą, że zawsze chcesz mieć do czynienia z dwoma?

– Doc, ten facet wystarczy przynajmniej za dwóch – odparła, wskazując głową Tariqa, który szedł właśnie w ich stronę.

Po powrocie do domu Doc zastał w swojej kuchni Scotta i Denisa, którzy wdrapali się tam przez okno i przeszukiwali jego lodówkę po tym, jak nieco wcześniej Denis zasnął u siebie z zapalonym skrętem w ustach, co zdarzało mu się dość często, tyle że tym razem skręt zamiast spaść mu na klatkę piersiową oparzyć i przynajmniej w jakimś stopniu obudzić, stoczył się gdzieś pod prześcieradło i zaczął tlić. Po jakimś czasie Denis się obudził, wstał, podreptał do łazienki, uznał, że powinien wziąć prysznic, i zaczął to jakby robić. W którymś momencie łóżko stanęło w płomieniach i przepaliło w końcu strop w miejscu, gdzie piętro wyżej stało wodne łóżko jego sąsiada Chica, który na szczęście akurat na nim nie leżał. Łóżko, będąc z plastiku, roztopiło się pod wpływem wysokiej temperatury i blisko tona wody wylała się przez dziurę w suficie, gasząc pożar w sypialni Denisa i jednocześnie zmieniając ją w rozlewisko. Tymczasem Denis wyszedł z łazienki i nie potrafiąc wytłumaczyć sobie tego, co widzi, a także obecności straży pożarnej, która właśnie przyjechała i którą wziął za policję, uciekł alejką do plażowego domku Scotta Oofa, gdzie starał się wytłumaczyć to, co się stało, celowym sabotażem ze strony Boardsów, którzy nigdy nie przestali przeciwko niemu spiskować.

Doc znalazł cygaro White Owi (którego zawartość prawie w całości wcześniej wyskubał i uzupełnił ubytki sinsemillą Humboldta), zapalił je, zaciągnął się i puścił w obieg.

– Nie bardzo widzę, jak mogliby to zrobić Boardsi, człowieku, naprawdę – oznajmił Scott, wydychając dym.

– Hej, przecież ich widziałem – upierał się Denis. – Parę dni temu czaili się w alejce.

– To byli tylko basista i perkusista – uściślił Scott – i to my staliśmy w alejce. W Will Rogers Park mają dać darmowy koncert pod nazwą Surfadelic Freak-In i Boardsi chcą, żeby Beer zagrali przed nimi.

– Ekstra – ucieszył się Doc. – Gratulacje.

– Tak, tyle że są oczywiście do szpiku źli – wtrącił Denis.

– Może tak ich rzeczywiście zaszufladkowano – przyznał Scott – ale...

– Nawet Doc uważa, że to zombie.

– To pewnie prawda – zgodził się Doc – ale nie zawsze można winić zombie za to, kim są. To nie jest tak, że przychodzi do nich ktoś z doradztwa zawodowego i pyta: „Słuchaj, mały, myślałeś kiedyś o tym, żeby zostać nieumarłym?”.

– Mój doradca powiedział, że powinienem spróbować w nieruchomościach – powiedział Scott. – Tak jak mama.

– Twoja mama nie jest zombie – przypomniał Denis.

– Tak, ale powinieneś zobaczyć jej niektórych kolegów...

– Dlatego musisz regularnie sprawdzać, czy nie ma śladów ugryzień – poradził mu Doc. – Tak można się zarazić.

– Czy ktoś rozumie, dlaczego nazywają to nie-ruchomościami? – zastanawiał się Denis, zwijając skręta.

– Słuchaj, Doc – przypomniał sobie Scott – znowu widziałem tego Coya. Tego, co grał kiedyś z Boardsami, a potem odwalił podobno kite, tyle że okazało się, że to nieprawda.

Doc nie był jeszcze tak nawalony, żeby nie zapytać gdzie.

– W Hermosa Beach. Stał w kolejce przed Lighthouse Cafe.

To cofnęło Doca kanalizacją pamięci do czasów, kiedy zaczął dopiero chodzić z Shastą i wystawiali wieczorami przed Lighthouse Cafe, za drogiej dla nich obojga, słuchając dobiegających ze środka dźwięków jazzu i jedząc parówki ze słynnej budki Juicy Jamesa za rogiem, na której szyldzie widniał olbrzymi hot dog z mordą, rękami i nogami, w kowbojskim stroju i kapeluszu, strzelający z dwóch sześciostrzałowych rewolwerów i najwyraźniej świetnie się bawiący. W niedzielę organizowali zawsze jam session. Muzycy studyjni podjeżdżali kupionymi za pierwsze duże pieniądze brykami (które w późniejszych latach trzeba było wyciągać z lawin błotnych, wykupywać z policyjnych parkingów i chronić przed zakusami adwokatów rozwodowych, i które miały autentyczne części zapasowe na wypadek nigdy niedochodzących do skutku odsprzedaży), spełnionymi marzeniami z czasów, kiedy zaczyna się marzyć: morganimi z salonów w Westwood, z maskami zapinanymi na skórzane paski, cobrami 289, bonneville'ami rocznik 62 i tym nieziemskim desoto, w którym James Stewart, tracąc głowę z miłości, śledzi Kim Novak w *Zawrocie głowy* z 1958 roku.

W Ojai Doc i Coy rozstali się wcześniej w dziwnych okolicznościach, kiedy ten ostatni zniknął nagle w mroku, na pół zagniewany, na pół zdesperowany. Doc złożył mu wówczas niejasną obietnicę, że spróbuje uwolnić go od zobowiązań wobec antywywrotowców, jednak jeśli nie liczyć szybkiego rzutu okiem na udostępnione mu przez Wielką Stopę policyjne akta Coya, nie poczynił w tej sprawie dużych postępów i mógł mieć z tego powodu pewne wyrzuty sumienia, ponieważ formalnie rzecz biorąc, pracował również dla Hope.

Postanowił więc, że przespaceruje się na Pier Avenue. Rosnące przy Strandzie palmy rzuciły cień przez mgłę o tym samym co zwykle chemicznym zapachu, w pewnej nieokreślonej odległości jarzył się wesoło szyld Juicy Jamesa, a przed Lighthouse, jakżeby inaczej, stał wśród innych fanów jazzu Coy, kołysząc się w rytm muzyki, którą wykonywał tego dnia Bud Shank z jakąś sekcją rytmiczną.

Doc zaczął na przerwę w koncercie i przywitał się z nim. Oczekiwał jakiegoś kolejnego numeru w stylu Niewidzialnego Człowieka, lecz w tym momencie Coy wyglądał jak marynarz na przepustce, pragnący maksymalnie użyć życia do chwili, kiedy będzie musiał wrócić na pokład.

– Musiałem wziąć sobie wolny dzień – powiedział, spoglądając na światło nad oceanem – ale nie wiem, czy nie uznają tego za samowolkę.

– Może odwieźć cię z powrotem do Topangi? Oczywiście pod warunkiem, że nie będę musiał wchodzić z tobą do środka.

– Och, tamto jest już załatwione. Teraz wszystko w porządku.

– Drac dołączył do zespołu?

– Nie, serio, to zasługa dziewczyn. Żadna z nich nie mogła tego dłużej znieść, więc zmówiły się i wynajęły razem egzorcystę, jakiegoś buddyjskiego kapłana ze świątyni w śródmieściu. Przyszedł któregoś dnia i zrobił porządek. Boardsi i cały dom są teraz oficjalnie zdezombizowani. Podpisali z nim długoterminowy kontrakt na regularne kontrole parapsychiczne.

– Nikt z zespołu przypadkiem nagle się nie rozpoznał?

Coy wzruszył ramionami.

– Może. Ale to już nie ma takiego znaczenia jak kiedyś.

Kiedy doszli do samochodu, mgła zrobiła się gęstsza. Doc i Coy wsiedli, Doc włączył na chwilę wycieraczki i ruszyli w górę Pier Avenue.

– Kopsniesz szluga? – zapytał Coy. Doc poczęstował go z paczki leżącej na tablicy rozdzielczej, po czym wcisnął zapalniczkę i skręcił w lewo w Pacific Coast Highway. – Hej, co to za przycisk?

– Hmm, może lepiej nie, to... – Nagle aż do szpiku kości przeszły ich dźwięki *Interstellar Overdrive* Pink Floydów. Doc znalazł pokrętko głośności. – ... to Vibrasonic. Zajmuje połowę

bagażnika, ale kiedy trzeba, daje niezłego czadu.

Kiedy jechali pod pasem startowym lotniska, sygnał na minutę zanikł.

– Więc Boardsi nie są już tacy źli? – zapytał Doc.

– Najwyżej chwilami trochę zdezorientowani. Znasz kapelę, która nie jest?

– Znów z nimi grasz?

– Pracujemy nad tym. – Doc wyczuł, że usłyszeli coś więcej. – Widzisz, zawsze chciałem myśleć, że ktoś się tym wszystkim przejmuje. Kiedy zadzwonili do mnie Strażnicy Kalifornii, miałem wrażenie, że ktoś mnie przez cały czas obserwował, ktoś, komu na mnie zależało, kto zobaczył we mnie coś, o czym w ogóle nie wiedziałem, że istnieje...

– Masz dar wcielania się w inne osobowości, infiltrowania, zapamiętywania, informowania – powiedzieli mu.

– Przymioty szpiega – przetłumaczył Coy. – Kapusia, donosiciela.

– Bardzo dobrze opłacanego aktora – odpowiedzieli. – Który nie musi się troszczyć o fanów, paparazzich i nieznającą się na niczym widownię.

To oznaczało odstawienie heroiny, a w każdym razie zerwanie z taką formą nałogu, jakiej wówczas ulegał. Opowiedzieli mu historie o ćpunach, którzy zdołali wyzwolić się z uzależnienia.

Nazywało się to Wyższą Dyscypliną wyższą bo bardziej wymagającą od dyscypliny wojskowej czy religijnej z powodu otchłani, której trzeba było stawić czoło w każdej chwili każdego dnia. Poznali Coya z kilkoma tymi nawróconymi ćpunami i zadziwiła go ich energia, zdrowa cera, sprężysty krok i bystrość umysłu. Gdyby spełnił albo przekroczył pokładane w nim nadzieje, czekała go poza tym premia motywacyjna w postaci corocznej działki percodanu, uważanego wówczas za rolls-royce'a wśród opiatów.

Oczywiście oznaczało to również zerwanie na dobre z Hope i Amethyst. Pamiętał jednak, że nikt w domu od dłuższego czasu nie był już szczęśliwy, a Strażnicy obiecali, że wyślą Hope anonimowy jednorazowy czek, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że to od Coya. Miało to jednak wyglądać jak coś, co zostawił im w testamencie, ponieważ, aby dobrze wykonać to konkretne zadanie, musiał przybrać jedną albo więcej nowych tożsamości, a stara tożsamość Coya Harlingena miała przestać istnieć.

– Mam zaaranżować własną śmierć? Och, sam nie wiem, człowieku, to naprawdę zła karma. Nie wiem, czy chcę w ten sposób, jak śpiewają Little Anthony i Imperials, „kusić przeznaczenie”?

– Dlaczego myśleć o tym jak o śmierci? A nie na przykład reinkarnacji? Każdy chce mieć inne życie. Ty masz teraz taką sposobność. Poza tym będziesz się świetnie bawił, zaznasz rzeczy, które nie mają sobie równych nawet w świecie heroinowego nałogu, a zapłata jest znacznie wyższa od minimalnej, zakładając, że kiedykolwiek pracowałeś za związkowe stawki.

– Czy będę mógł dostać nowe zęby?

– Sztuczną szczękę? To da się załatwić.

Zapewnili go również, że w ramach umowy jego dealer, El Drano, dostarczy mu pewną ilość wyjątkowo zabójczej dziewiczej heroiny China White, która zostanie później odnaleziona na miejscu przedawkowania. Coy miał jej zażyć tylko tyle, by trafić na izbę przyjęć, ale nie wykorkować.

– Ta część historii nie należy do moich ulubionych – wyznał Docowi. – Przez cały czas powtarzałem sobie, żeby tym razem nie dać dupy, zachować rozsądek, ale oczywiście nie posłuchałem sam siebie i w gruncie rzeczy o mało nie kopnąłem w kalendarz.

– Skąd twój dealer wziął tę heroinę? – zapytał właściwie tylko dla formalności Doc.

– Od jakichś waśniaków, którzy bezpośrednio ją dostarczają... nie od ludzi, u których El Drano zwykle się zaopatrywał. Kimkolwiek byli, śmiertelnie go wystraszyli, mimo że był tylko pośrednikiem zaangażowanym wyłącznie po to, żeby nikt nie namierzył tego innego

źródła. „Ani słowa!” – powtarzali mu bez przerwy. Milczenie to była dla nich podstawowa sprawa, więc kiedy kilka dni temu znaleziono go w tym kanale, no wiesz, nie mogłem naturalnie nie zacząć się zastanawiać...

– Chociaż to wcale nie musiało być związane – zauważył Doc. – Facet miał na sumieniu dużo rzeczy.

– Może.

W końcu, podobnie jak inne nawrócone duszyczki, Coy wziął udział w realizowanym przez Chryskylodon niezbyt miłym programie leczenia uzależnienia od heroiny, po którym wizyty w Pracowni Konserwacji Uśmiechu doktora stomatologii Rudy’ego Blatnoyda mogły się wydać wakacjami. Nowe zęby oznaczały konieczność dopasowania na nowo ust do ustnika i to też wymagało pewnych poprawek, w końcu jednak pewnej nocy na lotnisku Los Angeles Coy przekazał pod ścianką działową toalety spisane na papierze toaletowym kompromitujące notatki stanowemu legislatorowi o skrywanych upodobaniach seksualnych, którego Strażnicy chcieli mieć, jak to ujęli, „w swojej drużynie”. Po tej – jak się domyślał – próbie generalnej, powierzane mu zadania stawały się coraz poważniejsze – przygotowania do nich obejmowały czasami lekturę Herberta Marcuse’a oraz przewodniczącego Mao i związane z nimi trudności ze zrozumieniem tekstu, a także codzienne ćwiczenia w dojo w Whittier, naukę dialektu na obrzeżach Hollywood i szkolenia w zakresie jazdy obronnej w Chatsworth.

Już wkrótce Coy uświadomił sobie, że prowadzący go patrioci sami prowadzeni są przez usytuowaną o wiele wyżej grupę, której członkowie czuli się władni wtrącać w życie każdego, kto nie był taki dobry i błyskotliwy jak oni, czyli praktycznie wszystkich. Dowiedział się, że ma ich zdaniem „osobowość podatną na uzależnienia” i dlatego kiedy już zacznie donosić dla kraju, zerwać z tym będzie mu tak samo trudno, o ile nie trudniej, jak z heroiną. Już wkrótce kazali mu się kręcić przy szkołach wyższych, policealnych i średnich, gdzie powoli uczył się infiltrować wszelkiego rodzaju grupy antywojenne, antykonspiracyjne i antykapitalistyczne. Przez pierwsze miesiące był tak zajęty, że nie miał czasu pomyśleć o tym, co właściwie robi i czy ma to jakąś przyszłość. Śledząc pewnego wieczoru w Westwood działającą na UCLA grupę o nazwie Brygady Rewolucyjne Użytkowników Bongu (BRUB), zauważył małą dziewczynkę, mniej więcej w wieku Amethyst, która, stojąc zziębnięta przed oświetloną witryną księgami, wołała matkę, żeby podeszła i zobaczyła. „Książki, mammo! Książki!”. Coy stanął jak wryty, pozwalając, by jego zwierzyzna wymknęła się z potrzasku. Po raz pierwszy od zwerbowania go przez Strażników pomyślał wówczas o rodzinie, którą porzucił dla czegoś, co musiał pewnie uważać za ważniejsze.

W tym momencie wszystko stało się jasne: karmiczny błąd, który popełnił, pozorując własną śmierć, fakt, że ludzi, których pomagał wrobić, czekał niewesoły los, być może nawet realna śmierć, i co było najoczywistsze, jak bardzo brakuje mu Hope i Amethyst. Bardziej, rozpaczliwie bardziej, niż kiedykolwiek sądził, że to możliwe. Nie dysponując żadnymi środkami ani wsparciem, Coy ni z gruszki, ni z pietruszki zapragnął ponownie odzyskać dawne życie.

– To mniej więcej wtedy poprosiłeś mnie, żebym sprawdził, co się u nich dzieje?

– Zgadza się, taki byłem zdesperowany.

– To gdzieś tutaj, prawda? – Doc zjechał na pobocze niedaleko wjazdu do posiadłości Boardsów. – I jeszcze jedno.

– Yhym?

– Ta pierwsza oferta pracy od Strażników Kalifornii... Kto zadzwonił do ciebie w tej sprawie?

Coy przyjrzał się uważnie Docowi, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

– Kiedy zacząłem szpiegować, dziwiło mnie, dlaczego ludzie zadają niektóre pytania. A potem zauważyłem, że często znają już na nie wcześniej odpowiedź, ale chcą ją po prostu

usłyszeć z cudzych ust, jakby spoza własnej głowy.

- W porządku – mruknął Doc.
- Powinieneś chyba porozmawiać z Shastą Fay.

*

Wracając do biegnącej wzdłuż wybrzeża drogi, Doc zdołał wprowadzić się w stan totalnej paranoi, wyobrażając sobie, że przez cały czas, gdy byli ze sobą, a być może nawet zanim się poznali, Shasta musiała korzystać z pomocy jakiegoś zdeklarowanego ćpuna i przy każdej nadarzającej się okazji wymykała się w pogodne wietrzne noce i szła tam, gdzie trzymał dla niej sprzęt, żeby nie musiała go chować gdzieś w domu przed Dokiem... tylko po to, by znów pobycć wśród innych narkomanów, odpocząć od tego beznadziejnego sługusa klasy kredytodawców, którego już wtedy zamierzała rzucić, i tak dalej. Dopiero wjeżdżając do Gordity, uświadomił sobie, że po raz kolejny okazał się dupkiem. Kiedy po powrocie do domu doprowadził do jakiegoś takiego porządku włosy i ruszył po zmierzchu promenadą do El Porto, był już starym sobą, kimś niekarzącym się złudzeniami i łatwym optymizmem, gotowym po raz któryś z rzędu dać z siebie zrobić frajera. Normalka.

Sklep dla surferów na dole był już zamknięty, ale w oknach Świętego paliło się światło i nie musiał pukać więcej niż dwa albo trzy razy. Shasta otworzyła drzwi i nawet się uśmiechnęła, witając go i zapraszając do środka. Bosa i ubrana w jakąś jasnioletową meksykańską koszulę z pomarańczowym haftem, miała włosy owinięte ręcznikiem i pachniała tak, jakby właśnie wyszła spod prysznic. Wiedział, że był jakiś powód, dla którego kiedyś się w niej zakochał. Stale o nim zapominał, lecz teraz, kiedy zaczął go sobie przypominać, musiał się mentalnie złapać za łeb i mocno nim potrząsnąć, zanim zdobył się na odwagę, by coś powiedzieć.

Shasta przedstawiła go swojej suczce Mildred i przez chwilę krzątała się w kuchni. Jedną ze ścian w salonie Flip prawie w całości pokrył powiększonym zdjęciem gigantycznej fali z Makaha zeszłej zimy, z malutkim, lecz od razu rozpoznawalnym Gregiem Nollem wtulonym w nią niczym wiemy wyznawca w pięść Boga.

Shasta weszła z sześciopakiem coorsa z lodówki.

- Wiesz, że Mickey wrócił – powiedziała.
- Doszły mnie jakieś plotki.
- No więc rzeczywiście wrócił do domu, zgadza się, jest ze Sloane i dziećmi, i co z tego? *C'est la vie.*

- *Que sera sera.*
- Trafiłeś w sedno.
- Widziałaś się z nim?
- To chyba mało prawdopodobne. W tych dniach jestem tylko obciążeniem.
- Jasne, ale może gdybyś zrobiła coś z włosami...
- Duppek. – Rozwiązała ręcznik i rzuciła nim w Doca, a potem potrząsnęła włosami – nie chciał powiedzieć, że gwałtownie, ale w jej oczach błysnęło coś, co zapamiętał, albo tylko tak mu się wydawało. – I jak?

Przechylił głowę, jakby zadała mu poważne pytanie.

- Ciemniejsze, niż były.
- Wróciłam do moich dawnych ciemnoblonde. Mickey lubił niemal platynowe, jeździłam do tego salonu przy Rodeo Drive. W tym momencie Doc nie miał żadnych wątpliwości, że ona i Penny spotkały się w tym salonie i jego osoba była przynajmniej jednym z tematów, które poruszyły. – Podobno masz słabość do pańienek Mansona? – dodała, jakby chcąc to potwierdzić.

– Słabość? To zależy, co się przez to... Na pewno chcesz to robić?

Shasta rozpięła koszulę i patrząc mu prosto w oczy, zaczęła powoli pieścić swoje

brodawki. Mildred podniosła wzrok z chwilowym zainteresowaniem, a potem potrząsnęła głową, zeskoczyła z kanapy i wyszła z pokoju.

– Uległe, oglupione, napalone nastolatki – ciągnęła Shasta – które robią dokładnie to, co chcesz, zanim jeszcze sam wiesz, co to jest. Nie musisz nawet niczego mówić na głos, wyczuwają to szóstym zmysłem. To twój rodzaj panienek, Doc, to wszystko, co trzeba o tobie wiedzieć.

– Hej! To chyba ty wykradałaś moje czasopisma?

Ściągnęła koszulę, uklękła, podpełzła powoli do siedzącego z nietkniętą puszką piwa i erekcją Doca, po czym, nadal klęcząc, zdjęła mu ostrożnie z nóg sandały i pocałowała delikatnie każdą ze stóp.

– I co zrobiłby teraz Charlie? – zapytała szeptem.

Prawdopodobnie nie to, co zrobił Doc, który znalazł w kieszeni koszuli połówką skręta i go zapalił.

– Chcesz się sztachnąć? – Shasta podniosła głowę i kiedy przytknął jej skręta do ust, zaciągnęła się. Przez chwilę palili w milczeniu. W końcu Doc musiał umieścić to, co zostało, w małym zacisku szczękowym, który zawsze ze sobą nosił. – Słuchaj, przykro mi z powodu Mickeya, ale...

– Mickey... – Shasta zmierzyła go długim spojrzeniem – Mickey mógłby nauczyć paru rzeczy wszystkich was, plażowych luzaków. Po prostu taki był potężny. Czasami człowiek czuł się przy nim niewidzialny. Był szybki, brutalny, w żadnym wypadku nie można go uznać za czułego kochanka, po prostu zwierzę, ale Sloane to w nim uwielbiała, Luz także... to było widać, wszystkie to uwielbiałyśmy. Czasami miło jest poczuć się w ten sposób niewidzialnym...

– Tak, a faceci uwielbiają słuchać tego rodzaju pierdoł.

– ... zabierał mnie na lunch w Beverly Hills, trzymając tę swoją wielką łapę na moim nagim ramieniu, prowadząc z jasnych ulic w jakieś miejsce, gdzie było ciemno i chłodno i nie czuło się zapachu żadnego jedzenia, wyłącznie alkoholu... wszyscy pili, przy stolikach siedziało pełno ludzi, ale bez względu na to, jak duża była sala, wszyscy od razu wiedzieli, że pojawił się Mickey, chcieli, przynajmniej niektórzy, być tacy jak on... Równie dobrze mógłby prowadzić mnie na smyczy. Kazał mi chodzić w tych superkrótkich minispódniczkach, nigdy nie pozwalał wkładać niczego pod spód, oferował mnie po prostu każdemu, kto chciał się pogapić albo mnie dotknąć. Czasami wypożyczał mnie znajomym, a ja musiałam robić wszystko, co chcieli.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Och, przepraszam, Doc, to cię denerwuje, chcesz, żebym przestała? – Teraz leżała już na jego kolanach, wsunawszy pod siebie ręce i pieszcząc nimi cipkę, z wypiętym, nieodparcie kuszącym tyłkiem i zamiarami, które nawet dla Doca były dość jasne. – Gdyby to moja dziewczyna uciekła, żeby zostać dziwką, którą kupuje się od jakiegoś szemranego dewelopera, byłabym taka wściekła, że sama nie wiem, co bym zrobiła. To znaczy nie, znowu cię okłamuję, wiem, co bym zrobiła. Gdybym miała tę niewierną małą sukę na kolanach, tak jak ty teraz...

Tyle mniej więcej zdołała powiedzieć. Doc wymierzył jej może z pół tuzina solidnych klapsów, zanim jej ruchliwe ręce sprawiły, że oboje stracili głowy.

– Ty skurwielu! – krzyczała, jak domyślał się Doc, nie na niego. – Ty sukinsynu...

Później pamiętał tylko, żeby sprawdzić, czy nie zdradza symptomów zombie, na wypadek gdyby tam, gdzie była, przerobili ją w ten sam sposób, w jaki przerobili Mickeya. Wyglądało jednak na to, że ma do czynienia z tą samą dawną Shastą Nie oznaczało to oczywiście, że nie zawarła jakiejś umowy, żeby uniknąć losu Mickeya, w którym to przypadku trzeba by zapytać, z kim ją zawarła i do czego się zobowiązała. Zanim jednak to zrobił, zaczęła cicho mówić i zorientował się, że powinien słuchać.

– Powiedziałaś, że wyjechałaś na północ w sprawach rodzinnych, ale tak naprawdę dwa małpiszony dopadły mnie, zabrały do San Pedro i wsadziły na ten statek. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie były ich prawdziwe zamiary, bo uciekłam, kiedy dopłynęliśmy do Maui.

– Na pewno dzięki jakiemuś pierwszemu matowi, który uwielbia ładne dupcie.

– Dokładniej dzięki kucharzowi. Potem w Pukalani natknęłam się na wędrującego Flipa, który dał mi klucze do swojego mieszkania i poprosił, żebym się nim zaopiekowała. Dlaczego zrobiłaś nagle taką dziwną minę?

– Bo mniej więcej w tym samym czasie Vehi Fairfield dał mi jakiś kwas i będąc na haju, zobaczyłem cię na tym samym statku, na „Złotym Kle”. Unosiłem się gdzieś na wietrze, nie wiem, próbowałem wylądować na pokładzie, trzymałem się blisko tak długo, jak mogłem... teraz to ty masz dziwną minę.

– Wiedziałaś! Coś wtedy poczułam i przyszło mi do głowy, że to możesz być ty. To było niesamowite.

– Więc to musiałem być ja.

– Nie, chodziło o to, że miałam jakieś wyrzuty. Dlatego wysłałam ci kartkę z pierwszej wyspy, do której dopłynęliśmy.

– Duchowy przewodnik Vehi powiedział, że nie jesteś na tym statku z własnej woli, ale że nic ci nie grozi.

– Ciekawe, czy wiedział, że wszyscy na pokładzie byli uzbrojeni. Oficerowie, załoga, pasażerowie.

Specjalnie o to nie pytała, ale kucharz Porfirio sam jej chętnie wyjaśnił.

– Piraci – oznajmił.

– Słucham?

– Ładunek, który wieziemy, seniorita, jest bardzo pożądanym, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata.

– Może mogłabym pożyczyć coś z okrętowej zbrojowni, żeby nosić przy sobie? Na wszelki wypadek?

– Jest pani pasażerką Będziemy pani bronili.

– Jesteś pewien, że tym właśnie jestem, a nie najbardziej pożądanym towarem?

– Flirtuje pani ze mną prawda?

– Tak, i co dalej? – odezwał się po chwili Doc. – A ty na to...

– „Och, Porfirio, odparłam, mam nadzieję, że nie macie zamiaru sprzedać mnie jakiemuś straszemu gangowi chińskich zбочzonych komunistów, którzy zrobią mi najróżniejszego rodzaju straszne chińskie rzeczy...”.

Doc znalazł trochę tajskiej trawki od Fritza i zapalił.

– No – powiedział, dając jej się sztachnąć – a co na to Porfirio?

– „Mogę zrobić to pani pierwszy, oczywiście za pani pozwoleniem, seniorita, żeby wiedziała pani przynajmniej, czego się spodziewać”.

– Hę?

– „No wie pani, na tych żaglowcach jest pełno lin, łańcuchów, haków, bloczków do podciągania i tak dalej...”.

– Dobra, wystarczy... zobaczmy ten czerwony śliczny tyłeczek.

– Ale, Doc... nie ciekawi cię, co ja na to?

Shasta uklękła na kanapie, położyła głowę na poduszce i zaprezentowała się w pełnej krasie.

– Powinnaś sobie tu zrobić tatuaż. Co powiesz na „Bardzo niegrzeczna dziewczynka”?

Obejrzała się, mrużąc wąskie jak szparki, zaczerwienione oczy.

– Myślałam, że wolałbyś liść marihuany...

– Hmm. Może lepiej...

- Nie...
- Co z ciebie zresztą za seksualna niewolnica chińskich komuchów? Chcesz po prostu... wypnij tyłeczek... och, coś pięknego...
- Zaczęli się pieprzyć i tym razem również nie trwało to zbyt długo.
- To nie znaczy, że znowu jesteśmy razem – powiedziała jakiś czas później.
- Nie. Oczywiście, że nie. Czy mimo to mogę ci coś powiedzieć?
- Jasne.
- Tak naprawdę wcale nie byłem na ciebie wkurzony, Shasto, nie winiłem cię za to, że się rozstaliśmy. Nigdy nie uważałem się za poszkodowanego czy coś w tym rodzaju. W gruncie rzeczy przez chwilę, kiedy wyglądało na to, że Mickey stał się jednym z tych nawiedzonych konwertytów, miałem nawet ochotę trochę mu odpuścić. Uwierzyłem, kiedy mówiłaś, że to z jego strony szczerze.
- Problem w tym, że ja także w to uwierzyłam – wyznała ze smutkiem.
- I jeśli ktoś powinien się odgrywać na czyimś tyłku...
- Aha – mruknęła Shasta. – Aha. Cóż. Muszę się nad tym zastanowić.
- Poszła do kuchni, znalazła pudełko Froot Loops, po czym włączyli telewizor i usiedli przed nim, pojadając w przyjaznym nastroju płatki i oglądając Knicksów i Lakersów. Zupełnie jak za dawnych czasów, mógłby powiedzieć Doc, gdyby nie to, że działo się to teraz i wiedział o wiele mniej, niż wtedy wydawało mu się, że wie.
- Nie włączasz dźwięku?
- Nie, te ich buty... czy naprawdę muszą tak skrzypieć?
- Coś nie daje ci spokoju – stwierdziła, spoglądając na niego w połowie meczu.
- Coy Harlingen. Natknąłem się na niego w Hermosa Beach.
- Więc tak naprawdę wcale nie przedawkował, jak wszyscy mówili.
- Mało tego, jest teraz czysty.
- Miło to słyszeć. Niech go niosą fale.
- Niestety, wplątał się w coś, z czego chce się wyplątać. Pracował jako kapuś dla policji Los Angeles, widziałem go także w telewizji na jakimś wiecu Faszyzmu dla Wolności, kiedy udawał, że wydziera się na Nixona, pracując pod przykrywką dla grupy, która nazywa się Strażnicy Kalifornii.
- Ach tak – mruknęła Shasta. – Podejrzewam, że mam go na sumieniu, bo to ja skontaktowałam Coya z Burkiem Stodgerem, a Burke spiknął go ze Strażnikami. – Nie jest żadnym wy tłumaczeniem, dodała, że działo się to w trudnym dla wszystkich w Hollywood okresie zaraz po Sharon Tate. Marzące o karierze gwiazdki nie zdawały sobie wcześniej sprawy, że regularne rysy twarzy oraz niska waga niekoniecznie gwarantują zdobycie tego, co ważne. Morderstwa przy Cielo Drive stanowiły szok dla zwykłych ludzi, ale wpływ, jaki wywarły na Shastę i jej przyjaciół był paraliżujący. Jakaś dziewczyna mogła być najsłodsza w całej branży, mogła wydawać oszczędnie pieniądze i nie przesadzać z narkotykami, mogła wiedzieć, jak dalece można zaufać ludziom w tym mieście (odpowiedź: nie ufać w ogóle), mogła być miła dla wszystkich – dla asystentów kamerzysty, oświetleniowców, nawet scenarzystów, ludzi, z którymi nie trzeba się nawet witać – a i tak za cały ten trud padała ofiarą potwornego morderstwa. Spojrzenia, które nauczyła się wcześniej ignorować, kazały jej teraz wypatrywać dzikiego błysku w oczach jakiejś kanalii, a po ich zauważeniu zamykać się na siedem spustów w pokoju oświetlonym tylko poświatą telewizora, gdzie żywiła się resztkami z lodówki do chwili, gdy odważyła się znów wystawić nos z domu. – Mniej więcej wtedy poznałam Burke’a Stodgera. Byliśmy sąsiadami i rano wyprowadzaliśmy nasze psy o tej samej porze. Wiedziałam jakby, kim jest, ale nie oglądałam żadnego jego filmu aż do któregoś wieczoru, kiedy nie mogłam zasnąć i przerzucając kanały, trafiłam na *Pocałunek z czterdziestki piątki*. Zwykle nie oglądam tego rodzaju filmów, ale coś w nim mnie...
- Doskonale cię rozumiem! – wykrzyknął Doc. – Ten film uczynił mnie tym, kim dzisiaj

jestem. Ten prywatny detektyw, którego grał Burke Stodger, człowieku, zawsze chciałem być taki jak on.

– Podobno chciałeś być Johnem Garfieldem.

– To też prawda, ale tak się składa, że John Garfield pojawia się anonimowo w tym samym filmie... Pamiętasz tę scenę pogrzebu, kiedy Burke pieści jakby dyskretnie wdowę, zasłaniając parasolem siebie i ją... No więc, jeśli uważnie się przyjrzyysz, zaraz za jej lewym cyckiem, po lewej stronie kadru, widać trochę nieostro stojącego przy drzewie Johna Garfielda w gangsterskim garniturze w prążki i kapeluszu Homburg. W tamtym okresie był na czarnej liście i musiał uznać, że trzeba występować, gdzie się da.

– Burke borykał się z tym samym problemem, ale powiedział, że znalazł inne rozwiązanie.

– Takie, które nie doprowadziło go do śmiertelnego zawału serca... Ale, ups, znowu robię się zgorzkniały.

Ku rozpaczy wielu ludzi z branży Burke skumał się z tymi samymi polującymi na czerwonych zelotami, którzy kiedyś zmusili go do opuszczenia kraju. Zeznawał przed podkomisjami, ofiarował swój statek na rzecz antywywrotowców i wkrótce wrócił do pracy przy niskobudżetowych produkcjach FBI w rodzaju *Byłem czerwonym ćpunem i Kwicz, różowa Świnio!*, które kręcono tak długo, jak długo tematyka antykomunistyczna przyciągała widownię do kin. Kiedy poznał Shastę, był już jedną nogą na emeryturze i z satysfakcją spędzał czas, grając za niskie stawki na osiemnastu (a nawet dziewięciu, jeśli znalazł członka, który był pół-Żydem) dołkach w Wilshire Country Club albo przesiadując w Musso & Frank's, gdzie gawędził o show-biznesie z innymi weteranami, dokładniej z tymi z nich, którzy na jego widok nie przechodzili na drugą stronę ulicy, a czasami również autostrady, wyglądając, jakby zaraz mieli się porzygać.

Burke znał tylne wejście na pole golfowe i odbywali tam razem z Shastą część porannego spaceru. Dla niej była to często najlepsza pora dnia – poranne dostawy, ludzie pracujący na podwórkach i przy basenach, spokój, chłód, zapach jak na pustyni po deszczu, egzotyczne ogrody, cieniste miejsca, w których można się było schronić, zanim dniem zawładnęło słońce.

– Widziałam cię w odcinku *Brady Bunch* – powiedziała mu pewnego ranka.

– Właśnie przeczytałem scenariusz następnego, czekam na odpowiedź. Coś o Jan, która dostaje perukę.

Burke znalazł w trawie prawie nieużywaną piłeczkę, podniósł ją i schował do kieszeni.

– Jaką perukę?

– Chyba ciemną. Może znudziło jej się bycie blondynką?

– Nie musisz mi o tym mówić. Choć to nie to samo co zmiana poglądów politycznych.

Bała się, że wyraziła się zbyt obcesowo, lecz on podrapał się w głowę i udał, że się zastanawia.

– Cóż, to oczywiste, że nawiedzają mnie wątpliwości, nie raz i nie dwa, w środku nocy, wszystkie te obiekcje starego faceta. Ale dobrze mnie potraktowali. Nadal wypływam w rejs, czasami jest nawet jakaś praca. – Mimo porannej pory, zawadiacko przekrzywionego słomkowego kapelusza, koszuli w pastelowe paski i jasnych lnianych szortów w jego głosie pobrzmiwała gorzka nuta starego aktora. – Swoją drogą dzięki, że nie poruszyłaś sprawy Wietnamu. Gdybyśmy zaczęli o tym mówić, mogłabyś naprawdę stracić do mnie szacunek.

– W tym momencie to wszystko wydaje się chyba dość odległe?

– Nie miałaś chłopaków, którzy biegali po ulicach, krzyczeli „Zabić świnie!”, rzucali bomby czy co tam jeszcze?

Shasta pokręciła z uśmiechem głową.

– Nie mówmy o politykach. Na ilu nadających się do chodzenia facetów trafię kiedykolwiek w tej branży?

– To wolna amerykanka i zawsze tak było, dziewczyno. Jedyna duża różnica, jaką dziś widzę, to narkotyki. Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę tyłu wspaniałych, dobrze się

zapowiadających młodych ludzi, którzy albo staczą się na dno, albo odchodzą z tego świata.

W tym momencie przyszedł jej oczywiście na myśl Coy. Nie był, nigdy nie mógł być miłością jej życia, ale znała się w wystarczającym stopniu na muzyce, żeby szanować to, jak zarabiał na życie, jeśli można to nazwać życiem. Był dobrym kumplem, nigdy dotąd nie okazał się dupkiem i nawet naćpany herą nigdy nie spojrzął na nią w ten przyprawiający o dreszcze mansonowski sposób. Na pewno potrzebował w życiu jakiejś odmiany.

– Jest taki saksofonista, o którego trochę się martwię – zaczęła i w końcu opowiedziała Burke’owi więcej, niż zamierzała, o przygodzie Coya z heroiną. – Nie stać go, żeby zapisać się na odwyk, ale tego właśnie potrzebuje. To jedyna rzecz, która go uratuje.

Szli przez chwilę w milczeniu w promieniach słońca. Psy podeszły do nich i pies Burke’a, Addison, spojrzął na niego, unosząc brew.

– Widziałś to? Spędza za dużo czasu przed telewizorem, oglądając filmy z Georgem Sandersem. Nie, nie. „Jesteś za niski na takie gesty”... Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, przypomniałem sobie o pewnym programie, który, jak słyszałem, jest naprawdę skuteczny. Oczywiście nie mam pojęcia, czy przypadnie do gustu twojemu znajomemu.

Rozmawiając później z Coyem, dała mu telefon Burke’a.

– A potem Coy po prostu zniknął. Nie było w tym nic niezwykłego, zniknął już wcześniej, jeszcze przed minutą był tutaj i wykonywał solówkę, a potem, kurczę, gdzie się podział? Ale tym razem można było niemal usłyszeć ciszę, jaka zapadła.

– To wtedy pewnie pierwszy raz trafił do tego ośrodka w Ojai – powiedział Doc.

– Pierwszy raz? Ile razy tam był?

– Nie wiem, ale mam wrażenie, że był tam stałym gościem.

– Więc może nadal bierze – stwierdziła z niewesołą miną.

– Może nie, Shasto. Może to coś innego.

– Co może być innego?

– Czymkolwiek zajmują się ci ludzie, nie pomaga to ćpunom wyjść na prostą.

– Powinnaś powiedzieć, że Coy jest dorosły i sam musi o siebie zadbać... Tyle że tak naprawdę on wcale tego nie potrafi i dlatego się martwię. Nie tylko o niego, ale także o jego żonę i dziecko.

Pierwszy raz zobaczyła Coya, kiedy szedł Sunset Boulevard razem z Hope i Amethyst. Siedziała za kierownicą eldorado, nie pamiętała, ile razy mogła jeździć w tę i z powrotem tym bulwarem, więc ich podwiozła. Mieli jakiś problem z samochodem, powiedział Coy, i szukali warsztatu. Hope i Amethyst usiadły z przodu, Coy z tyłu. Dziecko, biedne maleństwo, było takie czerwone i apatyczne. Shasta rozpoznała zatruty owoc heroiny. Przyszło jej do głowy, że rodzice małej są w Hollywood wyłącznie po to, żeby ćpać, ale powstrzymała się od prawienia kazań. Jako dziewczyna Mickeya Wolfmanna wiedziała już wtedy, że nie nadaje się do tego, by grać wielką damę – to, że każdy z nich był tam, gdzie był, wynikało z fartu, głupiego fartu, a za każdy fart najlepiej jest odpłacić, po prostu pomagając, kiedy można.

– Ty i Mickey lubiliście już wtedy to robić? – nie mógł nie zapytać Doc.

– Wścibski z siebie dupek, wiesz?

– Ujmę to inaczej: jakie stosunki łączyły ciebie i żonę Coya?

– Widziałam ją tylko ten jeden raz. Mieszkali gdzieś w Torrance, Coy prawie nie bywał w domu. Czy dałam mu numer telefonu? Nie, kilka dni później jechałam La Brea Avenue, Coy stał w kolejce przed Pink’s Hot Dogs, zobaczył eldorado, przebiegł przez ulicę, reszta jest historią. Czy ze sobą byliśmy? Czy robiłam w konia Mickeya? Jak można o coś takiego pytać?

– Kiedy o to...

– Słuchaj, jeśli jeszcze tego nie wiesz, nie jestem najśłodszą dziewczyną w branży, nie było żadnego powodu, żebym traciła choć pół minuty na chorego ćpuna w rodzaju Coya, który wyraźnie staczał się na dno. Nie był celem mojej działalności charytatywnej, nie

dawaliśmy sobie razem w żyłę, a swoją drogą, jeżeli przestaniesz myśleć o pewnych panienkach, z którymi ty się włóczyłeś...

– No dobrze. Jakikolwiek były twoje zamiary, ocaliłaś mu w końcu życie. A potem został policyjnym kapusiem i tajnym agentem Strażników oraz być może Złotego Kła... organizacji, nie statku... i na razie można doliczyć się trzech sztywnych, którzy obciążają albo nie obciążają jego karmę.

– Zaczekaj. Myślisz, że Coy... – Shasta podparła się łokciem i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. – Myślisz, że ja go w to wrobiłam?

Doc pogładził się po brodzie i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

– Mówi się czasem, że coś podpowiada nam serce, prawda? A mnie, Shasto Fay, podpowiada różne rzeczy kutas i tym razem mówi, że...

– Tak się cieszę, że cię o to zapytałam. Robię kawę, ty też chcesz?

– Pewnie... Ale zastanawiałem się właśnie...

– Ojej...

– Kiedy powiedziałem, że widziałem Coya w Hermosa Beach, nie wydawałaś się zaskoczona.

Z kuchni przez dłuższy czas nie dobiegały żadne dźwięki poza odgłosami parzenia kawy. Wreszcie stanęła w progu, wysuwając do przodu biodro i zginając kolano, piękna naga Shasta.

– Widziałam go raz w Laurel Canyon i kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem.

Powiedział, że jeśli ktoś się dowie, będzie po nim. Nie wchodził w szczegóły.

– Wygląda na to, że już wtedy komuś cholernie zależało, żeby cała tajemnica się nie wydała. Do czego przecież doszło już za pierwszym razem, kiedy Coy spróbował wystąpić pod przykrywką. Co on sobie, do diabła, wyobrażał?

– Nie wiem. A co sam myślałeś, kiedy zaczynałeś pracować jako prywatny detektyw?

– To co innego.

– Czyżby? Z tego, co widzę, ty i Coy jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody.

– Dzięki. Jakim cudem?

– Obaj jesteście gliniarzami, którzy nigdy nie chcieli nimi zostać. Wolelibyście raczej surfować, popalać, dymać panienki, cokolwiek tylko nie to, co robicie. Wydaje się wam, że ścigacie przestępców, ale w rzeczywistości dla nich pracujecie.

– Kurczę, człowieku...

Czy to mogła być prawda? Przez cały ten czas Doc żył w przekonaniu, że wypruwa sobie żyły dla ludzi, którzy nawet jeśli coś mu płacili, to było to pół uncji, jakaś wyświadczona później drobna przysługa albo uśmiech pod warunkiem, że był szczerzy. Przypomniawszy sobie swoich klientów z forszą, zaczynając od Crockera Fenwaya, poprzez dyrektorów wytwórni, giełdowych herosów z epoki prosperity, emigrantów z dalekich krajów, którzy potrzebowali nowej dupenki, albo dostawcy prochów, bogatych starych facetów z atrakcyjnymi młodymi żonami i vice versa... Z pewnością było to syfiaste towarzystwo, niezbyt różniące się od ludzi, dla których pracował Coy.

– Cholera!

Czyżby Shasta miała rację? Doc musiał sprawiać wrażenie przygnębionego, bo podeszła i go objęła.

– Przepraszam, popisywałam się. Uwielbiam komuś dopiec, nie mogę się powstrzymać.

– Myślisz, że to dlatego tak bardzo staram się uwolnić Coya od tych ludzi? Mimo że sam nie mogę się od nich uwolnić? Bo nie mogę...

– Odwagi, Camille... nadal bardzo się różnisz od przeciętnego gliniarza z Los Angeles.

To było miłe z jej strony, ale nie rozwiązało jego wątpliwości.

Później wyszli na dwór. Padał lekki deszczyk zmieszany ze słonym wodnym pyłem znad oceanu. Shasta zeszła powoli na plażę i stąpała po mokrym piasku, wygiąwszy kark w łuk,

którego kształt – i jego urok – Doc zapamiętał z czasów, gdy się odwracała. Ruszył po osypujących się w mroku i deszczu śladach jej bosych stóp, jakby próbował głupio odnaleźć drogę do przeszłości, która wbrew im dwojgu zmieniała się w taką przyszłość, w jaką się zmieniała. Widoczne od czasu do czasu bombardujące jego duszę fale przyboju odrywały od niej różne rzeczy, z których część spadała w mrok i znikwała na zawsze, a inne, czy tego chciał, czy nie, zatrzymywały się na krawędzi jego uwagi. Shasta trafiła w dziesiątkę. Nieważne dla kogo – na rzecz czego teraz pracował?

Kiedy Doc zbliżał się do śródmieścia LA, mgła zgęstniała tak bardzo, że nie widział końca przecznicy. Wszyscy jechali z zapalonymi światłami, a on uświadomił sobie, że gdzieś za nim, na plaży, nadal trwa klasyczny kalifornijski słoneczny dzień. Wybierając się do Adriana Prussii, postanowił za dużo nie palić i dlatego nie bardzo wiedział, czemu ma przypisać nagłe pojawienie się tuż przed nim ciemnego, metalicznie szarego wzniesienia wielkości gibraltarskiej skały. Samochody obok wlokły się powoli, nikt poza nim chyba tego nie zauważał. Pomyślał o zatopionym kontynencie Sortilege, powracającym, wynurzającym się w zagubionym sercu Los Angeles i zastanawiał się, kto go dostrzeże, jeśli do tego dojdzie. Ludzie w tym mieście widzieli tylko to, co zgodzili się widzieć, wierzyli w to, co było w telewizji albo w porannych gazetach, które połowa z nich czytała, jadąc do pracy autostradą, i na tym kończyło się ich marzenie o byciu wtajemniczonym, o tym, że prawda ich wyzwoli. Jaki pożytek mieliby z Lemurii? Zwłaszcza gdyby okazała się miejscem, z którego zostali wygnani tak dawno, że o tym zapomnieli.

Siedziba AP Finance wciśnięta była między South Central i koryto rzeki, w którym koczowali Indianie, włóczędzy oraz najprzeróżniejsi amatorzy Midnight Special, za zniszczonymi dekoracjami pustych ulic i wijącą się przez chaszcze, ogrodzoną ceglany murem starą linią kolejową. Przed budynkiem i po drugiej stronie ulicy Doc dostrzegł mniej więcej pół tuzina młodzieńców, którzy nie zbijali bąków ani nie zażywali żadnych substancji, lecz stali w pełnej gotowości, jakby czekali na rozkaz. Jakby była jakaś jedna rzecz, którą tu mieli zrobić, jeden specjalny czyn i nic poza tym nie miało znaczenia, ponieważ zależało od Boga, losu, karmy i innych.

Siedząca wewnątrz za biurkiem kobieta robiła na Docu wrażenie kogoś, kto został źle potraktowany w niedawnej sprawie rozwodowej. Zbyt intensywny makijaż, włosy uczesane przez kogoś, kto usiłował rzucić palenie, minispódniczka, o której noszeniu miała takie samo pojęcie jak początkująca gwiazdka o noszeniu wiktoriańskiej sukni. Chciał zapytać „Dobrze się pani czuje?”, ale zamiast tego powiedział tylko, że chce się widzieć z Adrianem Prusią.

Na ścianie gabinetu Adriana wisiała oprawiona w ramki fotografia nowożeńców zrobiona dawno temu gdzieś w Europie. Na biurku leżał niedojedzony lukrowany pączek i stał tekturowy kubek z kawą a za nim siedział Adrian, wpatrując się w niego w milczeniu. Przez okno za jego plecami sączyło się skażone gorącym smogiem śródmiejskie światło, które nie mogło się zrodzić o świcie i wydawało się bardziej odpowiednie dla celów i warunków ustalanych zbyt często po jedynie symbolicznych negocjacjach. W takim świetle trudno byłoby rozszyfrować każdego, nie tylko Adriana Prusią. Doc mimo to spróbował.

Adrian miał krótkie siwe włosy, przez które w miejscu, gdzie miał przedziałek, prześwitowała różowa skóra czaszki. Ignorując włosy i skupiając się na twarzy, Doc spostrzegł, że tak naprawdę jest to twarz niestroniącego od rozrywek młodzieńca, twarz, która nie przybrała jeszcze i być może nigdy nie miała przybrać sugerowanego przez włosy wyrazu surowej powagi. Adrian miał na sobie niebieski garnitur z niezbyt ładnie się układającego sztucznego włókna oraz zegarek Rolex Cellini, na który, mimo że chyba nie działał, stale spoglądał, dając gościom do zrozumienia, że marnują jego drogocenny czas.

– Więc przychodzisz w sprawie Pucka? Chwileczkę, coś kręcisz... Pamiętam cię, jesteś

tym chłopakiem z biura Fritza w Santa Monica, prawda? Pożyczyłem ci raz specjalny kij Carla Yastrzemskiego, żebyś ściągnął alimenty od jednego palanta. Dopadłeś go w greyhoundzie, wyciągnąłeś na zewnątrz, ale wcale nie sprąłeś.

– Próbowałem ci to już wtedy wyjaśnić, wynikało to chyba z podziwu, jaki zawsze miałem dla Yaza.

– W naszej branży nie ma miejsca na takie sentymenty. No więc co ostatnio porabiasz, nadal ścigasz niesolidnych dłużników? A może wstąpiłeś w stan kapłański?

– Jestem prywatnym detektywem – przyznał Doc, nie widząc powodu, by to ukrywać.

– Dali ci licencję? – Doc pokiwał głową i Adrian się roześmiał. – Więc kto cię tu przysłał? Dla kogo dzisiaj pracujesz?

– Na własny rachunek. W czasie, który należy tylko do mnie.

– Zła odpowiedź. Ile, twoim zdaniem, zostało ci jeszcze czasu, chłopcze? – zapytał Adrian, znów spoglądając na zepsuty zegarek.

– Właśnie miałem zamiar o to spytać.

– Pozwól, że poproszę tu mojego współnika.

Do gabinetu, w sposób, który sugerował, że nie ma znaczenia, czy drzwi są uchylone, otwarte, czy zamknięte na klucz, wszedł Puck Beaverton. To nie mogło się dobrze skończyć.

– Siemasz, Puck.

– Czy ja pana znam? Nie sądzę.

– Jest pan podobny do kogoś, kogo raz spotkałem. Pomyliłem się.

– Pomylił się pan – potwierdził Puck. – Co mam zrobić z tym... – zapytał Adriana Prussia, wskazując głową Doca.

– Mam dziś dużo spraw do załatwienia – stwierdził Adrian, zmierzając do drzwi. – Nic o niczym nie wiem.

– Nareszcie sami – mruknął Doc.

– Dobrze jest mieć czasami złą pamięć – poradził mu Puck, po czym usiadł na dyrektorskim fotelu Adriana, wyjął odrobinę dłuższego niż normalnie jointa (według Doca skręconego najpewniej z bibułki E-Z Wider), zapalił, mocno się zaciągnął i dał go Docowi, który bez zastanowienia zrobił to samo. Nie wiedząc, że Puck, po latach regularnego uczęszczania do szkoły ninja w Boyle Heights, opanował w mistrzowskim stopniu technikę Fałszywego Wdechu, co pozwalało mu palić tego samego skręta co upatrzona przezeń ofiara, był przekonany, że towar jest w porządku, podczas gdy w rzeczywistości zawierał dość fencyklidyny, by zwalić z nóg słonia, o co z pewnością chodziło naukowcom Parke-Davisa, kiedy dokonali tego wynalazku.

– Kwas zaprasza cię, żebyś przeszedł na drugą stronę – lubił powtarzać Denis – a fencyklidyna popycha cię tam, zatrzaskuje za tobą drzwi i zamyka je na klucz.

Po jakimś czasie Doc zorientował się, że idzie obok siebie samego ulicą a może długim korytarzem.

– Cześć – mówi Doc.

– Kurczę – odpowiada Doc. – Wyglądasz zupełnie tak samo jak w lustrze!

– To fajnie, bo ty w ogóle nijak nie wyglądasz, człowieku, w gruncie rzeczy jesteś niewidzialny!

Tak zaczęła się klasyczna i z uwzględnieniem symptomów pamięci ćpuna pamiętna głupawka. Wyglądało na to, że jest dwóch Doców, Widzialny Doc, którym było w przybliżeniu jego ciało, oraz Niewidzialny Doc, którym był jego umysł. Z tego, co się zorientował, ci dwaj toczyli od pewnego czasu gniewny spór. Na domiar złego w tle słychać było jakimś dziwnym trafem muzykę Mike'a Curba do *The Big Bounce* z 1969 roku, bezsprzecznie najgorszą ścieżkę dźwiękową, jaką kiedykolwiek napisano do filmu. Na szczęście dla obu Doców w poprzednich latach ekspediowano ich w te niechciane podróże wystarczająco często, by nabyli użytecznych paranoicznych umiejętności. Nawet ostatnio,

mimo że czasami zaskakiwał go jakiś żartowniś ze zwykłym inhalatorem do nosa wypełnionym azotanem amylu bądź też różanolicą dzierlatką, częstującą go lodami peyotlowymi, Doc wiedział, że w najbardziej nawet przykrych podróży, jeśli zawiedzie wszystko inne, może zawsze liczyć, że jemu oraz jego adwersarzowi Docowi drogę wskaże upokorzenie.

Przynajmniej do tej pory. Teraz jednak, może niedosłownie znikąd, ale z jakichś tak samo nieubłaganych czeluści wyłoniła się wysoka postać w długim płaszczu, z olbrzymimi, niecznie zakrzywionymi złotymi kłami i płonącymi oczami, które lustrowały Doca w znany odrażający sposób.

– Jak się może domyślasz – szepnęła – jestem Złoty Kieł.

– Tak jak J. Edgar Hoover „jest” Federalnym Biurem Śledczym?

– Niezupełnie... Nadali sobie nazwę, która odzwierciedla to, czego się najbardziej boją. Jestem niewyobrażalną zemstą która spadnie na każdego z nich, gdy stanie się w rażący sposób dokuczliwy i zawiodą wszystkie inne sankcje.

– Wolno mi o coś spytać?

– O doktora Blatnoyda? Doktor Blatnoyd miał fatalną skłonność do łajdackiego podziału zysków, na której temat jego koadiutorzy mieli, co rozumiały, niepochlebne zdanie.

– I pan właściwie... jak to się mówi...?

– Ugryzłem. Wbiłem te... – uśmiechając się straszliwie – w jego kark. Tak.

– Uch. No cóż. Dziękuję, że mi pan to wyjaśnił, panie Kieł.

– Mów mi „panie Złoty”.

– Facet świruje – powiedział ktoś.

– Wcale nie – zaprotestował Doc.

– Masz, to powinno go uspokoić – usłyszał i nim się zorientował, ktoś wbijał igłę w jego ramię i miał czas zacząć rozsądne dochodzenie.

– Co jest... – zapytał, lecz udało mu się skończyć to zdanie dopiero, gdy obudził się, na szczęście niewiele godzin później, w jakimś pokoju, przykuty policyjnymi kajdankami do żelaznego łóżka. – ... kurwa? Albo ujmując to inaczej, co było w tym skręcie?

– Lepiej się czujesz? – To był Puck zezujący na niego w wyjątkowo złośliwy sposób. – Nie miałem pojęcia, że jesteś tylko weekendowym rycerzem, taniej by mi wyszło, gdybym dał ci piwa.

Doc nie bardzo za nim nadążał, ale domyślił się, że Puck odurzył go specjalnie po to, by ktoś mógł mu dać środki nasenne i sprowadzić w to miejsce. Czyli gdzie? Wydawało mu się, że słyszy gdzieś blisko przybój... Może czuł go przez belki i legary.

– To znowu ty, Puck? Jak się miewa twoja pani?

– Kto ci o tym powiedział?

– Oho. Co się stało?

– Ratownicy dawali jej duże szanse, lepsze, niż ty masz w tej chwili.

– Co jej zrobiłeś, Puck?

– Nic, czego by nie chciała. I w ogóle to nie twój zasrany interes.

– Niektórzy mają krótką pamięć. To ja was ze sobą spiknąłem.

– Nie martw się o nią. Wiem, jak z nią postępować. Wiem nawet, jak postępować z tobą. Ale jest coś innego, co chyba powinieneś wiedzieć. O Glenie.

– O Glenie?

– Posłuchaj, Sportello, naprawdę go ostrzegłem, zanim go dorwali.

– Zanim co?

– Glen przez cały czas był na celowniku, mądrało. Ci faceci, którym miał załatwić broń, nie ufali mu bardziej niż Bracia, którym podpadł, ponieważ zdradził swoją rasę.

– A ty mówisz mi o tym, ponieważ...

– Ze znanych mi osób ciebie jednego obchodził los Glena. On i ja byliśmy kiedyś bliskimi

kumplami, nieraz oberwałem za niego nożem, siedział za mnie w pudle. A potem wypiąłem się na niego i pomogłem go zrobić. Niezła ze mnie Świnia, prawda? Ale byłem mu winien przynajmniej jeden telefon, tak czy nie?

– Ostrzegłeś go? Więc dlaczego nie dał nogi?

– Pierwsza porządna praca, jaką kiedykolwiek miał. „Moim obowiązkiem jest chronić Mickeya”. Głupi kutas. W gruncie rzeczy ty i Glen jesteście takimi samymi głupimi kutasami.

– Nie chciałbym ci przerywać, ale gdzie się znajdujemy? I kiedy będę mógł opuścić to miejsce?

– Kiedy zostaniesz zneutralizowany jako zagrożenie.

Doc szybko ocenił sytuację. Był skuty kajdankami i ktoś zabrał jego smitha.

– Nie jestem pewien, ale powiedziałbym, że stanowią zerowe zagrożenie.

– Adrian miał coś do załatwienia na mieście. Wkrótce wróci i będziemy mogli się zająć naszymi sprawami. Masz ochotę na papierosa? – zapytał i zaczął, aż Doc kiwnie głową. – To źle trafiłeś. Rzuciłem palenie i ty też powinienesz, dupku.

Puck wziął składane krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– Pozwól, że coś ci powiem o Adrianie. Zgarniali go za morderstwo pierwszego stopnia więcej razy, niż ktokolwiek pamięta, i za każdym razem wychodził. Windykacja długów to robota, którą wykonuje za dnia. Kiedy okiennice są już zamknięte, ostatnie cyfry zaksięgowane, kiedy woły robocze i menele idą tam, dokąd idą i ulica znowu jest spokojna i cicha, wtedy dopiero Adrian zabiera się do pracy.

– Jest płatnym zabójcą – Zawsze nim był. Tyle że do niedawna w ogóle o tym nie wiedział. Zorientował się parę lat temu.

Adrian instynktownie rozumiał, wyjaśnił Puck, że tym, co kupują ludzie, płacąc odsetki, jest czas. Więc jeśli ktoś zwleka z ich spłatą jedynym sprawiedliwym rozwiązaniem jest odebranie mu o wiele cenniejszej waluty: jego własnego czasu, czasami całego, który mu pozostał. Poważny uraz to zatem coś więcej niż ból, to odebranie delikwentowi części jego czasu. Dni i godziny, które uważał za swoje, trzeba będzie teraz spędzać w szpitalach, tracić na wizyty u lekarzy, fizjoterapię, wszystko będzie trwało dłużej, bo człowiek nie porusza się tak szybko. Więc właściwie można było uznać, że Adrian przygotowywał się do pracy płatnego zabójcy przez całe swoje życie zawodowe.

Pewnego razu podczas obchodu Adrian odwiedził klienta z obyczajówki, który wspominał w trakcie rozmowy o pewnym alfonsie działającym na obrzeżach przemysłu filmowego i mającym udziały w barach ze striptizem, agencjach modelek i „specjalnych wydawnictwach”. Policji Los Angeles niezwykle zależało na tym, żeby się z nim rozprawić. Jak się okazało, człowiek ten posiadał również bogatą i szczegółową kartotekę na temat siatki seksualnych rozpustników z Sacramento i groził teraz, że ją ujawni, jeżeli nie dostanie sumy, która (czego jako zbyt mały gracz nie mógł pojąć) absolutnie nie wchodziła w grę, mimo że nawet mniej drastyczne przywołane przez niego fakty, nieważne, czy poparte, czy niepoparte dowodami, mogły pogrążyć administrację gubernatora Reagana.

– Gubernator nabiera wiatru w żagle, należy do niego przyszłość Ameryki, ktoś może w tym momencie wyświadczyć wielką przysługę amerykańskiej historii, Adrianie.

Chociaż Prussia miał już wtedy na swoim koncie sporo zabójstw, wiele z nich popełnionych przy użyciu kijów marki Louisville Slugger, coś go przez chwilę powstrzymywało. W ostatecznym podjęciu decyzji pomógł chyba fakt, że zawsze głosował na republikanów.

– Cóż, jako dobry Amerykanin chciałbym zaoferować moje usługi. Mam tylko jeden warunek. Nie chcę ani na chwilę trafić za kraty – oświadczył.

– Czy zgodzisz się, że postawią cię w stan oskarżenia, a potem wypuszczą na mocy umowy sądowej, zanim jeszcze dojdzie do procesu?

– Świetnie, ale po co mnie w ogóle w to mieszać? Dlaczego nie zostawić tej sprawy jako

nierozwiązanej?

– Chodzi o pieniądze federalne. To, ile ich dostaniemy, zależy od ilości rozwiązanych w ciągu roku spraw. Jest specjalny algorytm. Im więcej spraw idzie do sądu, tym lepiej na tym wychodzimy. – Adrian musiał zrobić niewesołą minę. – Możemy ci to zagwarantować – dodał gliniarz. – Zero konsekwencji, prawnych i jakichkolwiek innych.

Adrian nie przejmował się zbytnio aresztowaniem, postawieniem w stan oskarżenia, a zwłaszcza opłatami sądowymi. Przypuszczał, że taka jest cena, jaką musi zapłacić za zimny, przesywający na wskroś dreszcz emocji, który odczuwał tym silniej, im bardziej zbliżała się ta chwila. Było w tym coś seksownego. Jak w uwiedzeniu.

Kazał porwać i dostarczyć swoją ofiarę do pustego magazynu w City of Commerce i wynajął dwóch profesjonalistów, którzy specjalizowali się w gejowskim S&M.

– Nie uszkodźcie go za bardzo – polecił. – Po prostu wprowadźcie w odpowiedni nastrój. Potem możecie się zmywać.

Panowie spojrzeli na Adriana, na klienta i w końcu jeden na drugiego, po czym wzruszyli ramionami i zgodnie z zasadą „nigdy nie wiadomo, co kogo rajcuje”, przystąpili do dzieła. Kiedy dostali pieniądze i sobie poszli, nadeszła kolej Adriana.

– Demoralizujesz niewinnych – zwrócił się do swojej ofiary, która pokryta sińcami i śladami razów, zdążyła już tymczasem doznać erekcji – a poza tym wzbudzasz u milionów świrów i nieudaczników dumy apetyt na farbowane na blond cipki i za duże kutasy, niszczysz ich życie rodzinne, wyciągasz z nich tyle forsy, że w końcu przychodzą do mnie... do mnie, do kurwy nędzy... żeby pożyczyć pieniądze na czynsz. A potem masz cholerną czelność dobierać się do kogoś takiego jak Ronald Reagan? W ogóle startować w tej samej lidze co on? Wielki błąd, chłopie. Fakt, nie zostało ci już dużo czasu, żeby popełnić większy. Więc zacznij się modlić, dupku, bo zaprawdę powiadam ci, nadeszła twoja godzina.

W poprzedni weekend Adrian odwiedził różne podmiejskie ośrodki handlowe, zaglądając do marketów budowlanych i gromadząc narzędzia, z którymi teraz przystąpił do pracy. Nie trzeba chyba mówić, że penis ofiary wyprężył się jeszcze bardziej w postawie na baczność.

Kiedy było już po wszystkim, Adrian zabrał okaleczone zwłoki, zawiózł je na budowaną kilka mil dalej autostradę i wrzucił do szalunków filaru, do których miano wlać beton. Następnie znany przyjaciółom Adriana, sówicie opłacony operator betoniarki pomógł umieścić szczątki w czymś, co miało stać się pionowym grobem, niewidoczną statua kogoś, kogo władze nie chciały upamiętnić, lecz zetrzeć z powierzchni ziemi. Jeszcze dzisiaj, korzystając z systemu autostrad, Adrian nie mógł się nie zastanawiać, ile widzianych przez niego podpór ma w sobie nieboszczyków.

– Nadaje to nowe znaczenie określeniu „filar społeczności” – zauważał jowialnie.

Poza zadbanie o to, by widziano go wcześniej tego wieczoru razem z ofiarą w jednym z barów w West Hollywood, Adrian nie omieszkał zostawić wielu dowodów poszlakowych. Dwóch jego asystentów z magazynu poproszono, by zgłosili się w charakterze świadków, a sam Adrian zostawił tam sporo krwi i odcisków palców, przewidując, że gliniarze znajdą je i nie będą sobą, jeśli maksymalnie nie zanieczyszczą dowodów. Chociaż operator betoniarki zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach, kilku sprzedawców ze sklepów budowlanych było w stanie zidentyfikować Adriana jako nabywcę artykułów znalezionych później w magazynie i poplamionych, jak zakładano, krwią ofiary. Nie znaleziono jednak ciała, a to oznaczało, że nie ma sprawy. Adrian podpisał oświadczenie, które zadowoliło federalnych nudziarzy, i wyszedł na wolność.

Tak po prostu. Czuł, że jego życie nabrało nowego sensu. Jak wkrótce odkrył, lista wichrzycieli, których policja Los Angeles chciała usunąć z drogi, nie miała końca, a tajne notesy pęczniały od nazwisk pragnących wejść w ten biznes nowych wykonawców, znęconych całkiem przyzwoitymi honorariami, co zawdzięczano federalnej polityce hojnego wspierania lokalnych sił ładu i porządku.

W następnych miesiącach, a później latach Adrian odkrył, że specjalizuje się w sprawach politycznych – było mu w zasadzie wszystko jedno, czy chodzi o czarnych i latynoskich aktywistów, działaczy antywojennych, studenckich zamachowców czy innych różowych kutasów. W pracy najchętniej używał kijów baseballowych ze swojej kolekcji, choć od czasu do czasu można go było namówić na jakąś broń palną która w tajemniczych okolicznościach wyparowała z miejsca innego przestępstwa. Regularnie widywano go w Parker Center, gdzie nie wszyscy znali go z nazwiska, ale nikt nie kwestionował tego, że ma prawo tam przebywać. To było niczym odnalezienie się w wojsku. Po latach podążania ślepych uliczkami i zaczynania wszystkiego od początku Adrian odkrył swoje powołanie i odzyskał utraconą tożsamość.

Można sobie jednak wyobrazić jego zdumienie, kiedy pewnego dnia dyskretni chlebobawcy z policji Los Angeles poprosili, by sprzątnął jednego z ich kolegów. Co to miało znaczyć? Wiedzieli, że specjalizuje się w sprawach politycznych.

– Załatwić gliniarza? No, nie wiem. Nie ma w tym, jak byście powiedzieli, żadnej magii. Chyba że jest coś, co mi umknęło.

– W pracy obowiązuje pewien kodeks – wyjaśnił jego łącznik. – Jest niezbędne zaufanie. Wszystko od tego zależy, to nie podlega dyskusji.

– A ten detektyw...

– Powiedzmy, że naruszył zasady.

– Federalny kapuś, coś w tym rodzaju?

– Nie wchodźmy lepiej w szczegóły.

Prawdę mówiąc, Adrian znał tego detektywa, który nazywał się Vincent Indelicato i pożyczał od czasu do czasu w AP Finance. Nie było z nim żadnych problemów, pożyczki zawsze spłacał terminowo wraz z odsetkami. Adrian wiedział również przypadkowo, że Puck Beaverton od dawna nienawidzi Vincenta i zwolniony obecnie za kaucją czeka na wyrok za jakieś drobne przewinienie, w które Indelicato po prostu go wrobił. Coś związanego z trawką.

Adrian próbował wzbudzić w sobie święte oburzenie, które odczuwał w stosunku do komuchów i gorszycieli, ale nie miał jakoś do tego serca. W końcu wezwał Pucka.

– Słuchaj, starałem się zatuszować tę sprawę, ale za cholerę nie chcę odpuścić.

– Niech pan się nie przejmuj, panie P. – odparł Puck. – To jeden z tych przypadków, kiedy niewłaściwy gliniarz pojawia się w niewłaściwym miejscu. Vincent Indelicato jest jedynym funkcjonariuszem miejscowej policji, którego szczerze nienawidzę. On odwzajemnia mi się tym samym, więc na pewno mi nie daruje.

– Czy to ma coś wspólnego z Einarem?

– Ten pierdolony glina, kiedy tylko może, zatrzymuje go i zamyka nie wiadomo za co. Z czystej nienawiści do pedziów. A Einar jest taki niewinny, człowieku, jak małe dziecko, nie widzi, jakie to podłe, jakie systematyczne. Tego sukinsyna Indelicata naprawdę trzeba by postawić pod ścianą i rozstrzelać. Szkoda, że nie mogą mnie przymknąć za... no, nie wiem, za coś poważnego... może zdobyłbym dzięki temu jakiś respekt za kratami?

– Skoro już o tym wspomniałeś... – Adrian opowiedział mu o swoich zleceniach i gwarancjach, że nigdy nie pójdzie siedzieć. – Tym razem jednak w ogóle nie mam do tego przekonania. Ten Delicato jest klientem, jest gnojem, ale nic dla mnie nie znaczy. Mógłbym go załatwić i co z tego? Nie ma w tym żadnej pasji, rozumiesz, o co mi chodzi? Podczas gdy ktoś, kto utopiłby go w łyżce wody...

– Więc chce pan powiedzieć... że ja mam to zrobić...

– Ale aresztują mnie. A jeśli będziesz musiał odsiedzieć tamten drugi idiotyczny wyrok, osadzeni dowiedzą się, że tak naprawdę to ty uziemiłeś gliniarza, który cię wsadził, i twoja pozycja na spacerunku niepomiernie wzrośnie.

I tak to wyglądało: Adrian podzegał do przestępstwa, a Puck je popełnił. W idealnym systemie sądowym obaj powinni beknąć za morderstwo pierwszego stopnia, lecz nie

sposób przewidzieć, do czego może się posunąć tak bardzo pozbawiona wiary w siebie służba jak policja Los Angeles, żeby to uzewnętrznić.

– Na dodatek w sprawie tego głównianego zarzutu posiadania zioła zawarliśmy umowę sądową, więc w ogóle nie musiałem iść siedzieć. To dopiero, nie? – podsumował Puck.

– Pozostaje jedno pytanie – zauważył Doc. – Ponieważ tak tu sobie tylko luźno gawędzimy i w ogóle. Kto wynajął Adriana?

– A kogo to obchodzi? Jeden gliniarz zasadził się na drugiego gliniarza, nie warto o to pytać.

– Nie, nie, to fascynujące, jak powiedziała by pan Spock. Powiedz coś więcej.

Nagle usłyszeli obaj odgłos wjeżdżającego do garażu samochodu i trzaśnięcie drzwi.

– Puckie... wróciłem... – dał się słyszeć stłumiony, aczkolwiek łatwy do rozpoznania głos Adriana.

Puck zerwał się na nogi i po wyrazie jego twarzy Doc jak zwykle poniewczasie poznał, jak niebezpiecznie stuknięty był od samego początku ten słoneczny chłopak.

– Dziś mam dla ciebie coś specjalnego, Doc. Właśnie dostaliśmy dostawę czystej heroiny. Żaden biały paluszek nie tknął jej w drodze między Złotym Trójkątem i twoją pulsującą żyłą i są gorsze sposoby, by zniknąć na zawsze z listy najbardziej upierdliwych sukinsynów. Pozwól, że trochę ci jej przyniosę.

Zauważył, że Doc zerka w stronę swojej kostki i pustej kabury, i w jego oczach pojawił się wesoły błysk. Doc miał wrażenie, że swastyka na jego głowie też się rozjaśniła.

– Tak, mam tutaj twojego gnata – stwierdził Puck, klepiąc się po kieszeni marynarki. – Niedługo go odzyskasz, choć nie mogę zagwarantować, że będziesz w stanie go użyć. Nigdzie nie odchodź.

Zamknęły się za nim drzwi, a potem przesunął rygiel zasuw.

Istnieje dość prosty sposób uwolnienia się z kajdanek, którego Doc nauczył się, kiedy tylko zaczęły się jego regularne zatargi z policją. Posłużyć do tego mógł metalowy zacisk oderwany od długopisu, ale długopis zabrali mu razem z bronią. Na szczęście zawsze pamiętał, by nosić w dwóch albo trzech kieszeniach spodni luźne i, miał nadzieję, nierzucające się w oczy kawałki plastiku, na które pociął dawno temu pozostawioną przez Shastę starą kartę domu towarowego Bullocks. Trzeba było po prostu wsunąć kawałek plastiku w kajdanki tak, by zwolnić zapadkę i nie dopuścić do jej ponownego zatrzaśnięcia.

Musiał bardzo długo wyginać się, napinać mięśnie i prawie stanąć na głowie, by jeden z kawałków plastiku wypadł mu z kieszeni, ale w końcu uwolnił się z kajdanek, wstał z łóżka i rozejrzał się. Nie zobaczył zbyt wiele. Drzwi nie otwierały się od środka i nie było nic, czym mógłby je wyważyć. Podsunął pod wiszącą pod sufitem lampę składane krzesło, stanął na nim i wykręcił żarówkę. Zrobiło się bardzo ciemno. Kiedy udało mu się w końcu zleźć z krzesła, wróciły omamy wywołane prawdopodobnie końską dawką którą mu dali. Zobaczył znajome stare postacie Dagwooda i pana Dithersa, Bugsa i Yosemite Sama, Popeye i Bluta, którzy niczym wysłani mu na pomoc duchowi przewodnicy wirowali gwałtownie w rozświetlonych zielonych i fioletoworóżowych chmurach pyłu, i na półtorej sekundy zrozumiał, że jest spadkobiercą starożytniej tradycji bojowej, gdzie opór wobec władzy, poskromienie wynajętych zbirów i obrona honoru damy liczy się za jedno.

Usłyszał jakiś ruch za drzwiami, ale żadnej rozmowy. Istniała szansa, że Puck jest sam. Zacisnął w dłoni obręcz kajdanek, pozwalając, by druga zwisała luźno, i czekał. Zanim Puck otworzył drzwi na tyle szeroko, by zauważyć panującą w środku ciemność, zanim zdążył nawet mruknąć „O rany”, Doc skoczył mu na plecy, okładając go głowie kajdankami i kopiąc w kolano, a kiedy upadł, pochylił się nad nim i wpadając w furję, potrzebną jak rozumiał, by mógł przez to przebrnąć, złapał Pucka za głowę i w niemal zupełnej ciszy walił nią o marmurowy próg, aż wszystko zrobiło się śliskie od krwi.

Puck upuścił tackę z łyżeczką igłą i strzykawką ale nic się nie stłukło.

– Dobrze. Masz, co chciałeś. – Doc przeszukał jego kieszenie, odnalazł swoją broń, pęk kluczy oraz paczkę papierosów i zapalniczkę (podły sukinsyn nawet tu go oszukał), starannie podgrzał heroinę, nabrał jej trochę do strzykawki i nasłuchując, czy nie zbliża się Adrian, i nie zawracając sobie głowy usuwaniem powietrza z igły, wbił ją w kark Pucka tam, gdzie jego zdaniem biegła tętnica szyjna. Wcisnął tłoczek do końca, skuł Pucka kajdankami na wypadek, gdyby się jednak ocknął, po czym złapał sandały i wyszedł na korytarz. Był chyba pusty. Zapalił więziennego mentola Pucka, zaciągnął się nim ostrożnie, nie wiedząc, czy nie trafi znowu na fencyklidynę, po czym ruszył w kierunku odwrotnym do tego, skąd dobiegał odgłos przyboju, mając nadzieję, że znajdzie wyjście na ulicę.

– Puck?

To był Adrian, który pojawił się na końcu korytarza z pistoletem w ręku, i Doc dał nura w bok, zanim tamten zdążył strzelić. Pocisk odbił się od wiszącego obok gigantycznego wietnamskiego gongu i cały dom wypełniła jego podzwonna czysta nuta. Doc znalazł się na dużym wewnętrznym patio, z którego wchodziło się do pomieszczenia z wieloma sofami i fotelami oraz panoramicznym oknem. Przez szpary między zasuniętymi zasłonami wpadało troszeczkę wieczornego światła. Doc widział coś, ale niezbyt wiele. Wślizgnął się do pokoju, schował za kanapą, zdjął jeden z sandałów i rzucił go w stronę Adriana. Z patio natychmiast padł strzał i błysnął płomień wylotowy. Nie ustał jeszcze dźwięk gongu. Doc bardziej wyczuwał, niż słyszał, że Adrian skrada się w jego stronę. Zaczekał chwilę i kiedy ujrzał przesuającą się ciemną plamę, wycelował w nią i strzelił, natychmiast zmieniając pozycję. Postać padła tak jak tabletki LSD wpada w otchłań czasu. Nikt już później nie strzelał. Doc odczekał pięć, a może dziesięć minut i w końcu usłyszał, jak ktoś płacze w długim niewidocznym pokoju.

– To ty, Adrianie?

– Mam, kurwa, przejebane – cicho jęknął Prussia. – O w dupę...

– Trafiłem cię?

– Trafiłeś.

– Mam nadzieję, śmiertelnie.

– Na to wygląda.

– Skąd mam wiedzieć na pewno?

– Może powiedzą o tym w wiadomościach o jedenastej, dupku.

– Nie ruszaj się, postaraj się nie kipnąć. Zgłoszę to.

Doc ruszył na poszukiwanie telefonu. Nikt do niego nie strzelał. Dzwoniąc po karetkę, usłyszał jakieś odgłosy dobiegające z niższej kondygnacji, gdzie, jak się domyślał, był garaż. Znalazł schody i ostrożnie zszedł na dół, żeby rzucić okiem.

Zobaczył Wielką Stopę Bjornsenę, który wyjmował z bagażnika lincolna continentalę dwudziestokilową paczkę i specjalnie nie zdziwił się na jego widok.

– Już się nimi zająłeś? Mogę ci w czymś...

– Wrobiłeś mnie, Wielka Stopo. Co się z tobą, kurwa, dzieje, nie masz jaj, żeby to samemu zrobić?

– Przepraszam. Mam dosyć własnych kłopotów z kapitanem i widziałem cię na strzelnicy.

– A to tutaj? Czy to jest to, co mi się wydaje?

Przez chwilę nic się nie działo, jakby leżąca na szczycie góry masa śniegu czekała na pozwolenie na lawinę.

Wielka Stopa wzruszył ramionami.

– Cóż... to tylko jedna paczka. Jest ich więcej. Zostanie dość dowodów rzeczowych.

– Jasna sprawa, a to, co stąd zabierasz, warte jest na ulicy więcej, niż twoim zdaniem potrafią policzyć tylko gliniarze. Wielka Stopo, Wielka Stopo, oglądałem ten film, człowieku, jego bohatera nie czeka nic dobrego.

– Mam swoje zobowiązania.

Drzwi garażu były otwarte. Wielka Stopa przeniósł paczkę do zaparkowanego na podjeździe chevroleta impali rocznik 65, otworzył bagażnik i wrzucił ją do środka.

– Masz w tej chwili zamiar okraść Złotego Kłosa, człowieku. Kurewsko upiorną organizację, która, jeśli pamiętasz, parę dni temu ukatrupiła w Bel Air własnego członka zarządu.

– Wszystko to oczywiście opiera się wyłącznie na twoich urojeniach. W wydziale bardziej skupiamy się teraz na zastanawiająco długiej, przyznam szczerze, liście Oburzonych Mężów. Podwieźć cię dokądś?

– Nieee... Wiesz co, pierdolę to, właściwie pierdolę i ciebie. Pójdę piechotą. – Doc odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Och, jaki wrażliwy – zatroskał się Wielka Stopa.

Doc nie zatrzymał się. Słońce dopiero co zaszło, nad krawędzią świata gasła żółta luna. Idąc, zauważył coś znajomego w otynkowanych bungalowach i plażowych budkach i po chwili uświadomił sobie, że to Gummo Mara Way, gdzie według tego, co wyczytał w aktach Penny, miał swój dom Adrian i został zastrzelony partner Wielkiej Stopy. Ważna arteria dla impulsywnych i porzuconych, biegnąca w obu kierunkach pod górkę bez względu na to, co mówił komukolwiek nauczyciel geometrii. Kto wie, ile razy Wielka Stopa odwiedzał to miejsce po śmierci swojego partnera? Jak bardzo beznadziejna ogarniała go wówczas furia?

Doc opanował impuls, by się odwrócić. Niech Wielka Stopa jedzie swoją drogą. Do autobusu nie mogło być dalej niż dwie mile i musiał się trochę przewietrzyć. Słyszał szum palm i regularny odgłos przyboju. Co jakiś czas mijał go obarczony jakimś niewdzięcznym zadaniem kierowca, czasami z włączonym radiem, czasami trąbiąc na Doca, bo szedł pieszo. Wkrótce zobaczył po drugiej stronie ulicy odpicowaną budkę surferów z kilkoma opartymi o ścianę długimi deskami. Stał przed nią karawan marki Cadillac rocznik 59 z przyciemnionymi szybami i na ile Doc mógł ocenić, autentycznymi chromami. Podeszedł, żeby mu się przyjrzeć.

I nagle coś zamigotało na skraju pola jego widzenia, coś podobnego do rzeczy, które widzi się w ponoć niezamieszkałych domach. Schował się za cadillakiem, wyciągnął smitha i w tej samej chwili w smudze światła pojawił się Adrian Prussia.

Jak to?

Albo wydawało mu się tylko, że zabił Adriana, co było oczywiście możliwe, albo tylko go zranił i tamten zdołał wyjść na plażę i wrócić na ulicę następną prowadzącą przez tamaryszki ścieżką.

– Pierdoleni hipisi, tak łatwo was oszukać. – Sądząc po głosie, Adrian nie był chyba w najlepszej formie, ale w tym momencie Doc wolał dmuchać na zimne.

– Daj spokój, Adrianie, może jeszcze się z tego wykaraskasz, odejdziesz w pokoju, człowieku, nie będę cię zatrzymywał.

– Nie po tym, co zrobiłeś Puckowi. Dobiorę ci się do dupy, gnojku. – Doc ukucnął w zapadającym zmierzchu, zastanawiając się, czy nie wejść pod karawan i nie spróbować postrzelić Adriana w nogę. – Może starczy ci czasu na jeden strzał. Ale musisz wyjść z ukrycia, żeby go oddać, i musisz dobrze celować. A tymczasem ja odstrzelę ci łeb, kiedy tylko go zobaczę.

Od strony Gummo Marx Way dobiegało wycie syren. Doc słyszał ich chyba kilka i były coraz głośniejsze.

– Widzisz? Wezwałem ci karetkę i w ogóle.

– Dzięki, to bardzo miło z twojej strony – odparł Adrian i padł twarzą na ulicę.

Kiedy Doc wychylił się w końcu, żeby zerknąć, nie poruszał się. Umarł na amen.

Doc obejrzał się i zobaczył przed jego domem migające światła – jednej karetki i dwóch albo trzech radiowozów. Dowiedzieli się bez wątpienia od Wielkiej Stopy. Uznał, że lepiej będzie kontynuować wieczorny spacer Gummo Manc Way. Nie chodziło o to, że uciekał z miejsca przestępstwa czy coś podobnego. Widząc zwłoki Adriana, mogą podjechać do Doca albo mogą do niego nie podjechać, mogą go zgarnąć teraz albo później, to bez znaczenia.

Teoretycznie wiedział, że zabił właśnie dwie osoby i że czekają go miesiące, a może nawet lata kłopotów, ale tu, na ulicy, nie był sobą.

Próbując przypomnieć sobie słowa piosenki *The Bright Elusive Butterfly of Love*, usłyszał za sobą niemal tak samo melodyjny ryk, po którym rozpoznał widlastą ósemkę z wydechem Cherry Bomb Glasspack. Za kierownicą siedział Wielka Stopa, który przystanął przy nim i opuścił szybę.

– Jedziesz?

Jasne. Doc wsiadł do samochodu.

– Gdzie jest el camino?

– W warsztacie, wymieniają uszczelki. To wóz Chastity.

– I... po prostu stąd spadamy?

– Nie martw się, Sportello, wszystko jest pod kontrolą. – Palabral Wielka Stopa podniósł trzy palce, jakby składał przysięgę skauta, tyle że chyba lekko je skrzyżował.

– *Setni palabra.*

*

Wielka Stopa odezwał się znowu, kiedy jechali na północ San Diego Freeway.

– Masz rację. Wiem, że powinienem zrobić to sam.

– To sprawa między tobą i kimś innym, człowieku. Może duchem twojego partnera.

Wielka Stopa włączył samochodowe radio, które było nastawione – prawdopodobnie na stałe – na stację nadającą muzykę łatwą i przyjemną. Puszczano właśnie jakąś mieszankę melodii Glena Campbella.

– Vinnie był z Nowego Jorku, wiesz, tydzień trwało, zanim zrozumiałem, co mówi, nie tyle z powodu akcentu, ile tempa. A potem sam zacząłem mówić tak jak on i teraz mnie nikt nie mógł zrozumieć. Nadal zadaję sobie pytanie, czy mogłem dać mu trochę więcej czasu tamtego dnia, ale był jak zwykle za szybki. Pojechaliśmy na Gummo Mara Way na podstawie cynku, który dostał, i jeszcze zanim zatrzymałem radiowóz, wyskoczył i wpadł do domu. Wiedziałem, co się stanie. Wzywając wsparcie, usłyszałem strzały. Przez chwilę krzychałem po prostu jak głupi: „Vinnie, jesteś tam?”. A on był tam i już go nie było. Biedny kutas. To było mu pisane prędzej czy później. Był maksymalnie szurnięty, ale od tamtego czasu nigdy już nie czułem się tak bezpiecznie. Trudno to wytłumaczyć cywilowi, ale naprawdę... tyle mu zawdzięczałem.

Wielka Stopa jechał przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz co? – odezwał się Doc. – Powiedzieć ci absolutnie szczerze? Myślałem, że to ty.

– Myślałeś, że to ja? Że to ja wrobiłem Vinniego? Jego własny partner? Jezu, Sportello, czy ty kiedyś uwolnisz się od tej swojej narkotycznej paranoi?

– Nazywaj to, jak chcesz, Wielka Stopo, ale to chyba normalna reakcja. Skąd mam wiedzieć, co się dzieje z którymkolwiek z was za tą niebieską stalową kurtyną, gdzie odbywają się te wasze popierdolone gry o władzę?

Wielka Stopa nie odpowiedział, ale bywały chwile, kiedy Doc słyszał jego milczenie. Nie Możesz Za Dużo Wiedzieć, Więc Się Odwał, mówiło mu tym razem.

Uznał jednak, że równie dobrze może drążyć dalej.

– Może szefostwo miało was obu na jakiejś czarnej liście? W końcu byłeś jego partnerem i dlatego uznałeś, że sprzedając go, odzyskasz własną wiarygodność, nieprawdaż?

– Nie wiesz, o czym gadasz. Dziękuję ci bardzo za troskę, ale wszystko jest pod kontrolą, rozumiesz? Jestem renesansowym gliniarzem, pamiętasz? Mogę stać się, kim tylko chce każda z zainteresowanych stron.

– Nie, Wielka Stopo... nie. Wiesz, kim naprawdę moim zdaniem jesteś? Charliem Mansonem tutejszej policji. Tkwiącym w samym środku tego małego policyjnego królestwa, totalnie porąbanym świrem, którego nikt i nic nie ruszy, i niech Bóg ma ich w swojej opiece,

jeśli któregoś dnia obudzisz się i uznasz, że trzeba to wszystko zrównać z ziemią, bo wtedy wszyscy gliniarze będą wiali, gdzie pieprz rośnie, a kiedy dym opadnie, ptaki będą budowały gniazda w pustych kątach Glass House. I wszędzie będzie leżało gówno i potłuczone szkło.

Najwyraźniej zadowolony ze swojego najnowszego psychologicznego portretu, Wielka Stopa przyspieszył do osiemdziesięciu pięciu albo dziewięćdziesięciu mil na godzinę i pędził radośnie, można nawet rzec, samobójczo, wyprzedzając wszystkich z lewej i prawej strony w tradycyjnym wolnym stylu autostradowym. Z samochodowego radia Chastity Bjornsen popłynęły przeciągłe subhipowe synkopy aranżacji Herba Alperta, będące, co uświadomił sobie z rosnącym przerażeniem Doc, nowym wykonaniem *Yummy Yummy Yummy* zespołu Ohio Express. Sięgnął, żeby to ściszyć, ale Wielka Stopa był pierwszy.

– Jeśli cię to interesuje, Puck powiedział mi, że to on strzelał – oznajmił Doc. – Adrian dostał pieniądze i wziął to na siebie, a potem go uwolnili. Jak zwykle. Ale może o tym wszystkim wiesz. Może wiesz także, kto w policji Los Angeles zapłacił Adrianowi, żeby to zrobił.

Wielka Stopa popatrzył na niego, a potem znów na autostradę.

– Albo wiem i to znaczy, że ci nie powiem, albo nie wiem, a wtedy nigdy sam się tego nie dowiesz.

– Racja, zapomniałem. Jestem tylko głupim jak but cywilem ściągającym na siebie nieprzyjacielski ogień.

– Moja oferta pracy nadal jest aktualna. Dołącz do nas, może się czegoś nauczysz. Może nawet okaże się, że nadajesz się do akademii. – Zbliźali się do zjazdu do Canoga Park i Wielka Stopa wrzucił kierunkowskaz.

– Nie mów – mruknął Doc.

– Tak, musieliśmy znowu zatrzymać twoją brykę, była zaparkowana niedaleko domu Adriana.

– Chwileczkę. Pozwalasz mi odjechać, nie zgarniasz mnie i nie zabierasz na komisariat? Jak mam to rozumieć?

– Co rozumieć?

– No... to wszystko. – Doc kiwnął głową w stronę Gummo Mara Way i wykonał palcem wskazującym i kciukiem gest naśladujący strzelanie.

– Nie mam pojęcia, co próbujesz zasugerować, Sportello, na pewno znowu miałeś jakieś halucynacje.

– Nie rozumiem. Adrian musiał mieć dla was nieocenioną wartość. Jak może was nie obchodzić, że został wyeliminowany?

– Mogę ci tylko powiedzieć, że Adrian zrobił się sprytny, o wiele za sprytny. Ale nie pytaj mnie o szczegóły, po prostu wiedz, że chłopcy są szczęśliwi, że się go pozbyli. To samo dotyczy Pucka, bo mogą teraz powiedzieć, że morderca Vinniego został w końcu zidentyfikowany i brutalnie zabity. Ale sprawiedliwości stało się zadość, odsetek rozwiązanych spraw poszedł w górę i dostaniemy kolejne iks milionów od federalnych. Wszyscy w wydziale, jak ty to mówisz, zacierają rączki.

– Więc może powinienem dostać małą prowizję?

– Ale wtedy byłbyś na naszym żołdzie?

– Racja... W takim razie może dasz mi niewielki napiwek? Za te wszystkie sprawy, nad którymi pracuję. Puck był łaskaw wspomnieć, że całe to zamieszanie przy salonie masażu Chick Planet było tak naprawdę po to, żeby załatwić Glena Charlocka. Powiedział, że nigdy nie chodziło o Mickeya. Wiedziałeś o tym? Oczywiście, że tak. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wielka Stopa się uśmiechnął.

– Czyżby wypadło mi to z głowy? Jezu, robię się gorszy od ćpuna. No więc tak, Mickey trafił po prostu na coś, czego nie powinien widzieć, i chłopcy w strojach Johna Wayne'a

wpadli w panikę i na jakiś czas go zgarnęli. Potem federalni dowiedzieli się, że jest taki jeden nastukany miliarder, który chce rozdać całe swoje pieniądze, a oni mieli oczywiście własne pomysły, jak je wydać. Mając bliskie kontakty z tym twoim Złotym Kłębem w związku z przerzutem heroiny z Dalekiego Wschodu, kazali przeprogramować Mickeya w ośrodku w Ojai.

– Oni też dostali chyba to, co chcieli. Mój pech i zły moment. Człowiek widzi światło, próbuje zmienić swoje życie, wydaje mu się, że ma jedyną szansę uratowania kogoś z trybów systemu, a potem okazuje się, że jest za późno. I teraz Mickey znowu jest skąpym i chciwym dupkiem.

– Może niekoniecznie, Sportello. Zauważyłeś kiedyś, że to, co zatacza krąg, nigdy nie ląduje w tym samym miejscu? Jak płyta na talerzu gramofonu: wystarczy różnica jednego rowka i cały świat słyszy zupełnie inną piosenkę.

– Nałykałeś się kwasu, Wielka Stopo?

– Nie, chyba że masz na myśli mój kwas żołądkowy.

Wielka Stopa zatrzymał się przed biurem parkingu, wszedł do środka i wrócił z blankietem wydania pojazdu.

– Możesz zacząć to wypełniać, ja tylko coś sprawdzę i zaraz wrócę, żeby wszystko podpisać – powiedział i z wydechem pulsującym niczym linia basowa coraz szybszego bluesa odjechał w ręciovą blask parkingu pełnego uzewnętrznionych obywatelskich utrapień. Nie było go dość krótko, lecz Doc i tak zaczął się denerwować. Zawdzięczał to bez wątpienia pozazmysłowemu postrzeganiu ćpuna, które wzmoгло się, gdy ujrział swój samochód doprowadzony w zupełnie nierzeczywistym przejawie uprzejmości pod sam próg biura.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

– Bezpiecznej jazdy – powiedział Wielka Stopa, dotykając runda niewidocznego kapelusza, po czym wsiadł do impali, dodał kilka razy gazu i zaczął się szykować do odjazdu.

– Aha, byłbym zapomniał.

– Oczywiście, Wielka Stopo.

– Chastity i ja zaprosiliśmy w zeszły weekend rzeczoznawcę, żeby przyjrzał się kilku przedmiotom. Pamiętasz ten kubek Wyatta Earpa? Okazał się autentyczny. I co powiesz? Mogłeś zatrzymać sukinsyna i dostać za niego naprawdę duży szmal – oznajmił Wielka Stopa i rechocząc sadystycznie, odjechał z rykiem silnika.

Wyjeżdżając na ulicę, Doc przypadkowo skręcił ostrzej, niż zamierzał, i zahaczywszy o krawężnik, usłyszał dobiegające z bagażnika złowrogie łupnięcie. W pierwszej chwili pomyślał, że to obluzowało się coś w Vibrasonicu. Zatrzymał się i otworzył klapę.

– Ochch! Wielka Stopo, ty skurwielu!

Jak mógł się spodziewać, że ten wściekły pies zadowoli się wyłącznie Adrianem i Puckiem? Wszyscy, łącznie z Dokiem, byli narzędziami w czyjejś skrzynce. Miał w swoim bagażniku dwadzieścia kilo heroiny China White, a Wielka Stopa niewątpliwie informował właśnie o tym, kogo trzeba. Po raz kolejny stał się przynętą i tylko błyskotliwa inteligencja policjantów Los Angeles mogła go uchronić przed wylądowaniem w filarze jakiejś estakady. Musiał jak najszybciej pozbyć się w bezpiecznym miejscu tego azjatyckiego szajsu.

Trzymając się bocznych uliczek, ruszył na wschód. Skręcił na chwilę do centrum handlowego, zajechał pod kontenery ze śmieciami, znalazł dwa kartony mniej więcej tej samej wielkości, włożył do jednego narkotyki Wielkiej Stopy, a do drugiego worki z odpadkami, po czym pojechał na lotnisko Burbank, zaparkował przy budce telefonicznej i zużył prawie cały rulon ćwierćdolarówek, próbując połączyć się z radiostacją w limuzynie Tita w nadziei, że ten pracuje do późna.

– Ile razy mam ci przysięgać, Inez, że to nie jest imię konia, to nie jest numer telefonu bukmachera, to tylko ta kelnerka.

– Nie, nie, Tito, to ja! – Doc musiał wrzeszczeć na całe gardło ze względu na złą jakość

połączenia.

- Inez? Masz jakiś dziwny głos.
- Mówi Doc! Potrzebny mi jakiś trudny do namierzenia wóz!
- Ach, to ty, Doc.
- Wiem, że jest mało czasu, ale czy mógłbyś mi zorganizować jakiegoś falcona...
- Nie zajmuję się stręczycielstwem, człowieku.

I tak to trwało przez jakiś czas, regularnie przerywały im lądujące i startujące samoloty, łączność urywała się i wracała. Doc musiał wrzucić do automatu kolejne ćwierćdolarówki i wkrótce zorientował się, że wrzeszczy przez zaciśnięte zęby niczym Kirk Douglas w *Championie* z 1949 roku. Ustalili jednak w końcu, że Adolfo pojawi się za pół godziny z innym samochodem, i Doc był gotów do drugiej fazy swojego planu, która wymagała szybkiego wypalenia jakiegoś hawajskiego zioła skróconego w potężnego jointa, podejścia z kartonem ze śmieciami do stanowiska Kahuna Airlines, gdzie wykupił bilet do Honolulu na podejrzaną kartę kredytową otrzymaną kiedyś zamiast zapłaty, następnie zaś nadał karton na bagaż i licząc, że Złoty Kieł nie od razu się w tym wszystkim połapie, patrzył, jak znika w czymś, co jego znajome stewardesy określały mianem biurokratycznego koszmaru.

- Czy mój bagaż na pewno bezpiecznie dotrze do celu?
- Pytał już pan o to kilka razy.
- Mów mi Larry... Rzecz w tym, że macie najgorszą reputację w całej branży, jeśli chodzi o gubienie rzeczy, więc trochę się denerwuję.
- Mogę pana zapewnić...
- Zresztą nieważne. Tak naprawdę chciałbym zapytać o kraj Pigmejów.
- Słucham?
- Macie gdzieś pod ręką atlas lotów? Proszę to sprawdzić. Pigmejów, przecinek, kraj.

Ponieważ były to kalifornijskie linie lotnicze, w których obowiązuje zasada maksymalnego dogadzania klientom, wkrótce pojawił się jakiś umundurowany osobnik z krótko obciętych włosami i atlasem lotów pod pachą i zaczął go na stojąco kartkować z coraz bardziej zdeorientowaną i przeproszającą miną.

- Gdziekolwiek leży ten kraj, proszę pana, nie ma tam komunikacji lotniczej.
- Ale ja... ja chcę do kraju, przecinek, Pigmejów! – zaczął zawodzić Doc.
- Przykro mi, ale kraj... ten, tego... Pigmejów najwyraźniej nie posiada pasa startowego!
- W takim razie będą go musieli po prostu zbudować, tak czy nie? Niech pan mi to da... – Doc złapał stojący na biurku mikrofon, tak jakby mógł przekazać za jego pośrednictwem wiadomość dla czekających przy krótkofalówkach Pigmejów. – W porządku, teraz słuchajcie! – krzyknął, po czym zaczął wydawać rozkazy wyimaginowanej ekipie pigmejskich robotników. – Co to takiego? Oczywiście, że to boeing, kurdupłu... masz z tym jakiś problem?

W polu jego widzenia pojawili się ochroniarze. Personel nadzorujący obserwował go z rodzajem chorej fascynacji. Pasażerowie stojący za nim w kolejce znaleźli powody, by ją opuścić i odejść. Doc odłączył mikrofon, przechylił zawadiacko kapelusz w stylu Sinatry i zaczął czarować tłum, śpiewając całkiem znośnym głosem knajpianego piosenkarza:

*Pod niebem z samych serc
Pękniętym na pół
Jedni lecą w luksusie
Inni równo w dół.
Marni z nas aktorzy
Ze mnie, z ciebie i z niego
Gramy swoje role
Pod niebem z samych serc.*

*Na górze w pierwszej klasie
Podają wykwintne wino.
Miło czas spędza się,
Grasz w kanastę z dziewczyną.
I nagle, oho,
Widać napis „Nie palić”
Tak to się zaczyna
Pod niebem z samych serc...
[Łącznik]
Nie martwiąc się wcale...
Odleciałaś hen...
Będę tęsknił, ale...
Życie to nie sen...
Teraz lecę sam turystyczną klasą.
Piję tani sikacz,
Już nie śmierdzą kasą.
A mój łzawy przebój
Spada ze wszystkich list.
Ale tak to wygląda
Pod niebem z samych serc...*

Piosenkę tę puszczali w radiu zaledwie przed kilkoma tygodniami i przez ostatnie osiem taktów ludzie właściwie mu wtórowali, jedni śpiewając zwrotki, inni refren, a jeszcze inni, stepując w rytmie muzyki. Dość świadków, by Kieł miał się przez chwilę czym zająć. Tymczasem Doc zmierzał powoli ku wyjściu i rzuciwszy w końcu mikrofon najbliższemu pasażerowi, wymknął się na zewnątrz i znalazł Adolfa za kierownicą oldsmobile'a 442, który stał z zapalonym silnikiem obok jego auta. W radiu śpiewała Rocio Durcal, której za chwilę miało pęknąć serce.

Doc wszedł do swojego samochodu i wyjechali z parkingu. Zatrzymali się dopiero w odpowiednio ciemnej uliczce w North Hollywood, gdzie dwudziestokilowy kłopotliwy bagaż wylądował szybko w bagażniku oldsmobile'a. Doc oddał swoje kluczyki Adolfowi.

– Znają numery rejestracyjne i markę tego samochodu. Potrzebuję tylko paru godzin. Spróbuj ich zająć, jak długo potrafisz.

– Miałem zamiar zamienić się za jakiś czas z moim kuzynem Antoniem „Bugsem” Ruizem, w którego słowniku nie istnieje słowo *peligro*, a poza tym ma wszystko w dupie – odparł Adolfo.

– Nie wiem, jak ci się odpłacę, *vato*.

– Tito uważa, że ma wobec ciebie dług wdzięczności. Załatwcie to między sobą ja się nie wtrącam.

Oldsmobile nie miał wspomaganie kierownicy i jeszcze przed wjazdem na San Diego Freeway Doc miał wrażenie, jakby znowu znalazł się na lekcjach wychowania fizycznego i robił pompki na polecenie pana Schiffera. Pozytywne było to, że nikt go chyba nie śledził. Mimo to wciąż musiał odpowiedzieć sobie na interesujące pytanie, jak przechować przez krótki okres w bezpiecznym miejscu dwadzieścia kilo heroiny w sytuacji, gdy zmobilizowano poważne siły, aby ją odnaleźć, odzyskać i ukarać tych, którzy ją zagarnęli.

Po powrocie do Gordita Beach, szukając jakiegoś miejsca do zaparkowania, minął dom Denisa, nadal udekorowany zwałami mokrego tynku, połamanymi listwami, kablami oraz plastikowymi rurami, zupełnie jakby ktoś wylał nań gigantyczną miskę nowego gatunku płatków śniadaniowych. Z tego co wiedział, gdzieś w środku nadal mieszkał Denis, kradnąc sąsiadom prąd potrzebny do telewizora, lodówki i lampy lava. Do czasu, gdy właściciel, który

wyjechał na wakacje do Baja, znajdzie sposób na wypłatę ubezpieczenia, nic nie powinno się tu chyba zmienić.

– Psychodelicznie! – zakrzyknął Doc. Idealna melina. Mniej więcej w tym momencie zauważył, że ma tylko jeden sandał.

Nie zamknięto jeszcze barów i Denisa nie było chyba w domu. Nasłuchując, czy w sąsiedztwie nie krążą jacyś imprezowicze, Doc wniósł karton z heroiną do pomieszczenia, w którym Denis miał kiedyś salon, schował go za fragmentem urwanego sufitu i przykrył wielką plastikową płachtą ocalałą z wodnego łóżka Chica. Dopiero wtedy zauważył, że w kartonie wyciągniętym przez niego po ciemku z kontenera znajdował się wcześniej dwudziestopięciocalowy kolorowy telewizor, o którym to detalu nie miał powodu myśleć do chwili, gdy zaszedł nazajutrz w porze lunchu do Denisa i zastał go wpatrującego się, jak można sądzić, z powagą i uwagą w profesjonalnie zapakowaną heroinę, którą wcześniej wyjął z pudła. Okazało się, że siedzi tak już od dłuższego czasu.

– Na kartonie piszą że to telewizor – wyjaśnił.

– I nie mogłeś się oprzeć. Nie sprawdziłeś wcześniej, czy jest tam coś, co mógłbyś podłączyć do gniazdka?

– Nie mogłem znaleźć żadnego kabla, człowieku, ale pomyślałem, że to jakiś nowy typ odbiornika, taki, który go nie potrzebuje.

– Aha, no tak, i co... – Dlaczego w ogóle drąży ten temat? – ... i co oglądałeś, kiedy wszedłem?

– Widzisz, mam teorię, że to jeden z tych kanałów edukacyjnych. Mało co się tu rusza, ale odbiór nie jest gorszy niż w szkole średniej...

– Tak, Denis, dzięki. Jeśli nie masz nic przeciwko, będę musiał to po prostu zabrać...

– I spójrz, Doc, jeśli patrzysz na to wystarczająco długo... widzisz, jak zaczyna się zmieniać?

Po minucie albo dwóch Doc rzeczywiście odkrył prawie niedostrzegalne modulacje koloru i natężenia światła między warstwami oklejonego szczelnie taśmami plastiku. Usiadł koło Denisa i przez jakiś czas, nie spuszczać oczu z pakunku, podawali sobie nawzajem skręta. Trochę później pojawiła się Jade/Ashley z tekturowymi kubkami, paczką cheetos i wielkim termosem, w którym był napój Orange Julius.

– Lunch – przywitała ich. – I to w harmonizujących kolorach, a to... kurczę... co to, kurwa, jest? Wygląda na heroinę.

– Nie – odparł Denis. – Moim zdaniem to... film dokumentalny.

Wszyscy usiedli w rzędzie, popijając, chrupiąc i gapiąc się. Doc w końcu otrząsnął się z letargu.

– Nie chcę wam psuć zabawy, ale muszę to zarekwirować.

– Nie możemy zaczekać, aż skończy się odcinek? – Aż zobaczymy, co się wydarzy – dodała Jade.

*

Koło południa do Doca, któremu śnił się „Złoty Kieł”, zadzwonił Crocker Fenway. We śnie szkuner powrócił do swojej dawnej funkcji oraz nazwy „Ocalony”. Jakimś dziwnym trafem na pokładzie był również egzorcysta zen, o którym Doc dowiedział się od Coya, ten, który zdezombizował rezydencję Boardsów w Topandze, a teraz usuwał mroczne pozostałości krwi i zdrady, odsyłając w miejsce wiecznego spoczynku duchy torturowanych i zabitych na pokładzie. Zło, które zawładnęło wcześniej statkiem, zostało wyeliminowane.

Zbliżał się zachód słońca po deszczu, ciemna zasłona chmur unosiła się na kilka palców nad horyzontem, odsłaniając pasemko błękitu tak czyste i jaskrawe, że nawet jadący autostradą zwalniali, by je zobaczyć. Sauncho i Doc byli na plaży. Ostatnie morelowe światło płynęło w stronę lądu i unosiło ich cienie w górę, ponad wieżyczki ratowników, na tarasy

porośnięte bugenwillą rododendronami i tamaryszkiem.

Sauncho wygłaszał coś w rodzaju mowy sądowej, zupełnie jakby dostał właśnie nową sprawę.

– ... mimo to nie ma ucieczki przed czasem, morzem czasu, morzem pamięci i roztargnienia, niespełnioną obietnicą łądu, który już, już miał dostąpić lepszego losu, lecz został go pozbawiony przez zbyt dobrze znanych złoczyńców, pozbawiony i uwięziony w przyszłości, w której musimy teraz żyć na zawsze. Ufajmy, że ten błogosławiony statek dopłynie do jakiegoś lepszego brzegu, do jakiejś niezatopionej Lemurii, zmartwychwstałej i odkupionej, gdzie nie spełniło się na szczęście amerykańskie przeznaczenie.

Doc i Sauncho widzieli, albo wydawało im się, że widzą z plaży, jak szkuner wychodzi w morze z rozpostartymi lśniącoymi żaglami. Doc chciał wierzyć, że Coy, Hope i Amethyst są gdzieś na pokładzie i dopłyną w bezpieczne miejsce. Że stoją przy relingu, machając na pożegnanie. Prawie ich widział. Sauncho nie był tego taki pewien. Zaczęli się o to kłócić.

I w tym momencie, obudzony przez przeciwpożarowy dzwon Crockera, wrócił do rzeczywistości kolejnego śmierzącego ropą dnia przy plaży.

– To nie ja – wychrypiął do słuchawki.

– Jasne, minęło sporo czasu! – zaczął kłócić się z księżem Palos Verdes, zdecydowanie zbyt radośnie, jak na tak wczesną porę dnia.

– Chwileczkę, sprawdzę tylko, czy mam puls. – Doc zwał się z kanapy, pokuśtykał do kuchni i kręcąc się w kółko, próbował przypomnieć sobie, co miał zamiar zrobić. Jakimś cudem udało mu się zagotować wodę, wsypać do filiżanki rozpuszczalną kawę i po chwili przypomniał sobie również, że podniósł słuchawkę z widełek. – Siemasz. Jak się pan nazywa?

Crocker znów się przedstawił.

– Pewni moi znajomi coś zgubili i zachodzi podejrzenie, że może pan wiedzieć, gdzie to jest.

Doc wypił duszkiem pół filiżanki kawy i sparzył sobie usta.

– Nie jest pan przypadkiem jednym z tych zleceńodawców, człowieku? – zapytał w końcu.

– To nie powinno pana interesować, panie Sportello, ale z biegiem lat zyskałem sobie w tym mieście opinię kogoś w rodzaju załatwiacza. Mój dzisiejszy problem polega na tym, że mógł pan przyjąć w nieodpłatny depozyt pewien przedmiot, który właściciele pragną odzyskać, i jeśli uda się to szybko zorganizować, nie trzeba będzie nakładać żadnej kary.

– Na przykład nie trafię do piachu?

– Na szczęście dla pana to sankcja, którą wolą stosować wobec własnych członków. Zważywszy na rodzaj interesów, w które się angażują bez absolutnego zaufania między współnikami mogłoby szybko dojść do anarchii. Outsiderzy tacy jak pan obdarzani są przywilejem wątpliwości, a pan z kolei może bez wahania ufać ich słowu.

– Ekstra. Chce pan się spotkać w tym samym miejscu co wtedy?

– Na parkingu w Lomicie? Raczej nie. Za bardzo mi to wygląda na pański teren. Zresztą na pewno jest tam teraz coś innego. Spotkajmy się może dziś wieczorem w moim klubie Portola – powiedział Crocker i podał mu adres niedaleko Elysian Park.

– Macie pewnie jakieś wymagania dotyczące stroju? – domyślił się Doc.

– Jeśli to możliwe, marynarka i krawat.

W drodze Doc zerkał w lusterko, żeby sprawdzić, czy nie podąża za nim jakiś wścibski el camino lub impala. Jedną z wielu podstawowych rzeczy, których nadal nie wiedział o Wielkiej Stopie, było to, do jakich pojazdów ma dostęp. Kiedy zbliżał się do zjazdu do Alvarado, przyszło mu do głowy, że powinien również uważać na helikoptery.

Klub Crockera Fenwaya mieścił się w pałacyku wzniesionym w epoce Dohenyego i McAdoo w stylu mauretańskiego odrodzenia. W pokoju, do którego odesłano Doca, żeby poczekał, było ścienne malowidło przedstawiające ekspedycję Portoli, przybywającą w roku 1769 nad zakole rzeki nieopodal przyszłego centrum Los Angeles, czyli bardzo blisko miejsca, w którym się obecnie znajdował. Styl obrazu przypominał mu etykiety na skrzynkach z warzywami, które pamiętał z dzieciństwa. Żywe kolory, atmosfera, dbałość o szczegóły. Widz patrzył na północ, na góry, które w dzisiejszych czasach ludzie mieszkający nad oceanem oglądali zaledwie kilka razy w roku, gdy unosił się smog, ale które tutaj, w przejrzystym powietrzu tamtego wczesnego okresu, wciąż były doskonale widoczne i ośnieżone. Długa karawana jucznych mułów podążała wzdłuż zielonych brzegów krętej rzeki, nad którą rosły topole, wierzby i olchy. Wszyscy na muralu wyglądali jak gwiazdorzycy filmowi. Część była konno, uzbrojona w muszkiety i lance, w skórzanych zbrojach. Na twarzy jednego z nich – być może samego Portoli? – malował się zachwyt, jakby pytał sam siebie: cóż to takiego, jakiś nieoczekiwany raj? Czyżby sam Bóg wytyczył palcem i pobłogosławił tę idealną małą dolinę, dając ją tylko nam we władanie? Doc musiał się zapatrzyć na panoramę, ponieważ wzdrygnął się, słysząc głos za plecami:

– Miłośnik sztuki.

Doc zamrugał kilka razy, obejrzał się i zobaczył, że to Crocker, jak to się mówi, opalony i zdrowy, i wyglądający, jakby ktoś właśnie przejechał froterką po jego twarzy.

– Niesamowity obraz – stwierdził Doc, kiwając głową.

– Tak naprawdę nigdy nie zwróciłem na niego uwagi. Może przejdziemy do baru dla gości. Swoją drogą, ładny garnitur.

Ładniejszy, niż Crocker mógł wiedzieć. Doc znalazł go nie tak dawno na wielkiej wyprzedaży w MGM, podążając bezbłędnie w jego stronę i ignorując tysiące wieszaków z bardziej banalnymi strojami, które wypełniały jedno ze studiów dźwiękowych. Garnitur go wzywał. Z przypiętej karteczki wynikało, że nosił go John Garfield w filmie *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy* z 1946 roku, i okazało się, że idealnie pasuje na Doca. Nie chcąc jednak osłabiać magii, która wciąż mogła tkwić w splotach tkaniny, nie widział powodu, by mówić o tym Crockerowi. Włożył również krawat Liberace, na który Crocker co chwila zerkał, lecz którego nie był w stanie skomentować.

Bar zdecydowanie mu się nie podobał. Za dużo mebli w fałszywym neokolonialnym stylu i tyle ciemnego drewna, że człowiek nie widział, na czym siedzi i z czego pije. Atmosferę ożywiłyby niewątpliwie obicia w tygrysie cętki, nie mówiąc o bardziej kolorowych światłach.

– Za pokojowe rozwiązanie – powiedział Crocker, podnosząc kwadratową szklaneczkę ze słodową West Highland produkowaną wyłącznie dla klubu Portola.

Bez wątpienia subtelna aluzja do niedawnych wydarzeń przy Gummo Mant Way. Doc wzniosł toast rumem z colą i jego twarz rozjaśnił nieszczerzy uśmiech.

– Jak się miewa rodzinka?

– Jeśli ma pan na myśli panią Fenway, jestem jej tak samo oddany jak wtedy, gdy szła do ołtarza w kościele episkopalnym St. John's, wyglądając jak produkt narodowy brutto. Jeśli ma pan na myśli moją ukochaną córkę Japonicę, której, jeśli nie jest pan kompletnym idiotą nie zamierza pan, mam nadzieję, nawet tknąć palcem, dziękuję, czuje się świetnie. W gruncie rzeczy tylko z powodu związanej z nią naszej drobnej transakcji sprzed kilku lat załatwiamy to tak łagodnie, jak załatwiamy.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczny. Swoją drogą czy zetknął się pan kiedykolwiek z dentystą o nazwisku Rudy Blatnoyd? – zapytał Doc, czekając z tym do chwili, aż Crocker upije trochę whisky.

– Z tym sukinsynem, który do niedawna demoralizował moją córkę? – odparł Crocker, starając się za bardzo nie zakrzusić i nie opryskać szkocką wszystkich dokoła. – Owszem, coś mi mówi jego nazwisko. Zdaje się, że zginął, spadając z trampoliny czy czegoś podobnego?

– Policja Los Angeles nie jest taka pewna, że to był wypadek.

– I zastanawia się pan, czy to nie moja sprawka? Jaki mógłbym mieć motyw? Tylko dlatego, że ten człowiek wykorzystał emocjonalnie niedojrzałe dziecko, że wyrwał je z objęć kochającej rodziny, zmusił do uprawiania praktyk seksualnych, które wzbudziłyby wstręt nawet u kogoś tak wyrafinowanego jak pan... czy to oznacza, że miałbym jakikolwiek powód, by zakończyć karierę tego żalostnego pedofila? Musi mnie pan chyba uważać za szalenie mściwego człowieka.

– Wie pan... podejrzewałem, że Blatnoyd bzyka swoją recepcjonistkę – oznajmił Doc najniewinniej, jak potrafił. – Choć z drugiej strony, który dentysta tego nie robi? To coś, do czego muszą się chyba zobowiązać na wydziale stomatologii. Swoją drogą, nie może to chyba mieć nic wspólnego z wyuzdanym i dziwnym seksem. Prawda?

– A to, że w trakcie swych umizgów zmuszał moją córeczkę do wysłuchiwania broadwayowskich musicali w oryginalnej obsadzie? A urządzone bez smaku hotelowe pokoje, do których zabierał ją, wyjeżdżając na kongresy endodontów? Te tapety! Te lampy! Nie wspominam już o jego tajnej kolekcji klasycznych opasek na włosy...

– No tak... Ale Japonica jest już chyba pełnoletnia?

– W oczach ojca zawsze będzie za młoda. – Doc spojrział szybko w oczy Crockera, lecz nie zobaczył w nich zbyt wielu ojcowskich uczuć. A to, co zobaczył, sprawiło, że pogratulował sobie, iż w drodze tutaj nie palił za dużo. – Co się tyczy naszej sprawy... ludzie, których reprezentuję, gotowi są zaoferować panu atrakcyjny pakiet kompensacyjny za zwrot ich własności.

– Ekstra. Rozumiem, że nie musi to być koniecznie w formie... pieniężnej?

Crocker po raz pierwszy wydawał się zbity z tropu.

– No cóż... znacznie łatwiej byłoby wypłacić pieniądze.

– Bardziej interesuje mnie bezpieczeństwo pewnych osób.

– Osób? Przypuszczam, że to zależy od tego, jak duże stanowią zagrożenie dla moich mocodawców.

– Mam na myśli osoby, z którymi jestem blisko związany, ale jest też ten saksofonista, Coy Harlingen, który pracował pod przykrywką dla różnych antywywrotowych agencji, w tym także dla policji Los Angeles. Ostatnio doszedł do wniosku, że dokonał błędnego życiowego wyboru. Kosztowało go to utratę rodziny i wolności. Podobnie jak pan ma córkę jedynaczkę...

– Proszę...

– No dobrze, tak czy owak, chce się teraz z tego wypisać. Potrafię to chyba załatwić z władzami, ale jest jeszcze ta banda, która przybrała nazwę Strażnicy Kalifornii. I oczywiście ci, którzy nią kierują.

– A tak, Strażnicy, ta godna pożałowania hałastrą. Przydają się na ulicy, ale poza czystym chuligaństwem nie można ich wykorzystać w sensie politycznym. Podejrzewam, że nie będą chcieli, by ujawnił jakiegokolwiek poufne informacje.

– To ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić.

– Osobiście pan za to ręczy?

– Jeśli spróbuje wykręcić jakiś numer, sam go dopadnę.

– W takim razie, jeśli nie znajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, nie widzę powodu, dlaczego nie można by się z nim jakoś pokojowo rozstać. To wszystko, czego pan chce? Na pewno żadnych pieniędzy?

– Ile pieniędzy musiałbym od pana wziąć, żeby nie stracić pańskiego szacunku?

Crocker Fenway zachichotał niewesoło.

– Trochę na to za późno, panie Sportello. Ludzie pana pokroju tracą wszelkie prawo do szacunku za pierwszym razem, kiedy płacą za kogoś czynsz.

– A wasza pierdolona klasa straciła szacunek wszystkich, kiedy pierwszy właściciel nie oddał najemcy kaucji za wynajem.

– Aha. Więc oczekuje pan jakby refundacji? Z odsetkami za ile lat? Muszą się tym oczywiście zająć buchalterzy, ale przypuszczam, że zdołamy dojść do porozumienia.

– Oczywiście. Dla was to drobiazg, dwie setki, coś, co można zwinąć i wciągnąć przez to kokę. Ale za każdym razem, gdy jeden z was jest taki pazerny, poziom złej karmy skacze o kolejne dwieście dolców. Po jakimś czasie to się kumuluje. I przez te lata pod naszymi nosami rośnie powoli ta klasowa nienawiść. Dokąd, pana zdaniem, to zmierza?

– Wygląda na to, że rozmawiał pan z Jego Świątobliwością Mickeyem Wolfmannem. Wybrał się pan, żeby obejrzeć osiedle Channel View Estates? Niektórzy z nas poruszyli niebo i ziemię, głównie ziemię, by nie dopuścić do rozprzestrzeniania się tej plagi... To kolejny epizod walki, która trwa od lat: właściciele ziemskich, takich jak ja, przeciwko deweloperom takim jak brat Wolfmann. Ludzi, którzy troszczą się o środowisko, przeciwko gnieźdzącym się w szczurzych norach lokatorom, którzy nie wiedzą nawet, jak po sobie posprzątać.

– Brednie, Crocker, chodzi wyłącznie o wartość waszych nieruchomości.

– Chodzi o to, żeby być na swoim. My... – Crocker zatoczył krąg ręką wskazując tonący w mroku bar dla gości – ... jesteśmy na swoim. Byliśmy na swoim od zawsze. Niech pan się rozejrzy. Nieruchomości, prawa do wody, ropa, tania siła robocza – wszystko to jest nasze, zawsze do nas należało. A pan czym jest pod koniec dnia? Kolejną molekułą w tym roju przyjezdnych, którzy przemierzają się bez przerwy przez słoneczny Southland, czekając, aż ktoś przekupi ich samochodem określonego modelu i marki, blondynką w bikini, trzydziestoma sekundami na jakiejś namiastce fali... na litość boską, nawet hot dogiem. – Crocker wzruszył ramionami. – Zawsze będziemy was mieli pod dostatkiem. Wasze zasoby są niewyczerpane.

– I nie obawiacie się, że któregoś dnia ci przyjezdni zmienią się we wściekły tłum wrzeszczący przy bramach Pało Verde, być może nawet próbujący dostać się do środka? – odparł z serdecznym uśmiechem Doc.

Wzruszenie ramion.

– Wtedy zrobimy to, co trzeba zrobić, żeby ich nie wpuścić. Byliśmy oblegani przez o wiele gorszych i nadal tu jesteśmy. Prawda?

– I dziękujemy za to niebosom, proszę pana.

– Och, nie wiedziałem, że stać was na ironię.

– To raczej praktyczne podejście. Gdyby pan i pańscy współbiednicy nie pozostali wszyscy „na swoim”, jak taki zwykły prywatny detektyw jak ja zarobiłby na życie? Nie wyżylibyśmy z samych spraw rozwodowych i kradzieży samochodów, potrzebujemy przestępczości na wysokim poziomie, do której macie taką smykałkę.

– No tak. Cóż... – Crocker rzucił okiem na swój zegarek Patek Philippe z fazami księżyca.

– Właściwie...

– Jasne. Nie chcę pana zatrzymywać. Kiedy i gdzie dokonamy tym razem wymiany?

– Bez większych problemów. Na parkingu przy centrum handlowym May Company na rogu Hawthorne i Artesia, jutro wieczorem. Przekazanie towaru nastąpi po uprzedniej weryfikacji, że pewne osoby będą mogły bez przeszkód odejść swoją drogą. Gwarancje bezpieczeństwa na przyszłość nie zostaną bez powodu cofnięte.

– Od tej sprawy zależy pańska reputacja załatwiacza, Crocker. Być może nie jestem taki wpływowy i z całą pewnością nie taki mściwy jak ludzie pańskiego pokroju, ale jeśli zrobi mnie pan w konia, zaprawdę powiadam ci, dobry człowieku, lepiej uważaj.

– Ja mam być mściwy? – zaprotestował urażony potentat.

*

Doc zabrał ze sobą Denisa, być może nie w charakterze wsparcia, lecz czegoś podobnego: chciał, by ten chronił go przed innymi zagrożeniami, z których do niedawna nie zdawał sobie sprawy, by wzmocnić w nim odporność na centra handlowe południowej Kalifornii, pragnienie, aby nie pragnąć przynajmniej tego, co można znaleźć w takich miejscach.

– Że jak? – zapytał Denis, kiedy czekając na wymianę, palili wspólnie skręta, a Doc próbował mu to wytłumaczyć. – Więc dlaczego oddajesz ten telewizor?

Doc przyjrzał mu się uważnie.

– Denisie, to nie jest...

Denis zaczął chichotać.

– W porządku, Doc, wiem, że to hera. Wiem, że nią nie handlujesz i prawdopodobnie nie będziesz miał ani centa z tej dzisiejszej wycieczki. Ale powinieneś dostać coś za fatygę.

– Mam ich słowo, że nikomu nie zrobią krzywdy. Moim przyjaciołom, mojej rodzinie... mnie, tobie i kilku innym osobom.

– Wierzysz im? Wierzysz na słowo ludziom, którzy zajmują się takimi rzeczami?

– A co, mam wierzyć tylko dobrym? Człowieku, dobrych ludzi kupuje się i sprzedaje każdego dnia. Równie dobrze mogę raz na jakiś czas zaufać komuś złemu, to mniej więcej tak samo sensowne. To znaczy i jedno, i drugie jest skazane na niepowodzenie.

– Kurczę, Doc, to skomplikowane. – Denis jak zwykle zaciągał się łapczywie skrętem. – Co to znaczy? – zapytał po chwili.

– Już przyjechali.

Tego wieczoru przedstawiciele Złotego Kła przebrali się sprytnie za zdrową jasnowiącą kalifornijską rodzinę w buicku kombi rocznik 53, ostatnim drewnianym modelu wyprodukowanym w Detroit, nostalgicznej reklamie podmiejskiego konsensusu, o którego zapanowanie w Southland Crocker i jego wspólnicy modlili się dzień i noc, planując zesłanie wszystkich nieposiadających domów niewiernych gdzieś daleko, gdzie szybko by o nich zapomniano. Chłopczyk miał sześć lat i już teraz wyglądał jak żołnierz piechoty morskiej. Jego starszą o kilka lat siostrę mogły w przyszłości zainteresować narkotyki, teraz jednak siedziała w milczeniu, gapiąc się na Doca i rozmyślając o sprawach, o których wolał nie wiedzieć. Mamusia i tatuś byli aż do bólu rzeczowi.

Doc wysiadł i otworzył bagażnik.

– Pomóc panu?

– Nie trzeba.

Tatuś był w koszulce z krótkimi rękawami, którą włożył być może celowo, by pokazać, że nie ma żadnych nakłuć. Mamuśka była dość szczupłą kalifornijską blondynką w czymś w rodzaju tenisowej spódniczki i paliła jakiegoś preferowanego przez białe laski papierosa z filtrem. Dym wpadał jej bez przerwy do oka, ale nie przyszło jej do głowy, żeby wyjąć papierosa z ust. Kiedy mężulek schował herę do bagażnika, uśmiechnęła się półgębkiem do Doca i wyciągnęła skądś plastikowy prostokąt.

- Co to takiego?
- Karta kredytowa – zapiła z tylnego siedzenia córeczka. – Hipisi ich nie mają?
- Chciałem zapytać, dlaczego twoja mama mi ją daje?
- Nie jest dla ciebie – powiedziała mama.

Doc wziął z ociąganiem plastikową kartę. Wyglądała na normalną, ale wydał ją bank, którego nie znał. A potem zobaczył na niej nazwisko Coya Harlingena. Mąż obserwował go, mrużąc oczy.

– Masz mu powiedzieć: „Dobra robota, witaj z powrotem w owczarni, bezpiecznych podróży”. Podróży, w liczbie mnogiej.

– Chyba zapamiętam – mruknął Doc, ale zauważył, że Denis i tak to notuje.

Minutę po tym, jak buick odjechał w stronę Hawthorne Boulevard, Doc zauważył jadącego w ślad za nim poobijanego el camino, który mógł należeć tylko do Wielkiej Stopy. Silnik warczał inaczej. Wielka Stopa musiał założyć nowy kolektor wydechowy albo coś.

Ale dokąd spodziewał się ostatecznie dotrzeć, śledząc tego buicka? Jak długo jego dziwna pokręcona policyjna karma każe mu podążać za tymi dwudziestoma kilogramami, nim dowie się tego, co wydawało mu się, że musi wiedzieć? I co to mogło być? Kto wynajął Adriana, żeby zabił jego partnera? Co mogło wiązać Adriana z mocodawcami Crockera Fenwaya? Czy w ogóle istniał Złoty Kieł, w który Wielka Stopa tak naprawdę nie wierzył? Jak rozsądne było wszystko to, co robił, jadąc na przykład teraz bez żadnego wsparcia? Do jakiego stopnia był bezpieczny i na jak długo?

– Proszę – powiedział po chwili Denis, podając mu żarzącego się skręta.

– Wielka Stopa nie jest moim bratem – zauważył Doc, wypuściwszy dym – ale na pewno potrzebuje stróża.

– Ty nim nie jesteś, Doc.

– Wiem. Swoją drogą, wielka szkoda.

Kiedy wrócił do domu, pod kuchennymi drzwiami leżała pozostawiona przez Farleya koperta z powiększeniami z filmu, który nakręcił w trakcie awantury w Channel View. Były tam zdjęcia zabójcy, który celował do Glena, jednak niezbyt wyraźne. To mógł być Art Tweedle w masce z bożonarodzeniowej kartki, ale równie dobrze ktoś inny. Doc wyjął szkło powiększające i wpatrywał się w odbitki tak długo, aż obraz zaczął się rozpląwać w małe kolorowe bańki. Tak jakby to, co się wydarzyło, dotarło do jakiejś granicy. Jakby odkrył, że brama do przeszłości nie jest strzeżona i nie jest zakazana, ponieważ nie ma takiej potrzeby. W akt powrotu wmontowana była ta migotliwa mozaika wątpliwości podobna do tego, co pracujący w ubezpieczeniach morskich koledzy Sauncha nazywali wadą ukrytą.

– To coś w rodzaju grzechu pierworodnego? – zastanawiał się Doc.

– To coś, czego nie można uniknąć – odparł Sauncho. – Sprawy, których nie obejmują polisy morskie. Na ogół odnosi się to do ładunku... takiego jak potłuczone jajka... ale czasami również do przewożącego go statku. Na przykład, dlaczego trzeba wypompowywać wodę z zęzy?

– To coś w rodzaju uskoku San Andreas – przyszło do głowy Docowi. – Szczury gnieźdzące się na palmach.

– Cóż... – Sauncho zamrugał szybko – może gdybyś wystawił polisę morską na LA, uznając z jakiegoś ściśle zdefiniowanego powodu, że jest statkiem...

– Hej, a co powiesz na arkę? To przecież też statek?

– Ubezpieczenie arki?

– Pamiętasz tę wielką katastrofę, o której stale opowiada Sortilege, dawno temu, kiedy Lemuria zatонуła w Pacyfiku? Część ludzi, którzy się stamtąd uratowali, uciekła tutaj, szukając bezpiecznego miejsca. To znaczy, że Kalifornia jest czymś w rodzaju arki.

– Miłe schronienie. Ładny, solidny kawał nieruchomości.

Doc zrobił kawę i włączył telewizor. Kończył się odcinek *Hawaii Five-0*. Poczekał, aż przelecą napisy końcowe, puszczone na tle gigantycznego kanoe, które Leo tak lubił oglądać, po czym zadzwonił do swoich rodziców w San Joaquin.

Elmina przekazała mu najnowsze wiadomości:

– Gilroy znowu awansował. Jest teraz dyrektorem regionalnym, wysyłają go do Boise.

– Spakują się wszyscy i przeprowadzą do Boise?

– Nie, ona zostanie tu z dziećmi. I pilnować domu.

– Aha – mruknął Doc.

– Gil wybrał sobie niezłe ziółko, to pewne. Stale przesiaduje w kregielni, wypuszcza się na tańce z Meksykanami, o których w ogóle nie wiadomo, kim są. Oczywiście cieszymy się, mogąc posiedzieć z wnukami, ale maleństwa potrzebują również mamy, nie sądzisz?

– Są szczęśliwi, że was mają mamę.

– Mam nadzieję, że kiedy ty się ożenisz, nie będziesz taki zaślepiiony.

– No nie wiem. Zawsze wiele wybaczałem Vemix z powodu tego jej pierwszego męża i w ogóle.

– Ach, tego recydywisty. Nie wiem, jakim cudem sama nie trafiła do Tehachapi.

– To zabawne, zawsze wydawałaś się jej największą fanką.

- Widujesz się jeszcze z tą śliczną Shastą Fay Hepworth?
- Raz czy dwa. Znów mieszka przy plaży – dodał, uznając, że może to śmiało zrobić.
- Może to było jej pisane, Larry?
- Może musi trochę odpocząć od filmu.
- Cóż, mogłeś trafić gorzej. – Doc zawsze potrafił wyczuć, kiedy milczenie jego matki jest znaczące. – I mam nadzieję, że nie ściągniesz sobie na głowę kłopotów.
- Znowu zaczyna – odezwał się Leo, który od pewnego czasu słuchał ich z drugiego aparatu.
- Chciałam tylko powiedzieć...
- Uważa, że handlujesz trawką i chciałaby trochę dostać, ale krępuje się poprosić.
- Leo, przysięgam, że... – Doc usłyszał odgłosy przepychanki i uderzeń.
- Czy mam wezwać oddział prewencji?
- Stale mi to wypomina – poskarżyła się Elmina. – Pamiętasz naszą znajomą Oriole, która uczy w gimnazjum? Skonfiskowała przed kilkoma dniami trochę trawki i postanowiliśmy, że spróbujemy.
- No i co?
- Jest taki serial, który oglądamy, *Another World*, ale nie mogliśmy jakoś rozpoznać żadnej postaci, mimo że śledzimy akcję dzień po dniu. To znaczy, nadal była tam Alice, Rachel, ta Ada, której nie ufam od czasu *Summer Place* z 1959 roku i w ogóle wszyscy, mieli takie same twarze, ale rzeczy, o których mówili, znaczyły jakby coś innego, a poza tym miałam kłopoty z ustawieniem koloru. Potem Oriole przyniosła chrupki czekoladowe i nie mogliśmy przestać ich jeść, i zanim się spostrzegłyśmy, *Another World* zmienił się w jakiś teleturniej i przyszedł twój ojciec.
- Miałem nadzieję, że zostawią mi trochę trawki, ale te dwie wszystko wyjarały.
- Kurczę – mruknął ze współczuciem Doc. – Wygląda na to, że to ty chcesz załatwić towar, tato.
- Właściwie zastanawialiśmy się jakby oboje... – przyznał Leo.
- Twój kuzyn Scott przyjeżdża do nas na weekend – wtrąciła Elmina. – Gdyby udało ci się coś zorganizować, powiedział, że chętnie to przywiezie.
- Jasne. Obiecacie mi tylko jedno, kochani.
- Elmina wyciągnęła dłoń przez mile kabla i potarła go pieszczotliwie za policzek.
- Nie ma drugiego takiego jak ty! Co tylko chcesz, Larry.
- Nie róbcie tego, kiedy opiekujecie się dziećmi, dobrze?
- Oczywiście, że nie – zamruczał Leo. – Nie jesteśmy jakimiś ćpunami.

*

- Nazajutrz rano zabrzączał dzwon strażacki i okazało się, że to Sauncho.
- Pomyślałem, że będziesz chciał wziąć w tym udział. Dostałem cynk, że „Złoty Kiel” zawinął wczoraj wieczorem do San Pedro i przez całą noc na pokładzie trwała krzątanina. Wygląda to na szybki wyładunek i załadunek. *Los federales* przebąkują coś o śledzeniu i przechwyceniu. W Marinie jest wysłannik firmy i jeśli wciśniesz gaz do dechy, może zdążyć na czas.
 - Żeby powstrzymać cię przed popełnieniem jakiegoś szaleństwa?
 - Aha, i czy mógłbyś założyć jakieś mokasyny zamiast tego jednego sandała?
 - Na drogach nie było korków i Doc znalazł Sauncha w tawernie Linusa, popijającego Tequila Zombie. Zanim zdążył zamówić to samo, przy barze zadzwonił telefon.
 - Do ciebie, kochanie – oznajmiła barmanka Mercy i przekazała słuchawkę Saunchowi, który kiwnął raz, a następnie dwa razy głową, po czym szybciej, niż Doc kiedykolwiek widział, rzucił na bar dwudziestkę i wybiegł na zewnątrz.
 - Kiedy Docowi udało się go dogonić, Sauncho był już na pomoście i odcumowywał małą

motorówkę należącą do kancelarii Hardy’ego, Gridleya i Chatfielda. Zanim Doc zdołał postawić niepewnie stopę na pokładzie, Sauncho zdążył uruchomić silnik i zaczął oddalać się od pomostu, zostawiając za sobą chmurkę niebieskich spalin.

– Co ja znowu robię na tej butelce chloroxu?

– Będziesz majtkiem.

– Jak Gilligan? To znaczy, że ty... zaczekaj chwilę... jesteś Skipperem?

Popłynęli na południe. Z mgły wyłoniła się Gordita Beach, łuszczące się łagodnie w podmuchach słonej bryzy miasteczko, upstrzone plamkami spłowiałych kolorów przypominającymi odpryski farby w jakimś położonym na uboczu sklepie z artykułami żelaznymi. Droga na Duncrest, którą Doc zawsze, zwłaszcza po nocnych ekscesach, uważał za stromą tak bardzo, że wszyscy prędzej czy później palili sprzęgło, próbując wspiąć się na górę i wyjechać z miasta, wydawała się stąd dziwnie płaska, prawie nieistniejąca.

Fale były tego dnia całkiem porządne, jak na ten odcinek wybrzeża. Wiatr wiejący od lądu osłabł na tyle, że pojawiło się trochę surferów, którzy czekając w rzędzie, podskakiwali w górę i w dół na falach, odwrotnie (tak w każdym razie wydawało się Docowi) niż na Wyspie Wielkanocnej.

Przez starą lornetkę Sauncha zobaczył motocyklistę z kalifornijskiej drogówki, który ścigał długowłosego chłopaka między ludźmi chcącymi złapać trochę słońca. Gliniarz był w pełnym motocyklowym rynsztunku – długie buty, hełm i mundur – i uzbrojony po zęby, a chłopak boso, w lekkim ubraniu i w swoim żywiole. Uciekał jak gazela, a gliniarz zostawał w tyle, brnąc w piachu.

Przyszło mu do głowy, że jest w wehikule czasu i widzi Wielką Stopę Bjornsena na początku jego kariery, kiedy był młodym gliniarzem w Gordicie. Wielka Stopa zawsze nienawidził tego miejsca i nie mógł się doczekać, żeby się stamtąd wyrwać.

– To miejsce było przekłete od samego początku – powtarzał każdemu, kto słuchał. – Dawno temu mieszkali tu Indianie, którzy czcili narkotyki, palili *toloache*, czyli bieluń dziedzierzawą, wprowadzali się w trans i wyobrażali sobie, że odwiedzają inne światy, w czym, kiedy o tym pomyśleć, nie różnili się tak bardzo od dzisiejszych stukniętych hipisów. Ich cmentarze były świętymi portalami do świata duchów, których nie wolno było nadużywać. A Gordita Beach jest zbudowana dokładnie na miejscu jednego z nich.

Oglądając w sobotę wieczorem horrory, Doc dowiedział się, że zbudowanie czegoś na miejscu indiańskiego cmentarzyska to najgorszego rodzaju karma, niestety z gruntu źli deweloperzy nie dbali o to, gdzie budują, byle teren był równy i łatwo dostępny. Nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby okazało się, że Mickey Wolfmann popełnił wiele razy to świętokradztwo, ściągając kolejne klątwy na swą nieszczęsną duszę.

Te indiańskie duchy trudno było zobaczyć, a tym bardziej złapać. Człowiek ścigał je z trudem, czasami pragnąc tylko przeprosić, a one uciekały jak wiatr i czekały na odpowiedni moment...

– Na co tak patrzysz? – zapytał Sauncho.

– Na miejsce, gdzie mieszkam.

Okrążyli cypel Pało Verde i nagle w oddali, na wysokości San Pedro zobaczyli szkuner, który płynął z postawionymi wszystkimi sztakslami i fokami, zakwitając niczym róża kubistów.

Na twarzy Sauncha pojawiła się czysta nieodwzajemniona miłość.

Doc widział „Ocalonego” pod pełnymi żaglami tylko raz, podczas podróży, w którą wyprawili go Vehi i Sortilege. Teraz, będąc w zasadzie trzeźwy, zauważył jego uderzające podobieństwo do szkunera z *Wilka morskiego* z 1941 roku, na którym John Garfield został napadnięty i w gruncie rzeczy powalony przez Edwarda G. Robinsona, wrzeszczącego: „Tak, tak, to ja jestem wilkiem morskim, rozumiesz?! Ja rządę na tym statku i słuchaj tego, co mówię, tak... bo nikt nie zadziera z wilkiem morskim, rozumiesz...”

- Wszystko w porządku, Doc?
- Och... Czy krzyczałem to wszystko na głos?

Ruszyli w ślad za szkunerem. Wkrótce na radarze pojawiły się dwie zielonkawe plamki i Sauncho włączył radio. Niektóre z meldunków nie różniły się od tego, co można było usłyszeć w nocy w dowolnym barze w Gordicie.

- Twoi kumple z Departamentu Sprawiedliwości – domyślił się Doc.

– Plus straż przybrzeżna. – Sauncho przyglądał się przez chwilę szkunerowi przez lornetkę. – Już nas dostrzegli. Dość szybko... kurczę. Widzę dym. Włączyli silnik Diesla. To znaczy, że nie damy rady.

Wkrótce zobaczyli przed sobą tył albo, jak lubił to nazywać Sauncho, pawęż kutra straży przybrzeżnej ścigającego z maksymalną szybkością „Złotego Kłosa” i niedługo potem z Saunchem i Dokiem zrównał się również statek Departamentu Sprawiedliwości. Młodzi adwokaci w zabawnych kapeluszach wymachiwali puszkami piwa i wymieniali głośne uwagi. Doc dostrzegł co najmniej pół tuzina biegających po pokładzie ślicznotek w bikini. Radio KHJ grało na cały regulator rewolucyjny hymn grupy Thunderclap Newman *Something in the Air* i część urzędników departamentu oraz ich gości śpiewała razem z zespołem, robiąc to ze szczerym przekonaniem, choć Doc zastanawiał się, ilu rozpoznałoby rewolucję, gdyby do nich podeszła i powiedziała: Jak się masz”.

– Nie pogniewasz się, że trochę się zrelaksuję? – zapytał. – Nie przypuszczam, żeby twoja kancelaria trzymała tu jakiś sprzęt do wędkowania.

– Właściwie, jeśli zajrzysz do tego schowka... Szarpnęli się nawet na echosondę, żeby móc śledzić ławice ryb. – Sauncho włączył przyrząd i zaczął wpatrywać się w ekran. Po chwili zamruczał coś i sięgnął po mapy. – Coś dziwnego, Doc... według tego, zobacz... do dna jest całkiem daleko... jakieś kilkaset metrów. Ale ta echosonda... chyba że coś się pochrzało z elektroniką...

- Słyszysz coś, Sauncho?

Z przodu zaczął dobiegać rytmiczny pomruk, który gdyby znajdowali się na lądzie, można by wziąć za przybój. Ale tak daleko od brzegu to było niemożliwe.

- Coś słyszę – przyznał Sauncho.
- To dobrze.

Dźwięk robił się coraz głośniejszy i Doc zaczął mierzyć w pamięci interwał. Jeśli ze zdenerwowania nie liczył zbyt szybko, przerwa trwała około trzydziestu sekund, co normalnie – tyle że to nie była normalna sytuacja – sugerowało fale wysokie na mniej więcej tyle samo stóp. Ich łódka zaczęła się już wzdłużnie kołysać na fali, która stała się, można powiedzieć, wyraźna. Coś działo się również ze światłem, jakby powietrze przed nimi gęstniało od złej pogody. Nawet przez lornetkę trudno było dostrzec szkuner.

– Twój wymarzony statek próbuje nas w coś wciągnąć?! – wrzasnął Doc, nie wpadając jeszcze w panikę.

Odgłos przyboju – jeśli to był przybój – zmienił się w ogłuszający ryk. Słony wodny pył smagał ich po twarzach, wpadając do oczu. Sauncho zmniejszył obroty silnika.

- Co jest, kurwa?! – krzyknął.

Doc był już w drodze na rufę, skąd zamierzał się wyrzygać, postanowił z tym jednak chwilę zaczekać. Lekko podekscytowany Sauncho wskazywał coś po lewej stronie dziobu. Nie widać było żadnych skał, żadnej linii brzegu, wszędzie dokoła było otwarte morze, ale przy tym, co teraz widzieli, północny brzeg Oahu w swoim najbardziej majestatycznym momencie wyglądał jak Santa Monica w sierpniu. Doc oceniał wysokość sunących ku nim z północnego zachodu fal – masywnie się zawijających, lśniących w słońcu, łamiących w regularnych eksplozjach – na trzydzieści albo nawet trzydzieści pięć stóp od podstawy do szczytu.

- To nie może być Cortes Bank – stwierdził Sauncho, zerkając na mapy. – Nie jesteśmy

jeszcze tak daleko. Ale w okolicy nie ma nic innego, więc co to, do diabła, jest?

Obaj wiedzieli. To były mityczne fale świętego Flipa z Lawndale, które weterani nazywali PrzedSIONkiem Śmierci. A szkuner płynął prosto na nie.

Sauncho rysował żółtym markerem jego kurs na ekranie radaru.

– Albo chcą popełnić samobójstwo, albo dokonać baraterii, trudno powiedzieć. Dlaczego nie zawracają?

– Gdzie są teraz federalni?

– Departament Sprawiedliwości jakby się wahał, ale straż przybrzeżna nadal próbuje ich dopaść.

– Trzeba mieć jaja, żeby odważyć się na coś takiego.

– To właśnie słyszą, kiedy wstępują do służby: musicie wypłynąć z portu, ale nie musicie do niego zawinąć.

Byli teraz wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, jak dwa, powiedzmy, trzy ciemne wąskie kształty odłączają się od szkunera, przez chwilę jakby unoszą nad powierzchnią morza, a potem oddalają z błyskawiczną szybkością i rykiem silników, który przez moment był głośniejszy nawet od łamiących się fal.

– Ścigacze! – zawołał Sauncho. – Pięćset, może tysiąc koni mechanicznych, nieważne, nikt nie będzie ich ścigał.

Doc obserwował szkuner, który wyłaniał się i znikał w wodnym pyle. Mogło to wynikać z pogorszonej widoczności, lecz nagle wydał mu się o wiele starszy i zużyty, bardziej podobny do statku, który śnił mu się przed kilku dniami. Do „Ocalonego”, na którego pokładzie Coy uciekał w bezpieczne miejsce ze swoją rodziną.

– Porzucili go! – wrzasnął Sauncho, przekrzykując ryk fal.

– Cholera, człowieku, naprawdę mi przykro.

– Niepotrzebnie. Przynajmniej zgasili silniki. Musimy się po prostu modlić, żeby nie wpadł na to, co tam jest. W przerwach między łoskotem łamiących się fal Sauncho wyjaśnił, że jeżeli statek zostanie doholowany do portu i zasekwestrowany, a właściciele nie zgłoszą się w ciągu jednego roku i jednego dnia, wtedy uznaje się go oficjalnie za porzucony i rozstrzygnięciem kwestię własności na podstawie zawiłych przepisów prawa morskiego, których zrozumienie sprawiało Docowi pewną trudność.

Tymczasem marynarze straży przybrzeżnej weszli na pokład szkunera, skrócili żagle, zarzucili dryfkotwy, żeby nadal trzymać go dziobem do wiatru, i założyli liny i światła holownicze. Według radia w drodze był oceaniczny holownik.

– Dobrze, że wypłynęliśmy – stwierdził Sauncho.

– Niewiele zdziałaliśmy.

– Tak, ale pomyśl, co by było, gdybyśmy nie znaleźli się w pobliżu. Wtedy federalni mogliby opowiadać, co im się żywnie podoba, i ta stara łajba mogłaby się pocałować w pawęż.

*

W bazie straży przybrzeżnej na Terminal Island Sauncho musiał pójść do biura, wypełnić kilka formularzy i załatwić pozwolenie na cumowanie motorówki do jutra. Następnie on i Doc zabrali się okazją z jadącymi na przepustkę do Hollywood marynarzami, którzy wysadzili ich przy Marinie. W tawernie Linusa Mercy kończyła właśnie zmianę.

– Nie dopiłem tej Tequila Zombie – uświadomił sobie Sauncho.

– Pewnie masz ochotę świętować – odparł Doc – ale ja powinienem zajrzeć do biura, dawno mnie tam nie było.

– Wiem... muszę ochłonać, nie powinniśmy tego zapeszyć, przez rok i jeden dzień może się dużo wydarzyć. Nie wiadomo skąd pojawiają się równolegli ubezpieczyciele, jakieś szczególne roszczenia awaryjne, dawne kochanki, kto wie, co jeszcze. Ale powiedzmy, że

będzie miało zastosowanie normalne prawo morskie, które nakazuje, by własność wróciła do ubezpieczyciela...

Do diabła, nazwijcie to intuicją ćpuna.

– Czy przypadkiem nie ty wystawiłeś tę polisę, Saunch?

Czyżby coś się zaświeciło? Czy ktoś nie musiał natychmiast zadzwonić do papieża i poinformować go o cudownym zdarzeniu polegającym na tym, że jakiś prawnik naprawdę się zaczerwienił?

– Jeżeli sprawa trafi do sądu, na pewno wygram – przyznał Sauncho. – Choć prędzej zwędzi go na aukcji jeden z twoich szemranych znajomych milionerów.

Wiedziony sentymentalnym impulsem Doc pochylił się, żeby go uściskać, i Sauncho jak zwykle się skrzywił.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Ty i ta łódź naprawdę do siebie pasujecie.

– Jasne, podobnie jak Shirley Tempie i George Murphy – mruknął Sauncho i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, zaczął śpiewać *Should Be Together* z *Little Miss Broadway* z 1938 roku, całkiem udatnie naśladowując wokalny styl złotowłosego brzdąca. Po chwili wstał z krzesła, mając chyba zamiar stepować, ale Doc pociągał go już nerwowo za rękaw.

– Chyba jest tutaj twój szef...

I rzeczywiście był to budzący postrach C. C. Chatfield, *in propriapersona*. Co więcej, rzucał znaczące spojrzenia w stronę Sauncha, który przestał śpiewać i mu pomachał.

– Nie wiedziałem, że też jesteś fanem Shirley Tempie, Smilax. – Tubalny głos C. C. odbił się echem po sali, której nie wypełniał jeszcze na szczęście wieczorny tłum. – Kiedy skończysz ze swoim klientem, chcę zamienić z tobą parę słów na temat tego pomysłu z MGM.

– Nie zrobiłeś tego – szepnął Doc.

– To zbiorowy pozew, który musiał kiedyś zostać złożony – zaprotestował Sauncho. – Jeśli nie my, złożyłby go ktoś inny. Pomyśl o potencjale. Zagrożona jest każda wytwórnia w mieście. Warners! Co będzie, jeśli znajdzie się dość wkurzonych widzów, którzy nie chcą żeby Laszlo i lisa wsiedli razem do tego samolotu? Albo chcą żeby Mildred zadusiła na końcu Vedę, tak jak zrobiła to w książce? Albo... albo...

– Niedługo do ciebie zadzwonię. – Doc klepnął Sauncha najdelikatniej, jak mógł, po ramieniu i wyszedł z tawerny.

*

W pracowni energetycznej doktora Tubeside'a dobiegał końca kolejny pracowity dzień. Petunia, tego dnia wprost olśniewająca w kolorze jasnej fuksji, pogrążona była w intymnej rozmowie z długowłosym starszym dżentelmenem w bardzo ciemnych okularach z bocznymi osłonkami.

– Och, Doc, chyba nie poznałeś jeszcze mojego męża? To Dizzy. Kochanie, to Doc, o którym ci mówiłam.

– Bracie. – Dizzy wyciągnął powoli rękę z odciskami basisty na palcach i zanim Doc się zorientował, ich dłonie połączył skomplikowany uścisk, w którym obecne były pewne elementy z Wietnamu, kilku więzień stanowych oraz bractw organizujących cotygodniowe spotkania poza granicami miasta.

Doktor Tubeside wyszedł z tylnego gabinetu i wręczył Petunii dużą buteleczkę z lekami.

– Jeżeli naprawdę upierasz się przy tej wegetariańskiej diecie... – powiedział, potrząsając tabletkami, żeby podkreślić pewne słowa – ... będziesz potrzebowała suplementów, Petunio.

– Mamy dobre wiadomości – oznajmiła Petunia.

– Zaciążyła – dodał Dizzy.

Doc szybko ją prześwietlił i poczuł, że na jego twarzy pojawia się głupawy uśmiech.

– A to ci dopiero. Myślałem, że ten blask w pokoju to jakieś halucynacje. Gratulacje, kochani, to wspaniale.

– Tyle że ten tu świr – odrzekła Petunia – uważa, że musi mnie teraz wozić do pracy i z pracy. Tego tylko mi trzeba, szurniętego szofera. Zdejmij okulary, kochanie, niech wszyscy zobaczą jak toczysz dokoła tymi swoimi pięknymi oczkami.

Doc ruszył na górę.

– Nie zapomnij zgasić światła i zaniknąć drzwi na klucz! – zawołał za nim doktor Tubeside.

– Nigdy nie zapominam – odparł Doc. Odgrzewany numer.

Na progu leżał wachlarz korespondencji składającej się głównie z cenników pizzerii z dostawą do domu. Uwagę Doca zwróciła wspaniała koperta ze złotymi tłoczeniami. Rozpoznał złożony fałszywą arabską czcionką napis „Klub i kasyno Kismet, North Las Vegas”.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył wewnątrz koperty, był czek na dziesięć tysięcy dolarów, sprawiający wrażenie prawdziwego. *Po dokładnej analizie – pisano w liście przewodnim – oraz zasięgnięciu opinii najlepszych i całkiem przypadkowo najdroższych ekspertów w zakresie prawa, psychologii i religioznawstwa, ustalono, że Michael Zachary Wolfmann został faktycznie porwany wbrew swojej woli i podobnie jak w przypadku kosmitów z pobliskiej Strefy 51 jego porywacze pozostają poza zasięgiem aparatu sprawiedliwości. Załączona suma obliczona została zgodnie ze stawką 100 do 1, chociaż zakłady w kilku innych kasynach położonych na południe stąd zapewniłyby o wiele bardziej lukratywną wygraną. A to pech, ryzykancie! Proszę oczekiwać dalszych przesyłek, w tym imiennego zaproszenia na Wielkie Otwarcie nowego i całkowicie zrekonceptualizowanego klubu i kasyna Kismet gdzieś na wiosnę 1972 roku. Mamy nadzieję wkrótce Pana zobaczyć. Dziękujemy za dalsze zainteresowanie naszym kasynem.*

Z serdecznymi pozdrowieniami, Fabian P. Fazzo, dyrektor operacyjny, Kiscorp.

Zadzwoił telefon marki Princess. Okazało się, że to Hope Harlingen.

– Pomyślności, Doc.

– Czyżbym kichnął lub coś w tym rodzaju?

– Mówię serio.

– Naprawdę. Czasami zapominam, kichnąłem czy nie? I muszę pytać. To krępujące.

W słuchawce zapadła cisza.

– Od początku – powiedziała Hope. – Czy to ty wsunąłeś te wejściówki pod moje drzwi na patio?

– Nie. Jakie wejściówki?

Okazało się, że ktoś dał jej i Amethyst zaproszenia uprawniające do wejścia za kulisy koncertu Surfadelic Freak-In, który odbył się poprzedniego wieczoru w Will Rogers Park.

– O kurczę, zupełnie zapomniałem. Zespół mojego kuzyna, Beer, miał wystąpić przed Boardsami.

– Beer? Naprawdę? Tak daleko zaszli? Tak jakby byli następcami Boardsów.

– Scott ucieszy się, kiedy mu to powiem. Czy ja też się cieszę? Nie wiem. Coy grał?

– On wrócił, Doc, naprawdę żyje i wrócił, a ja jestem od dwudziestu czterech godzin na haju i nie wiem, w co wierzyć.

– Co słysząc u... jak jej tam na imię?

– Wciąż śpi. Powiedziałabym, że jest trochę rozbita. Nie sądzę, żeby skojarzyła sobie w jakiś sposób Coya. Ale stale wraca do jednego momentu z koncertu, kiedy wziął do ręki saksofon, zdjął mikrofon ze stojaka, wsadził go do czary i zaczął po prostu napieprzać. Strasznie się jej to spodobało. Zaliczył u niej całe mnóstwo punktów.

- Więc... jesteście...
- Och, zobaczymy.
- Ekstra.
- Poza tym w przyszły weekend wybieramy się na Hawaje.
- Doc przypomniał sobie swój sen.
- Płyniecie statkiem?
- Nie, lecimy Kahuna Airlines. Coy załatwił gdzieś bilety.
- Postarajcie się nie zabrać za dużo bagażu.
- Właśnie wszedł. Masz, porozmawiaj z nim. Jesteś kochany.
- Rozległ się dźwięk, po chwili lekko irytujący, długiego pocałunku.
- Jestem oficjalnie zwolniony z czyjejkolwiek służby, człowieku – odezwał się w końcu Coy. – Burke Stodger zadzwonił, żeby mi o tym osobiście powiedzieć. Byłeś wczoraj na koncercie?
- Nie i mój kuzyn Scott będzie bardzo wkurzony. Po prostu zapomniałem. Słyszałem, że dałeś czadu.
- Miałem długie solówki w *Steamer Line*, *Hair Bali* i salucie na cześć Dicka Dale'a.
- I rozumiem, że twoja córka świetnie się bawiła.
- Człowieku, ona jest... – zaczął i Coy i po prostu umilkł. Doc słuchał przez chwilę jego oddechu. – Wiesz, co mówią Indianie? Uratowałeś mi życie i musisz teraz...
- Tak, tak, wymyślił to jakiś hipis. – Co za ludzie, człowieku. Nie mają o niczym pojęcia.
- Sam uratowałeś sobie życie, Coy. I teraz musisz je przeżyć – powiedział Doc i się rozłączył.

Kiedy w czwartej kwarcie stało się tragicznie jasne, że Lakersi przegrają w finałach z Knicksami, Doc zaczął myśleć, z kim mógłby się o to założyć i o ile, a także o dziesięciu tysiącach dolarów i wszystkich osobach, którym był winien pieniądze i do których, jak sobie przypomniał, zaliczał się również Fritz. Wyłączył więc telewizor, wszedł do dodge'a i ruszył do Santa Monica. Kiedy podjechał pod „Mamy cię!”, w środku nadal paliło się kilka świateł. Doc obszedł budynek i zapukał w tylne drzwi, które po chwili uchyliły się na jeden cal i wyjrzał przez nie bardzo krótko ostrzyżony chłopak. To musiał być Sparky.

– Fritz powiedział, że kiedyś wpadniesz. Wchodź.

Sala komputerowa tętniła życiem. Wszystkie taśmy obracały się w tę i z powrotem i było co najmniej dwa razy tyle ekranów komputerowych, niż Doc zapamiętał, wszystkie rozjaśnione, plus co najmniej sześć telewizorów, każdy nastawiony na inny kanał. Ze zwiniętych prawdopodobnie z jakiegoś kina głośników płynęły dźwięki *Help Me, Ronda, a* stojący w rogu poobijany stary ekspres został zastąpiony przez gigantyczną włoską maszynę z rurkami, dźwigniami, wskaźnikami i taką ilością chromów, że można by się nią powoli przejechać każdym bulwarem we wschodnim Los Angeles i nikt by nie spostrzegł, że tam nie pasuje. Sparky podszedł do klawiatury i wpisał kilka komend w dziwnym kodzie, który Doc próbował bez skutku odczytać. Maszyna do kawy zaczęła – no, może nie oddychać, ale puszczać w zaplanowanym celu na przemian parę i gorącą wodę.

– Gdzie jest Fritz?

– Pojechał na pustynię ścigać dłużników. Jak zwykle.

Doc wyjął skręta z kieszeni koszuli.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli...

– Jasne. – Powiedziane to było bez entuzjazmu.

– Nie palisz?

– Trudniej mi wtedy pracować. A może jestem po prostu jednym z tych ludzi, którzy nie powinni zażywać narkotyków.

– Fritz mówił, że kiedy jest przez jakiś czas w sieci, ma wrażenie, jakby brał psychodeliki.

– Uważa również, że ARPA-net zabrała mu duszę.

Doc przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– I ma rację?

Sparky utkwiał wzrok w przestrzeni.

– W tym systemie nie ma miejsca dla duszy. To funkcjonuje zupełnie inaczej. Nawet te opowieści o zagłądaniu w cudze życie... to nie jest jakaś podróż na Wschód i zanurzenie się w zbiorowej świadomości. Chodzi po prostu o znajdowanie rzeczy, o których ktoś inny nie sądził, że są do znalezienia.

I to ewoluuje tak szybko... coś w rodzaju „im więcej wiemy, tym więcej wiemy”. Widać niemal, jak zmienia się z dnia na dzień. Dlatego pracuję do późna. Nie jestem taki zaszokowany następnego ranka.

– Kurczę. Lepiej chyba dowiem się o tym czegoś więcej, bo będę zacofany.

– To wszystko jest jeszcze dosyć toporne – dodał Sparky, wskazując pokój. – W porównaniu z tym, co widzimy na filmach szpiegowskich i w telewizji, tu, w realnym

świecie, nadal daleko nam jeszcze do tej szybkości i do tych możliwości. Nawet promienie podczerwone i noktowizory, których używają w Wietnamie, nie mają wiele wspólnego z rentgenowskimi okularami, ale wszystko to rozwija się w postępie geometrycznym i któregoś dnia wszyscy zorientują się, że jesteśmy pod nadzorem, przed którym nie można uciec. Niesolidni dłużnicy nie będą już mogli zaciągać długów, może nie będzie już nawet miejsca, gdzie mogliby się schronić.

Maszyna do robienia kawy zaśpiewała sztucznym głosem *Volare*.

- To Fritz ją tak zaprogramował. Ja wolałbym *Java Jive*.
- Trochę nie z twojej epoki.
- To tylko dane. Jedynki i zera. Wszystko do odzyskania. Wiecznie obecne.
- Super.

Kawa nie była zła, biorąc pod uwagę jej robotyczne pochodzenie. Sparky próbował pokazać Docowi krótki kod.

– Aha – przypomniał sobie Doc. – Czy ta twoja sieć obejmuje szpitale? Na przykład, kiedy ktoś trafi na izbę przyjęć, czy możesz się dowiedzieć, w jakim jest stanie?

- Zależy gdzie.
- W Vegas?
- Może uda nam się przez Uniwersytet Utah. Popatrzmy. – Zabębniły plastikowe klawisze i na ekranie pojawiły się zielone kosmiczne hieroglify.
- Mam tutaj szpitale Sunrise i Desert Springs – powiedział po chwili Sparky.
- Znajdziesz ją pod nazwiskiem Beaverton albo Fortnite. Moim zdaniem, całkiem niedawno.

Sparky znowu postukał w klawisze i pokiwał głową.

– Okay, w szpitalu Desert Springs widzę Trillium Fortnite, adres domowy w Los Angeles, przyjęto ze wstrząsem mózgu, skaleczeniami i sińcami... przebywała na leczeniu i obserwacji przez dwa... trzy dni, ze szpitala odebrali ją rodzice... wygląda na to, że w zeszły wtorek.

– To ona. – Doc zerknął mu przez ramię na ekran. – Kto by się spodziewał. To ona. No tak. Dzięki, człowieku.

- Dobrze się czujesz? – Sparky nie mógł się chyba doczekać, aż wróci do pracy.
- Dlaczego miałbym się źle czuć?
- Nie wiem. Wyglądasz trochę dziwnie, a poza tym większość ludzi w twoim wieku mówi do mnie „dzieciaku”.
- Idę do Zucky’ego, mam ci coś przynieść?
- Aż do północy nie jestem raczej głodny, a potem dzwonię po prostu do Pizza Man.
- No dobrze. Powiedz Fritzowi, że jestem mu winien pieniądze. Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli co jakiś czas tu wpadnę? Oczywiście postaram się nie być za bardzo upierdliwy.

– Jasne. Jak chcesz, pomogę ci stworzyć własny system. To powiew przyszłości, nie?

– Taki, który kręci falę.

U Zucky’ego Doc usiadł za kontuarem, zamówił kawę oraz tort czekoladowy i przez jakiś czas kroił go pod kątem czterdziestu pięciu stopni na kawałki, które kładł na talerzyk i zjadał widelczykiem. W końcu jednak wziął do ręki to, co zostało, i skończył tort w ten sposób.

Magda podeszła, żeby mu się przyjrzeć.

- Może podać ci do tego jakieś ciastko?
- Pracujesz teraz na nocnej zmianie – zauważył Doc.
- Zawsze byłam nocnym markiem. Gdzie jest Fritz? Dawno go nie widziałam.
- Z tego, co słyszałam, gdzieś na pustyni.
- Wygląda na to, że ty też złapałeś trochę słońca.
- Znam jednego faceta z łódką wypłynęliśmy kilka dni temu.

– Złowiliście coś?
– Głównie złopaliśmy piwo.
– Zupełnie jak mój mąż. Któregoś dnia postanowili wybrać się na Tahiti, ale dotarli tylko do Terminal Island.

Doc zapalił poobiedniego papierosa.

– Grunt, że dopłynęli bezpiecznie z powrotem.

– Nie pamiętam. Masz na uchu bitą śmietaną.

*

Doc wjechał na Santa Monica Freeway i mniej więcej kiedy skręcał na południe w stronę San Diego, łąd zaczęła spowijać nocna mgła. Odgarnął włosy z twarzy, nastawił głośniej radio, zapalił papierosa, usadowił się wygodniej w fotelu i patrzył, jak wszystko powoli znika – drzewa i krzaki na środkowym pasie, stojące na parkingu w Palms żółte szkolne autobusy, światła na wzgórzach, znaki nad autostradą mówiące ci, gdzie jesteś, samoloty podchodzące do lądowania. Trzeci wymiar był coraz mniej widoczny – cztery tylne światła przed nim mogły należeć do dwóch różnych samochodów, które jechały w bezpiecznej odległości oddzielnymi pasami, ale mogły też być podwójnymi światłami tego samego pojazdu, trudno powiedzieć. Z początku mgła nie była zwarta, ale wkrótce zgęstniała i Doc widział wyłącznie swoje wycelowane w cichą biel, podobne do szypulek kosmity długie światła oraz oświetloną tablicę rozdzielczą. Tylko dzięki szybkościomierzowi mógł się zorientować, jak prędko jedzie.

Włokąc się powoli, wreszcie dostrzegł przed sobą inny samochód, za którym mógł jechać. Po jakimś czasie zobaczył w tylnym lusterku, że ktoś jedzie za nim. Znajdował się w nieznannej wielkości konwoju, w którym każdy kierowca starał się nie tracić z oczu światła jadącego przed nim auta, niczym w jakiejś utworzonej, by przebyć bezpiecznie ślepy odcinek, karawanie na pustyni percepcji. Była to jedna z nielicznych widzianych przez niego rzeczy, którą ktokolwiek w tym mieście, z wyjątkiem hipisów, robił za darmo.

Zastanawiał się, ilu znajomych utkwilo tej nocy w tej mgle i ilu otoczonych przez mgłę siedzi w domach przed telewizorami albo zasypia w łózkach. Któregoś dnia – mógł to pewnie potwierdzić Sparky – standardowym wyposażeniem w każdym samochodzie będzie telefon, być może nawet komputer pokładowy. Ludzie będą mogli wymieniać swoje nazwiska, adresy i życiorysy i zakładać coś na kształt stowarzyszeń absolwentów, którzy będą zbierali się raz w roku w jakimś barze, za każdym razem przy innym zjeździe z autostrady, i wspominać noc, kiedy stworzyli tymczasową komunę, by przedrzeć się razem przez mgłę w drodze do domu.

Doc włączył Vibrasonic. Rozgłośnia KQAS nadawała klasyczny autostradowy przebój *Super Market* grupy Fapardokly, normalnie idealny do jazdy przez Los Angeles – choć w panujących tej nocy warunkach Doc zgodziłby się chętnie na każdy inny przebój. Następnie kilka pirackich nagrań Elephanfs Memory, *Stranger in Love* w wykonaniu Spanielsów oraz *God Ordy Knows* Beach Boysów, z którymi Doc zaczął razem śpiewać, z czego zdał sobie sprawę dopiero po chwili. Spojrzał na wskaźnik paliwa i zobaczył, że ma jeszcze ponad połowę baku plus opary. Poza tym miał kubek kawy od Zucky'ego i prawie całą paczkę fajek.

Co jakiś czas ktoś włączał prawy kierunkowskaz i ostrożnie opuszczał kolumnę, by po omacku zjechać z autostrady. Większe drogowskazy nad głowami były zupełnie niewidoczne, ale chwilami można było zobaczyć te ustawione niżej, na poziomie drogi, tam gdzie odchodził pas do skrętu. Dlatego decyzja musiała być zawsze podejmowana w ostatniej chwili.

Doc powtarzał sobie, że jeżeli minie Gordita Beach, będzie musiał skręcić w pierwszy zjazd, który zobaczy, i wrócić do domu bocznymi ulicami. Pamiętał, że przy Rosecrans autostrada skręca na wschód i gdzieś przy Hawthorne albo Artesia Boulevard mgła powinna się skończyć, chyba że tej nocy spowiła cały region. Może będzie się utrzymywać przez kilka

dni i wtedy pojedzie dalej, mijając Long Beach, Orange County, San Diego i przekraczając granicę, za którą nikt nie będzie potrafił powiedzieć w jej oparach, kto jest Meksykaninem, kto Anglosasem, w ogóle kto jest kim. Choć z drugiej strony wcześniej mogła mu się skończyć benzyna i będzie musiał opuścić konwój, zatrzymać się na poboczu i poczekać. Na to, co się wydarzy. Na zapomnianego skręta, który odnajdzie się w kieszeni. Na patrol drogówki, który nie będzie się go czepiał. Na niespokojną blondynkę w corvette stingrayu, która zatrzyma się i zaproponuje, że go podwiezie. Na to, że mgła się rozwieje, i zamiast tego, co było przedtem, tym razem jakimś trafem ukaże się coś innego.